

MARCIN SZCZYGIELSKI

Sanato



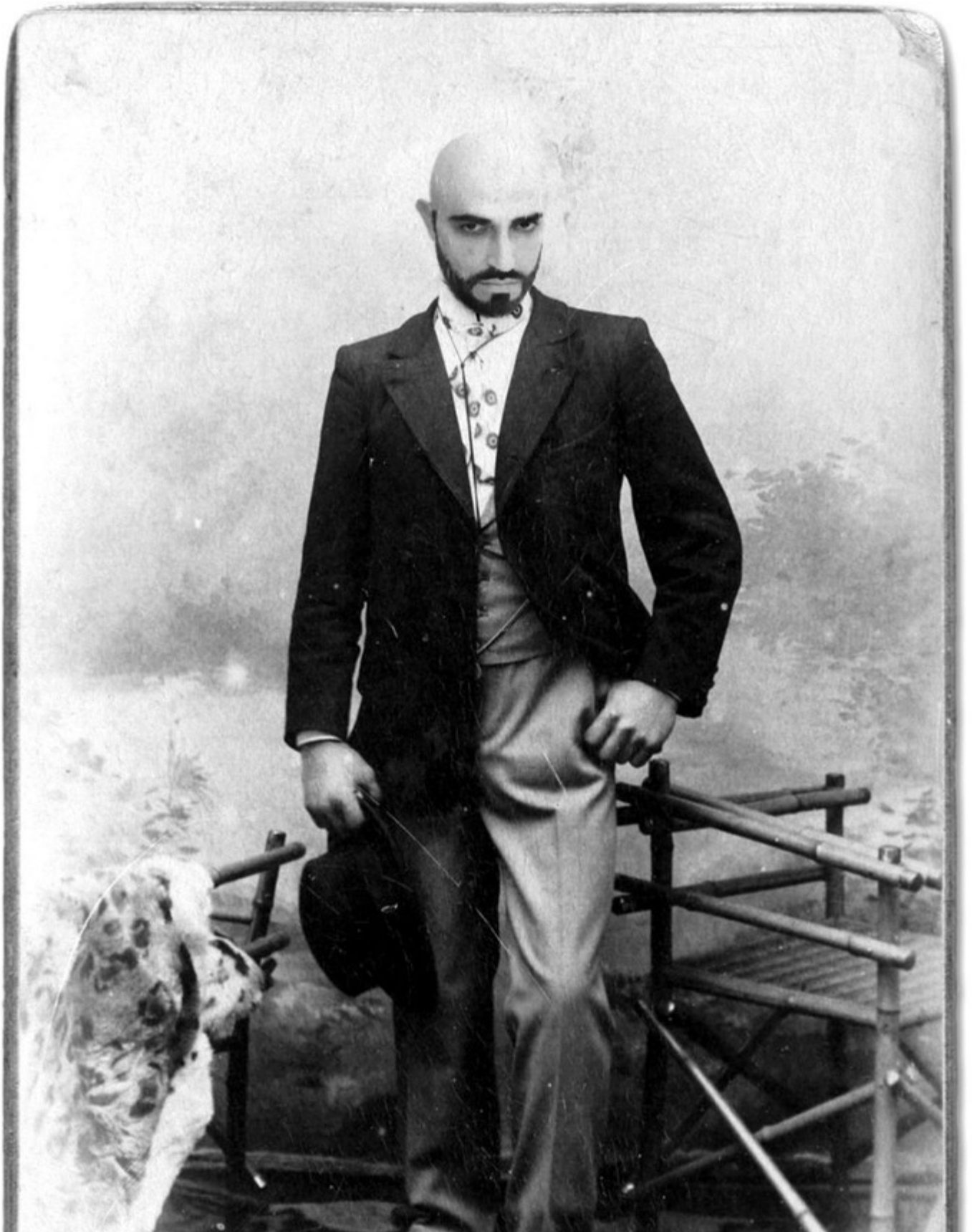


marcin szczygielski

SAWATO



w a r s z a w a 2 0 1 4



Spis treści

I. NEL

II. CHARON

III. DARWIN

IV. ODMA

V. WIZYTY

VI. IRA

VII. DRESLER

VIII. SALA NR 3

IX. POCZĄTEK

X. ECHA

XI. ŚMIERĆ PORCELANOWEGO CHIŃCZYKA

XII. IGNAŚ

XIII. PAUZA

XIV. PRZEBUDZENIE

XV. NUMER 9HISTORIA DORCI

XVI. ADAM

POSŁOWIE

MARCIN SZCZYGIELSKI

Debiutował w 2003 r. bestsellerową powieścią *PL-BOY*, potem ukazały się: *Wiosna PL-BOYa*, *Nasturcje i ćwoki*, *Farfole namiętności*.

W 2007 r. do księgarń trafił *Berek*, historia geja i przedstawicielki moherowych beretów, których pozornie nie łączy nic poza wzajemną nienawiścią. Książka natychmiast stała się bestsellerem, a autorska adaptacja teatralna wyreżyserowana przez Andrzeja Rozhina z Ewą Kasprzyk i Pawłem Małaszyńskim w rolach głównych od kilku lat przyciąga tłumy widzów do warszawskiego teatru Kwadrat. Wiosną 2010 r. ukazały się *Bierki*, druga część cyklu *Kroniki nierówności* zapoczątkowanego przez *Berka*. Siódmą skierowaną do dorosłych czytelników powieścią Szczygielskiego jest opublikowany w 2011 r. *Poczet Królowych polskich*. Książka, której fabułę autor oparł na wątkach z życiorysu polskiej gwiazdy przedwojennego kina Iny Benity, w 2012 r. otrzymała nominację do nagrody literackiej Srebrny Kałamarz.

Odrębnym rozdziałem literackiej twórczości Szczygielskiego są powieści dla dzieci i młodzieży. Kolejno ukazywały się: *Omega*, *Za niebieskimi drzwiami*, *Czarny Młyn* oraz wydane w 2013 r. *Czarownica piętro niżej* i *Arka Czasu*. Każda z nich doczekała się licznych nagród i wyróżnień w konkursach literackich, przynosząc autorowi między innymi dwukrotnie Grand Prix w konkursie im. Astrid Lindgren organizowanym w ramach akcji społecznej „Cała Polska czyta dzieciom”, a także nagrodę Donga (wcześniej Dziecięcy Bestseller Roku), tytuł Książki Roku 2010 przyznany przez polską sekcję IBBY oraz nagrodę Zielona Gąska 2013 Fundacji im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Marcin Szczygielski jest także autorem popularnych sztuk teatralnych, które z powodzeniem wystawiane są na scenach teatrów miejskich i komercyjnych w całym kraju.

W 2013 r. ukazała się rozbudowana, bogato ilustrowana monografia żeńskiego zespołu wokalnego Filipinki. Książka *Filipinki – to my! Historia pierwszego polskiego girlsbandu* stanowi w dorobku autora wyjątkową pozycję i jest mu szczególnie bliska, bowiem jedną z wokalistek grupy była matka pisarza Iwona Racz-Szczygielska.

Książki autora:

dla dorosłych:

- *PL-BOY* (2003)
- *Wiosna PL-BOYa* (2004)
- *Kuchnia na ciężkie czasy* (2004)
- *Nasturcje i ćwoki* (2005)
- *Farfole namiętności* (2006)
- *Berek* (2007)
- *Bierki* (2010)

- *Furie i inne groteski* (2011)
- *Poczet Królowych polskich* (2011)
 - *Kallas* (2012)
 - *Filipinki – to my!* (2013)
 - *Sanato* (2014)dla młodzieży:
 - *Omega* (2009)
- *Za niebieskimi drzwiami* (2010)
 - *Czarny Młyn* (2011)
- *Czarownica piętro niżej* (2013)
 - *Arka Czasu* (2013)
 - *Tuczarnia motyli* (2014)sztuki teatralne:
- *Berek, czyli upiór w moherze* (2008)
 - *Wydmuszka* (2009)
 - *Furie* (2010)
 - *Kallas* (2011)
- *Single i remiksy* (2012)
- *Kochanie na kredyt* (2013)





(Duszę się)

– Duszę się! – chrypię półgłosem.

Mój głos brzmi jak skrzek. Biegnę korytarzem, utykam. Nie byłam jeszcze w tym skrzydle, jestem tego pewna. W oddali (*zbyt blisko*) za moimi plecami słyszę miarowy odgłos kroków Iry i dwóch innych numerów. Oni idą, my biegniemy. A jednak nas doganiają. Korytarz przede mną się zwęża, matowe kule szklanych lamp zwisają coraz niżej. Rozbłyskują chorobliwie pelgającym, mdłym światłem w kolorze uryny. Czubkiem głowy dotykam już pierwszej z nich. Schylam się i biegnę, kuleję. Jedno płuco nie radzi sobie z gęstym, zatęchłym powietrzem.

– Nusiu... – Ira woła za mną śpiewnie.

Jej głos rozlega się tuż za moim uchem. Zachłystując się z przerażenia, spoglądam przez ramię, lecz zarazem – zdaję sobie sprawę, że to reakcja histeryczna – chce mi się śmiać. Wręcz nie mogę powstrzymać chichotu, który odbiera mi resztki powietrza... Jasna, połyskliwa postać Iry majaczy w głębi korytarza za nami. Gdzie są inne numery? Dywan pokrywający podłogę w tym obcym, nieznanym mi skrzydle budynku staje się coraz bardziej miękki, grzęzną w nim moje obcasy. Nagle potykam się i upadam na kolana. Dłonie zagłębiają mi się w musztardowym chodniku, który ugina się i rozstępuje pod moimi palcami z obrzydliwym mokrym cmoknięciem. Jest zimny i wilgotny, bije od niego fetor spleśniałych grzybów. Przeszywa mnie dreszcz wstrętu, próbuję krzyknąć i oczywiście zanoszę się kaszlem. Za wszelką cenę staram się nad nim zapanować i złapać oddech. Łapanie oddechu to moja specjalność. Poprawka: nasza specjalność.

– Wstawaj! Wstawaj! – histerycznym piskiem ponagla mnie Dorcia.

Dopada do mnie, chwytając moją sukienkę na karku i ciągnie w górę. Jak to możliwe, że taka chudzina ma tyle siły? Sukienka wpija się pod pachami, nagle zapięcie pęka z trzaskiem. Guziki strzelają na boki, a ja czuję, że moje ubranie staje się luźniejsze – chwilowa ulga. Adam sprawił mi tę sukienkę w Krakowie. Zakład nazywał się Ewelina.

– Wstawaj! Kurwać! Wstawaj! – jęczy Dorcia.

Umieram ze strachu, ale nadal nie mogę zapanować nad śmiechem, a to straszne, wulgarne słowo, które pada z jej ust, jeszcze go potęguje. Kto by pomyślał, że grzeczna, niewinna Dorcia zna takie słowo? Dorcia, do której raz w miesiącu wiśniową tatrą ze składanym, beżowym

dachem przyjeżdża elegancki papa, nieodmiennie przywożąc w podarunku dla córki równie eleganckie pudełko pomadek Lindt z pierwszorzędnej krakowskiej cukierni. Papa Dorci jest ogromnie postępowy – sam wpadł na pomysł, by jego jedyna córka przyjęła eksperymentalną szczepionkę BCG (*prawdziwy przewrót w medycynie!*). Postępowy, a jednak nie na tyle, aby tolerował podobne słowa w ustach własnego dziecka. Skąd też Dorcia może je znać?

– Nusiu...

Wreszcie udaje mi się wyrwać ręce z oślizgłego chodnika – puszcza je z niechętnym mlaśnięciem. Podnoszę dłonie do oczu, przekonana, że będą uwalane brązowym, śmierdzącym szlamem, w jaki zmienił się dywan wyściełający podłogę korytarza. Ale nie. Moje ręce są czyste i różowe – jak środek muszli. Przyglądam im się w chwilowym zdumieniu. W zagłębieniach linii przecinających wnętrza dłoni lśnią drobniutkie kropelki potu. Są złote. Mówił, że je wydalimy, ale nie sądziłam, że przez skórę. Pocę się złotem. Gdyby mnie wydestylować, starczyłoby może na kolczyk. Albo na koronkę zęba. Jestem nieznacznie cenna.

– Na rany pana Boga jedyne, wstawaj! – Dorcia szarpie mnie za włosy.

Nagle zanosi się znajomym mokrym kaszlem, który brzmi tak, jakby ktoś potrząsał termoforem pełnym kisielu. Wreszcie udaje jej się odkrztusić śluz i spluwa pacyną krwi na podłogę tuż obok mojego kolana. Z ulgą bierze oddech – zbyt pośpiesznie jednak. Atak wraca.

– Nusiu...

Głos Iry naprawdę rozlega się tuż za nami. Temperatura w korytarzu wzrasta szybko, już pieką mnie policzki. Nagle podłoga kołysze się pod moimi kolanami, ściany wokół trzeszczą, tynk pęka pod poźółkłymi, wybrzuszonymi nieoczekiwanie tapetami. Zrywam się na równe nogi, Dorcia wciąż kaszle zgięta w pół, opiera dłonie na udach. Chcę biec dalej, ale korytarz przede mną jest już tak wąski, że nie zmieściłabym się w nim nawet bokiem.

– Nusiu...

Dogonili nas – choć oni szli, a my biegłyśmy. Odwracam się powoli. Ira stoi tuż za moją towarzyszką, jest zupełnie naga, golusienka. Złoto sączy się z porów jej skóry, spływa kroplami po odsłoniętych piersiach, okala cienką strużką zaskakująco blade, małe, naprężone sutki i sunie w dół po brzuchu, zbierając się w zagłębieniu pępka. Jest cała złota, niczym starannie oczyszczona z patyny mosiężna statuetka. A może to tylko pot, który w żółtawym, niewyraźnym świetle przybrał kolor kruszcu? Nie, przecież widzę wyraźnie. Za Irą stoją dwa pozostałe numery, oddychają z wysiłkiem, gapią się na mnie pustym wzrokiem. Obaj także są prawie nady. Ira leniwym gestem odgarnia włosy z czoła i uśmiecha się łagodnie – niemal tkliwie. Z ust wyrывa mi się skrzek przerażenia.

Dorcia jeszcze jej nie widzi. Wciąż zanosi się mokrym kaszlem, krew płynie jej po brodzie. Długie warkocze skaczą na boki; ma bardzo piękne włosy, choć sama nie jest ładna. Dorcia skończyła dopiero czternaście lat, mogłaby jeszcze kiedyś wyładnieć, szkoda, że nie zdąży. Lecz być może nie zdążyłaby tak czy siak, bez względu na to, jak postąpi za chwilę nasza kochana, złota Ira.

Dorcia przyjechała do nas prosto z Lubeki, w ostatnich czasach to pechowe miasto – przynajmniej dla niej i dla innych dwustu pięćdziesięciorga dwojga dzieci, które tak jak i ją zaszczepiono eksperymentalną szczepionką przeciw gruźlicy (*Cud Nowoczesnej Farmaceutyki!*). Wszystkie zachorowały. Z tego, co mi wiadomo, do dziś zmarło siedemdziesiąt dwoje, ale już za chwilę – mam przecucie graniczące z pewnością i nawet fiszka z mojego futuroskopu jest tu zbędna – statystyka będzie wymagała uaktualnienia. „Tragedia lubecka zatacza kręgi”, a do tego trzy wykrzykniki. Dobry tytuł, może nie na pierwszą stronę, ale na drugą już tak. Cofam się bezwiednie o krok, tu chodnik jest bardziej grząski. Moja prawa stopa zapada się w nim aż po kostkę.

Nagle Ira błyskawicznym ruchem chwyta Dorcię za włosy (*piękne*). Widzę rozszerzone przerażeniem oczy dziewczyny, blade tęczęwki w szarym nijakim kolorze. Dorcia nie jest ładna, co zawsze było dla niej wielkim utrapieniem. Ale już nie będzie. Jej usta układają się w zaskoczony „o”. Okrągłe placki rumieńców na policzkach, okrągłe oczy, okrągłe usta. Wygląda komically, niczym postać z *cartoon story* w dodatku kinowym wyświetlanym przed właściwym seansem filmowym. Bezsensownie trzepocze ramionami jak ptak z połamanymi skrzydłami.

– Nusiu – rozbawionym, choć nieco karcącym tonem mówi do mnie Ira. – Nieładnie. Naprawdę.

Jej dłoń śmiga w górę, mdlawe światło lamp odbija się w wąskim, podłużnym ostrzu, które trzyma w złotych palcach. Wzdycham głośno – znam ten przedmiot. Brzytwa Adama zagłębia się w gardle Dorci i przenika je z lepkiem świstem, zupełnie jakby cięła masło, a nie ludzką tkankę. Niezwykle ostra brzytwa, Adam ostrzył ją każdego dnia rankiem – przedwcześniej też. Nienawidzę tego przedmiotu, choć sam w sobie jest wcale ładny, kosztowny, ma rękojeść wykładaną kością z kła morsa. W dodatku sama ją wybrałam i kupiłam, oczywiście za pieniądze Adama. To była nasza pierwsza rocznica, ponieważ zorientowałam się, że ten rodzaj prezentu był złowroźny i niewłaściwy, ale nikt mnie nie uprzedził. Zresztą wtedy jeszcze i tak nie wierzyłam w przesady, nie posłuchałabym. Nigdy nikogo nie słuchałam.

Przez sekundę nic się nie dzieje. Cięcie jest doskonale równe, wygląda jak cieniutka, czerwona nitka opleciona wokół szyi, niedroga ozdoba. Ira puszcza dziewczynę, odsuwa się od niej miękkim ruchem. Wtedy Dorcia odrzuca głowę w tył i szczelina się rozszerza, otwiera niczym groteskowy żabi pysk. Pod niski sufit korytarza tryska malownicza fontanna jasnej krwi – robi to wrażenie taniej sztuczki. Dorcia bulgocze, jakby ktoś wlewał do słoja gotujący się krochmal. Ten odgłos nie wydobywa się jednak z jej ust, ale prosto z rozplątanej szyi.

– No! – mówi Ira, przysuwa się znowu i ponownie wbija brzytwę w krtań dziewczyny.

Sanato kurczy się i rozszerza w gwałtownym spazmie. Kołysze się nad nami, pod nami, wokół nas. Trzeszczy, skrzypi, dudni, huczy. Nowe, zatęchłe korytarze otwierają się tam, gdzie przed chwilą widać było tylko solidne ściany; zdeptane stopnie schodów prowadzących do nieistniejących wcześniej kondygnacji budynku wyłaniają się na naszych oczach wprost z podłogi, okna zarastają tynkiem, boazerie pękają, a aorty rur kanalizacyjnych przenikają sufity.

Wytrzeszczam oczy, moje czynne płuco usiłuje odfiltrować porcję tlenu z oleistego, zgniłego powietrza. Cofam się znowu o krok, bagnisty chodnik puszcza mój bucik z niechętnym, pełnym dezaprobaty cmoknięciem. Dorcia gubi równowagę, a jej głowa, niemal oddzielona od korpusu, odchyła się groteskowo na plecy i odsłania otwarty, tryskający krwią przełyk. Jakież to myśli przebiegają teraz przez jej pozbawiony podparcia mózg? Czy wzniósłe, uduchowione i istotne? Wątpię. Prawdopodobnie poprzestaje na kontemplowaniu niecodziennej sensacji, której właśnie doświadcza. Gdy człowiek umiera, tylko to zaprzęta jego umysł, a ekspresowy fotoplastikon życiowych wspomnień to jedynie mit. Dziewczynka stoi jeszcze kilka chwil, przechyla się na bok, prostuje, przechyla w drugą stronę i nagle upada na podłogę jak worek wypełniony zgniłą, rozmiękłą cebulą. Rozlega się ciche, nieprzyzwoite beknięcie, gdy pod wpływem upadku z jej ciała uchodzi zbędne już powietrze. Ira, naga i poźłocona, z zainteresowaniem przygląda się zakrwawionemu ostrzu trzymanej w dłoni brzytwy. Udaje mi się wreszcie zaczerpnąć tchu, napelniam płuco do granic, wstrzymuję oddech na ułamek sekundy i wrzeszczę z całej siły.

Jest 25 grudnia 1931 roku, właśnie mamy Boże Narodzenie.

Ale oczywiście wszystko zaczęło się jakiś czas wcześniej.

ROZDZIAŁ I

NEL

Wtorek, 13 października 1931 roku

Wczesne godziny ranne przyniosą pewne napięcie i nie nadają się zupełnie do stosunków z osobami wyżej stojącymi i wybitnymi.

W miarę wznoszenia się słońca nad horyzont sytuacja zacznie się poprawiać. Południe dzisiejsze może przynieść powodzenie w sprawach dotyczących sztuki i miłości, a także w interesach, w zakładaniu nowych przedsięwzięciach, w załatwianiu spraw urzędowych oraz w nabywaniu ozdób.

Należy jednak zachować pewną ostrożność, gdyż godzina 16-ta niesie obietnicę rozczarowań i podstępów, a po godzinie 18-tej również nieoczekiwanych niepokojów. Dopiero koło godziny 21-ej zaznaczy się zmiana na lepsze połączona z dobrym humorem i wzrostem zainteresowań artystycznych.

Dnia dzisiejszego szczególnie strzec się należy: barwy fioletowej, agatów, kwiatów purpurowych, kruszców fałszywych jak tombak, osób o rudych brwiach i rzęsach oraz dużych maszyn.

Obracam w palcach fiszkę, którą podała mi Nel, i nie bardzo wiem, co powiedzieć.

– I co uważasz? – pyta podekscytowana. – Przednie, nie sądzisz?

Fiszka ma rozmiar karty wizytowej, wydrukowana jest na sztywnym kremowym kartonie, na jakim lepsze sklepy drukują zdawkowe pozdrowienia i ślą je wraz z rachunkami opieszalym, ale szanowanym klientom. Odkładałam kartkę na blat stolika obok spodka, na którym stoi moja filiżanka.

– Oryginalne – stwierdzam po krótkim namyśle.

– Och, doprawdy! Przecież to tylko zabawa, nie róbże takiej cierpkiej miny – parska śmiechem Nel. – Futuroskopy to teraz prawdziwy szal w Warszawie, sama znam co najmniej trzy osoby, które regularnie z nich korzystają. Sądziłam, że cię to nieco rozerwie.

– Dziękuję. Rozrywa mnie ostatnio coś innego – odpowiadam z wyszukaną uprzejmością.

– Doprawdy? – ożywia się Nelka. – A cóż takiego? Czyżby może... Czy masz na myśli...

Och!

Milknie i wyraźnie zmieszana spogląda w las widoczny za barierą werandy. Sądziłam, że wywołam złość, a najwyraźniej sprawiłam jej przykrość. Natychmiast odzywają się we mnie wyrzuty sumienia. Dlaczego jestem wobec niej złośliwa? W końcu przyjechała tu, a nie musiała, bo przecież nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliskie. Nie mogę powiedzieć, żebym Nel nie lubiła, ale też nie darzyłam jej jakąś wyjątkową sympatią. Wydawała mi się trochę płytka. Może się jednak myliłam?

– Wybacz mi – mówię i uśmiecham się do niej. – Nie jestem zła na ciebie, tylko na to...

Wiesz.

– Chyba wiem. Wyobrażam sobie, że musi być ci... Wam trudno. Potrafię to zrozumieć lepiej, niż mogłabyś przypuszczać.

Przez krótką chwilę przygląda mi się z powagą, ale jej twarz szybko rozjaśnia się w uśmiechu.

– I co myślisz? – pyta, wskazując palcem prezent, który mi przywiozła.

Futuroskop ma rozmiary średniego humidora. Zrobiono go z drewna palisandrowego,

choć z pewnością to jedynie fornir. Skrzyneczka wspiera się na czterech kulistych nóżkach i w przeciwieństwie do szkatuły na cygara nie ma wieka, lecz wąską szczelinę we frontowej ścianie otoczoną wpuszczoną w drewno złotą nitką. To jedyna ozdoba, przedmiot jest zaskakująco nowoczesny – szczególnie jak na rzecz „magiczną”. Ruchomym elementem obudowy jest tylko okrągły, wypukły przycisk obok szczeliny, wykonany z białego bakelitu imitującego kość słoniową i przypominający włącznik w podstawie lampy elektrycznej.

– Jak się go otwiera? – pytam, przysuwając skrzynkę do siebie.

– Wcale! – wyjaśnia Nelka sztucznie ożywionym tonem. – Na tym polega sztuczka.

Działa tylko rok, a potem jest już do niczego.

– Rok?

– Są też ponoć futuroskopy pięcioletnie, ale nie widziałam takiego na własne oczy. Z pewnością muszą być nieco większe. Takie jak ten zawierają trzysta sześćdziesiąt pięć kart z wróżbami, po jednej na każdy dzień.

– Wystarczy więc nacisnąć klawisz trzysta sześćdziesiąt pięć razy, aby opróżnić futuroskop. – Wzruszam ramionami. – Przy odrobinie dobrej woli zajęłoby to godzinę, a nie cały rok.

– Kiedy właśnie tak postąpić nie można i w tym sedno triku! Ten przycisk wcale nie powoduje wysunięcia się karty, nie wiem właściwie, po co go zamontowano. Aparat działa zupełnie inaczej. Zobacz.

Nela podnosi skrzynkę i obraca ją do góry dnem. Pośrodku podstawy sterczy małe mosiężne skrzydełko, takie samo, jakim nakręca się sprężynę pozytywki.

– Widzisz? Gdy otrzymasz wróżbę na dany dzień, nakręcasz futuroskop. Dzięki temu dostaniesz kolejną, ale dopiero po dwudziestu czterech godzinach. To mechanizm zegarowy. Czy to nie zabawne?

– Zabawne.

Obok kluczyka naklejony jest prostokątny bilet:

Wiedeńskie Towarzystwo Astrologiczne w Wiedniu

oraz

Stowarzyszenie Magicznego Pierścienia w Hamburgu

przedstawiają najnowszy wynalazek

Pana Edmunda Hertza

Maga w stopniu Trzeciego Pierścienia

FUTUROSKOP

Przyczólek Kasandry!

Niezawodna i jedyna metoda na to, by okpić nieprzychylny Los

i wyjść cało z najbardziej podstępnych zasadzek Opatrzności.

Gwarant Powodzenia!

Skorzystaj z doświadczeń Największego Magika naszych czasów!

Przestań być ślepyim niewolnikiem Fortuny!

Odmień swe Przeznaczenie!

Poniżej mniejszym literami dopisano:

Skarg, zażaleń, a tem bardziej zwrotów nie przyjmuje się.

Odpowiedzialności nie ponosi się.

Gwarancji nie udziela się.

We wszelkich innych kwestiach pisać pod adres:

Obserwatorium Astrologiczne

Uraniastrasse 1, Wiedeń, Austria

Odpowiedzi tylko za zaliczeniem.

Przedstawicielstwo handlowe na Polskę:

Astral i S-ka, ul. Szeroki Zjazd 9, Warszawa

– Bardzo dużo wielkich liter i wykrzykników – oświadczam. – A jeszcze więcej zastrzeżeń.

– No przecież to tylko zabawka! – Nela traci cierpliwość. – Nie chcesz, wyrzuć.

– Ty też masz taki?

Nela pochyla się szybko nad stołem i upija łyk z filizanki, mrucząc coś niezrozumiale.

– Słucham?

– Miałam – odpowiada niechętnie. – Ale już nie mam.

– Sama nie wiem, czy bardziej niepokoi mnie konieczność odczytywania tych niedorzeczności, czy groźba, że mogłabym zacząć w nie wierzyć.

– To tylko rozrywka! Spróbuj. Cóż ci to szkodzi właściwie? Co ty masz tutaj do roboty?

Trafiła w dziesiątkę. Nie mam tu nic do roboty. Nic a nic – poza przeżyciem, a ten cel w mojej sytuacji jest nieco, że tak to ujmę, wątpliwy do osiągnięcia. Uśmiecham się do niej znowu i opadam wygodnie na miękką poduszkę fotela. „Cóż ci to szkodzi właściwie?”. Życiowe motto Nelki, zapomniałam o tym jej firmowym wyrażeniu. Romans, jazda na karuzeli, wydatek, skok do jeziora – cóż mi szkodzi właściwie? Słyszałam to dziesiątki razy i niemal zawsze komentowane tymi słowami sytuacje kończyły się dla Neli niefortunnie. Ale cóż jej to szkodzi?

W końcu należy do jednej z najbogatszych rodzin, jakie znam. Jeśli tylko nie skręci karku, to z każdej innej opresji wykupi się bez trudu.

– Dziękuję – mówię.

Nelka wzrusza ramionami, rzucając mi krótkie, badawcze i nieco niespokojne spojrzenie spod długich rzęs. Trwa ułamek sekundy, prawie go nie zauważam. Prawie.

– Ładnie tu – stwierdza Nela, odwracając oczy.

– Bardzo.

Popołudniowe słońce oświetla główną werandę Sanato i długi pomost do leżakowania, jeden z trzech, które wcinają się głęboko w gęsty las za głównym budynkiem. Ten jest najdłuższy, mówimy o nim „molo”. Szeroka drewniana kładka wiodąca donikąd, a na niej rząd prostych, zaskakująco wygodnych leżaków wymoszczonych płóciennymi poduszkami w bladioróżowe bądź szaro-turkusowe pasy. Dwa pozostałe pomosty – molo zachodnie i molo wschodnie – są znacznie węższe i krótsze, służą raczej przechadzkom lub ucieczce przed słońcem, gdy południowe światło nazbyt mocno ogrzewa środkową kładkę. Malownicze miejsce, takie, jak je opisano w barwnym folderze reklamowym. „Piękne widoki kojące duszę”. Dostają już od nich wysypki, a jestem tu zaledwie cztery miesiące. Niektórzy mieszkają w Sanato całymi latami.

MY jesteśmy tu cztery miesiące – poprawiam się w myślach po krótkiej chwili.

– I cóż WY tu porabiacie? – pyta Nela, kładąc, jak mi się wydaje, specjalny nacisk na to „wy”, zupełnie jakby zajrzała mi do głowy.

– To, co widać – odpowiadam. – Spacerujemy, jemy, leżymy i oddychamy. Oddychamy przede wszystkim.

– No tak. Ale są tu chyba rozrywki? W końcu to Zakopane. Muszą jakieś być!

– O, zdziwiłabyś się.

– A jak... – Nela skubie nerwowo krawędź serwety leżącej na stoliku. – Wiesz, jak się czujesz? To znaczy, jak się czujecie? Jak Adam?

– Bez zmian.

– Ale chyba jest jakaś poprawa? Musi być!

– Zdziwiłabyś się – powtarzam zgryźliwie.

– Przecież was tu leczą!

– Nelciu, zmieńmy temat, proszę.

– A Adam?

– Żyje, jest. Chodzi, mówi, je i pije. I oczywiście oddycha.

– Całe szczęście, że możecie być tu razem...

– Nie możemy, ale musimy. Gdyby nie on, nigdy by mnie tu nie było!

– Przecież jest twoim mężem. Nawet gdybyś ty nie miała... Gdybyś nie zachorowała, przecież chciałabyś być tu przy nim? Prawda? Ja bym chciała z pewnością! Gdybym miała męża.

– Moja droga, małżeństwo dużo ładniej się prezentuje oglądane zza stołu podczas przyjęcia, niż wtedy, gdy patrzysz na nie od środka. Ale zdecydowanie wolałabym mówić o czymś innym. Co w Warszawie?

– Och. Nic nowego. Ale tyle się dzieje! – wykrzyknęła z ulgą Nela, rozpromieniona w jednej sekundzie, bo i ją wyraźnie zmęczył niewygodny temat. – Wyobraź sobie, Sabniewscy wprowadzili do towarzystwa średnią córkę. Pamiętasz ją może? Taka blada.

– Sabniewscy? – Nazwisko brzmi znajomo, ale trudno mi połączyć je ze wspomnieniem twarzy.

– Ich syn zaręczył się z Drohobiczówną, musisz pamiętać! To był taki śliczny skandal! Drohobicz – upewnia się Nela. – Taki płaski, wymuskany i gładki jak obrany migdał. Aksamitny szczur? Pamiętasz teraz?

Sabniewscy, Drohobicze... Choć minęło zaledwie kilkanaście tygodni, mam wrażenie, jakby mówiła o mieszkańcach Atlantydy. Bo dla mnie to przecież była Atlantyda, a ja sama byłam jej częścią. Całe wieki temu.

Nela papie dalej, śmieje się szczerze, bo jest zabawna. Złośliwa oczywiście, ale nie bardziej, niż ja bywałam. Nie bardziej, niż bywają wszyscy Atlantydzi.

Słońce stoi wysoko ponad linią drzew, lecz powietrze jest rześkie, wyraźnie już jesienne.

Niebawem nastanie zima, tu, w górach, przychodzi wcześniej. Ponoć to najlepszy czas dla mieszkańców Sanato, choć ja niespecjalnie cieszę się na krótkie dni i mrozy. Lecz jeśli spadnie naprawdę duży śnieg, molo zostanie zamknięte; to jedyna pociecha.

Po piątej, krótko przed kolacją, Nela postanawia wracać do Krakowa. Odprowadzam ją do klombów za podjazdem, zabieram futuro skop ze sobą. Nie jest ciężki.

– Dziękuję, że przyjechałaś – mówię, gdy stajemy obok czarnego auta, czekając na szofera, który gna już w naszą stronę od bocznego wejścia.

Sadząc długimi susami przez wysypaną żwirem alejkę, dopina w biegu guziki. Przyglądam mu się obojętnie i nagle czuję piekącą nienawiść. Kiedy ja mogłam tak pędzić? Śmieszne, przecież to tylko jakiś marny szoferak, porównuję się z kimś takim. Gdy podbiega bliżej, widzę, że ma zaskakująco harmonijne rysy twarzy i jest wyjątkowo przystojny.

– Śliczny, prawda? – rzuca półgłosem Nela, a ja ponownie mam wrażenie, że czyta w moich myślach. – Ma takie mocne ramiona...

Zdawało mi się, że już nic mnie nie może zaszokować, a jednak byłam w błędzie. Pomijając majątek, rodzina Nelki posiada herb, w dodatku pokryty odpowiednią patyną. Dziewczyna robi bezczelne perskie oko na widok mojej miny, unosi lekko rudawe brwi i wzrusza ramionami.

– A cóż mi to szkodzi właściwie? Nie zapomnij go nakręcać, to bardzo ważne – lekko dotyka futuroskopu dłonią obciążoną w miękką koźlącą skórę barwioną na kolor fiołków.

Szybko cofa rękę, a ja przypominam sobie o drewnianej skrzyneczce, którą ściskam pod pachą.

– Ach, tak... – Nie mogę oderwać oczu od szofera, który podbiega do nas i z nieco bezczelnym, łobuzerskim uśmiechem otwiera drzwi auta przed Nelką. – Mówiłaś, że ty już nie masz swojego futuroskopu?

– Nie, nie mam. – Nela zgrabnym gestem zdejmuje kapelusz, z nonszalancją wrzuca go do wnętrza auta, wsiada i mości się na skórzanym kanapie.

W srebrnym uchwycie tuż obok okna tkwi szklany flakon ze wspaniałym purpurowym narcyzem. Kwiat wygląda na sztuczny, ale dostrzegam wodę, którą do połowy wypełniona jest fiolka. Nie wstawiono by przecież jedwabnego czy papierowego kwiatu do wody.

– Zepsuł się? Czy przepowiednie się wyczerpały? – pytam.

– Och, nie. Wiesz, nie miałam głowy do tego, tylko się u mnie marnował – mówi szybko Nela. – Oddałam go.

Dopiero po pewnym czasie domyślę się komu.

Auto odjeżdża. Spod szerokich opon strzela żwir, jeden z kamyków boleśnie uderza mnie w kolano.

Nela odwraca się i patrzy na mnie przez owalne tylne okno. Widzę jej jasną twarz otoczoną miedzianymi falującymi włosami – na tle ciemnego wnętrza auta wygląda jak oddzielona od ciała. Maria Antonina. Unoszę rękę i macham na pożegnanie, ale nie odwzajemnia gestu. Przygląda mi się tylko poważnym wzrokiem, ze zmarszczonymi brwiami i ustami zaciśniętymi w wąską kreskę. Po chwili samochód skręca i znika między drzewami. Opacznie biorę to spojrzenie za wyraz troski o mnie i dochodzę do wniosku, że Nel nie jest wcale płytka, a może jedynie trochę lekkomyślna. Daleki warkot motoru cichnie coraz bardziej i wreszcie milknie. Cisza spada na mnie jak kamień i robi mi się chłodno.

Wolnym krokiem ruszam w stronę głównego wejścia. Sanato wznosi się przede mną ciemną bryłą – o tej porze słońce oświetla pomosty do leżakowania, front jest ocieniony. Choć sanatorium zostało zbudowane zaledwie dwadzieścia lat temu, zdecydowanie nie jest – jak by to ujęła Nel – *modern*. Fasada nie trzyma nawet charakteru minionego fin de siècle’u ani któregośkolwiek z modnych dawniej stylów „neo”. Szeroki, prostokątny budynek sprawia wrażenie kloc-

ka ozdobionego na siłę doklejonymi balkonami, pilastrami fałszywych kolumn i nieproporcjonalnie wysokim, łamanym dachem piątej kondygnacji z dwiema przysadzistymi mansardami po lewej i prawej stronie. Elewacja otynkowana jest tylko do wysokości pierwszego piętra, a powyżej, aż do krawędzi dachu, czerwienią się cegły – rozpaczliwa próba ratowania proporcji gmachu, która o tej porze dnia, gdy fronton tonie w mroku, traci nawet pozory celowości.

Przystaję na krawędzi cienia rzucanego przez Sanato, przekładam futuroskop pod drugie ramię i szczerzej owijam się szalem. Gdyby sfotografować ten kompleks z powietrza, objawiłby swój prawdziwy kształt topornego trójzębu, którego podstawę stanowi główny budynek, ostrza – skierowane na południe drewniane pomosty wbite w lasy porastające gęsto górskie zbocze, natomiast rękojeść – długi, prosty zwirowany dziedziniec prowadzący do wejścia. Jak mogę oczekiwać, że poczuję się tu lepiej, skoro to miejsce działa na mnie tak przytłaczająco?

Nabieram tchu – na tyle, na ile pozwalają mi płuca – i wkraczam w cień Sanato. Niemal w tym samym momencie rozlega się słaby gong informujący o tym, że obiad zostanie podany za kwadrans. Piętnaście minut to czas dla nas, byśmy zdążyli się przebrać i przygotować do posiłku – jednego z pięciu, które nam tu serwują każdego dnia. To też mnie przygnębia, ten przymus bezustannego jedzenia, zupełnie jakbyśmy byli tuczeni, a nie karmieni. Taka dieta nie przynosi żadnej poprawy, tylko ociężałość. Przybrałam na wadze, niebawem będę musiała prosić o sprowadzenie krawcowej. Sami sobie przysparzają pracy, bo obsługa ma większy kłopot z wyprowadzaniem zwłok. W Sanato nie zainstalowano wind, nieboszczyków trzeba wynosić po schodach.

*

Okna naszego pokoju i należący do niego fragment długiego balkonu wychodzą na południe. Przez pierwsze dni pobytu w Sanato odruchowo zaciągałam wieczorami story, ale przecież to zbyteczne. Balkony są podzielone parawanami i tylko akrobata mógłby się przez nie prze dostać, by zajrzeć do pomieszczenia; a któż mógłby nas podglądać z dworu? Sarny i wiewiórki? Jedyne, co widać z okien, to wznoszące się stromo zalesione zbocza – zatrzymaną w biegu czarnozieloną falę. Gdy wiatr kołysze koronami świerków, oglądane z oddali lasy naprawdę wyglądają jak zastygłe morze, a Sanato staje się okrętem, którego wąski drewniany dziób, oświetlony bladymi lampami elektrycznymi, z bezsensowną, otwartą rotundą na krańcu, nieustannie próbuje się wspiąć na niebotyczny grzbiet czarnej fali. Z każdym dniem oddalamy się od naszej Atlantydy. A co stanowi cel tej podróży? Nie ma powrotu, przed nami królestwo Hadesu. Może Styks jednak nie jest rzeką, lecz morzem? W naszych czasach wszystko staje się coraz większe, nic zatem dziwnego, że Charon zamienił łódź na liniowiec, a drugi brzeg Styksu ginie za horyzontem... Boże święty, czy te pretensjonalne rozważania naprawdę urodziły się mojej głowie? Najwyraźniej cofam się w rozwoju umysłowym. Oszaleję tu. A wtedy perspektywa ozdrowienia (*cuda się zdarzają*) nagle stanie się przerażająca.

Siadam na łóżku, które ma zbyt twarde materac i którego sztywne prześcieradła – choć dobrego gatunku – kojarzą mi się ze szpitalną pościelą. Obracam futuroskop i nakręcam sprężynę mechanizmu zegarowego, bo „cóż mi to szkodzi”. Przykry metaliczny trzask obracających się we wnętrzu pudełka kółek zębatych brzmi jak seria strzałów. Powinniśmy sprawić sobie radio, by jakoś zmącić tę martwość, ale po pierwsze, od dziesiątej obowiązuje tu cisza nocna, a po drugie – i ważniejsze – do Sanato z rzadka tylko dociera sygnał rozgłośni. Patefon mógłby być rozwiązaniem, ale trzeba by wydać majątek na płyty.

Adam wciąga piżamę za płócienną zasłoną, która wydziela kąć umywalni – ten szorstki szelest kojarzy mi się z odgłosem pełzania. Zupełnie jakby po leśnym poszyciu czołgał się pokryty ostrą sierścią wąż – dlaczego nie? Jeśli teoria Darwina jest prawdą (w co wierzę, bo trafia do mnie jej logika), to droga rozwoju gatunków musiała zakręcać miliardy razy, a większość odbie-

gających od niej bocznych ścieżek wiodła na manowce. Kreationizm tego nie dopuszcza, według niego koncepcja porośniętego sierścią węża byłaby herezją – ta myśl spodobałaby się Jankowi. Zasłona rozsuwa się gwałtownie przy wtórze głośnego hurgotu mosiężnych kółek, a ja mimowolnie podskakuję z przestachu. Naciągnięta sprężyna futuroskopu jęczy ostrzegawczo. Adam w grafitowej jedwabnej piżamie idzie prosto w stronę swojego łóżka.

– Nie chodź boso – mówię. – Tyle razy cię prosiłam.

Bez słowa odgarnia pled rozścielony na materacu, starannie składa go w kostkę. Przymykam na ułamek sekundy powieki i nosem wciągam powietrze. Otwieram oczy i wypuszczam powietrze ustami. Adam odgarnia kołdrę, prostuje się, rzuca złożony pled na podłogę i siada na prześcieradle. Mało zostało z tamtego mężczyzny, który uporczywie przysyłał mi... Co to było? Ciastka? Kwiaty? Marszczę czoło i próbuję sobie przypomnieć. Nasz ślub odbył się dwa lata temu, Adam starał się o mnie ponad rok. Wszystko działo się tak niedawno, ale mam wrażenie, że usiłuję przywołać z pamięci opowieść zasłyszaną w dzieciństwie, a nie własne wspomnienia.

Mój mąż splata dłonie między rozsuniętymi kolanami, wbija wzrok w „perski” dywan, którego fałszywe pochodzenie zdradzają zbyt wyraziste desenie i krzykliwe barwy. Oddycha przez usta, co nadaje jego pociągłej, zapadniętej twarzy nieco gapiowaty, dziecinny wyraz. Nagle odchrząkuje raz i drugi, a potem zanosi się mokrym, szlamiastym kaszlem. Wciąż kaszłąc, otwiera szufladę nocnego stolika i wyjmuje z niej flakon sopluczkę. Sprawnym ruchem odkręca korek i unosi płaską butelkę do ust. Odwracam głowę. Identycznym gestem sięgał kiedyś po pierśiówkę, z którą nigdy się nie rozstawał. Dopiero po ślubie zorientowałam się, że od początku naszej znajomości wciąż był na lżejszym bądź solidniejszym rauszu, a ja nigdy nie miałam okazji się przekonać, jakim jest człowiekiem, gdy nie pije. Wytrzeźwiał podczas miesiąca miodowego, co przyniosło mi nieoczekiwane, a znaczące rozczarowanie jego osobą. Nie, nie mam na myśli tego, że pod wpływem alkoholu Adam staje się bardziej rubaszny, błyskotliwy i skłonny do śmiechu (*choć taki wówczas jest*). Picie dodaje mu siły, bez tego wspomaganie słabnie. Mężczyzna powinien – nawet w naszych szalonych czasach – stanowić opokę małżeństwa, a nie być biernym pasażerem, który bez sprzeciwu oddaje ster w ręce kobiety. Szczególnie tak młodej jak ja, choć akurat samodzielnej, bo zajmowałam się interesami rodziny od śmierci ojca tuż po moich szesnastych urodzinach. Może to go do mnie przyciągnęło? Moja niezależność? Tyle że mnie samą męczyła. Wychodząc za mąż, liczyłam na ulgę, ale nic się nie zmieniło. Straciłam jedynie dziewictwo, co okazało się znacznie mniej istotne, niż sądziłam wcześniej, i raczej mniej zajmujące, niż sugerowały moje bardziej doświadczone koleżanki.

Adam zakręca sopluczkę i odkłada ją na blat nocnej szafki. Kładzie się, owija szczelnie kołdrą (*w pokoju jest zimno*). Odwraca się plecami do mnie, twarzą do ściany.

– Dobranoc – mówię.

Milczy, a po dłuższej chwili mruży coś niezrozumiale pod nosem i wzdycha. Odstawiam futuroskop na komodę i staję przed oknem. Przez rzadką siatkę firany widzę swoje niewyraźne odbicie w szybie, za którą panuje nieprzenikniona ciemność, bo lampy oświetlające molo są stąd niewidoczne. W złotej japońskiej piżamie ozdobionej czerwonymi makami wyglądam nieco jak cyrkowy błazen, lepsza byłaby staroświecka koszula nocna, choćby i z obrębionymi koronką falbanami... Ale po co właściwie? Nikt poza Adamem nie ogląda mnie w stroju do spania, a on przecież mnie już nie dostrzega. Poza tym piżamy są znacznie wygodniejsze i cieplejsze. Oczywiście jest mi przykro. Czuję do niego zarazem tliwość i niechęć; budzi moją złość, ale i troskę. Trująca mieszanka, tym gorsza, że bardzo się pilnuję, aby nie poznał tych uczuć. Boję się, że mogłoby to go popchnąć do jakiegoś ostatecznego kroku. Wiem, że już go rozważał i być może wciąż bawi się myślą o tym, by skończyć ze sobą. Gdyby pił, byłoby lepiej, ale – choć w określonych dawkach alkohol jest wręcz zalecany przez lekarzy pacjentom takim jak my – Adam już po

niego nie sięga. Podejrzewam, że w ten sposób sam siebie karze, odmawiając sobie czegoś, co tak lubi – to on zachorował pierwszy. Gdyby zdecydował się zasięgnąć mojej opinii, miałabym co najmniej setkę pomysłów na ciekawsze rodzaje pokuty dla niego, ale niestety nie umie o tym ze mną mówić. Wiem, zadręcza się poczuciem winy, że przez niego zachorowałam, ale nie zdaje sobie sprawy, że to jego poczucie winy wyczerpuje mnie mocniej i szybciej niż choroba, która zjada moje płuca. Można by odnieść wrażenie, jakbym to ja była wszystkiemu winna – on zachowuje się jak ofiara. Wolałabym nie być tak wyrozumiała, wolałabym nie pojmować, co naprawdę kryje się za jego postawą – mogłabym sobie, do diabła, na to pozwolić, dopiero co skończyłam dwadzieścia jeden lat! Wciąż jestem młoda, mam prawo nie wiedzieć i pozwalać sobie na skrajne oceny, widzieć tylko białe i czarne, bo takie są przywileje młodości! Mogłabym wtedy go znienawidzić i odrzucić współczucie, co z pewnością byłoby dla mnie korzystniejsze. Zdażyłam się już przekonać, że nienawiść daje więcej siły niż miłość, a na złości można dalej zajechać niż na dobroci. Tyle tylko, że ja, niestety, rozumiem, dlaczego Adam jest taki, jaki jest. A co gorsza, nadal go kocham, choć może w moim uczuciu więcej jest dziś popiołu niż ognia.

– Śpij dobrze – mówię więc jakby nigdy nic, a potem sama się kładę i okrywam kołdrą, choć wcale nie czuję senności.

ROZDZIAŁ II

CHARON

Środa, 14 października 1931 roku

Już po godzinie 9-tej możemy być narażeni na jakieś zawody, złudzenia rozwiane lub też zetknięcie się z ludźmi niezasługującymi na zaufanie, którzy zapragną wykorzystać naszą łatwość.

Wprawdzie gorszy nastrój, który może się zaznaczyć koło godziny 11-tej, później ustąpi, ale na ogół dzień nie nadaje się do załatwiania spraw ważnych. Wkrótce przed godziną 13-tą będzie się manifestować nowa dysharmonijna passa życiowa, która może nas narazić na nieoczekiwane niepokoje, zawody, nieporozumienia z obcymi.

Wieczorem ujemne działania wpływów kosmicznych nieco osłabną, jednak zły nastrój towarzyszyć nam będzie do późnych godzin.

W dniu dzisiejszym wystrzegać się należy: barwy szarej i błękitnej, pereł, pomieszczeń wielokątnych, poddaszy i facjat, ścieżek leśnych, osób nadmiernie ożywionych oraz ptaków, ze szczególnym uwzględnieniem tych drobniejszych.

Wyjmuję termometr z ust i odkładam go na tackę zostawioną przez pielęgniarkę na stoliku. Leży już na niej termometr Adama – wiem, że ma wysoką gorączkę, ale i tak nie dowiem się jaką, bo nasze termometry to ślepaki – nie mają podziałki, niezbędny do odczytania wskazań urządzenia szablon znajduje się w pokoju pielęgniarek. Nie do końca rozumiem ten obyczaj, prawdopodobnie ktoś kiedyś manipulował swoim miernikiem, obniżając bądź sztucznie podnosząc słupek rtęci. Ale czemu miałyby to służyć? Być może ten ktoś chciał, aby wszyscy sądzili, że zdrowieje, a być może przeciwnie – zdrowiejąc, chciał stworzyć pozory postępującej choroby. Cóż mnie to zresztą obchodzi? Właściwie to nawet korzystne, gdybym gorączkowała silniej niż zazwyczaj, cóż dałaby mi taka informacja poza przestрахem? A co by mi dało, gdybym wiedziała, że silniej gorączkuje Adam? Nic z tym nie mogę zrobić. Jeśli będzie naprawdę źle, do akcji wkroczą pielęgniarki i doktorzy. Albo ksiądz. Być może o to właśnie chodzi, dlatego termometry są ślepe – niewiedza bywa błogosławieństwem.

Z grymasem niechęci na twarzy ponownie odczytuję drobny druk wróżby. Nie dziwi mnie, że Nel rozstała się ze swoim futuroskopem – co to za przyjemność czytać takie przepowiednie? Czy nie powinny raczej dopingować człowieka do opuszczenia łóżka, niż go do tego zniechęcać? Jedno, co słuszne w tej wróżbie, to zapowiedź zawodu późnym rankiem. Mija właśnie dziewiąta i rzeczywiście odczuwam rozczarowanie – zapowiedzią, którą wypłuł z siebie futuroskop. Poza tym mechanizm urządzenia jest najwyraźniej zepsuty. Nel twierdziła, że po nakręceniu sprężyny kolejna karta wysunie się z futuroskopu po dwudziestu czterech godzinach, a tymczasem dziś fiszka pojawiła się w chwili, gdy wróciłam ze śniadania i dokończyłam poranną toaletę. Karta została więc uwolniona po zaledwie siedmiu godzinach. Drę fiszkę na kawałki i po krótkim namyśle nakręcam urządzenie ponownie – jeśli rzeczywiście jest uszkodzone, następna wróżba pojawi się przed wieczorem, a ja z czystym sumieniem będę mogła wyrzucić to pudło.

Zmieniam brązowe wełniane pończochy na jedwabne, zarzucam żakiet, wychodzę na korytarz i po pięciu minutach jestem w zachodniej części Sanato, piętro niżej. Adam czeka już pod gabinetem Cherona, czyli naszego głównego doktora Horacego Klitowicza. Klituś Bajduś, jak

mawia o nim Janek, lokator pokoju numer 48 na drugim piętrze. Na ogół to przezwisko budzi moją wesołość, ale nie teraz. Adam jest blady jak wosk, a plamy chorobliwych rumieńców tylko podkreślają szary odcień jego skóry. Tuż pod linią starannie zaczesanych na prawy bok ciemnych, gęstych włosów, tuż pod kreską idealnie prostego przedziałka dostrzegam kropelki potu. To objaw wyższej niż zazwyczaj gorączki albo zdenerwowania. Chyba jednak zdenerwowania – Adam ciasno zawiązał krawat pod kołnierzem śnieżnobiałej koszuli, tu na ogół rezygnuje z tego elementu garderoby, którego szczerze nie cierpi. Być może boi się rozmowy z Klitowiczem lub też wiąże z nią wielką nadzieję. Jedno i drugie jest pozbawione sensu. Adam nie ma szans na wyzdrowienie. Jestem tego świadoma, ale i tak się łudzę, że jest inaczej, i gdy tylko mogę, karmię nadzieją także jego. Poza szczęściem i wrodzoną siłą organizmu do wyzdrowienia potrzebne są wola i pragnienie, a tych Adamowi brak. Bardzo chciałabym się mylić, wiem jednak, że raczej prędzej niż później zostanę wdową. To nieoczekiwane przemyślenie, po raz pierwszy tak jasno sprecyzowane, wywołuje we mnie niemal szok. Uśmiecham się więc do Adama pospiesznie i sztucznie wesołym, rozświergotanym głosem prawie wykrzykuję:

– Gotowy? Wyglądasz doskonale! Niesłychanie ci, mój drogi, do twarzy w tym krawacie, no, doprawdy!

Pukam w matową szybę przeszklonych drzwi. W gabinecie rozlegają się szybkie kroki, trzask zamykanej szuflady, szelesty, a po kilkunastu sekundach doktor prosi nas do środka. Naciśkam wytartą mosiężną klamkę.

*

Klituś siedzi za szerokim biurkiem, którego narożniki są zaokrąglone – aerodynamiczne, choć raczej trudno się spodziewać, aby mebel kiedykolwiek musiał w przyspieszonym tempie pokonywać opór powietrza i szybować w przestworzach. Od paru lat wszystko musi być aerodynamiczne, wyoblone i gładkie niczym napoczęta kostka mydła. To tylko moda wywołana odkryciami aeronautycznymi i motoryzacyjnymi, zdaję sobie z tego sprawę. Jednak stosowanie rozwiązań istotnych podczas konstrukcji pojazdów przy projektowaniu mebli czy sprzętów domowych pozbawione jest sensu. Stanowi jedynie pustą dekorację – drażni mnie ta absurdalność, a także to, że sama nie potrafię oprzeć się tej modzie. Wiosną wymieniliśmy odbiornik radiowy na ebonitowy, przypominający kształtem maskę samochodową, choć poprzedni philips spisywał się znakomicie. Zdawałam sobie sprawę, że to przejaw próżności, ale i tak byłam zachwycona.

Na orzechowym lśniącym blacie biurka stoi lampa przypominająca odlany ze stali grzyb, obok leżą równiutko ułożone zielone i kremowe teczki z historiami chorób pensjonariuszy (*zielone należą do mężczyzn, kremowe – do kobiet, tych ostatnich jest nieco mniej*). Perłowe pióro wieczne wbite w okrągłą podstawkę, obok suszka i kałamarz zakamuflowany w drugiej kuli. Przed biurkiem dwa krzesła. Czy to je właśnie ustawiał Klituś z takim pośpiechem? Za biurkiem nasz Cheron. Dobroduszny, nieco rubaszny, rumiany, z twarzą okoloną miękкими, białymi bokobrodami, z gładko zaczesaną do tyłu posiwiałą, przerzedzoną czupryną. Ileż on może mieć lat? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Klituś należy do mężczyzn, którzy osiągają ostateczny wygląd w wieku lat dwudziestu i cieszą się nim do późnej starości, nie przechodząc istotniejszych zmian fizycznych. Z punktu widzenia człowieka młodego sytuacja oczywiście mało fortunna, za to z punktu widzenia dojrzałych – godna zazdrości.

Klitowicz zaplata serdelkowate palce rąk tuż nad wystającym, okazałym brzuchem, przechyla lekko głowę z dobrotliwym krzywym uśmieszkiem i mruga zza złączonych drutem szkielec, które tkwią na jego nosie. Janek twierdzi, że w tych okularach nawet sypia, a ja jestem pewna, że gdybym kiedyś zobaczyła naszego doktora bez nich, nie poznałabym go.

Gabinet jest przestronny, jasny. Ściany, wymalowane białą farbą w leciutkim gołębie-

bieskim odcieniu, ozdabiają beżowe, proste, geometryczne desenie oraz liczne barwne kartonowe tablice. Nagie kobiety ze starannie ułożonymi włosami i mężczyźni z elegancko przystrzyżonymi brodami i wąsami wpatrują się w przestrzeń z melancholijnym, a w kilku przypadkach figlarnym uśmiechem. Ich ciała są rozplątane, wewnętrzne organy odsłonięte. Rozłożone ręce i dłonie zwrócone wewnętrznymi stronami do widzów nasuwają nieprzyzwoite skojarzenie z gestami żydowskich handlarzy nakłaniających klienta do kupowania wyłożonych na straganie towarów. Serce, wątroba, nerki. Podkreślona chabrową farbą delta żył i naczyń krwionośnych. I oczywiście płuca – przeżarte, ziejące otchłaniami ropiejących jam gruźliczych, serowate, pokryte plamami, bliznami i obsypane mrowiem szarych gruźelków (*wielkości ziaren prosa*), a także – dla porównania – zdrowe, różowe, jędrne i zachęcająco soczyste niczym smakowite kawałki mięsa wyłożone na wystawie u rzeźnika. Nie widać genitaliów mężczyzn, kobiety poniżej pępka budową przypominają dzieci. Włosy rosną im tylko powyżej szyi. Zastanawia mnie, kim byli ludzie, którzy użyczyli twarzy tym martwym ciałom. Czy ich rysy powstały jedynie w wyobraźni malarza? A może w przyływie wisielczego humoru lub z braku twórczej weny sportretował swoich bliskich – kochanki, żony, braci, przyjaciół?

Szerokie, także przeszklone drzwi, osadzone w jednej ze ścian, prowadzą do sali operacyjnej. Nie zamknął ich dziś, staram się omijać wzrokiem tamto pomieszczenie. Po obu stronach przejścia stoją metalowe białe szafki z fiolkami i słoikami aptecznymi. Pod drugą ścianą – dębowa kartoteka, a przy niej szeroka, oczywiście zaokrąglona na kantach, pokryta orzechem biblioteka. Pendant do biurka. Gdyby wyrzucić ją z najwyższego tarasu drapacza chmur, pomknęłaby ku ziemi niczym pocisk. Pod oknami stoją dwa solidne fotele kryte jasną skórą i ozdobione jedynie prostymi, zaokrąglonymi podłokietnikami w identycznym odcieniu drewna jak pozostałe elementy gabinetowego garnituru. Między nimi stolik z karafkami i kieliszkami, popielnica, humidor z cygarami i papierosami. *Très moderne*.

Siadamy na krzesłach – ja jak zwykle zajmuję prawe, Adam lewe. Po uprzejmej wymianie pozdrowień zapada cisza. Klituś sięga po pierwszą teczkę – leży na samej górze sterty, przygotował się. To karta Adama, zawsze zaczynamy od Adama. Otwiera ją, a następnie mruczając i pochrumkując bezwiednie, wczytuje się w zawartość dokumentu. Zerkam kątem oka na mojego męża – poci się mocno, krople płyną mu po czole, zatrzymują się na szerokich brwiach. Ma ładne brwi. Przygląda się swoim dłoniom opartym na udach. Odwracam wzrok.

– Hm, chrum, hm... Tak, tak – mruczy Klituś.

Pochyla się, otwiera szufladę biurka i wyjmuje zdjęcie rentgenowskie. Unosi je pod światło, obracając się w fotelu na tyle, na ile pozwala mu jego krępa sylwetka. Pochyla głowę i znad szkielec wpatruje się w uwieczniony na kliszy złowróżbny teatr cieni. To ciało Adama – moje, jak sądziłam po ślubie, a okazało się, że jednak nie całkiem, bo akurat te uwiecznione na zdjęciu partie są i pozostaną dla mnie niedostępne.

Rozumiem, na czym polega wynalazek Roentgena, choć możliwość pokazania na zdjęciu tego, czego nie widać, nadal wydaje mi się magiczna. Wiem i widzę, ale nie wierzę. Nie potrafię się utożsamiać z oglądanym na zdjęciach przezroczystym ciałem – tak powinny wyglądać astrale, a nie żyjący ludzie. Nie potrafię też oprzeć się porównaniom – zatopione w szarej galarecie kości, żebra i kręgosłup przypominają mi pozostałości zalegające na półmiskach po sutym obiedzie.

– Chrum, chrum, humpf... – chrząka Klituś, a ja nie wiem, czy odgłosy te powoduje wysiłek wkładany w zmianę pozycji spasionego ciała, czy może wiedza, którą niesie mu mgliste prześwietlenie.

Co ukrywał, gdy zapukałam? Coś nieprzyzwoitego – zdjęcia nagich kobiet, zwykłe czy rentgenowskie? A może butelkę? Nie, karafki stoją na widoku. Może więc robił coś absurdalnego i nielicującego z godnością szacownego doktora – na przykład ubierał (*rozbiierał*) lalkę lub obser-

wował przez lornetę leżakujące na moło pensjonariuszki?

Adam porusza się niespokojnie, wzdycha cicho. Już mam wyciągnąć dłoń i położyć ją w uspokajającym geście na jego ramieniu, ale rezygnuję. Strzepnąłby ją jak dokuczliwą muchę.

– Tak, tak – stwierdza Klituś, odkłada kliszę na biurko i znowu splata dłonie nad brzuchem.

Adam milczy, więc odzywam się ja:

– Czy widać poprawę, panie doktorze?

– Poprawa jest... – Klitowicz nabiera tchu, kręci młynka kciukami – bardzo nieznaczną. To znaczy, że poprawy nie ma.

– A czy jest pogorszenie?

– Pogorszenie jest – stwierdza Klitowicz.

Czekam na ciąg dalszy, ale milczy. My też. Wreszcie mówi:

– Ale proszę nie tracić nadziei. Cuda się zdarzają.

Te słowa, szczególnie w ustach lekarza, raczej nie napawają otuchą.

– Przed nami ważne decyzje – stwierdza Klituś, a mnie przed oczami staje kancelaria notarialna, podpisy świadków pod ostatnią wolą i postać księdza.

– Jakie decyzje, panie doktorze? – pytam.

– Dieta i wypoczynek nie spełniają swojej roli. Konieczny będzie ucisk płuca.

Ucisk. To było dla mnie ogromne zaskoczenie, gdy tu przyjechałam. W leczeniu ważniejsze jest ściśnięcie płuca niż uwolnienie go, a wydawać by się mogło, że gdy chory ma kłopot ze złapaniem każdego oddechu, należałoby mu to umożliwić, a nie utrudnić.

– Jamy są obszerne – ciągnie Klituś. – Ich ściany zbyt są od siebie oddalone, by ognisko mogło zaleczyć się samo.

– Co zatem można zrobić?

– W pierwszej kolejności należy je zamknąć. Być może sztuczna odma rozwiąże problem.

Tego się nie boję, wiem, co to jest sztuczna odma, i mniej więcej wiem, jak się ją zakłada.

– A jeśli odma nie przyniesie spodziewanych rezultatów? – pytam.

– Och – Klituś lekceważąco macha ręką – żyjemy w epoce medycyny, droga pani. Do dyspozycji mamy cały szereg najnowocześniejszych technik.

Oczywiście, jak mogłam sama na to nie wpaść? Klituś siedzi przed nami z bardzo zadowoloną miną, a ja wpatruję się w niego bezradnym wzrokiem. Nie mogę pozwolić sobie na zniecierpliwienie czy złość, to męczące. Czekam.

– Jakich? – pytam wreszcie, gdy milczenie się przeciąga.

– Przy braku skuteczności odmy zaleciłbym porażenie przepony – oświadcza Klitowicz, po czym wstaje całkiem rącho i rusza w stronę jednej z barwnych tablic. – O tutaj. Jeśli przerwieśmy połączenie nerwowe prowadzące do przepony, uniesie się ona w górę, zmniejszając przestrzeń klatki piersiowej i unieruchamiając płuco. Wymiana gazowa ustanie wtedy i tkanki będą mogły się regenerować.

– Czyli operacja – stwierdzam, rzucając mimo woli szybkie spojrzenie na salę widoczną przez otwarte drzwi.

– Och, drobiazg, to naprawdę drobny zabieg! – Klituś uśmiecha się jowialnie. – Znieczulenie miejscowe nowokainą. Ten zabieg nie przysparza przykrych sensacji pacjentowi. Prawie żadnych sensacji. Po odsłonięciu wiązki nerwowej należy odszukać właściwy splot, a następnie go przerwać.

Klitowicz znowu uderza palcem w planszę przedstawiającą melancholijnego, przystojnego mężczyznę z otwartą klatką piersiową. Adam porusza głową.

– Najskuteczniejsze jest wyrwanie nerwu. Splot wraz z gałązkami zostaje wyszarpięty

z ciała na odcinku około piętnastu centymetrów i usunięty, co prowadzi do trwałego porażenia przepony.

– Trwałego porażenia przepony – powtarzam i oblizuję usta. – Czy to nie jest groźne?

Dlaczego w tym pokoju jest tak mało powietrza? Czuję, że i na moim czole perli się pot. Ocieram go wierzchem dłoni.

– Uch... – Klituś lekceważąco macha ręką. – Nieznacznie. Chory niemal nie odczuwa bólu. W dalszej perspektywie może nastąpić niewielkie przemieszczenie się żołądka, ale nie ma to absolutnie żadnego wpływu na jego funkcjonowanie. Oczywiście istotne jest, aby zabieg został przeprowadzony przez doświadczonego operatora, bowiem wyodrębnienie nerwu przeponowego wymaga sporej praktyki, jednak w tym przypadku nie ma powodu do zmartwienia.

Spoglądam na krótkie, otłuszczone palce lekarza.

– Przeprowadzenie tej operacji gwarantuje wyleczenie? – upewniam się.

– Cóż... – Klituś wraca i siada za biurkiem. – Jeśli i ten zabieg nie da zadowalającego rezultatu, warto spróbować torakoplastyki. Jest bardziej pracochłonna, lecz prosta. Polega na jednostronnym rozłupaniu żeber przy kręgosłupie, co prowadzi do bocznego zapadnięcia się klatki piersiowej i ograniczenia jej objętości, a tym samym do uciśnięcia płuca.

– To... – kręci mi się nieco w głowie, uświadamiam sobie, że w gabinecie Klitowicza panuje znacznie wyższa temperatura niż w pozostałych pomieszczeniach Sanato. – Wydaje mi się, że to bardzo poważna operacja.

– Pani zbladła – stwierdza Klituś.

Nalewa mi kieliszek koniaku. Unoszę go szybko do ust i upijam łyk. Formalina. Przechodzi mnie dreszcz i odstawiam kieliszek.

– Nie będę ukrywał – oświadcza Klitowicz – że dochodzenie do siebie po torakoplastyce jest długotrwałe. W pierwszych dniach niezbędna jest pomoc pielęgniarska przy odkasływaniu i odpluwaniu, podawana jest też stale morfina. Zaciśnięcie płuca powoduje zalanie jamy ciała jądami ropnymi, co może prowadzić do stanów psychotycznych, które jednak także ustępują po kilku dniach. Organizm czuje się całkiem nieźle, jego stan szybko się poprawia. Chory dobrze znosi ciemną kawę ziarnistą dzień po operacji, a w momentach zapaści zbawiennie działają wino i koniak. Wypróżnianie...

Doktor rzuca mi nieco niespokojne spojrzenie, ale nie spuszcza oczu.

– W pierwszych dniach wymaga, cóż, znacznych wysiłków, jednak już drugiego dnia wprowadzamy rurę jelitową. Jeśli nie wystąpią powikłania, pacjent może wstać już po niecałych dwóch tygodniach.

– A czy... – znów kręci mi się w głowie – czy to nie prowadzi do zmian, to znaczy do deformacji ciała? Bo skoro żebra się zapadają...

Klitowicz spogląda na mnie najpierw ze zdziwieniem, a później z wyraźną naganą i zniecierpliwieniem. Najwyraźniej traci dobre zdanie na mój temat.

– To naprawdę nie jest istotne. Nawet jeśli proporcje i harmonia pewnych partii ciała zmieniają się nieznacznie, chyba łatwiej się pogodzić ze zmianami fizycznymi niż ze zgonem?

Pacjentowi być może tak, lecz czy najbliższym też? Na przykład młodej żonie... Okropna myśl. Adam wpatruje się w okno. Pot zniknął z jego czoła, ma wręcz pogodny wyraz twarzy.

– Ale to gwarantuje wyleczenie, prawda? – pytam. – Płuca się oczyszczą?

– Cóż, wszystko zależy od jednostki – Klitowicz wzrusza ramionami. – W medycynie, podobnie jak w naturze, nie zdarzają się dwa identyczne przypadki. Jeśli płuca zostaną odpowiednio uciśnięte i ogniska się zamkną, szanse znacząco wzrastają. Oczywiście jamy w szczytach płuc są problemem, bo tu ucisk jest znacznie słabszy. W skrajnych przypadkach zalecam wtedy plastykę i zaczopowanie jam plombami zewnątrzplucnymi.

– Plombami? – Sięgam jednak po kieliszek i wychylam go do dna jednym haustem.
– To znacznie prostszy zabieg od torakoplastyki, znacznie mniej też osłabia chorego. Podczas operacji odsłania się płuca, a następnie w szczególnie rozległych jamach umieszcza się plomby. Ucisk jest zatem miejscowy i w znacznie mniejszym stopniu wyłącza zdrową tkankę. Operator ugniata miękką parafinę w palcach, tworząc małe kawałki o kształcie kielbasek, a następnie upycha je...

Adam zrywa się nagle z krzesła, które z głośnym hurgotem przesuwa się po podłodze. Mój mąż kiwa lekko głową – namiastka ukłonu – i zdecydowanym, szybkim krokiem zmierza do wyjścia.

– Adam! – wołam za nim, podnosząc się szybko. – Adam, zaczekaj, proszę!

Skrzydło przeszklonych drzwi uderza zbyt głośno we framugę, szkiełka brzęczą. Klitowicz z pełną dezaprobaty miną, ze zmarszczonymi brwiami spogląda na nie przez krótką chwilę, a potem przenosi wzrok na mnie.

– Proszę usiąść.

– Przepraszam, panie doktorze, za męża, on, wie pan...

– Wiem. Mamy poważne zmartwienie. – Klitowicz podchodzi do mnie i siada na krześle Adama.

Sięga i zamyka moją dłoń w swoich rękach – przykre doznanie. Są gorące i wilgotne. Nie cofam jednak palców, choć nie odwzajemniam też uścisku.

– Brak woli walki może być decydującym czynnikiem negatywnym podczas leczenia. – Klitowicz pochyla się w moją stronę, ale udaje mi się opanować chęć ucieczki. – Obawiam się, że jeśli jakieś wstrząśnienie nie przywróci pacjentowi energii, to wszelkie zabiegi stracą sens. Czy pani to rozumie?

Kiwam głową. Chciałabym, aby usiadł za swoim biurkiem, i z całej siły walczyć ze sobą, aby się nie rozplakać, bo wtedy mógłby uznać za konieczne, by objąć mnie i pocieszyć, a tego bym nie zniosła.

– To, co tu mówiłem, choć zgodne z prawdą, zapewne nie powinno zostać wypowiedziane w obecności pacjenta, a z pewnością nie w tak obcesowy sposób, i za to serdecznie przepraszam. Jednak uznałem, że być może ten *shocking* podziała otrzeźwiająco. I mam cień nadziei, że jednak się nie myliłem, bo reakcja, jak widać, okazała się bardzo silna. Czy pani to rozumie?

Ponownie kiwam głową.

– Jeśli pacjent sam nie podejmie walki, nikt za niego nie wygra batalii z chorobą.

– Wiem.

– To dobrze. Jeśli mogę coś sugerować, proponuję, by zaprzestała pani w stosunku do Adama odruchów serca, zapanowała nad współczuciem i zdobyła się na zdecydowanie. Rozumie pani? Mąż pani najwyraźniej jest mężczyzną nieco rozpieszczonym, mam wrażenie, nawykłym do opieki i ścielenia mu piernatów. Odruchy serca nie pobudzają go do działania, sprawiają jedynie, że silnie roztkliwia się nad sobą. Moje doświadczenia dowodzą, że niekiedy pewna szorstkość, nawet okazana wbrew sobie, więcej może zdziałać dobrego niż głaskanie. I jeszcze raz przepraszam, że naraziłem panią na wstrząs, jednak nigdy bym się na to nie poważył, gdybym nie wiedział, z jak silną i rozsądną osobką mam do czynienia.

Klitowicz milknie i przygląda mi się wyczekująco. Gapię się na niego przez kilka chwil, wreszcie dociera do mnie, że oczekuje wyrazów wdzięczności.

– Dziękuję – mówię więc, a ponieważ mój głos brzmi raczej pytająco niż grzecznie, poprawiam się: – Bardzo dziękuję, panie doktorze.

Klitowicz uśmiecha się dobrotliwie, kiwa głową i ponownie poklepuje moją dłoń. Jaka szkoda, że nie zabrałam chusteczki, miałabym pretekst, aby po nią sięgnąć i uwolnić się od tego

dotyku. Po kilku sekundach puszcza moją rękę, cofam ją prędko z poczuciem ulgi. Klituś obchodzi biurko, zamyka teczkę Adama i odkłada ją na bok razem z kliszą rentgenowską.

– Wracając do pani. Wieści nie są złe – oświadcza. – Z tym większą przyjemnością zatem je przekazuję. W prawym płucu nie słyhać już szmerów, sytuacja prezentuje się nieźle i kilka, może kilkanaście tygodni spędzonych tutaj powinno przynieść całkowite wyleczenie organu. Lewe płuco, niestety, wciąż jest zajęte i to mnie martwi. Jest jednak nadzieja, że założenie odmy przyspieszy proces leczenia. Moglibyśmy przeprowadzić zabieg pojutrze w południe. Czy pani się zgadza?

– Dołożę starań, by wygospodarować niezbędny czas – silę się na żart, który jednak wypada wyjątkowo blado.

– Dobrze zatem. – Klitowicz sięga po pióro i wpisuje termin do mojej karty.

Zamyka teczkę, odchyła się na krzesło i znowu splata palce nad brzuchem.

– Może jeszcze kieliszek?

– Nie, dziękuję.

– A ja z chęcią – stwierdza.

Wstaje, zdejmuje korek z kryształowej karafki, nalewa pełny kieliszek, a potem otwiera humidor i wyjmuje z niego cygaro.

– Papierosa? – spogląda na mnie pytająco.

– Och, nie. Nie palę.

– Doprawdy? – unosi ze zdumieniem brwi. – Zupełnie?

– Nie.

– I nigdy pani nie paliła?

– Nie, skądże.

– Oczywiście palenie tytoniu w znacznych ilościach może być niezdrowe – stwierdza, zajmując znowu swoje krzesło i przycinając cygaro. – Niemniej udowodniono, że tytoń ma mnóstwo dobroczynnych działań. Choćby na system nerwowy, który koi w sposób niezrównany. Najnowsze wyniki badań naukowców szwajcarskich dotyczące palenia tytoniu są absolutnie rewelacyjne! Dowiedziono niezbicie, że dym tytoniowy wprowadzany do płuc chorego na otwartą gruźlicę, w rozsądnych dawkach, ma się rozumieć, osłabia prątki gruźlicze. Mnie osobiście ta teoria trafia do przekonania, bo jeśli porównamy kolonię laseczek Kocha do, dajmy na to, gniazda pszczelego, analogia nasuwa się sama przez się. Wszak odurzone dymem pszczoły stają się znacznie łagodniejsze, ospałe i niegroźne dla pszczelarza.

– Tak, to prawda. Ale czy przypadkiem prątki gruźlicze nie są bliższe w swej naturze grzybkom czy pleśni niż owadom?

Klitowicz wypuszcza z ust chmurę siniego dymu i zanosi się rubasznym śmiechem.

– Ma pani rację, oczywiście. Kapitalne! Pani jest myślącą kobietą, cenię takie przypadki i zawsze miałem pewien rodzaj słabości do tego typu przedstawicielek płci pięknej. Proszę jednak rozwaźnie z tej cechy korzystać, bo nadmiar wysiłku umysłowego w przypadku kobiet nieuchronnie prowadzi do zgorzknienia.

– Zaleca mi pan zatem, abym starała się nie myśleć? – pytam bez zastanowienia i niemal natychmiast tego żałuję.

Klituś z dobrotliwym uśmiechem zaciąga się cygarem.

– Wręcz przeciwnie. Myśleć, myśleć – stwierdza. – O ptakach, o słońcu, o strojach i kwiatach.

– Proszę mi wierzyć, że i o tych sprawach rozmyślam.

– To dobrze. Bardzo dobrze. – Klitowicz przygląda mi się przez chwilę. – Gdyby wszystkie pacjentki były podobne do pani, miałbym mniej pracy. Ale z czegoś trzeba żyć, nieprawdaż?

No, dość już o tym. Podzielę się z panią radosną wieścią! Czekają nas niebawem wspaniałe wydarzenia.

Przyglądam się jego rozpromienionej, triumfującej twarzy i przez kilka sekund mam wrażenie, że mówi o mojej rychłej odmie.

– Szykują się w Sanato wielkie zmiany.

– Tak?

– Nasza kadra zostanie znacząco zasilona. Jest pani pierwszą pensjonariuszką, która się o tym dowiaduje.

– O! – mówię i dodaję idiotycznie: – Czuję się wyróżniona.

– I słusznie! Wie pani, że doktor Baranicz wyjechał na Kresy z powodu pewnych, hm, spraw rodzinnych. Jednakże okazały się one poważniejsze, niż mogło się zdawać, i nadesłał pocztą prośbę o ostateczne rozwiązanie kontraktu.

Wpatruję się w Klitowicza wyczekująco i udaje mi się nawet nie mrugnąć. Wspomniane „sprawy rodzinne” rozgrywały się tu na miejscu, nie na Kresach – uczestniczyli w nich doktor Baranicz oraz panna Elwira Sachno (*otwarta gruźlica, stan poważny, piętro pierwsze, pokój numer 19*). Kilka tygodni temu cierpiąca na niemal już galopujące suchoty kobieta niespodziewanie zaczęła przybierać na wadze, zaokrąglając się wyraźnie tu i ówdzie, głównie jednak „tu”. Wybuchł skandal – ona pospiesznie wyjechała, on zniknął wkrótce potem – wiem już, dokąd się udał. Sachno przyjechała do Zakopanego spod Lwowa, gdzie jej rodzice mają rozległy majątek i dokąd natychmiast sprowadzono ją z powrotem, gdy jasne się stało, że jeden z lekarzy Sanato nazbyt gorliwie zaangażował się w proces leczenia młodziutkiej pacjentki. Doktorek najwyraźniej udał się za nią. Opowiem Dorci, która szalenie całą sprawą się emocjonowała, twierdząc, że nigdy wcześniej nie była świadkiem podobnie romantycznych wydarzeń. Powątpiewałam w romantyczny charakter tego związku, ale być może powinnam zrewidować pogląd i przyznać Dorci rację, skoro drobny, przygarbiony i wypłowiały Baranicz rzucił intratną posadę w Sanato i wyruszył na poszukiwanie umierającej oblubienicy.

– Baranicza zastąpi... – Klituś dla spotęgowania nastroju zawiesza głos i triumfalnie obwieszcza: – doktor Dresler z Monachium!

– To wspaniale. – Posłusznie robię zdumioną i radosną minę, choć nigdy w życiu o nim nie słyszałam.

– Nawet lepiej! Doktor Dresler zasłynął w europejskim środowisku medycznym dzięki ogromnym postępom, jakie poczynił w leczeniu gruźlicy metodami chemicznymi. Osobiście skłaniam się ku chirurgii, jednak takie nowoczesne, świeże spojrzenie może wnieść sporo ożywienia do naszego małego światka i podbudować morale pacjentów. Nie uważa pani?

– Zgadzam się. Przecież przy życiu trzyma nas głównie nadzieja.

– Właśnie! To znaczy... – Klitowicz urywa i rzuca mi badawcze spojrzenie, by upewnić się, że to nie kpina, ale udaje mi się nie zmienić wyrazu twarzy. – Właśnie, właśnie. Choć oczywiście nadzieja... Istotna, nie przeczę, lecz nie tylko ona... Mniejsza zresztą. Doktor Dresler, nawiasem mówiąc imponujący okaz mężczyzny, przyjeżdża do nas pojutrze wraz ze swoją modelową pacjentką. To Polka, ponoć młoda i ładna, z dobrej sfery. Osiągnęli razem wielkie sukcesy w walce z jej chorobą, Dresler dosłownie wyrwał ją z objęć śmierci. Czyż to nie ekscytujące?

– Ogromnie!

– Nie posiadam się wprost z radości, że udało mi się pozyskać dla Sanato równie znakomitą siłę fachową, bo wszystkie sanatoria w Europie biły się o niego, a nasze spotkanie było najzupełniej przypadkowe. Proszę sobie wyobrazić, że on sam podszedł do mnie w restauracji, gdy parę tygodni temu bawiłem przejazdem w Krakowie! Usłyszał, jak kelner wywołuje mnie do aparatu telefonicznego, a ponieważ nazwisko moje było mu znane, postanowił się przedstawić. Czyż

to nie zadziwiający łut szczęścia? Gdy opowiedział mi o swojej sytuacji, nie wahalem się ani chwili i zaproponowałem mu kontrakt, a on z miejsca go przyjął. Ta natychmiastowa decyzja samego mnie zdumiała, lecz sprawa wyjaśniła się wkrótce. Rzecz mianowicie w tym, że rodzina jego narzeczonej, która na gruźlicę leczy się od późnego dzieciństwa, niemalże popadła w ruinę wskutek wieloletnich pobytów dziewczyny w zagranicznych sanatoriach i zmuszona była zaprzestać dalszego finansowania jej leczenia w Niemczech. Ona zaś marzyła o tym, aby wreszcie zamieszkać w ojczyźnie, i Dresler przychylił się do tej prośby, a co więcej – postanowił pokrywać kosztą jej pobytu tutaj z własnej gaży. I tak oto opatrność uszczęśliwiła nas obu. On otrzymał możliwość pracy w sanatorium, w którym będzie się kurować jego przyszła żona, bez przeszkód kontynuując przy tym eksperymentalną terapię, a ja pozyskałem wspianiałego młodzieńca, wybitnego lekarza. I oczywiście zamierzam dać mu całkowicie wolną rękę w kwestii dalszych badań. Piątek będzie wyjątkowym dniem!

– O, z pewnością – mówię, myśląc o mojej odmie. – Jednak tymczasem pan pozwoli, panie doktorze, że się pożegnám. Martwię się o Adama, muszę go odszukać.

Klituś zaciska usta i spogląda na mnie poważnym wzrokiem. Poczul się zapewne dotknięty – albo moim brakiem entuzjazmu na wieść o przybyciu nowego członka personelu, albo – co bardziej prawdopodobne – moją kpina. Żałuję, że nie zapanowałam nad językiem. Klitowicza nie należy lekceważyć. Uśmiecham się więc do niego najpiękniej, jak potrafię, i wychodzę na korytarz.

*

Adama nie ma ani w naszym pokoju, ani w palarni, ani w salonie kawowym. Zapewne leżakuje na molo; on w przeciwieństwie do mnie lubi to miejsce. Nie chcę wypytywać pielęgniarek, czy go widziały, bo Adam nie cieszy się tu specjalną sympatią. Podczas rutynowej pogadanki, szumnie zwanej wykładem, dwa tygodnie temu Klitowicz po raz drugi z naciskiem oznajmił, że „typy społeczne i gburkowate” nie są mile widziane w sanatoriach, bo ich postawa nie tylko spowalnia, ale także niejednokrotnie uniemożliwia proces własnego zdrowienia i co więcej, ma także szkodliwy wpływ na leczenie współtowarzyszy”. Jestem pewna, że mówił to pod adresem Adama, wyraźnie patrząc w naszą stronę. Może powinnam teraz dać mężowi spokój i zająć się sobą? Jestem tu przecież także dla siebie, a zajmowanie się nim kosztuje mnie więcej wysiłku niż dbanie o własne sprawy. Jednak on jest przecież moim mężem. A czy żona nie powinna stawiać potrzeb mężczyzny przed własnymi? Janek wyśmiałby mnie. Stereotyp – tak by powiedział. Cóż, nawet jeśli podobne podejście i mnie wydaje się staromodne, a nawet fałszywe (*być może*), nie powinnam tego zdradzać. Przynajmniej dopóty, dopóki tu jesteśmy.

Wracam do pokoju, zabieram futro i szal, a potem schodzę szerokimi schodami do holu.

Dochodzi czternasta, salon jest prawie pełen, wszyscy opijają się poobiednią kawą i objadają ciastkami przed głównym leżakowaniem. Plan dnia – nieznośnie niezmienny – jest tu następujący: pobudka o 7.00, śniadanie, następnie leżakowanie między 9.00 a 10.00. Drugie śniadanie, leżakowanie od 11.00 do 12.00, obiad. Od 14.00 do 16.00 leżakowanie główne, podczas którego obowiązuje cisza i odpoczynek całkowity, czego oczywiście niewielu przestrzega, choć strzec się należy pielęgniarek. Później podwieczorek – równie obfity jak drugie śniadanie – i między 17.00 a 19.00 mniej rygorystyczne leżakowanie popołudniowe. Po kolacji nieustępującej różnorodnością potraw obiadowi leżakowanie wieczorne od 21.00 do 21.30 – obowiązkowo bez światła, lektury i rozmów. Późniejszy wieczór jest czasem wolnym, spać należy się kłaść o 23.00, ale niemal nikt tego nie przestrzega, bo jak tu spać, skoro przez cały dzień się leżało? Sanato naprawdę żyje więc w nocy, a śmiechy, gwar i tupoty stóp tłumione dywanami wyściełającymi korytarze cichną dopiero około trzeciej nad ranem.

Wśród pensjonariuszy okupujących kawiarnię nie widzę Adama. Zarzucam futro na ramiona, owijam szalem głowę i biorę z tacy rogalik z miodem – trochę zgłodniałam, bo ominął mnie obiad. Wychodzę na werandę. Niebo jest prawie bezchmurne, słońce stoi jeszcze dość wysoko nad wierzchołkami gór. Powietrze jest chłodne, ale dziś nie nasuwa skojarzenia z jesienią – pachnie wiosną. Pogryzając rogalik, docieram do wejścia na molo i wchodzę na jego deski. Są gładkie, szare, nieco szkliste, lecz nie śliskie. Raz na dwa tygodnie tutejszy chłopak, syn jednej z kucharek, smaruje je czymś, co konsystencją przypomina smalec – przyglądałam mu się wielokrotnie podczas pracy. Miarowe ruchy, lewa, prawa – deska za deską, bez chwili spoczynku. Okropna robota, szczególnie w pierwszej fazie, gdy wzrok obejmuje oczekujący pastowania, długi na kilkadziesiąt metrów pomost z absurdalną rotundą na końcu. Można się zniechęcić, ale chłopak prze powoli i nieustępliwie. Jest niski, krępy, szeroki w barach, ma płaską, pogodną twarz, która nieodparcie kojarzy mi się z porcelanowym Chińczykiem mojej matki ustawionym w serwantce w salonie naszego dawnego warszawskiego mieszkania. Trącony, pocieszenie kiwał głową i dłońmi umocowanymi na żelaznych sztyftach, a z jego rozchylonych w błazeńskim uśmiechu ust wysuwał się porcelanowy język. Bałam się tej zabawki, bo od małości wiedziałam, że jest niezwykle cenna. Troska matki o porcelanowego Chińczyka budziła mój niepokój, a nawet lęk. Bałam się, że podczas zabawy mogłabym go niechcący uszkodzić, za co niechybnie spotkałaby mnie sroga kara. A może raczej bałam się, że wtedy na jaw wyszłoby to, co podejrzewałam – że matka mocniej troszczy się o porcelanowego Chińczyka niż o mnie?

Kończę rogalik, otrzepuję dłonie i wchodzę na molo. Deski dudnią przy każdym moim kroku. Ustawione obok siebie na waleta leżaki co kilka metrów przedzielone są ciężkimi, przysadzistymi stołkami, na które można odłożyć lekturę bądź odstawić szklankę. Osadzone w otworach blatów szare parasole z brezentu, chroniące pensjonariuszy przed słońcem lub niewielkim deszczem, są dziś złożone. Większość leżaków stoi jeszcze pusta, rzadki widok, bo o tej porze molo jest już zazwyczaj obleżone. Dlaczego tak nie lubię tego miejsca? Czy sprawia to niepewność, jaką czuję, spoglądając w dół na leśne poszycie rozciągające się parę metrów poniżej pomostu? Raczej nie, nie boję się przecież wysokości. W Warszawie chętnie odwiedzałam kawiarnię na dachu domu braci Jabłkowskich i nigdy nie czułam lęku. Zresztą im bliżej rotundy, tym odległość od ziemi jest mniejsza, bo molo zbudowano w poprzek stoku. Sama rotunda opiera się już prawie na zboczu, późnym latem jej fundament tonął w kępach paproci. Molo skonstruowane jest solidnie, deski prawie nie skrzypią. Jednak coś w charakterze pomostu, jego bezcelowość, a może widok rozciągniętych na leżakach ciał zamkniętych w klatce barier, budzi moją niechęć. Rzadko spędzam tu czas, częściej wybieram główną werandę. Choć na początku to w tym miejscu zazwyczaj leżakowaliśmy z Adamem...

– Nina! – głos Dorci rozlega się nieoczekiwanie tuż obok mnie, aż podskakuję z przestraszenia.

Dziewczynka przygląda mi się zza krawędzi oparcia stojącego nieopodal, odwróconego do mnie wezglowiem leżaka. Widząc moje zaskoczenie, najpierw robi okrągłe oczy, a potem wybucha śmiechem.

– Aleś mnie przestraszyła – mówię pełnym nagany tonem, co rozbawia ją jeszcze bardziej.

– Połóż się przy mnie, proszę!

Spoglądam na dalszą część pomostu, gdzie zapewne zaszył się Adam. Chyba jednak nie mam ochoty go szukać...

– Ja bardzo proszę, Nineczko, połóż się tutaj – nalega Dorcia.

Uśmiecham się więc do niej i zajmuję sąsiedni leżak. Dziewczynka zwija się w kłębek, zwrócona do mnie bokiem i szczelnie okryta grubym pledem.

– Nie widziałaś tu gdzieś może... – zaczynam, ale nie kończę, bo ona, podobnie jak większość pielęgniarek i pensjonariuszy, nie przepada za Adamem.

– Czego?

– A, nie. Niczego – mówię.

Rozkładałam pled starannie złożony w nogach leżaka. Czuć go nieco wilgocią, ale nie pleśnią. Pachnie jak koc wyłożony rankiem do wietrzenia, o którym służba zapomniała i nie zabrała go do mieszkania przed nocą.

– Mam jabłko – oznajmia Dorcia. – Chcesz ugryźć?

– Wiesz, że nie powinnyśmy tego robić, właśnie w ten sposób ludzie się zarażają.

– Ale przecież my obie już to mamy. Czym się przejmować? Chcesz?

– Nie, dziękuję. Może później.

– Później już nie będzie. Prawie wcale dziś nie spałam – wyznaje z dumą Dorcia.

– Dlaczego?

– Trafiłam na tak zajmującą książkę, że po prostu nie mogłam, no, najzwyczajniej w świecie nie mogłam jej odłożyć. A próbowałam. Zgasiłam światło, oparłam głowę na poduszce, ale ta książka po prostu wołała do mnie, choć przezornie umieściłam ją na komodzie, a nie na stoliku nocnym, aby trudniej było mi po nią sięgnąć. Jednak nie mogłam się oprzeć. Włączyłam lampę i czytałam do bladego świtu. Czy i tobie zdarzyło się kiedyś trafić na podobnie zajmującą książkę?

– Nie wiem przecież, o jakiej książce mówisz.

– Nosi tytuł... – Dorcia zawiesza głos, by spotęgować napięcie – „Pożoga namiętności. Dzieje miłości i występku”! Czy już sam tytuł nie wywołuje u ciebie dreszczy?

– Nie mogę powiedzieć, by wywoływał – mówię, tłumiąc rozbawienie. – Choć jeśli już, to zimne.

– A widzisz! Mnie też dosłownie ciarki przeszły po plecach, gdy go przeczytałam! Lodo-wate! Znalazłam tę książkę na stole w kawiarni, ktoś ją zostawił. Chyba nie powinnam jej zabierać, lecz pokusa okazała się zbyt silna. Uznałam, że gdy już przeczytam powieść, oddam ją pielęgniarce...

– Słusznie.

– ...ale nie wiem, czy to zrobię. Niezwykle trudno będzie mi się z nią rozstać, bo to najlepsza książka, jaką w życiu czytałam, i gdy skończę, mam zamiar zacząć ją od początku.

Przeczytam ci fragment!

– Dorciu, wiesz, że nie powinnyśmy.

– Och, przestań! Przecież wiesz, że one prawie się tu nie zapuszczają. Zresztą możesz pa-trzeć w stronę werandy, gdy zauważysz coś niepokojącego, dasz mi znać, a ja natychmiast ukryję książkę pod kocem i będziemy udawały, że śpimy martwym bykiem.

– Ale...

– A zatem... Uwaga! – Dorcia otwiera książkę, nabiera tchu i pełnym napięcia głosem zaczyna czytać:

Ciemność kryła w sobie zgubę. Opuszczony przez załogę wrak tulający się po morzu przeciął na chwilę drogę „Magnolii”... Ta chwila zadecydowała. Gdy z trzaskiem rozsadzanych żelaznych komór wewnętrznych bluznęły przez otwór wygnięciony koło dziobu kolosalne masy wzbudzonych wód – kapitan Johansen dał sygnał do opuszczenia statku. Ogromny ryk okrzyków, nawoływań i rozpaczliwych jęków zabrzmiał w ciemnościach... Panika ogarnęła pasażerów. Na rufie sterczącej wysoko nad powierzchnią, gdzie tłoczył się, gniółł i deptał zbity tłum oszalałych z trwogi ludzi, kordon marynarzy przeprowadzał do łodzi ratunkowych kobiety i dzieci. Raz po raz szczękały rewolwery oficerów prażących na oślep w napierającą ciżbę mężczyzn. Szalupy

odpływały co chwilę wyladowane po brzegi wrzeszczącymi gromadami, spadały w dół na łeb, na szyję, miażdżąc tych, którzy w szale rozpaczki ciskali się bezprzytomnie w fale. Widać było w gasnących błyskach reflektorów, jak czarne cienie tych łodzi miotały się na szalejących bałwanach, jak zalewane olbrzymiami zwałami wód parły z trudem w głąb otchłani nocnej i jak tonęły wśród wrzasków i jęków, grzebiąc w toni dziesiątki ciał, rąk i nóg do ostatnich sekund mlójących kipieli w walce o życie... Tonęli wszyscy...

Wśród rozszalałych, zdziczałych hord ludzi na śmierć skazanych był i Maroczy.

– O, życie!... Pozwoliło się chwycić w chciwe ręce, a teraz wyrывasz się!... O, szczęście! Pozwoliło się wielbić, a teraz zawodzisz!...

Maroczy wspiął się na pogruchotany reling burty dzielącej go od morskiego piekła i... odbił się od niego stopami! Runął w odmęt. Zagrzmiały spienione fale, olbrzymie bałwany wynosiły go na swój szczyt, by cisnąć z powrotem w głąb. Słona piana siekła w j ego zuchwale, dzikie oczy, wdzierając się do gardła i nozdrzy. Ból żelazną garścią ścisnął serce.

– Marto! – poskarżył się ostatnią słabnącą myślą.

I wtem ogarnęła go ciemność tak straszna, że nawet najczarniejsza noc ginie bezpowrotnie w jej mroku...

Głos Dorci drży, przechodzi w zdławiony szloch i dziewczynka podnosi na mnie wielkie, pełne łez oczy.

– Czy kiedykolwiek czytałaś coś piękniejszego, wznioślejszego i bardziej poruszającego? – pyta ochryplym szeptem, a ja nie umiem już nad sobą panować i wybucham głośnym śmiechem.

– No wiesz! – mówi oburzona Dorcia i zamyka z trzaskiem książkę. – Nie spodziewałam się po tobie podobnej reakcji! Czy w twoim sercu nie ma ani źdźbła romantyzmu?

– Nie... Nie wiem... – próbuję wydukać i ocieram załzawione oczy. – Jesteś bezcenna!

– Uważam, że to wspaniała książka, i nikt nie zmusi mnie do zmiany zdania nie tylko drwiną, ale choćby i siłą! – stwierdza Dorcia, ale i nieco się rozchmurza.

Przyciska tomik do wąskiej, płaskiej piersi, odchyła głowę na poduszkę i z rozmarzeniem spogląda w niebo nad Sanato. W tej chwili wygląda prawie ładnie, choć przecież trudno zaliczyć ją do urodziwych istot. Dorcia ma wąską, piegowatą twarz, cienkie usta i zbyt wydatny, długi nos. Należy do podlotków, u których każda część ciała sprawia wrażenie zbyt cienkiej i wydłużonej, a głowa, dłonie i stopy wydają się za duże. Wąskie biodra, kościste kolana, drobne piersi. Jednak za kilka lat zapewne się zaokrągli, a jej ciało nabierze proporcji. Nie będzie pięknnością, ale może się okazać bardzo zgrabną kobietą o imponującej, strzelistej figurze. Do tego Dorcia ma coś, co w przyszłości zapewne z nawiązką zrównoważy niedostatki urody – ogromny wrodzony wdzięk, z którego na razie jeszcze (*dzięki Bogu*) nie zdaje sobie sprawy.

– Tutaj jest tak okropnie nudno – wzdycha z rozpaczą w głosie. – Nie dzieje się nic romantycznego. Tylko to leżenie, jedzenie i umieranie, umieranie, jedzenie i leżenie. Bez końca. Chciałabym, aby wreszcie coś się wydarzyło!

– A może jednak się wydarzyło – mówię pocieszającym tonem i opowiadam jej o dalszym rozwoju wypadków między drobnym doktorkiem Baranowiczem a bladą Elwirą.

*

Leżenie, jedzenie i umieranie – myślę, gdy Dorcia zapada w sen.

Według lekarzy każdy gruźlik przeżywa identyczne stany psychiczne, wpada w taki sam schemat, zupełnie jakbyśmy wszyscy byli maszynami, a nie ludźmi. Etap pierwszy: osłupienie i bunt na wieść o chorobie. Etap drugi: depresja, brak chęci do walki oraz do życia w ogóle. Etap trzeci: pogodzenie, przypływ witalności i nadzieja. W sumie jest w takiej analizie cień prawdy,

choć zdecydowanie u każdego z nas inaczej to przebiegało. Adam początkowo bagatelizował chorobę, załamał się dopiero wtedy, gdy okazało się, że ja też jestem chora. Ja natomiast byłam zdruzgotana, gdy zachorował on, a diagnozę lekarzy, że sama choruję także, przyjąłam z pewnym rodzajem ulgi. Dlaczego? Może tak bardzo bałam się choroby, że ten strach mnie zadręczał? Chyba nie, każdemu, kto jest zdrowy, zdaje się, że jemu nic nie może zagrozić, że zło go nie dotknie. Poczułam ulgę, bo upewniłam się, że nie zostawię Adama, że się nie poddam, a tego bałam się chyba najmocniej. Że nie podołam i gdy sprawy przybiorą najpoważniejszy obrót, ucieknę. Gdy oboje zachorowaliśmy, wiedziałam już, że nie mam wyjścia, że nie zależy to od mojej woli. Chcę czy nie, muszę przy nim wytrwać. Z moich barków spadł ciężar odpowiedzialności i odechnęłam – to ci dopiero paradoks.

A Dorcia? Ona chyba wcale się nie załamała, była i pozostała optymistką. Być może dlatego, że jest tak młoda, bo przecież nie ma jeszcze nawet piętnastu lat. A być może ze względu na to, że – jak sama mi opowiadała – od dziecka była wyjątkowo chorowita i podobno nawet akuszerka, która ją odbierała, nie dawała jej wielkich szans na przeżycie. Ale Dorcia ma unikatową cechę – bardziej przejmuje się ludźmi wokół niż samą sobą. Jest wolna od egocentryzmu, niezwykle rzadki przypadek.

Janek natomiast, o, ten to prawdziwy oryginał. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, co czuje w związku ze swoją chorobą, na pewno nie wydaje się nią przybity. Janek jest zagorzałym wyznawcą darwinizmu – słabe jednostki, jego zdaniem, muszą odpaść, przeżycie pisane jest tylko najwartościowszym. A że sam niespodziewanie znalazł się w grupie biologicznych pomyłek, cóż, tak widać być musiało, i już. Zresztą jego życie nie zmieniło się chyba za bardzo po diagnozie – wcześniej spędzał czas nad książkami w swoim majątku pod Włocławkiem, teraz spędza czas nad książkami tutaj. Janek mieszka w Sanato najdłużej z nas – ponad trzy lata. W sanatorium zazwyczaj przebywa średnio około sześćdziesięciu pensjonariuszy, jedna czwarta wyjeżdża po kilkudziesięciu miesiącach do innych uzdrowisk, połowa nie opuszcza tych murów inaczej niż w trumnie. Do zdrowia wraca nie więcej niż dziesięciu, ale nawet ta liczba wydaje mi się zbyt optymistyczna. Przez te trzy lata, odkąd Janek tu przebywa, zmarła więc ponad setka jego sąsiadów – ludzi, których, no, może nie znał, ale spotykał codziennie. Z pewnością widział niejedno i był świadkiem wielu sensacyjnych zdarzeń. Gdyby zechciał, mógłby nas bawić opowieściami przez całe tygodnie, niestety nie jest tym zainteresowany. Janek uwielbia opowiadać o tym, co ponoć zdarzyło się tysiące lat temu, i rozważać, co też za tysiące lat jeszcze się przydarzy. Czas bieżący interesuje go w nikłym stopniu, a zmarli wydają mu się zajmujący tylko wtedy, gdy ich zgon nastąpił jeszcze przed śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa – w które zresztą, o co gotowa jestem się założyć, wątpi. Jego religią jest nauka.

– Choroba to nie nieszczęście, ale podstawowe narzędzie natury, nieodzowne do odsiewu słabych osobników. Nie buntujemy się przecież przeciw piorunom, gradobicium i trzęsieniom ziemi, dlaczego więc mamy się buntować przeciw gruźlicy czy rakowi? – stwierdził kiedyś podczas obiadu.

Zapytałam więc: po co w takim razie się leczy? Po co tu w ogóle przyjechał, zamiast siedzieć pod tym swoim Włocławkiem, albo lepiej – dlaczego od razu po prostu nie położył się do trumny i nie kazał zabić wieka, aby zaoszczędzić sobie i innym (*tym silniejszym*) czasu oraz środków? Najpierw się zasępił, potem roześmiał, a następnego dnia zjawił się na molo z nową teorią. Oznajmił, że możliwe są pewne wyjątki od zasady, bo natura rządzi światem fizycznym, a istnieje jeszcze świat intelektualny, który jako dość młody – bo zdaniem Jana człowiek zaczął myśleć nie dawniej niż kilkaset tysięcy lat temu, co w skali istnienia wszechświata jest śmiesznie krótkim okresem – nie zintegrował się jeszcze z naturalnym porządkiem rzeczy. Materia nie nadąża za rozumem, istnieją przypadki osobników sprzecznych, czyli cennych z punktu widzenia

cywilizacji, ale ułomnych z punktu widzenia przyrody. Oczywiście sam – co było jasne, choć nie wypowiedział tej myśli na głos – zaliczył siebie do tej kategorii. Czy zatem jego zdaniem należy rozwijać medycynę, czy też nie? Odparł, że zdecydowanie tak, ale dostęp do owoców postępu w tej dziedzinie nauki powinni mieć wybrani, bo tylko takie podejście gwarantuje ochronę zarówno interesów natury, jak i cywilizacji. Osobniki bezwzględnie bezwartościowe nie powinny być leczone, natomiast wartościowe – tak. Dzięki temu, dowodził, medycyna może się rozwijać szybciej i lepiej, bo jeśli środki na leczenie bezproduktywnych jednostek nie będą trwonione, można je będzie inwestować w naukę, co przyspieszy jej rozwój. Znałam go jeszcze słabo, wzięłam wszystko na serio i ta przemowa doprowadziła mnie do białej gorączki. Zerwałam się z leżaka i stwierdziłam, że nigdy jeszcze nie spotkałam się z równie szowinistyczną i podłą koncepcją, a jeżeli tak ma wyglądać postęp cywilizacyjny, to ludzki intelekt nie jest ewolucyjną zdobyczą, lecz niczym więcej jak tylko wynaturzeniem. Byłam niezwykle wzburzona, krzyczałam tak głośno, że nawet leżakujący w odległych krańcach werandy wstali i wyciągali szyje, by dojrzeć źródło karczemnej awantury na pomoście. Janek wcale się nie przestraszył, jedynie się roześmiał, przez co o mało nie rzuciłam się na niego z pięściami. Nie odzywałam się do niego potem kilka dni, póki przypadkowo nie trafiłam na wzmiankę w „Gońcu”, z której dowiedziałam się, że Jan wspiera aktywnie projekt budowy Dziecięcego Zakładu Leczniczego na Bystrem, zainicjowany przez Uniwersytet Jagielloński. O nowatorskim ośrodku zrobiło się głośno w Zakopanem, bo zapowiada się on na najnowocześniejszą placówkę w naszym kraju, a właśnie dzięki staraniom Janka przy szpitalu ma powstać siedmioklasowa szkoła podstawowa z uprawnieniami szkoły państwowej – pierwszy taki przypadek. Janek nie tylko zaangażował się w załatwianie formalności związanych z jej utworzeniem, ale też sam wyasygnował okrągłą kwotę, która w znacznym stopniu przyspieszy budowę. Zrozumiałam, że jego szokujące teorie są niczym więcej, jak tylko intelektualną zabawą, a gdy poznałam go bliżej, przekonałam się, że jest w gruncie rzeczy poczciwym i życzliwym człowiekiem. Jednak do dziś nie wiem naprawdę, co myśli i czuje w związku ze swoją chorobą, która w jego przypadku jest nieuleczalna.

*

Futuroskop nie wypluł nowej karty przed wieczorem. Podnoszę skrzynkę i próbuję zajrzeć do szczeliny obok ebonitowego przycisku, ale niczego nie udaje mi się dostrzec. Pochyliam głowę i przyciskam ucho do pudełka. Wewnątrz cicho obracają się kółka zębate, słyszę miarowy, zgrzytliwy szum, a nie właściwe zegarom tykanie, na które byłam przygotowana. Co to za mechanizm? Dźwięk brzmi podobnie do tych, jakie wydają pozytywki lub staromodne nakręcane patefony, działające dzięki rozprężającej się skręconej metalowej taśmie. A przecież futuroskop – jeśli prawdą jest to, co mówiła Nel – funkcjonuje jak dobowy zegar. Wzruszam ramionami i odstawiam go na komodę.

Adam odpoczywa na jednym z dwóch leżaków ustawionych na naszym balkonie. Widzę czubek jego głowy; nie założył kapelusza, choć znacznie się ochłodziło. Wzdycham z lekkim zniecierpliwieniem i otwieram przeszklone drzwi.

– Prosiłam tyle razy, żebyś nie wychodził bez kapelusza – mówię zrzędlivym tonem.

Nie odpowiada. Patrzy na zacierające się w szybko zapadającym zmroku kontury górskich grzbietów z wyraźnie widocznym Giewontem pośrodku, Kościelcem i Świnicą po prawej i odsuniętym w lewo Kominiarskim Wierchem, które zastygły nad Sanato niczym zatrzymana w biegu, spiętrzona pod niebo fala.

Podchodzę do bariery i spoglądam w dół na molo. Włączono już latarnie, światła drżą lekko. Nisko nad gruntem gęstymi, popielatymi pasmami ściele się mgła – wkrótce podejdziesz wyżej; dzień był ciepły, a teraz temperatura szybko spada. Molo dryfujące na grzbiecie wirującej

sennie mgły bardziej niż zazwyczaj kojarzy mi się z dziobem transatlantyku. *W nikłych błyskach latarni czarne cienie miały się na szalejących bałwanach. Zalewane olbrzymimi zwałami wód, parły z trudem w głąb otchłani nocnej i tonęły wśród wrzasków i jęków...* Jakoś tak to szło, mniej więcej. W dziennym świetle te słowa wydawały mi się grafomańsko napuszone i głupie, teraz zaś budzą niepokój. Powietrze jest nieruchome, ciszy nie mąci szelest poruszanych wiatrem gałęzi, nie słychać głosów zwierząt i ptaków. Ta cisza wydaje się wręcz namacalna, lepka, prawie dławiąca. Wciążam ją do płuc z każdym oddechem... Odwracam się tyłem do zbrocza i spoglądam na Adama. Lampa zamontowana na ścianie obok drzwi balkonowych świeci na niego z góry, oczy giną w głębokich cieniach rzucanych przez łuki brwiowe, co nasuwa skojarzenie z trupią czaszką. Adam siedzi bez ruchu, jego pierś porusza się w rytm płytkich oddechów. Białe dłonie skrzyżowane na okrytych pledem udach wyglądają jak wyrzeźbione w alabastrze.

– Adam? – pytam.

Unosi głowę, światło odbija się w jego oczach.

– Za dziesięć minut kolacja. Nie przebierasz się?

Milczy.

– Jeśli chcesz, mogę poprosić, aby przyniesiono nam jedzenie do pokoju – proponuję. – Nie musimy schodzić.

Przez kilka sekund trwa bez ruchu, wreszcie powoli podnosi się z leżaka, odrzuca pled i wchodzi do pokoju. Ma dopiero dwadzieścia pięć lat, a idzie krokiem starca.

W pokoju, za progiem znajduję złożoną na pół kartkę:

„35: 12 – 30 = 1 x”, a dalej wcale zgrabnie narysowana butelka.

Prosty szyfr. 35 to numer pokoju, 12 – 30 to godzina, dwudziesta trzecia trzydzieści. 1 x butelka to wkupne, przepustka umożliwiająca udział w przyjęciu. Pokój nr 35 zajmuje Jadwiga Wołłęjszo, nie znam jej zbyt dobrze, ale zawsze wymieniamy uprzejme ukłony, gdy mijamy się na korytarzu. Podobno przyjechała z Łodzi, gdzie jej ojciec ma dwie fabryki. Niewiele więcej o niej mogę powiedzieć, poza tym że ma ujmujące dołeczki w policzkach i często się śmieje. To taki typ, któremu choroba – przynajmniej w początkowym stadium – dodaje urody. Służą jej nadmiernie błyszczące oczy i ciemny rumieniec podkreślający nieco prząsny, ale atrakcyjny zdaniem wielu typ hożej dziewczuszki. Szybko zwiędnie, a jeszcze szybciej się roztyje... Choć właściwszy byłby tu jednak tryb przypuszczający. Szybko zwiędłaby, a jeszcze szybciej by się roztyła. Nie mam pojęcia, jak ciężki jest jej stan. Wiem natomiast, że Jadwiga cieszy się sporym powodzeniem wśród męskiej części mieszkańców.

Pytam Adama, czy ma ochotę skorzystać z zaproszenia. Milczy przez długą chwilę i wreszcie mówi cicho:

– Zostanę. Ale ty idź.

To pierwsze słowa, jakie usłyszałam dziś z jego ust. Od razu zaczynam się zastanawiać, czy zachęca mnie do wizyty, bo chce, abym się rozerwała, czy też po to, abym zniknęła mu z oczu. Czuję nagły, irracjonalny przypływ złości i żalu, uczucia są tym bardziej frustrujące, że nie mogę ich ujawnić. Wiem, Adam cierpi, ale dlaczego wymierza mi za to karę?

– Pójdę – stwierdzam.

*

Nocą Sanato należy do nas, mieszkańców. Dyżurują dwie pielęgniarki, ale funkcję cerberów pełnią jedynie pro forma i rzadko opuszczają pokój na parterze. Nie śpią jednak, reagują, gdy tylko rozlegnie się dźwięk dzwonka na elektrycznej tablicy z numerami pokoi. U nas także znajduje się włącznik, dotąd skorzystałam z niego tylko raz, gdy Adam miał wyjątkowo silny atak duszności. Była czwarta nad ranem, a pielęgniarka zjawiała się po minucie zupełnie przy-

tomna. Reszta personelu i lekarze – poza Klitowiczem, który zajmuje willę nieopodal Sanato – mieszkają w pokojach na poddaszu. Są dostępni, ale nie opuszczają swojego piętra – jest to elementem niepisanej umowy z pensjonariuszami. Nocami jesteśmy wolni – oczywiście jedynie teoretycznie i tylko w granicach wytyczonych murami sanatorium. Możemy poszaleć, bo cóż to komu szkodzi? Od tego akurat raczej nie umrzemy.

Gdy ktoś umiera, zwłoki wynoszone są między czwartą a szóstą rano do pomieszczenia w podziemiu zwanego pieszczotliwie kostniczką. Nie byłam jeszcze świadkiem podobnej procesji, ale mi o tym opowiadano. Transportem ciał zajmuje się chłopak kucharki, ale na pewno ktoś mu pomaga – prawdopodobnie ogrodnik. Kostniczka ma oddzielne wyjście z boku budynku, można tam wygodnie podjechać autem, dyskretnie załadować martwe ciało i wywieźć do zakładu pogrzebowego, z którego następnie odprawiane jest w rodzinne strony nieboszczyka. Ten samochód widziałam kilka razy. Na popielatej karoserii nie ma żadnych oznaczeń, okna w tylnej części przesłaniają czarne firanki.

Zakładam niebieski jedwabny komplet – ostatni raz miałam go na sobie jeszcze w Warszawie, wiosną. Krojem przypomina pizamę, wydaje mi się więc właściwy na wizytę o tej porze. Zabieram butelkę czerwonego wina – jedną z kilku ukrytych w naszej komodzie – i zarzucam na ramiona szal. Adam wciąż leżakuje na balkonie, ale tym razem założył przynajmniej pelisę i kapelusz. Na dłoniach ma nawet rękawiczki – podejrzewam, że włożył je bardziej z myślą o mnie niż o sobie.

– Idę – mówię, ale nie odpowiada.

O tej porze Sanato wygląda prawie ładnie. Kule lamp wiszące pod sufitami korytarzy są przyćmione – nie wiem, jak uzyskują taki efekt, ale sprawia on, że wnętrza nabierają nieco tajemniczego charakteru. Żłocisty półmrok maskuje niedostatki wykończenia i tłumi lśnienie farb olejnych pokrywających ściany między boazeriami a sufitem. Za dnia ten połysk nieprzyjemnie kojarzy mi się ze szpitalnym wnętrzem. Stłumione chichoty za zamkniętymi drzwiami pokoiów nadają nocy frywolny nastrój – łatwo udawać, że jest się w hotelu w kurorcie, do którego przyjechało się tylko dla zabawy.

Pokój Jadwigi mieści się na drugim piętrze, panujący w nim gwar słychać już na schodach. Pukam lekko do drzwi, uchylają się prawie natychmiast.

– Nina, prawda? – gospodyni w różowej szyfonowej sukni chwyta mnie w objęcia i całuje w oba policzki.

Sztywnieję, bo nie przepadam za podobnymi czułościami, szczególnie ze strony obcych ludzi. Na dodatek jej mocno wydekoltowana sukienka wydaje mi się niestosowna.

– Sama? – upewnia się Wołhejszówna. – Wchodź, wchodź!

– Zaraz! – powstrzymuje mnie szczupły, jasnowłosy mężczyzna, którego znam tylko z widzenia. – Najpierw myto!

Podaję mu wino. Przygląda się butelce, wydyma usta z lekką pogardą, wreszcie kiwa głową.

– Stan, opamiętaj się! – strofuje go Jadwiga i wciąga mnie do pokoju. – Nie zwracaj na niego uwagi, kochanie! To skończony gbur, ale za to tańczy niezmiernie. Co pijesz?

– Może za chwilę. Chciałam pani...

– Pani? Kochanie, z jakiejż to racji pani? Mówmy sobie po imieniu, naprawdę szkoda czasu na ceregiele. Jestem Jaga, po prostu Jaga. – Żelaznym chwytem ujmuję mnie pod łokieć i holuje za sobą przez pokój, szczebiocąc przy tym bez wytchnienia. – No więc, widzisz, to jest Miet, a to Maria. Tamtych dwoje, którzy tak sobie gruchają, to Janka i Fryc – objaśnia półgłosem. – On świata poza nią nie widzi, mówię ci, a uważam, że powinien się rozejrzeć, jeśli rozumiesz, co mam na myśli – ciągnie głośniej. – Ta wysoka, ruda to Rozalia. – Na stronie zaś dodaje: –

Taka z niej Rozalia, jak ze mnie kakadu. Naprawdę ma na imię Rojza, znam jej rodzinę, mieszka w Łodzi, bajecznie bogaci. Jej matka jeszcze do niedawna miała na imię Lejba, ale cóż, wszyscy chcemy od życia czegoś lepszego, niż dostaliśmy, prawda? Kto jak kto, ale my przecież wiemy o tym najlepiej. Masz!

Weiska mi do ręki szklanekę do połowy wypełnioną wiśniówką – jeśli wypiłabym to wszystko, w mgnieniu oka straciłabym przytomność. Powietrze w pokoju jest błękitne od dymu tytoniowego.

- Wielka szkoda, że przyszedła sama – wzdycha Jaga. – Mamy niedostatek mężczyzn.
- Adam, to znaczy mój mąż, nie czuje się zbyt dobrze – usprawiedliwiam się.
- A któż tu się czuje dobrze? – wykrzykuje wesoło Jaga i wybucha głośnym śmiechem. –

Pij!

Zdetonowana, posłusznie podnoszę szklanekę i moczę usta. Wiśniówka jest piekielnie mocna. Zachłystuję się i zanoszę kaszlem. W tym momencie wszyscy przerywają rozmowy, zwracają się w moją stronę i zaczynają klaskać, zupełnie jakbym wykonała jakiś popis sceniczny. Wytrzeszczam oczy.

– Och, nie przejmuj się! – śmieje się Jaga, widząc moją minę. – To tylko taki zwyczaj, idiotyczny, wiem, ale co poradzić. Palisz?

– Nie.

– Ja też nie paliłam. A teraz palę i powiem ci, że to ogromna frajda. Uwielbiam wszystko, czego nam tu zakazują. No i cóż? Czy mi co od tego ubędzie?

Zdaje się, że Jaga to bardziej hałaśliwa i nieco mniej elegancka wersja Nel.

– Dziś Klituś stwierdził, że dym papierosowy może mieć dodatni wpływ na walkę z... z tym. Porównał palenie do zadymiania uli.

– Och, doprawdy? Sama nie wiem, czy ta rewelacja psuje mi przyjemność, czy wręcz przeciwnie – Jaga zamyśla się na moment. – Właściwie robię, co mogę, aby się nie wyleczyć.

– Słucham?

– Ona wierzy w przekorność losu – wyjaśnia Miet, przypalając papierosa osadzonego w szklanej fífce.

– Bo to prawda – stwierdza Jaga. – Całe życie mam do czynienia z tym przewrotnym mechanizmem. Jeżeli czegoś chciałam, nigdy mnie to nie spotykało. A gdy tylko przestawało mi zależeć, natychmiast samo pchało mi się w ręce.

– Co na przykład? – pytam mimowolnie zainteresowana.

– Na przykład chłopcy. – Jaga puszcza perskie oko. – Jeśli jakiś mi się spodobał i chciałam poznać go lepiej, nigdy nie odwzajemniał zainteresowania. Ale wystarczyło, abym przestała na niego zwracać uwagę, natychmiast zaczynał do mnie wzdychać. O ciebie – zwraca się do stojącego w pobliżu Stana – już nie dbam.

– Nic z tego – uśmiecha się krzywo mężczyzna.

– Czyli nawet moje przewrotne szczęście mnie opuszcza! – wykrzykuje Jaga z udawanym patosem i załamuje ręce.

– Opuściło cię jakiś czas temu – wtrąca się Rozalia, podchodząc do nas z kryształowym kieliszkiem w dłoni. – Inaczej by cię tu nie było.

– A skąd wiesz? Może właśnie tutaj czekało na mnie największe szczęście mojego życia?

– Jaga uśmiecha się przekornie i ostentacyjnie poufałym gestem kładzie dłoń na ramieniu Mieta.

Rozalia marszczy brwi na ułamek sekundy, ale to wystarcza, abym zorientowała się, jak wyglądają relacje między nimi.

– Co jest powodem przyjęcia? – zmieniam pospiesznie temat.

– Powód? A od kiedy to przyjęcie wymaga pretekstu? – dziwi się Jaga. – Choć właściwie

czemu nie? Mamy powód. Stan dowiedział się dziś, że musi zostać z nami na kolejne sześć miesięcy, i ta wiadomość uradowała go niezmiernie.

– Nieprawda! – ponurym głosem oświadcza Stan. – Nie cieszę się. Jeśli tak dalej pójdzie, już wkrótce całe to Sanato wy kieruje mnie pod kościół!

– Zdaje się, że wszystkich nas czeka podobny koniec – mamroczę, bo choć wypiałam tylko dwa łyki wiśniówki, zaczyna kręcić mi się w głowie.

– On ma na myśli, że skończy pod kościołem jako nędzarz – wyjaśnia Jaga. – A nie to, że go wystawią tam na marach. Jesteś zabawna, cieszę się, że przyszłaś.

– Rozkradną mi tam wszystko do cna – z goryczą stwierdza Stan. – Pańskie oko konia tuczy, a kiedy kota nie ma...

– Nie bądź nudny. Rozmowy o pieniądzach są okropnie wulgarnie. Pomówmy o czymś innym – przerywa mu Jaga i zwraca się do mnie: – Boisz się?

– Czego?

– No tego, że umrzesz?

Przez chwilę próbuję się zdobyć na oburzenie tak bezczelnym i bezpośrednim pytaniem, bo wiem, że powinnam być oburzona. Ale nie jestem, więc tylko wzruszam ramionami.

– Ja też nie. – Jaga kiwa głową ze zdecydowaniem. – Uważam, że to nawet może być pocieszające. Nie zestarzeję się, nie zbrzydnę. Nie będę musiała rodzić dzieci, a tego bałam się zawsze okropnie. W naszej rodzinie wiele kobiet zmarło w położu, można by wręcz rzec, że to nasza rodzinna specjalność. Ja zaś umrę sobie w miarę elegancko, bez tych wszystkich wrzasków, potu i bólu. Właściwie już nic nie muszę, tylko się bawić, a przy tym czuję się naprawdę znakomicie. Czyż to nie jest pocieszające? No! Pij!

*

Wracam do pokoju tuż przed trzecią. Zdażyłam nieco wytrzeźwieć, bo szybko odstawiłam szklankę z wiśniówką i piłam tylko słaby poncz. Towarzystwo natomiast wprost przeciwnie. Zabawa rozkręcała się na całego, gdy wychodziłam. Chętnie zostałabym dłużej, gdyby nie to, że atmosfera zaczęła się robić nieco rozwiązała. Prawdę mówiąc, nie wyszłam, lecz uciekłam – nie chciałam być świadkiem czegoś, co uniemożliwiłoby mi kontakty z tymi ludźmi. Nie widzę w nich materiału na przyjaciół, ale potrzebuję znajomych.

Adam chyba śpi. Jak zwykle leży zwrócony twarzą do ściany, na lewym boku, tyłem do mnie. To nie jest jego wybór, ale zalecenie doktora – lewe płuco ma bardziej zajęte, musi je uciśkać. Taka pozycja nie ma więc nic wspólnego ze mną – gdybyśmy zamienili się łózkami, widziałabym jego twarz. Mogłabym to zaproponować, ale jeśli odmówi?

Ja też powinnam spać na lewym boku, więc tak robię. Przed zaśnięciem patrzę na plecy mojego męża.

Nagle otwieram szeroko oczy. Nie wiem, czy już spałam, czy jeszcze nie. Przez moment wpatruję się bezmyślnie w pustą poduszkę na drugim łóżku, zanim dociera do mnie, co widzę. Podnoszę się – trochę zbyt gwałtownie – i rozglądam. Adam stoi przy oknie z uniesioną twarzą. Nad Sanato świeci księżyc, niebo się wypogodziło. Srebrna tarcza jest niemal idealnie okrągła, do pokoju sączy się delikatne, blade światło. Wszystko jest w nim bezbarwne, kontury się zacieśniają. Przestrzeń składa się z plam szarości – rentgenowska fotografia wnętrza.

Adam wpatruje się w księżyc. Jego piżama wydaje się zbyt obszerna, wisi na nim niczym ubranie starszego brata. Opuścił ręce, lekko przechylił głowę. Wygląda jak dziecko, w księżycowym świetle zdaje się niemal przezroczysty – widać tylko oświetlone części ciała, reszta zlewa się z tłem. Wytłoczka.

– Adam, stało się coś? Co się stało? – pytam.

Adam milczy. Unosi ręce i dotyka firan, a potem chwyta je w obie dłonie, jakby chciał zerwać materiał.

– Wracaj do łóżka – mówię.

Pochyla głowę i puszcza białą siatkę. Jeszcze przez chwilę stoi bez ruchu, aż wreszcie odchodzi od okna. Kładzie się i opiera głowę na poduszce.

ROZDZIAŁ III

DARWIN

Czwartek, 15 października 1931 roku

Ranek przyniesie zwiększoną wrażliwość, spotęgowanie się wzruszeń, zmysłowości, skłonność do marzeń i spełniania miłosiernych uczynków.

Nadaje się do załatwiania spraw handlowych, finansowych, sądowych, policyjnych, związanych ze szpitalami, sanatoriami, więzieniami i miejscami izolacji w ogóle, a także spraw wymagających spokojnego zakończenia.

Może przynieść ekspansję towarzyską, chęć użycia i przeżycia podwójnego rodzaju.

Godziny poobiednie obiecują wpływy kosmiczne dodatnie, a także wzmagające nasze zainteresowanie – szczególnie sprawami tajemniczymi i rzeczami ukrytymi. Wieczór niestety nie najlepiej się przedstawia – zamanifestuje się groźba rozczarowań oraz lęk przed odkryciem naszych sekretów przez osoby niepowołane.

W dniu dzisiejszym wystrzegać się należy: sporów jałowych, miedzi, barwy miętowej, menad, pomieszczeń wysokich i sklepionych łukowato, osób ospałych i biernych, z kamieni – jaspisu, a ze zwierząt – gryzoni.

Wróżba wysunęła się z futuroskopu punktualnie o dziewiątej – specjalnie zjadłam śniadanie nieco wcześniej, by przed tą godziną wrócić do pokoju. Czytam ją ponownie. Wzmianka o sanatorium pasuje (*podobnie jak ta o więzieniach*), ale co to na przykład jest „menada”? „Pomieszczenia wysokie i sklepione łukowato” nasuwają skojarzenie z kościołem, a z pewnością do żadnego się nie wybieram, więc unikanie ich nie przysporzy mi kłopotu... Nad czym ja się zastanawiam? Nigdy nie wierzyłam w podobne banialuki! Odwracam kartę, odkładam ją na blat komody i widzę, że odwrotna strona także jest zadrukowana. W górnej części widnieje rysunek dłoni z szeroko rozstawionymi palcami i cyfrą 5 wpisaną w jej wnętrzu, a poniżej drobny tekst:

Astrologia prawdziwa nie zna fatalizmu, a żadne wpływy kosmiczne nie mogą ograniczać duchowej wolności człowieka, mimo to, gdy idzie o załatwianie ważniejszych spraw życiowych, lepiej podczas działania ujemnych wpływów kosmicznych zachować rezerwę.

Przestroga czy po prostu informacja? Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że to groźba – być może jestem, zgodnie z przepowiednią, przewrażliwiona. A może to właśnie przez przepowiednię? Najwyraźniej takie wróżby są całkiem skutecznym narzędziem manipulacji, bo wyraźnie czuję niepokój. Odkładam kartę i ruszam do szafy, ale zatrzymuję się w połowie drogi i wracam do futuroskopu. Podnoszę kartę i przyglądam się jej ponownie – coś nie daje mi spokoju. Och, teraz widzę! Dłoń ma sześć palców, choć przeczy temu nadrukowana na niej cyfra. Dostyc oczywista i łatwa do wychwycenia modyfikacja natury, a jednak w pierwszej chwili jej nie dostrzegłam. Poczułam tylko zaniepokojenie. Dłoń ma sześć palców, ale wyraźna, tłusta cyfra 5 uniemożliwiła mi odnotowanie tego faktu. Treść wzięła górę nad formą. Ciekawe. Chętnie pokazałabym tę fiszkę Jankowi, ale nie mogę tego zrobić. Gdyby się dowiedział, że mam coś takiego jak futuroskop, nie tylko wyśmiałby mnie, ale także stracił dobrą opinię na mój temat. Karty nie drę jednak i nie wyrzucam. Chowam ją do szuflady nocnego stolika.

Wyjmuję z szafy zapasowy pled, zabieram książkę i idę na balkon. Wyciągnięty na leżaku Adam ma zamknięte oczy i rozchylone usta. Zasnął. Teraz bardziej przypomina tego mojego dawnego mężczyznę, choć nigdy wcześniej nie wydawał mi się tak bezbronny. Przyglądam mu

się przez chwilę, a potem szczerzej okrywam go kocem. Odkładam książkę na bok, kładę się i zamykam oczy na kilka minut. Za pół godziny muszę stawić się w gabinecie Klitowicza – będą mnie prześwietlali i badali przed jutrzejszą odma.

*

– Pan ignoruje pierwiastek boski! – niemal wykrzykuje Pawłowicz, a jego gęste wąsy stroszą się jak przerażony jeź i jeszcze bardziej niż zazwyczaj kojarzą mi się ze szczotką do okruszków.

Janek z pobłażliwym uśmiechem przysuwa do siebie sosjerkę i obficie polewa sosem leżący na talerzu płat pieczonej cielęciny. Eleganckim gestem ujmuje sztucę i odkrawa wąski pasek mięsa. Wsuwa go do ust. Żuje powoli, nie spuszczać z oka Pawłowicza.

– Nie, źle! Pan go nie ignoruje! – zaperza się Pawłowicz. – Pan mu zaprzeczasz!

– A po cóż pan się tak podnieca? – pyta spokojnie Janek, przełknąwszy starannie przeżuty kęs.

– Bo to jest skandal! Pana się powinno obić za takie słowa. I to solidnie!

– Słowa – wzrusza ramionami Janek. – Słowo kości nie złamie.

– Ale może złamać wiarę!

– Jeśli kto wierzy na słowo, to i owszem – ripostuje błyskawicznie Janek, a ja pochylam szybko głowę, żeby ukryć uśmiech.

Siedzimy przy naszym stole między oknami jadalni wychodzącymi na ukryty za lewym skrzydłem Sanato ogród warzywny i poletko szachowe, z którego uprzątnięto figury, bo zanoszą się na pierwszy śnieg w tym roku. Skład stołowników nie zmienił się od dwóch miesięcy. Ja i Adam siedzimy najbliżej ściany. Za Adamem, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, Pawłowicz – zażywny jegomość w dość podeszłym wieku, który przybył tu z Wilna. Gburowate alter ego dzielnego wojaka Szwejka – kark wołu, czerwona, łysa czaszka i pokaźna tusza, ale raczej kojarząca się z worem solidnie wypchanym kartoflami niż z roztrzęsioną galaretą. Nikt z nas nie darzy go sympatią, jest bowiem skłonny do gniewu, obcesowy i chyba nigdy nie dostrzegłam na jego okrągłej, pociętej czerwonymi żyłkami twarzy choćby śladu uśmiechu. Początkowo obecność Pawłowicza nas mroziła, jednak odkąd Janek odkrył, jak łatwo można tego człowieka wyprowadzić z równowagi, zaczęliśmy całkiem nieźle bawić się jego kosztem. Obok Pawłowicza siedzi Judesa Goldman – dla odmiany cienka i długa, stanowiąca dla swojego sąsiada komiczny kontrpunkt. Prawie nigdy nie zabiera głosu, bez reszty poświęcając uwagę jedzeniu. Wcina, aż jej się uszy trzęsą, jednak im więcej je, tym bardziej chudnie. Z pewnością ma już piąty krzyżyk na karku. Układa włosy w luźny kok, który wyszedł z mody chyba jeszcze przed moimi narodzinami. Prawdopodobnie to peruka, jednak do złudzenia przypomina naturalne włosy. Mąż Judesy prowadzi ogromny tartak pod Białymstokiem. Dotąd jeszcze jej nie odwiedził. Zastanawiam się, dlaczego Judesa siedzi przy naszym stole, zamiast zająć miejsce przy żydowskim, ustawionym w wykuszu okiennym po drugiej stronie sali, ale oczywiście pytanie o to byłoby niewybaczalnym nietaktem. Obok niej – Dorcia, która przy stole szybuje raczej na skrzydłach fantazji, niż poświęca uwagę posiłkowi. Miejsce obok niej należy do Janka. Dalej siedzi Hipolit Czernis, gdańszczanin, dość bezbarwna postać zarówno pod względem wyglądu, jak i wypowiedzianych słów, które dotyczą najczęściej pogody, potraw oraz stanu własnego zdrowia. Ósmą, ostatnią osobą przy naszym stole jest leciwa Albina Korycka, w wyniku jakichś niebywale skomplikowanych genealogicznych powiązań skoligacona z Wiśniowieckimi, co podkreśla przy każdej okazji. Sposób, w jaki to czyni, sugeruje zresztą, że dla samych Wiśniowieckich koligactwo, o którym mowa, stanowi większy powód do dumy niż dla niej. Korycka do każdego posiłku okrywa plecy hiszpańskim szalem z czarnej koronki, który spina tuż pod trzecim podbródkiem kameą wielkości

pięści z wizerunkiem greckiej Diany. Postać bogini przekopiowano ze starożytnej wazy i ponoć ludzako przypomina ona właścicielkę klejnotu z okresu młodości, co wydaje mi się niewiarygodne. Gdybym miała moc kojarzenia par, ożeniłabym Pawłowicza z Korycką, a Goldmanową z Czernisem – powstałyby moim zdaniem dwa doskonale uzupełniające się stadła.

– W koncepcji Darwina, niestety, nie ma miejsca na boską interwencję – stwierdza Janek.
– Jest logiczna, spójna i kompletna, czego o dogmatach religijnych powiedzieć się nie da.

– Religia nie jest nauką! Pan miesza dwie rzeczy! – Pawłowicz uderza w stół, aż przewraca się stojąca obok jego talerza szklana solniczka.

Judesa błyskawicznym ruchem zgarnia na swój talerz prawie połowę ryżu z półmiska przeznaczonego dla nas wszystkich.

– Ja bahdzo phoszę o spokój – odzywa się Korycka. – Tego typu emocje nie sprzyjają thawieniu.

– Dobrze! – posapuje Pawłowicz. – Są pewne dowody, ja nie przeczę. Ale od mały odziera człowieka istotny szczegół! Dusza!

– Której istnienia naukowo nie udowodniono – oświadcza spokojnie Janek. – Czy mogę prosić o bakłażany?

– To, że czegoś nie widać, nie znaczy, że tego nie ma! A rozum? Jak pan wyjaśni jego genezę?

– Nie jest niczym więcej niż tylko najdoskonalszym narzędziem przetrwania. – Wzrusza ramionami. – Na drodze ewolucji natura dała tygrysowi kły i pazury, a człowiekowi intelekt. Ten ostatni okazał się skuteczniejszy, bo dziś to człowiek jest większym zagrożeniem dla tygrysa niż tygrys dla człowieka.

– Jak pan może pohównywać rozum z zębami? – gorszy się Korycka.

– Mogę, bo jedno i drugie służy temu samemu, czyli przetrwaniu gatunku. Jedyne, co jest w tym zaskakujące, to fakt, że tygrys na wyhodowanie pazurów potrzebował milionów lat, a człowiekowi na wykształcenie tak doskonałego narzędzia jak umysł starczyło ich zaledwie kilkaset.

– Ha! – triumfująco wykrzykuje Pawłowicz.

Dorcja, która znowu odpłynęła do krainy marzeń, podskakuje na krześle przestraszona.

– Mnie to akurat wydaje się oczywiste – mówię ostrożnie.

– Tak? – Janek rzuca mi życzliwe spojrzenie. – I jak pani to wyjaśni?

Pawłowicz, dla którego kobieta nie stanowi partnera w serio prowadzonej rozmowie, pochyla się nad talerzem.

– Jedna myśl rodzi następne. Te zaś kolejne i kolejne. Proces przypomina lawinę – jeden mały kamyczek porusza całe zbocze. Myśli składają się w ciągi i potężnieją. Rozum jako zjawisko jest niezwykle dynamiczny, pierwsza myśl człowieka zapoczątkowała reakcję łańcuchową, która im dłużej trwa, tym szybciej i bardziej spektakularnie przebiega. Dlatego rozwój umysłu nastąpił w tak krótkim czasie.

– Postęp geometryczny! Ciekawe, ciekawe – mruczy Janek, spoglądając na mnie figlarnym wzrokiem.

Czuję, że zaczynam się rumienić, więc śmieję się z zażenowaniem i sięgam po kieliszek z winem.

– Nie odrzucam teorii ewolucji do cna! – Pawłowicz wraca do poprzedniego wątku. – Twierdzenie jednak, że ślepa natura samoistnie stworzyła coś tak doskonałego jak kwiat, motyl czy choćby – tu potrząsa wbitym na widelec kawałkiem mięsa – krowa, jest niedorzecznością. Ten proces musiał być nadzorowany przez siłę wyższą, bo gdyby tak nie było, obok czteronogich krów po ziemi poruszałyby się krowy pięcionogie, skrzydlate albo wręcz pelzające!

– W pewnym sensie chodzą – stwierdza Janek. – Wszystkie zwierzęta pochodzą od tego samego przodka, można więc przyjąć, że krowa jest spokrewniona z gęsią, a gęś z wężem.

– Dobrze pan wie, że nie to mam na myśli! Proces ewolucji jest wszak ciągiem celowym, nie przypadkowym. A obranie celu nie jest działaniem ślepego losu. Siła wyższa nakazała roślinom przekształcić zwyczajne liście w kwiatowe płatki, zabarwić je i nadać im słodką woń. Ta sama siła kierowała zwierzętami, by z pelzających stały się latającymi. Powie mi pan może, że rośliny i zwierzęta same wpadły na takie rozwiązania?

– Pan popełnia jeden zasadniczy błąd – odzywam się niemal wbrew sobie. – Sądzi pan, że słoń porósł futrem i stał się mamutem, bo miał taką chęć i potrzebę, a nie na tym polega ewolucja. Nim słoń stał się mamutem, narodziły się tysiące pokoleń o różnych cechach. Przetrwały tylko te, które mogły przeżyć w danym środowisku. Gdy na północy klimat stawał się coraz zimniejszy, słonie bez futra i grubej skóry umierały. Te, które miały gęstsza sierść, żyły, rozmnażały się, a ich dzieci były do nich podobne. Parzyły się więc ze sobą i korzystne cechy ulegały wzmocnieniu. W ewolucji równie istotne jest to, co przeżyło, jak to, co umarło. A tego, co umarło, było znacznie więcej.

– Miliony razy więcej. – Kiwa głową Janek. – Brawo. To tak jak z młóceniem zboża. Gdy rozetrze pan kłos na dłoni, nie wybiera pan ziaren z plew, których jest wszak znacznie więcej. Wystarczy jednak silnie dmuchnąć, a łupiny odlecą, pozostawiając na dłoni czyste ziarno.

– Legumina! – wykrzykuje rozpromieniona Judesa na widok półmisek wnoszonych właśnie do jadalni przez kelnerów.

Janek zerka na nią, a potem na mnie i kiwa głową. Unosi dłoń, dmucha w nią lekko, a potem strzepuje palce. Robię karcącą minę, ale nie mogę się nie uśmiechnąć.

Skojarzenie jest zgrabne, ale nie zgadzam się z nim. W moim odczuciu niesie ze sobą pułapkę wartościowania. Dlaczego to, co przetrwało w procesie ewolucji, ma być ziarnem, czyli tym, co najwartościowsze, a gatunki, które wyginęły, mają być plewami? To nie same organizmy decydowały o tym, że się doskonała, ale warunki, w których żyły. Kopalne gady zapewne były równie złożone jak żyjące dziś gazy czy rysie – zmiana klimatu skazała je na śmierć, a nie na ułomność. Czy rzeczywiście gatunek ludzki jest najdoskonalszy? Nie wiem, bo sama jestem człowiekiem, nie znam więc innego punktu widzenia. Nie jest jednak wykluczone, że za kilkaset tysięcy lat jakaś inna, nowa cecha jakiegoś innego, nowego gatunku okaże się bardziej przydatna w walce o przetrwanie i po nas zostaną jedynie obrócone w kamień kości.

Odwracam oczy i spoglądam w okno. Tuż nad parapetem przesuwają się dach popielatej furgonetki. Auto zatrzymuje się, widzę czubek głowy wysiadającego z niego mężczyzny. Dołącza do niego drugi, stoją przez chwilę, potem znikają z pola widzenia. Słyszę metaliczny szcęk i stłumione uderzenie, gdy wiatr porywa skrzydło otwartych drzwi do pomieszczenia pod jadalnią i uderza nim o mur. Nagle dociera do mnie, że kostniczka znajduje się dokładnie pod nami, wcześniej sobie tego nie uświadamiałam.

Adam odłożył sztućce na talerz, siedzi nieruchomo, wpatruje się nie widzącym wzrokiem w przestrzeń. Jego dłoń spoczywa na stole. W nagłym odruchu przykrywam ją swoją ręką. Nie odwzajemnia uścisku. Po kilku sekundach łagodnym, ale stanowczym gestem cofa ramię.

Spoglądam znowu w okno. Głowy obu mężczyzn przesuwają się wzdłuż auta. Słychać trzaśnięcie drzwi, po chwili samochód odjeżdża.

– Kawy? – pyta Janek.

*

Ogród jest już prawie martwy. Liście róż zbrązowiały i poskręcały się na krzywych, kolczastych łodygach. Pomarańczowe, pękate kulki owoców wyglądają jak żarzące się węgielki.

Trawa jest jeszcze zielona, jednak sterczą z niej pożółkłe, suche źdźbła. Klomby okryto już słomą, której stos leży przyciśnięty deskami obok żywopłotu – jutro pewnie także różane krzewy skryją się w chochołach. Las porastający strome zbocze za ogrodem zdaje się niemal czarny. Ze sterty zagrabionych liści leniwie wypelza smużka dymu. Kontury poletka szachowego obsianego naprzemian kwadratami trawy i koniczyny powoli zaczynają się zacierać. Przygnębiająco to wygląda. Powinnam wrócić na werandę, dochodzi czternasta. Jeśli zobaczy mnie tu któraś z pielęgniarek, na pewno poinformuje Klitusia, a ten urządzi mi pogadankę.

Schodzę z alejki i staję na środku jednego z kwadratów zbrązowiałej szachownicy. Ze wszystkich figur najbardziej lubię skoczka, podoba mi się nieprzewidywalność jego ruchów – naprzód i w bok. Latem obserwowałam partię szachów, którą rozgrywali dwaj pensjonariusze. Drewniane figury sięgały im ponad kolana, szczególnie operowanie skoczkiem przysparzało kłopotów – obaj byli w podeszłym wieku. Monotonna rozrywka dla widza.

Odwracam się i patrzę na Sanato. Okna jadalni są naprzeciw mnie. Naprawdę powinnam pójść na werandę.

Schodzę z szachownicy i wracam na alejkę. Między tawułami kłębiącymi się pod ścianą budynku ciemnieje zejście do piwnicy. Strome betonowe schody prowadzą w dół, stopnie są wąskie i wysokie. Dlaczego wcześniej ich nie zauważyłam? Przystaję i przyglądam się koleinom odcisniętym w szarym żwirze alejki przez opony furgonetki. Kończą się przy schodach, są dość głębokie. Samochód nie ma tu wystarczająco dużo miejsca, by zawrócić, musi więc wycofywać się na wstecznym biegu do głównego dziedzińca. Podchodzę do schodów. Ich najniższe stopnie nikną w mroku.

Wyjmuję rękę z kieszeni futra i kładę ją na żelaznej poręczy. Szkoda, że nie zabrałam rękawiczek. Przykucam i próbuję dojrzeć drzwi prowadzące do piwnicy. Ciemno. Rozglądam się wokół i sprawdzam, czy ktoś mnie nie obserwuje, choć gdyby schował się za żywopłotem, i tak bym go nie zauważyła.

Idę na werandę – myślę, ale ruszam w dół, zupełnie jakby coś przejęło kontrolę nad moim ciałem.

Schodów jest zaskakująco dużo, kurczowo trzymam się poręczy. Chyba oszalałam, co ja wyprawiam? Przenika mnie dreszcz. Gdy docieram do poziomu piwnic, stopnie wznoszą się wysoko nad moją głową. Tutaj jest znacznie zimniej niż na górze. Teraz widzę już drzwi prowadzące do kostniczki – nie są metalowe, jak przypuszczałam, ale drewniane. Zbito je z desek przepasanych stalowymi ozdobnymi obręczami – zbyteczny w takim zakamarku ludowy akcent. Z muru nad nimi wystaje zamknięta w drucianej klatce lampa elektryczna, ale nie jest włączona. Jeśli zaraz stąd nie wyjdę i nie wrócę na werandę, napytam sobie biedy. W drzwiach nie ma klamki – jej funkcję pełni prostokątny, szeroki uchwyt zakończony sztyldem z dziurką od klucza. Na pewno są zamknięte. Kładę rękę na uchwycie i popycham – najpierw delikatniej, a po chwili mocniej. Nic z tego, oczywiście są zamknięte. Jak mogłyby nie być zamknięte? Czuję ulgę, ale i cień zawodu oraz przyływ odwagi – mogę sobie na nią pozwolić, skoro i tak na nic mi się nie zda. Cofam rękę a wtedy drzwi odchylają się o parę centymetrów – otwierają się na zewnątrz, nie przewidziałam tego. Albo nie chciałam przewidzieć. Czuję na twarzy gorący powiew powietrza z wnętrza. Oglądam się za siebie nerwowo, nabieram tchu i popycham skrzydło. Uchyła się bezszelestnie.

Pomieszczenie ma identyczny obrys jak leżąca nad nim jadalnia, jest jednak znacznie wyższe. Ścian nie otynkowano, sklepienie wspiera się na czterech kolumnach biegnących rzędem przez środek. Przypomina mi gotyckie lochy – w miejscach takich jak to trzymano w średniowieczu skazańców. Brakuje tylko zardzewiałych łańcuchów, kupki przegniłego siana i stłuczonego glinianego garnka. Umieszczone wysoko okienka, zasłonięte częściowo przez tawuły, przepusz-

czają do wnętrza blade, miękkie światło, które sprawia, że kostniczka wydaje się większa – jej zakamarki giną w mroku. Próbuję znaleźć włącznik światła przy drzwiach, musi tu być, ale go nie odnajduję. Ciaśniej owijam się futrem i robię kilka kroków w głąb piwnicy, przekonana, że będzie tu zimno, bo przecież powinno, skoro podziemie pełni funkcję kostnicy. A jednak się mylę – w pomieszczeniu jest wręcz gorąco.

– Jest tu kto? – pytam idiotycznie.

Cisza.

Między kolumnami ustawiono stoły. Zwyczajne stoły jadalniane na kabriolowych nogach. Prawdopodobnie to poprzednie stoły jadalniane, bo te okrągłe, z których korzystamy, są zbyt nowoczesne, by używano ich od początku istnienia Sanato. Zresztą pod ścianą w jadalni wciąż jeszcze stoi potężny staroświecki kredens – część kompletu, który właśnie oglądam. Błaty są puste, ale tego byłam pewna, skoro furgonetka odjechała zaledwie godzinę temu. Zabrała stąd wszystko, co było do zabrania. Po jakie lichy tu przyszedłam?

Ostrożnie przechodzę między stołami. Nagle czuję, że stąkam po czymś miękkim.

W ułamku sekundy włosy jeżą mi się na głowie i z trudem powstrzymuję krzyk, a przecież to tylko jakaś szmata. Schylam się i podnoszę z podłogi prześcieradło. Zwyczajne białe prześcieradło z egipskiej bawełny, takie samo jak te, na których sama tu sypiam. Tkaninę pokrywają czarne, sztywne plamy – nie muszę się zastanawiać, skąd się wzięły, bo to oczywiste. Ze wstrętem odrzucam tkaninę i otrzepuję ręce. Mój wzrok pomału przyzwyczajają się do półmroku. W piwnicy jest tak gorąco, że pot występuje mi na czoło. Zdejmuję futro i ostrożnie odkładam je na pobliski stół, przesuwając wcześniej dłonią po blacie, by upewnić się, że jest w miarę czysty.

Na podłodze obok drzwi prowadzących do dalszej części piwnic i na klatkę schodową wiodącą na parter budynku leży więcej pościeli. Całe zwały. Dostaję gęsiej skórki. Chyba nie trzymają brudów razem ze zwłokami? To byłoby potworne. Czy więc nie jest to już pościel, lecz... Co? Całuny? Prześcieradła są splamione krwią – teraz czuję jej metaliczny, słodkawy zapach wymieszany ze smrodem kału, uryny i natrętnym fetorem zastarzałego potu. Przyciskam dłoń do ust, odwracam się i spoglądam wprost na okrągłą puszkę włącznika zamontowaną na najbliższej kolumnie. Obracam porcelanowe skrzydełko. Wysoko, pod łukowato sklepionym sufitem rozblaskują lampy. Zalewają pomieszczenie ostrym blaskiem, który oślepia mnie na chwilę. Mrużąc oczy, zerkam znowu na stertę bielizny. Prześcieradła, poszwy, ręczniki. Nie wszystkie są splamione krwią. Dlaczego je tu przyniesiono? Nie leżą, jak przedtem mi się zdawało, bezpośrednio na posadzce, ale w niskich, zbitych z desek korytach. Sterty ciągną się po obu stronach drzwi, chociaż... Przechodzę na prawo. Tu w korytach leżą płócienne worki związane ciasno ściągniętymi bawełnianymi taśmami. Dziesiątki worków. Na taśmach czerwoną farbą namazano jakieś cyfry. 7. 23. 41. To numery pokojów! Kto zajmował siódmkę? Nie mam pojęcia. Ale pamiętam mieszkankę pokoju numer 23, choć nie wiem, jak się nazywała. Młoda dziewczyna, chorobliwie nieśmiała, garbiła się. Co jest w tych workach? Czytam cyfry wypisane na tasienkach. 33. 10. 36. A ten? 27. Martwieję. Krew odpływa mi z twarzy i pomimo gorąca, jakie tu panuje, przenika mnie lodowaty dreszcz. Przez sekundę podłoga kołysze się podę mną, jakbym stała na pokładzie okrętu (*liniowca*). Potrząsam głową, łapczywie, głośno wciągając powietrze do płuc (*moich biednych*), przełykam głośno ślinę i podnoszę worek oznaczony numerem 27. Jest lekki.

Kładę torbę na jednym ze stołów i drżącymi palcami usiłuję rozsupłać taśmę. Wreszcie mi się to udaje. Odczekuję kilka sekund, próbując uspokoić oddech, i rozluźniam taśmę, a potem wytrząsam zawartość worka (*pokój 27*) na porysowany blat. Złożona starannie jedwabna, popielata tkanina zsuwa się miękko na stół, światło połyskuje w jej zagięciach. W ustach robi mi się sucho, wyciągam zlodowaciałą dłoń i rozprostowuję materiał. Na stole leży męska elegancka

piżama. Piżama Adasia. Cały przód koszuli pokryty jest zaschniętym rozbryzgiem krwi. Zakrywam rękami usta, światła nagle ciemnieją, nogi uginają się pode mną, a mój własny krzyk słyszę z oddali – brzmi, jakbym krzyczała w poduszkę. Uderzam policzkiem o zimną kamienną posadzkę i wszystko gaśnie.

*

– Teraz już, choćbyś nie wiem jak bardzo tego chciał a, nigdy się ode mnie nie uwolnisz – mówi Adam z uśmiechem i pod stołem trąca lekko swoim trzewikiem moją łydkę.

– Nigdy nie będę chciała – odpowiadam i zaciskam jego stopę między nogami.

Pomimo szumnej obietnicy umieszczonej na szyldzie wiszącym nad wejściem do lokalu Café okazuje się zwyczajną, typową niemiecką piwiarnią – w dodatku jedną z tych mniej eleganckich. Długie stoły, beczki z piwem pod ścianą, biuściasta kelnerka w pseudobawarskiej, bufiastej bluzce odsłaniającej ramiona. Ma zbyt poróżowione policzki i przedwcześnie postarzałe, zmęczone oczy. Kielbasa, golonka, kapusta – z deserów jedynie strudel jabłkowy, ale wcale mi to nie przeszkadza. W końcu to nasz miesiąc miodowy. Kiedy miałabym być szczęśliwsza niż w tych dniach? Nasi znajomi pukali się w czoła, gdy oznajmiliśmy, że spędzimy pierwsze dni małżeństwa w Berlinie – mało szykowna ekstrawagancja, ale to właśnie nam się spodobało w tym pomysle. Adam wybrał znakomity hotel, niczym nieustępujący francuski – i tak prawie go nie opuszczaliśmy przez ostatnie pięć dni, więc co za różnica, że mieści się w kamienicy stojącej przy „strasse”, a nie przy „rue” czy „via”.

– A jeśli cię znudzę? – pyta Adam.

– To wezmę sobie kochanka. – Wzruszam beztrusko ramionami i zaśmiewam się głośno, szczerze ubawiona własnym żartem, ale widząc jego posępną minę, dodaję poważniej: – Zresztą nigdzie nie jest powiedziane, że to ty nie znudzisz się mną pierwszy. Mężczyźni są mniej stali od kobiet.

– Ja nigdy cię nie opuszczę. Nigdy! Zawsze będę przy tobie – oświadcza mój mąż zbyt głośno i nieco napsuszonym głosem.

– Nigdy i zawsze to z gruntu puste słowa – odpowiadam, siląc się na żartobliwy ton, choć rozmowa przestaje mi się wydawać zabawna. – A co byś zrobił, gdybym umarła? Ukryłbyś moje zwłoki w pokoju gościnnym, ustroił w poślódkę suknię ślubną i tańczył nocami walca, trzymając je w objęciach?

– Nie umrzesz pierwsza – Adam mruga nerwowo. – Przysięgnij!

– Wcale nie zamierzam. – Wzdycham z lekkim zniecierpliwieniem. – Cóż za absurdalna rozmowa! Wiesz co? Zmęczyło mnie to miasto, wyjedźmy. Jutro rano!

– Dokąd?

– Dokądkolwiek. Do Monachium albo do Lyonu. Pojedźmy do Egiptu!

– Ale tu jest zapłacone – oznajmia Adam ze zdumioną, zgorszoną miną.

Zupełnie jakby sprawa opłacenia kilku kolejnych nocy w hotelu była niezbitym i ostatecznym argumentem – niczym wyrok śmierci lub siła ciężenia.

– Przecież tylko żartowałam – mruczę.

Oddycha z ulgą. Adam jest okropnie zasadniczy i niestety nie odznacza się silnie rozwiniętym poczuciem humoru – zdumiewające odkrycie, którego dokonałam w ostatnich dniach. Kocham go, jestem tego pewna, jednak poczułam pewne rozczarowanie. Jak to możliwe? Nikt mnie nie uprzedził, że ktoś, kogo pokocham, może nie spełnić wszystkich moich oczekiwań. W książkach, które czytywałam, w oglądanych filmach, w teatrze i operze miłość rozwiązuje wszystkie problemy i jest ostateczna. To drugie moje rozczarowanie stanem małżeńskim – pierwszym była noc poślubna. W tych naszych intymnych spotkaniach Adam jest dziewczęco delikat-

ny, jego dotknięcia przypominają muśnięcia skrzydeł motyla, a wilgotne pocałunki kojarzą mi się z przesuwaniem po wargach jedwabnej tkaniny. Gdzie ten dziki żar opisywany w powieściach? Niepohamowana żądza i ogień namiętności? Gdyby ktoś wysypał na moje nagie ciało zawartość rozprutej pierzyny, dostarczyłoby mi to podobnych wrażeń jak obcowanie z Adamem – miła i zabawna chwila, która niestety nie obiecuje kulminacji i nie przynosi rozładowania, lecz jedynie rodzaj męczącej dezorientacji i apetyt na więcej. Chciałabym, aby porwał mnie w ramiona, zdarł ze mnie ubranie i cisnął na podłogę – tak przynajmniej myślę, bo gdyby przyszło co do czego, być może rzuciłabym się na niego z pięściami lub ugodziła go w ciemność świecznikiem. Łatwo jest wyobrazić sobie przebieg wydarzeń, znacznie trudniej – własne emocje, których doświadcza się w ich rezultacie. Przekonałam się już o tym.

Mój mąż przygląda mi się z lekką podejrzliwością.

– Kocham cię – mówię więc na wszelki wypadek.

– JA ciebie kocham – oznajmia natychmiast, kładąc nacisk na zaimek, tym samym podając w wątpliwość prawdę moich słów. – MOJE serce należy do ciebie.

Później będę się wielokrotnie zastanawiała, czy już wiedział, że tuż obok MOJEGO serca nosi w swojej piersi coś jeszcze, co niebawem także mi ofiaruje...

*

Posadzka jest zimna – chłód przenika mój policzek, czuję go na zębach. Otwieram oczy, przez moment bezmyślnie przyglądam się wygiętej nodze stołu, a potem przenoszę wzrok wyżej, na pocięty głębokimi rysami spód mebla. Coś szura za moimi plecami, wyraźnie słyszę szelest. Przymyślnie w mgnieniu oka i siadam, oglądając się za siebie. Wzdłuż drewnianego obramowania koryta z brudną bielizną maszeruje szczur. Jest chudy, ma zmierzwione futro. Gdy na niego spoglądam, zastyga w bezruchu i wyszczerza żółte zęby, a potem rzuca się do ucieczki. Przyciskam dłoń do ust i tłumię okrzyk obrzydzenia. Jestem w kostniczce, pamiętam. Przemarzałam, bo teraz jest tu znacznie chłodniej.

Wstaję, sięgam po futro, otrzepuję je i narzucam na ramiona. Odgarniam włosy z czoła. Robię to machinalnie – tylko po to, aby zyskać na czasie. Zgubiłam spinkę. Dopiero po dłuższej chwili znajduję w sobie dość odwagi, by spojrzeć na stół. Popielata koszula leży tak, jak ją zostawiłam – przed chwilą, godzinę temu, dwie? Nie zabrałam zegarka. Teraz widzę, że nie jest to góra od piżamy Adama. Jak mogłam się tak pomylić? Kapotka zapina się po damsku, odcień także jest nieco inny. Poza tym Adam nigdy nie wcisnąłby się w tę koszulę, jest zbyt mała. Czy ja zwariowałam? Sięgam po tasienkę i ponownie sprawdzam zapisany na niej numer. To wcale nie 27, ale 22, wzrok mnie oszukał. Zaśmiewam się półgłosem, dźwięk odbija się od ceglanych ścian i wraca do mnie szczekliwym echem. Chyba naprawdę oszalałam! Co mnie tu przyniosło?

Unoszę koszulę dwoma palcami i próbuję ukryć w płóciennym worku, unikając przy tym dotykania zastygłych na tkaninie skrzepów krwi. Nie jest to proste, ale wreszcie mi się udaje. Ściągam tasienki i rzucam worek na stertę innych. Makabryczny magazyn. Po co zbierają te rzeczy? Czy nie lepiej byłoby je od razu spalić?

Nie mam ochoty wdrapywać się schodami prowadzącymi do ogrodu za budynkiem, zresztą po zgaszeniu światła musiałabym przejść w ciemności kilka metrów dzielących kolumnę od wyjścia, a wcale mi się to nie uśmiecha. W dodatku całe ciało mam obolałe od leżenia na lodowatej posadzce. Mogę wyjść drzwiami prowadzącymi do budynku, przy odrobinie szczęścia nikt mnie nie zauważy. Sprawdzam, czy nie zostały zamknięte na zasuwę – nie. Otwieram je na oścież, w sionce wiodącej do klatki schodowej świeci lampa. Wracam do stołu, spoglądam na zniszczony blat – dopiero teraz widzę, że zdarto z niego fornir. Nie, odwrócono go po prostu – są otwory po śrubach. Po co zadano sobie tyle trudu? Nawet jeśli mebel był porysowany albo popla-

miony, jakie ma to znaczenie, skoro teraz pełni funkcję katafalku, w dodatku chwilowego? Dziwaczne. Kucam i zaglądam pod spód. Tak, blat odwrócono. Fornir nie został porysowany, lecz pocięty jakimś ostrym narzędziem. Nożem? Jeśli tak, musiał być wyjątkowo ostry – cięcia są proste, wąskie i głębokie. Podnoszę się, spoglądam przez ramię na wejście do sieni. Pusto. Łapię brzeg blatu i próbuję go unieść – ustępuje łatwo, nie przykręcono go do ramy na stałe. Chwytam rant obiema rękami, podnoszę. Rozsuwam ręce i czuję śliską wilgoć pod palcami. Przeszywa mnie dreszcz obrzydzenia, płat drewna wymyka mi się z dłoni i z hukiem uderza kantem o podłogę. Przez ułamek sekundy stoi na krawędzi, a potem przechyla się i z ogłuszającym łupnięciem spada na kamienną posadzkę, odsłaniając spód. W powietrze wzbija się tuman kurzu. Grzmot pewnie słyhać było nawet na poddaszu, zaraz zbiegną się tu wszyscy, ale nie dbam o to. Ze zgrozą przyglądam się swoim palcom – są umazane krwią. Żołądek podjeżdża mi do gardła. Z jękiem obrzydzenia dopadam koryt z bielizną, sięgam po najmniej zabrudzone prześcieradło i wycieram w nie ręce. Co za ohyda, umyli wierzch, ale nikt nie zajrzał pod spód. Ciskam szmatę na stertę. Dosyć tego. Cud, że jeszcze nikt się tu nie zjawił i mnie nie przyłapał. Nie ma mowy, żebym umieściła blat z powrotem na ramie, trudno. Zresztą co mi zrobią, nawet jeśli się zorientują, że tu byłam? To ja mogłabym przysporzyć im problemów, a nie oni mnie, bo rzeczy, które tu odkryłam, tyle mają wspólnego z jakąkolwiek higieną (nie *wspominając o szacunku dla zmarłych*), ile żaba z pługiem. Wyglądam do sieni i nasłuchuję – cisza. Stół. Przez chwilę przyglądam się ramie opartej na staromodnie wygiętych nogach à la Ludwik Wątpliwy, jak nazywał mój ojciec ten styl. Co mnie podkusiło? Zbliżam się i patrzę na odsłonięty spód. Nacięcia robią wrażenie chaotycznych, lecz takie nie są. Układają się w napis, z furią wyżłobiony w drewnie. Sanato. Idiotyczne, po co ktoś wyciąłby nazwę sanatorium na stole? Sanato...

A jednak nie. Litery są przestawione. Wydrapane w blacie słowo to Satano. W esperanto oznacza szatana, wiem to, bo mój ojciec gorąco wierzył w koncepcję lingva internacia. Próbował mnie nakłonić do nauki tego sztucznego języka, ale wydawało mi się to bezcelowe. Sprawdziłam tylko co ciekawsze słowa w słowniku, szukając oczywiście tych nieprzyzwoitych, jednak ku mojemu rozczarowaniu okazało się, że w esperanto nie ma przekleństw. Choć może nie było ich po prostu w naszym słowniku? Wątpię. Zamenhof był idealistą, chciał zaprojektować język doskonały, w nim nie mogło być miejsca na wulgaryzmy. Szatan. Głupi żart.

– Szatan. Głupi żart – mówię na głos.

Dźwięk dociera do ścian, lecz nie wraca do mnie, zupełnie jakby został przez nie wchłonięty. Przez ułamek sekundy nic się nie dzieje i nagle słyszę – choć nie, tego właściwie nie słyhać, raczej CZUJĘ – coś, co dałoby się porównać z odgłosem wyciąganego z butelki korka. Pop! Natychmiast znowu dostaję gęziej skórki na ramionach. Śmierdzące powietrze wokół mnie tężeje, czuję rosnące w uszach ciśnienie – zapada absolutna, martwa cisza. Zachłystuję się z irracjonalnego przerażenia, odwracam na pięcie i wybiegam do sieni, nie zważając nawet na to, że nie zgasiłam światła w piwnicy. Kłuje mnie w uszach, otwieram szeroko usta, żeby wyrównać ciśnienie. Zdaję sobie sprawę, że mój lęk jest absurdalny, ale nie umiem go opanować – jeszcze chwila, a dostanę ataku paniki. Dobiegam do schodów. Futro zsuwa mi się z ramion, przytrzymuję je w ostatniej chwili. Wspinam się – docieram do szerokiego podestu zastawionego wzdłuż ściany regałami, na których piętrzą się jakieś pudła – nawet na nie nie patrzę, biegnę wyżej. Dopadam drzwi na szczycie schodów, naciskam kłamek. Gdzie jestem? Kolejny korytarz. Czuję zapach gotowanych potraw – kuchnia, czyli to nadal piwnice, bo mieści się ona we frontowej suterenie, pod głównym holem. Próbuję złapać oddech. Ucisk, który czułam w uszach, znika. Teraz już ostrożnie stąpom korytarzem, słyszę szcęk talerzy i chichot jakiejś dziewczyny. Gdzieś tu powinny być...

– Pani. Czego ty tu znowu? – niski, przeciągły głos rozlega się tuż za mną, prawie dostaję

ataku serca z przerażenia, a przed oczami miga mi wir czarnych płatków.

W korytarzu za mną stoi chłopak kucharki. Jego szeroka twarz jednak nie wydaje mi się w tej chwili pogodna. Sprawia wrażenie zagniewanej. W końcu to po prostu twarz głupka, a tacy potrafią być niebezpieczni. Przypomina mi się nagłówek z „Kuriera Warszawskiego” sprzed roku: „Wariat hasa po mieście!”. Artykuł informował, że ze szpitala psychiatrycznego zbiegł jeden z pacjentów – ogłuszył sanitariusza miską, następnie przebrał się w jego strój i jakby nigdy nic opuścił teren zakładu. Tytuł był krotocwilny i wywołał moje rozbawienie. Później okazało się, że nim zdołano pochwycić tego mężczyznę, zamordował dwie służące na Mokotowie.

Chłopak gapi się na mnie spođe łba. Opuszczam wzrok na jego pokryte odciskami i strupami ręce. Palce są krótkie i grube, mocne jak korzeń dębu, dłonie szerokie jak łopaty. Gdyby zechciał, rozdarłby mnie na strzępy gołymi rękami. Ta myśl budzi strach, ale i lekki zawrót głowy, podobny do tego, jaki odczułam kiedyś w lunaparku podczas przejażdżki na diabelskim młynie. A może nie było to w lunaparku... Pamiętam nasz pokój, lniany obrus leżący na podłodze i porcelanowego Chińczyka za szybą serwantki... (CHRUP). Żołądek kurczy mi się nagle, potrząsam głową. Szybko oblizuję zaschnięte usta i próbuję się uśmiechnąć.

– O, jak dobrze, że cię spotykam. Zabłądziłam – mówię, siląc się na beztroski ton. – Szłam do kawiarni.

– Do kawiarni... – Chłopak zasepia się mocniej i myśli z wysiłkiem.

– Pani, ciebie trzeba, żebyś ty sobie poszła stąd precz. Bo one się chcą bawić z panią i z tymi innymi paniami i panami, a to nie są dobre zabawy, te ich zabawy.

Milknie. Mierzy mnie ciężkim spojrzeniem, a ja czuję, że teraz dla odmiany robi mi się gorąco. Ten chłopak nie jest niedorozwinięty, ale po prostu pomyłony. Moje kolana miękną, opieram się o ścianę i próbuję się zdobyć na uprzejmy, beztroski uśmiech. Nieszkodliwa, łakoma panusia. Uśmiech jest ważny – trudniej zdobyć się na niecny czyn wobec kogoś, kto jest przyjazny i uśmiechnięty, niż wobec kogoś przerażonego i ponurego – tak mi się przynajmniej zdaje.

– One są same. To dobre dzieci. Ale same tyle lat – mówi wreszcie, marszcząc z wysiłkiem rzadkie brwi.

W odpowiedzi kiwam tylko głową. Nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Dlaczego jestem taka wystraszona? Wystarczy przecież krzyknąć, a zbiegnie się połowa personelu.

– Miałam tylko ochotę na ciastko – odzywam się wreszcie drżącym głosem.

– Aaaaa! Ciastka! Mama ino co zrobiła. Dobre ciastka – rozjaśnia się chłopak kucharki i w szerokim uśmiechu odsłania popsute zęby.

Macha ręką, nakazując mi, bym poszła za nim, a ten nagły gest sprawia, że z ust wrywa mi się krótkie piśnięcie przestraszonej myszy. Odwraca się do mnie plecami i odchodzi. Wypuszczam wstrzymany oddech. Znowu pokazuje mi, żebym szła za nim, ruszam więc na drżących nogach w bezpiecznej odległości. Za załomem korytarza są schody prowadzące na parter. Chłopak puszcza mnie przodem, omijam go szerokim łukiem, szorując barkiem o ścianę. Futro znowu niemal spada mi z pleców, kurczowo zaciskam palce na kołnierzu.

– Ciastka – mówi i wskazuje łapskiem schody. – Mama ino co...

– Dziękuję – udaje mi się wydukać.

Na łeb, na szyję pędzę po schodach, nawet się nie oglądam za siebie. On jest silny, ale ja jestem szybsza – widziałam, jak się porusza.

Wbiegam do holu i na widok foteli stojących pod oknami niedaleko wejścia chce mi się płakać z radości – jestem zupełnie wytracona z równowagi. Rozglądając się ukradkiem, docieram do dyżurki pielęgniarek. Nikogo nie ma. Przeglądam się w lustrze osadzonym w ścianie holu – wyglądam jak nieboskie stworzenie. Policzek mam brudny, zakurzone, potargane włosy. Próbuję się doprowadzić do ładu. Wsuwam ręce w rękawy futra, zapinam je, stawiam wysoko kołnierzy,

ukrywając w nim twarz, a potem szybkim krokiem ruszam w stronę szerokich schodów wiodących na piętro. Gdy wchodzę na pierwszy stopień, odzywa się gong informujący, że za piętnaście minut zostanie podana kolacja. Spędziłam w piwnicy prawie pięć godzin! Jak to możliwe? Musiałam być nieprzytomna znacznie dłużej, niż mi się wydawało. Kości i mięśnie bolą mnie tak, jakbym została pobita lub spadła z wysokich schodów.

W pokoju zrzucam futro na podłogę i idę prosto do kąta z umywalką. Zamaszystym gestem zaciągam kotarę i odkręcam wodę. W samą porę – słyszę ciche skrzypienie uchylanych drzwi balkonowych i kroki w pokoju.

– Nusiu, to ty? – pyta Adam, stając tuż przed zasłoną.

W lustrze widzę za sobą zarys jego sylwetki, rozmytą ciemną plamę na jasnej zasłonie. W odbiciu wygląda trochę jak mój wyolbrzymiony cień.

– Tak.

– Gdzie ty byłaś? Bałam się, że coś...

– Zasnęłam na leżaku – kłamię szybko.

– To dobrze. Trzeba, żebyś dużo spała – głos Adama cichnie.

– Zaraz kolacja. Przebierz się – mówię.

Obmywam twarz chłodną wodą, czeszę włosy, a potem spinam je wsuwkami leżącymi w miseczce na półce pod zwierciadłem.

– Wariatka – szepczę cicho do swojego odbicia.

Sięgam do zapięcia sukienki – jest całkowicie uwalana kurzem. Zastygam w bezruchu, a serce znowu podjeżdża mi do gardła.

Guzików nie ma. Zostały po nich tylko strzępy nitek. Tkanina w kilku miejscach jest zerwana. Schylam się i próbuję obejrzeć bok ubrania. To niemożliwe, przecież mój upadek na podłogę nie mógł jej tak zniszczyć... Błyskawicznie podciągam sukienkę i gwałtownym ruchem zdejmuję ją przez głowę. Wsuwki zaczepiają się o tkaninę i wypadają z włosów. Jedna z nich łąduje w umywalce. Światło migocze w zdobiących ją zielonych kamykach, gdy spinka zsuwa się po białej pochyłości, by zniknąć w odpływie, nie zwracam jednak na nią uwagi. Rzucam sukienkę na podłogę, zadzieram halkę i zsuwam nieco majtki. Na moim biodrze czerwieni się pięć owalnych krwiałków – cztery bliżej pępka i jeden z boku. Jutro zamienią się w czarne siniaki. Nie trzeba tu detektywa, żeby zgadnąć, co je spowodowało. Przytrzymuję zębami skraj zadartej halki i próbuję dopasować dłoń do wybroczyn na mojej skórze. Pasuje, choć jest zbyt mała, nie mówiąc o tym, że także zbyt słaba, aby mogła pozostawić takie ślady. Ręka, która je zostawiła, musiała być znacznie silniejsza. I szersza. Szeroka (*jak łopata*).

Zdejmuję halkę i biustonosz. Staję przed lustrem niemal naga, żałuję, że zawieszono je tak wysoko. Próbuję obejrzeć swoje ciało, obracam się, wykręcam kark. Przez moje plecy biegną pręgi. Może uderzyłam się przy upadku? Wykluczone. O co? To mogą być szramy zadrapań. Albo ślady razów. Próbuję dosięgnąć ich palcami, jednak mi się nie udaje. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że ból mięśni, który czuję, wcale nie wziął się z tego, że leżałam przez dłuższy czas na kamiennej posadzce. Ktoś mi coś zrobił. Coś złego. Krzywdę. Ktoś zrobił mi krzywdę. Piekące łzy napływają mi do oczu, ale na cóż się one zdadzą? Ze wszystkich sił próbuję stłumić suchy szloch, szybko odkręcam kurki z wodą, żeby Adam go nie dosłyszał. Co mogę zrobić? Komu się poskarżyć? Komu o tym powiedzieć? Nikomu. Wsuwam drżące palce do majtek, dotykam się, próbując odszukać kolejne źródło bólu, ale nie czuję go. Mikroskopijna ulga, choć przecież brak otarć tam nic nie oznacza, nie daje żadnej pewności. Łzy płyną mi po policzkach, kapią z nosa. Pochylam się i oplukuję twarz zimną wodą. Nic nie mogę z tym zrobić. Nic. Nie czułam podobnej bezsilności nawet wtedy, gdy od lekarza w Warszawie usłyszałam po raz pierwszy diagnozę. Najgorsze, że nie czuję złości, lecz jedynie strach. Jestem słaba.

– Idziesz? – pyta Adam.

– Za moment – staram się mówić spokojnym tonem, co przychodzi mi zadziwiająco łatwo. – Wiesz, ty zejdź. Ja zaraz dołączę.

Nasłuchuję, wstrzymując oddech. Przez kilka sekund za kotarą panuje cisza, ale wreszcie rozlegają się jego kroki, a po chwili szczeka zapadka zamku w drzwiach. Powolnym ruchem sięgam po ręcznik. Zwijam go w ciasny rulon, zagryzam na nim zęby, zaciskam powieki i wyję z całych sił. Pomaga, ale oczywiście natychmiast dostaję ataku. Ręcznik upada na podłogę, opieram się rękami na krawędzi umywalki i kaszlę. Wydaje mi się, że ta seria mokrych, bulgoczących śluzem spazmów nigdy się nie skończy, ale wreszcie udaje mi się złapać oddech. Zginając się wpół, odkrztuszam flegmę i beznamietnym wzrokiem obserwuję plamę jasnej czerwieni spływającą po porcelanie. Wypłułam płuca, szkoda, że nie do końca. Wir wody porywa szkarłatne pasemka, spływają do kanalizacji. Mój pierwszy raz, a wciąż chyba miałam irracjonalną nadzieję, że jednak mnie to ominie. Czy od dziś będę musiała nosić przy sobie spluwaczkę, korzystać z niej podobnie jak Adam i Dorcia? Mam ją, leży w walizce na samym dnie. To prezent od Adama – gdy mi ją wręczył, mało brakowało, a roztrzaskałabym mu flakon na głowie. Ładny przedmiot, z korkiem od Lalique’a w kształcie stylizowanej makówki.

– Niestety, ani Baccarat, ani Lalique nie produkuje jeszcze spluwaczek – wyjaśnił zmarłym, absurdalnie poważnym głosem Adam. Ten korek uprzednio zamykał puszkę na talk, szlifierz dopasował go do zakrętki. – Jak to możliwe, że ani Baccarat, ani Lalique czy choćby nawet Loetz nie produkuje spluwaczek? Wszak jest taki chłonny rynek...

Nie wiedziałam, czy się roześmiać, czy rozplakać. Pokiwałam więc tylko głową z udawanym smutkiem, lecz zabrakło mi aktorskiego talentu, by udać wdzięczność i podziękować za prezent. Będę teraz musiała nosić przy sobie torebkę, bo gdzie ukryję tę płaską butelkę? Chyba żebym poprosiła krawcową o przerobienie ubrań i doszycie w nich sekretnych kieszeni...

Spłukuję starannie umywalkę, ocieram twarz i znowu poprawiam włosy.

Co mogę zrobić? Nic. Nikomu nie mogę powiedzieć. Nikt mi nie pomoże. Nic mi nie pomoże. Nikt się za mną nie ujmie.

Podnoszę sukienkę z podłogi i podchodzę z nią do lampy stojącej na komodzie obok futroscopu. Odchylam szklany klosz i w świetle nagiej żarówki z uwagą oglądam ubranie. Na tkaninie jest więcej śladów – kurz, wtarty brud. Z tyłu, na wysokości pośladków odkrywam dużą, owalną plamę, która kształtem przypomina podeszwę buta. Macam się po plecach i czuję obolałe miejsce pod krzyżem. Z gardła znowu wyrывa mi się krótki szloch, ale oczy mam suche. Z tyłu sukienki znajduję kilka mokrych plam, a posadzka w piwnicy na pewno była sucha. To nie krew. Przez sekundę chcę podnieść materiał do twarzy i powąchać go, ale na samą myśl o tym dopadają mnie mdłości. Co mam zrobić? Nie oddam podartej sukienki do pralni, a nie mogę wyrzucić z takimi plamami. Wyprać? To dopiero wzbudziłoby zainteresowanie – i Adama, i pokojówki. Zwijam sukienkę w ciasny kłębek razem z halką i majtkami, które z tyłu też – co dopiero odkrywam – są wilgotne. Wciskam pakunek w róg szafy, za walizki. Jutro schowam go pod futrem i wyniosę do ogrodu. Może znajdę jakiś dół, może jeszcze będą palić liście? Mogę też wrzucić go do rowu obok drogi przy bramie wjazdowej. Zastanowię się.

Zdejmuję z wieszaka zielony komplet i ubieram się przed lustrem. Szczęśliwy traf, że ani na twarzy, ani na rękach nie mam siniaków – żadnych śladów w widocznych miejscach. Podejrzewam jednak, że nie jest to ani uśmiech łaskawego losu, ani przypadek. Zapinam naszyjnik z bursztynami (*très Pologne*), narzucam na ramiona wełniany żakiet i wychodzę z pokoju.

*

Nieruchomym wzrokiem wpatruję się w połówkę przekrojonego jajka gotowanego na

twardo, które leży na moim talerzu. Machinalnie przesuwam widelcem ziarnko zielonego groszku, kreśląc w rozmazanym majonezie zawile linie. Janek chyba się zorientował, że coś jest ze mną nie w porządku, bo ukradkiem mi się przygląda. Szybko próbuję wziąć się w garść i uśmiechnąć do niego, ale odwraca oczy.

– Zastanawiałam się nad rozmową – oznajmia Dorcia.

– Jakąż rozmową, moje dziecko? – pobłażliwie uprzejmym tonem odzywa się Albina.

– Dzisiejszą. O Darwinie – wyjaśnia Dorcia.

Czy ta rozmowa naprawdę toczyła się dzisiaj? Mam wrażenie, jakby minęły od niej tygodnie.

– O! I co wymyśliłaś? – pyta Janek.

– Bardzo prosto można pogodzić oba punkty widzenia.

– To znaczy?

– Boga i Darwina – wyjaśnia Dorcia. – Jeśli założymy, że to Pan Bóg wymyślił ewolucję, wszystko się złoży w logiczną całość. Jeśli przyjmiemy, że jego pomysłem na stworzenie świata był mechanizm ewolucji, a nie Adam i Ewa w raju.

– Słusznie – stwierdza Janek. – Muszę cię, co prawda, nieco rozczarować, bo twoja koncepcja jest niemal równie stara jak teoria Darwina, niemniej to, że sama na nią wpadłaś, budzi podziw. I w pewnym sensie nawet biblijny raj da się pod nią podciągnąć.

– W Biblii nie ma ani słowa o ewolucji – oświadcza Pawłowicz poirytowanym tonem.

– Ale to nie Bóg ją napisał.

– No, tego już dophawdy zbyt wiele! – Korycka z głośnym brzęknięciem rzuca nóż na talerz.

– Czyli pani zdaniem autorem Starego i Nowego Testamentu jest sam Pan Bóg? – rozba-
wionym tonem pyta Janek.

– Słucham? To jest po phostu... Tak! W pewnym sensie, oczywiście.

– Tak? A jakim alfabetem się posługiwał?

– Pan przekracza wszelkie granice. – Korycka obronnym gestem zamyka w dłoni zapiętą pod szyją kameę z wizerunkiem nagiej Diany.

– Zapewne polskim?

– Hebrajskim – niespodziewanie odzywa się zmęczonym głosem milczący na ogół Hipolit Czernis.

Judesa nerwowo łypie okiem w jego stronę i szybciej zaczyna przeżuwać kęs pasztetu. Od słowa do słowa przy stole wybucha sprzeczka, przestają się jej przysłuchiwać.

Co mogę zrobić? Nie wiem nawet, co dokładnie mnie spotkało, a gdybym nawet wiedziała... Gdyby ktokolwiek się dowiedział, Boże! Adam! Przymykam na moment oczy i oblewa mnie gorąco. Po prostu trzeba zapomnieć, zapomnieć – jak najszybciej! To nietrudne, trzeba zająć czymś myśli, przecież ja naprawdę potrafię zapominać. Tylko czym tu zająć myśli? Zastanawiam się gorączkowo. Jutro! Jutro czeka mnie zakładanie sztucznej odmy, tym warto się zająć, nad tym porozmyślać! Nagle dociera do mnie, że podczas zabiegu będę musiała obnażyć się przed Klitowiczem, a wtedy wszystko wyjdzie na jaw. Nie ukryję tego przed nim! Może więc powiedzieć, że zachorowałam? Nie, zażąda szczegółów, zapłaczę się. Zresztą przebadał mnie rani-
kiem, wie, że nic mi nie dolega... Nic dodatkowego oczywiście, nic, co mogłoby uniemożliwić zabieg. Najbardziej wyraźne ślady mam na biodrze i na plecach... Jak zakłada się odmę? Czy od tyłu?

– Czy odmę zakłada się od tyłu? – pytam głośno.

– Phoszę? – Albina spogląda na mnie ze zmarszczonymi brwiami, błyskawicznie jednak dochodzi do wniosku, że oto zdarza się znakomita okazja, aby zmienić niewygodny temat: –

Odmę, tak! Cudownie! Pohozmawiajmy o tym!

– To zależy od tego, w jaki sposób odma ma ucisnąć płuco – wyjaśnia Janek. – Na ogół zakłada się ją z boku.

– Z boku? To znaczy, że pacjent leży na boku? – upewniam się.

– Tak. Płuco, które ma być poddane działaniu odmy, podczas zabiegu musi znajdować się wyżej. Jeśli więc odmě lekarz zakłada na płuco lewym, pacjent leży na prawym boku z odchylnym, zarzuconym za głowę ramieniem.

– Ale czy przodem do lekarza, czy plecami? – dopytuję się.

Wszyscy przy stole przyglądają mi się z lekkim zdumieniem.

– Zdaje się, że twarzą do operatora – mówi Janek. – Ale głowy nie dam.

– Czyli to bez znaczenia?

– Chyba tak, choć to tylko domniemanie, bo przecież nie jestem doktorem, a mnie samej odmy jeszcze nie zakładano.

Jeśli nie ma to znaczenia, sprawa może zależeć ode mnie. Poradzę sobie. A poza tym Klitowicz ma przeprowadzić zabieg w naszym pokoju! Muszę więc leżeć na prawym boku, plecami do ściany! Dzięki Bogu. Oddycham z ulgą. Jestem ocalona, moja reputacja nie dozna uszczerbku, a hańba nie ujrzy światła dziennego – przychodzi mi do głowy myśl żywcem wyjęta z brukowej powieści i po raz pierwszy tego wieczora uśmiecham się naprawdę szczerze.

*

Na zegarze mija trzecia. Naprawdę powinnam już spać, zabieg mam o dziewiątej. Z drugiej strony, jeśli będę zmęczona, łatwiej go zniosę, a gdy dobiegnie końca, szybciej zasnę.

Przewracam stronę książki, czytam dalej, ale uświadamiam sobie, że straciłam wątek, odwracam ją więc z powrotem.

To nie mógł być nikt inny. On tam jest stale. Kostniczka i molo to dwa miejsca, którymi się opiekuje, wiem to. Na dobrą sprawę wręcz żyje w tej piwnicy. Nasz ślamazarny Quasimodo z liniowca Sanato. Satano. Nie, na pewno zajmuje któryś z pokoiów na poddaszu. Niemożliwe, żeby sypiał w suterenie.

Wracam wzrokiem do górnego akapitu:

Byłby ją może tak zawsze kochał, nie wiedząc o tem lub przynajmniej nie zdradzając jej swej miłości? Byłby się zadowolil tem utajonym, rzadkiem uczuciem, którego czasem, po długich i ciężkich, a dzielnie znoszonych przejściach, doznaje mężczyzna nawet dość prymitywny i odczuwa je jak najpiękniejszy zapach kwiatu, do którego, zdaje mu się, nie ma wcale prawa, a którego, z racji niskiego urodzenia, z pewnością godzien być nie powinien? Lecz ona go odgadła. Pod płaszczykiem dzielących ich różnic zdobywała różne ułatwienia. Z nim zwiedziła lochy londyńskiej wieży, których smutną historię dzięki niemu poznała. Nie ma na świecie żałośniejszego i bardziej przekłętego miejsca.

– Jaką tajemnicę tai ten sfinks? – zapytała nieroztropnie, spoglądając w jego źrenice...

Kto zapytał? W czyje źrenice? Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, o kim czytam ani co czytam. I po co! Jestem pewna, że nawet Dorcia, powiedzmy sobie szczerze, egzaltowana i skłonna do tanich wzruszeń, nie uznałaby tej historii za porywającą. Zbyt wielu markizów. Odkładam „Gry niebezpieczne” na stolik, a potem z lekkim wahaniem wysuwam spod jego blatu szufladkę. Spluwaczka leży w głębi, wyjęłam ją z walizki po kolacji, gdy Adam leżał na balkonie. Elegancki przedmiot – mógłby uchodzić za wyjątkowo okazały flakon na perfumy lub pierśiówkę. Trzeba mu to oddać, mój mąż ma wyjątkowo dobry gust, przekonałam się o tym już w dniu, gdy go poznałam.

– Zaprzyjaźnimy się? – pytam półgłosem w przypiływie czarnego humoru, spoglądając na

błyszczącą butelkę.

Spod spluwaczki – muszę wymyślić jakąś mniej ordynarną nazwę dla tego przedmiotu – wystaje rozek kremowej karty. Wyjmuję ją i przyglądam się ponownie rysunkowi sześciopalcza-
stej dłoni, a potem odwracam fiszkę i jeszcze raz czytam nadrukowaną na niej przepowiednię. Mam wrażenie, jakby od chwili, gdy futuroskop wypuł tę fiszkę, minął tydzień, a nie kilkanaście godzin...

Ranek przyniesie zwiększoną wrażliwość, spotęgowanie się wzruszeń, zmysłowości, skłonność do marzeń i spełniania miłosiernych uczynków – żadnych sobie nie przypominam. Nadaje się do załatwiania spraw handlowych, finansowych, sądowych, policyjnych, związanych ze szpitalami, sanatoriami, więzieniami i miejscami izolacji w ogóle, a także spraw wymagających spokojnego zakończenia. Z tego do mojej sytuacji pasuje jedynie wzmianka o sanatorium i szpitalu. I o więzieniu także, w pewnym sensie. Może przynieść ekspansję towarzyską, chęć użycia i przeżycia podwójnego rodzaju – cóż, chęci przeżyć podwójnego rodzaju doświadczył ktoś inny. A co gorsza, zamiary wprowadził w czyn... Po plecach przebiega mi dreszcz odrazy. Godziny poobiednie obiecują wpływy kosmiczne dodatnie, ustalające, a także wzmagające nasze zainteresowanie – szczególnie sprawami tajemniczymi i rzeczami ukrytymi. Cyniczny uśmiech spełza mi z ust. Przyglądam się literom i marszczę brwi. Wieczór niestety nie najlepiej się zapowiada – z-manifestuje się groźba rozczarowań lub zawodów oraz lęk przed odkryciem naszych sekretów przez osoby niepowołane. To jedynie głupi przypadek! Nigdy w życiu nie wierzyłam w zabobony i z pewnością nie uwierzę teraz! W dniu dzisiejszym wystrzeżać się należy: sporów jałowych, miedzi, barwy miętowej, menad, pokojów wysokich, osób ospałych i biernych, z kamieni – jaspisu, a ze zwierząt – gryzoni. Nadal nie wiem, co to jest me nada. Spory jałowe? W żadnych dzisiaj nie brałam udziału, choć... Przypominam sobie dyskusję przy stole w porze obiadu. Czy była jałowa? Hm... Barwa miętowa – można by tak określić odcień mojej sukienki (czy zdąży się jej pozbyć rankiem?). Miedź – z pewnością nie miałam z nią do czynienia tego dnia. Pokoje wysokie... Robi mi się nagle nieswojo, a sceptyczne nastawienie słabnie. Osób ospałych... To się zgadza, ale bierność – delikatnie rzecz ujmując – nie. Gryzoni – przypominam sobie szczura wyszczerzonego pod krawędzią koryta w piwnicy. Jaspis... W moich myślach pojawia się wspomnienie światła odbijającego się w okrągłych, zielonych oczkach, którymi wysadzana była krawędź wsuwki do włosów, spoczywającej teraz zapewne w metalowym kolanku pod umywalką, choć niewykluczone, że spłynęła rurami niżej. Ale spinka to po prostu przypadek, w żaden sposób mi nie zaszkodziła, jedynie może w tym sensie, że ją straciłam, choć i to nie jest istotne, bo nie była wyjątkowo cenna.

Podsuwam kartę pod nos i wciągam zapach. Nie czuję niczego szczególnego, ale z drugiej strony – czego się spodziewałam? Woni siarki? Głupota. Stan obawia się, że Sanato (*Satano*) wykieruje go pod kościół, ale mnie – zdaje się – do wariatkowa. Jeśli oczywiście kiedykolwiek opuszczę te mury inaczej niż przez drewniane drzwi skryte między tawułami.

A może to wcale nie działa w ten sposób? Może sama przepowiednia nie ma znaczenia, lecz liczy się jej moc sprawcza? Siła sugestii? To już sprawa dla psychologów, wątpię jednak, by któryś zajął się nią na poważnie. Jednak to niewykluczone. Skoro moje oko oszukała cyfra na rysunku i zakłamała czytelny obraz, to kto wie, czy słowa tej wróżby nie zapadły głęboko w mój umysł i nie skłoniły mnie do poczynienia takich a nie innych kroków. Być może sama wypełniłam przepowiednię – bezwolnie niczym golem sterowany zwitkiem ukrytego w piersi papieru. Tyle że taka koncepcja mogłaby najwyżej wytłumaczyć moją nagłą potrzebę eksplorowania piwnicy, ale nie inne wydarzenia, w których wzięłam udział, czy raczej – których stałam się mimowolną uczestniczką.

Nie nakręcę więcej futuroskopu. Jutrzejsza przepowiednia będzie ostatnią, a co więcej,

dołożę wszelkich starań, aby okazała się fałszywa.

Wrzucam kartę do szuflady i zamykam ją zbyt energicznie. Z miną winowajcy spoglądam na Adama, lecz hałas szczęśliwie go nie obudził. Widzę tylko zmierzwione włosy i niewyraźny zarys ciała pod przykryciem. Gdyby został podmieniony, gdyby na jego miejscu położył się jakiś inny ciemnowłosy mężczyzna (*piana siekła w jego dzikie, zuchwale oczy*), nie zorientowałabym się aż do świtu. Tam może leżeć ktokolwiek, nie widzę jego twarzy. Upiorna myśl, z gatunku tych, które za dnia nie zasługują nawet na wzruszenie ramion, a po zmroku nabierają prawdopodobieństwa. Przez kilka chwil leżę pod kołdrą, ale ziarnko irracjonalnego lęku, który sama zasiałam we własnym umyśle, wypuszcza coraz bujniejsze pędy. Zła na siebie odchyłam wreszcie kołdrę i opuszczam bosc stopy na dywan. Nigdy nie cierpiałam na tak rozbuchaną wyobraźnię, co się ze mną dzieje? Podnoszę nieco klosz lampki, tak aby światło padało na drugą stronę pokoju, i wstaję.

Podchodzę na palcach do łóżka Adama, ostrożnie nachylam się nad nim. Widzę ucho, ale nic mi ono nie mówi, jeśli sprawę w ogóle można ująć w ten sposób. Czy dobra, kochająca żona nie powinna rozpoznać męża, widząc jedynie jego ucho? Uświadamiam sobie, że nigdy wcześniej nie poświęciłam tej części ciała Adama najmniejszej uwagi. Spostrzeżenie uznaję za niepokojące, choć wywołuje mój nikły uśmiech. Wychylam się bardziej, opieram dłoń o ścianę za wezłowiec łóżka. Widzę nos, profil lekko rozchylonych ust (*zbyt miękkich przy pocałunkach*), silnie zarysowany podbródek. Rzęsy...

Adam nie śpi. Leży, patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczami bez jednego mrugnięcia. I nie oddycha.

– Adam? – W nagłym przerażeniu chwytam go za ramię. – Adam!

Potrząsam nim, porusza się sztywno niczym wypełniona słomą kukła. Jego ciało jest lekkie. Puste jak skorupa.

– Adam! – krzyczę i pociągam go do siebie.

Obraca się, kołdra spływa z jego piersi okrytej śliską jedwabną pizamą.

– Adam!

Niewidzącymi oczami patrzy w sufit, jego białka już zmatowiały, a źrenice zasnuła mgła pleśni. Jednym szarpnięciem rozchyłam poły popielatej koszuli, klękam przy łóżku i przykładam ucho do jego piersi. Wstrzymuję oddech, nasłuchując uderzeń serca. Cisza.

Nie słyszę serca, nie słyszę nic! Choć... Szmer. Słyszę szmer. Co to jest? Szeleszczący, cichy jęk, odgłos opornie obracających się trybików przeżartego rdzą mechanizmu. Podrywam głowę i z przerażeniem spoglądam na twarz męża.

– Adam!

Uderzam otwartą dłonią w jego pierś, bezsensowny gest. I wtedy jego ciało zapada się, jakby nie podtrzymywało go sklepienie kości, jakby ulepione zostało z papier-mâché (*jaskółcze gniazdo*). Z otwartej, przeżartej martwą, zaschniętą grzybnią klatki wzbija się w powietrze szara chmura zarodników, tuman kurzu, niczym z rozbitej przejrzałej purchawki. Adam obraca niewidzące oczy w moją stronę. Przygląda mi się z niezmiennie obojętnym wyrazem twarzy. Z przepołowionej klatki piersiowej dobiega zgrzytliwy odgłos rozluźniającej się sprężyny nakręconego zbyt mocno zegara. Kukła drży lekko i nagle z ust (*zbyt miękkich*) wysuwa się krawędź prostokątnej karty wizytowej. Identycznej jak te, które eleganckie domy handlowe ślą wraz z zaległymi rachunkami swoim cennym, lecz nazbyt opieszalym klientom. „Pozdrawiamy i upominamy”. Włosy stają mi dęba, bezgłośnie poruszam ustami niczym ryba rzucona na suchy piasek. Fiszka wysuwa się dalej, dostrzegam nakreślone na niej chaotycznymi, cienkimi kreskami litery: „S”, potem „A”, a potem „T”, „A”...

Z przeraźliwym, urwanym wrzaskiem zrywam się z poduszki i łapczywie nabierając po-

wietrza w płuca, siadam na łóżku. Jestem mokra jak mysz, serce o mało nie wyskoczy mi z piersi. Za oknem nadal trwa noc, szuflada stolika jest zasunięta, klosz lampki ustawiony prosto. Co za upiornie realistyczny sen. Ocieram mokre czoło. Adam leży na swoim łóżku odwrócony twarzą do ściany. Obraca się, unosi na łokciu i spogląda na mnie pytająco mało przytomnym wzrokiem. Włosy sterczą mu nad czołem, policzki zdążył pokryć leciutki cień zarostu – musi się golić dwa razy dziennie.

– To tylko zły sen. Już w porządku. Śpij – mówię do niego.

Posłusznie opada na poduszkę. Sięgam po szklanekę z wodą.

Gdy wyłączam światło i leżę w ciemności bez ruchu, próbuję dosłyszeć jego oddech, ale jestem za daleko. Słyszę jedynie szum własnej krwi tętniącej w uszach w rytm wciąż zbyt szybkich uderzeń serca.

ROZDZIAŁ IV

ODMA

Piątek, 16 października 1931 roku

Wczesne godziny poranne nieszczególnie się przedstawiają, niosąc obietnicę niepowodzeń, złudzeń lub niepokojów, a poczynania podjęte w tym czasie mogą nie przynieść efektów dodatnich. Istotną groźbę niesie ze sobą nagła potrzeba przełamania rutyny codziennej, której lepiej stawić stanowczy odpór, by nie narazić się na dotkliwe, długofalowe skutki impulsywnego działania.

Godziny późniejsze mogą przynieść ponownie napięcie, wciąż zbyt dużą impulsywność, skłonność do gniewu lub rozbudzenie namiętności, a także skłonność do niedyskrecji i popadania w krańcowość. Wobec tego należy wówczas okazywać więcej taktu i dyplomacji.

Wieczór koło godziny 20-tej może nam przynieść przemijające podrażnienie, a również koło 21-ej może się zaznaczyć gorszy nastrój i całość wypadła raczej niezachęcająco.

Dzisiejszego dnia strzec się należy: okien, osób pompatycznych, przyborów krawieckich, drozdów, barwy słomkowej, z kruszców – srebra, a z kamieni – rubinów.

Czy to groźba? To wygląda na groźbę, zupełnie jakby ta skrzynka przewidziała fakt, że nie zamierzam więcej dawać jej posłuchu. Przełamanie rutyny, też coś! Już mam podrzeć kartę, ale waham się i ostatecznie wrzucam ją do szuflady.

– I tak cię nie nakręcę – oświadczam na głos.

Mam za sobą pierwsze spotkanie z Klitusem, upewniał się, czy nie jestem podrażniona. Oczywiście, że jestem, ale nie przyznałam się, bo zaaplikowałby mi morfinę, a teraz muszę być trzeźwa – pozostała mi niecała godzina do zabiegu i czeka mnie jeszcze jedno istotne zadanie. Adam nie wróci już do pokoju, cały dzień spędzi na molo – to znaczy do kolacji. Jestem mu za to wdzięczna.

Wyjmuję z szafy zawiniątko w kolorze mięty, wciskam je pod pachę – nic nie widać, futro jest dość obszerne. Teraz się z tego cieszę, początkowo, gdy dostałam je od Adama, żalowałam, że nie jest skrojone bardziej do figury.

Zakładam kapelusz, bo za oknem z góry na dół przesuwają się drobne białe płatki. Owiłam szyję szalem i wychodzę z pokoju.

Oczywiście ogrodnik nie pali dziś liści, nie przy tej pogodzie. Zresztą niewiele zostało do spalania. Żywopłot tworzą krzewy bukszpanu, który nie traci liści, a drzewa wokół ogrodu to świerki i sosny. Liście gubią tu jedynie róże i rachityczna wierzba rosnąca obok opróżnionego już oczka wodnego za szachownicą. Nie widzę też żadnego świeżo rozkopanego dołu. Gdzie mam ukryć tę nieszczęsną sukienkę? Z kieszeni futra wyjmuję zegarek – zostało mi niecałe pół godziny. Wiem, jaki schowek byłby najodpowiedniejszy – worki zgromadzone pod ścianą kostniczki. Bez trudu mogłabym wcisnąć kłębek do któregoś z nich, sprawa nigdy nie zostałaby wykryta, szczęśliwie ani na bieliźnie, ani na sukni nie kazałam umieścić inicjałów. Tyle tylko, że nigdy w życiu nie wejść znowu do tego pomieszczenia. Przynajmniej nie z własnej woli.

Szybkim krokiem wracam na dziedziniec. Pogoda mi sprzyja, jest zimno i mokro. Drobin ki śniegu wirują na wietrze i choć nie są gęste, znacznie ograniczają widoczność. Nie powinnam nikogo spotkać. Okna... Oglądam się za siebie, ale w żadnym nikogo nie dostrzegam. Maszeruję wzdłuż drogi wyjazdowej i docieram do zamkniętej bramy. Furta obok na szczęście nie jest zary-

głowana. Za murem skręcam w prawo i po kilku krokach jestem przy rowie. Wyjmuję spod futra pakunek, trzymam go w ramionach. Wyrodna matka próbująca pozbyć się noworodka – często opisywana w gazetach sytuacja. Z reguły nie odnajdują tych kobiet, nawet takich, które duszą niemowlęta, zanim się ich pozbędą. Ale też nikt nie szuka zbyt energicznie, nikomu na tym nie zależy.

Rozglądam się za jakimś kamieniem, ale jak na złość żadnego nie mogę znaleźć. Wreszcie trafiam na fragment tynku, który oderwał się od podmurówki – musi wystarczyć. Wciskam gruz do środka zawiniątka i ciskam je do rowu. Szczęście, że mróz jeszcze nie chwycił. Z pluskiem wpada do płytkiej, błotnistej wody. Widać je doskonale, soczysta zielonkawa barwa wyraźnie odcina się od szaroburego tła. Lubiłam tę sukienkę, miała dobry krój, choć materiał to właściwie zwykła bawełna. Jeśli śnieg popada dłużej, przy tej temperaturze rów napelni się wodą i ubranie odpłynie z prądem. Teraz dochodzę do wniosku, że obciążenie zawiniątka było błędem. Trudno. Prędko ruszam do wejścia i za pięć dziesiętą jestem w pokoju. *Podjęte w tych godzinach poczynania mogą nie przynieść efektów dodatnich?* Akurat!

Otrzeputuję wilgotne futro i chowam razem z kapeluszem do szafy. Rozbieram się, zakładam szlafrok i na sekundę przed tym, gdy rozlega się pukanie do drzwi, przybieram swobodną pozę w fotelu. Nawet nie jestem zanadto zdyszana – i co? Czyż nie są to dodatnie efekty poczynania?

– Proszę! – wołam głośno i uśmiecham się na powitanie Klitowicza.

*

– Siostra mi poda perkainę – poleca Klituś.

Pielęgniarka w małym, kojarzącym mi się z furazerką czepku wybiera jedną z fiolek ustawionych na wózku. Jest piegowata, ma wystające górne zęby. Wiewiórka. Zaczynam się denerwować, przedtem nie myślałam o zabiegu, byłam skupiona na pozbyciu się dowodów... To znaczy – ubrania. Siedzę na swoim łóżku, czuję się trochę niezręcznie.

– Co to jest? – pytam niewyraźnie, bo wciąż trzymam w ustach termometr.

– Co, perkaina? – Klituś spogląda na mnie znad okularków. – Środek znieczulający. Poproszę.

Posłusznie wypluwam termometr. Doktor odczytuje wskazanie z po działki, kiwa głową z zadowoleniem. Ten miernik jest prawdziwy, na szklanej rurce ma nadrukowaną skalę.

– Proszę się rozebrać. I położyć. Nogi zakryć kołdrą.

Wstydliwym gestem rozchyłam szlafrok, pilnując, aby nie dostrzegli moich pleców. Szybko wsuwam się między prześcieradła, podciągam je prawie do piersi.

– Poduszka za plecy. Jasek pod policzek. Świetnie.

Świetnie. Poduszka jest duża, czuję ją za ramieniem. Zasłania mnie doskonale, niczego nie zauważa. Pielęgniarka odsuwa stolik nocny z lampką od mojego łóżka, na jego miejsce wtaacza drugi, niższy wózek, na którym piętrzy się skomplikowana konstrukcja szklanych tub, miedzianych rurek i gumowych wężyków – całość przypomina aparaturę do pędzenia bimbru.

– To manometr – uprzedza moje pytanie Klituś. – Wskazuje, ile gazu zostało wprowadzone do opłucnej i jakie jest jego ciśnienie. Biusthalter.

– Proszę?

– Musi pani zdjąć biusthalter.

– Och... – Czuję gorąco na twarzy.

Zerkam w stronę drzwi prowadzących na korytarz. Pielęgniarka przygląda mi się okrągłymi jak dwa błękitne guziki oczami. Próbuję dosięgnąć do zapięcia między łopatkami, wyginam się jak akrobatka, usiłując jednocześnie nie odsłonić pleców.

– Co pani wyprawia? Siostró, proszę się tym zająć.

Wiewiórka dopada do mnie, wsuwa dłoń pod poduszkę. Popiskuję, udając zawstydzenie. Zdziera ze mnie bieliznę wprawnym ruchem.

– Ręka tutaj. – Klituś unosi moje ramię i kładzie je przed moim nosem, patrzę prosto w zagięcie łokcia. – Dobrze. Wygodnie?

– Tak.

Żeby tylko nie zsunął kołdry niżej.

– Ale proszę mnie nie odkrywać, bo mi chłodno – rzucam.

– Nie ma takiej potrzeby.

Wiewiórka szczerzy nade mną zęby, beznamiętnie przygląda się moim piersiom, które w tej pozycji nie prezentują się zbyt efektownie.

Klituś wyjmuje z podłużnej stalowej kasety długą metalową igłę zakończoną okrągłym pokrętkiem, szklaną tubę i gumową rurę. Składa je błyskawicznie, tworząc coś w rodzaju miniatu-ry węża ogrodowego. Gumową końcówkę podłącza do aparatury ustawionej przy wezglowiu łóżka.

– Musi pani leżeć absolutnie spokojnie. Oddychać płytko, unikać głębokich wdechów. Tłumić wszelkie gwałtowne odruchy i panować nad bólem. Proszę pamiętać, że zabieg jest sam w sobie prosty i w znaczącym stopniu może się przyczynić do uzdrowienia, ale go nie gwarantuje. Mówię o tym, aby w razie niepowodzenia odmy nie popadła pani w silniejszą depresję.

Jego słowa brzmią jak wyuczona na pamięć formułka, Klituś ani razu na mnie nie spogląda, skupia uwagę na aparacie. Żałuję, że jednak nie poprosiłam o zastrzyk. Przetykam głośno ślinę. Objawy bólu?

– Czy to będzie bolało?

– Może pani odczuć drobny dyskomfort. Wedle wyników badań pani opłucna jest wolna, nie ma nigdzie zrostów, zatem nie powinna pani doświadczyć jakichś istotniejszych boleści.

Istotniejszych. Wolałabym to przespać.

Klituś wylewa na złożoną gazę kilka kropel z brązowej, wysokiej fiołki, po pokoju rozchodzi się drażniący zapach benzyny. Dotyka tamponem mojej skóry z boku, na wysokości piersi. Przechodzi mnie dreszcz. A jeśli to się nie uda? Jeśli stanie się coś złego?

– Tylko w bardzo rzadkich przypadkach, gdy zabieg przeprowadzany jest przez mało doświadczonego operatora, bąbelki powietrza mogą dostać się do krwiobiegu i spowodować zator w mózgu, ale to pani nie grozi. Mam za sobą ponad setkę pomyślnie przeprowadzonych operacji – z dumą oświadcza Klituś.

A ile było tych nieudanych? Tego pytania jednak nie zadaję, serce wali mi w piersi.

– Zaczynamy – oznajmia Klitowicz.

– Siostró! – mówię szybko. – Siostró, mam prośbę! Proszę sięgnąć po tę szkatułkę stojącą na komodzie, tak, tę. Proszę ją odwrócić, pod spodem jest klucz. Czy może go siostró nakręcić? Tak jak zegarek. Dziękuję.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Klituś uśmiecha się krzywo, unosi szklaną strzykawkę i z uwagą obserwuje kroplę płynu, która wypływa z igły, gdy naciska tłok. Kładzie dłoń na moich żebrach, uciska je palcami. Jego dotyk wydaje mi się nieprzyjemnie gorący. Wbija igłę. Zaciskam uda pod kołdrą. Tłoczy pod moją skórę środek znieczulający, czuję bolesny ucisk. Zagryzam wargę. Jego palec wskazujący przesuwa się w dół, tuż nad moją pierś, mimowolnie próbuję się odsunąć.

– Proszę leżeć spokojnie! – upomina mnie szorstko, a w jego głosie słyszę obcą, napiętą nutę.

Po chwili oddaje strzykawkę pielęgniarkie i sięga po grubą igłę podłączoną gumowym

wężem do aparatury na stoliku. Igła ma co najmniej dwadzieścia centymetrów długości, jest grubsza od zapalki. Oddycham głośno przez nos, zezuję w dół, pod wygiętym ramieniem próbuję dostrzec miejsce nakłucia. Lepiej nie widzieć. Zaciskam powieki.

– Uwaga! Wprowadzam troakar.

Stalowy kolec wnika w moje ciało, Klitowicz obraca nim powoli, świdrującym ruchem wbija go coraz głębiej. Początkowo czuję jedynie nacisk, ale gdy wchodzi niżej, pod znieczuloną tkankę...

– O, Jezu – pojękuję, wyprężając stopy w nagłym skurczu.

– Ciii... – szepce Klituś. – Ważny etap, proszę leżeć absolutnie spokojnie.

Palce jego lewej ręki, otaczające dotąd miejsce nakłucia, przesuwały się powoli, miękkim, oślizgłym ruchem schodzą w dół. Obejmują krągłość mojej piersi, a gdy igła przechodzi między żebrami, dłoni schodzi niżej. Klitowicz chwytą nagle mój sutek między kciuk i palec wskazujący, szczyplenie boleśnie. Jego drugi nadgarstek obraca się szybciej, igła przedziera się przez moje ciało jak tępy świder. Ból promieniuje aż do kręgosłupa, spływa biodrami w dół, rozlewa się na łopatki, na kark... Wytrzeszczam oczy, widzę podstawę stolika, gumową rurę kołyszącą się z boku. Otwieram usta w niemym proteście, a na czoło występuje mi pot, dłonie zwijają się w pięści. Klitowicz zaciska mocniej palce na moim sutku, wykręca go. Jęczę, czuję nagłą falę wymiotów podjeżdżającą mi do gardła.

– Musimy pani pomóc w skupieniu się na innym doznaniu... Rozproszyc uwagę... – szepce ochryple doktor.

Wiewiórka stoi przy oknie odwrócona do nas plecami. Ręce ma splecione z tyłu. Podziwia zastygłą nad Sanato smoliścieczarną falę górskiej grani – cień ostatecznej, wiecznej groźby, która nad nami wisi. Miecz Damoklesa. Nagle powietrze z głośnym syknięciem zostaje wciągnięte do aparatu nad moją głową.

– Jesteśmy w opłucnej – stwierdza swoim zwykłym tonem Klitowicz i zabiera rękę z mojej piersi. – Oddychać płytko!

Przed oczami wirują mi czerwone płyty, całą siłą woli zmuszam się, żeby nie nabrać powietrza pełnym haustem, choć tego właśnie rozpaczliwie domagają się moje (*biedne*) płuca.

Siostra siada na fotelu, otwiera książkę. Klitowicz pochyla się nad aparaturą.

– Ładnie pani zasysa – stwierdza, ale ten paradoksalny komplement nie wywołuje u mnie nawet cienia rozbawienia.

Dlaczego się na to zgodziłam? Łza wypływa mi z kącika oka, pełźnie po krzywiźnie nosa. Swędzi, ale nie mogę się podrapać. Nic nie mogę. Leżę jak martwa świnia nadziana na rzeźnicki hak. Ładnie zasysam.

– Dwieście pięćdziesiąt centymetrów sześciennych czystego azotu – oświadcza Klitowicz po zapewne krótkim, ale w moim odczuciu nieskończenie długim czasie. – Na dziś wystarczy. Jutro dopełnimy.

Lekarz wyrywa kolec z mojego ciała, ten ból – choć przeszywa mnie parzącym promieniem – witam jednak z ulgą. Jutro dopełnimy? Kręci mi się w głowie, nie mogę złapać oddechu. Pielęgniarka ponownie odkaża miejsce zabiegu benzyną, zakleja je opatrunkiem.

– Już? – pytam zdyszczanym głosem.

– Tak. Proszę leżeć, unikać ruchów. Bardzo niewskazany jest kaszel.

– Nie uprzedzał mnie pan o konieczności dopełniania odmy...

– Doprawdy? – dziwi się Klitowicz. – Cóż, aby osiągnąć optymalny ucisk i odmę zupełną, wystarczy od czterech do sześciu zabiegów. Pierwsze dopełnienie zrobimy jutro, następne w odstępach dwóch, trzech dni. Jeśli dobrze pójdzie, za tydzień będzie pani miała sprawę z głowy.

– A kiedy wstanę z łóżka?

– Uzależniam sprawę od pani samopoczucia, ono jest tu najważniejszym wskaźnikiem. Jeśli nie wystąpią duszności ani wydęcie odmy na zdrową stronę, będzie pani mogła wstać za pięć, sześć dni. Tymczasem proszę korzystać z pomocy pielęgniarek. Pod żadnym pozorem nie wolno pani opuszczać łóżka.

– A jeśli będę musiała, wie pan... Udać się na stronę?

– Pielęgniarki się tym zajmą. Wystarczy przycisnąć guzik.

Przycisk alarmowy połączony z dyżurką znajduje się przy drzwiach. Jak mogę użyć go samodzielnie? Właśnie mam o to zapytać, gdy Wiewiórka podchodzi do mosiężnego szyldu, podważa go i najzwyczajniej w świecie wyciąga przycisk ze ściany. Nie wiedziałam, że jest to urządzone w tak sprytny sposób. Klawisz osadzony w metalowej tulejce ciągnie za sobą gruby kabel. Pielęgniarka bez kłopotu doprowadza przycisk do wezglowia mojego łóżka i kładzie go na blacie stolika. Klitūs przygląda się całej operacji dumnym okiem.

– Jest pani w najnowocześniejszym sanatorium w Polsce – oznajmia. – Proszę o tym nie zapominać.

Gdy wychodzą, nareszcie mogę się rozplakać. Wciąż czuję na sobie dotyk wilgotnych, czerwonych paluchów tego starego satyra. Ostrożnym ruchem podciągam kołdrę, zakrywam nią głowę i zamykam oczy.

*

Mam wysoką gorączkę. Nie potrzebuję nawet termometru, aby się co do tego upewnić. Zapadam w płytki, nerwowy sen. Granica między jawą a koszmarem się zaciera. Pielęgniarka podsuwa zimny emaliowany basen pod moje pośladki, leżę idiotycznie wypięta, z brodą opartą o piersi. Zastanawiam się przelotnie, czy taki wygibas nie jest bardziej szkodliwy dla mojej odmy, którą tak ładnie zassałam, niż ostrożny, powolny spacer do toalety. Patrzę na sufit, który wkleśłą, starannie wyrobioną w tynku fasetą łączy się ze ścianą. Widzę drobne pęknięcia farby. Nagle siatka pęknięć rozrasta się na podobieństwo rysunku delty Gangesu, który podziwiałam w ogromnym francuskim atlasie należącym do mojego ojca. Farba łuszczy się, odpada płatami, odsłaniając prawdziwą tkanę, z jakiej zbudowane jest Sanato. Ciemnoczerwoną, oprószoną szarymi ziarnami wielkości ziaren prosa. Przeżartą grzybem. Łuski farby wirują w powietrzu jak śnieg i opadają na podłogę pokoju.

– Już? – pyta pielęgniarka.

Emaliowany basen, ogrzany moim ciałem, zostaje wyszarpięty, zsuwam się między chłodne prześcieradła.

– I jak się czujemy? – Klitowicz nagle pochyła się nade mną, jego głowa pojawia się tuż przed moimi oczami, okrągła jak Księżyc w pełni.

Próbuję uciec, wtopić się w poduszkę. Głaszczę mnie po twarzy, wykrzywiam usta w grymasie odrazy. Uśmiecha się.

– Musimy panią jakoś rozproszyć – oznajmia, a jego czerwona gęba rozplywa się i zmienia w twarz porcelanowego Chińczyka mojej matki.

Z rozchylonych w głupkowskim uśmiechu ust wysuwa się różowy język, cofa się i znowu wysuwa.

– No i czego ty tu, pani, znowu? – pyta Chińczyk.

Zdziera ze mnie kołdrę, moje dłonie są zbyt słabe, by przeciwstawić się jego rękom.

– Znakomicie – oznajmia Chińczyk, wysuwając i chowając język nad moją obnażoną piersią. – Wspaniale pani zassała! Piękny bąbel. Dam pani ciastko. Lubisz ciastka?

– Adam! – krzyczę, ale mój głos jest cichszy od szeptu.

Język wysuwa się i chowa coraz prędzej. Dopiero teraz widzę, że jest spiczasto zakończony i wydrążony w środku. Miga jak głowica w maszynie do szycia, tuż nad moją skórą.

– Troakar – oznajmia Chińczyk i to słowo działa na mnie jak zakłęcie.

Przestaję się bać. Zamykam oczy, rozrzucam ramiona na boki, a moje ciało zapada się miękko w materac, zsuwa między sprężyny, deski, strop – coraz niżej i niżej. Aż do piwnic.

– Adam...

*

Gdy otwieram oczy, za oknami jest noc, księżyc świeci przez szyby. W pokoju nie włączono lampy, w mroku z trudem udaje mi się rozróżnić zarysy sprzętów. Unoszę głowę nad wilgotną poduszką.

– Adam?

Siedzi skurczony na fotelu, przesłania ręką oczy. Gdy się odzywam, podrywa głowę i spogląda na mnie zbolalym wzrokiem. Widzę połyskujący blado ślad łez na jego policzku.

– Dlaczego nie zaświecisz? – pytam.

Milczy. Unoszę się powoli, ostrożnym ruchem sięgam do włącznika lampy. Czuję się jak kucharka przygotowująca wykwintny deser. Mam wrażenie, że nieostrożny ruch czy trzaśnięcie drzwiami w odległej części budynku mogą sprawić, że opadnę niczym zrujnowany suflet. Światło żarówki mnie oślepią, zaciskam na moment powieki.

– Która godzina? – pytam.

– Dziesiąta.

Milczy, nie pyta nawet, jak się czuję. Wpatruje się we mnie tylko tym oskarżycielskim wzrokiem. Wszystko to twoja wina! Mam ochotę wrzasnąć na niego, ale oczywiście tego nie robię. Nic nie robię.

– Już mi lepiej – mówię tylko. – Nie martw się. Wcale nie było tak źle.

Opuszcza wzrok.

ROZDZIAŁ V WIZYTY

Sobota, 17 października 1931 roku

Ranek dzisiejszy niesie miraż lepszych perspektyw i powodzenie we współdziałaniu z osobami nieprzeciętnymi, przy jednoczesnych niepokojach w związku z korespondencją, podróżami, młodzieżą i bezowocną pracą umysłową.

Godziny obiadowe i późniejsze niosą obietnicę rozbudzenia zainteresowań artystycznych, wzmożenie natchnienia i przeżyć duchowych lub spotęgowania się zmysłowości – zależnie od stopnia rozwoju jednostki.

Wieczór, w znacznej mierze dzięki słusznym decyzjom podjętym w dniu minionym, zapowiada się dodatnio, obojętne wpływy kosmiczne pozostawiają wolną rękę, a nastrój kształtował się będzie jedynie podług okoliczności oraz woli.

W dniu dzisiejszym strzec się należy: wysiłku nadmiernego, osób melancholijnych, obmowy, tryni narzędzi służących do ich pozyskiwania, a z kruszców – stali i z kamieni – turkusów.

– Niebawale! – wykrzykuje Dorcia, oglądając kartę z tak wyteżoną uwagą, że niemal oczy wychodzą jej z oczodołów. – Codziennie?

– Codziennie rano. Dostałam go od przyjaciółki – wyjaśniam, uśmiechając się na widok jej miny.

– Och, jakże chciałabym mieć coś podobnego! – woła Dorcia. – To takie cudownie magiczne. Jakie tajemnicze te słowa!

– Wcale nie są tajemnicze, ale po prostu głupie – stwierdzam nie całkiem zgodnie z własnymi przekonaniem.

– Ależ skąd! Dają bezkresne pole dla wyobraźni. Miraż lepszych perspektyw. Czy nie uważasz, że to jasno sprecyzowana obietnica dotycząca twojego wyzdrowienia?

– Zależy, jak się rozumie słowo „miraż” – odpowiadam nieco cierpkim tonem.

– Ależ pewna jestem, że z tej przepowiedni jasno wynika, iż wyzdrowiejesz.

– A ja pewna jestem, że zanim to nastąpi – o ile w ogóle – to czeka mnie jeszcze sporo bólu.

– Och! – Dorcia dopada mojego łóżka i przysiadła na krawędzi materaca: – Czyli to jednak boli? A podobno zakładanie odmy jest niemal bezbolesne...

– Haczyk kryje się w określeniu „niemal” – wyjaśniam, mrużąc oko. – Ale nie mówmy, proszę, na ten temat, niebawem czeka mnie drugi etap zabiegu, wołałabym zapomnieć o tym choć na chwilę. Opowiedz, co się działo wczoraj.

– Wyobraź sobie... – Dorcia podskakuje, wprawiając w ruch łóżko, a ja z trudem tłumię lęk i zapieram się rękami o materac – ...że mnóstwo!

– Cudownie, tylko proszę cię, nie skacz – mówię pospiesznie.

– Och, Boże! Przepraszam! – dziewczynka zrywa się na równe nogi, a łóżko znów się trzęsie.

– Nie przeszkadza mi, że tu siedzisz, ale staraj się nie poruszać zbyt gwałtownie.

– Spróbuję. Ale nie będzie to łatwe. Może lepiej usiądę na fotelu...

Dorcia przysuwa sobie jeden z foteli stojących obok szafy i siada na nim, podwijając nogi.

– A zatem... – zaczyna uroczystym tonem, a ja nie mogę się nie uśmiechnąć – ...wczoraj! Już od rana wiadomo było, że coś się kroi. Tuż po śniadaniu pod Sanato zajechały trzy samochody na niemieckich numerach. Trzy jednocześnie! To musiało zwiastować coś niezwykłego. Tyle że nikt nie wiedział co.auta podjechały pod boczne wejście i wyładowano z nich różne skrzynki. Próbowałam dojrzeć jakieś szczegóły przez okno palarni, ale niestety zaparkowali zbyt blisko ściany. Cóż może być w tych skrzyniach, jak sądzisz? No, nieważne. W każdym razie bomba wybuchła po cichej werandzie, podczas pogadanki.

Pogadanka, czy jak ją określa się oficjalnie – „wykład”, to stały element życia Sanato. Wygłaszana jest raz w tygodniu, zawsze w piątek po głównym leżakowaniu. Do niedawna robił to Baranicz, ale odkąd wyjechał „w sprawach rodzinnych”, zastępuje go Klitowicz. Trzeci lekarz należący do personelu Sanato, Wołodkowicz, pełni tylko funkcję rezerwową, na co dzień przyjmuje pacjentów w Zakopanem, głównie przyjezdnych. Mieszka poza terenem naszej placówki. Nigdy nie brał udziału w pogadankach, a szczerze mówiąc, odkąd tu jesteśmy, widziałam go dwa albo trzy razy. Wykłady są nieznośnie nudne, niemal identyczne za każdym razem – ich wysłuchiwanie może mieć znaczenie tylko dla nowych pensjonariuszy, jednak w kawiarni muszą się stawić wszyscy. Pogadanka trwa około dziesięciu minut, podczas których lekarz monotonnym głosem wygłasza ogólnikowe informacje na temat gruźlicy, jej powstawania, ludowych korzeni choroby, higieny ogólnej i osobistej oraz organizacji sanatorium, a także obowiązujących w nim zasad. Na ośłodę recytuje kilka zdań o tym, jak powinno wyglądać życie gruźlika wyleczonego (*wcale nieźle, lecz strzeżcie się*), a w końcu następuje jedyny interesujący punkt zebrania – przedstawienie nowo przybyłych pacjentów. Dlaczego, jak i kto zwolnił pokoje dla nich, prowadzący nie wspomina ani słowem. Nikt zresztą o to nie pyta.

– Wyobraź sobie, mamy nowego doktora! – podekscytowanym głosem oznajmia Dorcia.
– W dodatku Niemca! Nazywa się Matys Dresler. Nie uważasz, swoją drogą, że imię Matys jest co najmniej niecodzienne? Emanuje jakąś taką prymitywną energią, wcale niepasującą do lekarza, nie uważasz? Matys!

Dopiero teraz przypomina mi się zapowiedź Klitowicza. Przecież mi o tym mówił – „czeka nas niebawem radosne wydarzenie”. Uprowadził, że przedstawi nowego lekarza w piątek, to oczywiście, że wybrał porę wykładu.

– Niezwykłe. – Kiwam głową. – I cóż ten Matys?

– Jest prze-ślicz-ny – oświadcza Dorcia. – Wcale nie wzięłabyś go za Niemca, raczej za południowca. Ma czarne oczy, takie wyraziste, i ciemną karnację oraz dumne, wysokie czoło.

– Raczej rzadko spotykany szczegół fizjonomii wśród typów południowych – uśmiecham się.

– Właśnie tak wyobrażałam sobie Vicenza Guerita Ciquo, tego matadora z powieści Brzeszko-Brzeszkowskiego. – Dorcia rozmarzonym wzrokiem spogląda w okno. – Ale Dresler jest nawet piękniejszy niż moje wyobrażenie.

– Dorciu, trzeba ci przyznać, że bezbłędnie wybierasz najbardziej niewłaściwe lektury dla osoby w twoim wieku.

– O, skądże. Czytuję też inne książki, choćby i Sienkiewicza, który zresztą także bywa niekiedy romantyczny. Choć nie dostarcza tak silnych przeżyć.

– Z pewnością – śmieję się ostrożnie. – A czy poza urodą toreadora odznacza się ten Dresler jakimiś jeszcze szczególnymi cechami?

– Podobno tak. Klituś ma go za geniusza i uważa, że Dresler niebawem wyleczy nas wszystkich – beztroskim tonem oświadcza Dorcia.

– Chyba nie wierzysz w to, co mówisz?

– Może i jestem lekkomyślna, ale nie głupia – kwituje moje pytanie dziewczynka. –

Z drugiej jednak strony jakże trudno się oprzeć nadziei, gdy nie ma się niczego oprócz niej?

– Wiesz, czasami myślę, że jesteś zatrwajająco cyniczna i zgorzkniała jak na osobę w twoim wieku...

– Czasami może i jestem. A czasami nie. – Dorcia przekornie potrząsa głową, poważnie na moment, a potem wzrusza ramionami i znowu zaczyna szczebiotać: – W każdym razie ponoć ten słodki Dresler ma wybitne osiągnięcia w leczeniu suchot, rozpisywali się o tym w gazetach, jak twierdzi Klituś. Jednak to jeszcze nie koniec!

– Czy tańczy także i żongluje?

– Tego nie wiem, lecz niewykluczone – śmieje się głośno Dorcia. – Przywiózł ze sobą żywy dowód sukcesu swojej terapii.

– Jaki?

– Pacjentkę! Była umierająca, lekarze nie dawali jej żadnych szans, a Dresler sprawił, że wyzdrowiała.

– Zupełnie?

– Prawie. W każdym razie czuje się znacznie lepiej, ataki ustały, przybrała na wadze i jest znacznie silniejsza. Ma na imię Ira. Czy nie sądzisz, że egzotycznie? Tak naprawdę nazywa się Irena, ale każe mówić do siebie Ira. Irena Załęska. Nie spotkałam równie pięknej kobiety! Jej uroda dosłownie zapiera dech, i to nie tylko takim jak my. – Dorcia puszcza oko, wdycha i dodaje: – A jednak nienawidzę jej!

– Dlaczego?

– Jest piękna, bogata, PRAWIE zdrowa. To wszystko skłonna byłabym jej wybaczyć, bo wiesz, że nie jestem zawistna. Ale w dodatku jest ponoć zaręczona z Dreslerem! Do kompletu dostanie więc jeszcze matadora, a to będzie mi trudno znieść. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie! Choć muszę przyznać, że pasują do siebie i znakomicie się uzupełniają – niczym pyszny, ognisty miecznik i bladuróżowa, słodko pachnąca róża w wazonie. Nigdy w życiu nie widziałam równie pięknej i świetnie dobranej pary – z goryczą w głosie oznajmia Dorcia, a ja nie umiem już dłużej nad sobą panować i nie bacząc na odmě, wybucham głośnym śmiechem.

Dorcia robi strapioną minę, ale wreszcie i ona zaczyna się śmiać.

– Wiem, że nie powinnam być tak bezwstydnie szczera, lecz zazdroszczę jej i nic na to nie poradzę. Choć właściwie ten Dresler i tak byłby dla mnie za stary, ma co najmniej czterdzieści lat. Czy jednak mężczyzna w ogóle może być za stary dla kobiety? Jak sądzisz? Ten cały Matys będzie równie boski, gdy dobiegnie... NAWET pięćdziesiątki!

– Zdecydowanie może – stwierdzam. – Co powiedziałaś na poślubienie Klitusia?

– Och, przenigdy! Ale on jest naprawdę stary, tak stary, że nawet nigdy nie myślałam o nim jako o mężczyźnie. Poza tym pewna jestem, że jego stosunek do kobiet jest tylko i wyłącznie medyczny, nie sądzisz?

Przestaję się uśmiechać i nie odpowiadam na to pytanie.

*

Podczas dopełniania odmy udaje mi się nawet nie mrugnąć okiem, choć tym razem Klitowicz nie stosuje nawet powierzchownego znieczulenia. Spoglądam przed siebie spokojnie, uśmiecham się lekko, zmuszam wszystkie mięśnie do bezruchu, choć ból jest przejmujący, a doznanie wyjątkowo przykre. Za nic nie dam mu pretekstu do „rozproszenia” mojej uwagi. Udaje się. Czy tylko mi się wydaje, czy rzeczywiście widzę cień rozczarowania na jego twarzy? To chyba złudzenie. Klitowicz może być podstarzałym satyrem, ale z pewnością nie jest sadystą – muszę w to wierzyć, bo przecież w jego rękach spoczywa moja szansa na powrót do normalnego życia.

– Znakomicie to wygląda – stwierdza, przykładając zimny krążek tuż nad moją lewą pierś. – Rzęzenie w uciśniętym płucu jest tak znikome, że prawie niesłyszalne, nie miała pani żadnych zrostów. Szczerze mówiąc, nie zdarzyło mi się jeszcze mieć do czynienia z tak modelowym przypadkiem. Pojutrze dopełnimy ponownie i być może – choć nie chciałbym pani robić płonnych nadziei, proszę więc znanadto nie przywiązywać się do tej myśli – okaże się to wystarczające. Rzecz potwierdzi nam prześwietlenie. Jeśli wszystko się powiedzie, w środę będzie mogła pani zejść na posiłek i spędzić popołudnie wraz z innymi na cichej werandzie.

Asystująca mu Wiewiórka przygląda mi się obojętnie.

*

Budzę się dwie godziny po zabiegu, szczęśliwie nie mam dziś wysokiej gorączki. Sięgam po kartę z przepowiednią i analizuję słowa wróżby. Czy cokolwiek się spełniło? Na upartego zawsze można się doszukać tego, czego się chce – w każdym słowie. *Miraż lepszych perspektyw i powodzenie we współdziałaniu z osobami nieprzeciętnymi* można odnieść do zabiegu i słów Klitowicza. *Niepokoje w związku z młodzieżą* jak ułał pasują do wizyty Dorci. Która jest teraz godzina? Piętnasta, zatem pora obiadu minęła. Nie dostrzegłam jednak u siebie żadnych nadzwyczajnych oznak *rozbudzenia arcyzmu, natchnienia ani spotęgowania się zmysłowości. Wysiłku nadmiernego* muszę się wystrzegać, to oczywiste, a już szczególnie teraz. Osoby melancholijne? Dorci do nich zaliczyć nie mogę, może więc Wiewiórkę? Albo Adama. Jak jednak miałabym się go wystrzegać? Tryny są zupełnie pozbawione sensu, bo nie ma szans, abym w obecnej sytuacji znalazła się w tartaku czy miała do czynienia ze stolarzem. Obmowa tutaj to chleb powszedni, ze zrozumiałych względów jest to ulubiona rozrywka mieszkańców Sanato i każdy prędzej czy później padnie jej ofiarą. Stal pasuje do troakara, ale turkusy?

Najwyraźniej czytaniu tych przepowiedni towarzyszy identyczny stan jak podczas wertowania ksiąg medycznych – wystarczy przeczytać dokładny opis choroby, aby człowiek natychmiast doszukał się jej symptomów we własnym organizmie.

Ciche pukanie do drzwi podrywa mnie z poduszki, karta wysuwa się z palców i spada na podłogę. Kto to może być? Pielęgniarka nie czekałaby na zaproszenie, a pokojówka nie przychodzi o tej godzinie.

– Proszę!

Miękkim, kocim ruchem do pokoju wsuwa się Jaga. Odwraca się w progu, wygląda na korytarz, po czym ostrożnie zamyka za sobą drzwi.

– Uciekłam! – oświadcza, zrywając z głowy kapelusz i rzucając go na łóżko Adama.

– Skąd? – pytam.

– Z molo – wyjaśnia. – Słyszałam, że cię dmuchają, kochanie.

Wbrew sobie uśmiecham się pod nosem, choć sformułowanie wydaje mi się obcesowe.

– Klituś zakłada mi odmě – wyjaśniam.

– Mnie też to czeka zapewne – wzdycha Jaga, przechadzając się po pokoju i lustrując go ciekawskim okiem. – Moja sypialnia jest większa. Za to ty masz ładniejszy balkon. Jak to jest?

– Mieć ładniejszy balkon?

– Nie. Odmę.

– Usiądź, proszę. Wytrąca mnie z równowagi to twoje bieganie.

– Ach, przepraszam – mówi Jaga, siada na fotelu i dodaje figlarnym tonem: – Siedzę. Już się tak nie nadymaj.

To oczywiście także mnie rozśmiesza, choć i złości. Dziwna mieszanka uczuć.

– Nie mogłam sobie darować – wyjaśnia Jaga, gdy przestaje chichotać. – Więc?

– Boli w trakcie.

– Wyobrażam sobie. Ale czy czujesz się teraz jakoś wyjątkowo?
– Raczej nie.
– Żadnych uniesień? Lżej ci na duszy? Duma cię rozpiera? Pękasz z radości? – recytuje Jaga i kończy z westchnieniem: – Koncepty chyba mi się skończyły.
– I dzięki Bogu. Jestem trochę obolała, to wszystko. Wczoraj trudniej mi się oddychało i miałam wysoką gorączkę, ale to już minęło. Ogólnie mówiąc, zabieg nie jest przyjemny, ale przeżywałam już gorsze rzeczy.
O, z pewnością. I to bardzo niedawno... Błyskawicznie odpycham tę myśl i pytam:
– Dlaczego uciekłaś z moło?
– Zostałam zdetronizowana – wyjaśnia Jaga z autentyczną rozpaczą w głosie.
– Co to znaczy?
– Zdarto mi ze skroni koronę królowej turnusu – stwierdza, siląc się na żart, ale widzę, że jest naprawdę przygnębiona.
– Ach, Ira! – stwierdzam domyślnie.
– Więc już nawet ty o niej wiesz?! – wykrzykuje Jaga. – Kto ci powiedział? I co dokładnie?
– Dorcia, ta mała z warkoczami, wiesz, siedzi przy naszym stole. Odwiedziła mnie rano, wprost pękała z emocji. Podobno ta Ira jest wyjątkowo ładna...
Jaga prycha niczym rozszluszczona kotka:
– Ładna! Koczkodan! Takich ludzi po prostu nie ma w realnym świecie! Wiesz, naprawdę nigdy nikomu nie zazdrościłam urody, nigdy. Ale też nigdy w głowie mi nie powstało podejrzenie, że ktoś może mieć jej więcej niż ja – mówi dziewczyna z tak bezwstydną i rozbijającą szczerością, że jej oświadczenie nawet nie wywołuje mojego oburzenia. – Choćby nie wiem jak piękna była kobieta, którą widzę, zawsze potrafię dostrzec w niej skazę, która podnosi mnie na duchu.
Od razu zaczynam się zastanawiać, co też dostrzegła we mnie.
– Odstające uszy, brodawkę, zmarszczkę, ciemny ząb... – wylicza Jaga – ...krzywe nogi, chude łydki, koślawy paznokieć... Nie ma ideałów! Tak przynajmniej myślałam do wczoraj.
Zrywa się z fotela i krąży po pokoju. Przystaje przy komodzie.
– O, masz futuroskop.
– Owszem. Ale nie kupiłam go sama, dostałam w prezencie.
– Te urządzenia napawaj ą mnie strachem. Nigdy w życiu nie przyjąłabym czegoś podobnego. Gdy tylko pojawiły się w sprzedaży, uprzedziłam wszystkich znajomych, że jeśli ofiarują mi podobne urządzenie, natychmiast roztrzaskam je na ich głowach.
– Dlaczego?
– Najgorsze, co mogłoby mnie spotkać, to sytuacja, w której przyszłość przestałaby kryć w sobie tajemnicę. Po cóż żyć, skoro człowiek wie, co go spotka? Obojętne, dobrego czy złego.
– Nie przesadzajmy, to tylko zabawka.
– Podobno nie tylko. Ciarki chodzą mi po kręgosłupie na sam widok tego mechanizmu – Jaga odwraca się na pięcie i podchodzi do mojego łóżka. – Przecież ja się nawet z tobą nie przywitałam jak należy! Wybacz, nie jestem dziś sobą.
Całuje mnie w oba policzki. Gdy się schyla, zza szala okręconego wokół jej szyi wysuwa się sznur ciężkich, doskonale oszlifowanych turkusów. Uderza mnie w brodę, a mnie nagle ogarnia irracjonalny lęk. Naszyjnik jest nowoczesny. Turkusy mają kształt łez, przetykane są stalowymi, błyszczącymi sztabkami. Turkusy... Ale to tylko przypadek.
– Jesteś blada – stwierdza Jaga.
– Trochę brakuje mi tchu. Mogłabyś uchylić okno?

– Ale wracając do przekłętego tematu – dziewczyna otwiera drzwi balkonowe na kilka centymetrów i spogląda pytająco, a gdy kiwam głową, ciągnie: – Ta cała Ira jest bez skazy, wiesz, jak te pannice z tanich pseudobarokowych landszaftów. Ma nieskazitelną cerę, szafirowe oczy, doskonałą figurę i dosłownie złote włosy. Złote, naprawdę mienia się w świetle jak złoto. To nie jest przerośnia, rozumiesz. Niekiedy mówi się o jakiejś, że ma złote włosy, ale w rzeczywistości mają barwę słomy albo siuszków. Jej włosy są naprawdę ZŁOTE. Ale wygląd, powiesz, to nie wszystko, i będziesz miała rację. Niechby więc i wyglądała jak anioł, ale była przy tym nudna, bezbarwna, głupia wreszcie czy choćby pozbawiona poczucia humoru. To stanowiłoby dla mnie wystarczające pocieszenie. Ale ona jest zabawna, dowcipna i inteligentna, a na dodatek ma niebywały urok. Należy do tych piekielnych osób, w których towarzystwie natychmiast nabierasz pewności, że włosy źle ci się układają, masz sadzę na nosie, a spod sukienki wystaje ci rąbek halki. I oczywiście oni wszyscy, nawet mój Stan, ciągną do niej jak muchy do świeżego...

Jaga, czując, że nieco się zagalopowała, urywa, nabiera tchu i uśmiecha się przeprasza:

– Wybacz. Jak niedźwiedzie do barci miodu. Sama sobie w jej towarzystwie wydaję się nadmiernie ruchliwa, przaśna i hałaśliwa jak... Jak karuzela na jarmarku! – wyrzuca z siebie zaskakujące porównanie. – Wiesz, niby się to błyszczy, niby świeci i raduje oko, ale i tak zdajesz sobie sprawę, że jest tylko tanią kombinacją dykty, blachy i złotej farby.

Nie umiem zachować już dłuższej powagi i zaczynam chichotać.

– Owszem, to śmieszna przerośnia, ale lepsza nie przychodzi mi do głowy. Najwyraźniej zgłupiałam.

– Rozumiem, co masz na myśli – udaje mi się wyjąkać.

– Wiem, że TY rozumiesz. Dlatego do ciebie przyszedłam. Nie mogłam już dłużej znieść widoku oblegających ją mężczyzn. Moło podzieliło się na dwie części – w jednej kobiety, a w drugiej Ira i oni. Zostałam całkiem sama!

– Nie jesteś sama. Masz mnie – mówię nieco na wyrost. – A ten nowy doktor? Ten Dresler? Co o nim powiesz?

– Och, straszny!

– Straszny? Dorcia twierdzi, że także niezwykle przystojny.

– Ależ skąd! Jest przerażający. Jeśli ktoś zleciłby mi wykonanie portretu diabła, tego całego Dreslera bez wahania najęłabym na modela. Kiedy na ciebie patrzy, masz wrażenie, jakby jego wzrok wypalał ci dziurę w duszy.

– Podobno są zaręczeni...

– Tak, to jedyna pociecha w tej sytuacji, że ona nie jest wolna. Przez tę całą Irę nic mnie nie cieszy! W dodatku jestem zmuszona wydać przyjęcie na jej cześć, wyjątkowo trudny kęs do przełknięcia.

– A któż ci każe wydawać przyjęcie dla niej?

– Jak to? Chyba sobie nie wyobrażasz, że mogłabym tego nie zrobić? Przecież muszę się z nią zaprzyjaźnić, inaczej w ogóle przestanę tu cokolwiek znaczyć! Jak myślisz, czy aby mnie polubi?

– O, z pewnością. Ciebie nie da się nie lubić – mówię jej to, co chce usłyszeć.

– Też tak myślę – rozchmurza się Jaga. – Czy ja ci już opowiadałam o moim pułkowniku z Sanoka? Wyobraź sobie...

Jaga zaczyna trajkotać monotonna, a ja szybko wyłączam się z rozmowy, ograniczając swój udział do uprzejmych uśmiechów, wyrazów zdumienia i pełnych podziwu min. Zresztą ona nawet nie dopuszcza mnie do słowa, nie potrzebuje rozmówcy, lecz jedynie słuchacza – płaszczyzny, od której mogą się odbijać jej słowa i wracać do niej niczym promienie światła odbite od ta-

fli zwierciadła. Sama przed sobą i dla siebie tworzy wizerunek kogoś, kim chciałaby być, a kim – co, niestety, podejrzewa – nigdy się nie stanie.

ROZDZIAŁ VI

IRA

Czwartek, 22 października 1931 roku

W dniu dzisiejszym manifestować się będą rozmaite mniej pomyślne wpływy kosmiczne, które wprawdzie nie osiągną najsilniejszego napięcia i nie oznaczają jakichś większych niepowodzeń, mogą jednakże przynieść powody do niezadowolenia. Osoby dziś poznane będą miały istotny wpływ na nasze życie późniejsze, lecz to, czy wpływ ten okaże się dodatni czy negatywny, jest niepewne.

Południe więcej nadaje się do ekspansji życiowej, nie należy jednak zapominać, że koło godziny 15-tej czyha groźba jakichś rozczarowań, złudzeń rozwianych lub ekspozycji na podstępne machinacje innych. Obietnice wówczas dokonane nie zostaną dotrzymane. Dodatkowo między godziną 17-tą i 18-tą mogą pojawić się nieoczekiwane rozczarowania lub przykrości ze strony bliskich, a nadzieje mogą być wówczas zawiedzione.

Wieczór lepiej się zapowiada – szczególnie po godzinie 23-ej niesie obietnicę ekspansji umysłowej i ruchliwość towarzyską, z której jednak warto na czas zrezygnować.

Strzec się należy: fałszywych monet, przeciągów, potraw czerwonych, osób umizgujących się i psów. Z kruszców – aluminium, a z klejnotów – pereł.

Wcale nie chciałam czytać tej wróżby, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Jestem zła na siebie – najwyraźniej uzależniłam się od futuroskopu. Ale to wina życia tutaj, które jest tak monotonne, że nawet tania rozrywka dla kucharek nabiera blasku i atrakcyjności. Wrzucam kartę do szuflady stolika i zajmuję leżak na balkonie. Dziś jest wybitnie psia pogoda. Wiatr zacina lodowatą mżawką, niebo ma kolor ołowiu, a przesłonięte szarugą górskie grzbiety nad Sanato wydają mi się jeszcze bardziej złowróźbne niż zazwyczaj. Majaczą w zamglonym powietrzu jak cienie gigantycznych smoków wspierających na swoich barkach ciężkie, nisko wiszące sklepienie grafitowych chmur. Jedno trzeba przyznać temu, kto projektował budynek sanatorium – choć być może nie odznaczał się wybitnym smakiem, niemniej był bardzo praktycznym architektem. Nawet przy takiej pogodzie na balkonie nie czuje się podmuchów wiatru i nie docierają tu igiełki marznącego deszczu. Czekam na werdykt, Klitowicz powinien się zjawić – zerkam na zegarek – za pół godziny.

Adam owinięty ściśle pledem odpoczywa na sąsiednim leżaku, twarz zakrył kapeluszem. Chciałabym, aby Klituś uwolnił mnie już z pokoju, bo nie przypominam sobie, aby przebywanie w nim od chwili, gdy tu zamieszkaliśmy, wydawało mi się równie irytującą koniecznością. To zwykła złośliwość losu – akurat wtedy, gdy w Sanato coś wreszcie zaczęło się dziać, znam to wszystko wyłącznie z relacji, do tego sprzecznych. W dodatku bezczynność sprzyja rozmyślaniom, a ja właśnie teraz wolałabym tego uniknąć – znacznie łatwiej się zapomina, gdy człowiek jest w ruchu, niż gdy pozostaje w jednym miejscu. Natychmiast przed oczami staje mi ciemna, wypełniona odorem piwnica. Ze zniecierpliwieniem kłaskam cicho językiem i spoglądam na góry.

W poniedziałek podekscytowana Dorcia przyniosła informację, że Ira dołączyła do naszego stołu. W pierwszej chwili przestraszyłam się, bo natychmiast pomyślałam, że zajęła moje miejsce. Że Klitowicz nie powiedział mi prawdy, że odma się nie udała, że na pewno jestem umierająca i nigdy już żywa nie opuszczę pokoju. Stoły są przecież ośmioosobowe, nie mogli do-

stawić kolejnego krzesła. Okazało się jednak, że miejsce zwolnił ktoś inny. Z Sanato „wyjechał” Czernis, Dorcia to „wyjechał” powiedziała w taki sposób, że cudzysłów był doskonale słyszalny. Wiem, że ubranie tego bezbarwnego, myszowatego mężczyzny znalazło się w jednym z płóciennych worków zalegających pod ścianą kostniczki, a wychudzone ciało jest już zapewne w drodze do Gdańska, jednak dokładam wielkich starań, by o tym nie myśleć.

Ira ponoć jest wspaniałym kompanem podczas posiłków i nawet łakoma Judesa częściej kieruje oczy w stronę nowej towarzyszki niż w stronę półmisków. Zdaniem Dorci Ira flirtuje z Jankiem i choć skwitowałam tę rewelację obojętnym uśmiechem, poczułam w sercu dziwne ukłucie.

Janek natomiast, który także mnie odwiedził, rozwodził się długo nad niebywałym intelektem Iry i wreszcie oznajmił, że choć nie jest tego w stanie pojąć, przy stole obdarza ona uwagę przede wszystkim Pawłowicza, który przecież mógłby być jej dziadkiem. Zapytany o Dreslera, natychmiast nazwał go wybitnym, jasne stało się więc dla mnie, że choć nowa mieszkanka Sanato zwróciła uwagę Jana, nie zawróciła mu w głowie, bo gdyby tak się stało, nie wychwalałaby rywala z równą szczerością.

Jaga, która przybiegła później, oznajmiła, że Ira z każdą chwilą staje się w Sanato popularniejsza i że cieszy się ogromnie, iż nie dołączyła do stołu jej, Stana i Rozalii. Zdaniem Jagi Ira, nie bacząc na to, iż jest po słowie z Dreslerem, zagięła parol na Stana i Mieta, co ona sama wraz z Rozalią może tylko biernie i z rozpaczą obserwować, licząc jedynie, że rozzuchwalona powodzeniem harpia szybko się znudzi łatwą zdobyczą.

Dla przyzwoitości zapytałam więc także Adama, co sądzi o sensacyjnej Irze. Wzruszył tylko ramionami w odpowiedzi, a ja uświadomiłam sobie, że mojemu pytaniu nie towarzyszył nawet cień zazdrości, a przecież miłość i zazdrość są nieodłączne. Czy więc kocham go jeszcze? A może, gdy wreszcie poznam tę kobietę, gdy zobaczę, jak zachowuje się przy moim mężu, jaka jest, jak wygląda, co mówi, może wtedy poczuję zazdrość o Adama i upewnię się, że jest mój nie tylko na mocy dawnej decyzji, ale też dlatego, że wciąż chcę, aby był?

Punktualnie o dziesiątej na progu pokoju staje uzbrojony w stetoskop Klitowicz z zamgloną niczym pejzaż za moim oknem kliszą rentgenowskiego zdjęcia w dłoni. Zabieg powiódł się zupełnie, jestem wolna, aczkolwiek wciąż muszę oczywiście bardzo na siebie uważać. I choć ten człowiek mnie mierzi, w chwili, gdy wypowiadał te słowa, gotowa byłam go niemal wycalaować.

Za kwadrans pierwsza jestem już ubrana i wyszykowana. Siedzę sztywno na brzeżku fotela, bo satynowa kombinacja, którą wybrałam, przy całym jej szyku ma też tę felerną cechę, że niebywale łatwo się gniece. Najchętniej już zaciągnęłabym Adama do jadalni, ale chcę się w niej zjawić dopiero wtedy, gdy wszystkie krzesła będą zajęte. Jeśli wejdem, kiedy ona będzie siedziała, zdobędę punkt przewagi.

– Proszę cię, pospiesz się – poganiam Adasia, który rzuca mi nieco zdumione spojrzenie, ale posłusznie sięga po spinki do mankietów.

Jestem pewna, że nie polubię tej całej Iry. Okaze się na pewno prózną lalką – pewnym siebie, nawykłym do oddawanych mu hołdów, skupionym jedynie na własnym ego manekinem, jakich pełno w naszym warszawskim société, a których szczerze nie cierpię. Być może dlatego, że sama – przez krótki czas, tuż po wyjściu za mąż – niemal stałam się jednym z nich.

Wchodzimy do jadalni pięć po pierwszej. Uśmiecham się uprzejmie: tak, żyję, nie „wyjechałam”, jestem. Jaga macha do mnie energicznie od swojego stołu, nawet powściągliwa Rozalia przesyła mi uśmiech. Nabieram tchu i skręcam za kredensem do naszego stołu. Niestety, na nic moje entré – krzesło Czernisa jest puste. Za to na pozostałych...

– Nina! – Janek zrywa się do ukłonu. – Jak dobrze, że pani jest!

Ze zdumieniem patrzę na czerwony fular z fantazją zawiązany wokół jego szyi. Judesa, wystrojona w udrapowany malowniczo szal, ma uróżwione policzki. Pawłowicz wygląda jak paw w chabrowym, przedpotopowym surducie – skąd on wziął podobnie niedorzeczny stój? Korycka, spowita w kilometry falującej niczym kolonia podmorskich ukwiałów burgundowej tafty, ozdobiła głowę tysiącem doczepionych sztywnych loczków, w których wygląda jak karykatura porcelanowej lalki z ubiegłego stulecia. Tylko kamea z Dianą spinająca dziś sześć sznurów pereł pod pulchnymi podbródkami jest w tym nowym wizerunku znajomym elementem. Nawet mała Dorcia włożyła sukienkę z białej koronki, bardziej moim zdaniem odpowiednią na letnie garden party niż na obiad. Co ta kobieta z nich zrobiła?

Siadam ostrożnie, bo komplet, który mam na sobie, jest prawie najlepszą kreacją, jaką tu ze sobą przywiozłam. Nawet jeszcze Iry nie poznałam, a już tańczę, jak mi zagra – uświadamiam sobie. Najchętniej wróciłabym do pokoju i się przebrała. Właściwie mogłabym, choć wywołałoby to...

– Nina? To musi być pani! Tyle słyszałam o pani dobrych słów, że mam wrażenie, jakbyśmy się lata całe znały!

Podnoszę oczy. Ira (bo któż to może być, jak nie ona?) stoi obok oparcia krzesła Koryckiej, trzymając dłoń na spowitym w tafty ramieniu ku wyraźnemu zadowoleniu jego właścicielki. Spoglądam wyżej i czuję, że na policzki występuje mi rumieniec. Źle ją oceniłam – myślę. – Nigdy nie polegaj na słowach innych. Tyle że właśnie na nich powinnam była polegać. Moją niechęć wywołały zachwyty, a były one jak najbardziej zasłużone. Być może w pewnym stopniu stałam się jednym z potępianych przeze mnie manekinów. Dlaczego dzieje się tak, że automatycznie źle zaczynamy myśleć o tych, o których inni mówią dobrze? Oczywiście dzieje się tak tylko wtedy, gdy wychwalane osoby są naszej płci. Zachwyty Dorci nad Dreslerem wywołały jedynie moje życzliwe nim zainteresowanie.

– Och – mówię nieco zduszonym głosem. – Dzień dobry. Miło mi...

– Mnie także – uśmiecha się Ira, odsłaniając doskonale równe, olśniewająco białe zęby. – Albino, mam pomysł!

– Słucham, moja dhoga?

– Co byś powiedziała, gdybyśmy się zmieniły miejscami? Byłabym w siódmym niebie, gdybym mogła siedzieć obok Niny! Zgodzisz się?

– Ależ... – Albina wręcz rozplywa się w uśmiechach. – Ależ z najwyższą hoźkoszą, moje dziecko!

Na twarzy Janka pojawia się wyraz zawodu, jednak nie zwracam na niego uwagi mile polechtana propozycją Iry. Korycka podnosi się – monumentalna i płomienna jak Wezuwiusz – i zajmuje krzesło obok Janka. Ira siada przy mnie i miękkim gestem dotyka mojej dłoni.

– Jestem pewna, że zostaniemy bliskimi przyjaciółkami – mówi półgłosem, a ja, zamiast uśmiechnąć się wymijająco, co zwykle czynię w reakcji na podobne deklaracje, odpowiadam:

– Bardzo bym chciała.

– Wspaniale! – Ira potrząsa głową, a kaskada rozpuszczonych złocistych włosów lśni mocniej niż brylanty na szyi Judesy. – Alfonsie, wygląda pan dziś wprost bajecznie!

Alfonsie? Do kogo ona... Pawłowicz wypina pierś, a czerwona plama rumieńca wypelza mu zza wykrochmalonego kołnierza koszuli, pnie się po rozradowanych policzkach do tyłego, świecącego czoła i wyżej – aż na czubek okrągłej jak bilardowa kula głowy. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie poznałam dotąd jego imienia, a przecież przez kilka miesięcy widywałam go i rozmawiałam z nim niemal codziennie.

Ira jest zniewalająca. Rzeczywiście piękna, piękniejsza od wszystkich kobiet, które poznałam, ale nie w tym tkwi tajemnica jej magnetyzmu. Coś w mimice, w gestach, spojrzeniach,

a nawet w brzmieniu głosu tej kobiety sprawia, że człowiek – czy chce, czy nie – musi ją podziwiać. Jest jak płomień, przy którym my możemy być tylko ćmami – myślę bez goryczy, bo prawda kryjąca się w tym banalnym stwierdzeniu jest tak oczywista, że nie pozostawia miejsca na cynizm. Unoszę dyskretnie nóż i ukradkiem próbuję dostrzec swoje odbicie w wypolerowanym ostrzu, aby upewnić się, że spod wsuwki nie wymknął mi się jakiś niesforny kosmyk włosów. Zauważa to tylko Dorcia i kwituje nieco cierpkim, porozumiewawczym uśmiechem. W pierwszym odruchu poirytowania mam ochotę odwrócić głowę z zachnięciem, ale jednak tego nie robię. Choć dzieli nas różnica wielu lat, a jej nadal jeszcze bliżej do dziecka niż do kobiety, coś nas łączy – obie mamy na tyle dużo rozumu, aby zdawać sobie sprawę z tego, że znalazłyśmy się we władaniu mocy potężniejszej od nas i że brak nam sił, by tej władzy się oprzeć. Przynajmniej na razie.

*

– Żyjemy w najdoskonalszych czasach – oświadcza Ira. – Cywilizacja osiągnęła swój szczyt. Wyliminowaliśmy wojny i większość chorób. Człowiek może pływać pod wodą, latać w powietrzu, a niebawem sięgnie gwiazd. Mamy elektryczność i radio. Niewiele zostało do odkrycia. Tragedia taka jak ostatnia wojna więcej już nie spotka ludzkości, bo w tym ostatnim paroksyzmie barbarzyństwa wypuliliśmy z siebie resztki zwierzęcości i weszliśmy na wyższy poziom egzystencji. Oczywiście, że Darwin ma rację. Jego teoria jest spójna i logiczna, a to właśnie logika stała się religią nowych czasów. Miejsce Biblii jest na muzealnej półce obok ksiąg o greckiej czy rzymskiej mitologii.

Korycka wpatruje się w Irę jak urzeczona, twarz Pawłowicza jaśnieje w cielejącym uśmiechu. Nawet Judesa wstrzymała lot widelca, który zawisł kilka centymetrów od jej uchylonych ust. Wykład Iry jest tak klarowny i przekazany z taką mocą, że instynktownie zgadzam się z każdym słowem, choć ziarenko zdrowego rozsądku, które udało mi się jeszcze w sobie uchronić, pozwala z pewnym krytycyzmem przyglądać się moim towarzyszom.

– Ha! I co pan na to powie, panie Pawłowicz? – pyta triumfującym głosem Janek.

– Cóż... – bąka pod nosem właściciel oślepiającego surduta – ...nie przeczę, że nowe czasy wymagają nowego myślenia, jakkolwiek... Tak.

Uśmiecham się mimowolnie pod nosem i sięgam po salaterkę z mizerią. Ira przygląda mi się kątem oka, chwytam jej spojrzenie. Czy to kpina? Mruga porozumiewawczo, niemal niedostrzegalnie kiwam głową w odpowiedzi. Jesteśmy lepsze. Rozumiemy się – przyjemne ciepło na sercu. Wpadam w pułapkę i choć jakąś drobną cząstką rozumu zdaję sobie z tego sprawę, nie cofam stopy z rozwartych szeroko, kiepsko zamaskowanych sideł.

– Nałożyć ci? – pytam Adama.

Wpatruje się we mnie z natężoną uwagą bolesnym wzrokiem. Zupełnie jakby chciał mi coś powiedzieć, jakby szukał słów, by wyrazić myśl.

– O co... – zaczynam, lecz nie kończę, bo w tej chwili Ira dotyka mojego ramienia.

– Czy to nie wspaniałe uczucie, gdy człowiek trafia na drugiego, z którym umie porozumieć się bez słów? – pyta szeptem.

Rozpływam się w zachwyconym uśmiechu i odstawiam miskę na stół.

*

Zaproszenie od Jagi, pisane identycznym szyfrem jak poprzednie, leży na podłodze tuż za naszym progiem. Adam w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie kręci odmownie głową i wychodzi na taras. Oczywiście nie powinnam korzystać z tego zaproszenia, i to z wielu względów. Po pierwsze, nie wolno mi, powinnam odpoczywać. Po drugie... Nie ma „po drugie” ani „po

trzecie”! Co założyć?

W szufladzie komody pod bielizną leżą jeszcze trzy butelki wina i koniak. Aby uzupełnić zapasy, musiałabym pójść do Zakopanego. Droga nie jest daleka, raptem trzy kwadransy spaceru, ale wydaje mi się równie mało realna i karkołomna, jak wyprawa do Brazylii. Choć Sanato zbudowano w pobliżu miasteczka, sprawia wrażenie całkowicie odizolowanego od świata. Nagle uświadamiam sobie, że odkąd tu jesteśmy, byłam tylko raz na Krupówkach – wybraliśmy się tam w pierwszym tygodniu pobytu. Miesiące temu! A przecież nie ma oficjalnego zakazu, wolno nam wychodzić. Dlaczego tak niewielu (czy *ktokolwiek w ogóle?*) to czyni? Czy zniechęca nas kamienista gościniec prowadzący w dół, czy może perspektywa męczącej wspinaczki w drodze powrotnej? Żyjemy tu jak w bańce oddzielonej od czasu i przestrzeni, a im dłużej trwa nasz pobyt, tym ściany naszego więzienia stają się grubsze i bardziej zwarte. Może mogłabym na stronie poprosić o przysługę ogrodnika albo jedną z pokojówek? Na pewno któreś z nich zgodziłoby się przemyścić dla mnie kilka butelek za niewielką opłatą, ale nie bardzo wiem, jak zabrać się do przeprowadzenia podobnej transakcji.

Jeśli mam iść do Jagi, muszę odpocząć, a nawet się przespać. Odma w moim przypadku okazała się modelowa, jednak nigdzie nie jest powiedziane, że na skutek moich nierozsądnych działań może przestać taką być.

Otulona futrem i okryta pledem przymykam oczy na leżaku. Powietrze jest ostre, rześkie, ale niesie ze sobą przygńębajającą, trudną do uchwycenia woń zgnilizny – butwiejących liści i rozkładającego się zwierzęcego truchła. Chciałabym, aby nadeszły już mrozy. Więc – co założyć? Satynowy komplet jest już spalony, wszyscy mnie w nim widzieli, więc nieprędko będę mogła w nim się pokazać. Morelowa sukienka z szyfonu, którą obstałował mi Jarmont według wzoru z paryskiego żurnala, jest mimo wszystko zbyt strojna. Czarno-biała, także pochodząca z jego zakładu, będzie najlepsza. Doskonale skrojona, materiał może nieco przyciężki na wieczór, ale biorąc pod uwagę porę roku, ujdzie. Czarne patki na kieszeniach świetnie podkreślają talię...

Nagle serce zatrzymuje mi się w piersi i brakuje mi tchu. Otwieram szeroko oczy, a ślady senności pierzchają jak za dotknięciem magicznej różdżki.

A jeśli okaże się, że jestem w ciąży? Minęło dopiero kilka dni, nic nie wiem; podejrzewać mogę wszystko. Gdybym wkrótce zaczęła się zaokrąglać niczym nasza wiotka Elwira, która jako jedna z nielicznych naprawdę wyjechała z Sanato kilka tygodni temu... Przyciskam do ust obleczoną w jasną rękawiczkę dłoń. Boże...

Jestem tu co prawda z mężem, wydarzenie na pewno byłoby szeroko omawiane, z pewnością sensacyjne, jednak w granicach dobrego smaku. Ale Adam ostatni raz przyszedł do mnie w nocy ponad trzy miesiące temu! Jak miałabym mu to wytłumaczyć? A jeśli narodzone dziecko przypominałoby... Porcelanowy Chińczyk kiwa się przed moimi oczami w rechetliwym płasie. Nie ukryję tu tego, nie schowam się. Nie ma ucieczki! Nagle żołądek zwija mi się w palącym skurczu, a fala mdłości niemal podrywa mnie z leżaka. Nie mogłabym tu w żaden sposób pozbyć się dziecka – ani przed porodem, ani po. Ale nawet gdybym mogła, czy potrafiłabym się na to zdobyć? Marzyłam o dziecku, a Adam parokrotnie robił sobie wyrzuty, że jeszcze mi go nie dał. Czy zatem – nawet gdyby okazało się ułomne i nawet gdyby stało się jawnym dowodem mojego... nazwijmy to, nieszczęścia – umiałabym je zgładzić, jak jedna z tych rozlicznych młodych panien, najczęściej służących, o których można znaleźć wzmianki w prasie? Wiem, że nie umiałabym. Czy Adam by mi wybaczył? Pozornie tak, ale tylko pozornie. Żeby być tego pewną, nie trzeba mi nawet zdjęcia rentgenologicznego jego głowy, znam go na wylot. Wiem, co by czuł, co myślał...

Co mogę zrobić?

Zerkam na męża pogrążonego we śnie na sąsiednim leżaku. Jest szczupły i kruchy. Cień

zarostu podkreśla zapadnięte policzki, długie, czarne rzęsy i gęste brwi silnie kontrastują z papierowoblada skórą. Czy zdołałabym skłonić go, by przyszedł do mnie po zmierzchu dziś, jutro czy pojutrze i sam zapewnił mi alibi? Ale jak? TE spotkania rozgrywały się zawsze bez słów, prośba nie przeszłaby mi przez gardło. Może sama mogłabym... Przymykam oczy i czuję płomień na policzkach. To nigdy nie odbywało się w taki sposób – on przychodził do mnie. Do mężczyzny należy pierwszy ruch, kobieta może go tylko przyjąć. A zresztą, pomijając wszystko, czy miałby jeszcze dość sił, by się do mnie zbliżyć?

Wstaję z leżaka i wracam do pokoju. Wyłamując palce dłoni, krążę od ściany do ściany, niczym schwywane w potrzask zwierzę.

Zaraz, przecież jestem kobietą. Przecież umiem myśleć, jestem taka sprytna, co wielokrotnie wychwalał mój ojciec. „Nasza Nusia jest jak brylant – podobnie jak on ma wiele stron”. Potrafię więc być przebiegła i podstępna, potrafię wystrychnąć na dudka nawet kogoś, kogo Kocham. Nic nie musi się wydarzyć naprawdę, wystarczy tylko, aby on tak myślał. Jeśli przyjdę do niego w nocy, gdy zaśnie, jeśli położę się u jego boku, rozepnę nieco pidżamę, zwilżę w kilku miejscach wodą dla uwiarygodnienia efektu – to wystarczy. Z łatwością wmówię mu, że coś się wydarzyło, że czegoś dokonał, a jego pamięć o tym po prostu zatarł sen. By mu to wmówić, nie będę nawet potrzebowała słów! Przecież gesty i konkretne dowody niejednokrotnie są bardziej wymowne.

Zrobię to. Oddycham z ulgą i nieco spokojniejsza otwieram szafę, by wyjąć z pokrowca strój. Drobna, czarna krateszka vichy i aksamitne czarne wyłogi na mankietach – elegancja i powściągliwość, może nieco bardziej w stylu wykwintnej guwernantki niż damy, ale właśnie czegoś takiego mi teraz trzeba. Nie mam zamiaru ustawiać się w jednym szeregu z resztą rywalizującą między sobą papuzimi jedwabiami i kaskadami falban. Przez chwilę przyglądam się sukni z zadowoleniem, a potem – zupełnie już spokojna – ruszam do szuflad, by odszukać najlepszą parę pończoch.

*

– Pani jest pierwszą prawdziwie zajmującą osobą, jaką tu spotykam...

– Zatem ma pan więcej szczęścia ode mnie – odpowiadam cierpkim tonem i odsuwam się pół kroku od niego.

Za chwilę zapędzi mnie w kąt pokoju, z którego nie będzie ucieczki. Miet podchodzi bliżej. Podczas pierwszego spotkania nie zrobił na mnie wrażenia natrętnego amanta. Teraz jednak – co wyraźnie czuję w jego oddechu – jest nieźle podchmielony, a w jego przypadku, podobnie niestety jak w przypadku większości mężczyzn, taki stan nie tylko dodaje mu kurażu, ale też obnaża całkowity brak klasy.

Rozglądam się w poszukiwaniu Jagi, ale nigdzie nie mogę jej dostrzec. Żałuję, że tu przyszłam, powinnam była zostać z Adamem. A Ira i tak nawet się nie pokazała.

– Kobiety to łatwy towar do nabycia, trzeba jedynie znać sposoby na różne gatunki, tańsze i droższe, lecz ostatecznie dekatyzuje się każda – Miet pomału zapomina nawet o pozorach dobrego wychowania.

– Doprawdy? A cóż to za określenie bławatnokupieckie?

– Mój patent – Miet próbuje mnie chwycić pod łokieć, ale udaje mi się cofnąć rękę na czas.

– Drogi panie – oświadczam lodowatym tonem – jestem mężatką i jako taka zostałam wycofana z handlu jakiś czas temu.

– Towary z drugiej ręki też niekiedy trafiają na rynek. Szczególnie tyczy się to dzieł sztuki i klejnotów.

– Owszem, ale ich cena znacznie wtedy wzrasta.
– Zależy. Niekiedy wystarczy zaproszenie na tłustą operetkę, oglądanie pierścionków i kilka pochwał, aby dobić targu. Czy mówił już pani ktoś, że ma pani łabędzią szyję?
– Dzięki Bogu, nie. Pan jednak, zdaje się, mówiąc o łabędziu, myśli o gęsi – odpowiadam. – Najwidoczniej ma pan we własnym mniemaniu postawę Casanovy, jednak najwyraźniej sprowadza się to do torby jednakowych komplementów, którymi obdarza pan wszystkie napotkane sam na sam kobiety w nadziei, że trafi pan wreszcie na gęś, która w nie uwierzy. Ale ja nie jestem gęsią, mimo stwierdzonego przez pana podobieństwa w budowie anatomicznej.
– Od kobiet pochodzi wszystko, co złe na tym świecie!
– Czy wszystko, wątpię. Lecz mężczyźni z pewnością.
Miet wpatruje się we mnie przez kilka sekund rozwścieczonym wzrokiem, nagle wybucha głośnym śmiechem i jednym haustem opróżnia trzymaną w dłoni szklankę wódki.
– Poddaję się! – mówi.
– Nareszcie – wzdycham z wyraźną ulgą.
– Nina! – woła od drzwi Ira.
Rozmowy milkną i wszyscy spoglądają w jej stronę. Zawołała mnie. Pęcherzyk dumy rośnie we mnie prędko – prędej od bańki azotu, którą tak pięknie zassałam do opłucnej. Macham dłonią na przywitanie.
– TO jest kobieta... – mamrocze z cichym jękiem zachwytu Miet.
– I na ile pan wycenia ten towar?
– Niestety, w tym szczególnym przypadku przedsięwzięcie jest nie na moją kieszeń – wyznaje z zaskakującą szczerością mój rozmówca.
– Wyglądasz po prostu zachwycająco – oznajmia Ira, całując mnie w policzek. – Gdzie zdobyłaś taką suknię? Pewna jestem, że podobny wzór widziałam w najlepszym berlińskim salonie kilka tygodni temu.
Uśmiecham się uszczęśliwiona pochwałą. Naprawdę zajmie mi sporo czasu, żeby się zorientować, że Ira – wzorem Mieta – jednakowymi komplementami obdarzała wszystkich, których chciała sobie kupić. Ale w jej przypadku ta wyświechtana moneta zawsze znajdowała nabywcę.
– Och, obstałowałam u Jarmonta przy Nowym Świecie ładnych kilka miesięcy temu.
– Nowy Świat? – pyta Ira. – W Warszawie, tak? Wyobraź sobie, że jeszcze nigdy nie byłam w Warszawie, czy potrafisz to sobie wyobrazić? Wychowałam się w Poznaniu, ale od dwunastego roku życia mieszkam w sanatoriach, i to wyłącznie niemieckich. Na dobrą sprawę zupełnie nie znam innej rzeczywistości. Tu, w Polsce, jestem po raz pierwszy od pięciu lat. Co pijesz?
– Porto – unoszę kieliszek.
– Świetny wybór! – stwierdza, choć raczej trudno się zgodzić z tą opinią.
Wybrałam porto, bo po pierwsze, serwuje się je w małych kieliszkach, a po drugie, nie sposób wypić go dużo. Ale oczywiście pochwała mile łechce moją próżność. Miet uśmiecha się melancholijnie i odchodzi. Przez kilka chwil go obserwuję: sunie wśród towarzystwa z wprawą kreśląc – jak ujęłaby to Mniszkówna – osemki na łyżwach zdawkowych frazesów. Wreszcie udaje mu się wytypować kolejną ofiarę, którą po chwili zapędza w kąt przy szafie. Dziewczyna ma na imię Amelia, nie należy do najbystrzejszych, choć odznacza się pewnym naiwnym wdziękiem. Zachwycona atencją Mieta Amelia zaśmiewa się do rozpuku z jego uwag. Najwyraźniej ten typ łąsy jest na tłuste operetki i tanie pochwały.
– Przyszłaś sama? – pytam.
– Oczywiście! A z kim miałabym przyjść?
– Słyszałam, że jesteś zaręczona z Dreslerem.

– Mam wrażenie, że wszyscy tu wiedzą o mnie wszystko – stwierdza wesołym tonem Ira, biorąc kieliszek porto od Stana. – Dziękuję. Znakomicie skrojony smoking. Owszem – odwraca się do mnie. – Ale przecież on jest lekarzem, nie mógłby się tu pojawić. Oczywiście doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co wyprawia się po zmierzchu w miejscach takich jak to, jednak nie wolno mu tego aprobować. Przynajmniej oficjalnie.

– Jeszcze go nie poznałam. Jaki jest?

– Och, poznasz, to tylko kwestia czasu. Myślę, że jako jedna z pierwszych. A jaki jest? Pytasz o lekarza czy mężczyznę?

– O jedno i o drugie – śmieję się zażenowana.

– Jako lekarz – wybitny, bez dwóch zdań. Jako mężczyzna – niestety wciąż nie potrafię powiedzieć. Mimo że jesteśmy po słowie od dwóch lat, nie podzielił się ze mną jeszcze niczym, poza słowami. Nie licząc kilku pocałunków oczywiście, ale one tylko pobudzają apetyt, zamiast go koić. Szczególnie w tym przypadku, bo całuje mnie, jakbym była z porcelany, a nie z krwi i kości. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

Otwieram szeroko oczy zszokowana tak bezpośrednim wyznaniem i nie wiem, co odpowiedzieć.

– Przeraziłam cię? – pyta Ira. – Wybacz. Nie przywykłam do konwenansów. W świecie, w którym żyjemy, nie bardzo mamy na nie czas. Uważam, że w ogóle należy się spieszyć, żeby czegoś doświadczyć, a już w naszym przypadku szczególnie. Czy wiesz, że wszyscy, których znałam, z którymi się przyjaźniłam, nie żyją? To daje do myślenia, nie uważasz?

– Ja... Tak, myślę, że rozumiem – udaje mi się wykrztusić i pospiesznie podnoszę kieliszek do ust.

– Mężczyźni także – ciągnie Ira, rozglądając się wśród gości. – Wszyscy, których miałam, bez wyjątku. A możesz mi wierzyć, że nie było ich mało. Pamiętaj, że do niedawna żyłam z wyrokiem. Teraz to się zmieniło. Dlatego przyjąłm oświadczyńy Dreslera.

– Bo wyzdrowiałaś...

– Prawie. Ale niebawem wyzdrowię – Ira rzuca mi tajemnicze spojrzenie. – I zapewne nie ja jedna. Ale o tym kiedy indziej, zresztą nie będę psuła przyjemności Matysowi, to jego sprawy. Opowiedz mi o tych ludziach.

– O kim?

– No, o nich – Ira nieco lekceważącym gestem wskazuje na gości. – Ta ruda na przykład. Co o niej wiesz?

– Rozalia?

– Tak, ona.

– Cóż... Przyjechała z Łodzi, jej ojciec jest zdaje się kupcem. Podobnie jak wszyscy tutaj pochodzi z zamożnej rodziny. Wołęjszo mówiła mi... – urywam z wahaniem i kończę niezręcznie: – że ją lubi.

– Bądź szczerą – upomina mnie Ira. – Co ci mówiła?

– Powiedziała, że wcale nie ma na imię Rozalia, tylko Rojza – mówię szeptem. – Ale podejrzewam, że powiedziała tak tylko dlatego, że stara się o względy Stana, tego blondyna stojącego przy oknie, a on najwyraźniej skłania się właśnie w stronę Rozalii. Jej samej z kolei zależy chyba na sympatii Mieta, który najwyraźniej nie odwzajemnia tych uczuć, bo robi maślane oczy do Jagi. Ten czworobok przypomina dziecięcy wiatraczek na wietrze – każde ramię goni za sąsiednim i żadne z żadnym nigdy się nie styka.

– Czyli że ona jest Żydówką?

– Nie wiem – wzruszam ramionami. – To chyba bez znaczenia?

– Zależy dla kogo – zagadkowo odpowiada Ira. – A ten, który stał tu przy tobie?

- Miet. Niespecjalnie interesujący człowiek.
- Wygląda na silnego. Mocna budowa.
- Może. Nachalny z pewnością.
- O tak. To widać. Jak myślisz, którą z nich miał?
- Słucham?! – prawie wykrzykuję, wytrącona z równowagi.

Ira patrzy mi prosto w oczy z lekką kpina.

– Nina, przecież ty nie jesteś zakłamana. A może jednak jesteś? Jak te dewotki, które majtki nazywają reformami, twierdzą, że niemowlęta przynosi bocian, i wierzą, że ksiądz po otrzymaniu święceń samoistnie odrzuca męski organ niczym drzewo liście jesienią? Nie, nie wierzę w to. Zresztą, na Boga, użyłam delikatnych słów. Mogłam przecież zapytać: jak myślisz, której z nich już wsadził? To byłoby, przyznaję, obcesowe, choć bliższe sedna. Powiedz, że się co do ciebie nie myliłam!

Cóż mogę na to odpowiedzieć? Milczę przez długą chwilę i wpatruję się w kpiące szafirowe oczy Iry. Mam wrażenie, że jej spojrzenie przenika mnie na wylot, że dostrzega wszystkie moje tajemnice (*dziś w nocy, gdy zaśnie*), wszystkie grzeszki (*siniaki żółkły już nieco*) i wszystkie obawy (*porcelanowy Chińczyk*). Czyta mnie niczym otwartą książkę – uświadamiam sobie. Czy aby zbyt prędko nie znudzi jej ta lektura? Bo przecież – co uświadamiam sobie nieoczekiwanie, czując w sercu piekący żal – jestem nudna. Bezbarwna, nijaka i zakłamana. Czym prędzej zmuszam się więc do uśmiechu i wzruszam ramionami.

– Nic nie wiem o jego dotychczasowych zdobyczach – mówię i wskazując Amelię, której policzki przypominają w tej chwili dwie piwonie, dodaję: – Ale tej możemy już być pewne.

Ira bierze mnie pod rękę i wypytuje o innych. Wydaje mi się, że to tylko nieistotna, nieco brudna, plotkarska pogawędka, lecz niebawem przekonam się, że wcale taka nie była. Ira przeprowadza werbunek, a ja zostałam jej językiem. Nie przyjaciółką, na co miałam wielkie nadzieje, ale rodzajem użytecznej zabawki, lalką, którą wreszcie – wzorem rozpieszczonych, wychuchanych i okrutnych dziewczynek – postanowi zniszczyć.

Jednak tymczasem jestem uszczęśliwiona, a dotyk jej dłoni na moim ramieniu napawa mnie spokojną radością. Po raz pierwszy od przyjazdu do Sanato nie czuję się samotna.

*

Zmuszam się, aby opuścić przyjęcie po trzeciej, choć zabawa trwa w najlepsze. Miet zniknął gdzieś z rozchichotaną Amelią, a towarzystwo zaczęło się dobierać w pary. W pewnej chwili poczułam się niczym ptak dodo na arce Noego. Ira postanowiła zostać, co nieco mnie zaniepokoiło – a jeśli znajdzie sobie inną, ciekawszą ode mnie, mniej zakłamaną przyjaciółkę? To określenie w odniesieniu do mnie padło z jej ust podczas wieczoru kilkakrotnie, a i ja sama użyłam go, zwracając się do niej. Nigdy dotąd nie nazwałam dopiero co poznanej kobiety przyjaciółką. Ale nigdy dotąd nie poznałam Iry.

Adam śpi. Rozbieram się najciszej, jak potrafię, i nalewam do szklanki odrobinę wody. Na palcach przechodzę przez pokój i przysiadam na krawędzi swojego łóżka. Wsłuchuję się w oddech męża, czekam, licząc w myślach do stu, potem do dwustu, wreszcie do pięciuset. Muszę mieć absolutną pewność, że zasnął, bo wtedy nic go nie obudzi. Zawsze zazdrościłam mu tej cechy, niekiedy nawet mnie irytowała, gdy sama leżałam w bezsenne noce, słuchając jego posapywania. Teraz się z niej cieszę. Szczęśliwie nigdy nie chrapał.

Wstaję i wstrzymując oddech, podchodzę do sąsiedniego łóżka. Gdzieś w odległej części Sanato jakaś kobieta wybucha krótkim histerycznym śmiechem – zastygam na sekundę. Cisza. Odstawiam szklankę z wodą na nocny stolik i delikatnym ruchem odchylam kołdrę. O dziwo dziś Adam leży na wznak, ręce ma wyciągnięte wzdłuż ciała niczym stojący na baczność żołnierz.

Oddycham bezgłośnie przez usta i ostrożnie rozpinam jeden po drugim guziki popielatej pidzamy. W mroku jego skóra jest równie jasna jak biel prześcieradeł. Zapadnięty brzuch z linią ciemnych, miękkich włosów biegnących do klatki piersiowej i rozkładających się na niej na podobieństwo wachlarza. Drobne, blade krążki beużytecznych sutków. Widzę je po raz pierwszy od miesiący. Nie wiedziałam, że schudł tak bardzo, żebra niemal przebijają cienką jak pergamin, naprężoną skórę. Próbuję rozsypać węzeł tasiemki, którą związane są jedwabne spodnie – przed oczami natychmiast stają mi worki z piwnicy. Przełykam ślinę, gardło mam ściśnięte. Wystarczy tylko rozwiązać, nic więcej... Udało się. Dwoma palcami rozchylam rozcięcie, nie próbuję niczego wydobyć z ukrycia, tak będzie dobrze. Sięgam po szklankę, wsuwam do niej palce i czujnym wzrokiem spoglądam na twarz Adama. Nie śpi. Zamieram, wpatruję się w jego szeroko otwarte oczy, które w ciemności są tylko dwoma blado połyskującymi punktami. Przygląda mi się beznamietnym, obojętnym wzrokiem, jego pierś podnosi się i opada w tym samym niezmiennym, spokojnym rytmie. Może śpi? Zniemacka przypomina mi się upiorny sen sprzed kilku nocy. Próbuję coś powiedzieć, ale gardło mam tak ściśnięte, że nie wydobywa się z niego najlżejszy szept. Stoję w niezgrabnym półukłonie, pochylona nad nim, z palcami prawej ręki zanurzonymi w szklance – absurdałna poza. Wydaje mi się, że trwa to bez końca. Wreszcie Adam szybkim gestem sięga po skraj odchylonej kołdry i podciąga ją na ramiona, po czym obraca się na bok, twarzą do ściany.

Trwam nad nim jeszcze przez kilka sekund, wreszcie wypuszczam wstrzymane w płucach (w *płucu*) powietrze i wracam na swoje łóżko.

Policzki mi płoną. Nie wiem, co jest gorsze – to, że nie spał i widział, co wyprawiam, czy też to, że mój plan się nie powiódł. A miałam tylko jedno podejście. Może jednak zapomni, może jednak spał? Przecież często się zdarza, że sama we śnie wykonuję pewne czynności, których potem nie pamiętam – odkrywam się, odrzucam poduszkę. Raz nawet zdjęłam koszulę; rankiem znalazłam ją zwiniętą w kłębek w nogach łóżka, co niepomiernie mnie zdumiało. Może więc i on nie będzie pamiętał tej idiotycznej sytuacji? Jak powiedziała Dorcia, cóż mamy poza nadzieją?

Kładę się wreszcie i okrywam kołdrą, bo w pokoju jest chłodno. Uruchomiono już co prawda ogrzewanie, jednak żeliwne żeberka grzejnika są zaledwie ciepłe – ponoć prątki jeszcze bardziej nie cierpią zimna niż ludzie. Mam lodowaty nos. Leżę, wpatrując się w ciemność, ktoś przebiega korytarzem za naszymi drzwiami. Gdzieś na piętrze znowu słychać śmiech. Co ma być, będzie – myślę. A co będzie, przekonam się za kilka dni, gdy nadejdzie mój termin. Jak każda kobieta krwawię co miesiąc, jeśli jednak spodziewam się (*porcelanowego Chińczyka*) dziecka, krwawienie nie nastąpi. I nie pojawi się dopóty, dopóki będę nosiła je pod sercem, bo przez ten czas ono będzie karmiło się moją krwią. To wiem. W końcu jestem nowoczesną młodą kobietą.

ROZDZIAŁ VII

DRESLER

Sobota, 24 października 1931 roku

Godziny ranne mogą przynieść powodzenie w stosunkach z osobami płci obojga, ale najlepsze wpływy kosmiczne skoncentrują się koło południa. Tak więc godzina 12-ta i 13-ta mogą nam przynieść dobre samopoczucie, budujące wieści, nowe, lepsze od dotychczasowych perspektywy życiowe, a także szansę powodzenia i poparcie przyjaciół oraz osób wybitnych.

Po godzinie 20-tej nastąpi jeszcze wyraźniej odczuwalna zmiana na lepsze, obiecująca niespodziewane okazje pomyślne, powodzenie w spekulacjach i poczynaniach ryzykownych.

Wieczór późniejszy przyniesie ruchliwość umysłową i towarzyską.

W dniu dzisiejszym wystrzegać się należy: przestrzeni otwartych, osób obdarzonych nadmiernym wzrostem, smaków zbyt wyrazistych, barwy cytrynowej, z potraw – szparagów, z metali – cynku, a z kamieni – topazów.

To chyba najlepsza z wróżb, które ofiarował mi dotąd futuroskop. Humor od razu mi się poprawia, choć równocześnie pojawia się niejasne podejrzenie, że tak pomyślna przepowiednia jest nagrodą za to, że o urządzeniu pamiętam i regularnie je nakręcam. Niedorzeczna myśl, lecz jestem jej dziwnie pewna. Wystarczyłoby pewnie, abym zaczęła rozważać odstępianie od rutyny, a następna fiszka przyniosłaby mi znacznie mniej optymistyczne obietnice. Odwracam skrzynkę do góry dnem i przekręcam mosiężne pokrętko.

– Dobrze spałeś? – pytam Adama, gdy odsuwa kotarę i opuszcza kąt łazienkowy.

Milczy przez długą (*zbyt długo!*) chwilę, ale wreszcie mówi:

– Tak.

– Bo ja, wiesz... – wysilam się na niedbały ton – ...miałam przedziwne sny. Zdawało mi się, że lunatykuję, dasz wiarę? Osobliwy sen, prawda?

– Zapewne.

– Czyli nie zauważyłeś niczego niezwykłego?

– To znaczy czego?

– No, abym lunatykowała?

– Przecież mówiłaś, że to był tylko sen.

– A, tak. Oczywiście.

To wcale nie jest jasna odpowiedź. Stoję przez moment niezdecydowana i rozważam, czy drążyć temat. Ale Adam zachowuje się jak zazwyczaj, nie jest wzburzony, nie patrzy na mnie w inny sposób. Nie, lepiej zostawię tę sprawę w spokoju.

– To był błąd z twojej strony – mówi nagle Adam, a mnie skóra cierpnie w ułamku sekundy.

– Co... Co masz na myśli? – pytam w popłochu.

– To – wskazuje na futuroskop, a ja natychmiast czuję taką ulgę, że aż miękną mi kolana.

– Nie należało tego przyjmować.

– Och. Dlaczego? Przecież to tylko zabawka.

– To nie jest dobre. Otwiera drzwi, przez które coś może się przedostać.

– Co ty opowiadasz? – śmieję się krótko, a potem przyglądam mu się podejrzliwie. – Cóż się może przedostać? Duchy?

– Nie. Myśli – stwierdza zagadkowo Adam. – Powinnaś się tego pozbyć. Najlepiej teraz, od razu. Dopóki jeszcze możesz.

Wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Gruźlica najczęściej lokalizuje się w piersiach, ale przecież nie zawsze. Przytrafiają się ogniska w kościach, wątrobie, nerkach. A także w mózgu – mącą wtedy rozum i wreszcie odbierają go całkowicie. Klitowicz opowiadał nam o tym podczas jednego z wykładów. Adam zachowuje się dziwnie od wielu tygodni, kładłam to na karb depresji, lecz mogłam się przecież mylić.

– Jeśli to dla ciebie takie istotne, to mogę... – zaczynam, ale wtedy za moimi plecami rozlega się zgrzytliwy jęk i ciche puknięcie.

Zaskoczona urywam i oglądam się w stronę okna. W pierwszej chwili nie widzę niczego niezwykłego. Patrzę na komodę, na futuroskop... Biały, okrągły przycisk umieszczony obok szczeliny w jego frontowej części wysunął się na pół centymetra. Wcześniej nie poświęcałam mu uwagi, fiszki pojawiały się automatycznie – urządzenie wypluwało je samo codziennie, równo z wybiciem 9.00, a wypukły klawisz tkwił nieruchomo. Teraz się wysunął, niczym włącznik zgaszonej lampy elektrycznej, który należy nacisnąć, by do żarówki popłynął prąd.

Podchodzę do komody, kładę dłoń na futuroskopie i cofam ją natychmiast – drewniana obudowa jest ciepła. Gdyby dzień był słoneczny, uznałabym, że nagrzały ją padające przez okienne szyby promienie słońca, lecz aura nadal jest nieszczególna, a gruba pokrywa skłębionych szarych chmur wisi nisko nad Sanato. Dotykam blatu komody w nadziei, że być może się mylę, że może jednak słońce wyjrzało na kilka minut, gdy byliśmy na śniadaniu – lakierowana powierzchnia jest znacznie chłodniejsza. Przyglądam się bakelitowemu guzikowi z namysłem, lekko dotykam go opuszką palca. Co by się stało, gdybym go przycisnęła? Czy futuroskop ofiarowałby mi kolejną przepowiednię? A może nie byłaby to wcale przepowiednia, ale konkretna obietnica? Czy może raczej – groźba...

Przychodzi mi do głowy, że tracę zdolność racjonalnego myślenia. Przypisuję martwemu przedmiotowi nadprzyrodzone cechy? Czy oszalałam? A może to w moim, a nie Adama, wypadku choroba zaatakowała umysł. Nie. Jestem pewna, że nie.

Blade, zamglone światło poranka wcale nie rozprasza moich obaw – czuję irracjonalny lęk, zbliżony do tego, jakiego doświadczam niekiedy w bezsenne, ciemne noce, gdy nagły szelest w pokoju podrywa mnie z poduszek i rodzi w wyobraźni wizję pełną w stronę łóżka upiora. Lęk przed ciemnością – silniejszy od rozumu.

– Nie bądź niemądry – mówię więc, siłąc się na bez troskę, choć mój głos drży nieco. – Nie ma mowy, żebym się go pozbyła. Bawi mnie, a poza tym to przecież prezent. Od Nel.

Przez chwilę nic się nie dzieje i nagle futuroskop wydaje z siebie skrzypiący, metaliczny jęk, a biały klawisz wolno cofa się do poprzedniej pozycji. Gapię się zdziwiona na skrzynkę, wreszcie sięgam i ostrożnie dotykam jej palcami – jest chłodna.

Adam wzdycha za moimi plecami, wyjmując z szafy blezer. Zakłada płaszcz i kapelusz, a potem wychodzi na balkon.

Co się ze mną dzieje? Siadam na brzegu łóżka plecami do komody i sięgam po szczotkę do włosów. Może powinnam się komuś zwierzyć, poszukać pomocy? Ale komu? Klitowiczowi? Musiałabym przyznać się do wizyty w kostnicy, a wtedy byłby przekonany, że zwariowałam. Wariat hasa po ulicy. Wariat hasa po Sanato. Nie, tylko po niektórych jego piętrach. I na molo. *Mój porcelanowy Chińczyk* – odpycham czym prędzej tę myśl i szczotkuję włosy z drugiej strony głowy. Sto razy z lewej, sto razy z prawej...

Musiałabym przyznać się do tego, co tam przeżyłam, choć przecież i dla mnie stanowi to tajemnicę. Nie tyle więc przyznać się, ile opowiedzieć o tym, co – jak mi się wydaje – przeżyłam. Nie, wykluczone, nie umiałabym z nim o tym mówić. Choć Klituś przecież mógłby przepisać mi

jakieś lekarstwo, coś na ukojenie nerwów. W końcu jest doktorem. Komu można ufać przede wszystkim, jeśli nie księżom i lekarzom? Ale jednak nie.

Z kim więc mogłabym porozmawiać? Z Dorcią? Przecież to dziecko. Przeraziłabym ją, niczego nie zyskując.

Ira.

Zastygam na sekundę, a w moim sercu zapala się iskierka nadziei. Tak, z nią mogłabym o tym pomówić. Muszę jednak lepiej ją poznać, może więc za kilka dni. A może za tydzień – jeśli oczywiście jej deklaracje przyjaźni nie okażą się czczymi słowami.

Odkładam szcztokę i sprawdzam godzinę na zegarku. Zostało mi dwadzieścia minut, muszę się pospieszyć. Wyjmuję z kieszeni zakietu żółtą kopertę i jeszcze raz czytam list, który doręczono mi godzinę temu...

*

– Śniadania są tu naprawdę wyśmienite – stwierdza Ira, rozrywając okrągłą, przypieczoną na złoty kolor bułeczkę. – Szczerze mówiąc, nigdzie nie jadalam lepszych. Gdyby to menu zamieszczono w folderze reklamowym zamiast nudnego opisu klimatu, w Sanato zdecydowanie zwiększyłaby się frekwencja.

– Klituś przywiązuje wielką wagę do śniadań – stwierdza Judesa, która wyraźnie przychyliła się do zdania naszego doktora.

Owsianka z miodem niemal wylewa się z jej talerza. Gdybym pochłonęła podobną porcję, nie ruszyłabym się z krzesła przez cały dzień.

Pawłowicz, w przeciwieństwie do Judesy, wyraźnie nie ma apetytu. Wpatruje się w Irę niczym urzeczony, a na jego talerzu od kilku minut leży ledwo napoczęty płat śledzia.

– Poproszę o cukier – odzywa się Dorcia.

Nakłada sobie na spodek pięć kostek, a szóstą wsuwa do ust.

– Tego jednego nie rozumiem – Ira wskazuje na spodek. – Cóż to za obyczaj jeść kostki cukru jak koń? Widziałam raz co prawda w Davos Rosjanek, która tak postępowała, ale przez cukier sączyła herbatę, a wy tego nie robicie.

– Zalecenie – wyjaśnia ochoczo Janek. – Francuski medyk Monceaux odkrył, że pochłanianie rankiem większych ilości cukru wywołuje hiperglikemię i wzmacnia późniejsze uczucie głodu. Co prawda zalecał on picie do śniadania jedynie ocukrzonej wody, ale nasz Klituś postanowił pójść o krok dalej. Każdy pacjent musi więc podczas śniadania zjeść co najmniej pięć kostek cukru i wypić dwie duże szklanki mleka lub jedną śmietany. Trzeba przyznać, że skutek jest wyśmienity, bo takiego apetytu jak tutaj nie miałem nigdy wcześniej.

– Prawda – kiwa głową Judesa. – To, czego tu doświadczam, trudno już nawet nazwać apetytem. To wprost, sama nie wiem... No, po prostu wilczy głód!

Dorcia pochyła szybko głowę, aby ukryć uśmiech. Po raz pierwszy Judesa wypowiedziała jednym ciągiem aż tyle słów. Patrzę na nią ze zdumieniem, gdy nagle głosy w odległej części jadalni ożywiają się, a przy stolikach powstaje zamieszanie. Wyciągamy szyje, aby dostrzec, co je spowodowało – jedynie Ira nie zwraca na nie uwagi.

– Cóż tam taki hwetes? – odzywa się z naganą w głosie Korycka.

– Na pewno w końcu się dowiemy – odpowiada Ira. – Albino kochana, bądź tak dobra i przysuń mi konfiturę cytrynową. Jest doskonała.

Zaintrygowana wpatruję się w odległy kąt sali i widzę, że między stolikami krąży pielęgniarka. To moja Wiewiórka. Okulary połyskują na jej nosie, maszeruje wyprostowana jak struna, wyraźnie przejęta misją, którą wypełnia. Przystaje przy stolikach i wręcza niektórym pensjonariuszom żółte koperty. Ira spokojnie sięga po dzbanek i nalewa sobie kawę do filiżanki.

– Czy będzie zbrodnią, jeśli te kostki cukru po prostu rozpuszczę w kawie, zamiast gryźć je zębami? – pyta.

– Co? Nie, skąd, chodzi o to, żeby je tylko jakoś... – odpowiada roztargnionym głosem Janek, obserwując przez ramię zbliżającą się pielęgniarkę.

– Zeżreć? – pyta słodko Ira, a wszyscy odwracają się jak rażeni piorunem w jej kierunku i wytrzeszczają oczy.

Nawet Judesa zastyga niczym słup soli z rozdziawionymi ustami.

– Phoszę? – słabym głosem udaje się wyjąkać Koryckiej, Dorcia chichocze, a i ja z trudem się powstrzymuję, by nie parsknąć śmiechem.

– Upewniałam się, czy chodzi tylko o to, aby je zjeść, a nie o sposób, w jaki się to zrobi – wyjaśnia spokojnie Ira.

Wiewiórka zatrzymuje się obok naszego stołu i z denerwującym namaszczeniem przegląda jedną po drugiej trzymane w ręku koperty, odczytując wypisane na nich nazwiska. Wreszcie wybiera trzy z nich i podaje kolejno – pierwszą Jankowi, drugą Dorci. Trzecią wyciąga w moim kierunku.

W zaadresowanej na moje nazwisko kopercie jest zwykła, złożona na pół kartka zeszytowa, a na niej skreślone odręcznie słowa:

Pacjentka: Nina Ostromęcka, pokój nr 27, wiek 22 lata, zamężna, bezdzietna, Polka.

Diagnoza: gruźlica otwarta.

Stan: średni, nieznacznie rokujący pomyślnie, organizm silny, brak dodatkowych schorzeń.

Proces leczenia: odma sztuczna na lewym płucu, pełna 22 października br.

A poniżej:

Stawi się o godzinie 10.00 w gabinecie nr 9A (piętro pierwsze, skrzydło lewe, antresola) celem konsultacji medycznej.

Dr Dresler

Jest to najbardziej obcesowa ze wszystkich skierowanych do mnie wiadomości na piśmie, jakie kiedykolwiek otrzymałam. W pierwszym odruchu mam ochotę zmiąć kartkę w kulkę lub podrzeć ją na strzępy, ale oczywiście tego nie robię. Cóż pozostaje nam poza nadzieją? Nawet serwowaną w tak ordynarny sposób.

Adam skubie kromkę chleba palcami, nie patrzy na mnie. Dlaczego tylko ja dostałam wezwanie? Dlaczego Dresler nie chce rozmawiać także z nim?

– I cóż to jest? Moja dhoga, to nieludzkie trzymać nas w takiej niepewności! – prawie wykrzykuje Korycka.

– Wydaje mi się, że to zaproszenie – oznajmiam.

– Zaphoszenie? Ale dokąd? I od kogo?

– Jestem proszona na konsultację do Dreslera. Choć z prośbą akurat niewiele ma to wspólnego.

– Do Dhesleha? – Albina rzuca szybkie spojrzenie na rękę, która z niezmaconym spokojem przeżuwa kęs rogalika z cytrynową konfiturą. – Ale dlaczego jedynie wam thojgu Dhesleh proponuje konsultację? Co z nami?

– Nie wiem – wzruszam ramionami. – Być może na nas padło w pierwszej kolejności. Prawdopodobnie będzie chciał poznać wszystkich. Dorciu, na którą cię wezwał?

– Na dziesiątą trzydzieści. – Dziewczynka obraca kartkę w palcach.

– Mnie na jedenastą – dodaje Janek.

– Czyli każde z nas chyba ma rozmawiać z nim pół godziny – stwierdzam. – Skoro tak,

resztę pensjonariuszy będzie zapewne wzywał sukcesywnie w dniach następnych. Jeśli każdemu chce poświęcić trzydzieści minut, zajmie mu to tydzień. Nie widzę powodów do niepokoju.

Oczywiście poza jednym – dlaczego nie zaprosił także Adama?

– Ale jakim kluczem kieruje się ten człowiek? – pyta Pawłowicz, marszcząc groźnie brwi.
– Czy nie wypadaloby zacząć od tych lepiej urodzonych, a potem zapraszać ludzi niższych stanów, schodząc w dół drabiny społecznej? Nie wspominając już o tym, że taka propozycja winna być złożona osobiście, a nie przekazywana na bilecie niczym zawezwanie dla wypłatacza!

– Wypłatacza! – rozbawionym tonem powtarza Janek. – Panie Alfonsie, to, że urodził się pan w zeszłym stuleciu, nie oznacza, że nadal musi pan w nim tkwić!

– Wytłumacz nam to, moje dziecko – zwraca się Korycka do Iry. – W końcu ty...
W każdym razie, znasz tego człowieka najlepiej.

– Znam go na tyle dobrze, aby mieć pewność, że niebawem wszystko stanie się jasne. Nie na tyle dobrze jednak, aby wiedzieć, jakie myśli i zamiary snują się w jego głowie – uśmiecha się do niej słodko Ira, a potem jedna za drugą wrzuca do filiżanki z kawą sześć białych kostek. – Ach, gdybym wcześniej wiedziała, że leczenie gruźlicy jest takie proste, a lekarstwo tak łatwe do zdobycia, zaoszczędziłabym rodzinie ogromnych wydatków przez te wszystkie lata.

– O czym mówisz? – pytam.

– O cukrze, oczywiście.

*

– Cóż, za moment dowiem się, co tkwi w głowie Dreslera – przynajmniej tyle, ile zechce mi wyjawić – mówię cicho sama do siebie, maszerując korytarzem prowadzącym do lewego skrzydła Sanato.

Nie byłam jeszcze w tej części budynku i nawet nie zdawałam sobie sprawy, że gdzieś znajduje się jakaś antresola. Mijam szereg zamkniętych, ponumerowanych drzwi, skręcam. W pierwszej chwili odnoszę wrażenie, że pomyliłam drogę i trafiłam w ślepy zaułek, ale widzę, że na drzwiach kończących korytarz nie ma numeru, zatem nie prowadzą do pokoju. Choć niewykluczone, że to po prostu schowek na miotły – myślę. Obracam mosiężną gałkę i popycham skrzydło – uchyla się łatwo. Dalej jest drugi korytarz, znacznie krótszy, zamknięty kolejnymi, podwójnymi tym razem, przeszklonymi mlecznymi szybami drzwiami. Do nadproża przybito prostokątną emaliowaną tabliczkę. „Oddział Dziecięcy” – czytam ze zdziwieniem. Samo określenie „oddział”, odpowiedniejsze raczej dla szpitala niż sanatorium, spotykam tu po raz pierwszy, a słowo „dziecięcy” jest całkowicie zdumiewające. W Sanato nie ma przecież dzieci, najmłodszą pacjentką jest Dorcia. Ale być może kiedyś było inaczej. Popycham przeszklone skrzydło – ustępuje opornie z przeciągłym skrzypieniem.

Za wahadłowymi drzwiami jest niewielki hol. Podłogę pokrywa drobna bordowo-żółta szachownica z kostki ceramicznej, ściany pomalowano farbą olejną w żółtawym odcieniu. Nie obłożono ich boazerią, co nadaje pomieszczeniu zimny, szpitalny charakter. Sufit zawieszony jest znacznie niżej niż w naszej części piętra – z boku, za pustymi blaszanymi szafkami aptecznymi widzę kręcone schody prowadzące na wyższy poziom. Jest antresola. Podchodzę do jedyne go okna i wyglądam na zewnątrz, aby zlokalizować część budynku, w której się znalazłam. Widok niewiele się różni od tego, który oglądam co dzień z własnego tarasu, zatem oddział dziecięcy, podobnie jak nasz pokój, mieści się na tyłach Sanato.

Podłoga jest zamieciona, jednak tę część piętra zdecydowanie należałoby już gruntownie odremontować. Na ścianach, powyżej żółtawej lamperii, pozostały ślady po dawno zdjętych obrazach, a farba w narożnikach pod sufitem holu jest tak pociemniała od brudu, że zdaje się niemal brązowa. Skoro gabinet, w którym mam się stawić o dziesiątej, mieści się na antresoli, nie pozo-

staje mi nic innego, jak wspiąć się na górę.

Ażurowe, odlane z żeliwa schody są strome i chwiejne. Je także próbowano niedawno oczyścić, ale w zakamarkach ozdobnej balustrady pozostały wyraźne ślady rdzy. Antresola okazuje się jeszcze niższa niż dolny poziom oddziału dziecięcego, niewykluczone, że gdybym podskoczyła, dosięgnęłabym ręką sufitu. Wyłożony bordowym linoleum korytarz sprawia jednak wrażenie zaskakująco długiego – przysadzisty, klockowaty budynek Sanato wewnątrz jest znacznie przestronniejszy, niż gdy ocenia się jego gabaryty z dziedzińca. Na drzwiach pozostały jedynie owalne, jaśniejsze ślady po tabliczkach z numerami. Jak mam odnaleźć pokój 9A? Maszeruję mrocznym korytarzem oświetlanym przez nieliczne zamontowane na ścianach kinkiety. Nie wszystkie zresztą działają. Jedne drzwi, następne, kolejne – wszystkie zamknięte. Docieram do końca korytarza, gdzie w ścianie tuż nad podłogą znajduje się niskie, półokrągłe okno. Niepewnym ruchem sięgam do klamki ostatnich drzwi – ku memu zaskoczeniu nie są zamknięte. Zaglądam do środka. Pokój jest nieduży i kompletnie zagracony – najwyraźniej nikt nie zaglądał tu od dawna. Pod ścianą szafa z rozbitymi drzwiami, z której na podłogę wysypują się pożółkłe stosy dokumentów. Obok pokryta brązowymi zaciekami umywalka, sterta małych materaców, z boku poskładane starannie, lecz całkowicie zakurzone komplety pościeli. Wycofuję się na korytarz i zamykam za sobą drzwi.

– Panie doktorze? – wołam na próbę.

– Prosto i na prawo – rozlega się gdzieś przede mną męski głos.

Dresler? Nie słyszę obcego akcentu, a byłam przygotowana, że rozmowa będzie się toczyła po niemiecku, co zresztą wzmagало moją treść, bo choć znam ten język, to nie dość swobodnie potrafię się w nim porozumiewać. Szczególnie jeśli miałabym omawiać sprawy medyczne.

Wracam w stronę kręconych schodów i po kilkunastu krokach mijam nieznacznie uchylone drzwi. Przyczepiono do nich pinezkami kartkę, na której z zamachem napisano numer 9A. Głowę dałabym sobie uciąć, że jeszcze przed chwilą jej nie było...

Gabinet jest duży i niemal pusty. Musiała się tu mieścić sala sypialna – pod sufitem wciąż tkwią pokryte rdzawymi plamami stalowe kar nisze, na których zapewne wieszano kiedyś kotary oddzielające łóżka. W ścianie na wprost wejścia znajdują się dwa niskie, łukowate okna, wystające – zdawałoby się – wprost z podłogi. Na środku pokoju ustawiono pomalowane białą farbą krzesło, zwrócone frontem w stronę biurka zarzuconego stertą papierów, teczek i klisz rentgenowskich. To nawet nie biurko – uświadamiam sobie – lecz zwyczajny, mocno już zużyty stół jałdaniany z czereśniowego drewna na wygiętych, kabriolowych nogach. Identyczny jak te ustawione w piwnicy – po plecach przechodzi mi nieprzyjemny dreszcz. Pod ścianą za biurkiem niska szafka z szufladami, jakiś poobijany taboret, obok wejścia metalowa leżanka na kółkach. Całe wyposażenie gabinetu sprawia wrażenie zbioru sprzętów z odzysku. Jestem zaskoczona widokiem, bo po zachwytach Klitowicza na temat nowo pozyskanego członka personelu medycznego Sanato spodziewałam się, że uwije on nowemu doktorowi wspanialsze gniazdko niż to, w którym sam się umościł. Dresler, pochylony nad stertą papierów, rzuca mi krótkie, badawcze spojrzenie i wraca do lektury. Czuję się co najmniej urażona takim powitaniem.

– Ostromęcka... – zerka na jeden z leżących z boku dokumentów – Nina. Czy tak?

– Zgadza się – mówię chłodnym tonem.

– Proszę usiąść – nie patrząc nawet na mnie, kiwa nieznacznie głową w stronę pustego krzesła.

W pierwszej chwili posłusznie zbliżam się o krok do biurka, ale nie umiem nad sobą zapanować.

– Proszę się przedstawić – oschle zwracam się do niego, z trudem tłumiąc irytację.

Wreszcie patrzy na mnie z uwagą, choć w jego wzroku nie ma cienia skruchy, lecz wyłącznie chłodne zaciekawienie.

– Ach, tak. To musi być pani – stwierdza zagadkowo i wstaje. – Dresler. Pani, zdaje się, wie doskonale, kim jestem.

– Wiem. Ponoć geniuszem. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że ten tytuł zwalnia mężczyznę z obowiązku uprzejmego zachowania wobec kobiety! I ani chwili dłużej tu nie zostanę, lecz nim wyjdę, powiem panu, że z podobnie ordynarnym zachowaniem nie miałam do czynienia nawet ze strony dorożkarza!

Wszystko jedno, niech mnie nawet wyrzuci za drzwi. Dawno nie zostałam przez nikogo tak wytrącona z równowagi. Dresler obserwuje mnie z uniesioną brwią, w zamyśleniu zaciska usta. Zarówno Dorcia, jak i Jaga miały po części rację, gdy mi go opisywały. Jest wyjątkowo przystojny, choć w nieco ostentacyjny, charakterystyczny dla Włochów czy Hiszpanów sposób. Wszystko w jego rysach jest doskonałe, lecz jednocześnie zbyt dosadne. Równe, szerokie brwi, zanadto gęste, długie rzęsy ocieniające kształtne, lecz nazbyt duże ciemne oczy, prosty, wyjątkowo zgrabny nos, pełne czerwone usta z wyraźnie zarysowanym łukiem Erosa i silny podbródek składają się na olśniewający, choć zarazem nieco sztuczny portret bohaterskiego matadora. W pewnym stopniu pasuje ten obraz do opisów Brzeszko-Brzeszkowskiego, może z wyjątkiem wypielęgnowanej, krótkiej hiszpanki zdobiącej twarz Dreslera, niespotykanej u torero. Ale w lekarzu daje się też wychwycić jakiś złowieszczy rys – niepokojący błysk w oku, znamionujący okrucieństwo grymas ust czy może zbyt ostry kąt nachylenia linii brwi – który bardziej kojarzy się z którymś z wizerunków zamieszczonych w dawnym wydaniu „Boskiej komedii” niż ze słodkim szkicem opublikowanym na karcie tytułowej tomiku Biblioteki Groszowej.

– Usiądzie pani więc czy wychodzi? – pyta spokojnie.

– A żeby pan wiedział, że wychodzę! – wykrzykuję i z rozmachem siadam na białym krześle.

Dresler uśmiecha się drwiąco pod wąsem, a ja przez chwilę mam chęć rozszarpać go na kawałki, lecz nagle wbrew sobie także się uśmiecham. Doktor zajmuje swój fotel, przysuwa bliżej jedną z otwartych teczek.

– Jak długo tu pani przebywa? – pyta.

– Skoro zapisane zostało tam moje nazwisko, powinna być też data przyjazdu – cedzę przez zęby. – Cztery miesiące z okładem.

– I co pani sądzi o tym miejscu?

– Nic nie sądzę – wzruszam ramionami zaskoczona pytaniem. – To podobno jedno z najlepszych sanatoriów w Polsce.

– A pani tak nie uważa?

– Nie umierałam jeszcze w żadnym innym. Brak mi więc porównania – mówię złośliwie.

– Czyli jest pani przekonana, że umrze?

– Nie jestem przekonana, ale staram się też nie ludzi niepotrzebnie. Znam statystyki.

– Lubi pani to miejsce?

– Właściwie... – zaczynam z wahaniem, ale urywam i kończę zdecydowanym głosem: – Nie cierpię!

– To dobrze. – Dresler notuje coś na kartce. – Co pani uważa na temat metod doktora prowadzącego?

– Klitu... Klitowicza? – poprawiam się na czas. – Nic nie sądzę. Nie jestem ekspertem i nie do mnie należy ich ocena.

– Zauważyła pani jakąś poprawę w swoim stanie zdrowia fizycznego od chwili przyjazdu tutaj i rozpoczęcia leczenia?

– Nie wiem, może nieznaczna.

– A w przypadku zdrowia psychicznego odnotowała pani poprawę czy pogorszenie?
Poruszam się niespokojnie na krześle, zwlekam przez kilka sekund z odpowiedzią, wreszcie zdobywam się na szczątkową szczerość:

– Nieznaczne.

– Pogorszenie?

– Można tak to ująć – odpowiadam niechętnie, pewna, że zaczniesz drażnić temat, ale Dresler okazuje się jednak nieprzewidywalny.

– Jak zatem ocenia pani swój pobyt tutaj? Jako korzystny dla pani czy też niekorzystny?
Najwyraźniej nie zainteresowały go moje duchowe perturbacje – czuję zarówno ulgę, jak i cień rozczarowania.

– Wolałabym być gdzie indziej – stwierdzam po krótkim namyśle.

– Dobrze. – Dresler zapisuje coś szybko, wyjmując z szuflady biurka stetoskop i podnosi się z krzesła. – Proszę zdjąć żakiet i rozpiąć bluzkę.

Wysłuchuje się ze skupieniem w moje ciało, a ja obserwuję go kątem oka. Pomimo nazwiska z pewnością nie jest Niemcem. Na pewno nie jest też Polakiem, choć naszym językiem posługuje się równie swobodnie jak ja. Sfinks. Odkłada stetoskop, oburącz chwyta mnie za policzki i kciukami ściska w dół moje dolne powieki – gest jest tak bezceremonialny, że aż robi mi się gorąco. Jakby oglądał konia przed zakupem. Z uwagą przypatruje się moim oczom, wreszcie cofa dłonie. Nie wiem dlaczego, ale mam graniczące z pewnością przekonanie, że chciałby je natychmiast umyć. Upokarzająca myśl.

– Znakomicie – stwierdza.

– Co to znaczy?

– Jak pani wie już zapewne – mówi, ignorując moje pytanie – odniosłem spore sukcesy w leczeniu suchot. Odwrotnie niż większość moich kolegów stawiam na inną metodę. Nie pokładam jak oni nadziei w chirurgii, lecz w chemioterapii. Nie w farmaceutyce, proszę nie mylić tych dwóch pojęć, lecz w chemioterapii. Wiadomo coś pani na ten temat?

– Raczej niewiele.

– Równoległe z rozwojem w dziedzinie leczenia gruźlicy metodami chirurgicznymi, nawiasem mówiąc, w mojej opinii barbarzyńskimi, wielu naukowców prowadzi badania dotyczące wpływu na prątki Kocha różnych substancji. Od balsamu peruwiańskiego, przez kwas cynamonowy, wapń, fosfor, po kwas krzemowy – lista zapewne nie ma końca. Rzecz jasna wszystko zaczęło się od tuberkulin. Gdy zwrócono się w stronę chemii, odnotowano pierwsze istotne sukcesy, szczególnie w przypadku aplikowania związków metali. Na podstawie setek doświadczeń i wielu lat żmudnych badań opracowałem nową metodę leczenia, która jak dotąd okazała się najbardziej skuteczna.

– Na czym ona polega? – pytam, wytyżając uwagę i próbując jak najwięcej zrozumieć z tego wykładu.

– Wie pani, co to jest chryzoterapia?

– Wiem, co to jest chryzelefantyna, domyślałam się więc, że chodzi o złoto.

– Dokładniej rzecz ujmując – o sole złota. Człowiek zdrowy, przyjmując zastrzyki z roztworu złota, wydała kruszec z organizmu w ciągu jednej doby. Natomiast okazało się, że człowiek cierpiący na suchoty nie, a przynajmniej nie tak szybko. Zapyta pani zatem: co dzieje się z tym złotem w organizmie gruźlika?

– Dobrze, zapytam – kiwam głową. – Cóż więc się z nim dzieje?

– Otóż gromadzi się ono wokół ognisk chorobowych, tworząc rodzaj bariery między tkanką zdrową a tkanką zarażoną. Wydawać by się więc mogło, że jest to doskonały środek, by

uniemożliwić chorobie rozprzestrzenianie się. Dodatkowo znaczne podniesienie temperatury ciała występujące podczas chryzoterapii okazało się jej cennym efektem ubocznym, ponieważ dopinguje system odpornościowy do walki z chorobą, gdyż złoto, odgradzając chore tkanki, nie broni wcale do nich dostępu uzdrawiającym sokom. Na tym etapie jednak moi koledzy utknęli, bowiem utworzona bariera była niestety zbyt cienka i zanadto niespójna, by całkowicie zablokować wysiew pałeczek. Po prostu okazało się, że do ludzkiego organizmu bezkarnie można wprowadzić zbyt mało złota, by była skuteczna.

– Bezkarnie? Co dokładnie oznacza to określenie?

– Bez narażenia podmiotu leczenia na powikłania pozłotowe.

Podmiotu leczenia...

– Jakie powikłania?

– Och... – Dresler zbywa mnie machnięciem ręki. – Duszności, białkomocz, wstrząs toksyczny, halucynacje, zapaść, osłabienie czy ustanie akcji serca i tym podobne.

– To znaczy, że zbyt wiele wstrzykniętego złota może zabić?

– Do takiego wniosku doszli naukowcy. Ale ja, droga pani, pokonałem to ograniczenie! – oznajmia Dresler z dumą. – Dzięki pewnym domieszkom oraz specjalnej recepturze pozyskiwania preparatu stworzyłem procedurę, która pozwala na zaaplikowanie pacjentowi zwiększonej dawki złota bez narażenia jego organów wewnętrznych na szwank.

– Jakim domieszkom? – pytam, wyrażając uwagę i ignorując nasilający się ból głowy.

– Wyniki moich prac nie zostały jeszcze w pełni opublikowane, zatem nie mogę wdawać się w szczegóły – oświadcza Dresler. – Ogólnie rzecz biorąc, jest to metoda kombinowana, oparta na chryzoterapii wzbogaconej o sole metali ciężkich, między innymi manganu, kadmu i irydium, a także miedzi, aluminium oraz soli kwasów tłuszczowych. Dzięki nim udało mi się doprowadzić do utworzenia doskonale szczelnej bariery ze złota wokół ognisk chorobowych, a tym samym do całkowitego zatrzymania rozwoju choroby. Sukces był istotny, ale niestety połowiczny, bo choć blokowało to dalszy rozsiew pałeczek Kocha, nie eliminowało gruźlicy całkowicie. Aż do niedawna.

– Do niedawna?

Robi mi się duszno. Dlaczego on nie otworzy okna? W tym niskim, zatęchłym pomieszczeniu nie ma po prostu czym oddychać. Serce wali mi jak szalone.

– Teraz udoskonaliłem zawieszinę i mam niemal stuprocentową pewność, że okaże się skuteczna.

– Niemal stuprocentową? Co to znaczy?

– To znaczy, że aby się upewnić całkowicie, muszę poddać terapii grupę chorych. I niniejszym proponuję, aby pani do tej grupy dołączyła.

Sukienka lepi mi się do ciała. Boże, dlaczego tu jest tak gorąco?

– Czyli proponuje mi pan rolę królika doświadczalnego?

– Cóż, trochę zbyt dosadne określenie. Nie błędę po omacku, doskonale zdaję sobie sprawę, jak działa moja mieszanka, i mam pewność, że okaże się skuteczna. Powiedzmy, że oferuję pani wyjątkową szansę. Jako jedna z pierwszych może się pani znaleźć w gronie ocalonych dzięki medycynie, a nie dzięki szczęśliwemu przypadkowi.

– Dlaczego właśnie ja? – pytam, połużniając nieco węzeł chustki zawiązanej na szyi. – Czy mógłby pan otworzyć okno?

Za chwilę zemdleję.

– Niestety, z okien wymontowano klamki. Prosiłem już o usunięcie tej niedogodności, niebawem ktoś ma się tym zająć. A dlaczego pani? Ze względu na wiek, mocny organizm i stan zaawansowania choroby oczywiście. Oraz przez wzgląd na pani hart ducha i równowagę

wewnętrzna. Słyszałem, że odznacza się pani tymi cechami, a są one dla mnie decydujące. Zbladła pani, może napije się pani wody?

Kiwam głową. Dresler wychodzi z gabinetu „Słyszałem” – wiem oczywiście od kogo. I wiem, po co Ira z takim zainteresowaniem wypytywała o pensjonariuszy, których poznałam. Zdieram chustkę z szyi i ocieram czoło. Jak ten człowiek może wytrzymać w podobnym zaduchu? Czuję, że zaraz się rozplączę. Co się ze mną dzieje? Może coś mi zaszkodziło?

Próbuję zapanować nad nerwami i nagle uświadamiam sobie, że mój stan nie został spowodowany brakiem powietrza czy gorącem. Sanato zdawało mi się bryłą bursztynu – zostałam uwieczniona w niej niczym prehistoryczny owad i już za życia stała się ona moim grobem. Jednak monolit okazał się skorupą, w której właśnie zarysowała się pierwsza drobna szczelina – szansa na ucieczkę. Nie! Szansa na powrót – do życia, do mnie samej, do myślenia o tym, co będzie. Do planowania spraw z wyprzedzeniem większym niż dni zaledwie czy tygodnie. Perspektywa patrzenia przesunęła się nieznacznie i nagle dostrzegłam, że to nie reszta świata leży na marginesie mojego życia, lecz – za czas jakiś – być może znajdzie się tam Sanato. Powróciła nadzieja, z którą – ten fakt naprawdę dopiero teraz, w tej sekundzie do mnie dociera – pożegnałam się na dobre jakiś czas temu. Czy jednak mogę sobie na nią pozwolić? Czy cena, którą przyjdzie mi zapłacić za to złudzenie, nie okaże się zbyt wysoka? A jeśli nieskromnie wychwalana przez Dreslera terapia zakończy się fiaskiem? Co wtedy? A jeśli jej skutki okażą się gorsze nawet niż przyczyzna, dla której zostałam poddana leczeniu? Istnieje takie zagrożenie, nie mogę go wykluczyć. Ale na dłuższą metę niewielkie ma to znaczenie. Jak rzekłaby Nel, cóż mi to szkodzi właściwie. Zyskać mogę wszystko, stracić – niewiele. Mogę żyć. Zabawne, że godząc się na odmę, nie miałam wcale podobnych myśli. Zdążyłam tu poznać wiele osób z perfekcyjnie założoną odumą, które „wyjechały”.

– Proszę. – Dresler podaje mi szklankę.

Przyjmuję ją i podnoszę oczy. Stoi nade mną, obserwuje mnie chłodnym, beznamiętnym spojrzeniem. Uważnie.

– A ryzyko? – pytam. – Jakie jest ryzyko?

– Nieznaczące. Lecz ryzyko przecież istnieje zawsze, ten czynnik nie dotyczy tylko umarłych. Prawda?

Dresler znowu siada za biurkiem, ujmuje w palce pióro i rzuca mi pytające spojrzenie. Wzruszam ramionami i kiwam głową. Jakie to proste. Wstaję. Kładąc dłoń na oparciu krzesła, zadaję jakże istotne, jakże banalne i jakże nowe dla mnie pytanie:

– I co teraz będzie?

– Spotkamy się w poniedziałek o jedenastej w sali numer trzy na dolnym poziomie oddziału. Drzwi w głębi holu. Pozna pani pozostałych. No i cóż... Zaczniemy.

Zaczniemy.

Wolnym krokiem idę do pordzewiałych, kręconych stopni prowadzących na niższy poziom oddziału. Teraz dla odmiany jest mi chłodno. Przypominam sobie zabawne zdarzenie z futuroskopem sprzed paru godzin. W tej chwili wydaje mi się nieistotne, a mój strach po prostu nie-dorzeczny. To oczywiste, że skrzynka nagrzała się od słońca, mogło przecież wyjrzeć zza chmur na kilka minut. A wysunięcie się z obudowy okrągłego guzika jest zapewne jedną z funkcji aparatu, który przecież jest mechanizmem. W końcu nie przyglądam się pudełku przez cały dzień. Bardzo możliwe, że guzik wysuwa się regularnie, a zresztą... Czy naprawdę się wysunął? Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem pewna, że tylko mi się wydawało.

Gdy docieram na niższy poziom, wahadłowe drzwi uchylają się i staje w nich Dorcia. Spogląda na mnie badawczym wzrokiem, ale o nic nie pyta. Mijamy się bez słowa, a ja nagle sobie uświadamiam, że nawet nie zadałam Dreslerowi pytania o jego plany względem Adama.

Choć chyba byłoby to zbyt proste, bo dość jasno nakreślił kryteria wyboru swoich... hm, obiektów doświadczalnych. Adam nie spełnia ich w co najmniej trzech punktach.

*

– Rozwój ludzkiego rozumu prześcignął rozwój natury, trudno dyskutować z taką tezą – stwierdza Ira. – A co ty o tym sądzisz, Albino?

– Och – Korycka porusza się niespokojnie na krześle. – Nie mam opinii w tej kwestii.

– Doprawdy? – Ira rzuca jej rozbawione spojrzenie. – Cóż, nie twierdzę, że ten pęd dotyczy każdej jednostki na równi.

Ira dobrotliwym gestem głaszcze Korycką po ramieniu, ale Albina wydaje się nie rozumieć przytyku, a zresztą od początku posiłku zachowuje się, jakby była obrażona. Atmosfera przy stole jest wyjątkowo napięta. O dziwo, ani Korycka, ani Pawłowicz nie zażądali dokładnego sprawozdania z przebiegu „konsultacji”, a ja, Dorcia i Janek – choć to absurdalne – mamy miny winowajców. Właściwie jedyną osobą, która przy stole zachowuje się jak gdyby nigdy nic, jest Ira. Podejrzewam, że nikt nas o nic nie pyta, bo wieści już się rozniosły. Każdy wie, czego dotyczyły spotkania w gabinecie 9A mieszczącym się na antresoli tajemniczego, zapomnianego oddziału dziecięcego. Jesteśmy teraz my i oni – choć nie wiem jeszcze dokładnie, kto należy do grupy, która weźmie udział w eksperymencie.

– Ale, uśredniając, umysł ludzki ewoluuje znacznie prędzej niż otaczająca go przyroda, a co więcej – z każdą chwilą nabiera przyspieszenia – oświadcza Ira.

– Nina także zwróciła na to uwagę – mówi Janek, a ja czuję absurdalnie przyjemne ciepło w sercu. – Stwierdziła, że proces ewolucji można zobrazować za pomocą ciągu arytmetycznego, a rozwój ludzkiego intelektu przebiega w postępie geometrycznym.

Czy naprawdę postawiłam taką tezę? Ira uśmiecha się uprzejmie i rzuca mi zagadkowe spojrzenie, w którym dostrzegam cień protekcyjnego rozbawienia.

– I tu właśnie kryje się pułapka – oznajmia Ira, starannie odsuwając złociste pasma smażonej cebuli jak najdalej od brązowego kawałka cielejącej wątróbki, której porcję nałożyła sobie na talerz.

– Pułapka? – zdumiewa się Janek.

– Owszem. W zastraszającym tempie rośnie dysproporcja między rozwojem intelektu a rozwojem ciała. Używając bardziej obrazowego zestawienia, można by to porównać do próby gotowania ciecicy w fajansowym naczyniu – w pewnym momencie jej temperatura wzrośnie tak bardzo, że naczynie pęknie. Docieramy do takiego punktu naszego istnienia, w którym to my, ludzie, musimy odebrać naturze tytuł ewolucyjnego generała i przejąć dowodzenie w tej dziedzinie.

– Ale jeśli założymy, że to Bóg, a nie natura, nadzoruje proces ewolucji... – wtrąca Janek, spoglądając spod oka na Pawłowicza, który wydaje się jednak zupełnie niezainteresowany tematem toczącej się przy stole rozmowy.

– Cóż, w takim razie człowiek musi przejąć jego obowiązki – stwierdza Ira, wzruszając ramionami, i dodaje rozbawiona: – Zresztą, któż może wiedzieć, czy nie jest to także po Jego myśli? Biorąc pod uwagę upływ czasu, może pora już na emeryturę?

– Emeryturę? Czyją? – Judesa spogląda z zaskoczeniem na Irę.

– Boga.

– Och! – Judesa chowa się za kopiastrą porcją tłuczonych ziemniaków.

– A unikając takich filozoficzno-obrazoburczych tez i wracając do sedna rzeczy – odzywa się Janek. – W jaki sposób człowiek miałby sterować ewolucją?

– W taki sam, w jaki próbuje robić to od lat – stwierdza Ira. – Tyle że na większą skalę. Skoro udało mu się z wilka zrobić borzoja, równie dobrze może udoskonalić samego siebie.

– Ale czy naprawdę chart borzoi jest doskonalszy od wilka? – pyta nieśmiało Dorcia.
– Z pewnością jest bardziej cywilizowany – słodko uśmiecha się do niej Ira. – Klucz do sukcesu leży w dwóch dziedzinach. W medycynie i w eugenicie, która musi się stać jej nieodłączną, równoprawną siostrą. Tymczasem dzięki medycynie możemy żyć bardziej efektywnie i dłużej, co jest istotnym osiągnięciem. Niestety, zapewnia przetrwanie także jednostkom nie tylko bezwartościowym, ale wręcz szkodliwym w dalekosiężnej perspektywie rozwoju człowieka. To miecz obosieczny, pod tym względem całkowicie sprzeczny z istotą ewolucji. I tu niezbędna jest eugenika, która równoważy ten szkodliwy aspekt, eliminując zagrożenie popularyzowania w następnych pokoleniach cech niepożądanych.

– Cech niepożądanych? – Dorcia wpatruje się w nią z namysłem.

– Ułomności. Kalectw wrodzonych i debilizmu. Przecież i w Polsce funkcjonuje Towarzystwo Eugeniczne.

– Dobrze – kiwa głową Janek. – Ale nawet jeśli eugenika zostanie w pełni zaaprobowana i będzie stosowana, to może się stać zaledwie ewolucyjną protezą. Nie przyspieszy w żaden sposób doskonalenia gatunku ludzkiego, które wciąż będzie postępowało arytmetycznie, a nie geometrycznie.

– Dlatego powiedziałam, że medycyna „tymczasem” ma wpływ jedynie na poprawę stanu zdrowia i długości ludzkiego życia. W przyszłości, i to jestem pewna, że niedalekiej, medycyna zajmie się również wprowadzaniem niezbędnych modyfikacji dostosowujących organizm człowieka do zadań, które stawia mu coraz potężniejszy rozum.

– Jakich na przykład? – pyta Janek.

– Och, chociażby takich, które umożliwią człowiekowi funkcjonowanie w środowiskach toksycznych, zapewnią zwiększoną wytrzymałość i siłę lub wyposażą go w cechy, których odmówiła mu ewolucja, takie jak na przykład skrzydła czy skrzydła.

– To czysta fantastyka! – śmieje się Janek.

– Owszem, dlaczegoż by nie? – stwierdza Ira. – To słowo pochodzi z greki i można je przetłumaczyć jako „władza duszy”. W moim pojęciu duszą człowieka jest jego rozum, a zatem fantastyka to nic więcej jak tylko władza rozumu.

*

– I jakże ci się podoba mój Matys? – zagaduje Ira, gdy wychodzimy z kawiarni na werandę. – Chciałam cię zapytać już dawno, ale nie przy nich. Okropnie się nadęli, prawda?

Przy nich, czyli przy reszcie naszych towarzyszy.

– Czują się dotknięci – mówię. – Myślę, że rozumiem ich uczucia.

– Uczucia – Ira wydyma wargi z lekceważeniem. – Kogóż mogą obchodzić uczucia pustej, grubej baby, tępego jak but, łysiego zarozumialca albo łakomej Żydówki? A wiesz, bo zapomnę, że tak naprawdę ona nie jest Żydówką?

– Kto, Judesa? Co też ty mówisz?

– Tak, wyobraź sobie – zaśmiewa się Ira, rozglądając się między leżakami ustawionymi na tarasie. – To Polka, przechrzcila się; chociaż czy to określenie jest odpowiednie w takiej sytuacji? Nie mam pojęcia, jak należałoby nazwać podobny przypadek, bo nigdy o czymś takim nie słyszałam. Zmieniła imię na Judesa i przeszła na ich wiarę, żeby poślubić tego swojego białostockiego Izraela z tartakami. Podobno z miłości! Słyszałaś kiedykolwiek równą niedorzeczność? I pomyśl, czy to nie jest zabawne w kontekście tej rudej Rojzy-Rozalii? Niejako zamieniły się miejscami, równowaga została zachowana i statystyka nie uległa zmianie. Tyle że Rozalia nigdy nie będzie czuła się na miejscu po naszej stronie, a ta śmieszna Judesa nigdy nie zostanie zaakceptowana po drugiej. Dlatego nie siedzi przy stole żydowskim. Żydzi ją przegnali. Przyznaj, że

to komiczne! Niestety pewne sprawy nie są tylko kwestią wyboru.

– Pieniądze jednak mogą mieć na nie istotny wpływ.

– Może. Przynajmniej do pewnego stopnia. – Ira mocniej chwyta mnie pod rękę i kieruje w stronę wejścia na molo. – Co więc powiesz o Matysie?

– Niepokojący – mówię, przystając przy słupku zwieńczonym wielką drewnianą szyszką zamykającym narożnik barierki.

– Prawda? – śmieje się Ira. – Ma w sobie coś, nazwijmy rzecz po imieniu, straszego, ale być może właśnie dlatego jest taki cudowny. No, chodź. Dlaczego się zatrzymałaś?

– Nie lubię tego miejsca.

– Pomostu?

– Tak. Może zajmiemy któryś z leżaków na werandzie?

– Nie bądź niemądra, zobacz, jaki tu ścisk. I same matuzale – szepce Ira, ruchem głowy wskazując siedzącą nieopodal kobietę, która na pewno przekroczyła już czterdziesty rok życia, jednak do starców trudno ją zaliczyć. – Poza tym pogoda się poprawiła, nie pada. Tam będzie znacznie przyjemniej. Łatwiej udać, że jest się na wolności, a nie w więzieniu, gdy ze wszystkich stron otaczają cię drzewa. No, chodź.

Pociąga mnie za ramię, a ja ustępuję i wchodzę na deski pomostu. Wędrujemy między leżakami, Ira na prawo i lewo rozdaje uśmiechy. Docieramy do połowy molo, tu nie ma już nikogo. Pogoda wcale nie sprzyja leżeniu pod gołym niebem – brezentowe pokrycia parasoli z furją łopoczą w podmuchach ostrego wiatru. Uświadamiam sobie, że z całej siły przyciskam łokciem dłoń Irydo swojego boku. Rozluźniam ramię, a ona rzuca mi krótkie, badawcze spojrzenie.

– Może tu będzie dobrze? – pytam.

– Oj nie, chodźmy dalej – mówi Ira przymilnym głosem.

Drewniana rotunda jest coraz bliżej. Staram się nie patrzeć w jej kierunku.

– Tutaj?

– Nie, dalej. Chodźmy do altanki. Jest taka urocza.

Zatrzymuję się natychmiast i zdecydowanie potrząsam głową.

– Wykluczone. Nie cierpię tego miejsca. Albo usiądziemy tutaj, albo wracam na werandę.

Jej twarz na moment tężeje w grymasie złości, ale wypogadza się błyskawicznie i Ira wrzusza ramionami.

– A wiesz, tu będzie świetnie. Cóż ty masz właściwie przeciw tej nieszczęsnej altance?

– Nic, po prostu jej nie lubię – odpowiadam i rozkładam pled na leżaku. – Każdy ma prawo do odrobiny dziwactwa.

– Tak. Myślę, że tak – odpowiada Ira, przyglądając mi się z rozbawieniem, i kładzie się na sąsiednim leżaku. – I co sądzisz o jego propozycji? Zgodziłaś się oczywiście?

– Tak. Rozumiem, że dla ciebie nie będzie ono nowiną? Mam na myśli leczenie.

– Nie. Matys poddaje mnie chryzoterapii od półtora roku. Efekty są doskonałe, widzisz przecież. Naprawdę nie było już dla mnie nadziei.

Spoglądam w niebo. Skłębione chmury pędzą po nim od strony górskiego szczytu. Ten widok sprawia, że kręci mi się nieco w głowie, a zmysły podpowiadają, że to nie obłoki, lecz ja jestem w ruchu. Liniowiec Sanato pruje przed siebie pełną parą, wspinając się na niebotycznie wysoką, czarną falę. Jesteśmy o krok od zagłady. Zaciskam powieki.

– Jak to jest?

– Co?

– Przyjmować te zastrzyki. Bo rozumiem, że to są zastrzyki, tak? – obracam głowę i spoglądam na rękę.

– Owszem – patrzy na chmury rozpromienionym wzrokiem. – Same w sobie nie są zbyt

przyjemne, jak to zastrzyki. Ale później człowiek czuje się wspaniale. Może na początku...

– Co na początku?

– Na początku czułam się nieco, jak by to ująć, zdezorientowana. Żołądek też trochę mi szwankował. Jednak ten stan stosunkowo szybko ustąpił. Wiesz, kiedyś byłam zupełnie inna, wszystkiego się bałam. Nieznajomych, rozmów z nimi, nowych sytuacji. Byłam raczej nieśmiała – śmieje się Ira, opuszcza oczy i spogląda w stronę głównej werandy. – Ale dorosłam. Przez pewien czas wydawało mi się, że to zasługa chryzoterapii, dopóki nie uświadomiłam sobie, że przecież kilkanaście miesięcy temu właściwie byłam jeszcze dzieckiem, a gdy przestaje się nim być, zmienia się też charakter. Teraz już chyba nie boję się niczego. Och! To ten pomyłony!

– Słucham?

Ira z pogardliwą miną kiwa głową w stronę Sanato. Podążam spojrzeniem za jej wzrokiem i mój żołądek w okamgnieniu skręca się w lodowaty supeł. Przy wejściu na molo kłęczący (*porcelanowy Chińczyk*) chłopak kucharki. Z namaszczeniem, w niemal komicznym skupieniu nanosi tamponem pastę na deski. Rozprowadza ją szerokimi, miarowymi, powolnymi gestami. Do lewej, do prawej, do przodu. Tampon ma zaskakująco soczysty kolor mięty. Robi mi się niedobrze.

– Nie powinni go tu trzymać – stwierdza nadąsanym tonem Ira. – A już na pewno nie powinni pozwalać, by pokazywał się za dnia, kiedy każdy może go zobaczyć. To takie wstrętne.

Ile czasu mu zajmie dotarcie do nas? Godzinę? Dwie? Ale co to zmienia i tak będę musiała przejść obok niego, jeśli postanowimy wrócić do budynku wcześniej. Odwracam się gwałtownie plecami do chłopaka, ale tak jest jeszcze gorzej – może podkraść się do mnie niespodziewanie. Siadam na leżaku, nie mogę złapać oddechu.

– Co się stało? Zrobiłaś się zupełnie zielona – stwierdza Ira.

– Nie mo... – próbuję wykrztusić, ale słowa więzną mi w krtani.

– Czego nie możesz? Moja droga, przecież ty najwyraźniej w świecie masz atak hysterii! Pochyl się, włóż głowę między kolana i staraj się oddychać normalnie.

Zdzieram z siebie pled i zginam się wpół, zerkając kątem oka w stronę wejścia na molo. W lewo, w prawo. Wydaje mi się, że słyszę szmer, z jakim tkanina (w *kolorze mięty, miała dobry krój, lubiłam ją, choć uszyto ją ze zwykłej bawełny*) przesuwa się po deskach. Szszszussss... Szszszussss... Odgłos morskich fal uderzających o piasek. Nie ma ucieczki, jestem uwięziona między Scyllą a Charybdą. Między rotundą a porcelanowym Chińczykiem. Zaciskam powieki.

– W barierce jest furtka – te słowa pojawiają się nagle, zupełnie jakby ktoś wyszeptał je prosto do mojego ucha.

Lecz przecież to ja sama je wypowiedziałam. Kiedy? Kiedyś. Bardzo dawno temu. Było lato. Codziennie leżakowaliśmy w rotundzie, rozgrzany las pachniał żywicą. Pod pióropuszem paproci biegały wiewiórki. Dach altany zapewniał przyjemny cień – było tam chłodniej niż pod parasolami.

– W barierce jest furtka – mówię do Adama, przyglądając się drewnianym belkom między filarami podtrzymującymi stożkowaty dach. – Można zejść przez nią do lasu.

– Naprawdę? – Adam unosi głowę i przygląda się deskom. – Rzeczywiście. Chyba nikt z niej nie korzystał od lat. Zawiasy przerdziały.

– Myślisz, że jeszcze działa? – pytam.

Jest słaby. Słabnie z każdym dniem, staram się o tym nie myśleć. Dlaczego to postępuje tak szybko?

– Chcesz się przekonać? – pyta.

– Nie – kręcę głową. – Ale dobrze wiedzieć, że tu jest. To będzie nasz sekret. Będziemy wiedzieli, że w razie czego tędy można uciec. To wejście nie jest strzeżone.

– Jesteś zabawna – mówi Adam. – Kocham cię.

– JA ciebie kocham – odpowiadam.

Ale czy to naprawdę wspomnienie, czy tylko sen?

Nagle kamień leżący na mojej piersi staje się lżejszy i łapczywie wciągam do (*pluca*) płuc potężny haust tlenu.

– Lepiej?

Siadam prosto i kiwam głową. Jak mam wydostać się z tego miejsca, nie przechodząc obok chłopaka kucharki? Jak uciec, żeby mnie nie zobaczył?

W barierce jest furka. Czy jestem jednak gotowa, by wyskoczyć za burtę Sanato, cisnąć się bezprzymtomnie w fale? Odbić się stopami od relingu i runąć w odmet, gdzie grzmia spienione bałwany... Czy jestem już gotowa, by ogarnęła mnie ciemność tak straszna, że nawet najczarniejsza noc ginie bezpowrotnie w jej mroku...

– To przez niego? – pyta domyślnie Ira.

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Wiesz – Ira odchyła się na leżaku i układa wygodnie. – Więc? Mnie możesz powiedzieć.

– Myślę... – oblizuję szybko wargi, nabieram tchu i ciągnę: – myślę, że on mi coś zrobił. To znaczy, chyba wiem.

Ira patrzy na mnie spokojnie, uśmiecha się zachęcająco. Komu mogę o tym powiedzieć, jeśli nie jej? Więc mówię – choć nie wszystko i nie do końca szczerze.

– To na pewno był on – kończę, wciąż nerwowo zerkając w stronę werandy. – To musiał być on.

Zbliżył się o pięć metrów. Może jest powolny, ale niepowstrzymany. Jak Kamienny Pielgrzym.

– Pewne jak w banku – stwierdza Ira i przyglądając się chłopakowi kucharki z przepętnym odrazą, chłodnym zaciekawieniem, dodaje po namyśle: – Coś trzeba będzie z tym zrobić, prawda?

– Nic nie można zrobić.

– Och, no tak. Pewnie masz rację.

– Muszę się stąd wydostać. W rotundzie... – przetykam ślinę. – Tam jest furka. Można przez nią zejść do lasu, a potem przejść...

– Nie bądź śmieszna. Jeszcze nie upadłam na głowę, żebym miała przedzierać się w tym płaszczu przez krzewy jeżyn – ucina Ira, wstając z leżaka.

Przeciąga się i spacerowym krokiem rusza w stronę chłopaka.

– Co chcesz zrobić? Dokąd idziesz? – prawie wykrzykuję, zrywając się na równe nogi, lecz nie odpowiada.

Widzę, jak zbliża się do niego – wszystko odbywa się niesłychanie powoli, jak we śnie, choć przecież droga nie trwa dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Porcelanowy Chińczyk unosi głupawo uśmiechniętą, szeroką twarz. Skośne oczy patrzą pytająco. Ira zatrzymuje się nad nim, mówi coś. Chłopak kucharki klęczy przed nią z zadartą głową, wpatruje się niczym w bóstwo, rozdziewia usta. Nagle podnosi się z desek pomostu, przyciska do piersi miętowy kłębek tkaniny i z uniżeniem kłania się w pas. A potem porywa puszkę z pastą i przygarbiony umyka w popłochu. Ot, tak. Nie ma go. Zniknął.

– Co zrobiłaś? Co mu powiedziałaś? – pytam, gdy Ira (*przyjaciółka*) wraca.

– Nic. Kazałam mu odejść.

– Jak to odejść?

– Zwyczajnie. Powiedziałam, że ma natychmiast zejść mi z oczu, bo jest tak odrażający, że kiedy go widzę, zbiera mi się na wymioty – mówi Ira słodkim tonem.

Uśmiecha się do mnie promiennie, odrzuca pasmo złotych włosów, które wymknęło się spod granatowego kapelusika, i przechylając lekko głowę, pyta:

– Zostajesz czy idziesz? Zjadłabym coś, wiesz, jednak ta cukrowa terapia rzeczywiście okazuje się skuteczna. Jestem okropnie głodna. Chyba nas nie zabiją, jeśli wrócimy do środka już teraz, co?

ROZDZIAŁ VIII

SALA NR 3

Poniedziałek, 26 października 1931 roku

Wczesne godziny ranne niosą tendencję do wywoływania nieporozumień i przeprowadzania siłą swych zamierzeń lub do zaprowadzenia niepotrzebnych reform i zmian. Wysiłki życiowe w tym czasie dadzą dość skromne rezultaty. Przed godziną 12-tą pojawi się silny niepokój bez wyraźnej przyczyny. Później dadzą się we znaki jakieś nieokreślone obawy, komplikacje nerwowe, niejasne i chaotyczne sytuacje uczuciowe oraz zaplątanie.

W godzinach poobiednich zaznaczy się wzrastające podrażnienie, które osiągnie swe maksimum koło godziny 18-tej. W tym czasie należy zachować daleko idącą ostrożność, unikając wybuchów gniewu oraz pamiętając, że ludzie w tym czasie poznani w późniejszym życiu mogą stanowić źródło znacznych niepokojów.

W każdym razie należy zaznaczyć, że dzień dzisiejszy wcale nieźle się przedstawia.

Strzec się należy: kształtów spiralnych, wszelkich lin, wstęg i sznurków, osób cholerycznych, potraw słodkich, dużych zwierząt, z kruszców – platyny, a z kamieni – granatów.

Dużych zwierząt? Unikanie ich akurat tu nie będzie najmniejszym problemem – myślę, wrzucając bilet do szuflady stolika przy łóżku.

– Jesteś pewna? – pyta Adam.

– Przecież mnie to nie zabije. – Wzruszam ramionami, ale nie patrzę w jego stronę.

– Jednak możesz ucierpieć.

– Och, zniosłam odmę. Przeżyję wszystko.

– Nie mam na myśli cierpień fizycznych. Porażka cię przygnębi.

Poprawiam łańcuszek naszyjnika, milczę i wreszcie odwracam się do niego. Siedzi na krawędzi swojego łóżka ubrany w pelisę z karakułowym kołnierzem. Wydawała mi się kiedyś niezwykle twarzowa – aż do dnia, gdy przypadkiem się dowiedziałam, w jaki sposób pozyskuje się ten rodzaj futra. Ręce złożył na złączonych kolanach, siedzi wyprostowany, jakby podróżował tramwajem. Określenie „wyglądać jak własny cień” zawsze uważałam za literacką figurę stylistyczną, ale on naprawdę tak wygląda – jak cień tamtego mężczyzny, którego pokochałam.

– Adam, kochanie, zgodziłam się wziąć w tym udział nie tylko dla siebie, ale także dla ciebie. – Siadam obok niego i kładę dłoń na jego ręce. – Jeśli ten cały Dresler ma rację, a jego leczenie okaże się skuteczne, już wkrótce oboje możemy być zdrowi.

– Chciałbym odejść...

– Oboje stąd odejdziemy, jeśli on ma rację. Dlatego muszę spróbować – mówię szybko, poklepuję jego dłoń i opuszczam wzrok.

Okrągły wisior kołysze się nad moimi kolanami niczym wahadło rudowróża. Nie umiem oderwać od niego oczu, zupełnie jakbym została zahipnotyzowana. Ciężki wisior płynie raz w jedną, raz w drugą... W stronę okna, w stronę Adama. W stronę okna, w stronę Adama. W stronę... Wysadzana kolorowymi kamykami kulka zatrzymuje się nagle prostopadle nad moim łonem, nieruchomieje, a po chwili, niczym metalowy wiór przyciągany przez magnes, odchyła się w stronę...

– Co to za kamienie? – pytam, zamykając ją błyskawicznie w rękę. – Te ciemnoczerwone.

– Nie wiem. Granaty? – odpowiada szeptem Adam.

Wstaję, odpinam zamek łańcuszka i drżącymi palcami odkładam naszyjnik na stolik.
– Daruję dziś sobie biżuterię – oznajmiam trochę zbyt donośnym głosem. – W końcu idę do lekarza, a nie na bal. Tymczasem, Adasiu.

Pochyliam się, całuję go w blady, zbyt gorący policzek, a potem, nie oglądając się za siebie, wychodzę na korytarz.

*

Jest nas dziewięcioro. Niewielu – byłam przekonana, że w terapii weźmie udział znacznie większa grupa chorych. Ukradkiem zerkam na twarze osób siedzących na ustawionych w krąg krzesłach, prawie wszystkie są znajome. Poważne oczy, zaciśnięte usta – atmosfera zbliżona do tej, jaka panuje na pogrzebach, których główny bohater posiadał znaczny majątek, liczną rodzinę i nieprzewidywalny charakter, a jego testament nie został jeszcze odczytany.

Sala numer 3 prawdopodobnie kiedyś była główną sypialnią oddziału dziecięcego. Stało tu dwadzieścia łóżek – łatwo policzyć, bo choć teraz nie ma ani jednego, i tu, podobnie jak w pokoju zajęтым przez Dreslera, nie zdemontowano zawieszonych pod sufitem metalowych szyn, do których niegdyś zapewne podczepione były zasłony oddzielające spragnionych prywatności małych pacjentów. Dziesięć po jednej stronie pomieszczenia i dziesięć wzdłuż przeciwległej ściany.

W grupie oprócz mnie znaleźli się Dorcia i Janek. Jest także Jaga, Stach, Miet, Amelia oraz młody, nieznacznie starszy od Dorci chłopak, którego wcześniej jeszcze nie spotkałam. Ma jasne, falujące włosy, bladoniebieskie oczy pod dziwnie ciemnymi brwiami i dziewczęco karminowe, kształtne usta. Policzki porasta mu jasny puch – zapowiedź przyszłego zarostu. Chłopak zapewne przyjechał do nas niedawno, sprawia wrażenie przestraszonego.

To, że znam większość z nich, nie jest jednak zaskakujące. Dresler wybrał tylko młodych i silnych oraz – co szybko sobie uświadamiam – pochodzących z podobnych środowisk i z rodzin o zbliżonym statusie materialnym. A może znaczenie miało też i to, że się dobrze znamy? Nie ma Iry, co mnie zmartwiło. Skoro Dresler nie włączył do grupy doświadczalnej własnej narzeczonej, może oznaczać, że wcale nie jest tak pewny rewelacyjnych efektów terapii, której zamierza nas poddać.

– Przepraszam! – drzwi do sali otwierają się nagle. – Spóźniłam się, wybaczenie. Doszczętnie straciłam poczucie czasu!

Ach, więc jednak jest z nami. Uspokajam się natychmiast i wskazuję jej krzesło obok mnie, które specjalnie dla niej zajęłam. Ira zarzuca na oparcie zakiet i siada, zakładając nogę na nogę.

– Jesteśmy w komplecie – oświadcza Dresler i podchodzi do krzesła stojącego pod oknem.

Dziś niebo jest prawie bezchmurne, lampy w sali są więc zgaszone. Dresler siedzi pod światło, nie widzę rysów jego twarzy. Słońce oświetla jego sylwetkę i otacza ją mglistą aureolą. Dochodzę do wniosku, że nieprzypadkowo wybrał zarówno miejsce, które zajął, jak i czas spotkania. Na pewno wiedział, że o tej godzinie z tej strony budynku słońce świeci prosto w okna. Ale przecież nie mógł przewidzieć, że dzień okaże się słoneczny, co o tej porze roku nie jest częste.

– Czy wszyscy się znają? – pyta.

– Och, tak – stwierdza Jaga.

– Przepraszam, ale jednak nie wszyscy – odzywa się chłopak.

Wstaje, a ja dopiero teraz widzę, że jest bardzo wysoki i wąły. Uosobienie typu gruźliczego, o którym mówił na jednym z wykładów Klituś. Wąskie ramiona, zapadnięta klatka pier-

siowa, wydłużone, szczupłe kończyny. Nie wydaje mi się jednak, żeby budowa ciała rzeczywiście wskazywała na skłonności gruźlicze. Pawłowicza natura obdarzyła przecież posturą wołu, a choruje od lat.

– Sebastian Narocz – kłania się. – Przebywam w Sanato dopiero od tygodnia.

– Od tygodnia? – dziwi się Jaga. – Nie widziałam pana jeszcze w jadalni...

– Do dziś nie opuszczałem pokoju.

Wpatruję się w niego zdumiona, bo choć nie znam tego chłopca, doskonale wiem, kim jest – znam jego nazwisko, a i słyszałam o nim parokrotnie. Tylko czy podobne przypadki naprawdę się zdarzają? Sebastian Narocz jest bratem Nel. Oznacza to, że wizyta, którą złożyła mi niedawno, wcale nie była spowodowana pragnieniem okazania mi sympatii. Nel przyjechała tu, by omówić sprawę przyjęcia do sanatorium brata. Ale dlaczego nie wspomniała o tym choćby słowem?

Przedstawiamy się po kolei, chłopak za każdym razem kłania się szarmancko, a na policzkach występuje mu rumieniec zawstydzenia. Zupełnie nie przypomina swojej siostry, o której można wiele powiedzieć, ale z pewnością nie to, że należy do osób nieśmiałych.

– Dobrze – odzywa się Dresler, gdy prezentacja dobiega końca. – Skoro formom stało się zadość, przystąpmy do sedna. Z grubsza wiecie już państwo, w jakiego rodzaju przedsięwzięciu bierzecie udział. Od dziś tworzycie ściśle grono wybrańców, a nawet – nie zawaham się użyć tego słowa – szczęśliwców, którym dane jest uczestniczyć w jednym z najważniejszych i najbardziej przełomowych momentów w historii medycyny.

Mocne słowa. Nieco zażenowana patosem, a zarazem nim rozbawiona spoglądam z ukosa na Irę, która wydaje się jednak przemową Dreslera szczerze przejęta.

– Na czym terapia będzie polegała i jaki jest jej cel, wiecie, więc nie będę wszystkiego powtarzał. Dziś każde z was przyjmie pierwszą dawkę preparatu.

W tym momencie – zupełnie jakby lekarz przycisnął ukryty dzwonek – otwierają się drzwi prowadzące na korytarz i do sali wchodzi pielęgniarka. Musiała stać po drugiej stronie i podsłuchiwać, bo inaczej nie potrafię wytłumaczyć równie doskonałej synchronizacji. Pcha przed sobą metalowy wózek na kółkach. Znam ją, to ta sama okularnica z wystającymi zębami, która asystowała Klitusiowi podczas mojego zabiegu. Jak to możliwe, że chociaż w Sanato jest około dziesięciu pielęgniarek, ja bezustannie natykam się na jedną i tę samą? Czy jednak pielęgniarek rzeczywiście jest tu tak dużo? Tę liczbę podaje folder reklamowy, jednak ja dotąd widziałam może cztery...

Wiewiórka toczy przed sobą wózek, na którym w drewnianym stojaku pobrzękują szklane fiołki. Obok nich błyszczy chromowana kasetka sterylizatora i wysoki słój wypełniony tamponami z gazy. Jak na szumną inwokację Dreslera, ładunek wózka prezentuje się dość skromnie, ale – co sobie przypominam – Borgii starczyła zawartość maleńkiego sekretnika zawieszzonego na szyi, by wytruć siedmioosobową rodzinę uczestniczącą w kolacji, którą dla niej wydała.

– Od dziś codziennie każde z was o tej samej porze będzie musiało się stawić w tej sali. Sugeruję dziesiątą, po pierwszym leżakowaniu, a przed drugim śniadaniem. Każdego dnia otrzymacie zastrzyk z miksturą stabilizującą, którą w jednakowych dawkach będziecie przyjmowali aż do zakończenia terapii. – Dresler pokazuje nam fiołkę wypełnioną mlecznym, gęstym płynem. – Ten środek podnosi tolerancję organizmu na sole złota i metali, które z kolei będziecie przyjmowali w stopniowo rosnących dawkach dwa razy w tygodniu.

Tu Dresler wyjmuje ze stojaka kolejną fiołkę, wypełnioną bladożółtym, opalizującym fluorem. Gdy padło określenie „chryzoterapia”, byłam przekonana, że polega ona na zastrzykach z płynnego złota o konsystencji rtęci. Zawiesina kołysząca się w trzymanej przez lekarza butelce przypomina mi rozgotowany kompot brzoskwiniowy czy też nektar z moreli i nie prezen-

tuje się specjalnie widowiskowo. Jaga wzdycha – chyba i ona czuje rozczarowanie.

– Dziś każde z was przyjmie koktajl wzbogaconych soli złotowej siarczanu sodowego, azotowęglanu sodu i tiojabłczanu sodowo-złotowego. Pierwsza dawka ma 0,05 grama złota. Kolejne zastrzyki podawane w odstępach dwudniowych będą zawierały coraz większe jego ilości oraz sukcesywnie dodawane związki innych metali, a w końcu zawiesinę ze złotem w czystej postaci. Dotychczas maksymalną granicą dawki kruszcu podczas chryzoterapii było pół grama złota przy jednorazowej aplikacji. Dawka to ostatecznie pięć gramów w trakcie całej dwumiesięcznej kuracji. Dzięki opracowanemu przeze mnie stabilizatorowi w waszym przypadku jednorazowa dawka stopniowo osiągnie poziom dwóch gramów. Aż do zakończenia terapii, która potrwa pełne trzy miesiące, każde z was przyjmie – bez, zaznaczam, najmniejszej szkody dla zdrowia – około trzydziestu gramów czystego złota oraz pewne ilości innych metali. Według moich obliczeń i doświadczeń taki poziom wyłączenia zagwarantuje wam całkowite wyleczenie, a gdy to nastąpi, wasze organizmy samoistnie oczyszczą się z kruszcu i pozostałych metali. Zostaną one wydalone w naturalny sposób, co potrwa stosunkowo krótko, a gdy dobiegnie końca, ustanie także konieczność aplikowania stabilizatora.

– Ile zatem potrwa cała kuracja? – pyta Amelia.

– Ujmę to tak. – Dresler zaciera ręce i obwieszcza z triumfem: – Każde z was święta Wielkiej Nocy spędzi z bliskimi w rodzinnych domach i późniejszy powrót tutaj nie będzie już konieczny.

– Czyli twierdzi pan, że do Wielkanocy każdy z nas będzie zdrowy?! – wykrzykuje Miet.

– I pytanie drugie: czy otrzymamy od pana tę obietnicę na piśmie?... – sceptycznym tonem odzywa się Stan, a Jaga wybucha nerwowym chichotem.

Nagły ból sprawia, że w ostatniej chwili tłumię okrzyk. Spoglądam na rękę i widzę, że ciskałam ją z taką siłą, że we wnętrzu lewej dłoni utworzyły się półkoliste ranki od paznokci. W sali wybucha wrzawa, uczestnicy spotkania zaczynają się nawzajem przekrzykiwać. Dresler milczy, Wiewiórka obserwuje nas martwym wzrokiem, wciąż opierając dłonie na uchwycie wózka niczym służąca na poręczy mobilnego baru z alkoholami podczas przyjęcia. Tylko Ira patrzy na Dreslera z niewzruszonym spokojem. Ten wreszcie przywołuje nas do porządku kilkoma kłaśnięciami w ręce.

– Wystarczy, mili państwo! – woła. – Zaczynamy. Będę teraz was prosił o podchodzenie w określonej kolejności. Dziś aplikacja preparatów odbędzie się publicznie, abyście mogli się oswoić z zabiegiem. Każde z was otrzyma numer, proszę, aby wszyscy go zapamiętali. Od dziś w tej sali wasze nazwiska stają się nieistotne. Przebieg leczenia, postępy oraz ewentualne komplikacje będą w naszym dzienniku przyporządkowane cyframi. A zatem – numer jeden. Pani Dorota Kościałowiczówna.

Dorcja w popłochu kuli ramiona, ale wstaje dzielnie z krzesła i podchodzi do wózka. Dresler podwija rękawy lekarskiego kitla, wyjmując ze sterylizatora szklaną strzykawkę i napełnia ją mleczną zawiesiną.

– Proszę usiąść – wskazuje Dorci swoje krzesło.

Dziewczynka siada – ciemna, drżąca plama na tle rozłożonego promieniami słonecznymi okna. Wstrzymujemy oddech, gdy podsuwa Dreslerowi swoje ramię. Wiewiórka wręcza mu zwilżony spirytusem tampon, a sama zawiązuje na ramieniu Dorci gumowy wężyk.

– Stabilizator podawany będzie dożylnie – oświadcza Dresler. – Natomiast koktajl złotowy – domięśniowo.

Podnosi do oczu napełnioną strzykawkę, wciska tłok i z jej czubka tryska kropla płynu. Stalowa igła wbija się w żyłę Dorci. Zawartość drugiej strzykawki, tej z żółtawą zawiesiną, lekarz wstrzykuje jej w ramię. Dorcia, przyciskając tampon z gazy do zgięcia łokcia, wraca na

swoje krzesło. Cała sytuacja kojarzy mi się z doświadczeniem chemicznym przeprowadzanym w szkolnej klasie. Dorcia jest blada jak kreda, ma szeroko otwarte oczy. Dopiero za kilka miesięcy zrozumie, że ten jej strach spowodowany był skojarzeniem z wydarzeniem, w którym wzięła udział kilkanaście miesięcy temu w pewnym odległym mieście. Lecz podeszła do Dreslera bez wahania, być może pokrzepiając się w duchu fałszywą maksymą, w myśl której piorun dwukrotnie nie uderza w to samo drzewo...

– Numer dwa, Jadwiga Wołłejśzówna!

– Trzy, Stanisław Borniaci!

– Cztery...

Czwórką okazuje się Janek, piątką – okrąglutka Amelia. Numer sześć przypada Sebastianowi, siódmym – na który miałam pewną nadzieję – staje się Miet. Ja zostaję numerem osiem. Czyli Ira będzie...

– I numer zero. Irena, podejdź, proszę – mówi Dresler.

Numer zero? Dlaczego? I dlaczego na końcu? Zero przecież nie należy do zbioru, jest cyfrą, ale nie jest numerem. Być może wynika to z tego, że Ira poddaje się chryzoterapii od dawna, zapewne otrzyma więc inną dawkę...

Nie myślę się. Gdy Ira podchodzi do stolika, Dresler wyjmuje ze stojaka ostatnie dwie fiołki. Pierwsza zawiera taki sam preparat jak ten, który otrzymaliśmy wszyscy, jednak w drugiej... Dorci wyrывa się cichy okrzyk, gdy doktor unosi rękę wyżej i promień słońca przenika przez ostatnią fiołkę. Jej zawartość jest klarowna, ma barwę bursztynu. Albo miodu. Ira spokojnym ruchem wyciąga przed siebie wyprostowaną rękę. Gdyby uwiecznić obserwowaną przez nas scenę na fotografii, łatwo można by pomylić jej gest z prośbą o jałmużnę.

Koniec. Rozpraszamy się po sali, Dresler notuje coś w rejestrze, a Wiewiórka wyprowadza wózek. Nie rozmawiamy ze sobą, unikamy nawet wymiany spojrzeń. Chodzimy od ściany do ściany – wszyscy z jednakowym, ordynarnym w wyrazie układem ramion, często spotykanym wśród ulicznych łobuziaków – lewa dłoń w zgięciu łokcia prawej ręki, a jej pięść uniesiona do podbródka. Wygląda to nieco zabawnie, ale wcale nie czuję rozbawienia. Serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe.

– Chodź, pójdziemy do kawiarni – mówi Ira. – Wyrzuć już tę gazę. Drugie śniadanie nam przypadło... Boże, zmieniam się w Judesę!

Wybucha śmiechem i bierze mnie pod rękę.

Schodzimy do kawiarni, zamawiamy kawę ze śmietanką i po dwie rurki z kremem. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że gdy weszliśmy, ucichł gwar rozmów. Otacza nas nienaturalna cisza. Rozglądam się z zaskoczeniem i widzę, że wszyscy patrzą na nas – nawet nie ukradkiem, lecz wprost – gapią się bez zażenowania. W tych spojrzeniach dostrzegam cień zawiści, zazdrość, sporo smutku. Ale przede wszystkim nadzieję. Czuję, że do oczu napływają mi łzy.

– Nino, a czegoś ty płaczesz? – pyta Ira.

Wzruszam ramionami, ale nie umiem nad sobą zapanować. Łza spływa mi po policzku, dociera do ust. Odruchowo ją zlizuję.

– Chodź. – Ira podnosi się z krzesła. – Nie dawaj im satysfakcji.

Satysfakcji? A jakąż satysfakcję mogliby odczuć goście kawiarni na widok moich łez? Jednak posłusznie wstaję i ruszam za nią. Przechodzimy przez palarnię, w której o tej porze jest jeszcze pusto, i wychodzimy do oszklonej werandy bocznej, szumnie zwanej przez personel Sanato zimowym ogrodem. Tu z reguły jest pusto, bo konstruktorzy musieli popełnić jakiś błąd – w słoneczne dni w przeszklonej altanie panuje nieznośna duchota, a w pochmurne nawet dwa rozgrzane do czerwoności żelazne piecyki nie pomagają w pozbyciu się wilgoci. Między trzema

potężnymi donicami, w których rosną imponujące, zadziwiająco odporne na klimatyczne kaprysy wnętrza monstery dziurawe, stoją wiklinowe fotele. Stoliki zawalone są prasą. Nikt nigdy jej nie czyta, bo kilka godzin po wyłożeniu papierowe stronicie fałdują się od wilgoci. Szerokie, zazwyczaj zamknięte na glucho drzwi prowadzą stąd na taras, którym dotrzeć można do jednego z bocznych krótkich pomostów.

– Siadaj – mówi Ira, opadając na fotel. – Co się z tobą dzieje?

– Nie wiem – odpowiadam i łzy jak grochy zaczynają płynąć mi po twarzy.

– Wydawało mi się, że jesteś silna – stwierdza dziewczyna.

– Jestem silna.

– To po cóż znowu ta histeria?

Histeria? Z tego, co wiem, histeria jest chorobą nerwową występującą u kobiet na skutek cierpienia matki. Mojej nic nie dolega, tak przynajmniej myślę. Choć mój termin opóźnia się o trzy dni, o czym bardzo usilnie staram się nie myśleć. Może więc to jednak ona jest źródłem rozstroju nerwowego? A jednak nie. Nie o nią tu chodzi.

Wyciągam z rękawa chusteczkę i głośno wycieram nos – jak dziecko.

– Słyszałaś kiedyś określenie „najlepsze jeszcze przed tobą”? – pytam po dłuższej chwili, gdy udaje mi się opanować skurcz gardła.

– Słucham? – Ira rzuca mi zdumione spojrzenie, a potem uśmiecha się krzywo. – Raczej nie. Do niedawna obilabym każdego, kto odważyłby się powiedzieć mi coś podobnego.

– Właśnie – potakuję. – Wiesz, gdy byłam mała i coś mnie omijało, jakaś drobnostka, która wydawała mi się istotna... Na przykład wędrówka do cukierni przy placu Teatralnym po marcepanową święconkę przed świętami wielkanocnymi... Pamiętasz te święconki? Nie, nie możesz pamiętać, przecież nie mieszkałaś w Warszawie. Przy placu Teatralnym, pod arkadami ulokował się cukiernik. Zawsze wczesną wiosną, przed świętami, wystawę jego lokalu wypełniały marcepanowe jajka, kiełbasy, bułki, a nawet półcie szynki, boczków i oselki masła. Wszystko to miniaturowe, jak dla lalek. Można było kupować całe stoły ze święconką, ale wolałam kupować na sztuki, bo do marcepanowych obrusów potrawy przyklejano, a ja chciałam je komponować po swojemu, wiesz.

– O czym ty mówisz? – Ira spogląda na mnie z lekkim zniecierpliwieniem.

– Wyprawa do tego sklepu była czymś, na co czekałam od Gwiazdki. Podobnie jak na majowe pikniki czy na nową lalkę. Niekiedy jednak okazywało się, że czekałam na próżno – raz na przeszkodzie stanęła grypa, kiedy indziej (*chrup*) jakiś inny wypadek. Oczywiście stawało się to dla mnie wielką tragedią, a mój ojciec zawsze w takich razach mawiał: „Nie martw się, najlepsze przed tobą”. Rozumiesz?

– Mniej więcej. Ale głowy nie dam...

– Czas płynął, ja rosłam, byłam coraz starsza, lecz nadal wiedziałam, że to najlepsze dopiero przede mną. Kiedy poznałam Adama, gdy mi się oświadczył, pomyślałam – no, więc narzeczcie! Teraz przeżyję to, co najlepsze. Lecz kiedy go poślubiłam, wciąż miałam jakiś taki niedosyt, poczucie niespełnienia, nie wiem, w każdym razie przekonanie, że to najlepsze nadal jest jeszcze przede mną, nie znikło. Zrozumiałam, że nadal czekam. Czekałam więc i męczyło mnie to, bo „najlepsze” urosło do rangi jakiegoś wypaczonego, nieosiągalnego celu mojego życia, które tymczasem wciąż było jedynie poczekalnią. Gdy Adam zachorował, i ja sama także, gdy przyjechaliśmy tutaj, początkowo wydawało mi się, że to jedynie etap, bo przecież ciągle przede mną jeszcze najlepsze. Aż wreszcie któregoś dnia kilka miesięcy temu (w *barierce jest furka*) dotarło do mnie, że już nie mam po co czekać. Najlepsze albo mnie ominęło – cóż, bywa i tak – albo już mi się przytrafiło, a ja tego nie dostrzegłam. Tyle że, wiesz, wcale mnie to nie przygnębiło, nie załamało. Odetchnęłam z ulgą i pomyślałam sobie, że teraz już nic nie muszę.

Nie muszę na nic czekać, o nic się starać. Po prostu jestem, i tyle. Poczułam ulgę, gdy uświadomiłam sobie, że już nie opuszczę tego miejsca. Ani ja, ani Adam. Do niego chyba też to dotarło, ale oboje przyjęliśmy to zupełnie inaczej. Dla niego ten moment stał się końcem, dla mnie – początkiem.

Ira wpatruje się we mnie ze zmarszczonymi brwiami, próbując pojąć, o czym właściwie mówię, i chyba trudno ją winić, bo sama nie do końca pojmuję to, co próbuję wyrazić. Niemniej brnę dalej, bo gdy już zaczęłam mówić o tym wszystkim, nie potrafię przestać:

– A teraz to wróciło. Nie chodzi o nadzieję czy wiarę w szansę na wyzdrowienie. Chodzi o to, że znowu coś muszę. Zgodziłam się na udział w eksperymencie nie dlatego, że chcę być zdrowa, ale dlatego, że tak należało postąpić. Bo poczułam, że powinnam się zgodzić. Rozumiesz mnie?

– Chyba rozumiem. Czy twoje życie przed przyjazdem do Sanato naprawdę było tak okropnie nudne i przygnębiające?

– Słucham? – Mrugam zdumiona pytaniem... – Przecież ja nie o tym...

– Ależ oczywiście, że o tym mówisz! Twoje życie najwyraźniej było nudne jak flaki z olejem, pozbawione jakiegokolwiek celu i sensu, skoro pewność, że wkrótce się zakończy, sprawiła, że poczułaś się szczęśliwa.

– To nieprawda!

– Nie? Ja myślę, że tak. Miałaś nijakie, nudne, nieszczęśliwe dzieciństwo, wyszłaś za męża za człowieka, który przyniósł ci wyłącznie rozczarowanie, i przekonałaś się, że choć dorosłaś, wciąż czujesz znudzenie. Ale my sami rządymy swoim życiem. Może więc to nie ono i nie twoje małżeństwo są nudne i puste, ale ty sama taka jesteś?

– Nieprawda! Nie o tym mówię! Mówię o tym, że... że...

– Że co? Mówisz o tym, że uzalałaś się nad sobą i że nadal będziesz to robić – przyznaję, taka perspektywa jest męcząca. Miałam dwanaście lat, gdy okazało się, że zachorowałam na suchoty. Od tego czasu żyję w sanatoriach, w obcych pokojach, wśród obcych ludzi, w nieznanym miejscu. Czasami było mi trudno, niekiedy bywałam przygnębiona, czułam się samotna, a chwilami wściekła. Niemniej żyłam i zrobię wszystko, żeby żyć dalej. Mamy to szczęście, że narodziłyśmy się w najlepszym z możliwych czasów, nie zmarnuję takiej szansy. I nie mam zamiaru czekać biernie, aż coś zmieni się samo – walczę o to. Świat, który znamy, już niedługo całkowicie się odmieni. Zawładną nim najsilniejsi, wytrzebią chwasty i zbudują nowe, lepsze jutro, a ja, do diabła, będę maszerowała z nimi. I to w falandze! Ty też otrzymałaś podobną szansę, właśnie dziś. Przestań więc roztkliwiać się nad swoim losem i walcz!

– To okrutne, co powiedziałaś o mnie – mówię po kilku długich sekundach, podczas których rozważam, czy nie zerwać natychmiast znajomości z Iry, wymierzając jej siarczasty policzek.

Niestety, niemal natychmiast dochodzę do wniosku, że nie mogę sobie na to pozwolić – choćby przez wzgląd na Dreslera i eksperyment.

– Ja nie jestem taka!

– Tylko tyle usłyszałaś? Hm... – Ira uśmiecha się nieoczekiwanie i poklepuje mnie delikatnie po kolanie. – Oko nie widzi samo siebie. Ale wierz mi, twoje spojrzenie już niebawem zadziwiająco się wyostri.

Odwracam twarz i wyglądam przez szyby werandy. Wciąż jestem wzburzona, ale smutek zniknął. Ta rozmowa mimo wszystko postawiła mnie na nogi, choć liczyłam chyba na nieco inny rodzaj wsparcia. W każdym razie jestem już spokojniejsza, a irytacja dodała mi energii. Kiedyś odpłacę ci pięknym za nadobne – myślę, spoglądając na Iry i zmuszając się do uśmiechu. Doskonale wiem, że to tylko czcza pogroźka. Nigdy nie zdołałabym jej zranić – jestem po prostu zbyt

słaba. A może to ona jest zbyt silna? Wojowniczką o lepsze jutro! Ira powinna lepiej przestudować historię starożytną. Falangę rzeczywiście wysłano do boju jako pierwszą, ale żołnierze w niej kroczący już na etapie planów bitewnych spisywani byli na straty.

Czuję się świetnie aż do kolacji. Gdy wieczorem na naszym balkonie zajmuję leżak obok Adama, zaczynają się zawroty głowy. Na wszelki wypadek wracam więc do pokoju, rozbieram się i kładę do łóżka. Wreszcie udaje mi się zasnąć, jednak nie na długo. Po paru godzinach budzę się w piekle.

*

Moje wnętrzności, przelyk i język płoną żywym ogniem. To właśnie muszą odczuwać ci, którzy decydują się, by skończyć ze sobą przez wypicie esencji octowej czy kwasu solnego. Mam wrażenie, że moje ciało się gotuje, że tkanki, skwiercząc, odchodzą od rozżarzonego do białości szkieletu, że skóry na mnie jest zbyt mało, że za chwilę eksploduję... Smród wymiocin jest nieznosnie duszący. Prześcieradło pode mną jest mokre, chcę odchylić ciężką kołdrę, ale brak mi sił, a próba podniesienia ramienia potęguje ból, który rozdziera moje mięśnie. Chcę krzyknąć, jednak z gardła udaje mi się wydobyć tylko skowyczący jęk. Ściany naszego pokoju chwieją się, statek już tonie. Za chwilę okna roztrzaskają się w kawałki, wtłoczone do wnętrza przez hektolitry wód wrzącego wokół kadłuba oceanu...

– Nusiu?

Czy to Adam? Postać pochyla się nade mną, przegniłe ciało odpada, odsłaniając żółte kości. Strzępy powiek trzepoczą nad czarnymi, ropiejącymi jamami pustych oczodołów. Szponiaste, odarte ze skóry palce sięgają do mojego gardła. Próbuję krzyknąć, ale znowu udaje mi się tylko zaskowyczeć.

– Nusiu! – woła Adam.

Dach rotundy rzuca cień, w jego kręgu jesteśmy bezpieczni, przynajmniej na razie. Wokół nas strzelają płomienie, pną się po suchych gałęziach sosen, tryskają snopami iskier. Tlenu jest coraz mniej, niebawem wypali się do szczętu. Ale pomost jest jeszcze wolny, jeszcze można by zbiec nim do Sanato, które wydaje się nietknięte przez pożogę. Widzę ludzi spacerujących po werandzie, przyglądają się pożarowi przez trzymane w palcach okopcone szybki. Chwytam Adama, szarpnięciem koszulę na jego ramieniu, próbuję zmusić go do wstania z leżaka, ale on się nie rusza. Rozbryzg krwi na piersi jego szarej koszuli dawno zakrzepł, z ciała już unoszą się gorące opary. Patrzę na własne dłonie – skóra na nich pęka, rozłazi się, spod paznokci wycieka wytopiony przez żar tłuszcz. Jedyna droga to molo. Chwytam wezglowie leżaka, na którym bezwładnie spoczywa Adam, ciągnę go do wejścia na pomost. Nagle za mną rozlega się wyraźnie piskliwy rechot. Odwracam się i widzę, że droga została odcięta. Między rotundą a *Satano*, idealnie w połowie pomostu, rozsiadł się porcelanowy Chińczyk. Jego głowa i ręce podrygują w rytm paroksyzmów śmiechu, który wstrząsa jego przysadzistym, pękającym ciałem, język wysuwa się i znika, wysuwa się i...

– W barierce jest furtka. Przejście nie jest strzeżone – szepce Adam prosto do mego ucha. Zrywam się z łóżka i nareszcie udaje mi się krzyknąć.

– To zaraz minie – stwierdza Dresler, spoglądając na uniesioną strzykawkę, i pstryka w nią palcem. – Reakcja jest silniejsza, niż przypuszczałem. Jednak nie ma najmniejszych powodów do obaw.

Wiewiórka chwyta mnie za ramiona, przygniata. Nie przypuszczałam, że ma tyle siły, ale nie, to raczej ja mam jej tak mało... Jednym ruchem odrzuca kołdrę, drugą ręką zadziera mi koszulę pizamy aż do piersi. Dresler nachyla się i szybko wbija igłę strzykawki tuż obok mojego pępka, otwieram usta w niemym przerażeniu. Nie dlatego, że zastrzyk boli, właściwie go nie

czuję, bo w porównaniu z płonącym pod moją skórą ogniem zdaje się nieznaczny niczym ukłucie komara. Jestem przerażona, bo szerokie spodnie, które mam na sobie, są całe we krwi. Jej śliski, połyskliwy zaciek kończy się dopiero za kolanami.

Adam stoi w nogach mojego łóżka, wyprostowany, spokojny, tylko w jego oczach widzę przerażenie. Wpatruje się w ciemnoczerwoną plamę.

– Proszę z tym zrobić porządek – Dresler skinieniem głowy wskazuje moje biodra.

Pielęgniarka szarpnięciem ściąga ze mnie spodnie, leżę wystawiona na widok niczym marcepanowa golonka w witrynie cukiernika przy placu Teatralnym, nie mogę się nawet zasłonić. Wiewiórka zwija piżamę w kłębek, rzuca na podłogę. Trzeba to będzie zanieść do rowu, teraz na pewno nie palą już liści. Czy na prześcieradło między moje nogi wypłynęło ze mnie coś jeszcze poza krwią?

– Szeroko trzymać! – mówi Wiewiórka, rozsuwając moje kolana.

Sięga po szmatę zanurzoną w emaliowanej misce ustawionej na krześle obok łóżka. Przygotowała się. Woda jest lodowato zimna, cudowna.

Nagle pielęgniarka, lekarz i Adam stojący na wprost mojego nagiego, zakrwawionego łona, wpatrzony w nie ze strachem i chorobliwą fascynacją, maleją – zupełnie jakbym patrzyła na nich przez odwróconą lunetę lub obserwowała z ostatniego pomostu pociągu, który właśnie odjeżdża ze stacji. Próbuję coś powiedzieć, wypada się pożegnać, ale język spuchł mi tak bardzo, że w szczelnie wypełnionych nim ustach brak miejsca na słowa. Osuwam się w ciemność, przy której najczarniejsza noc... Jednak nie boję się jej tym razem. A przynajmniej nie aż tak bardzo.

ROZDZIAŁ IX

POCZĄTEK

Wtorek, 27 października 1931 roku

Godziny ranne niosą rozszerzenie horyzontów umysłowych, głębsze zainteresowania, bardziej oryginalne i postępowe poglądy.

W dniu dzisiejszym należy być jednak jak najwięcej przewidującym, ostrożnym, wazącym w myśli konsekwencje każdego czynu i dążącym za wszelką cenę do uniknięcia błędów, które później odbiłyby się bardzo ujemnie na dalszym życiu.

Zaraz po godzinie 14-tej jawi się zagrożenie przez arogancję, przykrości, nieporozumienia z osobami obcymi i bliskimi, a godzina 15-ta może przynieść niepokoje, wstrząśnienia lub oryginalne przeżycia.

Okres późniejszy obiecuje rozczarowania, zawody, podstępny i coraz bardziej potęgujący się niepokój.

Wieczór przynieść może niezwykle przeżycia uczuciowe, nowe związki – bardziej oryginalne, niezależne lub romantyczne – i odruchy spontaniczne, nieobmyślane, a twoje zachowanie się może być źle zrozumiane przez innych.

Dnia dzisiejszego strzec się należy: przedmiotów wykonanych z kości, popiołu, potraw zielonych, barw jaskrawych, ksiąg, wąskich i długich pomieszczeń, takich jak galerie, a z kruszców – alpaki i z kamieni – aleksandrytów.

Budzę się po ósmej zupełnie przytomna, choć może nie tyle przytomna, ile niesenna. Nic mnie nie boli. Gdyby nie to, że mam na sobie inną piżamę, mogłabym uwierzyć, że wszystko, co przydarzyło się w nocy, było jedynie koszmarnym snem. Podnoszę się ostrożnie, jakbym była ze szkła, ale ciało mnie słucha, nie protestuje. Naprawdę nic mi nie dolega, choć mam niejasne poczucie oddzielenia, jakby między mną a światem stała ściana czy raczej jakbym została uwięziona w przejrzystym pęcherzu. Znam to uczucie, towarzyszy wysokiej gorączce, jednak nie doświadczam innych jej symptomów – nie bolą mnie mięśnie, nie pieką oczy, nie czuję się wyzuta z sił.

– Jak się miewasz? – pyta Adam.

Siedzi w fotelu, ma na sobie szlafrok. Czy przesiedział tam całą noc? Prawdopodobnie.

– Dobrze. Chyba dobrze. Spałeś?

– Tak.

Podchodzi do mnie, kładzie mi dłoń na czole. Ten gest nieoczekiwanie mnie drażni, odsuwam się. Wyjątkowo nieprzyjemna sytuacja, wciąż widzę jego wytrzeszczone oczy wlepione w moje odsłonięte podbrzusze. Powinien był wyjść, gdy tylko zjawił się doktor.

– Jesteś rozpalona...

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Dresler uprzedzał, że mogą się pojawić pewne... efekty uboczne.

– Myślałem, że to koniec.

– Najwyraźniej jednak nie – mówię i zdobywam się na uśmiech. – Jeszcze żyję. Zejdźmy na śniadanie, jestem okropnie głodna.

Wilczy głód. No, tak. Z pewnością nic mi nie dolega, nawet jeśli mam wysoką temperaturę. Wszyscy tu gorączkują. A może jednak lepiej zamówić śniadanie do pokoju? Nie, chcę zo-

baczyć innych. Czy wszyscy przeżyli w nocy równie, hm, niemiłe chwile? Jeśli tak, ciekawa jestem spotkania w sali numer 3. Z pewnością rozpięta się tam potężna awantura.

Adam znika za kotarą, słyszę, jak rozrabia pędzlem mydło w porcelanowej miseczce. Po chwili zza zasłony dobiega suche, szorstkie skrzywienie skórzanego pasa, o który – jak każdego poranka – ostrzy brzytwę. Wysuwam stopy spod kołdry i siadam na łóżku. Czy pod nowym, czystym prześcieradłem zostały ślady mojej krwi? Zapewne tak, lecz do obiadu już ich nie będzie. Pielęgniarki wymienią materac, gdy tylko pokój będzie pusty. A może tej krwi nie było wcale tak dużo, jak mi się zdawało? Gdy się skaleczę, zawsze wydaje mi się, że jest jej znacznie więcej, niż gdy przyglądam się podobnej ranie u kogoś innego. Czy była to tylko krew? Potrząsam ze zniecierpliwieniem głową i wstaję. Przez chwilę podłoga kołysze się pod moimi stopami, ale po sekundzie odzyskuję równowagę. Nie będę o tym myśleć. Jeśli było tam coś jeszcze, dobrze, że już tego nie ma, i tyle. Muszę się wykapać, zrobię to po obiedzie.

Jakie to szczęście, że nie dałam Adamowi dziecka. Wszystko znacznie by się skomplikowało, gdybyśmy je mieli. Choroba zdjęła ze mnie poczucie winy – to kolejna jej zaleta. Wcześniej dziecko, o którym chyba nigdy nie mówiliśmy, ale o którym z pewnością oboje myśleliśmy, było moim zmartwieniem. Zmartwieniem? Niewłaściwe słowo. Myśl o nim była jak zadra, jak drzazga wbita w skórę, której nie daje się usunąć pęsetą. Powinnam była je urodzić, w końcu wyszłam za męża. Tak często powtarzałam, że marzę o nim, aż naprawdę sama w to uwierzyłam. Było to o tyle łatwe, że nadal nie zachodziłam w ciążę, co przyjmowałam zarówno z ulgą, jak i z rozczarowaniem. Z rozczarowaniem – bo rodzenie jest obowiązkiem żony. Z ulgą – bo tak naprawdę wcale nie chciałam dziecka. Bałam się, że nie będę umiała zajmować się nim, że mnie nie pokocha lub – co znacznie gorsze – że ja nie pokocham jego. Albo jej. Myśl o dziecku ciążyła mi jak kamień, teraz przynajmniej nie muszę się tym przejmować.

Podchodzę do szafy, otwieram ją i w lustrze dostrzegam odbicie łóżka. Odgarnięta kołdra, odsłonięte prześcieradło, a pod nim... Gardło zaciska mi się nagle, szybkim ruchem otwieram drzwi szerzej. Odbicie łóżka znika.

*

A jednak byłam w błędzie, spodziewając się awantury. Choć każde z nas – zapewne poza Irą – doświadczyło dolegliwości mniej lub bardziej podobnych do moich, spotkanie przebiega w niemal całkowitej, sennej ciszy. Amelia z nikłym, trochę rozmarzonym uśmiechem wachluje się trzymanym w ręku numerem „Tygodnika Ilustrowanego” sprzed dwóch miesięcy. Włosy, które zawsze tak starannie przypiekała w fale, dziś są proste – nie ułożyła ich po raz pierwszy, odkąd ją poznałam. Miękką, połyskliwą kaskadą spadają na odsłoniętą białą szyję. Błyszczące przymknięte oczy, wyraźny rumieniec gorączki i ten zagadkowy, półsenny uśmiech sprawiają, że jej prząsny wdzięk nabiera pewnego wyrafinowania. A może to zasługa spokoju – po raz pierwszy mam okazję przyjrzeć się jej, gdy nie chichocze nerwowo i nie strzela oczami w stronę każdego przebywającego w pobliżu mężczyzny.

Jaga siedzi na krześle z przechyloną w zamyśleniu głową. Jej bluzka jest zanadto rozpięta, dziewczyna wodzi po odsłoniętym dekolcie palcami, ale ten zmysłowy gest nie wydaje mi się gorszący – może dlatego, że jest tak wyraźnie nieświadomy.

Sebastian zajął miejsce najbliżej okna, podparł brodę dłonią i wpatruje się w zamglone góry. Janek, oparty o ścianę, zastygł w kontrapoście. Stan – obok siedzącego najbliżej mnie Mieta – leniwym gestem opiera łokieć na ramieniu przyjaciela. Patrzą przed siebie roztargnionym wzrokiem. Miet zdjął marynarkę i niedbale cisnął ją na parapet okienny, rozchełstana koszula odsłania gładką jak u niemowlęcia, szeroką klatkę piersiową. Gdybym się wychyliła, mogłabym zobaczyć jeden z jego sutków – szokująca myśl, a jednak mnie nie szokuje. Mogłabym, ale po

co? Mam wrażenie, jakby ta senna cisza była prawie materialna; otula mnie niczym wata. Przy pewnym wysiłku zdołałabym się otrząsnąć z letargu, ale nie odczuwam takiej potrzeby. Jedyne Ira ubrana jest dziś nieskazitelnie i przygląda się nam roziskrzonym wzrokiem. Zachowujemy się, jakbyśmy byli pod wpływem narkotyku – przychodzi mi do głowy. I tak zapewne jest. Każde z nas otrzymało w nocy zastrzyk od Dreslera, idę o zakład, że była w nim także morfina, i to najwyraźniej końska dawka. Nie jestem bezsilna, przeciwnie – zdaje mi się, że siły mam więcej niż zwykle, ale wystarcza mi sama tego świadomość. Nie muszę jej używać. Jest niczym lokata bankowa – napawa spokojem tak długo, jak długo pozostaje poza zasięgiem.

– Za kilka dni poczujesz – mówi Ira.

– Co poczuje? – pytam, próbując skupić na niej uwagę.

– Zobaczysz.

Do sali wjeżdża wózek pchany dziś – dla odmiany – przez inną pielęgniarkę. Wąska, szczupła twarz, czarne, głęboko osadzone oczy, drobne usta. Przyglądam się jej uważnie, właściwie nie potrafię oderwać wzroku od tej dziewczyny. Kim jest? Skąd? Ile może mieć lat? Na oko nie więcej niż dziewiętnaście, może być Żydówką, choć nie musi. Czy wychowała się tutaj, czy przyjechała za chlebem, uciekając przed kolejką po stempel przed urzędem dla bezrobotnych w którymś ze śląskich miasteczek? Nic dziwnego, że zastąpiła dziś Wiewiórkę – po tej nocy moja krzywozęba, ponura przyjaciółka zapewne śpi martwym bykiem. A Dresler?

– Witam. – Doktor pojawia się w drzwiach jak na zawołanie.

Na jego twarzy nie widzę śladów zmęczenia po nieprzespanej nocy – wprost tryska dobrym humorem. Ira ubolewa, że dotąd łączą ich jedynie pocałunki, uświadamiam sobie, że doskonale rozumiem jej żal. Przypatruję mu się i dochodzę do wniosku, że intymne obcowanie z tym mężczyzną w niczym nie może przypominać takiego, jakiego doświadczałam. Nie byłoby laskotaniem piórkiem, ale spadającą z nieba lawiną głązów. Ta myśl sprawia, że robi mi się jeszcze bardziej gorąco.

– Wiem, że każde z was doznało minioniej nocy pewnego, hm, dyskomfortu. – Dresler staje przed nami i podwija rękawy koszuli.

Nie założył kitla lekarskiego; po raz pierwszy widzę go bez uniformu, być może stąd wzięły się moje zaskakujące myśli na jego temat.

– Obiecuję jednak państwu solennie, że podobne dolegliwości i w takim natężeniu już więcej nie wystąpią. Najdalej za tydzień nie pozostaną po nich nawet wspomnienia.

Pielęgniarka odprowadza wózek pod okno i szybkim krokiem wychodzi na korytarz. Garbi się, kuli ramiona. Może była bita w dzieciństwie? A jednak nie, gdy unosi rękę, aby poprawić czepek, odkrywam przyczynę jej postawy – wyjątkowo obfity biust. Cecha w złym guście, wyjątkowo *démodé* od kilku ładnych lat. Za mały, niedobrze. Zbyt pokąźny, jeszcze gorzej. Zabawne tylko, że ktoś taki przejmuje się podobną sprawą. Jakież ona może mieć widoki na zamążpójście? Niewielkie. Ale być może marzy przynajmniej o romansie czy raczej – odpowiedniejsze określenie – o schadzkach.

Wraca po kilkunastu sekundach, ciągnąc za sobą szpitalny parawan z emaliowanych rurek, na których rozpięte jest białe prześcieradło.

Dresler znika za przesłoną – na prześcieradle przesuwają się jego wyraźny cień. Pochyla się nad wózkiem, napełnia strzykawkę, notuje coś w szerokim rejestrze. Obok przygarbiona pielęgniarka, nieruchoma jak posąg. Teatr cieni – modna rozrywka w czasach dzieciństwa mojej matki. Podobnie jak żywe obrazy, choć jeszcze i dziś taki rodzaj rozrywki zdarza się podczas proszonych podwieczorków w lepszych domach na prowincji. Nikt się nie odzywa, tylko Amelia mruży coś pod nosem. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nuci melodię. Cała ta scena przywołuje mi na myśl pierwsze wizyty w kinie na niemych seansach – tych pozbawionych orkie-

stry, a nawet tapera. Szczególnie jedną pamiętam dobrze. *Dziś premiera! „Obłąd”*. *Dramat psychologiczny w sześciu aktach. Należy do tego rodzaju arcydzieł kinematograficznych, zwanych dramatem niesamowitym, które odsłaniają przed widzem głębię nigdy jeszcze dotychczas niezbadanej duszy ludzkiej!* Zabrała mnie wtedy do kina nasza służąca Stasia. Miała mnie pilnować, bo ojciec dokądś się wybrał i nie zdążył zapewnić mi lepszej opieki. Nie chciała tracić popołudnia, była sobota, więc zawiązała mi chustkę na głowie, żebym wyglądała na starszą, i zaprowadziła do Cerso na Ordynacką. Film przeraził mnie do tego stopnia, że dostałam gorączki. Wrażenie zapewne nie byłoby tak silne, gdyby nie towarzysząca seansowi cisza. Taper zachorował, wyświetlano więc obraz bez muzyki. Miałam jedenaście lat. Wtedy w kinach ludzie na ogół zachowywali się jak w kawiarni – palili tytoń, jedli, pili, rozmawiali. Początkowo, gdy projekcja „Obłądu” się rozpoczęła, sytuacja wyglądała podobnie, ale już po pierwszym akcie, gdy główną bohaterkę zaczęły nękać zjawy wychodzące ze ścian pokoju, wszyscy zamilkli. Było cicho jak w kościele, terkotał projektor. Tę atmosferę przesywającej grozy pamiętam doskonale do dziś. Wieczorem, gdy położono mnie do łóżka i wyniesiono lampę, dostałam spazmów. Sprawa się wydała, ojciec o mało nie pękł z wściekłości i Stasię natychmiast zwolnił. Dochodziłam potem do siebie tygodniami – każdej nocy budziłam się z krzykiem.

– Numer jeden, proszę – woła Dresler zza parawanu.

Po kilku minutach nadchodzi moja kolej. Siadam na krześle, podaję ramię. Po wczorajszym zastrzyku na miękkiej skórze po wewnętrznej stronie łokcia pozostał jedynie siniak. Nie ma śladu po ukłuciu, najwidoczniej Dresler potrafi robić zastrzyki z wielkim talentem. Pielęgniarka zaciska gumę na moim ramieniu, żyły nabrzmiwiają pod skórą. Są niebieskawe, wyglądają jak siatka rzek wyrysowana na spłowiałej starej mapie. Przyglądam się im zafascynowana.

Pielęgniarka poklepuje moje przedramię. Ma chłodną rękę.

– Jak siostrze na imię? – pytam.

– Mnie? – Spogląda spłoszonym wzrokiem. – Agnieszka.

– Siostra Agnieszka – powtarzam nie wiadomo po co.

Igła jest gruba, błyszcząca. Na jej ostrym, ukośnym czubku perli się drobna kropelka preparatu. – Stabilizator – myślę.

– Proszę odwrócić oczy – poleca Dresler.

– Nie ma potrzeby – odpowiadam.

Wpatruję się, jak igła wbija się pod moją skórę, przesuwa się pod nią. Uczucie jest nieprzyjemne – gdyby szarpnęła teraz strzykawkę, rozerwałaby ścianę mojej żyły, rozcięła ją jak skalpel. Wystarczyłaby chwila – tak przynajmniej myślę – i zrobiłby się bałagan. Zastrzyki domięśniowe uważam za bezpieczniejsze, choć przecież zdarza się, że niekiedy igła łamie się pod skórą. Jeśli nie zostanie usunięta na czas, może wędrować w ciele miesiącami, by wreszcie przeszły serce bądź mózg. Rosyjska ruletka. Ale przecież to samo potrafi zrobić odprysk kości z dawno zaleczonego złamania.

Dresler równym, płynnym ruchem popycha tłok, opalizująca ciecz wnika do mojej krwi. Przenoszę wzrok na jego dłonie i dalej na przeguby porośnięte ciemnymi włosami. Argument za Darwinem. Wyżej ciemna, twarda skóra przedramion naznaczona jest wypukłymi śladami blizn, których wcześniej nie zauważyłam. To dawne rany, skóra na nich jest jaśniejsza i napięta, włosy nie odrosły. Ktoś się bronił – przychodzi mi do głowy bezsensowna myśl.

Dresler sięga po drugą strzykawkę, a siostra Agnieszka podaje mi tampon i odwiązuje gumowy wężyk. Gdy lekarz, patrząc pod światło, upewnia się, że pod igłę nie dostała się banieczka powietrza, a potem znowu pochyla się nade mną, widzę, że blizny znikły – skóra opinająca jego mocne ręce jest gładka. Wzrok musiał mnie oszukać.

*

– Albino, wyglądasz zjawiskowo. Zawsze cenię u ludzi samoświadomość, szczególnie u kobiet – słodko mówi Ira, gdy spotykamy się wszyscy przy stole podczas obiadu. – To naprawdę świadectwo ogromnego wycucia, gdy kobieta w pewnym wieku potrafi oswoić czas, zażyjać się z nim i dostosować do jego wymagań. Zawsze niezmiernie mi to imponowało, podejrzewam bowiem, że gdy za trzydzieści czy czterdzieści lat i dla mnie nadejdzie ten moment, nie będę potrafiła wykazać się podobnym hartem ducha.

Korycka patrzy na nią niepewnie, ale spojrzenie Iry jest niewinne i szczere, więc zdobywa się na błądy uśmiech. Pawłowicz wybucha rubasznym, chamskim śmiechem, Janek mu wtóruje i nawet Dorcia uśmiecha się pod nosem. Albina ma na sobie suknię odsłaniającą nalanę, piegowate, zaczerwienione ramiona i pomarszczony, zwiędły dekol. Krzykliwy, żółtozielonkawy odcięć tkaniny, odpowiedni dla osoby w zdecydowanie młodszym wieku, groteskowo podkreśla jej tuszę. Uwaga Iry jest wyjątkowo jadowita i bezczelna; robi mi się żal Koryckiej. Zauważyłam, że Ira potrafi serwować finfy w tak bezpośredni sposób, że większość jej ofiar przyjmuje je jako zawołany komplement. To, co powiedziała przed chwilą, jest zbyt napastliwe, by dało się obrócić w żart.

Jesteśmy my i oni. Ja, Ira, Janek i Dorcia kontra Albina, Judesa i Pawłowicz. Milczący Adam, który prawie nigdy nie odrywa wzroku od stołu, pełni funkcję neutralnego świadka. Judesa chowa się za coraz większymi porcjami, które nakłada na swoje talerze. Pawłowicz udaje zamyślenie. Najbardziej bezbronna okazała się Albina, zupełnie nieporadna w słownych potyczkach i nieprzyzwyczajona do sytuacji, w których staje się celem ataków. Kiedy się one zaczęły? Nie dostrzegłam tego momentu, ale ten na pewno nie jest pierwszy.

Dekolt, ramiona i twarz Koryckiej pokrywają się szkarłatnym rumieńcem, a w jej oczach stają łzy.

– Myślałem o tym, o czym mówiłaś – odzywa się Janek, litościwie odwracając uwagę stołowników od Albiny; spoglądam na niego z wdzięcznością.

– To znaczy? – pyta Ira. – Mówiłam bardzo dużo rzeczy. Właściwie mówię bez chwili przerwy, to jedna z moich licznych wad.

– O eugenicie – wyjaśnia Janek.

– Ach, tak, o tym. I cóż?

– Koncepcja jest słuszna i trudno się z nią nie zgodzić. Jednak niepokoi mnie to, kto miałby nią sterować.

– Nie bardzo rozumiem.

– Jeżeli jej stosowanie miałoby się stać obowiązującą normą we współczesnym społeczeństwie, a przynajmniej w cywilizowanej jego części, ktoś musiałby ustalić jej zasady, bo miałaby szanse powodzenia wyłącznie wtedy, gdyby wprowadzona została przez wszystkie narody.

– Oczywiście.

– Nie mogłoby to odbywać się tak, że na przykład Francja sterylizowałaby głuchoniemych, a Anglia nie. Lub też Włosi izolowałiby dzieci z wodogłowiem, natomiast Austriacy wybraliby ich eutanazję. Granice państw nie są szczelne, materiał genetyczny zatem mieszałby się nadal i wyeliminowanie patologii nie byłoby możliwe.

– Nie byłoby – kiwa głową Ira.

– Ktoś zatem musiałby opracować ogólnie obowiązujące zasady eugeniki, ale jak wybrać tego kogoś? Kto miałby to być? Kwestia jest niesłychanie delikatna, wymagająca najwyższego wycucia etyki i moralności. Nie aprobuje jej papież, więc Kościół nigdy się nią nie zajmie. Czy zatem winna powstać jakaś międzynarodowa komisja eugeniczna złożona z lekarzy i etyków po-

chodzących ze wszystkich państw europejskich? A co z Azją? Nie wyobrażam też sobie, żeby bolszewicy przystali do podobnej organizacji, to samo zapewne tyczy się Amerykanów. Kto więc miałby się tym zająć?

– Międzynarodowa komisja to utopijny pomysł – stwierdza Ira. – Fundamentalne i bezwzględnie obowiązujące zasady eugeniki powinien stworzyć jeden naród, a potem narzucić je reszcie świata na drodze negocjacji dyplomatycznych. Gdyby nie przyniosły one spodziewanego rezultatu – choćby i siłą.

– Pytanie tylko, który naród...

– Ten, który światu ofiarował największą liczbę geniuszy. Filozofów, naukowców, lekarzy, wybitnych poetów, pisarzy i kompozytorów, bez których świat dzisiejszy nie osiągnąłby tego stopnia rozwoju, jaki możemy obserwować. Siłą rzeczy więc będzie to naród z naszego kontynentu.

– Lecz który? – pyta Janek.

– Kopernik był Polakiem – odzywa się milcząca dotąd Dorcia.

– O, tak. Dziękujemy Bogu, że mieliśmy Kopernika. – Ira uśmiecha się do niej promiennie.

*

Zgodnie z obietnicą Dreslera po kilku dniach ujemne skutki kuracji ustają całkowicie. Stopniowo opuszcza mnie też to dziwne, choć błogie poniekąd, poczucie oddzielenia od rzeczywistości. Nie znika jednak całkowicie. Wciąż patrzę na świat niczym przez szybę, jednak nie mam już wrażenia, że zostałam nią odgradzona, lecz raczej, że to świat właśnie znalazł się pod szkłem. W dodatku powiększającym. Zauważam znacznie więcej detali w moim otoczeniu, a wydarzenia rozgrywają się w wolniejszym tempie, choć to chyba niewłaściwe sformułowanie – jest raczej tak, jakbym miała więcej czasu, by móc je analizować. Dostrzegam drobiazgi, które dotąd mi umykały – kształt deszczówek dębowej mozaiki na podłodze kawiarni, formy przedmiotów, subtelne różnice w odcieniach kolorów, barwę oczu mijanych na korytarzu pensjonariuszy, skazy i znamiona na twarzach czy dłoniach, a wreszcie – gesty. Te pozornie nic nieznaczące, charakterystyczne dla każdego i u każdego odmienne, niczym układ linii papilarnych, zwyczajne zachowania – sposób, w jaki nosimy głowę, w jaki układamy ręce, w jaki poruszamy ramionami, w jaki stawiamy stopy, w jaki nasze ciała reagują na obecność innych. Stają się one dla mnie nie tylko zauważalne, ale i czytelne. Dowiaduję się z nich niemal wszystkiego o tych ludziach. Czy naprawdę tylko tak mi się zdaje? Nie, ja rzeczywiście to wiem.

Na przykład szczupła, przedwcześnie posiwiła kobieta z pokoju numer 8 na parterze, ta, która nosi wyłącznie czerń – choć nie znam jej nazwiska, wiem, że została skrzywdzona przez mężczyznę, a co więcej, była przez niego krzywdzona latami i wybawienie przyniosła jej dopiero choroba, która umożliwiła ucieczkę do Sanato. Widzę to w spojrzeniu, jakim obrzuca każdego mijanego pensjonariusza, odczytuję z drgnięcia brwi, z zaciśniętego nagle w mimowolnym skurczu kącika ust. Mówi mi o tym drobne pochylenie ramion i sposób, w jaki skłania głowę, a nawet konstelacja zmarszczek na twarzy.

Natomiast jej sąsiad zza ściany – drobny, chuderlawy Hubert Karpaczyński, mecenas, który zasłynął wieloma wygrnymi w arcytrudnych, głośnych procesach – marzy o tym, aby mimo dojrzałego wieku i wysokiej pozycji kobiety traktowały go jak dziecko. Odgaduję to ze sposobu, w jaki ustawia stopy obute w starannie wyglansowane trzewiki, siadając przy stoliku w kawiarni, w jaki trzyma filiżankę i w jaki ukradkiem przypatruje się siedzącym w pobliżu towarzyszkom, a jego wzrok zasnuwa się mgiełką, gdy obiekt obserwacji jest starszy od niego o dekadę lub nawet dwie. Wiem, że mimo wystudiowanej miny i uniesionych w dumnym grymasie brwi pragnie, aby go poniżano, aby kobieta – postawna, zażywna, obdarzona siłą – przełożyła

go przez kolano i szorstką, czerwoną dłonią spuściła mu solidne manto bezpośrednio na nagie, wypięte pośladki. Ciężki żal, który dostrzegam w jego oczach, podpowiada mi jednak, że te fantazje nigdy się nie ziściły, a co więcej – że nigdy się nie ziszcza, bo zakuty po zęby w żelazny gorset konwenansów mecenas nigdy sobie na coś podobnego nie pozwoli.

Małżeństwo z drugiego piętra (*jedyne oprócz nas w Sanato*), starsza para o wyjątkowo nobliwym wyglądzie, ma na sumieniu długą listę zawstydzających igraszek, do których przez wiele lat zaangażowanych zostało – bardziej lub mniej dobrowolnie – kilkanaście służących. Widzę to, gdy lustrują wzrokiem pokojówki, a potem wymieniają między sobą spojrzenia, mówi mi o tym nawet drobny gest kobiety, która dotyka dłoni męża i lekkim ruchem głowy wskazuje mu zadartą florezę spódnicy jednej z pielęgniarek.

Skrywane głęboko sekrety i utajone pragnienia tych ludzi odsłaniają się przede mną, nie wywołując ani ekscytacji, ani nadmiernej ciekawości, ani nawet rozbawienia, lecz jedynie rodzaj zabarwionej smutkiem sympatii – być może zmaconej kroplą pogardy. Nie odczuwam potrzeby opowiadania o ich sekretach. Wystarcza mi wiedza. Ona sprawia, że nabieram poczucia władzy, którą nie mam zamiaru z nikim się dzielić. Przypuszczam, że reszta z nas czuje podobnie, ale wyraz temu daje tylko Ira, od czasu do czasu wtykając zatrute jadem, nieomylnie celne szpilki w serca rozmówców spoza naszego grona lub też „odmalowując nam ich portrety kłopciami z błota i sadzy”, jak nazywała obmowy moja matka.

Gdy pewnego dnia Klitowicz odwiedza mnie w pokoju pod pozorem badania mojej odmy i upewnienia się, że jej dopełnienie nie jest jeszcze konieczne, obserwuję go ze zdumieniem. Jak mogłam tak mylnie ocenić tego człowieka? Nazywać starym satyrem? Gdy wchodzi, niemal natychmiast dociera do mnie, jaki jest prawdziwy motyw jego postępowania i powód okrucieństwa, którego doświadczyłam podczas zabiegu. Klituś rzeczywiście odczuł satysfakcję, gdy sprawił mi ból, jednak nie miała ona podłoża seksualnego. To była kara za coś, za co nie ponoszę najmniejszej winy – za to, że jestem kobietą, a także za to, że on nią nie jest. W ułamku sekundy staje się dla mnie jasne, które zalety Dreslera wywołały tak gorący entuzjazm Klitowicza, i wiem, że wśród nich zasługi medyczne odgrywały najmniej istotną rolę. Dowiaduję się też, jakie wizje stają przed tymi bladymi, zażawionymi oczami, gdy zapada noc, a Klitowicz układa swoje tłuste, pozbawione cienia gracji ciało na pustym, zimnym materacu. Gdyby nie budził we mnie obrzydzenia, pewnie nawet bym go pożałowała.

Widzę, że umiera z pragnienia, by się dowiedzieć, co robi z nami Dresler, na czym polega jego terapia, co dzieje się ze mną. Jednak przede wszystkim liczy na to, że będę opowiadała o mężczyźnie, a nie o lekarzu. Właściwie nie ma powodu, aby nie dostarczył mu odrobiny niezadowolonych emocji.

– I jakie odczuwa pani efekty terapii? – pyta, kiedy zakrywam szlafrokiem nagie plecy, gdy kończy wsłuchiwać się w szmery wydawane przez moje płuco. – Nie pojawiły się jakieś problemy? Słyszałem od pielęgniarek, że pierwsza reakcja na leczenie była raczej drastyczna.

– Och, nieznacznie. I bardzo szybko ustąpiła – odpowiadam. – Chyba jeszcze zbyt wcześnie, żeby mówić o efektach, choć już mogę stwierdzić, że pewne aspekty zabiegów są... Jak by to ująć... Bardzo miłe.

– Miłe? – Klituś strzyże uchem. – Co to znaczy miłe?

– Trochę niezręcznie mi o tym mówić – zniżam głos i uśmiechając się z zażenowaniem, dodaję: – Wie pan, ja jestem mężatką.

– Ale cóż... Cóż z tego? – Klitowicz wysila się na dobrotliwy ton. – Przecież ja jestem lekarzem, przy mnie nie należy się wstydić, można mówić o wszystkim. W ogóle przy lekarzu, z lekarzem... Przecież wszystko można!

Ale akurat w tym wypadku nie to, co automatycznie nasuwa się na myśl po usłyszeniu

podobnej deklaracji.

– Widzi pan... – kryguję się nieco. – Doktor Dresler jest niezwykle przystojnym mężczyzną. Nie uważa pan, panie doktorze, że jest wyjątkowo przystojny?

– Ja... Nie wiem, nie myślałem o tym. Zapewne, zapewne. Skoro pani tak sądzi, nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić.

– Tak myślałam, że się pan ze mną zgodzi – mówię szybko. – Otóż wie pan, podczas tych zabiegów...

– Tak? Tak? – Klitowicz wytrzeszcza oczy, spogląda znad okularów.

– Jesteśmy bardzo blisko.

– Blisko?

– Tak. Bardzo blisko.

– Ale, czy sugeruje pani, że... Blisko? – Klituś szybko oblizuje językiem wyschnięte wargi. – Czy może nazbyt... blisko?

– Kiedy mnie dotyka...

– Dotyka?

– Tak. Jego dotyk wywołuje we mnie mrowienie. O, tutaj – wskazuję szyję za uszami.

– Ale jak dotyka? Czym dotyka?

– A podczas penetracji...

– Pe-pe-penetracji?!

– No, podczas zastrzyku staje tuż obok. Właściwie przyciska swoje ciało do mojego, a to dostarcza mi całej gamy zaskakujących sensacji. Czy wie pan, o czym mówię?

– Nie wydaje mi się, abym wiedział. – Klituś wyciąga z kieszeni kitla lekarskiego kraciastą chustkę i ociera czoło nerwowym ruchem.

– Napiera na mnie biodrami...

– Biodrami? – słabnącym głosem powtarza Klitowicz.

– Zgadza się. Biodrami. To bardzo przyjemne, nie przeczę, ale też niepokojące. Jak pan myśli, panie doktorze, dlaczego on tak postępuje?

– Nie mam pojęcia.

– Właśnie. Ja też nie wiedziałam. Wpadłam jednak na pomysł, że może to jest jego metoda, wie pan. Żeby nie myślała o bólu, no, żeby rozproszyć moją uwagę. Dzięki panu przecież wiem, że podobne postępowanie leży w zwyczaju lekarzy.

– Aha – sapie Klituś, a jego twarz się czerwieni.

– Zapytałam go więc o to.

– Zapytała pani... Ale o co?

– No, czy jest to taka sama metoda jak ta, którą pan się posługuje.

– Co to znaczy? Czy to znaczy, że powiedziała pani, że ja... Że podczas zabiegu ja...

– Uśmiechnął się tylko – ciągnę, ignorując jego pytania. – Zauważył pan, jaki on ma zniewalający uśmiech? No więc doszłam ostatecznie do wniosku, że miałam rację. To jest jego metoda.

– Ale chyba nie powiedziała mu pani...

– Przecież lekarzowi można powiedzieć wszystko? – Spoglądam na niego z udawanym zaskoczeniem. – A on jest lekarzem.

Klituś posapuje, gapi się na mnie z niemądrze otwartymi ustami.

– Muszę panu jednak powiedzieć, że jego metoda jest bardziej skuteczna – odzywam się po krótkiej chwili niewinnym tonem. – Może powinien pan ją podpatrzeć. Czy w pana przypadku okazałaby się równie pomyślna, nie potrafię osądzić. A pan jak uważa?

Lekarz mruczy coś niezrozumiale, rumieniec na jego twarzy jest prawie purpurowy.

– Ale nie będę się nad tym zastanawiała. Po cóż ja w ogóle tyle myślę? Jeszcze od tego zgorzknieję – kończę wesoło, wstaję i energicznym ruchem związuję pasek szlafroka.

ROZDZIAŁ X ECHA

Czwartek, 29 października 1931 roku

Wczesny ranek po godzinie 8-ej może nam przynieść zbyt dużą pobudliwość, drażliwość lub spotęgowanie się impulsywności, co później ustąpi, nie wywołując zresztą większych niepokojów.

Potem, w miarę wznoszenia się słońca ku zenitowi, sytuacja będzie się wypogadzać. Koło godziny 14-tej możemy być wystawieni na działanie wpływów dysharmonijnych, które chociaż nie będą wykazywały zbyt silnego napięcia, mogą dać nam powody do niezadowolenia.

Godziny poobiednie obiecują znaczne spotęgowanie się aktywności umysłowej połączone z zainteresowaniem rzeczami niezwyklej oraz dążeniem do samodzielności i oryginalności, lepiej jednak zachować pewną ostrożność, aby niepotrzebnie nie przysporzyć sobie niepowodzeń lub wrogów, tem bardziej że i te godziny niosą działanie ujemnych sił kosmicznych.

Wieczór dzisiejszy nadaje się do poczynań ryzykownych, wpływy kosmiczne obiecują wzmożoną ruchliwość towarzyską, przygody i zabawę, która jednak okazać może się zwodniczą, należy zatem zachować pewną czujność.

W dniu dzisiejszym wystrzegać się należy: świec, przeciągów, dusznych zakamarków, dawania posłuchu plotkom, zjaw, barwy szarej, potraw pikantnych, z kruszców – srebra, a z kamieni – szmaragdów.

Piąta trzydzieści. Piętnaście minut wcześniej niż poprzedniej nocy, znowu. Odwracam się na wznak i spoglądam w sufit. Rozmydlone, ledwo uchwytnie cienie przesuwają się po nim niczym mgła nad wrzosowiskiem. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że to jedynie cień firan poruszanych powiewem wpadającego przez uchylone okno zimnego powietrza. Każdy mój oddech zmienia się w mgiełkę – w pokoju musi być bardzo zimno, lecz wcale nie czuję chłodu.

Nie ma sensu, abym leżała dłużej – i tak już nie zasnę. Od paru tygodni sypiam coraz krócej. Tej nocy położyłam się koło trzeciej, spałam więc zaledwie dwie i pół godziny. A jednak nie czuję zmęczenia, mam wrażenie, jakbym nie opuszczała łóżka od dwóch dni. Pieką mnie jedynie oczy, znowu będę miała przez cały dzień zaczerwienione powieki. W ostatnich dniach wszyscy mamy zaczerwienione oczy. Poza tym drobiazgiem czuję się jednak znakomicie. Lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

Na zdjęciach rentgenowskich wokół ognisk choroby w płucach każdego z nas uformowały się nieregularne bańki – na kliszach te puste, białe plamy odcinają się wyraźnie od sąsiednich tkanek. Nie wiadomo, co skrywa się w ich wnętrzach. Jedynie w przypadku młodego brata Nel sytuacja przedstawia się inaczej. Jego gruźlica ma postać serowatą, zaatakowane nią równomiernie płuca przypominają gnijącą gąbkę. Z fotografii rentgenowskiej Sebastiana wynika, że złoto rozsiało się w jego klatce piersiowej niczym gwiazdy na nocnym niebie, zbijając się w dziesiątki, może nawet setki drobniejszych i większych grudek, tworząc całe ich konstelacje. Dresler jest tym zafascynowany – choć niewiele mówi na ten temat, my przecież nie potrzebujemy słów, żeby wiedzieć. Wystarczy obserwować wyraz jego twarzy, gdy ukradkiem przygląda się Sebastianowi.

Jednakże w eksperymencie bierze udział dziewięć „obiektów”, więc ten wyjątek nie wpływa na ogólną ocenę sytuacji – kuracja przebiega pomyślnie. Ciekawa jestem, co dzieje się

wewnątrz złotego pęcherza w moim ciele. Czy grzyb obumiera w nim, czy może przeciwnie – wzrasta bez przeszkód niczym orchidea w bezpiecznym azylu inspektów? A może te złote enkawy nie są więzieniem dla prątków, lecz inkubatorami, w których rozwija się coś nowego, innego, groźniejszego i znacznie bardziej drapieżnego niż zabijająca nas gruźlica? Co, jeśli za kilka dni, tygodni czy miesięcy nieprzejrzyste otoki pękną niczym skorupki jajek rozbijanych od wewnątrz przez próbujące wydostać się na świat pisklęta, a to, co w nich dojrzało, uwolni się i przystąpi do ataku? Dziwaczna myśl. Dresler stanowczo utrzymuje, że choroba przestała się w nas rozwijać – trudno to stwierdzić, należałoby otworzyć któreś z ciał i się przekonać. Na razie brakuje chętnych, wierzymy mu więc na słowo.

Wszyscy mamy bardzo wysoką gorączkę, która przed wieczorem osiąga apogeum, a w nocy nieco opada. Ten stan nie wpływa jednak ujemnie na nasze siły życiowe. Dresler przejęty jest tym niezwykłym zjawiskiem. Pomimo wysokiej temperatury funkcjonujemy lepiej niż kiedykolwiek. Każde z nas ma apetyt, nie odczuwamy zmęczenia, znakomicie kojarzymy fakty i klarownie myślimy. Preparat najwyraźniej aktywuje i przyspiesza metabolizm – tak twierdzi Dresler – a to z pewnością wyeliminuje prątki, bo z takim ogniem zagrzewane do boju nasze zdrowe komórki niechybnie pokonają wroga.

Są jednak też inne niecodzienne objawy (*stany*), których doświadczamy, lecz o nich żadne z nas mu nie mówi – nie ze złej woli. Po prostu trudno je nazwać i jasno wyłożyć ich istotę.

Nasze postrzeganie zmienia się z każdym dniem, rozszerza się bezustannie, odsłaniając przed nami stopniowo rzeczy dotąd ukryte, niedostrzegalne, wręcz takie, które wcześniej zaliczyłabym do metafizycznych nonsensów. Zdaniem Iry jednak to percepcja jest wyznacznikiem rzeczywistości, ona ją określa i tworzy. Świat realny wcale nie jest jeden, stały i niezmienny – dzięki chryzoterapii wnosimy się na doskonalszy poziom postrzegania go. Ja miewam jednak pewne wątpliwości. Niewykluczone, że po prostu popadamy w obłąd – aczkolwiek podejrzenie to dyktują mi tylko logika, rozsądek i rozum, z pewnością nie instynkt.

Adam śpi na swoim łóżku, jak zwykle odwrócony twarzą do ściany – nie słyszę jego oddechu, ale gdy przyglądam się uważnie, widzę obłoczki pary unoszące się nad jego poduszką. Oddalamy się coraz bardziej, ja idę do przodu, on tkwi w miejscu. Najbardziej jednak zastanawia mnie to, że niczego nie czuję w związku z tą sytuacją. Odwrotnością miłości nie jest wcale, jak zwykło się przyjmować, nienawiść, lecz obojętność. On chyba staje mi się obojętny. Martwię się więc, że przestaję go kochać.

Odrzucam koldrę, wstaję i zamykam uchylone okno. Nadal nie czuję zimna. Przez chwilę obserwuję czarny masyw gór, od których odgradza mnie cienka szyba. Z każdym dniem wydaje mi się coraz mniej przerażający i złowroźny. Niebawem będę silniejsza od tych gór i przestanę się ich bać, choć zapewne nie wyzbędę się respektu.

– Cicho bądź. – Szept za mną jest ledwie słyszalny, można by go uznać za nieistotne, nieoczekiwane poruszenie powietrza.

Uświadamiam sobie, że dosłyszałam go z kilkusekundowym opóźnieniem. Odwracam się powoli. Pokój jest pusty. Adam śpi.

– Adam? – pytam.

Westchnienie. A może wydawało mi się tylko? Nie, na pewno nie. Podchodzę do jego łóżka, nachylam się. Śpi.

– Cicho...

– Kto to? – pytam półgłosem, na pozór spokojnie, choć jestem trochę...

Trochę jaka? Przestraszona? Zaniepokojona? Powiedział abym raczej – zaintrygowana. W ostatnich dniach napotkałam już sporo nietypowych zjawisk: rozedrgany, brązowy cień tkwiący na środku głównego holu niczym mglista kolumna; zielonkawą, ledwie dostrzegalną

świetlistą lunę nad krzewami bukszpanu w ogrodzie; mroczną, trójwymiarową plamę, przypominającą kształtem klęczącego człowieka, zawieszoną nad posadzką korytarza wiodącego do sanatoryjnej kaplicy i wreszcie niewyraźny, odcisnięty w tynku zarys nieistniejących, masywnych drzwi w ścianie jadalni. Żadne z tych zjawisk nie wzbudziło mojego lęku, lecz jedynie zainteresowanie.

Sięgam po szlafrok wiszący na oparciu krzesła, zakładam go i bezszelestnie przechodzę na środek pokoju. Staję nieruchomo, wsłuchuję się w ciszę. Noc jest bezksiężycowa, zachmurzone niebo nie przepuszcza światła gwiazd, a jednak w ciemności rozróżniam kształty sprzętów. Może nie dokładnie, lecz na tyle wyraźnie, by się zorientować, gdzie stoją. Przez długą chwilę nic się nie dzieje, gdy nagle wyraźnie słyszę skrzypnięcie. Nisko, przy podłodze. Klepki parkietu? Prawdopodobnie. Dźwięk dobiegł zza zasłony oddzielającej kąpiel umywalni. Adam nie odsunął jej wieczorem do końca, a może to ja zostawiłam kotarę w tym położeniu? Ktoś zakradł się do pokoju i obserwował nas podczas snu, a gdy zobaczył, że nie śpię, ukrył się za zasłoną.

– Ira, wiem, że tam jesteś – mówię półgłosem. – Co ty wyprawiasz?

Cisza. A potem kolejne westchnienie. Zaczynam się czuć trochę nieswojo. Podchodzę do stolika między fotelami i naciskam włącznik lampy. Żarówka rozjaśnia się natychmiast i równie szybko gaśnie przy wtórze trzasku przepalonego żarnika. Mrugam oślepią jaskrawym światłem, jakbym spojrzała na błyskawicę.

Za zasłoną rozlega się szmer, słychać szuranie przesuwanej po podłodze stopy. Mam dosyć. Zdecydowanym krokiem podchodzę do kotary i odgarniam ją gwałtownym ruchem. Nie ma nikogo. Przez moment wpatruję się ze zdumieniem w pusty, ciemny kąt, wreszcie sięgam do kontaktu przy lustrze i włączam światło zamontowane na ścianie. Żarówka błyska i przepala się natychmiast. Odłamany drucik obija się o wnętrze szklanej bańki z cichym brzęknięciem. Podłoga przede mną trzeszczy znowu, wyraźnie słyszę, jak coś (*ktoś*) sunie po dębowych klepkach. Ktoś (coś), kto dla żartu lub w niecnym zamiarach skrada się w mroku na czworakach... Kucam i zaglądam pod umywalkę. Choć jest ciemno, wyraźnie widzę jaśniejący na podłodze fragment białej tkaniny – rąbek sukienki czy może halki. Materiał leży tuż przy ścianie. Wyciągam rękę, ale strzępek ubrania w tym samym momencie porusza się i odsuwa o kilka centymetrów wzdłuż listwy przypodłogowej.

– Dosyć tego – mówię.

Wstaję i podchodzę do włącznika głównego światła. Przekręcam czarne bakelitowe skrzydelko – cztery żarówki żyrandola przepalają się natychmiast z suchym trzaskiem. Rozbłysk trwa ułamek sekundy i jest jasny niczym wybuch magnezji w lampie używanej przez fotografa podczas zdejmowania sceny w ciemnym wnętrzu. Mrugam kilkakrotnie i przypominam sobie o zapalkach schowanych w szufladzie komody. Wyjmuję je i z pudełkiem w ręku wracam do umywalki. Pocieram zapalkę o draskę i przykłam, trzymając płomyk nad głową.

Ubranie – teraz pewna jestem, że to kremowa fildekosowa halka obrębiona tanią, maszynową torsadą imitującą koronkę – nie leży wcale luzem na podłodze. Wystaje spod dębowej szerokiej listwy maskującej krawędź parkietu przy ścianie. Być może po prostu materiał został pod nią przypadkowo wsunięty, może podczas sprzątania... Płomyk dociera do moich palców, posylokuję z bólu. Rzucam wypaloną zapalkę do umywalki, wyjmuję z pudełka następną. To nie moja halka, nigdy nie kupiłabym równie tandetnej bielizny.

Wyciągam rękę, próbując uchwycić skraj materiału. Gdy dotykam go czubkami palców, natychmiast umyka spod mojej ręki i znika pod drewnianym cokołem. Przestraszona cofam gwałtownie rękę i niemal tracę równowagę. Pod tynkiem, w ścianie coś przesuwa się z wysiłkiem, znowu słyszę zduszone westchnienie.

– Kto to? – pytam głośno.

Cisza.

– Dosyć tego! – mówię.

Wstaję, otwieram drzwi i wychodzę na korytarz. Ktoś najwyraźniej postanowił zabawić się moim kosztem. Nie mam pojęcia, jak to robią, być może w ścianie jest zamaskowana wnęka i Ira albo ktoś inny dostał się do niej, by... Oświetlony przyćmionymi lampami korytarz jest pusty. Przyglądam się boazerii, lecz nie widzę w niej żadnej szczeliny, żadnych ukrytych drzwiczek. Ale może... Kucam i przykładam ucho do drewna. Pod boazerią coś trzeszczy. Wstrzymuję oddech.

– Bądź cicho – odzywa się ktoś szeptem.

Nie potrafię określić, czy głos należy do kobiety, czy do mężczyzny. Dostaję gęsiej skórki na ramionach i czuję, jak jeżą mi się włosy na karku. Nawet jeśli w tej ścianie jest wnęka, nikt nie zdołałby się w niej schować, bo jej głębokość nie przekroczyłaby dwudziestu centymetrów. Odsuwam ucho od boazerii, przeciągam po niej dłonią, a potem trzykrotnie pukam delikatnie w drewno. Przykładam znowu ucho do płyciny.

– Słyszę cię – mówię. – Kim jesteś?

Cisza. Choć mogłabym przysiąc, że zza desek dobiega moich uszu pospieszny, tłumiony oddech.

– Słyszę... – mówię, ale nie kończę, bo nagle coś z ogłuszającym łoskotem uderza w boazerię od wewnętrznej strony.

Deski pękają, na podłogę spadają drobne kawałki kitu, którym uszczelnione były spoje-
nia, sypią się przezroczyste płatki odbitego lakieru. Krzyczę z przestachu, bo mam wrażenie, że ściana wali się na moją głowę. W obronnym geście odruchowo zasłaniam się ramieniem, tracę równowagę i upadam na chodnik wyścielający korytarz.

Zapada cisza. Oddycham głośno, przełykam raz za razem ślinę, ale nic z tego. Kolejny oddech zatrzymuje się w mojej tchawicy zablokowanej czymś, co wydostało się z mojego płuca. Nie mogę złapać tchu. Odwracam się na kolana i zanoszę mokrym, bulgoczącym kaszlem. Łzy ciekną mi z oczu, nie mogę zapanować nad skurczami przepony. Pochylam głowę i czuję, że usta wypełnia mi śluz. W gwałtownym skurczu wypycham wreszcie z tchawicy dławiącą mnie pacynę krwi i wypluwam na chodnik brązowawy, galaretowaty skrżep. Chwytam powietrze potężnymi haustami, pot kapie mi z czoła. Osłabiona siadam na podłodze, a gdy się odsuwam, światło wiszącej pod sufitem lampy pada na mokrą plamę powoli wsiąkającego w chodnik szlamu. Marszczę brwi, przechylam głowę i przyglądam się uważnie krwawemu zaciekowi. Trochę z boku, oblepiona włóknami rozszarpanej tkanki leży połyskująca metalicznie grudka. Wygląda jak wyplukana z zęba plomba. Dwoma palcami podnoszę ją ostrożnie z dywanu. Rozpada się na kilka cieniutkich złotych płatków, niczym okruch francuskiego ciasta. Rozcieram je na skórze i przyglądam się nikłemu, opalizującemu śladowi, który pozostawiają. Wygląda jak pył ze skrzydła émy.

– Najlepsze jeszcze przede mną – mówię do siebie ochryplym głosem.

Ocieram palce o dywan, podnoszę się i wracam do pokoju.

*

– Urządzam dziś przyjęcie – oznajmia Ira, gdy po zastrzykach wychodzimy na werandę i układamy się na leżakach. – Przyjdziesz oczywiście.

– O której? – pytam.

– Jak zwykle. Przed dwunastą – odpowiada i rozluźnia szal. – Okropnie gorąco.

Owszem, też je odczuwam. Ale jesteśmy najwyraźniej odosobnione, bo inni pensjonariusze leżą zawinięci w pledy, futra, szale bądź fiszutki po czubki głów. Rankiem, gdy się rozwid-

niło, widziałam, że w ogrodzie szron odcinał się wyraźną srebrzystą bielą od zbrązowiałej trawy. Może są dwa stopnie powyżej zera, nie więcej.

– Teraz, gdy zacznie sypać, śnieg już nie roztopi się aż do wiosny – stwierdzam.

– Tak. – Ira odchyła głowę na oparcie i przymyka oczy. – Zasypie nas całkiem i odetnie od świata do reszty.

– I tak jesteście odcięci – wzruszam ramionami. – Zauważyłaś, że najświeższe gazety wykładane w kawiarni są sprzed dwóch tygodni?

– I cóż z tego? Wierz mi, nigdzie na świecie nie dzieje się teraz nic ciekawszego od tego, co dzieje się tutaj. Chyba zostaną na święta.

– My też – kiwam głową. – Właściwie i tak nie mielibyśmy dokąd jechać. Nasze mieszkanie jest wynajęte, majątek w Otwocku wydzierzawiony. Moi rodzice nie żyją, matka Adama wyjechała do Włoch. Co za różnica, czy wynajmiemy pokój w hotelu w Krakowie albo w Warszawie, czy zostaniemy tutaj? I tak nie ubierzemy choinki. Ale w Sanato robi się pusto. Większość pensjonariuszy wyjedzie, na straży zostaną góra dwie pielęgniarki. I Klitowicz oczywiście.

– Ach, tak, on. Zabawny zgręza – uśmiecha się Ira. – Wiesz, nie?

– Co wiem?

– Jaki z niego zabawny zgręza.

– Wiem.

– No, właśnie. Ale on nie będzie jedynym lekarzem, który nie wyjedzie. Matys też zostaje, podejrzewam, że zmusi do tego także resztę numerów, bo boi się przerwać kurację nawet na parę dni. Cieszę się z tego właściwie, choć dotąd zawsze spędzałam Gwiazdkę w Poznaniu. Moja rodzina wciąż zajmuje ten sam dom, w którym się wychowałam, jednak teraz czuję się tam bardziej obco niż w sanatorium, dziwne uczu... – Ira milknie na chwilę i nagle zrywa się z leżaka.

– Ira?

– Co ja ci mówiłam, głupku?! – odzywa się gniewnym tonem.

Rozglądam się zdumiona. Przy barierce stoi chłopak kucharki. Wbił głowę w zgarbione ramiona, z przerażeniem wpatruje się tymi swoimi skośnymi, szklistymi ślepkami w Irę. Na deskach werandy wokół jego stóp leżą rozrzucone brezentowe pokrowce na parasole. Sflaczałe i skłębione wyglądają jak sterta wężowych wylinek.

– Zjeżdżaj stąd, ale już! – wydziera się Ira. – Zakazałam ci pokazywać się tu za dnia!

Wśród wypoczywających podnosi się wrzawa, drewniane leżaki trzeszczą zgodnie, słychać ożywione głosy. Niektórzy są oburzeni, ale większość potakuje: słusznie, słusznie, racja. Brawo.

– Przestań – odzywam się cicho.

– Won! – Ira wyciąga rękę władczy gestem.

Ta zabawnie nadęta poza wywiera na chłopaku piorunujące wrażenie. (*Mój*) Porcelanowy Chińczyk w popłochu pochyla się, zagarnia (*szerokimi jak łopaty*) rękami rozsypane pokrowce. W ułamku sekundy jego okrągła twarz spływa łzami, a z czubka płaskiego nosa zwisa drżąca kropla smarków. Robi mi się niedobrze, odwracam oczy.

– Ira, daj spokój – odzywam się półgłosem.

– Co daj spokój? – Ira gromi mnie wrokiem. – TY mówisz, żebyś dała spokój? Ty?!

Odwraca się do chłopaka kucharki i krzyczy strasznym głosem:

– Spieprzaj stąd! Ale już!

Pokrowce znowu sypią się na podłogę, deski dudnią w rytm powolnego, ociężałego tupotu. Porcelanowy Chińczyk znika. Kilkoro pensjonariuszy podnosi się z leżaków i ostentacyjnie opuszcza werandę. Inni ponownie opatulają się szczelnie pledami.

– Trzeba wreszcie zrobić z tym porządek – stwierdza wciąż trzęsąca się z wściekłości Ira i opada na leżak.

Zasłaniam twarz podniesionym kołnierzem futra, udaję, że zasypiam. Zapada cisza. Jakiś ptak w lesie krzyczy przenikliwie, dzięcioł uderza w pień sosny nieopodal. Gdzieś daleko, daleko szczeka pies. Kołnierz futra nieprzyjemnie wilgotnieje od mojego oddechu, odchylam go i patrzę w stronę wejścia na puste molo.

Przy barierce stoi kobieta. Z pewnością nie ma jeszcze czterdziestu lat. Brązowe, ciasno związane na karku włosy poprzetykane są co prawda pasmami siwizny, lecz jej twarz wciąż pozostała gładka. Regularne, delikatne rysy, ciemne, podkrążone ze zmęczenia migdałowe oczy. Nadal jest przystojna, a z pewnością jeszcze niedawno była piękna. Szczupłe ramiona drżą, pierś wznosi się i opada w rytm przyspieszonego oddechu. Policzki ma blade jak wosk, przestraszone, gniewne oczy. W pierwszej sekundzie biorę ją za jedną z mieszkańek sanatorium, ale przecież żadna z nich nie założyłaby tak siermiężnej, burej sukienki z taniej wełny. I żadna nie przepasałaby się upstrzonym plamami tłuszczu fartuchem. Czerwone, spracowane palce splecione na podolku w geście determinacji dopowiadają resztę. To kucharka.

– No i? – odzywa się zaczepnym, mocnym tonem Ira.

Zauważyła ją wcześniej ode mnie. Przygląda się kucharce rozbawionym, ale czujnym spojrzeniem. Daj mi pretekst. Tylko daj mi pretekst...

Kobieta gapi się zahipnotyzowanym wzrokiem. Jak owca na widok spadającego na nią orła. Posiniałe, zaskakująco ładnie wykrojone usta drżą. – Boże, tylko nic nie mów – myślę, nie mogąc oderwać zafascynowanego spojrzenia od tej kobiety. To samo musiały odczuwać Rzymianki zajmujące ławy na trybunach otaczających areny, na które wypędzano pierwszych chrześcijan, gdy kraty blokujące lwom dostęp do nich unosiły się wolno z przenikliwym zgrzytaniem. Muszę patrzeć, choć doskonale wiem, że potem będę tego żałowała.

– No?! – powtarza głośniejszym tonem Ira.

Powolnym gestem odgarnia pled, szykuje się do ataku. Ludzie wokół nas przyglądają się scenie bez słowa, powietrze gęstnieje.

Nagle kucharka słabnie. Gniew znika, wyparowuje. Matka porcelanowego Chińczyka pochyla głowę, kurczy się, wiotczeje. Szczupłe palce pokryte posiekaną, czerwoną, stwardniałą skórą rozplatają się, ręce bezwładnie opadają. Kobieta przyklęka, zgarnia pokrowce, a następnie wstaje powoli i odchodzi.

Ira uśmiecha się z triumfem, znowu podciąga koc. Wypuszczam wstrzymywany oddech.

Dzięcioł stuka w pień sosny, odgłos wraca echem odbity od zbrocza.

– Ładna – mówi obojętnie Ira.

– Owszem. Nawet bardzo. – Zamykam oczy. – I jak to się ma do eugeniki? Materiał genetyczny zdaje się przecież bez skazy.

– Może połowicznie. Ale ktoś przecież musiał na nią wleźć, żeby TO spłodzić. Prawda?

*

Przyjęcie odbywa się w ścisłym gronie. Wyłącznie numery. Ja, Ira, Jaga, Amelia, Dorcia, Stan, Miet, Janek i Sebastian – od jedyńki do zera. Rozalia-Rojza nie została zaproszona, zresztą trzyma się na uboczu od początku eksperymentu. Dlaczego Dresler jej nie wybrał? Jest silna, ładna, majątna, a jej stan nie zalicza się do ciężkich. Pasowałaby do nas.

Rozglądam się z zaciekawieniem po pokoju Iry, jestem tu bowiem po raz pierwszy. Nie tyle jest to pokój, ile niewielki apartament – jeden z kilku zaledwie, które oferuje Sanato. Salonik połączony z obszerną alkową i własna, oddzielna łazienka. Z toaletą – prawdziwy luksus. Podwójne okna balkonowe wychodzą na wąski frontowy taras, z którego kilka drewnianych stop-

ni prowadzi na trawnik rozciągający się wzdłuż głównego podjazdu. Doskonale warunki – jak na sanatorium oczywiście.

Najbardziej zaskakuje mnie tu jednak liczba przedmiotów. Porcelanowe lalki usadzone na długim, niskim bufecie, książki, poduszki, którymi zarzucony jest tapczan, a nawet sute, aksamitne stopy w oknach z pewnością nie należą do wyposażenia. Ira musiała przywieźć je ze sobą, prawdopodobnie w skrzyniach, których wyładunek obserwowała Dorcia z okna palarni. Dopiero teraz w pełni dociera do mnie, że dla Iry rzeczywiście sanatoria stawały się prawdziwym domem, ale przecież nic w tym dziwnego, skoro przebywa w nich od dzieciństwa. Przeprowadza się z jednego do drugiego wraz z całym dobytkiem, podobnie jak ludzie zmieniający domy. Zastanawiam się, co zrobi, jeśli (gdy) wyzdrowieje – czy będzie się umiała przystosować do życia na zewnątrz, do realnego świata? Wątpię. Jednak perspektywa małżeństwa z Dreslerem odsuwa od niej to zagrożenie. Jeśli wszystko się powiedzie, nie będzie musiała opuszczać bezpiecznych sanatoryjnych murów przez długie lata. Być może nawet nigdy.

– O, masz gramofon! – wykrzykuje Jaga na widok połyskującej szelakową politurą, zaokrąglonej na kantach skrzynki ustawionej na skraju bufetu. – A gdzie płyty?

Ira otwiera drzwi szafki, unosi pokrywę gramofonu i po chwili z głośnika płyną pierwsze takty melodii. „Mood Indigo”. Być może jego lokatorka żyje poza światem, ale najwyraźniej pozostaje z nim w kontakcie – wiosną ta kompozycja była najpopularniejszym utworem granym na warszawskich dancngach. Nie przepadam za nią, bo historyczny fortepianowy wstęp działa mi na nerwy i budzi we mnie nieokreślony niepokój.

Dorcia siedzi osamotniona przy toalecie. Przyglądam się jej ukradkiem – gdy myśli, że nikt na nią nie patrzy, obserwuje roziskrzonym wzrokiem Sebastiana, który najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że stał się obiektem jej westchnień. Łatwe do przewidzenia i rozczarowująco banalne. Jak również i to niestety, że chłopak nie jest nią zainteresowany. Nie spuszcza oka z Iry.

– Pomyśl lepiej o kimś innym – mówię, przysiadając obok Dorci na szerokim, wyściełanym błękitnym jedwabim karle ustawionym przed lustrem.

– Słucham? – czerwieni się natychmiast. – Nie wiem, o czym mówisz.

– Przecież wiesz – wzruszam ramionami.

Dorcia wzdycha, spogląda na swoje ręce.

– Tak, teraz wszyscy wszystko wiedzą. Przynajmniej ci, którzy są w tym pokoju.

– Owszem.

– Myślisz, że stajemy się jasnowidzami? – pyta.

– Ależ skąd! – uśmiecham się rozbawiona jej pomysłem. – Po prostu wzrosła nasza przenikliwość, a może raczej intuicja.

– Hm, jeśli tak jest... – zastanawia się Dorcia, spoglądając znowu na Sebastiana – ...on wie. A skoro wie i nic z tym nie robi, to znaczy, że nic do mnie nie czuje.

– Bo ja wiem? Równie dobrze może to znaczyć, że na razie jeszcze nie spojrzał w twoim kierunku i niczego nie dostrzegł.

– Masz na myśli to, że płomyk świecy staje się niedostrzegalny na tle ogniska? – pyta Dorcia, zerkając na rękę.

– Nie nazwałabym cię płomykiem. – Obejmuję ramieniem jej szczupłe plecy. – Raczej iskrą. A z czasem ta iskra może się zmienić w bardzo jasny płomień.

– Ale nie w ognisko – z goryczą w głosie stwierdza Dorcia.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Ostatnio właśnie wiadomo, i to aż nazbyt dużo. Kiedy przyglądam się różnym osobom, dowiaduję się o nich rzeczy, których wcale nie chciałabym wiedzieć... Nie miałam pojęcia, że zakochanie jest tak wyczerpującym i nieprzyjemnym stanem ducha! W książkach prezentowane

jest zupełnie inaczej. Nie mam na nic ochoty, nic mnie nie bawi. Ani książki, ani muzyka czy rozmowy. W kółko myślę o nim, aż mnie to zaczyna złościć. To tak, jakby on okradł mnie ze mnie samej. Moje ciało – nogi, ręce, głowa – to wszystko należy do niego, takie mam poczucie. Wysoce irytujące! W dodatku coraz gorzej sypiam.

– To akurat nie jest objawem zauroczenia – stwierdzam. – Ja spałam dziś zaledwie dwie godziny z hakiem i pewna jestem, że pozostali też tego doświadczają.

– Czy ty też to wszystko przeżywałaś? Gdy go poznałaś, wiesz. Swojego męża.

– Mówisz o zakochaniu? – pytam z rozbawieniem. – Mniej więcej.

– Ale mniej czy więcej?

– U mnie sprawa wyglądała nieco inaczej. Byłam starsza od ciebie, gdy go poznałam, i więcej wiedziałam o życiu.

– Miłość w każdym wieku jest taka sama, tak piszą w książkach.

– Naprawdę nie powinnaś wierzyć we wszystko, co czytasz, a już szczególnie w powieściach.

– Ale to była miłość od pierwszego wejrzenia?

– Raczej decyzja.

– Decyzja?

– Tak, kiedy go poznałam, zadecydowałam, że chcę go pokochać. Otworzyłam się i z pełnym rozmysłem pozwoliłam sobie na uczucie.

– To straszne! Mówisz zupełnie jak o jakiejś inwestycji!

– Dorciu, każde uczucie jest inwestycją, w dodatku o najwyższym stopniu ryzyka.

Najczęściej traci się wiele, nie zyskując prawie nic. Tak przynajmniej jest w przypadku kobiet, bo mężczyźni zapewne widzą tę sprawę inaczej.

– Przecież też kochają!

– Tak, lecz oni oczekują innych profitów.

– Nie bardzo rozumiem.

– I Bogu niech będą za to dzięki. Naprawdę masz jeszcze mnóstwo czasu, dzięki Dreslerowi możemy w to nareszcie uwierzyć. Najlepsze przed tobą.

Igła gramofonu kończy swoją wędrówkę po płycie, Jaga unosi ją i znów kieruje na obrzeże wirującego czarnego krążka. „Mood Indigo” po raz drugi.

– Chwilami żałuję, że zgodziłam się na udział w eksperymencie – stwierdza Dorcia. – Moje wcześniejsze życie nie było specjalnie szczęśliwe, ale miało swoje dobre strony. Nie widywałam rzeczy, których nie ma, a opowieści o duchach wywoływały we mnie jedynie rozkoszne drżenie lęku i ekscytacji, a nie przygnębienie. Jadłam, spałam i czytałam. Umieranie wcale nie było takie złe.

– Zakochałabyś się prawdopodobnie bez względu na to, czy przystąpiłabyś do kuracji Dreslera, czy nie. Jeśli obiektem twoich uczuć nie stałby się Sebastian, skierowałabyś uwagę ku jakiemuś innemu chłopcu. Tak po prostu się dzieje, i już, każda z nas to przeszła. I z pewnością nie widzisz duchów, nie opowiadaj takich niemądrych rzeczy. Staliśmy się po prostu trochę bardziej wyczuleni na otaczający świat i zyskaliśmy zdolność dostrzegania takich jego... nazwijmy to, niuansów, które umykają innym ludziom. Ale po pierwsze, pewna jestem, że po zakończeniu leczenia ta zdolność ustanie, a po drugie... Czy jest coś złego w tym, że lepiej zaczynamy rozumieć otaczającą nas rzeczywistość?

– Oczywiście, że tak! I pewna jestem, że sama wiesz to doskonale, a mówisz tak jedynie po to, żeby mi poprawić humor – wybucha Dorcia. – Znacznie lepiej jest nie wiedzieć o różnych rzeczach. Człowiek bywa zdecydowanie szczęśliwszy, gdy jego pole widzenia jest nieco zawężone! Nie potrzebuję gładkich słówek, nie jestem już dzieckiem.

– Uspokój się – upominam ją.
– Widziałam coś dziś w swoim pokoju – po chwili milczenia odzywa się Dorcia. – Nad ranem.
– Tak? – Poruszam się niespokojnie, ale zmuszam się do pobłażliwego uśmiechu. – Zapewne coś ci się po prostu przyśniło.
– Nie, nic mi się nie przyśniło. Obudziłam się przed szóstą całkowicie przytomna. Ktoś był w moim pokoju. Choć może nie ktoś, ale coś. Astral.
– Och, Dorciu, mszczą się na tobie te wszystkie lektury, które pochłaniałaś w takich...
– Doskonale wiesz, że nie zmyślam. Coś było w ścianie mojego pokoju. Nawet nie tyle było, ile jest w niej nadal, a nawet jestem pewna, że tkwi tam od dawna. Mężczyzna. Szeptał do mnie. Myślę, że próbował mnie przed czymś ostrzec. Ściana nie chciała go wypuścić, słyszałam, jak przeciskał się pod tynkiem tuż obok mojego łóżka. Najdziwniejsze jednak jest to, że wcale nie czułam przerażenia, jedynie zabarwione niezdrowym zainteresowaniem przygnębienie – wiesz, jak wtedy, gdy widzisz psa potrąconego przez koło dorożki, który ze złamanym grzbietem próbuje odpełznąć ze środka jezdni. Chciałam włączyć lampę, ale żarówka się przepaliła.
– To wszystko zdawało ci się tylko...
– Nasłuchiwałam z uchem przy ścianie, a gdy się w niej przesuwiał, podążałam za nim – ciągnie Dorcia, ignorując moje słowa. – Za moim łóżkiem przemieścił się w dół, aż do podłogi. Szłam za nim na czworakach, z zamkniętymi oczami, bo było i tak zbyt ciemno, aby coś dostrzec, a niewyraźne kształty sprzętów tylko mnie rozpraszały. Do czołgał się do szafy, potem aż do kąta przy drzwiach. Uchyliłam je, żeby wpuścić trochę światła z holu, i wtedy go zobaczyłam.
– Zobaczyłaś go?
– Tak. Jego fragment.
– Przy podłodze? – pytam zduszonym głosem. – Spod deski przy ścianie coś wystawało?
– Nie – Dorcia stanowczo kręci głową. – Kiedy światło padło na ścianę, stęknął, poruszył się gwałtowniej i wypchnął z niej kontakt elektryczny.
– Co ty mówisz...
– Naprawdę. Cała oprawa wyskoczyła ze ściany i zawisła na przewodach. Wtedy go zobaczyłam. Fragment ludzkiej skóry przesuwający się pod tynkiem – to były plecy, wyraźnie widziałam wypukły zarys kręgosłupa. I znamię.
– Jakie znamię?
– Wydaje mi się, że to była blizna. Łukowata blizna biegnąca wzdłuż kręgow. Ślad po dawnej operacji. Wklęsła, czerwona szrama pocięta krótkimi poprzecznymi zbliznowaceniami. Wiesz, jak tory kolejowe na dziecięcym rysunku.
– Dorciu, nie powinnaś... – zaczynam, ale urywam i po chwili zastanowienia pytam: – A szept?... Zrozumiałaś, co mówił?
– Tak, słyszałam bardzo wyraźnie. Powiedział: „Nie patrz” – mówi Dorcia cicho, po czym dodaje głośnie: – I chyba nie powinnam.
– Czego nie powinnaś?
– Patrzeć.
– Na niego? – pytam.
– Nie. Na to – Dorcia ruchem głowy wskazuje na coś za moimi plecami.
Odwracam się i patrzę na naszych towarzyszy.
Na środku pokoju w rytm odtwarzanego z gramofonu po raz kolejny „Mood Indigo” kołysze się z uniesionymi nad głową rękami Amelia. Ma przymknięte oczy i rozchylone w nikłym uśmiechu usta. Obok niej tańczy Stan, zdjął koszulę, odsłaniając białą koszulkę bez rękawów, przy nim Miet, który właśnie rozpina pasek od spodni. Amelia opuszcza ramiona

i widzę, że kokarda jej sukienki jest rozwiązana. Tkanina zsuwa się z pleców, Stan z półsennym wyrazem twarzy nachyla się i całuje odsłoniętą skórę.

Jaga leży na łóżku Iry, obojętnym, rozmarzonym wzrokiem przygląda się tej scenie, przy niej, wsparty na łokciu, leży młody Sebastian. Nie widzę nigdzie Janka...

Przez chwilę patrzę obojętnie, nie dostrzegam niczego niewłaściwego w tym obrazku, wywołuje on tylko moje pobłażliwe, a nawet życzliwe rozbawienie. I wtedy widzę Irę. Siedzi na jednym z foteli, wyprostowana, sztywna, w męskiej pozie z szeroko rozstawionymi kolanami. Ręce wsparła na podłokietnikach, brodę uniosła wysoko. Obserwuje naszych przyjaciół czujnym okiem, a na jej ustach błąka się krzywy, pełen wyższości, niepokojący uśmiech. Jan klęczy za fotel, dostrzegam jego głowę za plecami Iry – wtula twarz w jej włosy. W ułamku sekundy moja twarz tężeje i zalewa mnie fala zgorznienia.

– Zdecydowanie nie powinnaś – rzucam przez zaciśnięte zęby i wstaję z taboretu. – Wy-chodzimy.

Ira zauważa mój nagły ruch. Uśmiech znika z jej ust, kiwa lekko głową – minimalnie, właściwie niedostrzegalnie – i nagle igła gramofonu przeskakuje jeden rowek. Zawodzący jęk puzonu zawraca i zamyka się w jednostajną, irytującą pętlę dźwięku.

– Och, zacięło się! – mówi Ira.

Lepka atmosfera pryska natychmiast. Amelia szybkim ruchem podciąga sukienkę, Miet ze zdumieniem i zażenowaniem patrzy w dół na rozpięte spodnie. Jaga wstaje z łóżka, obrzuca zaskoczonym, pełnym niesmaku spojrzeniem Sebastiana, który rozgląda się wokół błędnym wzrokiem.

– Dorciu, chodź, odprowadzę cię – mówię i wyciągam rękę do dziewczyny.

– Przecież jeszcze wcześniej! – protestuje Ira. – Nie ma jeszcze drugiej. Po co chcesz iść? Przecież i tak nie zaśniesz. Ach, mam przednią myśl!

Klaszcze w ręce jak zachwycona mała dziewczynka.

– Chodźmy wszyscy! Przekonamy się, jak wygląda nasze stare, kochane Sanato nocą! – wstaje z fotela i podchodzi do mnie: – Nino, czy zauważyłaś, jak ogromnie odmienia się przestrzeń w zależności od czasu, w którym się jej doświadcza?

– Nie bardzo rozumiem.

– Te same, znajome do znudzenia miejsca okazują się czymś zupełnie innym, gdy odwiedzisz je kiedy indziej – choćby o innej porze doby. Czasami takie doświadczenie bywa bardzo pouczające. Moim zdaniem czas i przestrzeń wcale nie są uzupełniającymi się wymiarami. Czas jest znacznie istotniejszy i nie tylko określa, ale także kształtuje rzeczywistość. Cóż zatem? Idziemy?

– Nie wiem – waham się. – Powinam wracać do Adama. Poza tym Dorcia...

– Dorcia! – przerywa mi Ira i wrusza ramionami. – Dorcia jest już dorosła. Prawda, Dorciu? Zresztą pewna jestem, że nic jej nie grozi. Sebastianie, zaopiekuj się nią, dobrze? Nie wolno ci odstąpić jej choćby na krok!

– Tak jest. Oczywiście – bąka pod nosem chłopak i rzuca Dorci badawcze spojrzenie, pod którego wpływem na policzkach dziewczyny wykwitają dwa szkarłatne rumieńce.

– A jeśli natkniemy się na pielęgniarki? – pytam.

– Och, pewna jestem, że nie spotkamy żadnej z nich. A nawet jeśli, mam wrażenie, że to raczej one powinny się czuć zagrożone takim spotkaniem, a nie my.

– Co to znaczy? – pytam, czując lekkie ukłucie niepokoju w sercu.

– Jak to co? Przecież nas jest więcej! – śmieje się Ira. – Nasza siła w jedności. Rozumiesz?

Zarzuca na plecy przejrzysty, malowany w ogromne maki tiulowy szal i rusza do drzwi.

Idziemy za nią. Dopiero gdy jesteśmy na korytarzu, uświadamiam sobie, że zablokowane ramię gramofonu wciąż odgrywa kilka tych samych taktów kompozycji Ellingtona. Jęklawie zawodzący dźwięk rozbrzmiewa za nami niczym sygnał pędzącej ulicą karetki. Gdy Janek, który opuszcza pokój ostatni, zatrząskuje za sobą drzwi, dźwięk milknie jak ucięty nożem.

W tym, co powiedziała Ira, jest sporo prawdy. Rzeczywiście, to czas kształtuje przestrzeń, która przestaje istnieć, gdy on znika. Oczywiście wpływ ten najłatwiej jest oceniać na przestrzeni mileniów, gdy działanie czasu na materię staje się nieodwracalne. Gdy zagrzebana w piasku kość obraca się w kamień, gdy złocista kropla żywicy zmienia się w bursztyn, a niepokonane skały kruszą się w pył. Jednak czas zdolny jest także do odmieniania przestrzeni doraźnie i przejściowo. Potrafi powiększać ją lub zmniejszać; oswajać lub sprawiać, że staje się obca, a nawet groźna. Te nieuchwytnie, lecz doskonale wyczuwalne magiczne właściwości czasu odczuć może każdy, kto choć raz nieoczekiwanie obudził się w środku nocy i przekonał, że jego pokój zmienił się w czarną czeluść groty zaludnionej przez niebezpieczne stwory albo też przeciwnie – skurczył się nagle, zatrząskując go w ciasnej klatce ścian, dławiąc oddech i budząc przemożną chęć ucieczki.

Sanato także jest odmienione. Przyćmione światło lamp migoczących na skutek obniżonego napięcia prądu, chorobliwie drżące na granicy postrzegania wydaje mi się złowieszcze, niczym w męczącym sennym majaku. W żółtym, rozproszonym świetle ściany i podłogi gubią kąty proste, oddalają się od siebie i wykrzywiają. Perspektywy korytarzy wydają się dłuższe niż zazwyczaj i mam dziwaczne wrażenie, jakby drzwi osadzonych w ścianach było teraz więcej niż za dnia. Cisza naznaczona monotonnym, cichym buczeniem przyciemnionych żarówek zdaje się męcząco materialna – przesyca powietrze i sprawia, że tężeje ono, przybierając konsystencję jakiejś oleistej, niemal namacalnej substancji, której lotność nieznacznie tylko różni się od stanu skupienia cieczy.

Ira lekkimi, zgrabnymi susami biegnie przed nami, rozpuszczone włosy płyną za nią połyskliwą falą. Dywany tłumią nasze kroki – dopiero po chwili orientuję się, że Stan i Miet zżuli trzewiki i wędrują w samych skarpetkach, a Jaga idąca między nimi – bosą. Przystaję i także zrzucam pantofle, Dorcia mnie naśladuje.

– Jakie to zabawne – mówi, a jej głos brzmi głucho, jakby wydobywał się spod sterty waty.

Cisza dzwoni mi w uszach. Skręcamy w boczny korytarz. Przez chwilę nie rozpoznaję tego miejsca, choć przecież każdego dnia przemierzam je wielokrotnie. Ira zbiega po szerokich schodach prowadzących do holu. Przystaję na ich szczycie i spoglądam za siebie. Daleko w głębi korytarza widzę jakąś parę. Kobieta trzyma mężczyznę pod rękę, ma na sobie krótką dancingową sukienkę. Choć może to halka? Gdy na nich spoglądam, unosi rękę w geście pozdrowienia. Mimowolnie odpowiadam uśmiechem, choć wydaje mi się, że nigdy wcześniej nie spotkałam tych ludzi w Sanato. Znikają za zakrętem korytarza.

– Nino! – woła Ira.

Zbiegam po schodach. W tym gęstym, zażółconym powietrzu czuję się lekka, lżejsza niż zwykle. Mój niepokój znika, przeradza się w radosne podekscytowanie – takie samo, jakie odczuwałam niekiedy podczas świąt bożonarodzeniowych dawno temu, gdy żyła jeszcze moja matka.

Migotliwa kolumna cienia na środku holu jest teraz wyraźniejsza niż wtedy, gdy widziałam ją za dnia. Zresztą mogę się mylić, nie oglądałam jej przecież zbyt uważnie. Słup czerwonego mroku, rozjaśniany migającymi, jaśniejszymi światełkami, które wirują w jego wnętrzu, zapalają się na ułamek sekundy i gasną niczym unoszące się nad ogniskiem skry. Ira podbiega do zagadkowego tworu, a potem przeskakuje przez niego – wydaje mi się, że cień

chwieje się, odgina, podążając za jej ciałem, a po chwili wraca do poprzedniego położenia.

– Co to jest? – dotykam pleców idącego tuż przede mną Janka.

– Nic – spogląda na mnie przez ramię. – Tylko wspomnienie.

– Wspomnienie? – pytam.

W odpowiedzi bierze mnie za rękę – gorący, trochę wilgotny dotyk – i pociąga za sobą. Przebiegamy przez hol, wstrzymuję oddech, gdy mglisty, migotliwy cień jest tuż przede mną, i skaczę. Czuję ciepło na policzkach, czas zwalnia i choć odrywam się od posadzki na ułamek sekundy, wystarcza mi go, bym mogła spojrzeć w górę, między potężne konary wyciągające się do słońca i dostrzegła kształt ptasich gniazd ukrytych w gęstych liściach, a nawet zarys blizny wyciętego przez kogoś w korze serca. By usłyszeć odgłos wiatru szumiącego w gałęziach przez dziesiątki, dziesiątki lat i wreszcie ujrzeć śmierć leśnego giganta poprzedzoną ogłuszającym łoskotem spadającej z nieba błyskawicy, a uwieńczoną hukiem trawiących je płomieni.

– To drzewo – mówię ze zdumieniem, gdy zatrzymuję się na posadzce z drugiej strony drżącej kolumny czerwonego cienia.

– Kiedyś tak – kiwa głową Janek. – Teraz jest jedynie echem.

Ira i mężczyźni przebiegają przez szerokie wejście do kawiarni, Jaga jest tuż za nimi. Sebastian trzyma za rękę Dorcię – lekko marszczę brwi, ale na widok zachwyty, który maluje się na jej twarzy, postanawiam się nie wtrącać. Każdy przecież musi się kiedyś zmierzyć z czymś podobnym – myślę.

Janek biegnie między stolikami. Kątem oka zauważam jakieś postaci siedzące na krzesłach, ale kiedy odwracam głowę w ich kierunku, rozpływają się w mroku. Nie budzi to jednak mojego zdumienia i nie poświęcam im szczególnej uwagi. Zawracamy, przebiegamy znowu przez hol i wpadamy do jadalni. Mijamy potężny, wysoki kredens, w którym kryją się piramidy talerzy i poskładanych, sztywno wykrochmalonych obrusów. Doganiamy naszych towarzyszy, którzy zatrzymali się przed prostokątnym, wysokim na ponad dwa metry kształtem odcinającym się wyraźnie od jasnej płaszczyzny tynku. W ścianie nieopodal naszego stołu wyraźnie rysuje się szerokie skrzydło drzwi, których zapowiedź wyczułam parę dni temu. Żelazna, fantazyjnie wygięta antaba połyskuje blado, choć lampy w jadalni są wygaszone. Ira z przechyloną na bok głową przypatruje się z uwagą drzwiom. Spękane płytki oznaczone są rozorami, jakby ktoś próbował wyłamać je za pomocą siekiery, farba łuszczy się wielu miejscach. Stan podchodzi i sięga do uchwyty.

– Jeszcze nie – śmieje się Ira.

Jego ręka przenika przez żelazny, zdawać by się mogło, najzupełniej materialny kształt i opada.

– Zatem chodźmy do palarni – mówi Amelia i wybiega z jadalni.

Mężczyźni ruszają za nią, Janek znowu pociąga mnie za sobą. Ira nie idzie z nami. Rzucaam jej pytające spojrzenie.

– Idźcie. Bawcie się – mówi. – Ja muszę coś załatwić.

Dorcja zaśmiewa się w głos, gdy Sebastian obejmuje ją w pasie. Stąpam na palcach, pantofle, które trzymam w dłoni, obijają się o moje udo. Nie patrzę za siebie i nie myślę już o Irze. Ramię w ramię z Jankiem wkraczam w szeleszczący mrok palarni wypełnionej zielonkawymi, drżącymi cieniami dawno uschniętych palm, które kiedyś – dziesięć, może dwadzieścia lat temu – ustawiono tu w masywnych, czerwonych donicach.

Ta niezwykła wędrówka zdaje się nie mieć końca. Gdy obudzę się nad ranem (*piętnaście po piątej*), jej wspomnienie wyda mi się jedynie snem, a później, tuż przed śniadaniem, niemal odejdzie w niepamięć, zagłuszone wydarzeniem, które odmieni życie Sanato na zawsze.

ROZDZIAŁ XI ŚMIERĆ PORCELANOWEGO CHIŃCZYKA

Sobota, 31 października 1931 roku

W godzinach porannych zaznaczy się większa ekspansja psychiczna i fizyczna, połączona z chęcią odmiany na lepsze warunków życiowych oraz dążeniem do oryginalności. Godziny te wcale nieźle się przedstawiają i obiecują okazje pomyślne zwłaszcza w sprawach, które mają pozostać w ukryciu lub wymagają tajemnicy. Dzisiejszy ranek niesie umiarkowane powodzenie w poczynaniach ryzykownych i jest to dobry czas do czynienia poszukiwań, wynalazków, studiów niezwykłych oraz zawierania oryginalnych znajomości.

Krótko przed południem neutralna passa załame się gwałtownie, bowiem wpływy kosmiczne przyniosą obietnicę jakichś złudzeń, a także sytuacji niejasnych i chaotycznych, silnych wstrząśnień i niepokoju, podsycanych przez ludzi niezadowolonych na zaufanie.

Godziny poobiednie zaznaczą się ponownie zwiększoną ruchliwością, przedsiębiorczością, rozbudzeniem zainteresowań, chęcią zaprowadzenia zmian i nowych poczynań, które jednak nie wydadzą rezultatów dodatnich, co wieczorem zaowocuje pewnym skołowaniem, jakie się wówczas da odczuwać, także niechęcią i skłonnością do pesymizmu.

Na ogół dzień dzisiejszy, jak i kilka następnych niosą męczące niepokoje i rosnące podrażnienie oraz poczucie zagrożenia, a zmiana na lepsze może nastąpić dopiero w niedzielę, choć i to nie jest pewne.

Wystrzegać się należy: jeżyn, róż oraz ostów, naczyń zamkniętych, tkanin lnianych, wilków, drzew, liści opadłych, półmroku, osób o jasnej karnacji, z metali – brązu, a z minerałów zaś – apatytu.

Judesa w zawrotnym tempie zmiata z talerza kopsiastą porcję jajecznicy. Po prostu łyka jedzenie jak kaczka. Brodę, policzki, a nawet czubek nosa ma umazane masłem, odwracam pospiesznie wzrok. Albina natomiast znowu nie ma apetytu, dopiero teraz widzę, że schudła w ostatnich dniach. Skóra zwisa jej z policzków, oczy giną w fałdach zmarszczek. Przekrzywiona kamea z Dianą zwisa smętnie z bordowej, zbyt luźnej aksamitki.

– Albino, wyglądasz olśniewająco – szczebiocze Ira. – Jak ty to robisz? Wyjaw nam swój sekret.

Korycka porusza się niespokojnie, nie odpowiada. Ira śmieje się pod nosem, przez krótką chwilę gorąco jej nienawidzę.

– Boże, jak się cieszę, że tu jesteś – szepce do mnie, dotykając miękko mojego ramienia. – Oszałałabym, gdyby nie ty. Czy wiesz, że nigdy dotąd nie miałam prawdziwej przyjaciółki?

A może jednak pochopnie tak źle ją oceniłam? Uśmiecham się do niej, odpowiada promiennym uśmiechem. Adam wzdycha, przysuwa sobie filiżankę z kakao.

– Zjedz coś – mówię do niego.

Nie odpowiada, wzdycham więc i ja. Patrę na ścianę nieopodal naszego stołu. Zarys sze-rokich drzwi w dziennym świetle przybladł, wygląda jak fatamorgana. Niemniej widzę je znacznie wyraźniej niż wczorajszego dnia. „Jeszcze nie” – powiedziała Ira. Co to znaczy? Czyżby te wzrokowe złudzenia miały z czasem nabrać dla nas materialnego wymiaru? Niedorzeczność. Nie wierzę w duchy, choć gotowa jestem przyjąć, że byt materialny pozostawia po sobie coś w rodzaju echa energetycznego, rodzaj powidoków, które dostrzec może jedynie wyćwiczone bądź

wyjątkowo czułe oko. Tym zapewne jest widmo drzewa wyrastającego z posadzki holu, tym być może jest również kobieta, której obecność wyczułam w ścianie mojego pokoju, a także mężczyzna, którego słyszała Dorcia. Jednak to tylko majaki. Wspomnienia, jak powiedział Jan. Jeśli miałyby się okazać rzeczywiste, oznaczałoby to, że przekroczyliśmy granicę między światem żywych a martwych. Statek Charona dobiłby do drugiego brzegu Styksu, a my wszyscy znaleźlibyśmy się w piekle. Obłądu.

– A wracając do naszego ulubionego tematu – odzywa się Janek. – Na dobrą sprawę proponujesz rewolucję.

– Rewolucję? Ja? – Ira aż mruga ze zdziwienia.

– Oczywiście! Jeśli chcesz, aby to jeden naród narzucił swoją wolę pozostałym, musi zdominować cały świat.

– Naprawdę? Nie myślałam o tym w ten sposób. Ale nawet jeśli, jest to przecież zgodne z teorią ewolucji.

– W jaki sposób?

– Na przestrzeni dziejów przecież zawsze – prędzej czy później – doskonalsze gatunki wypierały słabsze i przejmowały nad nimi kontrolę.

– Ale działo się to na przestrzeni tysiącleci.

– Skądże! Najczęściej taka ekspansja dokonywała się szybko, w rezultacie gwałtownego pogorszenia się warunków życiowych na danym obszarze. Brak pożywienia, katastrofy naturalne, takie jak erupcje wulkanów, trzęsienia ziemi czy powodzie, sprawiały, że najsilniejsze grupy przenosiły się gdzie indziej lub rozprasały, obejmując władzę nad nowymi, często znacznie większymi połaciami kontynentów niż te, w których egzystowały uprzednio.

– Powiedzmy – zamyśla się Janek. – Ale po pierwsze, teraz już Ziemia jest względnie spokojną planetą i szczególnie tu, w Europie, nie grożą nam ani trzęsienia ziemi, ani wulkany, a i z głodem cywilizowany człowiek już sobie poradził. Poza tym nie mówimy o bezrozumnej naturze, ale o cywilizacji właśnie.

– Zatem trzeba się zastanowić nad katastrofami cywilizacyjnymi.

– Jakimi?

– Och, wydaje mi się – Ira starannie smaruje kromkę bułki konfiturą z moreli – że czynnikiem najsilniej pobudzającym ekspansję narodów są dziś kryzysy gospodarcze. A szczególnie skuteczny może się okazać taki, który będzie umiejętnie i potajemnie kontrolowany przez rząd.

– Czyli pogorszenie warunków życiowych mas skłoni je do walki? Taka monstrialna manipulacja nie może się udać!

– Przecież mówimy o ludziach, a nie o drapieżnikach, gryzoniach i gadach – odzywa się nieśmiało Dorcia. – Wszyscy ludzie należą do jednego i tego samego gatunku.

– Czyżby? – Ira rzuca jej ironiczne spojrzenie i unosi grzanekę do ust.

Przeraźliwy, wibrujący krzyk, który rozlega się gdzieś na tyłach Sanato, podrywa z krzesel niemal wszystkich pensjonariuszy. Nawet Albina wstaje. Przy naszym stole na miejscach pozostają tylko Adam i Ira, która spokojnie przeżuwa kęs bułki. Ludzie cisznią się przy północnych oknach jadalni, za którymi jakaś kobieta wciąż krzyczy rozpaczliwie. Janek chwytą mnie za rękę i pociągają za sobą.

– To chyba z werandy – rzuca.

Biegniemy do wejścia, za nami rusza spora część pensjonariuszy.

– Co tam się wydarzyło? – pyta Dorcia.

Przebiegamy przez kawiarnię, niemal zderzając się na jej środku z trzema pielęgniarkami, które ze zdębiałymi minami kręcą się bezcelowo między stolikami. Cała weranda trzęsie się już od tupotu nóg, spod zadaszenia osypuje się zaschnięte igliwie i kurz.

Zawodzący skowyt dobiega z pomostu. Janek mocno zaciska palce na moim przegubie, nie mogłabym wyrwać ręki, nawet gdybym chciała. Ale nie chcę. Pozwalam mu się prowadzić. Biegnę, choć szybko zaczyna mi brakować tchu. Jesteśmy pierwsi. Ja, Dorcia, Janek. Tuż za nami biegną pozostałe numery – poza Iraw. Wiem, że powinnam zostać w jadalni razem z Adamem, ale moje ciało mnie nie słucha.

Kobieta – widzę ją już – pędzi między leżakami z uniesionymi nad głową rękami, a jej rozpuszczone, długie niemal do kolan włosy płyną za nią ciemną, splątana falą – jest przed nami, blisko rotundy. Ścigamy ją niczym stado wilków goniące ranną sarnę. Uwięzione w brezentowych pokrowcach parasole przewracają się na boki, roztrącane leżaki z hurgotem przesuwiają się po deskach. Co ja wyprawiam?

Kobieta znika w cieniu rotundy. Ołowiane chmury wiszą nisko, lodowata mżawka ogranicza pole widzenia – altana jest tylko ciemniejszą plamą na tle mroku ścielącego się między drzewami. Zdyszani, biegnąc ciężko, docieramy wreszcie do krańca pomostu. Kobieta nie krzyczy już. Stoi obrócona w słup soli, z palcami kurczowo wczepionymi w potargane włosy.

Porcelanowy Chińczyk wisi na grubej, bawełnianej taśmie w czarno-białe pasy – tej samej, która zimną rozpięta między słupkami barier broni pensjonariuszom dostępu do molo. Jego twarz ma barwę surowej wątroby, jest groteskowo rozdęta. Wytrzeszczone, skośne oczy na biegly krwią, ze spuchniętych ust wystaje fioletowy język. Krępe, niezdarne ciało kołysze się nieznacznie w podmuchach docierającego pod dach rotundy wiatru. Rozpięte spodnie zsunęły mu się z nóg, zawisły na krańcach nogawek wetkniętych w wełniane ściągacze skarpet. Chłopak kucharki wydaje się przez to nienaturalnie wysoki, pasek spodni sunie wolno, sennie po deskach – w lewo, w prawo, w przód... Porcelanowy Chińczyk tańczy. Krwawa miazga pod pióropuszem czarnych, gęstych łonowych włosów lśni jak garść rubinów. Zakrzepła krew oblepia grube uda. Opuszczone nogawki nasiąkły nią doszczętnie, od szarych desek pomostu wyraźnie odcinają się czerwonobrazowe ślady maźnięć, jakie pozostawiły przesuwające się portki. Kojarzą mi się z instrukcjami tańca publikowanymi w czasopiśmie – dwa kroki w lewo, dwa kroki w prawo, jeden w przód...

Żołądek odmawia mi posłuszeństwa, w ostatniej chwili wychylam się za barierkę molo i wyrzucam z siebie całe śniadanie, które przed chwilą zjadłam. Janek wciąż zaciska palce na moim przegubie, są lodowate.

Kucharka stojąca tuż przed nami ciężko opada na kolana. Prostuję się i ocierając usta wierzchem dłoni, patrzę na nią. Wszystko rozgrywa się niebywale wolno. Drobną kroplę deszczu zatrzymują się przed moimi oczami niczym drobinki kurzu wiszące w nagrzanym powietrzu strychu, porcelanowy Chińczyk zastyga w bezruchu. Zemdlona kucharka pochyla się nieskończenie powoli, upada na twarz, prosto w kałużę krwi pod stopami martwego syna. Obrzydliwe, mokre chrupnięcie, z jakim łamię się chrząstki jej nosa, rozciąga się w czasie niczym jęczący dźwięk puzonu w „Indigo Mood”. Reszta mieszkańców Sanato dobiega do nas, ktoś uderza mnie w plecy, tracę równowagę i przyklękam. Jakaś kobieta wrzeszczy, po chwili dołącza do niej druga, potem kolejna. I nagle czas powraca do swojego normalnego tempa, Janek usiłuje postawić mnie na nogi, ciągnie w górę za rękę, boleśnie ją przy tym wykręcając, wszyscy krzyczą. Przez tłum przepycha się jedna z pielęgniarek, zaraz za nią sunie Klitowicz. Pielęgniarka przeskakuje nad leżącą kucharką i zarzuca na chłopaka prześcieradło – najważniejsze, żeby zniknął, zniknął jak najprędzej, żeby już go nie było, żeby nigdy go nie było... Właściwie nie żył naprawdę, to tylko basałykowaty chłopak kucharki, która była na tyle nieroztropna, że we właściwym czasie nie zawięła w płócienną ścierkę i nie obciążyla zdeformowanego, bezwartościowego ciała kawałkiem gruzu (*tyнку, który odpadł od podmurówki*), nie obwiązała ściśle sznurkiem i nie cisnęła do rowu, do rzeki czy choćby do jakiejś dziury wykopanej przez ogrodnika. Pielęgniarka

jest tak przejęta swoim zadaniem, że nie zauważa nawet, że depcze po włosach leżącej kobiety.

– Proszę wracać do budynku! – gromko pokrzykuje Klituś. – Nic się nie stało! Proszę wracać na werandę!

Próbuje zapanować nad podekscytowanym tłumem, zachowuje się spokojnie, godnie, ale gdy przyglądam mu się z bliska, widzę panikę w jego oczach. To może być koniec Sanato, a – i tego boi się najbardziej – z pewnością może to być koniec Klitowicza. Skandal takiego kalibru trudno będzie zatuszować. Pewnie rozbiorą rotundę (*gdzie w barierce jest furtka*), a może nawet całe molo. Nie żal mi ani tej altany, ani nawet Klitowicza. Co gorsza, nie żal mi chłopaka kucharki – poczułam ulgę, gdy zobaczyłam go martwego, choć wolałabym usłyszeć o wydarzeniu, zamiast je oglądać. Gdy wracam pomostem w stronę werandy, a Janek obejmuje moje ramiona, z nikłą zgrozą uświadamiam sobie, że nawet nie żal mi tej kucharki, no, może zaledwie trochę. Ten brak uczuć zdaje mi się nieludzki – jeszcze kilka tygodni temu, mam co do tego pewność, moja reakcja byłaby zupełnie inna.

W kawiarni krzesła są przewracane, na podłodze bieli się cukier i potłuczona porcelana. Jakaś kobieta pochlipuje histerycznie, ktoś pochyla się nad nią ze współczującym, a zarazem pełnym satysfakcji, ciekawskim wyrazem twarzy. Pielęgniarki biegają w tę i z powrotem, dzwoni aparat telefoniczny w gabinecie. Obserwuję to wszystko obojętnie, chłodnym okiem. Poza krótkotrwałą fizyczną reakcją na widok wykastrowanego chłopaka kucharki nie doznałam żadnych silniejszych wzruszeń. Czy samoistnie mogłam zmienić się tak bardzo? Nie. Coś mnie odmieniło. Czy przypadkiem cudowna, złota terapia Dreslera, poza efektami, jakie wywołuje w naszych ciałach i umysłach, nie zmienia w nas jeszcze czegoś, być może nawet bardziej istotnego?

– Przerażające – wzdycha Dorcia.

– Tak. Dlaczego on zrobił coś takiego? – kiwa głową Sebastian. – Może napijemy się herbaty?

– Chętnie – Dorcia uśmiecha się do chłopaka i wsuwa dłoń pod jego ramię.

– Oni chyba nie sądzą, że ten człowiek sam się okaleczył i powiesił? – pytam Janka, który nie odrywa zafascynowanego spojrzenia od histeryzującej przy stoliku kobiety.

– Och, nie wiadomo. Chłopak był przecież niespełna rozumu, nie sposób odgadnąć, jakimi torami mogły biec jego myśli – wzrusza ramionami Jan. – Być może on się powiesił, a ktoś inny dokonał reszty, gdy biedak wyzionął już ducha.

– Ale po co, na litość boską?

– Nie wiem. Może miał z kimś na pieńku, tacy jak on bywają nieobliczalni. A może dopadł gdzieś w ciemnym korytarzu którąś z pokojówek, a jej ojciec, brat bądź narzeczony postanowił wymierzyć sprawiedliwość... Zresztą czy warto zaprzętać sobie tym myśli? Mam nadzieję, że prędko zrobią porządek z tą całą sprawą. Herbata to właściwie dobry pomysł. Co ty na to?

Kręcę odmownie głową, Janek puszcza wreszcie moją rękę. Jego palce pozostawiają na mojej skórze czerwony ślad. Rozcieram go machinalnie i zaglądam do jadalni. Adama nie ma już przy naszym stoliku, nie ma także Iry. Przez chwilę się zastanawiam, czy poszli razem, ale przypuszczenie jest tak mało prawdopodobne, że nie zaprzętam nim sobie myśli. Ira dotąd nie odezwała się do mojego męża choćby słowem, wręcz go ignorowała, choć kilkakrotnie przyłapałam ją na tym, jak przyglądała mu się ukradkiem. Adam prawdopodobnie jest w naszym pokoju, zapewne na balkonie – jak zwykle.

Gdy zmierzam przez hol w stronę schodów, widzę granatowy samochód policyjny, który zatrzymuje się tuż przy głównych schodach. Jedna z pielęgniarek wybiega jak oparzona z dyżurki i wypada na ganek, gwałtownym machaniem ręki nakazując szoferowi, aby podjechał pod boczne wejście.

Jeszcze przed obiadem pokład naszego liniowca opuszczają pierwsi pasażerowie. Szalupy

ratunkowe w postaci konnych dorożek, kilku aut, a nawet wynajętej furmanki ustawiają się na podjeździe w długi sznur. Niebawem – wyladowane walizkami, kuframi i sakwożaczami – odpływają w mglisty zmierzch i suną wolno w dół, do Zakopanego. Sanato zaczyna się wyludniać.

*

Nie schodzimy na obiad, zamawiamy posiłek do pokoju. Pokojówka spóźnia się, czekamy prawie pół godziny. Przychodzi z tacą, gdy już mam zadzwonić do dyżurki pielęgniarek. Dziewczyna jest drobna, chorobliwie blada. Wielkie, czarne oczy patrzą lękliwie. Niecierpliwie mnie.

– Postaw na stoliku – mówię.

Szelki fartucha ma niechlujnie zasupłane na plecach, spod czarnej sukienki wystaje rąbek bawełnianej halki. Kiedy robię krok w jej stronę, prawie upuszcza tacę na blat stołu i jedna ze szklanek się przewraca. Nie powinni zatrudniać kogoś takiego. Ile może mieć lat? Piętnaście? Najwyżej.

– Praszam – bąka pod nosem, prześlizgując się po mojej twarzy spłoszonym spojrzeniem.

W ułamku sekundy pojmuję, że to nie mnie czy Adama się boi. Jest przerażona tym, co się stało w Sanato. Śmiercią porcelanowego Chińczyka, sposobem, w jaki ją zadano, a także – być może przede wszystkim – tym, co będzie dalej. Czy niebawem życia nie straci tu ktoś inny, może ona? Czy sanatorium nie zamkną i czy nie straci pracy? Czy wuj, który przygarnął ją po śmierci rodziców z nie całkiem altruistycznych pobudek (*pomarszczone, szorstkie łapska z czarnymi obwódkami brudu za połamanymi pazurami na białym, pociętym czerwonymi żyłkami udzie*), przyjmie ją znowu pod swój dach – do domu, z którego uciekła... Rok temu? Chyba trochę dawniej. A jeśli... *A jeśli to robi, czy poprzestanie na dotykaniu, czy posunie się dalej? Jest stary, taki stary, ale silny. Stary cap. Dużo silniejszy ode mnie... Lecz może, gdy zaśnie, ma mocny sen... Toporek leży przy piecu, zawsze tam leży, obok sterty szczapek. Nie ma dzieci, nie ma nikogo. Wszystko należy się mnie, mnie, to ja wszystko dostanę, ale jeśli mnie złapią... Co, jeśli mnie złapią? Co, jeśli...*

Znienacka moją głowę przeszywa ostry ból, a obraz rozmazuje się w czerwonawej mgiele. Odwracam się plecami do pokojówki i przyciskam dłoń do czoła.

– Wyjdź! – rzucam piskliwym głosem.

Ból mija po kilku sekundach, przed oczami wirują mi czarne płatki. Oddycham z trudem.

– Nie powinnaś była tego robić – mówi cicho Adam.

– Czego robić? Nic nie robię – odpowiadam gwałtownie. – To się dzieje samo!

– O czym ty mówisz?

– A o czym ty mówisz?

– Mówię, że nie powinnaś była iść na molo.

– Och, tak. Wiem. Masz rację.

– To był ten syn kucharki. Przerazające.

– Tak. Jedz, bo ostygnie.

– Taki miły chłopak...

– Niespełna rozumu.

– Ale nieszkodliwy.

– A cóż ty możesz o tym wiedzieć? – prawie odwarkuję. Adam robi zdumioną minę.

Nabieram tchu i zmuszam się do spokoju.

– Idę się wykąpać. Straciłam apetyt.

Biorę ręczniki i szlafrok, a potem wychodzę na korytarz. Jestem spocona, oddycham pośpiesznie, jakbym wbiegła po schodach na wysokie piętro. Niekiedy naprawdę mam dosyć Ada-

ma. Przystaję przy ścianie, w miejscu, gdzie boazeria jest pęknięta. Posprząтали już, na dywanie nie ma żadnych śladów. Ale nie zdążyli jeszcze naprawić listew i filunku. Zamykam oczy i opieram czoło o chłodny mur. Porcelanowy Chińczyk tańczy na wietrze, wysadzone z oczodołów, przekrwione gałki patrzą w stronę Sanato.

– Cicho... – szept rozlega się tuż przy moim uchu, nie budzi jednak lęku.

Przeciwnie, wydaje się kojący. Wypuszczam z rąk ręczniki i szlafrok, spadają miękko na podłogę u moich stóp. Rozpościeram szeroko ramiona, przywieram do ściany. Przyciskam do niej policzek. Przez chwilę nic się nie dzieje, lecz wreszcie czuję delikatne muśnięcie tuż przy piersi. Tynk rozgrzewa się, mięknie. Wybrzusza się nieco, a potem ustępuje przed moim ciałem. Mur wpuszcza mnie do środka...

– Co pani robi? Żle się pani czuje?

Odpycham ścianę natychmiast i pospiesznie sięgam po upuszczone ręczniki. Pielęgniarka gapi się na mnie ze zdumieniem. Może nawet z niesmakiem. Pogardą? O, tak. To pogarda. Wyda-
je mi się... *Wydaje ci się, że jesteś lepsza ode mnie, ale ja pracuję od czternastego roku życia, uczę się ciągle, odkładam pieniądze. Może za pięć, może za dziesięć lat uzbieram dosyć, by starczyło mi na własny pensjonat dla starców. O, taki pensjonat, jakież to jest dobry interes! Oni mrą jak muchy, a ludzie dużo zapłacą, żeby tego nie oglądać, i ciągle jest ktoś nowy...*

– Zakręciło mi się w głowie – mówię i prawie biegiem ruszam przed siebie, jak najdalej, jak najszybciej od tej dziewczyny i od jej brudnych tajemnic. – Już dobrze!

Wpadam do łazienki i z rozmachem zatraskuję za sobą drzwi. Przywieram do nich plecami i próbuję złapać oddech. To naprawdę dzieje się coraz szybciej – w postępie geometrycznym, jak by rzekł Janek. Jedna myśl pociąga za sobą dwie następne, jedna wizja zapowiada dwie kolejne. Jeżeli ten proces będzie postępował w tym tempie, nim wyleczę się z gruźlicy, oszaleję dokumentnie. Jestem pewna, że to wszystko za sprawą tych feralnych zastrzyków Dreslera. Co by było, gdybym zrezygnowała z terapii? Nie zapytałam go o to, a powinnam. Nikt nie zapytał. Czy możemy się wycofać? Wątpię.

Łazienka jest duża, kwadratowa. W okna wprawiono matowe szyby, które tłumią i rozpraszają światło. W słoneczne dni podoba mi się tutaj, jednak w takie jak dzisiejszy nie. Sięgam do włącznika i pod sufitem rozbłyskują cztery mleczone kule lamp zawieszono nad dwiema wannami ustawionymi pośrodku pomieszczenia. Zamykam drzwi na klucz, wieszam ręczniki na stojaku przy wannie, odkręcam krany, a potem się rozbieram i składam ubranie na krześle.

W podłużnych, zamglonych lustrach osadzonych w ścianie nad rzędem umywalk wyglądam staro. Padające z góry światło podkreśla łuki brwi i kości policzkowe, oczy nikną w cieniach. Tak będę wyglądała za dwadzieścia lat. Może. Jeśli jeszcze będę za dwadzieścia lat. Przysiadam na brzegu krzesła, zdejmuję trzewiki i pończochy. Posadzka z białych i zielonych kafli jest chłodna. Rozsuwam palce stóp i opieram je płasko. Żabie łapki. Kacze płetwy. Czekam, aż wanna się napelni.

To mogła być Ira (*muszę COŚ załatwić*). Coś (*ktoś musiał na nią wleźć, żeby TO splodzić*). Ale to niemożliwe. Fizycznie. Chłopak kucharki był silny jak wół, nawet gdyby Ira jakimś sposobem zwabiła go w nocy na molo, nie zdołałaby obezwładnić go i powiesić. Był trzykrotnie cięższy od niej. Ale gdyby nakłoniła go, aby wszedł na jeden ze stolików, zmusiła, by sam nałożył sobie pętlę na szyję (*no, włóźże*), a potem kopnięciem wybiła mu podparcie spod stóp (*bał się, nie bronił, poszło łatwiej niż z lalką*)... Bardzo mało prawdopodobne. Może był ograniczony, ale nie do tego stopnia (*choć przecież był*). A już zupełnie nie potrafię wyobrazić sobie tego, co musiało nastąpić potem. Ira rozpinająca mu spodnie, biorąca w dłoń sflaczały kawałek ciała, a w drugą nóż, skalpel. Może brzytwę? Gdy zawisł i wyzionął ducha, na pewno oddał mocz, wisielcy zawsze to robią, czytałam gdzieś. Wymuskana, elegancka Ira z tymi staran-

nie ułożonymi złotymi puklami włosów, w lekkim jak pajęczna sieć, malowanym w maki szalu... Niedorzeczność. Więc kto? Może Janek miał rację, może to rzeczywiście była czyjaś zemsta. Jeśli porcelanowy Chińczyk mógł skrzywdzić mnie, mógł skrzywdzić też inne.

Woda z łoskotem leje się do wanny. Wyłożone kaflami ściany zwielokrotniają odgłos. Gdy wstaję i zakręcam oba krany, nagła cisza wydaje się nienaturalna. Zwijam mały ręcznik i układam na rancie wanny, a potem wchodzę do niej ostrożnie. Woda jest za gorąca, para unosi się aż do lamp pod sufitem, osiada na lustrach. Odchylam głowę i opieram ją na ręczniku. Nie wzięłam mydła, leży przy umywalkach. Wzdycham ze zniecierpliwieniem, wychodzę z wanny i sięgam po brązową kostkę. W zaparowanym lustrze jestem tylko mglistą, beżową plamą. Cieniem. Nie mam znaczenia. To naprawdę mogła być Ira. Choć pomysł jest pozbawiony jakichkolwiek racjonalnych przesłanek, wydaje mi się wiarygodny. Ira. Irra. Irracjonalne przekonanie. Coś porusza się w mglistym odbiciu za moimi plecami, odwracam się natychmiast. W łazience nie ma nikogo poza mną.

– Wydaje mi się, że potrzebuję odpoczynku – mówię półgłosem i uśmiecham się mimowolnie.

Zabawne słowa w ustach osoby żyjącej od kilku miesięcy w sanatorium (*w sanatorium*). Wracam do wanny – woda, która przed chwilą wydawała mi się zbyt gorąca, teraz ma doskonałą temperaturę. Przez plecy przebiega mi rozkoszny dreszcz, zamykam oczy i znowu opieram głowę na ręczniku.

Porcelanowy Chińczyk wolno tańczy pod dachem rotundy. Droga ucieczki została odcięta, przejście (*furtka w barierce*) jest już strzeżone. Podnoszę powieki i spoglądam prosto w lampy. Powinnam znaleźć sobie jakąś wciągającą lekturę, coś miłego i emocjonującego, jedną z tych książek, które czytywała Dorcia. Albo pójść do kina. Kiedy ostatni raz byłam w kinie? Wiosną? Nie, chyba zimą, zanim wszystko się zmieniło, gdy, jak sądziłam, oboje byliśmy zdrowi i najlepsze ciągle jeszcze było przede mną. Zupełnie nie pamiętam seansu, co to był za film? Adam kupił mi bombonierkę, jedną z tych teatralnych, w których na pomadkach leży tekturowy wachlarz, a z boku, pod okienkiem z celuloиду zamknięty jest żywy kwiat na dowód świeżości łąkoci. Czekoladki były scukrzzone, wyborne – smakowały mi jak nigdy. Świetnie się bawiłam. Wracaliśmy na piechotę przez Ogród Saski, padał śnieg, właściwie prószył. Chyba byłam wtedy szczęśliwa.

Siadam i sięgam po mydło. Spoglądam w dół – ciemny trójkąt włosów chwieje się w falującej wodzie. Obracam kostkę w dłoniach, odpływają od niej białawe pasma. Nagle dostrzegam coś kątem oka. Zastygam w bezruchu na krótką chwilę, a potem bardzo powoli spoglądam z ukośsa na sąsiednią wannę.

Ktoś w niej jest. Zza białego, wywiniętego rantu wystaje czubek głowy, kępka zmatowiałych brązowych loków. Wstrzymuję oddech i czuję chłód na ramionach. W ciszy rozlega się wyraźnie piskliwy odgłos pełzającego w pustej wannie ciała. Krew dudni mi w uszach.

Głowa obraca się powoli, widzę zarys szarawego ucha ukrytego pod zlepionymi kosmykami, potem czoło i cienką, przerwana linię brwi. Zamknęłam drzwi na klucz. Od środka. Rozchyłam usta i najciszej, jak umiem, nabieram tchu. Głowa nieruchomieje na kilka sekund, wreszcie ciało z ponownym piskiem przesuwają się po emalii, a na rancie wanny pojawiają się palce. Paznokcie są starannie spilonowane w szpice, pokryte krzykliwym czerwonym lakierem, jakiego nie kupiłabym sobie nigdy w życiu. Głowa odchyła się powoli, unosi. Wyskubane brwi podmalowane są ołówkiem, który pościerał się w kilku miejscach. Zza brzegu wanny wyłaniają się szeroko otwarte, zamglone oczy. Jak dwa kawałki zaparowanych lusterek znad umywalki. Patrzą na mnie, a właściwie przeze mnie. Kobieta zastyga w absolutnym bezruchu. Skóra jej twarzy jest szara i śluzowata niczym mięso zepsutej ryby. Sfilcowane loki wyglądają jak stara zaniedbana peruka.

Oddycham szybciej, płytko. Po co zamykałam drzwi od środka? Trwa to niezmiernie długo, wydaje mi się, że całą wieczność, nim zdaję sobie sprawę, że jej bezruch jest pozorny. Palce suną po krawędzi wanny niedostrzegalnie niczym wskazówki zegara, zbliżają się do twarzy, do tych ślepych, wytrzeszczonych oczu.

– Jesteś tylko wspomnieniem – szepcę chrapliwie. – Jesteś powidokiem. Nie ma ciebie.

Palce nieruchomieją. Oblizuję spierzchnięte wargi, przelykam głośnie ślinę. Wypuszczam z palców kostkę mydła, która ześlizguje się między moje uda i opada na dno wanny. Kurczowo splatam palce dłoni na brzuchu, napięte jak postronki mięśnie drżą nieco, ale odchylam się, opieram łopatkami o rozgrzaną emalię i kładę głowę na wilgotnym, lodowatym ręczniku. Ogromnym wysiłkiem woli zmuszam się do odwrócenia oczu od tej nieistniejącej już kobiety, zapewne w takiej fildekosowej halce. Spoglądam w górę, w lampy. Światło ściemniało, żółkło i zaczęło migotać. A jeśli i te żarówki się przepalą, to...

– To nic się nie stanie – mówię półgłosem. – Bo to tylko echo. Energia, a nie materia.

Ale przecież piorun także jest energią. Potrafi zadać ból i pozbawić życia, choć nie sposób go dotknąć.

Sięgam po mydło, w wodzie wydaje się niemal nieważkie. Gdy dotykam rozmiękłą, gładką kostką skóry na ramionach, z sąsiedniej wanny znowu dobiega skrzypnięcie, a po nim odgłos miękkiego uderzenia. Odczekuję kilka chwil, a potem ostrożnie zerkam w lewo. Wanna jest pusta.

ROZDZIAŁ XII IGNAŚ

Niedziela, 1 listopada 1931 roku

Ranek dzisiejszy przyniesie nowe pomysły, projekty spekulacji i będzie dopingował do poczynań ryzykownych, a także do zawierania nowych znajomości, które jednak równie szybko będą zerwane, jak zostały nawiązane.

Godziny południowe zaznaczą się większą aktywnością życiową połączoną ze wzmożoną odwagą i samodzielnością, a także łatwością wyrażania swych myśli w słowie.

Czas poobiedni gorzej się zaznaczy dzięki niemiłemu nastrójowi, jaki się wówczas da odczuwać w związku z drobnymi niepowodzeniami bądź natręctwem niechcianych wspomnień.

Godziny wieczorne mogą nam przynieść myśli poważne i głębsze zainteresowania. Koło godziny 20-tej zaznaczy się jednak podrażnienie, które pogłębi się koło godziny 21-ej, zwiastując dalsze pogorszenie nastroju i całość wypada raczej niezachęcająco.

W dniu dzisiejszym strzec się należy przyjaciół, wiatru, barwy niebieskiej, saren, schodów i ciemnych napojów. Z metali unikać należy kontaktu z irydem, a z kamieni – z szafirami.

Dresler pochyla się nad podłużnym, szerokim rejestrem i zapisuje coś pod dzisiejszą datą. Siedzimy rzędem przed jego biurkiem. W kącie sali numer 3, kilka metrów od nas, za płóciennym parawanem krząta się pielęgniarka. Dźwięk ręcznego dzwonka wyraźnie dobiega z kaplicy położonej piętro niżej. Dokładnie pod nami – dopiero teraz sobie to uświadamiam. Byłam tam tylko raz. W Warszawie chodziliśmy do kościoła prawie w każdą niedzielę, oczywiście głównie ze względu na towarzyski obowiązek. Tu więcej osób modli się w samotności niż w obecności księdza. Większości mieszkańców Sanato religia przynosi otuchę, lecz ceremoniał stał się zbędny – to interesujący mechanizm. Nigdy nie byłam wyjątkowo religijna, a odkąd zachorowałam, wiara zaczęła mnie wręcz irytować. Być może w skrytości ducha podejrzewam, że moja choroba po części jest karą boską za brak szacunku dla Kościoła – ta myśl wyprowadza mnie z równowagi. Jeśli Bóg postanowił mnie ukarać, skutek był odwrotny – przestałam się z Nim liczyć. Niestety, prawdopodobnie nie jest tym zaskoczony – w końcu sam ofiarował nam wolną wolę.

– Myślę, że czas, abyśmy porozmawiali o efektach ubocznych – mówię głośno.

Dresler unosi głowę i patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Mam wrażenie, jakby wokół mnie zrobiło się pusto, choć nikt się nie odsunął ani nie zmienił miejsca. Ira, siedząca najbliżej, sennym ruchem nawija na palec pasmo włosów. Nie odwróciła nawet głowy w moją stronę, ale wiem, że czujnie mnie obserwuje.

– O jakich efektach ubocznych? – pyta Dresler. – Czy dolegliwości wróciły? Mdłości? Gorączka?

– Nie – splatam dłonie na podołku. – Mam na myśli inne efekty uboczne. Niezwiązane ze stanem fizycznym, ale z... Z emocjonalnym.

– Z psychiką? – Dresler szybko zapisuje coś w notatniku. – Nikt do tej pory nie skarżył się na podobne kłopoty. Co konkretnie ma pani na myśli?

Oblizuję szybko wargi i rozglądam się, szukając poparcia wśród pozostałych numerów. Amelia wpatruje się w swoje paznokcie, Miet obojętnie gapi się w okno. Popełniam błąd, wyrwałam się przed szereg. Żadne z nich mnie nie poprze, dlaczego tego nie przewidziałam? A jednak nie potrafię się już zatrzymać.

– Mam na myśli pewną nadwrażliwość w postrzeganiu, jak by to ująć... Świata.

– Nadwrażliwość?

– Tak.

Ira uśmiecha się lekko pod nosem. Poruszam się niespokojnie. Co właściwie mam mu powiedzieć? Powinnam była poprosić o rozmowę na osobności.

– Nie bardzo rozumiem – Dresler postukuje końcówką pióra w blat stołu. – O jakiej nadwrażliwości pani mówi? Na światło?

– Nie. Raczej o dostrzeganiu tego, co... Czego wcześniej nie potrafiliśmy dostrzec.

Patrzy na mnie nieruchomym wzrokiem.

– Chodzi mi o pewne... wizje, których doświadczamy.

– Wizje?

– Właśnie.

– Proszę o nich opowiedzieć dokładniej.

Nabieram tchu i już mam zacząć mówić, lecz milczę. Nie wiem, jakich słów użyć, jak ubrać swoje przeżycia w zdania, które nie wydadzą się śmieszne. Dlaczego oni nie chcą, aby Dresler się dowiedział o tym, co się z nami dzieje? Czy dlatego, że boją się przerwania kuracji? Pewnie tak, ale być może nie chcą też wyjść na wariatów. A może się nie boją, może nowe umiejętności dają im poczucie siły, którego nie chcą utracić?

– Ma pani na myśli halucynacje? – pyta znowu Dresler.

– To nie są halucynacje. Ira, pomóż mi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Ira uśmiecha się łagodnie, lecz widzę kpinę w jej oczach. – Może po prostu jesteś przemęczona?

– Czym mam być tu przemęczona?! – prawie wykrzykuję. – Przecież nic nie robię!

– Być może to właśnie cię męczy.

– Nie! Od pierwszych zastrzyków doświadczamy pewnych stanów psychicznych, które są moim zdaniem niebezpieczne! A co gorsza, nasilają się po każdym zabiegu.

– Nie będę mógł pani pomóc, jeśli nie wyrazi się pani jaśniej.

– Jeśli powiem to na głos, zabrzmie śmiesznie – wyznaję z bezradną szczerością.

– Proszę spróbować.

– Mam na myśli echa.

– Echa?

– Odbicia wydarzeń, przedmiotów i osób, które już nie istnieją. Wszyscy je dostrzegamy, ale oni nie chcą się przyznać!

– Mówi pani o duchach? – łagodnym tonem odzywa się Dresler.

– Nie jestem idiotką!

– Przecież nie twierdzę, że pani jest...

– To nie są takie duchy jak w filmach czy książkach. Jakieś zjawy w prześcieradłach lub przezroczyste osoby. To... One żyły w ścianach, były ukryte, ale teraz je zobaczyliśmy i stały się bardziej śmiałe. Wczoraj w łazience, to znaczy w wannie... – urywam i czuję, że robi mi się gorąco.

Mówię jak stuprocentowa wariatka.

– Widziała pani ducha w wannie? – Dresler stara się zachować poważną minę.

Jaga ma mniej taktu i chichocze pod nosem.

– Dorcia też coś widziała – mówię szybko. – Mężczyznę w ścianie w jej pokoju. Mówił do niej, pełzał pod tynkiem. Wypchnął gniazdo elektryczne!

Jaga wybucha śmiechem, Amelia dołącza się do niej, a po chwili wtórują im pozostałe numery. Dorcia zerka na mnie szybko i zaciska usta.

– Dorciu, odezwij się – proszę ją. – Opowiedz im o tym.
– Kiedy ja... – Dorcia spogląda na mnie z wahaniem, a potem potrząsa głową. – Przecież mówiłam ci, że to był tylko sen.

– Wcale tego nie mówiłaś!
– To prawda, że... – dziewczyna zastanawia się i wzrusza ramionami – ...był wyjątkowo realistyczny, rzeczywiście niepokojący czy raczej może przygnębiający, ale jestem pewna, że tylko mi się to przyśniło.

– Czy ten sen się powtarzał? – pyta Dresler.
– Nie taki sam. Ale wydawało mi się, to znaczy, śniły mi się też inne rzeczy. To po prostu koszmary senne, mało sypiam.

– Właśnie! Wszyscy mamy kłopoty ze snem! – podchwytuję. – Śpimy coraz krócej, dziś obudziłam się tuż po piątej!

– Czy to prawda? – Dresler zwraca się do Iry. – Mówiłaś, że sypiasz już normalnie.
– Bo sypiam. Może nie tyle co kiedyś, ale wystarczająco. Nie odczuwam senności i jestem wypoczęta. Właściwie nawet miewam się lepiej niż kiedykolwiek.

– Czy ktoś z was jeszcze ma problemy ze snem? – pyta doktor.
Kilka osób niechętnie potakuje.

– To naprawdę nic takiego – odzywa się Sebastian. – Po prostu potrzebujemy mniej snu. I tyle.

– A czy ktoś z was doświadcza podobnych problemów jak pani Ostromęcka i panna Kościałowiczówna?

Nikt się nie odzywa.

– Dobrze. – Dresler znowu zapisuje coś w rejestrze. – Od dziś zmniejszę wam obu dawkę koktajlu.

– Czy to przedłuży terapię w naszym przypadku? – Dorcia odzywa się pospiesznie. – Bo jeśli tak, może jednak wołałabym...

– Nie wydaje mi się, aby miało to znaczący wpływ. A z mojego punktu widzenia może się okazać bardzo interesujące.

– A co by było – pytam po chwili namysłu – gdybyśmy zdecydowały o zaprzestaniu dalszego leczenia?

W sali zapada całkowita cisza. Dresler wykrzywia usta z dezaprobatą i wreszcie odzywa się chłodniejszym tonem:

– Nie byłoby to rozsądne. Obawiam się, że choroba zaatakowałaby ze zdwojoną siłą, a tradycyjne metody radzenia sobie z nią okazałyby się już całkowicie nieskuteczne.

– Czyli przerwanie chryzoterapii pańskiego wynalazku równałoby się egzekucji – stwierdzam gorzkim tonem. – Cenna wiadomość, szkoda, że podana w niewłaściwym czasie.

Dorcia rzuca mi pełne wyrzutu spojrzenie, reszta milczy. Dresler znika za parawanem, pobrząkują wyjmowane ze sterylizatora strzykawki.

– Numer jeden, proszę!

Dziewczyna wstaje czym prędzej z krzesła i podwijając rękaw sukienki, szybkim krokiem podchodzi do oddzielnego kąta sali. Przy parawanie zatrzymuje się i rzuca przez ramię:

– To naprawdę był tylko sen. A jeśli i ty dobrze się zastanowisz nad swoim spotkaniem, dojdiesz do identycznego wniosku.

*

– Dlaczego mnie nie poparłaś? – pytam Irę, gdy wychodzimy na korytarz oddziału dziecięcego. – Przecież wiesz, że nie jestem szalona!

– Nie wiem – Ira wzrusza ramionami. – Być może wszyscy postradaliśmy zmysły.
– Wcale tak nie myślisz.
– Ja nie. Ale on mógłby dojść do podobnego wniosku, a taki rozwój wypadków nie pasowałby mi zarówno w odniesieniu do leczenia, jak i do całej mojej przyszłości.
Jaga idąca pod rękę ze Stanem prycha pogardliwie, mijając mnie, i ostentacyjnie odwraca twarz.
– Mogłaś nam zaszkodzić – stwierdza Ira.
– Niby jak? Wydaje mi się, że poruszyłam ważną kwestię, z której nasz doktor najwyraźniej zupełnie nie zdaje sobie sprawy.
– Matys wie tyle, ile chce wiedzieć, a cel uświęca środki.
– Cel? Jego celem, z tego co wiem, jest odkrycie sposobu leczenia gruźlicy, a w tym przypadku każda informacja dotycząca naszego stanu zdrowia jest istotna. Jeżeli cudowna, wzbogacająca chryzoterapia, którą wymyślił, zmienia nieodwracalnie nasze dusze, może się okazać całkowicie chybiona, a nawet szkodliwa!
– Mylisz się. Proces leczenia nie zawsze jest przyjemny, podobnie jak proces dorastania i przechodzenia na wyższy stopień rozwoju.
– O czym ty mówisz?
– Przypomnij sobie, gdy z dziecka zamieniałaś się w kobietę. Nie wszystkie aspekty były radosne, a jednak, gdy stałaś się w pełni ukształtowanym, dojrzałym człowiekiem, rozumiesz już, że wszystko to czemuś służyło.
– Nie wiem, dlaczego łączysz to z naszą terapią!
– W taki, miła Nusi, że być może to, co uważasz za „efekty uboczne”, jest ważniejsze i cenniejsze niż podstawowy cel eksperymentu.
– Nie rozumiem! – wykrzykuję wyprowadzona z równowagi jej niejasnymi uwagami, wypowiadanymi w dodatku obraźliwie protekcyjnym tonem.
– I to właśnie jest twój problem. Widzisz, a nie dostrzegasz. Powinnaś być wdzięczna, u ciebie wszystko przebiega znacznie prędzej, niż przebiegało w moim przypadku. Czy wiesz, ile czasu minęło, nim zobaczyłam pierwsze odpryski?
– Jakie odpryski?
– Te, które ty nazywasz echem. Półtora roku. Półtora diabelnie męczącego roku bezustannego niepokoju. Poczucia, że wokół mnie coś się zmienia, że coś jest tuż, na wyciągnięcie ręki, a ja nie potrafię tego pochwycić i zrozumieć. Słowa i dźwięki, których nie umiałam dosłyszeć, obrazy, którym nie potrafiłam uważnie się przyjrzeć. Nowa receptura działa znacznie prędzej niż poprzednia, zresztą zgodnie z oczekiwaniami Matysa, choć przy całym swoim geniuszu nie jest on nawet w stanie pojąć, co tak naprawdę wynalazł. Radzę ci, żebyś więcej z nim nie rozmawiała o swoich... słabościach, bo możesz zaszkodzić wszystkim. Przede wszystkim mnie, a tego nigdy bym ci nie wybaczyła. I musiałabym coś z tym zrobić. Jeśli mnie dobrze rozumiesz.
– To groźba – stwierdzam zdumionym głosem.
– Ostrzeżenie.
– Ten chłopak... Syn kucharki...
– Rozczarowujesz mnie – przerywa mi Ira. – To takie przykre, że ludzie wokół mnie prędzej czy później przynoszą mi wyłącznie rozczarowania. Myślałam, że tak uporczywie wyszukujesz problemy wokół siebie, bo nie radzisz sobie z tymi, które nosisz w sobie, że próbujesz je zrównoważyć. Sądziłam nawet, że jest to element twojego procesu zdrowienia. Bo obowiązkiem pełnowartościowego człowieka jest bycie zdrowym, a poczucie szczęścia jest nieodłączne dla tego stanu. Lecz prawda jest taka, że chwytasz się kurczowo tych zewnętrznych, wyimaginowanych dramatów tylko po to, by odwrócić swoją uwagę od siebie. Z czystego tchórzostwa. Żeby

nie być zmuszoną do rozliczenia się ze wspomnieniami i z tym, czego doświadczyłaś i co zrobiłaś. Ty wcale nie chcesz być szczęśliwa, wręcz boisz się tego! To takie... Małe.

– Jak to zrobiłaś? – pytam szeptem.

Ira spogląda na mnie w taki sposób, że słowa więzną mi w krtani.

– Jesteś głupsza, niż sądziłam. Szkoda, naprawdę myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. A teraz, przy mniejszej dawce, zostaniecie w tyle. Ty i ta śmieszna dziewczynka. No, tymczasem, bywaj. I przekaz pozdrowienia ode mnie swojemu... Adamowi – dodaje ironicznym tonem.

Popycha skrzydło przeszkolnych drzwi, które wraca z przeciągłym piskiem nienaoliwionych zawiasów, a potem odbija i wraca, odbija i wraca, odbija i wraca – coraz wolniej i wolniej... Zostaję sama na korytarzu zapomnianego oddziału dziecięcego. Przez okna sący się blade światło listopadowego dnia.

Czuję, że za chwilę się rozplączę. Najgorsze, że nie umiem jej znienawidzić, wtedy przecież wszystko stałoby się o niebo prostsze. Wiem, że ma rację, bo przecież musi ją mieć – my, numery Dreslera (*stado*), wiemy teraz dużo. Może nie wszystko. Lecz sporo. Podchodzę do szyby i wyglądam na zewnątrz. Spiętrzona aż pod niebo czarna fala lesistych zboczy wisi nad Sanato zatrzymana w swoim złośliwym pędzie. Drży i się chwieje. Tam w oddali, między drzewami żyją jakieś zwierzęta, nawet ludzie, ale choć wiem o tym, wydaje mi się to niemożliwe. Odległość zaciera szczegóły, zmienia las w jednorodną, złowrogą masę skłębionej materii, której jedynym celem istnienia jest starcie na proch wszystkiego, co nie może się równać z jej ogromem.

Kiedy przyglądam się górom, których – dopiero teraz to do mnie dociera – nienawidzę z całej duszy, na okiennej szybie osiada pojedynczy gruby, biały płatek śniegu. Za nim z nieba spada kolejny, potem następny, a po kilkunastu sekundach ciemny masyw niknie za gęstą, świetlistą zasłoną. Ten śnieg nie stopnieje nazajutrz, będzie leżał aż do wiosny. Zima zaczęła się na dobre.

Za moimi plecami rozlega się nagle donośny tupot butów, towarzyszy mu jęklive skrzypienie metalu. Oglądam się, ale udaje mi się zobaczyć już tylko nogawki spodni Dreslera, który szybko wspina się stalowymi schodkami na antresolę. Z metalowych stopni osypują się drobinki rdzy.

– Panie doktorze! – wołam, ale nie przystaje nawet.

Przez chwilę słyszę jeszcze jego zamierające nade mną kroki. Zapada cisza.

Powinnam wrócić do Adama, niedługo obiad. Czy dziś znowu zamówimy jedzenie do pokoju? Nie, nie powinnam, choć mam ochotę. Moja nieobecność w jadalni mogłaby zostać potraktowana jako ucieczka, jako przejaw słabości. A najsłabsi w stadzie są najczęściej eliminowani przez resztę lub przynajmniej stają się celem ataku, na którego odparcie na razie nie jestem gotowa. Muszę jakoś załagodzić sytuację, pogodzić się z Iżą, tymczasem gromadząc siły, bym mogła zaatakować pierwsza. Najskuteczniejszą obroną jest przecież atak. Najprościej byłoby oczywiście spakować kufry i wyjechać z Sanato, lecz tego przecież nie mogę zrobić. Nie przed końcem terapii. Żałuję, że nie zabrałam zegarka, ale chyba nawet tu dosłyszę gong wzywający na posiłek.

Odchodzę od okna i staję pośrodku korytarza. Wokół mnie panuje absolutna cisza. Całkowity bezruch, nawet powietrze zastygło. Zostałam w nim uwięziona niczym mucha w bursztynie. Nieoczekiwanie w mojej głowie pojawia się absurdalna wizja – oprócz mnie w Sanato nie ma nikogo. Zniknęli mieszkańcy i personel, zniknął Klitowicz, Dresler, Ira, pielęgniarki, nawet Adam. Zapomniano mnie tak, jak zapomniano kobietę z łazienki i mężczyznę ze ściany. Stałam się jeszcze jednym z niebytów tego miejsca. Próbuję odpędzić to wyobrażenie, ale ono nabiera mocy. Robi mi się chłodno, splatam ręce na piersiach, sama siebie próbuję zamknąć w objęciach.

– To głupie – mówię. Mój głos brzmi głucho, jakby dobiegał zza ściany, z sąsiedniego pomieszczenia.

Przez sekundę ogarnia mnie panika, a potem się poddaję i odpuszczam – tak jak podczas jazdy na karuzeli, gdy człowiek przestaje spinać mięśnie i pozwala się porwać w górę niczym szmaciana lalka. Czuję zawrót głowy, a potem słyszę nadciągającą zza moich pleców szumiącą falę. Brzmi to tak, jakby ktoś sypał na posadzkę piasek. Dźwięk narasta, otacza mnie i przepływa nade mną. Podnoszę oczy i widzę, jak przybrudzona, niegdyś biała farba na suficie pokrywa się gęstniejącą siatką pęknięć. Z suchym trzaskiem zaczyna się łuszczyć, kruche płatki spadają mi na ramiona, włosy i twarz. Jak śnieg. Spod farby wygląda brunatny tynk. Patrzę w bok, na osypujące się lamperie malowane farbą olejną, na ciemniejące, rozsychnięte się i pękające futryny drzwi. Pod ścianami gromadzą się zbrązowiałe liście, kawałki zmiętego papieru, gałęzie. Ceramiczne płytki pękają pod moimi stopami i rozpadają się, odsłaniając zawilgotniały, czarny cement. Gdzieś daleko z głośnym brzękiem pęka okienna szyba, potem następna i kolejna. Sanato drży wstrząsane hukami pękających murów. Odruchowo krzyczę ze strachu i odskakuję w tył, gdy część sufitu spada na podłogę, wzbijając tuman szarego pyłu. Mój głos wibruje w przestrzeni, wraca odbity echem i znowu odpływa, a gdy milknie wreszcie, czas się zatrzymuje. Drobiniki kurzu, kilka pędzących w dół kawałków gruzu, odprysk szkła zawisają nieruchomo w zapyłonym powietrzu. Przez moment wpatruję się w nie, znowu otwierając usta w niemym zdumieniu. Podchodzę ostrożnie i popycham palcem unoszący się na wysokości mojej twarzy fragment cegły. Poddaje się dotykowi, odpływa wolno i kołysząc się nieznacznie, zatrzymuje kawałek dalej.

– Co się dzieje? – pytam, a mój głos brzmi dzwięcznie, jakby dobiegał z metalowej beczki.

Odwracam się – powietrze stawia lekki opór niczym woda, lecz wcale nie dławi oddechu jak ona. Włosy falują wokół mojej twarzy, odgarniam je powolnym gestem i wtedy ich widzę. Porcelanowy Chińczyk stoi w rozbitych wahadłowych drzwiach, kawałki szkła mieniają się wokół jego stóp. Trzyma za rękę dziewczynkę, może ośmio-, dziewięcioletnią. Dziecko jest czyste, uczesane schludnie w dwa warkocze, z których każdy przewiązано śnieżnobiałą, sztywną kokardą. Granatowa sukienka z angielskiej czesanki, szeroki, wykładany kołnierz z niemodnego od lat zestawienia dwóch warstw białych mediolańskich koronek, prążkowane pończochy i czarne, zapinane na błyszczące guziczki buciki – wszystko wygląda nieskazitelnie, niczym elementy garderoby na wystawowym manekinie. Dziewczynka patrzy na mnie poważnym, smutnym wzrokiem, ma chorobliwie rumiane policzki. Gdy się jej przyglądam, czuję, że brakuje mi tchu w piersi i jeżą mi się włosy na karku. Przenoszę więc oczy wyżej – na pozornie dobroniuszną twarz porcelanowego Chińczyka. Ten jest prawdziwy, prawdziwszy niż ten, którego spotkałam w Sanato. Pierwszy. To mój porcelanowy Chińczyk, nie tamten mały i cenny z za szyby witryny, lecz ten wielkości naturalnej i wart niewiele, choć dla mnie samej znacznie ważniejszy. Ten, który odwiedzał nas regularnie przed wielu laty, którego spotykałam, z którym rozmawiałam, bawiłam się i który, w co wierzyłam, był moim przyjacielem, a przynajmniej własnością. Ten, którego wspomnienie tak starannie wymazałam z pamięci. Jego policzki poznaczone są jak zwykle śladami sady, wodniste oczka połyskują bezrozumną wesołością, a szerokie, bezwargie usta odsłaniają drobne, rzadko rozstawione zęby. Porcelanowy Chińczyk z namaszczeniem kiwa mi głową na powitanie i wszystko wraca na swoje miejsce – gruz podrywa się z podłogi, wznosi się zawierucha złuszczonej farby, liście, gałęzie i papiery mkną w szalonym wirze wysane przez uciekające pustymi oknami powietrze, a ich śladem pędzą okruchy szkła – szybują na swoje miejsca w futrynach i z przenikliwym, krótkim brzękiem scalają się w jednolite powierzchnie szyb. Oddział dziecięcy jest taki jak dawniej, to znaczy – jak teraz. Przez moment. Bo strumień czasu nie zatrzymuje się, mknie nadal wstecz. Znienacka otacza mnie chmara ludzi, dzieci w długich, białych koszulkach, pielęgniarki – roją się wokół mnie jak stonogi. Ściany jaśnieją blaskiem, wracają na nie barwne plansze i obrazy. Podłoga zaczyna wirować pod moimi stopami... Nie, to ja wiruję.

Kręcę się niczym bączek, przenikam przez stropy i wznoszę się nad budynek. Sanato obraca się pod moimi stopami, widzę ciemnoczerwone, połyskujące nowością dachówki, smugi szarego dymu wciągane przez kominy. Światło nabiera oślepiającego blasku, zaciskam powieki, wiatr szarpie moją sukienkę. Rozlega się głuchy huk – jakby ktoś strzelił z nadmuchanej papierowej torby. Blask przygasa. Otwieram oczy.

Stoję obok pieca. Pokój nadal wydaje mi się duży, choć gdy ostatni raz w nim byłam, miałam kilkanaście lat. W tym miejscu zimą przystawał na chwilę każdy z domowników, aby się ogrzać, bo podczas mroźnych dni w naszym salonie zawsze panował ziąb.

– Widzisz? – mówię do Ignasia. – Jest taki sam jak ty!

Chłopak przechyla głowę i przygląda się figurce wyteżonym wzrokiem. Wystawia język w tym właściwym sobie jałowym, bezmyślnym zamyśleniu.

– On też tak robi. Jeśli trąci się go palcem – mówię, a potem wbijam rękę w brzuch Ignasia.

Chłopak zaśmiewa się i macha rękami. Porcelanowy Chińczyk. Powinam przestać, ale oczywiście nie przestaję. Stoję nadal obok pieca, a zarazem tuż przy Ignasiu, przed szybą witryny mojej matki. Między mną dorosłą a mną dziecinną, dziesięcioletnią leży płachta płótna. Drzwiczki od pieca są szeroko otwarte. Na uwalanym sadzami prześcieradle – drucziana szczotka do czyszczenia komina i stalowy, czteroramienny hak, który kojarzy mi się z kotwicą.

– Jest brzydki – mówi Ignas.

– Zupełnie tak jak ty – odpowiadam. – Czy nie jesteś brzydki?

– Nie wiem.

– Jestem brzydki, powtórz.

– Jestem brzydki.

– Bardzo brzydki.

– Bardzo brzydki.

Lubię Ignasia. Równie mocno jak kota naszej konsjerżki. Ale Ignas, w przeciwieństwie do tego zwierzaka, budzi we mnie pewien instynkt. Zły instynkt, wiem to, jestem już przecież duża. Zły, lecz jednocześnie słodko odurzający, niosący dreszcz, falę mrowienia na karku i boleśnie rozkoszny skurcz szczęk. Kota szanuję, nauczył mnie tego, ale Ignasia szanować nie muszę, z Ignasiem mogę zrobić, co chcę. Ignas mnie wielbi, widzi we mnie Boga – tak sędzę przynajmniej. Choć jest taki duży, szeroki, ma mocne ramiona i dłonie wielkie jak łopaty, boi się mnie. Mam nad nim cudownie rozkoszną przewagę, z której bez wahania korzystam, gdy tylko nadarza się ku temu sposobność. Właściwie moje uczucie do niego to coś więcej niż przyjaźń. Kocham go, a gdy odchodzi, chwilami jestem niemal chora z tęsknoty za nim. Chwilami.

– Połóż się!

Ignas kładzie się na wznak. Obie ręce przyciska do ciała, wytrzeszczone niebieskie oczka wbija w moją twarz. Biorę się pod boki i patrzę na niego z góry.

– Ponieś koszulę!

Ignas posłusznie wyciąga poły koszuli z portek, zadziera kurtkę i odsłania białe, galaretowate brzuch. Zbieram ślinę na języku, odcharkuję, a potem spluwam na odsłoniętą spoconą skórę.

– Jesteś wstrętny – mówię do niego.

Ignas leży, uśmiecha się do mnie. Broda porośnięta rzadkimi, jasnymi włosami drży mu nieco, a ten widok wywołuje falę ciepła na moim karku. Dlaczego nikt nie zauważył tego, co się działo?

– Wstań! – mówię rozkazującym tonem.

Ignas podnosi się niezdarnie, przytrzymując zadarte poły kurtki i koszulę nad nagim brzu-

chem. Zastanawiam się, co mogę zrobić jeszcze. Możliwości jest wiele, sporo z nich już wypróbowałam – Ignas odwiedza nas raz w miesiącu od ponad roku i za każdym razem udaje mi się zostać z nim sam na sam. Matka nienawidzi brudu, wychodzi do cukierni, gdy Ignas ma się pojawić. Ojciec zamyka się w gabinecie, kucharka w kuchni, a pokojówka, korzystając z chwili wytchnienia, biegnie do Ogrodu Saskiego lub sterczy na podwórku zajęta plotkowaniem z innymi służącymi. Mogłabym zbić go szczotką, deptać, skakać po jego brzuchu. Mogłabym kazać mu zdjąć spodnie, ale też mnie to nie bawi, bo wszystko, co się w nich skrywa, dokładnie już sobie obejrzałam i wyśmiałam. Okrucieństwo, w przeciwieństwie do apetytu, nie pozwala się zaspokajać stale w jeden i ten sam sposób. Rozrasta się, puchnie we mnie jak balon, domaga się więcej i więcej, podsuwając przy tym coraz to nowe, śmielsze koncepty jego złudnego zaspokojenia, do których realizacji moje własne ręce i nogi okazują się niewystarczające. Potrzeba mi jakiegoś narzędzia...

Rozglądam się po salonie. Niciak stoi przy fotelu, jednak na igły tymczasem nie mam chęci, może następnym razem. Komoda...

Żeliwna ozdobna gilotyna do cygar należała do mojego dziadka, wiem to od ojca, który sam rzadko z niej korzysta, ale – ku utrapieniu matki – nie pozwala usunąć jej z pokoju. Jest ostra, wiem to, bo obciąłam nią kiedyś rękę mojej szmacianej lalce. Później było mi żal, płakałam – jaka szkoda, że byłam zbyt mała, aby wyciągnąć z tego wniosek.

– Chodź tutaj! – rozkazuję.

Ignas idzie za mną bezwolnie. Gilotyna wygląda trochę jak miniatura stołu – jest prostokątna i ma cztery wysokie, fikuśnie wywinięte nóżki. Niegdyś pomalowano ją ciemnozieloną farbą, która jednak starła się przez lata. Przyglądam się jej niezdecydowana, wreszcie sięgam i unoszę uchwyt dźwigni. Ignas dyszy nade mną.

– Co to? – pyta.

– Zobaczysz – mówię tajemniczym głosem. – Połóż tu rękę. Nie tak, głupku! Tu włóż palec!

Próbuję wepchnąć jego kciuk w otwór, do którego wsuwa się cygara, ale okazuje się zbyt gruby, co niepomrotnie mnie złości. Biję go po ręce, a potem przesuwam dłoń chłopaka i chwytam jego wskazujący palec.

– No, wsadźże tu tego palucha! – mówię. – Głęboko!

Ignas gapi się na gilotynę z głupkowato rozchylonymi ustami. Oczy ma pełne łez. Coś się stanie, coś się stanie...

Staję na palcach, zaciskam usta i kładę obie dłonie na uchwycie gilotyny. Podskakuję i opieram się na niej całym ciężarem ciała. Chrup. Poszło łatwiej niż z lalką, jestem tym zaskoczona. Ignas nagle wyszarpuje rękę z gilotyny, która przesuwa się po blacie komody, zostawiając za sobą wyraźne rozory w politurze, a potem spada z hukiem na dywan. Mój porcelanowy Chińczyk patrzy na swoją okaleczoną dłoń z niemal komicznym zdumieniem, a ja czuję, jak jeżą mi się włosy na karku. Wytrzeszczam oczy w panicznym przerażeniu. Co ja zrobiłam?! Usta Ignasia układają się w równiutkie „o”, policzki bledną jeszcze bardziej. Z uciętego tuż przed środkowym stawem palca tryska fontanna krwi, jasnej, prawie pomarańczowej. Ochlapuje komodę, dywan, spada na moją nową granatową sukienkę. Unoszę dłonie do twarzy, wbijam paznokcie w policzki i zaczynam wrzeszczeć. Nie mogę przestać, wyję jak zarzynany wieprz. Ignas trzepocze ręką, krew bryzga na ścianę, chłopak kiwa się tam i nazad, wystawiając język jak...

Opieram się ciężko o piec, oczy wypełniają mi gorące łzy. Miałam dziesięć lat, byłam dzieckiem. Dlaczego nikt nie zauważył tego, co się działo? Najgorsze, że już wiem, co teraz będzie, bo to nie koniec przecież. A ja wiem, co będzie...

Drzwi otwierają się gwałtownie, jedno skrzydło wali w ścianę, spada aksamitna portiera.

Ojciec wpada do salonu, zaraz za nim pędzi kucharka. Drę się blada jak trup, ochlapana krwią, wytrzeszczam na nich pełne zgrozy oczy. Nade mną chwieje się porcelanowy Chińczyk, macha rękami, wystawia i chowa język, płaska twarz kołysze się na boki... Co mogli pomyśleć? Co pomyślałabym na ich miejscu? Kucharka wrzeszczy, a ojciec, niewiele myśląc, schyla się i chwytając leżący u moich stóp stalowy hak do zdrapywania sadzy – trwa to krócej niż mgnienie oka. Hak jest po prostu stalowym krzyżakiem przyspawanym do prostego drążka – dlaczego kojarzył mi się z kotwicą? Patrzę, jak ojciec unosi hak nad głowę, jednym susem doskakuje do Ignasia – widzę go z tyłu i z przodu, patrzę oczami mnie dawnej i mnie terażniejszej, a od tego rozdwojonego obrazu zaczyna mnie boleć głowa. Ojciec już w biegu bierze szeroki zamach, hak tnie powietrze ze świstem, szybuje łukiem, wycelowany jednym z zastrzonych ramion prosto w porcelanową skroń. Wciąż krzyczę – od tego krzyku robi mi się ciemno w oczach. Ogarnia mnie nagła słabość, nogi odmawiają posłuszeństwa. Upadam sekundę wcześniej, nim na dywan zwali się Ignasz. Przygniata mnie tym swoim wielkim, białym, niezdarnym cielskiem, ale prawie tego nie czuję. Pokój, ojciec, kucharka, ja i on zaczynają wirować wokół mnie. Wyciągam rękę, aby przytrzymać się pieca, ale moja dłoń przenika przez kafle. Tracę równowagę i upadam na kolana – prosto na bordowo-żółtą szachownicę kafelków pokrywających podłogę oddziału dziecięcego w Sanato.

(przecież ona bawiła się tylko)

Ira. Ona otworzyła moją głowę niczym skorupkę jajka. Przez krótką chwilę obezwładniająca nienawiść do niej aż zapiera mi dech w piersi, ale szybko uświadamiam sobie, że to uczucie jest jedynie fintą, kolejnym fortem mojego przerażonego rozumu. Tak naprawdę nienawidzę samej siebie. A oni wiedzą. Wiedzą o wszystkim – dowiedzieli się tak samo, jak ja poznałam sekrety pokojówki, plany pielęgniarki, skrywane namiętności Klitowicza. Jak odgadłam brudne grzeszki kilkorga pensjonariuszy. Oni mnie przejrzeni. Natomiast ja starałam się nie spoglądać w ich kierunku, nie chciałam wiedzieć zbyt dużo, bo przecież skazana jestem na to towarzystwo jeszcze przez pewien czas. Przeraża mnie, że teraz będę oglądała siebie ich oczami. Nie uda mi się uciekać dłużej od tego, co zrobiłam i czego nie mogę samej sobie wybaczyć. Dziecięca niewinność jest kłamstwem wymyślonym przez dorosłych, którzy po prostu sami znowu chcieliby być dziećmi. Świat bywa tak samo mroczny i pełnowymiarowy, gdy ma się dziesięć lat, jak i później, a grzechy popełniane w dzieciństwie mają wymiar równie ostateczny. Nawet jeśli w oczach dorosłego znajdują usprawiedliwienie lub zostają sprowadzone do wypadku, ja wiem, że to, co zrobiłam, zrobiłam rozmyślnie. Co z tego, że nie umiałam pojąć konsekwencji? Byłam tym samym człowiekiem, którym wciąż jestem. Od tamtej Nusi dzieli mnie tylko czas, który upłynął, wiedza, którą wchłonęłam, i doświadczenie, którego nabrałam. Jestem tym samym punktem na linii tego samego wektora, znajduję się jedynie w innym miejscu. Nic mnie nie usprawiedliwia przede mną samą.

Ignasz nie umarł od ciosu, który zadał mu mój ojciec, a tak byłoby dla niego lepiej. Być może żyje jeszcze, choć wydaje mi się to wątpliwe – uszkodzenie mózgu było bardzo poważne i choć wydobrzył nieco, poruszał się o własnych siłach, jadł i oddychał, nikomu zapewne nie chciałoby się zajmować nim tak długo. A od stałej opieki był już potem uzależniony – stracił zdolność mowy i został uwięziony w innym, obcym, nieodgadzionym świecie, tracąc resztki i tak już wcześniej ograniczonego kontaktu z rzeczywistością. Wiem to z podsłuchanych rozmów, bo nikt mi o tym oczywiście nie powiedział. Nie spotkała mnie też żadna kara, wszyscy udawali, że nic się nie stało, choć – przynajmniej to jedno – nie próbowałam kłamać, nie wymyśliłam jakiejś historyjki obarczającej Ignasia winą za wydarzenie, które rozegrało się w naszym salonie jesienią 1919 roku. Matka zmarła rok później na udar. Miała zaledwie trzydzieści lat, a choć jej stosunek do mnie nigdy się nie zmienił, nie potrafiłam wyzbyć się przekonania, że byłam winna jej śmierci

– przynajmniej po części. O wszystkim rozmawiałam tylko z księdzem. Powiedział mi, że dopóki nie wezmę na siebie odpowiedzialności za to, co uczyniłam – a sama muszę zdecydować, jak wiele jej przyjmę i kiedy – dopóty nie będę mogła uwolnić się i żyć normalnie. Te słowa brzmiały mądrze, jednak nie były prawdziwe, bo przecież ja tę odpowiedzialność przyjąłam i przez to właśnie poczucie winy dławiło mnie i krępowało każdy ruch. Dopiero gdy przeprowadziliśmy się do innego domu, gdy zniknęła kucharka i większość znajomych mebli, udało mi się odepchnąć wspomnienie tamtego jesiennego dnia. Zamknęłam je w czarnym, płaskim, obitym aksamitem pudełku – podobnym do jednego z tych zbytecznych już etui po biżuterii, z którymi tak trudno się rozstać, choć nie służą niczemu i latami zalegają w jakimś zakamarku szuflady – a potem ukryłam je na samym dnie pamięci. Stało się to tego samego dnia, gdy wyniosłam warte-go majątek porcelanowego Chińczyka mojej matki na balkon i przypadkowo wypuściłam z rąk. Nie patrzyłam na jego krótki lot ku ostatecznej zagładzie, która czekała figurynkę na bruku podwórka, wróciłam pospiesznie do mieszkania. Nie dosłyszałam nawet brzęku z jakim rozpadła się na kawałki miśnieńska porcelana. Nic się nie stało – ani wtedy, ani nigdy. Aż do teraz.

I to nie Ira jest winna temu, że poznałam swój głęboko skrywany sekret. Dlaczego, skoro posiadałam zdolność odczytywania tajemnic innych, miałabym nie poznać także własnej? To część tego, co Ira nazwała procesem, choć spierałabym się z nią w kwestii „zdrowienia”. Kuracja Dreslera przynosi zatrważające efekty, a przecież jesteśmy zaledwie na jej początku.

ROZDZIAŁ XIII

PAUZA

Poniedziałek, 2 listopada 1931 roku

Wczesne godziny ranne dadzą powody do niezadowolenia przede wszystkim przez wzgląd na pewną nerwowość i możliwość nieoczekiwanych niepokojów lub złudzeń rozwianych.

Godziny obiadowe sprzyjać będą zawieraniu znajomości z osobami płci odmiennej, załatwianiu spraw towarzyskich, wycieczkom i wizytom.

Wieczór również nieźle się zapowiada i może nam przynieść zainteresowania artystyczne i towarzyskie. Nie wychodź.

Dziś unikaj: drabin, wody, kotar, osób raptownych, barwy brązowej, czerwonego mięsa, ze stopów metali – brązu, a z kamieni – nefrytów.

Jadalnia jest wyludniona, ponad połowa krzesel stoi pusta. Nie sądzę, aby wszyscy nagle zapragnęli skorzystać z możliwości zjedzenia śniadania we własnych pokojach. Także w naszym zakątku ubyło stołowników. Nie ma Pawłowicza i Judesy. Woskowoblada Albina, która dziś wygląda znacznie starszej, niż wskazywałaby na to jej metryka, zerka nerwowo, a gdy udaje mi się na moment pochwycić jej spojrzenie, wiem, że to podenerwowanie podyktowane jest perspektywą wyjazdu zaplanowanego na dzisiejsze późne popołudnie. Ona także ucieka.

Ira natomiast zachowuje się jakby nigdy nic. W prostej, bladuróżowej sukni, z rozpuszczonymi włosami wygląda kwitnąco. Gdy siadam na swoim krześle, ściska mnie za łokieć.

– Jak miło cię widzieć.

Patrzę na nią badawczo, ale nie wyczuwam ironii. Nie wyczuwam niczego – uświadamiam sobie, że pomimo moich nowych nadnaturalnych zdolności nie umiem odgadnąć sekretów numeru zero. Jestem w tyle. Biorę więc jej powitanie serio i uśmiecham się z wdzięcznością w odpowiedzi.

– Pustawo – stwierdza Janek, kiwając głową w stronę sali.

– Tak. Jakie to odświeżające – mówi Ira. – Niedługo zostaną tylko najlepsi. Szczury zmykają.

Albina potrąca szklanekę, która przewraca się na stół. Na obrusie szybko rozrasta się ciemna plama wina, Dorcia chichocze krótko.

Za oknami rozpościera się bezkresna biała pustka, odbite od śniegu światło równomiernie rozjaśnia sufit i ściany jadalni, zaciera cienie. Pomieszczenie wydaje się odrealnione, jakbyśmy znaleźli się w mesie podniebnego lub podwodnego statku. Świat na zewnątrz stracił wszystkie barwy, stał się absolutnie neutralny, pozbawiony perspektywy. Jesteśmy poza nim. Próbuję dostrzec zarys widmowych drzwi w ścianie nieopodal – widzę zaledwie ich przecucie, a gdy odwracam głowę, znika nawet ono. Czuję ulgę i przyływ nieśmiałej nadziei. Czy to możliwe, że niepożądane skutki zastrzyków ustają? Postanawiam wierzyć, że tak. Gdy szłam z Adamem przez hol, cień drzewa także był niemal niewidoczny. A może nadwrażliwość była jednak przejściowym efektem chryzoterapii? Może mój organizm przystosował się do preparatu i wraca do normy? Jeśli tak jest, to za dzień, może dwa będę taka sama jak wcześniej.

Ira przygląda mi się uważnie, a gdy odwracam głowę w jej stronę, błyskawicznie rozpogadza twarz.

– Jak ci z tym? – pyta niewinnym głosem.

Już mam odpowiedzieć, że nie wiem, o czym mówi, ale tego nie robię. Bo ona oczywiście wie. Ignasz patrzy na mnie z góry, porcelanowy Chińczyk kiwa się w swoim niepowstrzymanym, epileptycznym transie za szybą witryny (*chrup*). Zaciskam gniewnie usta i odwracam wzrok.

– Przeżyję – mówię.

Ira śmieje się, jakbym powiedziała coś bardzo zabawnego, ale ja wierzę w to, co mówię. Nawet mi na myśl nie przychodzi, że po prostu wchodzę na nowy poziom percepcji, pozostawiając za sobą te niewinne echa ludzi, drzew i przedmiotów. Przestaję być tylko biernym obserwatorem. Energia wokół mnie scala się w materię, lecz nim to dostrzegę, będzie za późno. Znalazłam się w oku cyklonu, który rośnie wokół mnie z zawrotną prędkością.

*

– Zostanę z tobą – mówię do Adama, gdy po obiedzie wracamy do naszego pokoju.

– Dobrze – odpowiada.

Wychodzimy na balkon. Powietrze jest mroźnie sterylne, białe góry zlały się w jedno z białym niebem. Rozproszone światło razi mnie w oczy i wyciska z nich łzy. Zniknęły nawet zapachy, nie czuję na twarzy najłżejszego powiewu wiatru. Przysuwam swój leżak do leżaka Adama, kładziemy się i okrywamy pledami podbitymi króliczym futrem. Zaciskam powieki, zdejmuję rękawiczkę i chwytam go za rękę. Jest gorąca.

– Nie poradziłabym sobie bez ciebie – mówię.

– Poradziłabyś. Zobaczysz.

– Nie. Nie wolno ci mnie zostawić.

– Wiem – odpowiada Adam, a jego dłoń wiotczeje w mojej dłoni.

Ściskam więc mocniej palce męża, nie pozwalam im uciec, ale robią się coraz bardziej śliskie, coraz bardziej miękkie, wysuwają mi się...

– Adam? – otwieram oczy, a białe światło oślepia mnie na moment.

Mrużąc powieki, patrzę na sąsiedni leżak, łzy rozmazują obraz. Mrugam kilkakrotnie, próbując wyostrzyć wzrok.

– Adaś?

Widzę. Powietrze ze świstem umyka z mojego płuca, cofam rękę jak oparzona. Na leżaku obok leży pod pledem kobieta z łazienki. Białymi, niewidzącymi oczami nieruchomo wpatruje się w świetlistą przestrzeń, zapadnięta pierś podnosi się i opada powoli, z trudem. Sterczące kości niemal przebijają wiotką, cienką skórę. Nagle jej usta poruszają się nieznacznie, jakby próbowała coś powiedzieć. Z cichym stęknieniem wypuszcza oddech, jej klatka piersiowa zapada się i już nie podnosi. Broda opada powoli, wąskie, sine wargi się rozwierają. Coraz szerzej i szerzej. Szczeka rozdziawia się aż do niemożliwości, dotyka mostka, skóra policzków napina się jak membrana. Głowa, odpychana od ciała podbródkiem, odchyła się coraz dalej, leżak trzeszczy. Zakrywam dłonią usta, drugą zaciskam pod gardłem, wciąż brakuje mi tchu, by wrzasnąć. Zasnu-te bielmem oczy obracają się w moim kierunku, niemal wychodzą z orbit. Coś białego wysuwa się z groteskowo rozwartych ust – bawełniana tasiemka z nabazgranym czerwoną farbą numerem wypełza na policzek...

– Nie patrz – szepce Adam.

Nareszcie udaje mi się zaczerpnąć oddech. Zrywam się i siadam na leżaku, wciągając łapczywie powietrze, zbierając siły do krzyku.

– Zejdziemy dziś na kolację?

Odwracam głowę i patrzę na Adama, który leży obok mnie. Kapelusz zsunął na oczy, ręce ma ukryte pod pledem. Jego jasny podbródek, już zaznaczony granatowym cieniem zarostu, wyraźnie odcina się od ciemnej wełny.

– Co?

– Pytam, czy chcesz zejść na kolację?

Oddycham z trudem, machinalnie oblizuję spierzchnięte od mrozu wargi. Ramię piecze mnie w miejscu, gdzie dziś Dresler wstrzyknął mi porcję swojego koktajlu. Pali jak ogień, ale ten ból jest orzeźwiający. Odrzucam pled i wstaję z leżaka.

– Nie wiem – odpowiadam drżącym głosem. – Muszę wyjść.

– Dokąd?

Milczę. Wracam do pokoju, rzucam płaszcz na łóżko i prawie wybiegam na korytarz.

*

– Doktor Dresler jest znakomitym fachowcem! – Klitowicz potrząsa ze zniecierpliwieniem głową. – Powinna pani po prostu podporządkować się jego zaleceniom.

– Nerwy doszczętnie odmawiają mi posłuszeństwa. Przez te zastrzyki niemal przestałam sypiać – mówię prawie płaczącym tonem.

– Przypominam, że dobrowolnie przystąpiła pani do eksperymentu.

– Co z tego? – prawie krzyczę. – Pan musi mi pomóc!

– Z panią od początku były same problemy. – Klitowicz gwałtownym ruchem odpycha się od biurka i wstaje z fotela. – Nic nie mogę zrobić.

Splata dłonie za plecami i nerwowo krąży po swoim schludnym zazwyczaj gabinecie, który teraz przypomina raczej pobojowisko. Szuflady kartoteki są wysunięte, teczki pacjentów zaścielają podłogę, a na biurku piętrzy się stos papierów.

– Proszę tylko o coś na sen. Na uspokojenie.

– Nie mogę pani niczego zaordynować, bo nie mam żadnej gwarancji, czy lek w połączeniu ze specyfiką Dreslera nie wywoła niepożądaną reakcji. Musi pani najpierw z nim to skonsultować!

– Ale przecież pan jest tu głównym lekarzem...

– Kobieto, niechże pani raczy pojąć, że ja w tej chwili naprawdę mam ważniejsze rzeczy na głowie niż pani histerie! Czy pani nie pojmuję, że nasza placówka znalazła się na krawędzi przepaści? W ciągu kilku dni Sanato opuściło trzydziestu sześciu stałych pensjonariuszy! Trzydziestu sześciu! Znaczna część nawet nie raczyła poinformować mnie oficjalnie o swoim wyjeździe! Po prostu zniknęli. I nie mam nikogo chętnego na ich miejsca! Czy pani zdaje sobie sprawę, co to oznacza dla Sanato o tej porze roku? Przy tych kosztach ogrzewania i transportu żywności? Będę musiał zredukować personel do niezbędnego minimum aż do wiosny!

– Ja też jestem pensjonariuszką – mówię z godnością. – Płacę za każdy dzień.

Klitowicz zatrzymuje się przede mną i sapie ze złości. Patrę z dołu w jego oczy i nie opuszczam wzroku, choć zaczyna mnie boleć szyja.

– Dobrze! Zlecę pielęgniarce, żeby coś pani podała. Na pani własną odpowiedzialność! Coś jeszcze? Naprawdę mam mnóstwo zajęć.

– Powinien pan porozmawiać z innymi, dowiedzieć się... – zaczynam, ale Klitowicz spogląda nagle za mnie i jego twarz robi się najpierw czerwona jak piwonia, a następnie biała jak kartka papieru.

Stoi zdębiały przez kilka sekund, wreszcie odwraca się na pięcie, wybiega do sali operacyjnej i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Siedzę przez moment oniemiała ze zdumienia jego zachowaniem. Klitowicz stoi tuż za szybą z mrożonego szkła, widzę jego rozmazany kształt. Najwyraźniej czeka, aż wyjdę. Po dłuższej chwili wstaję z krzesła i już mam wyjść z gabinetu, gdy za moimi plecami rozlega się cichy szelest. Odwracam głowę. Wysokie drzwi z lewej strony biblioteki są uchylone. Szpara ma

kilkanaście centymetrów. Coś porusza się w środku, niepewnie podchodzę krok bliżej. Wyciągam rękę i dotykam chromowanej galki. Przecież w tej szafce są półki, nikt nie zdołałby się do niej wcisnąć. Dno mebla skrzypi, drzwiczki uchylają się szerzej. Cofam rękę jak oparzona. W środku stoi chłopak... Jest nagi. Błada, pergaminowa skóra jaśnieje w mroku, puste oczy wpatrują się we mnie błagalnie, w kąciку posiniałych warg czerni się zakrzepła krew. *Zacząło się... Zacząło się przed świtem, mój krzyk ich obudził, ojciec kazał zaprząć konie do sań, jechaliśmy przez las, ból był coraz silniejszy i dotarliśmy na miejsce przed południem, ale doktor nic nie...* Nie! Potrząsam głową, odwracam się i ruszam do wyjścia. Dostyc omamów jak na jeden dzień! Zatrząskuję za sobą drzwi i na korytarzu zatrzymuję się niezdecydowana – nie chcę na razie wracać do pokoju. Może zatem kawiarnia? Tak, to chyba dobry pomysł.

Gdy przechodzę przez hol, widzę, jak z zaśnieżonego podjazdu ruszają wyładowane sannie. Śnieg znowu sypie, biała nicość za oknami szarzeje. Omijam starannie wzrokiem miejsce, w którym chwieje się drżąca, niewyraźna kolumna cienia, przechodzę obok pustej dyżurki i skręcam w szeroki portal prowadzący do sali kawiarnianej. Przy stolikach nikogo nie ma, panuje półmrok, bo nie włączono jeszcze lamp. Przy wyjściu na werandę stoi Dorcia. Przytrzymuje dłonią odchylną kotarę, czoło opiera na okiennej szybie.

– Dorciu? – Podchodzę do niej szybko, uszczęśliwiona obecnością dziewczynki. – Co ty tu robisz?

Milczy. Na szybie wokół jej ust utworzyła się obwódka z pary. Jak długo tu stoi?

– On tam ciągle jest – mówi cicho.

– Kto?

– Ten chłopak.

– Nie opowiadaj głupstw. Dawno go zabrali. – Rzucam szybkie spojrzenie w stronę zaśnieżonego molo.

Nikt nie poskładał leżaków – urosły już na nich pokaźne śniegowe czapy. Rotunda jest prawie niewidoczna, przez zasłonę opadających z nieba płatków widzę tylko blade światelko latarni zamontowanej pod spiczastym dachem.

– Zabrali ciało – mówi Dorcia. – Ale on został. Jest mu zimno.

– On już niczego nie czuje.

– O, przeciwnie. – Dorcia odrywa czoło od szyby i patrzy na mnie z ukosa. – Teraz czuje znacznie więcej, niż czuł wcześniej. Tęskni za matką. Zabrali ją.

– Kto?

– Nie wiem. Jacyś ludzie. Zaraz po śniadaniu. Podobno straciła rozum.

– Brednie. Może zagramy w coś?

– W co?

– W warcaby. Do kolacji jeszcze czas.

Dorcia wzrusza ramionami, lecz odchodzi od okna. Zaciągam zasłonę, w kawiarni robi się ciemniej.

– Dlaczego nikt tu nie włączy lamp? – pytam z irytacją. – Zaczekaj.

Przechodzę do wejścia i szukam włącznika na ścianie, ale nie mogę go znaleźć. Nagle z przejścia do palarni pada smuga bladego światła.

– Dorcia?

Przechodzę szybko przez pomieszczenie i staję w drzwiach. Dziewczynka siedzi w jednym z foteli, na stoliku, obok mosiężnej podstawy wysokiej bankietowej lampy naftowej leży pudełko z warcabami. Żółty płomień pełga i migocze w pękatym kloszu z opalowego szkła, ożywiając w kątach palarni chwiejnie roztańczone cienie.

– Skąd wzięłaś tę lampę? – pytam.

– Stała tu.

– Najwyraźniej naprawdę postanowili oszczędzać – mówię, siadając na wprost niej w drugim fotelu. – Chyba nie pozbawią nas prądu do wiosny?

Dorcja milczy. Przysuwa do siebie kasetę, zwalnia zatrząsk i wysypuje pionki na stół.

– Coś się stało? – pytam.

– Ojciec był wczoraj.

– Zawsze w niedzielę cię odwiedza.

– Tak, ale teraz był po raz ostatni.

– Co ty pleciesz?

– Chciał mnie zabrać – mówi Dorcia. – Rozmawiał z Dreslerem.

– No i?

– No i nie zabrał.

– To rozumiałe. Żadne z nas nie może wyjechać przed końcem terapii. Dlaczego mówisz, że był po raz ostatni?

– Bo to wiem.

– Przecież cię kocha. Na pewno przyjedzie za tydzień.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo śnieg będzie zbyt duży.

– Dorciu, jesteś jakaś dziwna – kręcę głową i zaczynam rozstawiać pionki na szachownicy. – Myślę, że to ze względu na brak snu. A jak z Sebastianem?

– Tak samo.

– Zaprzyjaźniliście się?

Dziewczyna spogląda na mnie i prychna krótkim śmiechem, a potem mówi:

– Na tyle, na ile to możliwe w tej sytuacji.

– Nie bardzo rozumiem... – Podnoszę jeden z białych pionów i podsuwam go bliżej lampy. – Czy to kość słoniowa?

– Rozumiesz. Sebastian durzy się w Irze. Zrobi wszystko, co ona mu każe, a ponieważ kazała mu być dla mnie miłym, to taki jest. Ja jednak mam już zbyt dużo rozumu i wciąż jeszcze za mało cynizmu, aby mogło mi to wystarczyć.

– To naprawdę kość słoniowa – mamroczę, obracając w palcach rzeźbiony krążek. – Jak można coś tak cennego zostawiać w palarni?

Gdzieś w oddalonej części budynku trzaskają drzwi. Powietrze porusza się leniwie, kołysze liśćmi palmy, która szeleści sennie. Odkładam pion na szachownicę i przyglądam się wysokiej ceramicznej donicy.

– Tych palm tu nie było.

– Były.

– Kiedyś. Ale nie ostatnio.

– Skoro były, są. Gramy?

– Nie podoba mi się... – zaczynam, ale urywam, bo w tej samej chwili pod sufitem palarni rozświetlają się żyrandole. – Och, włączyli światło!

– Zapada zmrok – mówi Dorcia. – Wolisz białe czy czarne?

– Białe – decyduję szybko i uśmiecham się do niej.

Odpowiada bladym uśmiechem. Pochylam się nad szachownicą, a gdy po chwili podnoszę wzrok, widzę, że rząd palm w potężnych donicach zniknął. Jakiś mężczyzna wchodzi do palarni, na nasz widok zatrzymuje się z wahaniem, ale po chwili siada w jednym z foteli i rozpościera przed sobą płachtę gazety. Nie widzę stąd tytułu, lecz jedynie krzykliwy nagłówek

z wytłuszczoną nazwą miasta. Sarajewo.

– Twój ruch – mówi Dorcia. – Zaczynaj.

*

– Lecz jednak... – odzywa się Janek, nakładając na swój talerz porcję kurczaka na zimno – ...nawet jeśli współczesnemu społeczeństwu udałoby się jakimś cudem wdrożyć zasady eugeniki i uczynić z niej obowiązujące powszechnie prawo, to zgodnie z teorią Darwina na efekty trzeba by czekać dziesiątki, a nawet setki lat, bo wyeliminowanie niepożądaney cechy wymagałoby ścisłej selekcji i kontroli dziesiątek pokoleń.

– Tak. Setki lat – mówi Ira. – Być może nawet tysiące.

W jadalni część lamp jest wygaszona. Oprócz nas i reszty numerów Dreslera kolację je zaledwie kilkunastu pensjonariuszy. Za oknami przesuwają się powoli gęsta kotara padającego śniegu – gdy przyglądam się jej przez dłuższą chwilę, nabieram dziwnego przeświadczenia, że to nie śniegowe płatki spadają w dół, lecz my wznosimy się prędko w górę. Ta myśl wywołuje zawrót głowy i przez kilka sekund zdaje mi się, że tracę równowagę. Mimowolnie wyciągam rękę i zaciskam palce na ramieniu Adama.

– Więc to utopia – stwierdza Janek. – Nie wyobrażam sobie, aby istniała możliwość zaprowadzenia jakiegokolwiek prawa, które będzie jednakowo respektowane przez ludzi na przestrzeni tysięcy lat.

– Och, dlaczegoż by nie? Jezusowi przecież powiodło się to w zupełności – mówi beztrojskim tonem Ira, a Dorcia rzuca jej zgorzone spojrzenie. – Z pewnością nie ten aspekt wydaje mi się najbardziej wątpliwy.

– Nie? Jaki zatem?

– Czas – oznajmia Ira, a jej twarz ściąga się w wyrazie niechęci. – Najbardziej nie podoba mi się myśl, że miałabym rozpocząć jakieś działanie, którego efektów nie doświadczyłabym w najmniejszym stopniu.

– Lecz doświadczyłyby ich twoje dzieci – nieśmiało odzywa się Dorcia. – Przecież w życiu chodzi o to, aby budować lepsze jutro nie tylko dla nas, ale przede wszystkim dla naszych potomków.

– Problem w tym, że ja wcale nie chcę mieć dzieci – chłodnym tonem oznajmia Ira, a ja poruszam się nerwowo na krześle zarówno zszokowana, jak i pełna podziwu dla jej słów.

Sama nigdy nie odważyłabym się na publiczne wygłoszenie takiego oświadczenia. Ba, nie sformułowałabym go wyraźnie nawet w myślach, choć – co uświadamiam sobie w nagłym przeblysku oświecenia – jest zgodne z moimi odczuciami.

– Nie mówisz poważnie! – Dorcia robi wielkie oczy, lecz Ira w odpowiedzi tylko wzrusza ramionami.

– Zatem jakiegokolwiek rozważanie koncepcji eugeniki pozbawione jest głębszego sensu – wraca do tematu Janek.

– Przeciwnie! Trzeba tylko znaleźć sposób na to, by obejść prawa natury i cały proces przyspieszyć – mówi spokojnym tonem Ira.

– Proponujesz zabawę w Boga? – uśmiecha się Jan.

– Dlaczego nie? Wyraźnie zostaje w tyle. Być może trzeba go zacząć wyręczać. Nie pierwszy to przypadek w historii, gdy dzieło przerasta swego twórcę.

– Mam nadzieję, że te słowa są jedynie prowokacją – cicho odzywa się Adam.

Ira, najwyraźniej zdumiona tym, że mój mąż się do niej odezwał, spogląda na niego niepewnym wzrokiem i nie odpowiada. Na chwilę przy naszym stole zapada cisza.

– Jak? – pyta wreszcie Janek.

- Co jak?
- W jaki sposób można by przyspieszyć proces? Jak można obejść prawa natury?
- W taki sam, w jaki obeszlśmy inne – stwierdza Ira. – Czyż człowiek ma skrzydła? Nie ma, a jednak potrafi wznosić się pod niebo i latać prędszej od ptaków. Potrafił też ujarzmić błyskawicę i zamknąć ją w miedzianym drucie czy pokonać trapiące go choroby. Ułomność jest niezgodna z naturą, wyeliminowanie jej przystaje więc do zasad przyrody. Podobnie zresztą jak doskonalenie gatunków, w którym natura okazuje się nazbyt opieszala. Skoro potrafimy modyfikować i dostosowywać otaczający nas świat do naszych potrzeb, tak samo możemy zmodyfikować siebie, dopasowując nas do naszych pragnień.
- Ludzki organizm jest daleko bardziej złożony od środowiska, w którym żyje.
- Owszem – mówi Ira. – Ale nie zapominajmy, że to właśnie środowisko stworzyło go takim, jaki jest. Jeśli człowiek chce się nadal rozwijać, w pierwszej kolejności musi pozbyć się takich sentymentów. Postępy medycyny i techniki z każdym rokiem usuwają coraz więcej naszych ograniczeń. Lada dzień będziemy potrafili zmieniać i dostosowywać ludzkie organizmy do danych potrzeb, a to wypadnie znacznie taniej niż modyfikacja całego środowiska, w którym ludzie ci zechcą żyć.
- To już doprawdy czysta fantastyka – śmieje się Janek.
- Czyżby? – uśmiecha się w odpowiedzi Ira. – Podobnie do niedawna nazywano twórczość literacką Juliusza Verne’a. Dziś natomiast nadano mu przydomek wizjonera.
- Męczy mnie ta cisza – mówi cicho Dorcia. – Nie przypominam sobie, żeby Sanato wydawało mi się kiedykolwiek równie martwe.
- Och, jestem pewna, że już niebawem atmosfera nieco się tu ożywi – beztróskim tonem oznajmia Ira.

*

Gdy po kolacji wracam z Adamem do naszego pokoju, dochodzę do wniosku, że zgadzam się z Dorcią. Sanato sprawia wrażenie pustej, martwej skorupy. Przyćmione bardziej niż zazwyczaj światła potęgują przygnębiający nastrój, jaki panuje w opustoszałym budynku. Każdy dźwięk wydaje się wytłumiony, głuchy, a czas zwalnia swój bieg, tak jakbyśmy żyli we wnętrzu jakiejś ukrytej pod pustynnymi diunami przedpotopowej machinerii, której energia wreszcie, po tysiącach lat, wyczerpuje się do cna.

– Lecz jednak wciąż jeszcze działa – myślę na widok dwóch ślepych termometrów przygotowanych na leżącej przy futurokopie metalowej tacy oraz szklanego kieliszka z tabletkami ustawionego na moim nocnym stoliku. Klitowicz nie zapomniał o swojej obietnicy.

Dwie godziny później wracamy z balkonu po wieczornym leżakowaniu, rozbieram się, siadam na łóżku i wytrząsam kapsułki na dłoń. Są dwie, każda o średnicy półtora centymetra – dwa sekretniki z białej masy przypominającej opłatek. Uśmiecham się do nich, wrzucam je do ust, popijam wodą i przelękam z niejakim trudem. Zasypiam kilka minut po drugiej. Cichy, suchy szelest w kącie przy umywalni, który dobiega moich uszu na kilka sekund wcześniej, nim udaje mi się odpłynąć w ciężki sen, nie wydaje mi się w najmniejszym stopniu niepokojący.

*

Nie wiem, czy sprawiają to środki nasenne, które wybrał dla mnie Klituś, czy może zmniejszona dawka koktajlu Dreslera... Być może to wina (*zastuga*) mojej własnej decyzji – nieświadomy popis silnej woli, dzięki której w najbliższych tygodniach moje zmysły ulegają przytępieniu, a ja staję się ślepa i głucha na to, co dzieje się wokół mnie. W każdym razie pierwsze zimowe dni w Sanato mijają mi niespiesznie i sennie. Codziennie stawiam się na oddziale

dziecięcym, codziennie dostaję kolejny zastrzyk. Każdego dnia leżakuję sumiennie – po śniadaniu i po obiedzie na werandzie, a wieczorami wraz z Adamem na balkonie. Rozmawiamy o naszych pieniądzach, o pogodzie, o niczym. Częściej jednak milczymy. Czytam bez zrozumienia kilka książek, których fabuła wycieka mi z pamięci natychmiast po odwróceniu ostatniej strony. Zatrzymuję się w miejscu niczym pędząca z nurtem rzeki kłoda drewna wstrzymana w biegu przez przypadkową mieliznę. Nawet moja choroba zamiera. Nie pojawiają się kolejne ataki, a spluwaczka z fantazyjnym korkiem od Lalique'a leży nietknięta w szufladzie nocnego stolika. Gdy któregoś dnia, wędrując przez korytarz naszego piętra, natrafiam na jego obcą, mroczną odnogę, której z pewnością nie było tam wcześniej, po prostu odwracam oczy i skupiam myśli na czymś innym. Gdy pewnego ranka w jadalni spoglądam na masywne drzwi, które ostatecznie zmaterializowały się w ścianie nieopodal kredensu, proponuję Adamowi, abyśmy zamienili się miejscami przy stole, i zajmuję dawne krzesło Albiny, odwrócone plecami do portalu. Gdy skulony, ciemny cień w przejściu wiodącym do kaplicy Sanato któregoś popołudnia nabiera kształtu klęczącej kobiety w sukni z bakłażanowej tafty, nie skupiam na niej wzroku i zmieniam drogę codziennych wędrowek do jadalni, aby nie mijać więcej tego miejsca. I nic się nie dzieje. Spływa na mnie spokój, nie czekam na nic, o niczym nie myślę. Cień porcelanowego Chińczyka kołyszący się pod dachem rotundy znika za zasłoną nieustannie spadających z nieba płatków śniegu, którego zasy i tak odcinają tamtą drogę ucieczki. Nie czuję żalu i wcale nie jestem tym zaniepokojona.

Lecz jednak coś się dzieje – wciąż trwa exodus z pokładu naszego liniowca. Mniej ostentacyjny niż w pierwszych dniach po śmierci chłopaka kucharki, utajony. Pensjonariusze wymykają się pojedynczo, bez pożegnania, sanie zajeżdżają pod boczne wejście do budynku. Większość uciekinierów nie zabiera ze sobą dużego bagażu – prawdopodobnie planują, że po kufry i walizki przyślą kogoś, gdy stopnieją śniegi. W drugiej połowie grudnia w Sanato zostajemy tylko my, numery, oraz dziewięciu innych pensjonariuszy, którym wyjazd uniemożliwia albo stan zdrowia, albo portfela. Znika większość pielęgniarek, a Klitusz rozwiązuje umowę z doktorem Wołodkowiczem, który ostatecznie przestaje odwiedzać sanatorium. Zwolniona zostaje część pokojówek oraz dwie z trzech ostatnich kucharek, co skutkuje odczuwalną monotonością i zubożeniem menu, lecz nawet to nie wydaje mi się specjalnie uciążliwe.

Wieczorami światła na werandzie nie są już włączane, a palarnię i salę kawiarnianą oświetlają jedynie pojedyncze lampy naftowe. W pozostałej części budynku lampy elektryczne zostają albo odłączone na stałe, albo częściowo pozbawione żarówek. Mówi się o przeniesieniu pacjentów do tego samego skrzydła i zgromadzeniu ich w sąsiednich pokojach na jednym piętrze, lecz do tego nie dochodzi – prawdopodobnie ze względu na brak personelu, który mógłby się zająć podobną operacją. Pokojówki coraz rzadziej ścielą nasze łóżka, w kątach pokoju zbiera się cienka warstwa kurzu. Klitowicz zarządza najpierw obniżenie temperatury w budynku (*wskazane ze względów zdrowotnych*), a później całkowite odłączenie ogrzewania między 12.00 a 17.00 oraz między 24.00 a 6.00. Ładownie liniowca Sanato nabierają wody, transatlantyk powoli i nieubłaganie pogrąża się w odmętach. Nadciąga koniec naszej podróży, lecz ja pozostaję w błogiej nieświadomości. Do czasu, oczywiście.

ROZDZIAŁ XIV PRZEBUDZENIE

Środa, 23 grudnia 1931 roku

Wczesne godziny ranne gorzej się zaznaczą, przynosząc podrażnienie, wzmożoną skłonność do gniewu i groźbę silnych wzburzeń nerwowych.

Zła passa osłabnie koło południa, niosąc subtelne wpływy kosmiczne potęgujące natchnienie duchowe lub też obiecujące przeżycia uczuciowe o charakterze tajemniczym albo romantycznym. W godzinach poobiednich przeżywać możesz interesujące stany psychiczne lub nastroje. W czasie tym z powodzeniem załatwisz sprawy wymagające tajemnicy. To dobry czas, aby go ukryć.

Godzina 18-ta przyniesie jednak zmianę na gorsze i narazi cię na złudzenia, zawody lub też na zetknięcie z ludźmi podstępny. Jeśli jednak ustrzeżesz się pułapki, porą wieczorną zamifestuje się nieznaczną zmianą na lepsze, niosącą powodzenie w miłości oraz miłe przeżycia zwłaszcza po 21-ej.

Trzeba jednak dodać, iż w godzinach późniejszych wieczór zapowiada się niepomyślnie oraz obiecuje przykrości i smartwienia – zwłaszcza po północy.

Dziś strzeż się: młodzieży, schodów, zamkniętej przestrzeni, zakrętów i słów, z metali – żelaza, a z klejnotów – pereł.

Karta jest sprężysta, inna od dotychczasowych. Przypomina płatek fiszbini, a w dotyku wydaje się lepka. Jednak nie to mnie zaskakuje najbardziej, lecz pora, o której wysunęła się z futuroskopu. Minęła dopiero szósta rano, za oknami panuje niemal nieprzenikniona czerń, bo przez gęstą pokrywę chmur nie przenika najśłabszy nawet blask księżycy i gwiazd. W ciemności jednak fiszka jest wyraźnie widoczna, a czarny druk doskonale czytelny, jakby ten dziwny karton, z którego ją wycięto, nasączony został środkiem fluorescencyjnym.

Przysiadam na brzegu łóżka i zarzucam kołdrę na ramiona. W pokoju jest zimno – wręcz lodowato. Nawet ja, przy mojej bezustannie podwyższonej temperaturze i zwiększonej tolerancji na chłód, czuję ten przenikliwy ziąb. Oddech śpiącego Adama zamienia się w gęste obłoczki pary, które drżą nad jego poduszką. Klitowicz zdecydowanie przesadza z oszczędnościami. Klitowicz... Śnił mi się. Dziwaczny sen, niepokojąco realistyczny. Byłam w jego gabinecie, ustawiłam jakieś urządzenia obok metalowego stołu. Pamiętam lśniący troakar, gumowy wężyk, świst powietrza, wytrzeszczone, nabiegłe krwią oczy... Sny! Nie warto sobie nimi zaprzętać głowy.

Sięgam do włącznika lampy elektrycznej, ale żarówka się nie rozświecila. Odcięli prąd.

– Tego już naprawdę zbyt wiele! – mówię głośno w nagłym przyplywie irytacji.

– Milcz!

Serce zatrzymuje się w mojej piersi, jednak po chwili uderza znowu. Nie odwracam nawet głowy, spoglądam w okno. Niczego nie słyszałam.

Choć w pokoju i za oknem panuje ciemność, potrafię dostrzec w szybie swoje odbicie. Przez chwilę nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje, lecz gdy przesuwam wzrok niżej, widzę wyraźny, jasny kształt karty z przepowiednią. Jej blask jest wystarczający, by wydobyć z mroku zarys mojej sylwetki. Sprężyny łóżka za moimi plecami uginają się z cichym jękiem. Nieznacznie, jakby coś – lub ktoś – co wdrapuje się na materac, było nieduże, nieznacznie cięższe od kota

albo średniego psa. Coś o rozmiarach i wadze mały. Moimi ramionami wstrząsa pojedynczy, gwałtowny dreszcz, lecz wciąż patrzę przed siebie. W pokoju nie ma nikogo poza mną i Adamem. Nic się nie dzieje. To tylko moja...

Za czarną, rzadką pajęczyną kołkowej firanki widzę swoje rozszerzone strachem oczy i usta z opuszczonymi kącikami, zaciśnięte w nerwowym grymasie. Karta świeci coraz mocniej, choć to przecież niemożliwe. Może moje oczy po prostu przyzwyczajają się do ciemności, a może to ona zaczyna słabnąć. W końcu zbliża się świt.

Coś przesuwa się za mną, sprężyny łóżka znowu uginają się z cichym skrzypieniem. Choć całą siłą woli próbuję narzucić sobie spokój, mój oddech staje się płytki i przyspiesza. Dlaczego? Przecież nic się nie dzieje, takie rzeczy się nie zdarzają. Stwarza je wiara, wystarczy nie dać jej szansy, zduśić ją w sobie, aby się rozwiały i okazały złudą. Wystarczy zacisnąć powieki... Brak mi jednak siły, by to zrobić. W szybie, nad moim ramieniem pojawia się niewyraźny kształt. Drży niczym odległy zarys drzew obserwowanych z polnej drogi w upalne południe, gdy rozgrzane powietrze zakłamuje perspektywę i wypacza formę obiektów. Nie potrafię oderwać od niego wzroku. Coś za mną przygniata koldrę, która zsuwa się z moich ramion; kurczowo zaciskam na niej palce. Chwytam powietrze ustami coraz prędszej i płycej, mgła mojego oddechu zacierza obraz, ale wciąż widzę. Więcej, niż powinnam, i z pewnością więcej, niż chciałabym widzieć.

Na łóżku tuż za mną klęczy mężczyzna. Jest nagi – wiem to, choć nie dostrzegam. Wychudzone do granic możliwości ciało, ramiona przypominające odarte z liści, powykęcane gałęzie, długa, sucha szyja. Obserwuję go, gdy wysuwa do przodu głowę, nie odrywając niewidzącego spojrzenia ślepych oczu od mojego odbicia w szybie. Jestem jak zahipnotyzowana, wiem, że gdyby spuścił wzrok, uwolniłby mnie, lecz tego nie robi. Moje mięśnie napinają się jak postronki, kark sztywnieje. *Mężczyzna... Lato 1913 roku, popołudnie, słońce świeciło tak jasno, oślepiająco, prosto w okno, oni nawet nie zasunęli sztor, choć przecież powinni, i nikt się nie zjawił, tak, książdz był, lecz nieuważny, myślał o czymś innym, a jeszcze nie nadszedł wcale czas, nie nadszedł czas i nic by się nie stało, gdyby nie ta dziewczyna w białym fartuchu, która spieszyła się na spotkanie z chłopcem, bo czekał na nią obok nowej, niedorzecznej altany na krańcu pomostu, sam zbijał deski, specjalnie umieścił w nich furkę, to miał być żart, ale też znak dla niej, żeby ona nie zapomniała o nim, a przecież i tak nie zapomniałaby, bo była zakochana i wierzyła w niego jak w nikogo innego wcześniej, spieszyła się więc, lecz ja wciąż nie umierałem, choć powinienem był dawno, książdz odwiedził mnie przecież, a ona pilnowała, żebym nie jadł, stan i tak był beznadziejny, nie chciała czekać dłużej, bo chłopiec odszedłby, a to byłby koniec dla niej, więc nie czekała, nie planowała tego jednak wcale, choć przyniosła ze sobą tę niewielką, brązową buteleczkę, ukryła w kieszeni fartucha...* – pochyla się i przybliża usta do mojego ucha. Są zaszyte byle jak, na okrętkę grubą, czarną dratwą, *bo po cóż mieli się starać, skoro i tak nie miałem nikogo, nie było więc najmniejszej potrzeby, aby trumna była otwarta...* Chcę się zerwać z łóżka, skoczyć na równe nogi, wrzasnąć, ale straciłam władzę nad ciałem. Jestem sparaliżowana, mogę tylko patrzeć i dyszeć. Moje serce wali w piersi jak oszalałe. Jeśli on mnie dotknie, jeśli poczuję jego dotyk na mojej skórze, umrę.

– Mmmilcz... – głos jest zdławiony, niewyraźny, przypomina pomruk ledwo wydobywający się przez zaszyte usta.

Mężczyzna lekko potrząsa głową, wytrzeszcza oczy i próbuje rozewrzeć szczęki. W odbiciu widzę, jak na jego szyi występują napięte z wysiłku węzły ścięgien i wreszcie z mokrym trzaskiem rozdieranych tkanek skóra warg ustępuje. Usta mężczyzny otwierają się szeroko, prosto na moje ramię chlusta z nich gęsta, ciemna, śmierdząca breja. Cień odchyła głowę, wciąga łapczywie powietrze do martwych, dawno pożartych przez gruźlicę płuc.

– Milcz!!! – wrzeszczy ochryplym głosem.

Spadają więzy – odwrócił wzrok. Skowycząc z obrzydzenia i lęku, podrywam się z łóżka, rzucam przed siebie i tracę równowagę. Młóćąc rękami, przewracam się na komodę, strącam z niej futuroskop, który przez chwilę balansuje na krawędzi mebla i spada na dywan. Nie zwracam na to uwagi. Błyskawicznie odwracam się na plecy i odpycham nogami od łóżka – byle jak najdalej od tego martwego mężczyzny, którego nie powinno tu być, bo umarł gdzie indziej, w innym pokoju, na innym piętrze, w dodatku prawie dwadzieścia lat temu... Oszałałym ze strachu wzrokiem patrzę na materac, ale nie ma na nim oczywiście nikogo. Mężczyzna zniknął i wcale go tam nie było. Był tylko wytworem mojej wyobraźni.

W tej samej chwili z futuroskopu dochodzi metaliczny, cichy szmer. Spoglądam na leżącą na boku skrzynkę. Z ciemnej szczeliny wysuwa się kolejna fiszka. Popsuł się. Nareszcie.

– Nino? – Adam porusza się na swoim łóżku. – Co się stało?

Nie odpowiadam. Sięgam i chwytam kartonik w palce. Odwracam go i spoglądam na nową wróżbę.

Jest krótka. Tylko dwa słowa.

– Nino? – pyta znowu Adam. – Co się stało?

– Nic – mówię. – Wstań i się ubierz. Muszę cię ukryć. Nie możesz zostać w tym pokoju.

– Co? – Adam przygląda mi się zdumiony. – Boże, przecież tu jest mróz. Czy oni całkiem wyłączyli ogrzewanie?

– Szybciej – odpowiadam zniecierpliwionym głosem i wstaję z podłogi. – Zaczyna się.

– Co się zaczyna? O czym ty mówisz?

Szkoda czasu na dyskusje. Rzucam na blat komody fiszkę, na której dużymi, koślawymi literami napisane są dwa słowa. Podchodzę do szafy, otwieram ją i wyjmuję wełniane ubranie Adama, a potem sięgam po pierwszą lepszą sukienkę.

Owinięty kołdrą Adam podnosi się z łóżka i sięga po kartę. Zerkam na niego, wydaje mi się nagle taki kruchy. Podwija palce bosych stóp, opiera jedną na drugiej. Jego szczęki drżą z zimna.

– „Ukryj Adama” – czyta. – To jakiś żart?

– Chciałabym tak myśleć – rzucam spodnie i koszulę w jego stronę. – Ale obawiam się, że już nie mogę sobie na to pozwolić. Mamy mało czasu.

*

Dochodzi siódma. Zazwyczaj o tej porze Sanato już żyło. Pokojówki krzątały się w holu, szczękały talerze i sztućce rozkładane na stołach w jadalni, pierwsi pensjonariusze wędrowali do łazienek. Teraz jednak korytarz jest całkowicie pusty i ciemny, a sanatorium zastygło w pozornej ciszy. Pozornej, bo wyczuwam w niej napięcie i oczekiwanie na to, co wydarzy się niebawem. Budynek nie śpi, choć większość jego żywych mieszkańców zapewne pogrążona jest we śnie. Szkopuł w tym, że nie wszyscy – tego jestem pewna. Dwóch pozostałych w Sanato pielęgniarek, pary pokojówek i kucharki nie muszą się obawiać. Czuwają jednak numery – to one stanowią największe zagrożenie.

– Cicho – szepczę do Adama. Przystaję przy ścianie tuż obok naszych drzwi i nasłuchuję uważnie.

– Nino, nie rozumiem, co się dzieje...

– Milcz!

Po krótkiej chwili biorę go za rękę i pociągam za sobą. Gdzie mam go ukryć? Naciskam klamkę w drzwiach prowadzących do jednego z pobliskich opuszczonych pokoi, ale nie ustępuje. Oczywiście pozamykali wszystko. Może gdybym przekradła się jakoś do dyżurki

i wzięła klucze... Nie mam jednak na to czasu, a poza tym sprawa mogłaby się wydać.

– Kto to? – pyta Adam, a ja błyskawicznie się odwracam i spoglądam za siebie.

W głębi korytarza, tuż przy załamie ściany stoi kobieta w podartej halce, ze skołtunionymi, krótkimi włosami obciętymi na tak modnego niespełna dekadę temu pazia. Chwieje się, a właściwie trzęsie, bo jej drżenie przypomina ruch ciała odtwarzany z taśmy filmowej przez zbyt niecierpliwego kinooperatora, który przewija film w szybszym, niż należałoby, tempie. Kobieta spogląda prosto na nas.

– Nie patrz – mówię szybko i ruszam, ciągnąc Adama za sobą.

Pokoje są niedostępne, ale może to dobrze, bo tam przecież szukaliby w pierwszej kolejności. Gdzie zatem? Tylna weranda? Wykluczone. Zbyt oczywiste, a poza tym zamarłby tam. Piwnica... Po plecach przebiega mi dreszcz. Nigdy. Więc gdzie? Na poddaszu? Tam są pokoje pielęgniarek, moglibyśmy się na którąś natknąć. Jest jednak pewne miejsce... Skręcamy. Przy-
staję raptownie, Adam wpada na mnie.

– Nino, co się z tobą...

– Tylko nie to! – przerywam mu z jękiem.

Z podłogi na środku korytarza wyrastają strome schody. Stopnie są krzywe, zdeptane, balustrada wyłamana. Wznoszą się aż pod sufit, znikają w nim tuż obok jednej z kulistych wygaszonych lamp. Dokładnie w chwili, gdy spoglądam w górę, w suficie bezszelestnie otwiera się prześwit prowadzący na wyższe piętro. Kształt lampy migocze przez chwilę i znika. W miejscu, gdzie przed chwilą wisiała, materializuje się fragment ozdobnej sztukaterii. Zaciskam szybko powieki i liczę w myślach do dziesięciu, kurczowo ściskając dłoń Adama w swojej ręce. Wreszcie nabieram tchu i otwieram oczy – schody zniknęły.

– Musimy się pospieszyć – rzucam przez zęby i ruszam do przodu.

Docieramy do drzwi prowadzących na korytarz łączący nasze piętro z oddziałem dziecięcym. Popycham przeszkłone skrzydło, a za moimi plecami podłoga wybrzusza się z trzaskiem, niechętnie wypuszczając spod klepek parkietu wyrastającą z niej nową ścianę. Nie odwracam się jednak i ciągnąc za sobą Adama, pędzę do spiralnych schodków prowadzących na antresolę.

– O tej porze na pewno nikogo tu nie będzie – rzucam półgłosem, gdy wspinamy się po chwiejnych stopniach.

– Powinnaś mnie zostawić – mówi Adam.

– Nigdy – odpowiadam.

Przebiegamy na palcach przez mroczny korytarz, drzwi do gabinetu Dreslera są uchylone. Zatrzymuję się i ostrożnie zaglądam do środka. Pusto. Wypuszczam wstrzymywany oddech.

– Chodź – ponaglę męża i prowadzę go dalej.

Zatrzymujemy się w końcu korytarza, obok niskiego okna, za którym rozpościera się widok na zaśniewany ogród. Światło jest przyćmione, bardziej kojarzy się z wieczorem niż z porankiem. Naciskam klamkę i najciszej, jak umiem, otwieram ostatnie drzwi. Pokoik jest tak samo zagracony jak kilka tygodni temu. Rozbita szafa na dokumenty, sterta materaców za umywalką. Okno zasłonięte pakowym papierem, zakurzony stos poskładanej pościeli.

– Jak długo mam tu siedzieć? – pyta Adam.

– Aż będę pewna, że nic ci nie grozi.

– Czyste szaleństwo – stwierdza, ale wchodzi do środka.

– Owszem – odpowiadam. – Ale musisz mi zaufać. Ufasz mi?

– Tak. To ten eksperyment? Wymyka się spod kontroli, prawda?

– Chyba tak – mówię, choć wiem, że to nie do końca prawda.

Eksperyment sam w sobie nie jest niczym więcej jak tylko jednym z milionów medycznych doświadczeń. Dresler przypadkowo otworzył jednak pewne drzwi, uruchomił w naszych

mózgach uśpione narzędzie, zdolne do tworzenia pomostu między czasem, energią a materią. Rozumiem to, choć trudno byłoby mi ubrać definicję zjawiska w słowa. Wiem jednak, że to nie eksperyment wymyka się spod kontroli, ale Sanato. Cały budynek sanatorium wyzwała się z okowów logiki i fizyki. Dresler – który, jak powiedziała Ira, sam nie wie nawet, co wynalazł – otworzył nasze umysły, a one uwolniły przestrzeń wokół nas. Nie tyle więc on jest winien tej sytuacji, ile my sami. Anomalia została stworzona przez nas, przez numery. Także przeze mnie. A ponieważ jest niezgodna z prawami rządzącymi rzeczywistością, musi zostać przez nią wyeliminowana, bo wszechświat dąży do równowagi. Nim jednak to nastąpi, zakłócenie będzie się pogłębiało. Nie wiem, co dokładnie się zdarzy, wiem jednak, że przeżyje niewielu. I zrobię wszystko, żeby w tej grupie był Adam, nawet jeśli sama się w niej nie znajdę.

– Przyjdę, gdy wszyscy będą na cichej werandzie. Przyniosę ci coś do jedzenia, wodę masz, tylko ostrożnie... – urywam i nerwowo spoglądam w stronę metalowych schodów.

Nie wydawało mi się, wyraźnie słyszę ich metaliczne pobrzękiwanie towarzyszące czymś krokowi. Wsuwam się szybkim ruchem do pokoju i wyglądam zza futryny. To Dresler. Sprężystym krokiem zmierza do swojego gabinetu, pod pachą niesie sterylizator. Co on tu robi o tej porze? Za chwilę zostanie podane śniadanie, muszę być w jadalni. Muszę wiedzieć, co planują...

Dresler znika w drzwiach gabinetu. Jeżeli mam się wymknąć, to tylko teraz. Zrzucam pantofle, schylam się i biorę je do ręki.

– Proszę cię, bądź cicho – szepczę do Adama. – I uważaj na siebie.

Przygląda mi się bez słowa, wreszcie kiwa lekko głową. Nabieram tchu i wychodzę na palcach.

Przemykam się tuż przy ścianie. Jakie to szczęście, że podłoga antresoli nie została wyłożona drewnem. Docieram do uchylonych drzwi gabinetu, przykucam i zerkam do wnętrza. Nie widzę lekarza, choć słyszę wyraźnie brzęk przekładanych w sterylizatorze strzykawek i postukiwanie szklanych fiolek. Dobrze, skoro ja go nie widzę, i on mnie nie zobaczy. Niemal na czworakach przebiegam pod drzwiami i pędzę dalej. Do schodów. Zatrzymuję się przy żeliwnej balustradzie, a potem, stąpając na palcach przy samej osi spirali, schodzę bardzo ostrożnie. Metoda okazuje się słuszna, metalowa konstrukcja prawie się nie chwieje i po chwili docieram na niższe piętro oddziału dziecięcego. Zakładam pantofle i najciszej, jak to tylko możliwe, otwieram wahadłowe drzwi. Boję się tego, co za nimi zobaczę. Fragmentów ścian wyrastających w nieoczekiwanych miejscach, balustrad przegradzających korytarz, schodów – pułapek, które mogło zastawić na mnie Sanato. Przychodzi mi do głowy, że podobnie musi się czuć mysz zamknięta przez naukowca w laboratoryjnym labiryncie modyfikowanym przez niego dowolnie, aby przebadać jej reakcje... Choć nie, takie działanie miałyby pozór sensu. Zostałam raczej uwięziona w ogromnym domku dla lalek zbudowanym z klocków przez znużone dziecko, które burzy konstrukcję i wznosi ją od nowa wedle kaprysu, bez żadnych racjonalnych przesłanek. Jestem tylko jedną z jego zabawek.

Korytarz wygląda tak jak zazwyczaj. Przez moment przyglądam mu się niemal ze zdziwieniem, a potem ruszam z powrotem do naszego pokoju.

Do śniadania został niecały kwadrans. Przemywam twarz wodą, układam włosy. Futuroskop leży na podłodze obok komody. Podnoszę go i oglądam uważnie, lecz nie dostrzegam żadnych uszkodzeń. Przykładam ucho do drewnianej pokrywy – ze środka wydobywa się równomierny metaliczny szum. Odstawiam skrzynkę na komodę i przyglądam się jej przez chwilę. Nie mogę wykluczyć tego, że ktoś bawi się moim kosztem – nawet jeśli wydaje mi się to absolutnie niewiarygodne. Ktoś może podmieniać karty, przestawiać zegarowy mechanizm, by podsycać we mnie strach i paranoję. Lecz kto miałby to robić? Klitowicz? Śmiechu warte. Pielęgniarka?

Skądże, nikt nie zdołałby ukryć teraz przede mną podobnych poczynań, wystarczy przecież, abym spojrzała na jakąś osobę, a dowiaduję się o niej niemal wszystkiego. Nie potrafię tylko rozgryźć Iry. Czy więc ona manipuluje futuroskopem? A jeśli tak, to kiedy? Nie, niemożliwe.

Odwracam się plecami do kasy i ścielę nasze łóżko. Gdy odgarniam kołdrę skołtunioną na moim materacu, widzę brązowy, śmierdzący zaciek – dowód na to, że powidoki przestały już być jedynie cieniami. Co mam z tym zrobić? Nic nie przychodzi mi do głowy, zdieram więc powłoczkę, zwijam w kłębek i wpycham na dno szafy, a potem starannie zakrywam pościel kapą. Pięć minut.

Za oknem świat tonie w zamglonej, wirującej sennie szarości. Wysoko w górze przez śnieżną zadymkę przebija się cień górskich szczytów. Wydają się bliższe, jakby wisiały niemal dokładnie nad nami – prawie słyszę groźny pomruk wstrzymanej w pędzie skalnej lawiny i przelotnika mnie dreszcz. Zarzucam na ramiona wełniany szal i ostatni raz spoglądam w lustro, uśmiechając się na próbę. Całkiem wiarygodnie, ale ich trudno będzie oszukać. Jednak muszę spróbować. Zamykam drzwi na klucz i ruszam w stronę jadalni.

Gdy wchodzę do sali, przez chwilę wydaje mi się, że jestem pierwsza – niefortunna sytuacja. Zatrzymuję się z wahaniem – zawrócić? Mogłabym przejść do palarni, udać, że zajęła mnie jakaś lektura...

– Nina?

Zza kredensu wyłania się Jaga. Przystaje przy oparciu najbliższego krzesła i kładzie na nim obie dłonie.

– A już myślałam, że jestem pierwsza, bardzo tego nie lubię – oznajmiam sztucznie wesołym tonem. – Jakże się miewasz?

Jaga rzuca mi obojętne spojrzenie, potem patrzy w okno. Milczy. Dopiero teraz dostrzegam, że jest błada. Pod wielkimi, przygaszonymi dziś oczami ma ciemne sińce, skóra na jej twarzy wydaje się zwiotczała. Kilka kosmyków przykleiło się do spoconego czoła. Nawet strój kobiety sprawia wrażenie wymiętego i nieświeżego – kremowa sukienka z obniżonym stanem jest w paru miejscach pobrudzona kurzem, a fragment oddartej cielistej pończochy zwisa na tyłce niczym oderwany suchy naskórek.

– Jaga! – podchodzę do niej szybko. – Co się stało?

– Nic się nie stało – mówi.

– Przecież widzę!

– Jestem zmęczona.

– Usiądź. – Biorę ją pod łokieć i pociągamy w stronę krzesła. – Zaraz podadzą kawę. Gdzie te kelnerki?

– Czy ty nie jesteś zmęczona? – pyta, podnosząc na mnie wzrok.

– Nie. To znaczy tak, wiesz, wciąż mam pewne problemy ze snem...

– Nie mówię o spaniu – potrząsa głową ze zniecierpliwieniem. – Pytam, czy nie jesteś już tym zmęczona?

– Czym?

– Tym wszystkim! – wykrzykuje, machając bezsensownie rękami.

– Ja mam już dosyć.

– Jaga, nie wiem, o czym mówisz...

– Wiesz, o czym mówię – zniża głos i ponownie wbija we mnie rozgorączkowane, a zarazem śmiertelnie zmęczone spojrzenie. – Wiesz. Nawet jeśli teraz wstrzykuje ci mniej. To i tak wiesz.

Przez kilka sekund patrzy na mnie twardym wzrokiem, a potem jej oczy zachodzą mgłą. Opuszcza ramiona, pochyla głowę. Przypomina w tej chwili wyczerpane kobiety z rysunków

Lautreca, portretowane przez niego rankami po całonocnych orgiach – rozsunięte uda, łokcie oparte na kolanach, opadające bezwładnie dłonie, strąki włosów. Mamrocze coś pod nosem, nachylam się nad nią, aby dosłyszeć słowa.

– Najgorsza jest chyba świadomość, ta pewność, że nie ma wytchnienia. Wcześniej myślałam sobie: a co tam, umrę, cóż z tego? Co mnie to będzie obchodziło, skoro już mnie nie będzie? Koncepcja rajy niebieskiego nigdy do mnie specjalnie nie przemawiała. Wyobraź sobie ten cały tłok... I kto im tam niby pierze? Ale rajy nie ma, nie istnieje, nic nie istnieje, bo nic nie przemija. Wszystko trwa. Mówi się: rzeka czasu. Jakby to był jakiś prąd, woda, która nas niesie w przód i w przód, aż do chwili, gdy utoniemy w tej rzece, gdy pójdziemy na dno, rozłożymy się w piasku między kamieniami i znikniemy. Lecz czas nie jest wcale strumieniem, nie jest przemianiem. Każda sekunda nie ma końca, nie jest ulotna jak dym. Materializuje się i zastyga niczym kwiat uwięziony między stronicami herbarium. Czas jest piramidą kart, nieskończenie wysoką stertą... Jeśli zechcesz, jeśli wiesz jak, możesz przeglądać te strony znów i znów, bez końca i bez celu. Jałowa uciecha. Lecz jeśli masz pecha, jak my, gdy przekroczysz pewną granicę, stajesz się lżejsza od papieru, przenikasz go, spadasz...

– Jaga, naprawdę nie rozumiem, co masz na myśli – mówię bezradnym tonem.

Odchyła głowę w bok i patrzy na mnie przez spadające na twarz, posklejane kosmyki włosów. Wreszcie unosi ociężałym gestem rękę i wskazuje palcem coś, co znajduje się za moimi plecami. Prostuję się, spoglądam przez ramię i czuję, jak miękną pode mną kolana. Ciężkie skrzydło widmowych drzwi w ścianie obok kredensu jest otwarte na oścież. Za pokrytą głębokimi bruzdami, obłazącą z farby futryną, w mglistej, skłębionej szarości drżą cienie jakichś sylwetek. Gdy oniemiała ze zgrozy wpatruję się w portal, wypełniający go dym wybrusza się nagle, kłębi, wiruje i rozprasza, niechętnie wypuszczając z siebie jedną z postaci. Ira zatrzymuje się tuż za progiem, zaskoczona przez chwilę moim widokiem, a potem odrzuca włosy i uśmiecha się promiennie.

– Nusia! – mówi. – Chyba już czas, prawda?

– Na co? – udaje mi się wyjąkać.

– Na porządki, oczywiście. Przecież pojutrze święta!

I wtedy od strony palarni, zza moich pleców nadciąga fala szmeru. Nie, to raczej szuranie. Bardzo powoli przesuwam się w bok i odwracam głowę, starając się nie stracić Iry z oczu, a potem rzucam szybkie spojrzenie w głąb sali. Są wszyscy.

W szerokim przejściu prowadzącym do zacienionego szumiącymi palmami wnętrza stoją w równych rzędach, jedno przy drugim. Kobieta w taniej fildekosowej halce, chudy mężczyzna z groteskowo zapadniętymi po torakoplastyce żebrami, chłopak, który budował rotundę na krańcu pomostu i który zginął wkrótce po tamtym słonecznym letnim dniu, bo jednak nie był godzien wiary, jaką pokładała w nim zakochana, młodziutka pielęgniarka, a przecież nie rozstała się jeszcze ze swoją skradzioną z gabinetu lekarskiego brązową buteleczką. Jest kobieta w fioletowej tafcie, z twarzą zalaną krwią płynącą z rozbitego o posadzkę kaplicy czoła. Nasz towarzysz Czer-nis i inne znajome twarze, na czele z Albiną, która jednak najwyraźniej nie zdążyła wyjechać (*nie zdążyłam...*). Błada jak wosk kucharka z rozciętymi aż do kości nadgarstkami i dziesiątki, setki innych, którzy pracowali tu, kochali, żyli, umierali, zabijali... A w pierwszym rzędzie, właściwie krok przed nim, stoi mój porcelanowy Chińczyk w spuszczonej do kostek spodniach, z białymi, zaskakująco gładkimi udami oblepionymi zaschniętą krwią, z lewą dłonią (*wielką jak łopata*) opuszczoną wzdłuż ciała w bezradnym geście i drugą wyciągniętą oskarżycielsko w moją stronę, wskazującą mnie nieistniejącym, uciętym (*chrup*) palcem. Ale przecież Ignas i chłopak kucharki nie mają ze sobą nic wspólnego, łączy ich jedynie zewnętrzne podobieństwo. Jakim cudem stopili się w jedność?

Otwieram usta, ale brakuje mi powietrza, by wydobyć z siebie głos. Stoję, wytrzeszczając w panice oczy, nieświadomie unoszę ręce i wplatam palce we włosy.

– Już czas, żeby dołączył do reszty – mówi Ira. – Musisz mu pozwolić.

– Nigdy! – Cofam się o krok, a moje dłonie zwijają się w pięści.

– I tak go znajdziemy. Jesteś słaba.

Stoi przede mną w niedbalej pozie, jak zawsze starannie ubrana, doskonale uczesana. Jasnina, niemal oślepiająca. Uśmiecha się łagodnie – tak ja sama uśmiechałabym się do nieposłusznego, krnąbrnego dziecka, próbując nakłonić je do postępowania zgodnego z moją wolą. Bo przecież to tylko kwestia czasu...

Muszę uciekać, lecz którądy? Ira blokuje mi drogę do holu, palarnia jest odcięta, a drzwi, przez które weszła... Jeśli spróbuję z nich skorzystać, skończę jak Jaga. Albo jak...

Amelia wylania się ze skłębionej, szarej mgły, przeskakuje ciężko nad zdeptanym progiem, potyka się i upada na kolana. Rozgląda się obłąkanym wzrokiem, krew cieknie jej z rozbitego nosa, kapie na jasną dębową podłogę tuż obok kurczowo wczepionych w klepki palców, z których dwa pozbawione są paznokci. Ira przez chwilę przygląda się jej z pogardliwą miną. Wreszcie przykuca obok dziewczyny, odgarnia łagodnym gestem potargane włosy z czoła i ujmuje jej twarz w swoje dłonie.

– Patrzyłam i słuchałam – chrypi Amelia. – Patrzyłam...

– Wiem, kochanie – mówi Ira, a potem chwyta jasnawłosą głowę za kształtne, małe uszy, zapiera się piętami o podłogę i z głośnym, pełnym wysiłku stęknięciem przekręca gwałtownym szarpnięciem czaszkę Amelii w bok.

Chrup (*chrup*). Krzyczę krótko, ale nie, nie mogę sobie pozwolić na uleganie panice, na zgrozę... Bezwładne ciało spada na posadzkę niczym wór ziemniaków. Jaga przygląda mu się obojętnie, a Ira traci równowagę i z rozmachem siada na podłodze. Teraz!

Zrywam się do biegu z takim impetem, że sama omal nie upadam, ale na szczęście udaje mi się utrzymać na nogach. Jednym susem dopadam kredensu, odbijam się od niego – wystający narożnik blatu boleśnie uderza mnie w krzyż – a potem gnam w stronę przejścia do holu. Dostrzegam poruszenie w milczącym, gęstym szeregu upiorów. Spłoszona odwracam na moment głowę – tylko po to, by zobaczyć Amelię wysuwającą się zza pleców porcelanowego Chińczyka. Jej głowa jest nienaturalnie skrzycona, opada bezwładnie, dziewczyna podtrzymuje ją więc pokazaną dłonią, z której palców coś – lub ktoś – zdarło dwa starannie pokryte perłowym lakierem paznokcie i odsłoniło rozerwaną miążgę tkanki. Nie ma wytchnienia...

Wypadam do holu, pędzę prosto na potężny, pokryty brązową korą pień drzewa, w którego koronie, wysoko, hen, ponad dachami Sanato, szaleje wieczny pożar. Płonące żywym ogniem ptaki znów podrywają się ze szerniałych gałęzi i próbują unieść się w rozedrganym od żaru powietrzu tylko po to, by odbyć swój ostatni, śmiertelny lot ku ziemi. W ukrytej głęboko pod korą dziupli, dawno temu wydrążonej przez inny, mniej groźny piorun, młode wiewiórki skręcają się w niekończącej się agonii, a zapędzony przez płomień na chwiejny skraj potężnego konara ryś syczy, wyszczerzając ostre zęby, i ze zjeżonym włosem obserwuje błyszczącymi, zielonymi oczami nadciągającą zagładę. W dół sypie się deszcz skwierczących, martwych owadów – przenikają przez sufit i bębnią o podłogę holu niczym grad. Skręcam, mój obcas z głośnym piśkiem przesuwają się po posadzce. Szerokie schody drżą przede mną, stopnie zapadają się i unoszą, falują jak kłody rzucone w burzliwy nurt rzeki. Nie zważam jednak na to i wskakuję na najniższy z nich. Powinnam odnaleźć Dreslera, bo tylko on może poradzić sobie z tą sytuacją, z Irą. Ale najpierw muszę zabrać futuroskop – przede wszystkim. Bo wiem, że tylko ta zabawka może mi powiedzieć, co mam robić, aby przeżyć najbliższe godziny. I aby przetrwał je Adam.

Nasz pokój wygląda tak samo jak przed kwadransiem. Starannie zaścielone łóżka, cisza. Opieram się plecami o zamknięte drzwi i w mgnieniu oka czuję, że opadam z sił. Osuwam się na podłogę. Nie mogę wykluczyć, że jestem obłąkana, a to, co widziałam, jest tylko halucynacją. Tak podpowiada mi rozum i chciałabym mu uwierzyć – wbrew wszystkiemu. Gdyby mi się udało, gdybym uwierzyła we własne szaleństwo, zapewne poczułabym pewien rodzaj ulgi. Koszmar pozostałby koszmarem, ale gdybym wiedziała, że dotyczy tylko mnie, a nie świata wokół, byłoby mi łatwiej. Zyskałabym gwarancję, że gdy skończę się ja, skończy się także to wszystko. Lecz przecież percepcja kształtuje rzeczywistość... Kto tak powiedział? Janek, Ira? A może ja sama? Nie pamiętam.

Najchętniej dowlokłabym się do łóżka, wczołgała na materac, zamknęła oczy i przykryła kołdrą. Dlaczego więc tego nie zrobię? Przecież nic nie muszę, a i tak nie mam nadziei, że cokolwiek...

Krótki, suchy trzask, który rozlega się w szafie, można by uznać za nieistotny. Ot, zwykły odgłos, jaki wydaje rozsychające się drewno. A jednak prostuję się jak struna i słabość znika natchmiast. Czujnie spoglądam w stronę mebla. Politura ciemnieje, a taflę lustra pokrywają szybko rosnące, brązowe plamy. Na chwilę zaciskam powieki, a potem otwieram oczy ponownie. Plamy nie zniknęły, pojawiło się ich więcej, jeśli więc tworzy je moja wyobraźnia, jest konsekwentna. Powoli podciągam nogi, opieram się dłońmi o podłogę i wstaję. Zza szafy na jasną płaszczyznę ściany rozpełza się siatka pęknięć. Coraz szybciej i szybciej. Wykwitają brązowe zacieki, farba marszczy się, ciemnieje... Znienacka szafa pęka z głośnym trzaskiem, tafla lustra wypada na podłogę i roztrzaskuje się na kawałki. Z ust wyrywa mi się krótki okrzyk strachu. Patrzą na moje ubrania, na garnitury Adama porastające prędko pajęczoszarą pleśnią, butwiejące i spadające z wieszaków. Z siedzenia fotela, przy wtórze krótkiego, jęśliwego tonu, wyskakuje sprężyna – jedna, potem druga i następna. Proces rozkładu przyspiesza – tynk osypuje się ze ścian, łóżka zapadają się i gniją. Ściana za szafą wali się w gruzy, odsłaniając zamgloną, rozedrganą perspektywę długiej sali z ustawionymi jedno obok drugiego metalowymi łózkami. Kiedy to było? A może – kiedy to będzie? Zmatowiałe klepki podłogi unoszą się pod moimi stopami i rozsypują w zbieraninę szarzejących błyskawicznie szczapek. Futuroskop... Szyldy szuflad komody odpadają jeden po drugim, lecz mebel wciąż stoi pod zakurzonym oknem. Potykając się o ruchome klepki parkietu, rzucam się w jego stronę i zaciskam dłoń na kasecie dokładnie w chwili, gdy komoda zmienia się w stertę spróchniałych desek. Mój prezent od Nel jest jednak nietknięty. Nie widać na nim upływu czasu, politura pozostała gładka, a drewno zdrowe. Z całej siły przyciskam szkatułę do piersi. Drzwi balkonowe się rozpadają, a do pokoju wpada podmuch ostrego, mroźnego powietrza. Z podłogi wznosi się tuman kurzu, włosy tańczą mi wokół twarzy, furkocze sukienka. Mrużąc oczy, krzyczę znowu z przerażenia. Mury pękają, ze ściany odrywa się mosiężny pałak z zetłalymi resztkami zasłon. Przede mną otwiera się widok na góry – czarne, niebosiężne, ogołocone z roślinności, szczerzące się kikutami wypalonych drzew. Balkon odpada od budynku, z hukiem wali się w dół, odsłaniając widok na molo i tę absurdalną, niczemu niesłużącą rotundę. Na krótki moment wszystko wokół zamiera. Futuroskop drży w moich objęciach. Spoglądam w dół – prosto na kolejną kartę wysuwającą się ze szczeliny w obudowie.

Dzisiejszego ranka nasze zachowanie się może łatwo urazić innych, narażając nas na rozczarowania, smutki, niemile przeżycia uczuciowe. Przyszłość związków dzisiaj zawartych nie przedstawia się bynajmniej różowo z punktu widzenia astrologicznego, a nasze wysiłki życiowe mogą w godzinach rannych nie wydać pożądaných rezultatów xvc rhtyu rbrbrnrxv dknvr eoqvnv w lewo i prosto. Za schodami w prawo. Dalej jak zazwyczaj.

W godzinach najbliższych wystrzegać się należy numeru 9.

Czytam pospiesznie i marszczę brwi w przelotnym zamyśleniu. Numeru 9? Nie ma numeru 9, bo choć jest nas przecież dziewięcioro, to jednak moja ósemka jest najwyższa – Dresler oznaczył Irę cyfrą 0. Nagle coś zmienia się wokół mnie, w uszach czuję wzrastające ciśnienie. Podnoszę szybko oczy, patrzę przed siebie i odruchowo rzucam się do tyłu. Tuż za oknem, w odległości kilkunastu metrów od parapetu, wznosi się pionowe skalne zbocze. Gdy na nie spoglądam, kamień pęka i otwiera się w nim czarna szczelina. Nie czekam na to, co z niej wypełźnie. Zachłystując się z przerażenia, biegnę do drzwi, a potem wypadam na korytarz. Którędy teraz? (*W lewo i prosto*). Skręcam i ruszam przed siebie.

Kule lamp nad moją głową przygasają i rozbłyskują żółtym światłem, w powietrzu rozchodzi się swąd przegrzanych kabli elektrycznych i nadpalonej izolacji. Hol jest znacznie dłuższy niż zazwyczaj – biegnie przede mną łagodnym łukiem, a jego kraniec ginie w mroku. (*Prosto*). Biegnę, szybko zaczyna mi brakować tchu. Mijam szeregi zamkniętych drzwi, w pewnej chwili orientuję się, że ich numeracja się powtarza. Tak jakbym co kilkadziesiąt kroków wracała do tego samego punktu – wcale nie zbliżam się do końca korytarza, ale się od niego oddalam. To na nic. Przystaję, oddychając głośno przez usta. I wtedy z przenikliwym hurgotem chodnik pod moimi stopami rusza do przodu. Ściany przesuwają się do tyłu, mkną coraz prędzej i prędzej, aż wreszcie mijane drzwi niemal zlewają się w jedną płaszczyznę. Powiew powietrza szarpie mi włosy, już otwieram usta do krzyku, gdy pęd nieoczekiwanie ustaje, a ja tracę równowagę. Przez krótką chwilę biegnę przed siebie zgięta w pół, próbując zapobiec upadkowi, lecz oczywiście kończy się to porażką. Potykam się i przewracam, bardziej troszcząc się o futuroskop niż o własne ciało. Bolesnie uderzam się w kolano. Tuż przede mną korytarz skręca, a zza załomu muru wystają cementowe stopnie. (*Za schodami w prawo*). Wstaję, machinalnie rozcieram bolące kolano i utykając nieznacznie, obchodzę schody, których z pewnością nigdy nie widziałam w Sanato. Są wyłożone szarym, cętkowanym kamieniem, ich poręcze wykonano z ordynarnych, żelaznych prętów. Staję na progu krótkiego, tym razem znajomego korytarza, kilka metrów od dwuskrzydłowych drzwi z matowymi szybami, nad którymi połyskuje emaliowana tabliczka z napisem „Oddział Dziecięcy”. Wygląda na zupełnie nową. Futuroskop zaczyna mi ciążyć, przekładam go więc pod drugą pachę, ruszam przed siebie i popycham jedno z wysokich skrzydeł.

Za oknami oddziału dziecięcego świeci słońce. Jego promienie odbijają się w czystej szachownicy z równiutko ułożonych bordowych i żółtych kafli pokrywających podłogę. Na ścianach z wymalowaną do połowy wysokości lamperią z miodowej farby olejnej wiszą barwne, drukowane rotograviurą plansze – dzieci bawiące się w parku, biegające za kółkiem wokół fontanny, skaczące na skakankach, siedzące na piaszczystej nadmorskiej plaży. Pamiętam te wielobarwne kartony z dzieciństwa, w moim pokoju także wisiał podobny. Jest ciepło, zza otwartego szeroko okna napływa pachnące latem świeże powietrze. Mrugam ze zdumienia, wytrącona z równowagi sielską sceną. Drzwi w przeciwległej ścianie otwierają się i wychodzi z nich pielęgniarka. To Wiewiórka, lecz znacznie młodsza. Ile ona ma lat w moim czasie? Nigdy się nad tym nie zastanowiłam. W przypadku tak brzydkich kobiet wiek jest mało istotny. Czterdzieści? Trzydzieści? A może pięćdziesiąt? Mogłabym przyjąć każdą z tych możliwości. Na pewno jednak Wiewiórka, która zbliża się do mnie, jest znacznie młodsza od tej, którą poznałam – z pewnością nie przekroczyła jeszcze dwudziestki. Gładka twarz, jasne oczy. Nawet jej felerny, nierówny zgryz i spiczasta broda nie nabrały jeszcze odpychającego wyrazu. Nie nazwałabym jej ładną, lecz nie określiłabym też mianem brzydkiej. Odruchowo przybieram uprzejmą minę i już mam się odezwać, gdy pielęgniarka mija mnie bez słowa, przesuwając niewidzące spojrzenie po mojej twarzy. Jakby mnie tu nie było. Podchodzi do drzwi po lewej stronie holu, naciska kłamkę.

– Czy to dobrze, że jadły? – pytający kobiecy głos dobiega z wnętrza pokoju.

– Nie wiem – odpowiada Wiewiórka. – Ale nie zakazał, a były głodne i marudziły.

Ona ma na imię Maria. Mówili na nią Mańka. Krzywa Mania, to przez te zęby. Jest lipiec 1919 roku, nie wiem, który dzień dokładnie, ale ogólnej daty jestem pewna. Krzywa Mania jest siostrzenicą Klitowicza, dlatego ją tu zatrudnił...

– Nie wydaje mi się, żeby miało to znaczenie – za moimi plecami rozlega się cierpki ton mężczyzny. – Nie przeprowadzamy operacji.

Odruchowo przesuwam się w bok, ustępując mu miejsca. Lekarz ma na sobie długi, biały kitel przewiązany na plecach. Nie widzę jego twarzy, a jedynie gęstwinę kręconych, jasnych loków, które właściciel bezskutecznie usiłował poskromić dużą ilością pomady.

Wiewiórka pojawia się w drzwiach i spłoszonym wzrokiem patrzy na lekarza.

– Przepraszam, nie sądziłam... – bąka pod nosem.

– Że jestem tu i siostrę usłyszę? – pyta doktor ironicznie.

Staje przed pielęgniarką i zwraca się profilem do mnie – wtedy go poznaję. Ten szczupły, prosty jak trzcina mężczyzna o jasnej karnacji i nieco jeszcze dziecięcym zarysie podbródka to Baranicz. Bohater skandalu sprzed kilku miesięcy, ten sam, który pozwolił sobie na uczucie do jednej z pacjentek i co gorsza, nierozważnie ją zapłodnił, a następnie wyruszył na poszukiwania oblubienicy, którą rodzina czym prędzej zabrała z Sanato. Przygarbiony, wypłowiały człowieczek o zapadniętej ziemistoszarej twarzy i wodnistych oczach. Kto by pomyślał, że kiedyś był tak przystojny? I kto by pomyślał, że kierował całym naszym ośrodkiem? Imponująca kariera – gdy zaoferowano mu funkcję dyrektora Sanato, nie miał jeszcze trzydziestki, a na swoim koncie odnotował kilka istotnych sukcesów w walce z suchotami i parę opublikowanych prac naukowych, które odbiły się szerokim echem w kręgach medycznych całej Europy.

– Sostro, sprawdziła pani liczbę wyjałowionych dawek? – Baranicz mija w drzwiach Wiewiórkę, która oblewa się szkarłatnym rumieńcem i odchodzi szybkim krokiem.

Znowu przechodzi obok mnie, jakbym była powietrzem – zapewne nie jestem dla niej niczym więcej, a pewnie nie byłam też i we własnym czasie – zmierzając w stronę uchylonych drzwi w głębi korytarza.

– Tyle, ile pan doktor za... – Drzwi się zamykają i głos milknie jak ucięty nożem.

Spoglądam w okno, za którym w przesyconym światłem powietrzu wirują leniwie złociste drobinki. Przychodzi mi do głowy, że gdybym spróbowała przeskoczyć przez parapet, z pewnością przeżyłabym upadek – w końcu poniżej jest trawnik. Mogłabym uciec do tego minionego, wiosennego świata, zostawić za sobą sanatorium i to, co tu się dzieje. Nawet Adama. Pomysł jest kuszący, choć zdaję sobie sprawę, że niemożliwy do zrealizowania. Nie mogłabym go zostawić, a poza tym zanim jeszcze dotknęłabym ziemi, z pewnością wróciłabym do naszego czasu.

Zresztą Sanato wcale nie przeniosło mnie fizycznie wstecz, pozwoliło mi jedynie zobaczyć odprysk swojej historii. Pytanie tylko: po co?

Odrywam oczy od niegroźnego górskiego krajobrazu i ruszam za Wiewiórką, która zmierza do sali numer 3 – głównej sypialni oddziału dziecięcego. Wchodzę za nią. Pod ścianami ustawione są łóżka, a właściwie łóżeczka – jedno obok drugiego, przedzielone rozsuniętymi teraz płóciennymi zasłonami zamontowanymi na szynach podwieszonych pod sufitem. Kotary są czyste i świeżo wykrochmalone. Wiewiórka pochyla się nad jednym z pacjentów – chłopczyk ma nie więcej niż pięć lat. Krwiste rumieńce na puciołowatych policzkach, błyszczące oczy – nie potrzebuję nawet używać swojego nowego zmysłu, żeby zdać sobie sprawę, że jego stan jest beznadziejny, a rodzaj gruźlicy, który go trawi, należy do najbardziej żarłocznych. Dzieci leżące w dziewięciu z pozostałych łóżek, których w sali stoi dwadzieścia, poza jedną wątlą, ciemnowłosą dziewczynką, są starsze. Ich kondycja wydaje się lepsza – kilkoro ma nawet wyraźne szanse na całkowity powrót do zdrowia. Krzywa Mania uśmiecha się do najmłodszego chłopczy-

ka, który wpatruje się w nią mało przytomnym wzrokiem. Jedna z dziewczynek odwraca złocistą głowę w moją stronę i spogląda na mnie uważnie. Nie przeze mnie, lecz na mnie. Jakby mnie widziała. Gdy orientuje się, że zauważyłam jej spojrzenie, błyskawicznie odwraca twarz. Ten ruch głowy wydaje mi się niepokojący.

– Gotowi? – wykrzykuje sztucznie radosnym tonem Baranicz tuż za moim ramieniem.

– Oczywiście! – odpowiada pielęgniarka, uśmiechając się nieszczerze.

Dzieci milczą. W ostatniej chwili odsuwam się na bok, przepuszczając szpitalny wózek, na którym w drewnianych rynienkach leży dziesięć strzykawek. Dziewczynka znowu spogląda na mnie ukradkiem, a ja czuję narastający niepokój. Nie powinnam tu być...

– Obiecuję, że prawie nie będzie bolało – oświadcza lekarz. – A dzięki temu poczucie się znacznie lepiej i już niedługo będziecie mogły jechać do domu. Za kilka miesięcy, może już na przysze święta Wielkiej Nocy.

Druga pielęgniarka pochrząkuje głośno, Baranicz rzuca jej stropione spojrzenie. Ach, tak. Tych dziewięciorga dzieci, pięciu dziewczynek i czterech chłopców – choć w większości to nie są sieroty – raczej nie uraduje perspektywa powrotu do swoich rodzin. Prawdopodobnie dni spędzone w Sanato są najśłodszym, najweselszym i najbardziej sytym okresem ich krótkiego życia. Nie zdawałam sobie sprawy, że Sanato przyjmowało biedotę – zaskakujące. Nagle zauważam, że jeszcze jedno z łóżek jest zajęte – stoi w pewnym oddaleniu od reszty. Na materacu siada piąty chłopiec, wygląda na Cygana. Spod nastroszonej szopy kruczoczarnych włosów wielkie, czarne oczy z uwagą wpatrują się w lekarza.

Baranicz szybkim krokiem podchodzi do wózka, bierze jedną ze strzykawek. Co jest w środku? Przyglądam się mętnej cieczy zamkniętej w szklanej tulejce, potem przenoszę wzrok na Baranicza. BCG, jeden z wcześniejszych wariantów. Szczepionka. Tyle tylko, że prątki, których użyto do jej spreparowania, wcale nie zostały osłabione, wręcz przeciwnie, a ten człowiek doskonale zdaje sobie z tego sprawę, bo sam zajmował się przygotowaniem medykamentu. Dziewczynka znowu przygląda mi się z ukosa pełnym napięcia wzrokiem i pyta:

– A czy będziemy mogli dziś pozbytkować na polu? Bo my byśmy chcieli się pobawić...

– Tak! – woła ciemnowłosa, pyzaty chłopiec zajmujący łóżko za pięciolatkiem. – Żeśmy się już tak dawno nie bawili!

– No, zobaczymy – uśmiecha się do niego doktor.

Postęp wymaga ofiar. By uratować tysiące istnień, bez wahania nie tylko można, ale wręcz nawet trzeba poświęcić kilka. Szczególnie takich, o które i tak nikt się nie troszczy i które właściwie od chwili narodzin skazane są na nędzny los. Baranicz tłumaczy sobie sprawę w ten sposób, choć serce podpowiada mu coś zupełnie innego. Człowiek spiera się z naukowcem, potrzeba niesienia pomocy z żądzą poznania. Wygra naukowiec, człowiek przegra. Wiem, co wydarzy się tu za moment. Tajemnica zapomnianego oddziału dziecięcego przestaje być sekretem. Umiejętnie zatuszowany skandal sprzed lat – pech chciał, że o troje dzieci jednak się upomniano. Oficjalnie – błąd lekarski, nieoficjalnie – morderstwo. Baranicz straci wszystko, jego kariera legnie w gruzach i tylko cudem uda mu się przetrwać w Sanato na stanowisku w gruncie rzeczy niewiele wyższym od pozycji pielęgniarki. Krzywa Mania go zdradzi – to nie Klitowiczowi zawdzięcza swoją posadę tutaj. Poinformuje wuja o tym, co się wydarzyło. Klituś, który myśli już o emeryturze i poszukuje cieplej, bezpiecznej posadki, wkroczy do akcji. Zręcznie przejmie kierownictwo placówki i zatuszuje skandal, bo w końcu ma w tym ogromne doświadczenie. Informacje jedna po drugiej pojawiają się w moich myślach. Widzę Klitowicza w gabinecie lekarskim i chłopaka, który siedzi przed nim rozebrany do naga. Skręca się z bólu, przyciskając dłonie do boku.

– Trzeba cię jakoś rozproszyć – mówi Klituś cichym, chrapliwym tonem.

Mała blondynka o twarzyczce aniołka przygląda mi się spode łba, wykrzywia wargi w podłym, dorosłym uśmiešku. Igła strzykawki zagłębia się w odsłoniętym ramieniu pięciolatka, chłopczyk wybucha głośnym płaczem. Wiewiórka trzyma go mocno. Chłopak z pękniętym wyrostkiem robaczkowym (*zaczęło się przed świtem*) pozwala się rozpraszać, a rozpalony Klitowicz nie wie, że za kilka minut będzie już za późno, aby zlecić operację, lecz co tam, skandal przecież da się wyciszyć, choć sporo to będzie kosztowało... Obrazy nakładają się na siebie, czuję ostry ból w czaszce, tuż nad oczami.

– Nie! – wykrzykuję, potrząsając głową. – Nie chcę tego widzieć!
Robię krok do tyłu i zapieram się plecami o ścianę.

Baranicz podchodzi do kolejnego łóżka. Śniady chłopczyk śmiało podciąga rękaw koszuli.

– Zuch! – chwali go Baranicz. – Chciałbyś być doktorem, gdy dorośniesz, co?

– Rozsadzenie wnętrzości – mówi smutnym tonem Klitowicz do szczupłego, starszego mężczyzny, który wpatruje się w niego z twarzą zastygłą w zbolałym grymasie. – Organy syna po prostu eksplodowały samoistnie. Nic nie można było zrobić.

Zaciskam powieki, zasłaniam uszy dłońmi. Któraś z dziewczynek śmieje się w głos, dołączają do niej pozostałe dzieci. I wtedy nagle dociera do mnie, że to tylko fortel. Sanato pokazało mi echa dawnych wydarzeń i odsłoniło przede mną kilka swoich brudnych sekretów jedynie po to, aby odwrócić moją uwagę, by rozproszyć mnie, odciągnąć od chwiejnych, kręconych schodów prowadzących na antresolę. Od gabinetu Dreslera, a przede wszystkim od...

– Adam – szepczę i otwieram oczy.

Sala numer 3 jest pusta. Dziewięć krzeseł ustawionych w krąg, szpitalny parawan obciążony prześcieradłem, zamieciona podłoga, rdzewiejące, bezużyteczne od lat karnisze pod sufitem. Za oknami w przyćmionym świetle pochmurnego zimowego dnia wirują tumany śniegu.

– Adam! – powtarzam głośniej.

Odwracam się na pięcie, wybiegam do holu i pędzę w stronę schodów prowadzących na antresolę. Wspinam się po żeliwnych stopniach, nie zważając na to, że ich konstrukcja chwieje się z przeraźliwym zgrzytaniem na wszystkie strony. Biegnę przez niski korytarz, dopadam ostatnich drzwi i otwieram je z takim impetem, że niemal wypadają z zawiasów.

– Adam?

Spóźniłam się. W pokoju nikogo nie ma. Nogi miękną pode mną, szafa z dokumentami, materace, sterta niepotrzebnej, zatęchłej pościeli, umywalka – wszystko wiruje mi przed oczami. Opadam na brudną podłogę, futuroskop wysuwa się spod mojego łokcia i z głuchym stuknięciem uderza w deski. Jaka ta podłoga miękka – błyska mi jeszcze absurdalna myśl, a potem roztapiam się w szarości.

*

Powietrze jest suche i gorące, jakby to okropne lato wyssało ostatnią kroplę wilgoci z lasów, które nas otaczają. Drzewa stoją w smętnym bezruchu, nawet paprocie zmieniły się w wiązki pożółkłych pióropuszy – pożar w kabarecie, girlsy ze strusimi piórami w tyłkach padły jako pierwsze. Jedna po drugiej zleciały z proscenium głowami wprost do kanału orkiestry. Coś przesuwa się z szelestem pod zaschniętą, kruchą kępą tuż za barierką blisko mnie – jestem gotowa iść o zakład, że to dogorywająca z pragnienia wiewiórka. Ostatnia, jaka przeżyła. Brak mi oddechu, pocę się. Niepotrzebnie włożyłam płócienny kostium na podszewce, trzeba było wybrać jakąś lekką bluzkę. Żałuję, że nie starczyło mi czasu na kąpiel, ale i tak zbyt długo nie wracałam, Adam zaczął się niepokoić. Dyszę rozplaszczona na leżaku i wpatruję się w belkowanie podtrzymujące dach rotundy. Między deskami zwisa falbana pajęczyn, a w złączeniu krokwi jaśnieje pia-

skowoszare jajo. Gniazdo os. Zapewne wyniosły się z niego dawno – wydaje się martwe – ale to tylko dowód na to, że nikt tu nie sprząta, a nie bardzo mi to pasuje do szumnej reklamy Sanato. Luksus na europejskim poziomie, też coś. Nie znoszę upałów, nienawidzę tego miejsca. W taki dzień myśl o śmierci wydaje się nawet kojąca. Choć tu, pod dachem rotundy, ściele się cień, to wcale nie niesie ulgi. Mam wrażenie, że umierające rośliny wokół altany odsysają z rozpalonego powietrza resztki tlenu. Orkiestra na głównej werandzie dorzyna „Indigo Mood” – co za pomysł organizować taneczny podwieczorek w taki upał? Ale jeśli już koniecznie chcieli to zrobić, mogli przynajmniej wynająć dobrych muzyków. Odrywam wzrok od zakurzonych krokwi i z irytacją spoglądam w stronę Sanato. Wydaje mi się, że pod zadaszeniem werandy kołysze się kilka par, ale obraz drży w rozżarzonej do białości powietrzu, równie dobrze więc może to być fatamorgana. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł tańczyć w takim ukropie. Choć mimo wszystko w budynku jest zapewne chłodniej. Wróciłabym do niego, ale mam wrażenie, że gdybym wyszła z cienia rotundy na molo, stanęłabym natychmiast w płomieniach niczym Joanna d’Arc. Żywa pochodnia, nie dotarłabym nawet do najbliższego parasola.

– W barierce jest furtka – mówi Adam.

Adam. Nawet się nie spocił, na szarej koszuli nie widzę najmniejszej plamy. Równo zaczesane włosy, doskonale prosty przedziałek. Nienawidzę, gdy tak się czesze. Jak to możliwe, że choć zachorował wcześniej, jest w tak dobrej formie, podczas gdy ja całkowicie się rozsypuję?

– W barierce jest furtka – powtarza Adam i wskazuje dłonią drewnianą poręcz między filarami podtrzymującymi stożkowaty dach. – Można zejść przez nią do lasu.

– Naprawdę? – siłę się na obojętny ton. – Rzeczywiście. Chyba nikt nie korzystał z niej od lat. Zawiasy przeżarła rdza.

– Myślę, że jeszcze działa – stwierdza.

Jestem słaba i z każdym dniem słabnę coraz bardziej. Staram się o tym nie myśleć. Dlaczego choroba postępuje u mnie tak prędko? Gdyby on czuł się gorzej, łatwiej bym się z tym godziła – obrzydliwa myśl, wiem, sama przed sobą się za nią wstydzę. Ale wtedy byłoby sprawiedliwiej.

– Chcesz się przekonać? – pytam.

– Czemu nie? – Adam się uśmiecha. – A jeśli okaże się, że tak, utrzymamy sprawę w sekrecie. Tylko my będziemy wiedzieli, że w razie czego zawsze można tędy uciec. Wejście nie jest strzeżone.

– Jesteś śmieszny – odwarkuję szorstkim głosem, ale szybko przywołuję się do porządku i łagodnie dodaję: – Kocham cię.

Adam wzdycha i spogląda na mnie z uniesioną brwią, a potem uśmiecha się niewesoło i mówi:

– To ja ciebie kocham.

Leżę przez moment bez ruchu, mobilizując siły. Wreszcie podnoszę się i podchodzę do barierki. Oglądam furtkę – pod poręczą znajduję coś w rodzaju skobelka. Daje się wysunąć zaskakująco łatwo. Pewnie drewno wyschło i skurczyło się od tego upału. Furtka uchyla się opornie, zawiasy protestują z piskliwym jękiem.

– Miałaś rację – rzucam przez ramię. – Działa. Uciekamy?

– Żartujesz?

– Nie, wcale – wzruszam ramionami i otwieram furtkę na oścież.

Za podestem rotundy, między brązowymi paprociami są dwa spróchniałe stopnie.

Ostrożnie wypróbuję stopą najwyższy – wydaje się stabilny. Przytrzymując się barierki, schodzę na ziemię.

– Idziesz? – pytam, spoglądając na Adama.

Nasze twarze są na tej samej wysokości, choć on leży, a ja stoję.

Adam przygląda mi się niepewnym wzrokiem, a potem rzuca badawcze spojrzenie w stronę Sanato.

– No, na miłość boską! – pryham. – Przecież nie jesteśmy w więzieniu!

Odwracam się do niego plecami i odchodzę od rotundy. Poszycie jest nierówne, zdradliwie miękkie. Mam na stopach pantofle, które zupełnie nie nadają się do wędrówek po lesie, ale wcale mi to nie przeszkadza. Naprawdę mogłabym uciec. Iść przed siebie, obejść łukiem Sanato, a potem zejść do Zakopanego. Jakoś dotarłabym do dworca kolejowego. Mogłabym pojechać do Warszawy i zatrzymać się u Nel, jej rodzina ma duży dom. Szkoda, że nie zabrałam gotówki.

– Zaczekaj! – Adam zeskakuje z werandy między paprocie i rusza za mną. – Nino! Prosiłem, żebyś na mnie poczekała.

– A gdzie mogłabym pójść?! – wybucham. – Czy wydaje ci się, że w tym kostiumie i w pantoflach na obcasach przebyłabym góry, przedarła się przez granicę i uciekła do Czechosłowacji?

– Nusi, po prostu nie chciałbym, żeby coś ci się stało. Tu mogą być zmije – mówi łagodnym tonem Adam.

Złość wyparowuje ze mnie równie szybko, jak się pojawiła. Adam podchodzi do mnie i podaje mi ramię. Wsuwam pod nie rękę.

– Nie powinniśmy zanadto się oddalać. Łatwo moglibyśmy zmylić drogę – stwierdza Adam, gdy powoli maszerujemy między drzewami.

– Tu wszędzie jest mnóstwo ludzi. Ciągną jak pszczoły do miodu. W końcu to Zakopane.

– Ale latem przyjeżdża mniej turystów. Słyszysz? – zatrzymuje się i przechyla głowę.

– Grają – stwierdzam.

– Owszem. Nie uważasz, że to urocze?

– Co jest urocze?

– Pomysł z podwieczorkiem tanecznym.

– Byłby miły, gdybyśmy mieszkali w hotelu. W uzdrowisku jest niczym więcej niż tylko kolejnym sposobem na mydlenie oczu. Potańcujcie sobie i zapomnijcie, że jedną nogą każde z was jest już w grobie.

– Kochana...

– Ja tego nie rozumiem – mówię z rozpaczą w głosie.

Drzewa rosną tu niemal jedno przy drugim. Nagie pnie wznoszą się pionowo w górę, wysoko nad naszymi głowami iglaste gałęzie płaczą się ze sobą, tworząc gęste, spójne sklepienie i odgradzając nas od nieba. Wydawać by się mogło, że znaleźliśmy się w jakimś ogromnym pomieszczeniu – między rudymi pniami nie rosną żadne krzewy, ziemia pokryta jest grubym, jednolitym dywanem suchego igliwia, które tłumi dźwięki. Można by krzyczeć tu do upadłego, nikt nie usłyszałby niczego.

– Wiem – wzdycha Adam.

– Przecież to jest choroba nędzarzy! Zawsze słyszałam: suchoty dla biedoty. A ty jesteś bogaty!

– Proszę, przestań.

– Jak mogę przestać, gdy cały mój świat rozpada się na kawałki? – pytam z goryczą. – Mam dopiero dwadzieścia jeden lat! Wszystko, co najlepsze, powinno być przede mną. Niczego jeszcze nie doświadczyłam!

To akurat jest prawdą tylko częściową. Przed oczami staje mi wnętrze pokoju numer 48 oglądane przeze mnie przed godziną. Podjazd widoczny przez gęstą firankę. Zaskoczył mnie silny zapach tytoniu fajkowego, nie wiedziałam, że pali fajkę... Powinnam była się wykapać, lecz

nie starczyło czasu, bo powiedziałam, że idę po książkę, a nie było mnie ponad pół godziny, a na dodatek wróciłam bez lektury. Czy mój kostium przypadkiem nie przesiąkł tym zapachem? Skóra cierpnie na mnie, rzucam badawcze spojrzenie na Adama i odsuwam się od niego. Tam wszędzie leżały książki, nawet na łóżku, miałam pożyczyć którąś, zabrać w charakterze alibi, ale zapomniałam. Zgarnął je wszystkie na podłogę jednym zamaszystym gestem... Dostyc! Potrząsam głową, próbując odpędzić obraz. Wiem, że to był błąd, ale nikt się przecież nie dowie. Trzeba to szybko wyrzucić z pamięci, jak najszybciej.

– Nino, będzie dobrze, zobaczysz – mówi cicho Adam.

– Niewiele zobaczę. Jeśli to będzie nadal rozwijało się w tym tempie, owdowiejesz przed zimą.

– Najważniejsze, że jesteśmy razem.

– Gdybyśmy nie byli razem, nie zachorowałabym. Nigdy!

Adam milczy, spuszcza głowę. Wiem, że zachowuję się irracjonalnie i podle, ale nie potrafię przestać. Atak jest przecież najlepszą obroną, powinnam być skruszona, a jestem wściekła. Jednak to na pewno przede wszystkim przez ten upał. Coś szumi przed nami. Skręcam w tę stronę, Adam posłusznie pozwala się prowadzić. Dlaczego zgodziłam się na nasze małżeństwo? Przecież od początku miałam wątpliwości. Powinnam poczekać. Niczego nie zaznałam, nie doświadczyłam. A teraz jest za późno. Na cokolwiek i na wszystko.

– Uważaj! – Adam pociąga mnie do tyłu w ostatniej chwili, gdy spod moich stóp odrywa się fragment gruntu i leci w dół.

Mocniej chwytam go pod rękę i wyglądam ostrożnie zza krawędzi urwiska. W dole pod nami szumi górski potok. Woda wyłobila w ziemi wąską, głęboką debrę – prawdopodobnie wiosną, gdy topnieją śniegi, pędzi tędy rwąca rzeka. Teraz na kamienistym dnie jaru srebrzy się zaledwie wąska, spieniona strużka. Zresztą rozpadlina wcale nie jest aż tak głęboka, jak wydawało mi się przed chwilą – nie głębsza niż cztery metry. Gdybym spadła, nie zabiłabym się, choć nogę mogłabym złamać. Od debry ciągnie chłodne powietrze – cudowne wrażenie. Przymykam oczy i wychylam się bardziej.

– Nino, uspokój się!

– Przecież jestem spokojna. Jak trup.

– Nie potrafię tego znieść.

– Och, nie dramatyzuj!

– Zabijasz mnie.

– W twoich ustach i w naszej sytuacji to całkowicie fałszywe słowa – stwierdzam spokojnym tonem. – Jeśli ktoś tu kogoś zabił, to ty mnie. W dodatku jest to zbrodnia doskonała.

– Nino, jak możesz...

– A może... – spoglądam na niego w udawanym natchnieniu, wytrzeszczam oczy i ciągnę dramatycznym, teatralnym szeptem: – A może ja już umarłam, a ty się nie zorientowałeś? Może chodzi, śpi i je u twego boku żywy trup, rodzaj zmaterializowanego astrala, a ty o tym nie wiesz, bo zaślepią cię ta twoja cała wielka miłość? Pomyśl, przecież to możliwe.

Wtedy Adam zaczyna płakać. Nie szlocha – jego oczy wypełniają łzy, ale zaledwie jedna czy dwie spływają na policzki. Szybko odwraca głowę, jednak widok tych łez wstrząsa mną jak niewiele rzeczy wcześniej. Czuję przerażenie i litość, serce ściska mi się boleśnie w piersi, lecz jednocześnie ogarnia mnie mściwa radość, poczucie władzy i zawrót głowy – gorąca jak lawa fala okrucieństwa, którego nie doznawałam od lat i o którym właściwie już zapomniałam.

– Nienawidzę cię – mówię syczącym głosem i wyszarpuję rękę spod jego ramienia. – Jesteś wstrętny, słyszysz? Wstrętny! Żałuję, że spotkałam cię na swojej drodze!

Adam zastyga w bezruchu, a potem z jego piersi wyrывa się cichy, zdławiony szloch. Czy

to, co stało się potem, wywołał ten nagły skurcz mięśni czy moje słowa? Nie wiem. Szloch się urywa, Adam próbuje zaczerpnąć tchu i wtedy przychodzi atak. Mój mąż zgina się w pół, usiłując wykrztusić z krtani flegmę i krew, które wyrzuciły jego płuca. Błotnisty kaszel nie kończy się, rozrywa go niemal na części. Na ziemię spadają pierwsze krople krwi, wysuszone igliwie spija je łapczywie. Stoję niczym obrócona w słup soli, nie mogę oderwać wzroku. Adam wciąż się dusi, krwi jest więcej i więcej. Nagle napina się, jego twarz przybiera barwę surowego mięsa.

W gwałtownym skurczu odkrztusza wreszcie galaretowaty, ciemnoczerwony skrzep pocięty szarymi strzępami zgniłej tkanki płuc. Pacyna spada na igły, toczy się, obrastając nimi jak bajaderka obtaczana w płatkach migdałowych. Adam nareszcie wciąga haust powietrza, zatacza się i traci równowagę. Czy rzeczywiście sam ją stracił? Przecież nie popchnęłam go, nie mogłabym... Bez żadnego dźwięku, bez krzyku czy nawet jęku, zsuwa się z krawędzi rozpadliny i spada na kamienie, między którymi wesoło szmerze krystalicznie czysty potok. Przez sekundę gapię się zbaraniałym wzrokiem na puste miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał mój mąż. Gorąca fala niewiści odpływa, zastąpiona narastającą, znajomą paniką.

– Adam! – rzucam się na ziemię i na kolanach podczołguję do krawędzi urwiska.

Leży w dole, na plecach. Ręce ma rozrzucone na boki, odchyloną głowę, wyprostowane nogi, obie razem, skierowane w jedną stronę. Niczym celuloidowy pajacyk. Na jego piersi, na szarej, doskonale odprasowanej koszuli, rozkwita szkarłatna plama krwi. W zacienionym wąwozie wydaje się oślepiająco jaskrawa. Prawie świeci.

Potem biegnę przez las i krzyczę. A może tylko mi się wydaje? Nie mogę przecież wydobyć głosu, mam całkowicie zdarte gardło. Z tego, co działo się później, naprawdę pamiętam niewiele. Ludzi niosących mnie na ramionach i gałęzie drzew przesuwające się na tle przeraźliwie błękitnego nieba wysoko nad moją głową. Dudnienie desek pomostu i muzykę na werandzie, która urwała się nagle. Gabinet Klitowicza i salkę operacyjną. Dlaczego do niej właśnie mnie zanieśli? Nie wiem. Spędziłam tam noc. Pamiętam ukłucie igły wbijanej pod moją skórę i kwaśny smak wody z cytryną, którą mnie pojono – miał paradoksalnie kojące działanie, bo dzięki niemu nareszcie przestałam kaszleć.

Lecz przeżyliśmy. Dostałam jeszcze jedną szansę i wiedziałam, że zrobię, co w mojej mocy, żeby ją wykorzystać. By naprawić wszystko to, co zostało rozbite.

Odnaleźli go przed zmierzchem. Poobijał się tylko, nawet niczego sobie nie złamał, czym byłam zaskoczona, bo przecież gdy patrzyłam z góry, z krawędzi debry, mogłabym przysiąc, że jego kark... Na szczęście tylko mi się zdawało. Doszedł do siebie prędzej niż ja i gdy następnego dnia wróciłam do naszego pokoju, Adam już w nim był. Czekał na mnie. Role się odwróciły, ja nabrałam siły, on przygasł. Rozwój mojej choroby przyhamował, a jego – przyspieszył. Zmizerniał, pobladł, jego twarz poszarzała, jego oczy straciły blask. Z tamtego jasnego, mocnego, pewnego siebie mężczyzny pozostało niewiele – lecz jednak dość, bym wciąż miała kogo kochać.

ROZDZIAŁ XV

NUMER 9

Czwartek, 24 grudnia 1931 roku

Kosmiczne dodatnie działania nasilą się przed świtem, niosąc okazje pomyślne, które należy wykorzystać odpowiednio, rozwijając wzmożoną aktywność życiową.

W godzinach poobiednich nastąpi przyływ sił witalnych, szansa na pewne powodzenia towarzyskie, a pod wieczór zmanifestuje się ochota na tworzenie nowych związków, rozbudzenie namiętności, nadmierna pobudliwość lub umiarkowane pragnienie. Szczególnie wyraźnie może się to wszystko zaznaczyć koło godziny 21-ej. Wieczór późniejszy nie zapowiada się pomyślnie i po godzinie 22-ej może nam przynieść nieoczekiwane wstrząśnienia lub niepokoje, nieporozumienia z obcymi, a później – zwiększoną skłonność do gniewu.

W dniu dzisiejszym strzec się należy.

Ejekt. Cyfry. Pozostało ~~osiem~~ siedem sześć.

Leżę przytulona policzkiem do podłogi, wpatruję się w szczelinę futuroskopu, który wypłuł kolejną fiszkę tuż przed moim nosem. Nie jestem zdezorientowana, wiem doskonale, gdzie jestem i dlaczego. Nie wiem tylko, jak długo tu leżałam. Godzinę? Pięć? Za niskim oknem wciąż jest dzień, czy jednak jest to jeszcze dziś, czy już jutro? W każdym razie kryjówkę wybrałam dobrze, nie znaleźli mnie. Choć być może po prostu już tu nie zaglądali drugi raz, jeśli wcześniej dopadli Adama i wywlekli go z tego składziku.

Podnoszę się i sięgam po kartę. Taki sam bełkot jak zwykle – poza ostatnią linijką. Co to znaczy: pozostało sześć? Sześć numerów oczywiście. Amelia wypadła z gry na moich oczach, kim zajęła się Ira w następnej kolejności? Nie wiem. Tak czy inaczej, jeśli odliczę z tej szóstki siebie, zostaje pięć osób. Obiektów.

Wstaję i na palcach podchodzę do umywalki. Chce mi się pić, ale boję się odkręcić kran. Nie mam pojęcia, w jakim jest stanie, może narobić hałasu. Opieram się o krawędź brudnej umywalki i spoglądam w pęknięte, zakurzone lustro. Sama wyglądam niemal jak jeden z upiorów, które widziałam w jadalni, myślałam jednak, że będzie gorzej.

Jeśli znaleźli Adama, już po nim. Albo nie. Może nie udało im się go dopaść? Może odszedł stąd sam. Po to, aby mnie odnaleźć, lub po prostu dlatego, że się znudził. Lub zgłodniał. Albo uznał, że zwariowałam, co w tej chwili mnie samej wydaje się całkiem wiarygodne.

Idę do wejścia, przystaję przy uchylonych drzwiach i nasłuchuję przez długą chwilę. Ciszka. Muszę się napić, język mam jak wiór.

Kurek odkręca się opornie, kran zaczyna dygotać z głuchym dudnieniem, od którego cierpnie mi skóra. Do umywalki pokrytej brązowymi zaciekami chlusta mętna woda. Nabieram jej w dłonie i piję łączywie, a potem obmywam twarz. Szybkim ruchem zakręcam kran i w tej samej chwili słyszę odgłos łupnięcia. Coś upadło na podłogę gdzieś niedaleko, tu, na antresoli. Czułam wyraźnie, jak zadrżała pod moimi stopami. Nasłuchuję w bezruchu, wytrzeszczając idiotycznie oczy na własne odbicie w lustrze. Wreszcie odwracam się i podnoszę futuroskop. Wsuwam aparat pod pachę i przekradam się na korytarz. Pusto.

Szereg pozamykanych drzwi, w oddali widoczny cień żeliwnej poręczy spiralnych schodów. Wszystko wydaje się zwyczajne. Jakby Sanato nie było niczym więcej niż tylko miejscem i konstrukcją. Ale wiem, że to jedynie pozory.

Stąпам na palcach, wstrzymując oddech. Przy kaźdych mijanych drzwiach zatrzymuję się na moment i nasłuchuję w skupieniu – brak mi odwagi, aby naciskać klamki i zaglądać do pokojów. Jeśli dotrę do schodów, może uda mi się zejść na parter, do gabinetu Klitowicza, w którym stoi aparat telefoniczny. Dlaczego nie pomyślałam o nim wcześniej? A po drodze zajrzę do naszego pokoju, może jest w tam...

Staję jak rażona gromem na widok otwartych drzwi gabinetu Dreslera. Ktoś jest w środku, wyraźnie słyszę ciężki oddech, a po sekundzie – stłumione, znajomo brzmiące, szlamowate kasznięcie. Dresler? Raczej nie, to nie on tak kaszle. Rozpłaszczam się na ścianie i ostrożnie, centymetr po centymetrze przysuwam się do futryny. Widzę ścianę z półokrągłymi oknami tuż przy podłodze i... Nogi. Zamieram. Męskie brązowe półbuty, beżowe skarpetki i nogawki ciemnych, wełnianych spodni. Kto to jest? Mężczyzna leży twarzą do podłogi, czubki butów są skierowane do środka, dotykają się – nie wybrałby raczej takiej pozycji z własnej woli. Któryś z numerów? Według futuroskopu nie ma już trzech, może to więc być Stan, Miet albo Jan... Ktoś wzdycha, to z pewnością kobieta. W pomieszczeniu rozlegają się lekkie kroki, a potem szcęknięcie odblokowywanej okiennej frorajzy. Rama stuka o podłogę, brzęczy szyba. Kroki zbliżają się, chowam głowę w ramionach i spinam mięśnie. Jeżeli to Ira, muszę uciekać. Nogi leżącego mężczyzny poruszają się nagle, przesuwają o kilka centymetrów.

– O, Jezusie... – pojękuje ktoś ze śmiertelnym zmęczeniem w głosie, a ja oddycham z ulgą.

Choć czy słusznie? Skąd mam wiedzieć, czy wciąż mogę jej ufać? Warto zaryzykować – dopiero w tej chwili, w nagłym olśnieniu dociera do mnie, jak bardzo czułam się samotna. Nabieram tchu i staję w drzwiach gabinetu.

– Dorciu, to ja – mówię cicho.

Dziewczyna podrywa się i wlepia we mnie przerażone oczy. Nigdy nie wyglądała mizerniej. Czarne sińce, ściągnięta, postarzała, zapadnięta twarz. Stoi nad leżącym mężczyzną, z którego pleców sterczy jakiś połyskujący, metalowy przedmiot, i ścisła jego nadgarstki w dłoniach. Przyłapałam ją na gorącym uczynku. Na mój widok nieco się rozluźnia, ale nie zmienia pozycji i przygląda mi się czujnie.

– Nina? – pyta wreszcie.

– No, przecież widzisz. – Wchodzę do sali i przymykam za sobą drzwi.

– Nie podchodź bliżej!

– Dorciu, przecież to ja!

– Skąd mogę wiedzieć na pewno. Widziałam tu dużo dziwaczych... – urywa, wyraz jej twarzy mięknie i oczy wypełniają się łzami.

Potrząsa głową, pochyla się niżej i poprawia chwyt, a potem zapiera się nogami o podłogę i próbuje pociągnąć leżącego mężczyznę do siebie.

– Co ty wyprawiasz? – pytam.

– Pomóż mi – sapie Dorcia.

– Kto to jest?

– A jak myślisz?

Mężczyzna ma białą koszulę z wysoko podwiniętymi rękawami. Skóra jego przedramion jest poorana bruzdami. Z głębokich, nierównych szram sączy się krew. Czarne, falujące włosy, wąskie biodra, szerokie ramiona matadora. Na plecach białej koszuli czerwieni się niemal idealnie okrągła plama krwi. Rozpoznaję przedmiot sterczący z rany. To troakar Klitowicza, ten sam, za pomoc a którego zakładał mi odmě.

– Och, nie... – wyrywa mi się jęk.

– Tak – spokojnym głosem rzuca Dorcia. – Pomóż mi, bo jeszcze żyje.

– Dorciu, przecież tylko on może nam pomóc!
– Doprawdy? – Uśmiecha się do mnie krzywo, a potem ruchem brody wskazuje na coś, co znajduje się za moimi plecami. – Czy tak jak jemu?

Odwracam się i ręka sama podrywa mi się do ust. Pod sufitem, na linie zaczepionej o jeden ze starych karniszy, na których niegdyś mocowano kotary oddzielające od siebie łóżka chorych dzieci, wisi Sebastian. Ma rozerwaną koszulę, a jego klatka piersiowa i brzuch zostały rozplątane. Głębokie, równe i fachowe cięcie – prostokątny płat skóry zwisa z podbrzusza chłopaka niczym lśniący, szkarłatny fartuch. Kłębowisko szaroczerwonych jelit spada kaskadą aż do podłogi, rozłamane żebra sterczą na boki. Ten, kto to zrobił, musiał mieć wielką siłę. Chłopak wytrzeszcza niewidzące oczy na sufit – głowę ma odgiętą do tyłu, bo węzeł liny umieszczono pod jego brodą. Dzięki temu ramiona odsunęły się do tyłu, a pierś wysunęła do przodu – uświadomiam sobie. Dzięki temu był lepiej wyeksponowany. I od razu przypominają mi się zdjęcia rentgenowskie wszystkich numerów i fascynacja Dreslera, z jaką analizował kliszę Sebastiana, u którego związki złota i metali nie uformowały zamkniętej sfery wokół ogniska choroby, ale rozproszyły się we wnętrzościach, tworząc konstelacje drobnych, jasnych punktów.

Gęsta krew wciąż ścieka po nogach i skapuje z naprężonych stóp chłopaka – na jednej z nich nadal tkwi trzewik. Plama na podłodze ma prawie metr szerokości, jest rozmazana i poznaczona śladami butów. To wydarzyło się niedawno, gdy leżałam nieprzytomna. Zaledwie kilkanaście metrów stąd, za ścianą, a z futurokopu wysuwała się wróżba – stąd przekreślona ósemka i dopisana siódemka na fiszce... Fala mdłości podjeżdża mi do gardła, a mój żołądek zwija się w jałowym skurczu. Nic nie jadłam od wczoraj czy nawet przedwczoraj. Przed moimi oczami pojawia się beztroska twarz Nel. (*I cóż wy tu porabiacie? Chyba są tu jakieś rozrywki?*). Powinnam była powiedzieć jej prawdę o Sanato, nie przysłałaby tu brata. To moja wina. Choć wtedy przecież jeszcze nie znałam prawdy.

– No co? – odzywa się martwym głosem Dorcia. – Napatrzyłaś się już? Tu nie jest bezpiecznie.

– Jak to się stało? – pytam, czując, że z mojej twarzy odpłynęła cała krew.

– Chyba łatwo się domyślić.

– Ale dlaczego, na litość boską? Dlaczego Dresler miałby zrobić coś tak potwornego?

Dorcja puszcza ręce doktora, które upadają na podłogę jak dwie kłody drewna. Podskakuję przestraszona łomotem. Dziewczynka schyla się, zadziera wyżej prawy rękaw koszuli Dreslera i pokazuje mi jego ramię.

– Dlatego.

Podchodzę krok bliżej i wyciągam głowę. Walcząc z odrazą, spoglądam na śniadą skórę porośniętą gęstymi, czarnymi włosami. Ponad ranami (*ktoś się jednak bronił*), w miękkim zagłębieniu wewnętrznej strony łokcia ciemnieje rój siniaków. Niektóre są żółte, inne fioletowe. Przyglądam się drobnym strupom przez krótką chwilę, aż Dorcia wypuszcza wreszcie jego ramię i ponownie chwytą mężczyznę za nadgarstki.

– Był jednym z nas. Myślę, że zaczął wstrzykiwać sobie koktajl parę tygodni po rozpoczęciu eksperymentu na nas.

– Ale dlaczego? Przecież on nie miał gruźlicy.

– Nie mam pojęcia. Może tu wcale nie chodziło o gruźlicę? Może tak naprawdę wymyślił coś, co nie miało nas uleczyć, ale zmienić? Zorientował się, że od tego nie umieramy, robił nam przecież stale badania. Był narzeczonym Iry, na pewno mówiła mu o wszystkim. Doszedł do wniosku, że terapia skutkuje, że jego preparat przekształca nas w coś innego, lepszego. Postanowił więc dołączyć do naszej grupy.

– Lepszego?

– Tak myśli Ira. Przecież wiesz. Jej zdaniem przechodzimy na wyższy poziom istnienia. Pomóż mi, proszę, nie powinnyśmy tu być. Ona na pewno będzie go szukała.

– Co chcesz zrobić?

Dorcja w odpowiedzi kiwa głową w stronę otwartego półokrągłego okna tuż nad podłogą, przez które wiatr wpycha do sali wirujące płatki śniegu. Jestem przerażona jej pomysłem, ale czuję też rodzaj podziwu. Nie spodziewałam się, że zdolna jest do podobnej przebiegłości. Jeśli wypchnie Dreslera, upadek z drugiego piętra z pewnością dokończy makabrycznego dzieła i doktor wyzionie ducha. Co więcej, ciało spadnie między gęste tawuły, a śnieg szybko je zakryje. Ani Ira, ani nikt inny nie wpadnie na trop od razu. Jeśli tylko, oczywiście, nas nie znajdzie i nie spojrzysz nam w oczy.

– Jeśli mi pomożesz, uwiniemy się raz-dwa – stwierdza Dorcja, jakby chodziło o zamiatanie albo poprawki krawieckie.

Przenika mnie dreszcz, ale wiem, że jej makabryczny pomysł jest słuszny. Odstawiam ostrożnie futuroskop na podłogę, schylam się i zaciskam palce na dłoni Dreslera. Jeszcze ciepłej i miękkiej. Raz, dwa. Doktor dużo waży, lecz strach dodaje nam sił. Oparta na podłodze okienna rama skrzypi pod ciężarem ciała, które utyka we framudze, gdy pasek od spodni Matysa zaczepia się o wystającą mosiężną sztabkę frorajzy. Mocujemy się z nią przez chwilę i wreszcie udaje nam się przepchnąć lekarza dalej. Zawisa – do połowy przewieszony przez parapet, z idiotycznie wypiętymi pośladkami.

– Weźmy go za nogi – sapie Dorcja. – Pod kolana.

Po sekundzie Dresler znika w śnieżnej zamieci. Nie słyhać nawet odgłosu upadku jego ciała.

– Jeśli szczęście nam dopisało, skręcił kark – stwierdza Dorcja.

Dopiero w tej sekundzie dociera do mnie, że właśnie zabiłam człowieka. Nie czuję jednak grozy ani nie wpadam w panikę. Bolał mnie ramiona i jestem zmęczona, to wszystko.

– Zabiłyśmy go – mówię.

– I dobrze – mściwym głosem odzywa się Dorcja i rzuca jedno krótkie spojrzenie na wypatroszone ciało Sebastiana. – Lepiej, że my jego, a nie na odwrót.

Ściąga brwi w bolesnym grymasie i potrząsa głową, a potem kuca i zamyka okno. Śniegowe płatki szybko topnieją na podłodze. Przyglądam się rozmazanym śladom krwi, ale jest ich niedużo. Trudno byłoby odczytać z nich, co tu się wydarzyło.

Zabieram futuroskop i ruszam za Dorcją w stronę wyjścia na korytarz. Przystaję jednak i patrzę z ukosa na ciało Sebastiana. Czy powinnyśmy go tak zostawić? Na pewno tu gdzieś leży skalpel, którym Dresler dokonał upiornej wiwisekcji na chłopcu. Gdybym odnalazła narzędzie, weszłabym na stół Dreslera, aby odciąć linę. Stół. Podchodzę bliżej mebla. Teczki z naszymi kartami, dokumenty i podłużny tom rejestru leżą w nieładzie pod ścianą, powoli nasiąkając krwią chłopca. Lecz na blacie coś pozostało. Ktoś pociął ciemną politurę – w pierwszej chwili wydaje mi się, że to chaotyczna plątanina nacięć, lecz jednak nie. Napis odwrócony jest do góry nogami; wyraźnie widzę literę „O”, przy niej „N”, dalej „A”, które w pierwszej chwili wzięłam za literę „V”...

– Idziesz czy nie? – syczącym szeptem pyta Dorcja, przechylając się przez framugę.

Mamy za mało czasu, żeby zrobić coś z ciałem Sebastiana; a zresztą czy to naprawdę taka wielka różnica, czy ono leży, czy wisi? Tak czy siak, chłopiec jest martwy. Powinnam raczej skupić się na tym, aby w bliskiej przyszłości nie podzielić jego losu. Przekładam futuroskop pod drugie ramię i wymykam się na korytarz. Dorcja zatrzymuje mnie gestem ręki i nasłuchuje z palcem na ustach.

– Chyba możemy iść – szepce. – Po co dźwigasz ze sobą to pudło?

- Jest mi potrzebne. Dokąd chcesz iść?
- Na górę. Ale najpierw oczywiście musimy zejść na dół, na niższy poziom oddziału.
- Powinniśmy się zastanowić, co zrobimy. Może ukryjemy się w moim pokoju?
- Wykluczone. Zajrzałam już do niego, wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Ira

w pierwszej kolejności tam ciebie szukała.

– A czy... – szybko oblizuję wargi i mobilizuję siły, żeby zadać to pytanie: – Nie widziałas tam Adama?

– Nie.

– A czy nie było jakichś śladów, wiesz. Że mogło mu się tam stać coś złego?

– Krwi? Nie. Nie widziałam. Jest tylko bałagan, czegoś szukali. To wszystko. Przestań już gadać. Chodź.

Docieramy do kręconych schodów, po kilku chwilach jesteśmy już na korytarzu pierwszego piętra. Nie dostrzegam oznak anomalii – żadnych dodatkowych schodów, poruszającego się chodnika, ścian wyrastających ze środka podłogi. Nic. Ciemne lampy zwisają nad mrocznym wnętrzem, za oknami przesuwają się tumany śniegu. Gdybyśmy poszły kilkadziesiąt metrów dalej, dotarłabym do swojego pokoju.

– Tutaj – szepcze Dorcia i pociąga mnie za rękaw do schodów prowadzących na drugie piętro.

Wspinamy się szerokimi stopniami, chodnik tłumi nasze kroki. Przypomina mi się noc, gdy biegłam tędy w dół z Jankiem, Irą i pozostałymi numerami. To było przecież niedawno, a wydaje mi się jakąś starą, cudzą historią, którą znam wyłącznie z opowieści.

Skradamy się przez korytarz drugiego piętra. Dorcia przystaje i wskazuje jedno z drzwi, a potem kładzie palec na ustach. Pokój Jagi. Czy znaczy to, że jest u siebie? Raczej wątpliwe, mam dziwną pewność, że podzieliła już los Amelii. Ira w pierwszej kolejności wyeliminowałaby kobiety – nie wiem, skąd to wiem, ale czuję instynktownie, że myśl jest prawdziwa. Nad mężczyznami ma większą władzę, zawsze miała. Nawet już wtedy, latem, gdy wszyscy leżeliśmy w sali... Potrząsam głową, odpędzając obcą myśl. Sanato najwyraźniej znowu próbuje zmącić mi rozum.

Na orzechowej konsoli przymocowanej do ściany stoi prosta, chromowana żardyniera z kompozycją z suchych kwiatów. Dominują w niej lekkie, pomarańczowe bańki miechunki, które zawsze kojarzyły mi się z chińskimi lampionami. Wpatruję się w nie bezmyślnie, gdy nieoczekiwanie martwe rośliny zaczynają lekko drżeć. Jeden z ognistych pęcherzyków zapada się z cichym szelestem, po nim zaciskają się następne. Otwieram szerzej oczy, a wtedy kule miechunek rozprężają się, puchną i kurczą znowu. Ich matowe, przypominające papier ścianki wilgotnieją i nabiegają czerwienią. Wyglądają jak bijące kurze serca. Suche łodygi prężą się i pulsują niczym wezbrane krwią żyły, liście nabierają soków. Wykrzywiam z odrazą usta i mimowolnie odsuwam się od konsoli. Dorcia rzuca mi karcące spojrzenie, ale na widok mojej miny w przestrachu otwiera szerzej oczy.

– Co?

– Kwiaty – szepczę.

Dziewczynka patrzy na żardynierę i błyskawicznym ruchem unosi dłoń do piersi.

– Och. Zaczyna się! Przerwy są coraz krótsze. Nie wiem, co to oznacza... Musimy się ukryć.

– Co się zaczyna?

– Cykl – odszeptuje i rusza przed siebie prawie biegiem, nawet nie upewniając się, czy idę za nią.

Przemykamy przez korytarz, Dorcia skręca w jego wąską odnogę. Lampy nad naszymi

głowami mrugają raz, potem drugi. Mdlawe, żółte światło pada na ściany. Coś stuka w boazerię tuż za nami, podskakuję ze strachu. Panika Dorci zaczyna mi się udzielać i choć w mojej głowie kołacze się myśl, że to, co robimy, pozbawione jest sensu, strach pcha mnie do przodu.

– Szybciej! – Dorcia otwiera drzwi, za którymi wznoszą się wąskie schody prowadzące na poddasze.

Drewniane stopnie łomoczą pod naszymi stopami. Wbiegamy na podest prowadzący do ciasnego, wysokiego korytarza. Skośny sufit ledwo mający w górze nad naszymi głowami, co kilka metrów jaśniej w nim niskie lukarny bawolich oczu. Ich łukowate szyby przepuszczają do wnętrza odrobinę przyćmionego, dziennego światła. Nagle Sanato trzęsie się pod nami, mury protestują z jękiem, trzeszczą belki stropów. Z piersi wyrwa mi się krzyk, który milknie jednak niemal natychmiast. Staję jak wryta, zachłystując się ze zgrozy na widok przeszkody na podłodze dwa kroki przede mną.

Pielęgniarka leży w poprzek korytarza. Z pewnością jest martwa, lecz nie to przeraża mnie najbardziej, ale sposób, w jaki umarła. Leży na wznak, ręce ma wyciągnięte wzdłuż boków. Biały fartuch jest czysty, guziki starannie zapięte. Właściwie wygląda niewinnie. Ale nie ma głowy. Nie widzę śladów drastycznego oddzielenia jej od ciała. Szyja kobiety po prostu niknie w ścianie, skóra w miejscu połączenia z tynkiem jest nieco uciśnięta – to wszystko. Dorcia przeskakuje nad zwłokami zgrabnym susem i biegnie dalej, ja jednak nie mogę się ruszyć. I wtedy na moich oczach ściana z cichym cmoknięciem wciąga pielęgniarkę głębiej. Szarpnięte ciało przesuwa się o kilka centymetrów, martwa dłoń odwraca się, odsłaniając różowe wnętrze. Tynk wokół szyi kobiety – czy to Wiewiórka? oczywiście, że tak – zapada się lekko, a potem marszczy i wybrzusza, pełnząc po skórze ślimaczym ruchem...

– Nino! – woła mnie cicho Dorcia. – Tu!

Przeskakuję nad martwym ciałem, chwytam mocniej futuroskop i nie oglądając się za siebie, biegnę dalej korytarzem. Wcale nie jesteśmy tu bezpieczne.

– Tutaj! – woła dziewczyna, wychylając się z drzwi po prawej stronie korytarzyka.

Wpadam do pokoju, Dorcia zatrząskuje za mną drzwi, a potem rusza do stojącej przy nich dębowej komody.

– Pomóż mi – sapie, zapierając się piętami o podłogę i popychając ciężki mebel.

Ma idealną wysokość – blat wsuwa się równo pod samą klamkę. Nikt nie wejdzie do środka, nie rozbijając drzwi w drzazgi. Ale – co natychmiast przychodzi mi na myśl – i my nie będziemy mogły w razie potrzeby prędko stąd uciec.

Pokój jest długi i niezbyt szeroki. Sufit opada ostrym skosem – ściana naprzeciw drzwi ma zaledwie metr wysokości. Dwie wysokie lukarny z wąskimi szybami, między nimi stolik. Z boku, blisko wejścia staroświecka szafa, dalej dwa proste metalowe łóżka z mosiężnymi prętami. Jedno pod lewą ścianą, drugie pod prawą, oba zwrócone wezgiłowiami do okien. Dorcia podchodzi do szafy i otwiera ją szarpnięciem. Kilka wieszaków, parę prostych, bezbarwnych sukienek. Na półkach schludnie poskładana tania bielizna, jakieś książki i tekturowe pudełka po czekoladkach.

– Dobrze – mruczy dziewczyna.

– Nie podoba mi się – mówię.

– Co ci się nie podoba?

– Ten pokój. Równie dobrze można uznać go za schronienie, jak i za pułapkę. Nie ma stąd żadnej drogi ucieczki.

– Są okna – wzrusza ramionami Dorcia i siada na jednym z łóżek.

– Dach jest stromy i założę się, że całkowicie oblodzony. Gdybyśmy spróbowały się na niego wydostać, skończyłybyśmy jak Dresler.

– Umieram z głodu – mówi Dorcia.

Namyśla się przez chwilę, a potem otwiera szufladę nocnego stolika. Zagląda do środka z nadzieją.

– Nic tu nie ma – stwierdza z rozczarowaniem w głosie.

– Nie rozumiem, jak możesz myśleć teraz o jedzeniu! – wybucha. – Po tym co... Po Sebastianie, Dreslerze i po tym, co zrobiłaś! A właściwie, po tym, co zrobiłyśmy...

– To, że będę głodować, nie zmieni tego, co już się wydarzyło. Poza tym przez ostatnie godziny w Sanato byłam świadkiem takiej makabry, że mogę albo zaakceptować jej wspomnienie i przejść nad nim do porządku dziennego, albo od razu wyskoczyć przez to okno i podążyć na tamten świat śladem Dreslera. Kłopot jedynie w tym, że tamten świat najwyraźniej stał się teraz tym światem, więc niewiele bym zyskała na podobnym posunięciu. A co do Sebastiana... Żałuję ogromnie, że spotkał go równie straszny koniec, jednak poniekąd, mówię to z bólem serca, sam w znacznej mierze jest temu winny. Gdyby nie odwrócił się ode mnie i dokonał w porę mądrzejszego wyboru, żyłby wciąż – stwierdza spokojnym tonem Dorcia i dodaje sarkastycznie: – Najwyraźniej mieszkanki tego pokoju nie dożywały się poza kuchnią, możesz więc być spokojna. Nie urazi cię widok morderczyni biesiadującej z apetytem tuż po dokonaniu zbrodni.

– Zajrzyj pod łóżko. Nasza pokojówka zawsze trzymała jedzenie w walizce – radzę nieco zdetonowana jej niespodziewaną przemową.

Odstawiam ostrożnie futuroskop na nocny stolik, a potem siadam na sąsiednim materacu.

– Myślisz?

Dorcja schyla się, opiera jedną rękę na podłodze, zagląda pod łóżko i stwierdza:

– Rzeczywiście coś tu jest.

Sięga i wyciąga na środek podłogi szarą marynarkę. Potem zagląda pod łóżko ponownie i wysuwa spod niego tekturową walizkę, która wygląda tak, jakby jej właścicielka podczas wszystkich podróży ciągała ją za sobą na sznurku, zamiast nosić za uchwyt. Nie poświęcam jej jednak uwagi. Patrzę na zmiętą sztukę odzieży rzuconą przez Dorcię na podłogę i czuję, że robi mi się chłodno. Wyciągam rękę i dotykam szarej, ściśle tkanej wełny, z której uszyto marynarkę. Dorcja kładzie walizkę na łóżku i odrzuca kartonowe wieko.

– Och, miałaś rację! Jest kawałek chleba i konserwy! – ucieszona woła półgłosem.

Milczę i ze ściągniętą twarzą przyglądam się marynarce. Znam ją doskonale, sama ją zamawiałam i byłam przy wszystkich przymiarkach krawieckich. Należy do Adama. Miał ją na sobie, gdy widziałam go ostatni raz w zagraconym pokoju na antresoli oddziału dziecięcego.

– Jesteś pewna? – Dorcia patrzy na marynarkę wzrokiem pełnym powątpiewania.

– Oczywiście, że tak!

– Ciszej – upomina mnie dziewczyna, rzucając okiem na drzwi. – To chyba dobrze, prawda? Wiesz, że go nie dopadła.

– Wiem tylko tyle, że Adam nie ma teraz na sobie marynarki. Powinnyśmy zejść na dół.

W gabinecie Klitusia jest przecież telefon...

– Już próbowałam – przerywa mi Dorcia. – One musiały gdzieś tutaj trzymać nóż do konserw...

– Czego próbowałaś? – pytam.

– To była pierwsza rzecz, o której pomyślałam – stwierdza, przerzucając jakieś drobiazgi w szufladzie stolika. – Jesteś mało odkrywczą. Poszliśmy prosto do gabinetu tuż przed drugim cyklem.

– Jakim cyklem?! – prawie krzyczę. – O czym ty mówisz?

– Gdy Sanato zaczęło się budzić. Na dobre. Wczorajszego ranka.

– Wczoraj? Jaki dziś jest dzień?

- Podejrzewam, że Wigilia.
 - Dwudziesty czwarty?
 - Chyba tak. – Dorcia z irytacją zatrząskuje szufladę i zrozpaczonym wzrokiem spogląda na trzymaną w ręku płaską puszkę. – Umrę z głodu, ściskając w dłoni jedzenie. To do mnie podobne.
 - Dlaczego chyba? Nie jesteś pewna?
 - Nie całkiem. Za oknami raz jest ciemno, a raz jaśniej. Nie potrafię powiedzieć, czy noc już była, czy jeszcze nie. A mnie i tak nie chce się spać. Wcale już nie sypiam od tygodnia albo dłużej. Przecież i ty chyba...
 - Nie. Klituś dał mi tabletki nasenne.
 - Naprawdę? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jestem tak strasznie zmęczona... Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaka to jest tortura? Odczuwać takie zmęczenie i nie być zdolnym do odpoczynku...
 - Dorciu, błagam. Poszłaś zatelefonować. I co?
 - I nic. Nie było sygnału w słuchawce.
 - Może po prostu wtyczka została wyciągnięta?
 - Może.
 - Nie sprawdziłaś?
 - Nie. Gdybyś ty tam była, też myślałabyś tylko o tym, żeby wyjść jak najprędzej. Podejrzewam, że Sanato załatwiło go na samym początku.
 - Kogo?
 - Klitowicza.
 - Klituś nie żyje?
 - Tak. Już śmierdział.
 - Na litość boską, Dorciu. Czy możesz opowiedzieć wszystko jak człowiek? Od początku?
- Dorcia przez krótką chwilę przygląda mi się i mogłabym przysiąc, że dostrzegam w jej spojrzeniu rozbawienie. Wreszcie wzrusza ramionami, odrywa kawałek chleba, wrzuca go do ust i pyta:
- Ładnie i całymi zdaniami, tak?
 - Tak!
 - Dobrze.

HISTORIA DORCI

Daleko jeszcze było do świtu. Smoliście czarny woal nocy nadal szczelnie okrywał świat za oknami, gdy uznałam, że dłuższe leżenie na nic mi się nie zda, bo jedynie mnie męczyło, zamiast nieść odpoczynek. Wstałam zatem i nie zapalając lampy, podeszłam do stolika, na którym zeszłego wieczora na moją prośbę pokojówka postawiła termos z herbatą. Choć mrok panował niemal nieprzenikniony, zdążyłam już poznać tę moją ciasną celę tak doskonale, że poruszać mogłabym się po niej swobodnie nawet wtedy, gdyby Panu Bogu przyszło do głowy, że uradowałoby go pozbawienie mnie wzroku. Sięgnęłam zatem po filiżankę i zdjęłam z termosu korek. Nalewałam właśnie herbaty, gdy cichy głosik w duszy szepnął mi, że niebawem znajdę się w niebezpieczeństwie, a co więcej, nie tylko ja będę zagrożona, ale także wszyscy, których znam – ci, których pechowy los przywiódł do tego przekłętego miejsca. Na krótką chwilę ogarnęła mnie błoga słabość, a w myślach zaświtało – nareszcie!

Nareszcie skończy się ta męka czarnych, nieprzespanych nocy, dręczących mnie bez końca gonitwą myśli i lękiem przed tym, co czeka mnie już wkrótce, albo też nadzieją, co do której pewna już niemal byłam, że okaże się płonna, czy wreszcie żalem za tym, co straciłam lub czego osiąść nigdy nie zdołam.

I pewnie pochwyciłabym tę myśl, uległa jej i poniechała jakiegokolwiek działania, biernie czekając na to, co zgotuje mi Sanato, gdyby nie Sebastian. Olśniła mnie świadomość, że on, choć nieznacznie tylko starszy ode mnie, jest przecież o tyle bardziej dziecinny i bezradny. Czy mogłabym pozostawić go bez oparcia, porzucić na pastwę losu? Sam przecież nie poradziłby sobie! Przepadłby pierwszy – pomimo siły mięśni, bogatego talentu, czystej duszy, a nawet wrodzonego rozumu. Zginąłby natychmiast bez mojej ciepłej pieczyoty, bez mądrej opieki – takiej, jaką winna dać mu matka, której mu przecież tutaj, w tym domu przeklętych, zabrakło. Ja musiałam ją zastąpić, to było moim powołaniem, nawet jeśli on nigdy nie odwzajemni moich uczuć i nie spojrzy na mnie inaczej niż tylko jak na przyjaciółkę.

Sebastian, ze swoją szlachetną twarzą i ufnym, jasnym spojrzeniem, jest przecież wciąż dzieckiem zaledwie – chłopcem o posturze młodego Herkulesa. Nie! Nie mogłam go pozostawić samemu sobie. I wtedy, podczas tej dziwnej, lunatycznej chwili, wstąpiła we mnie jakaś niecodzienna, olbrzymia siła. Po raz pierwszy od miesiący znalazłam realny cel, a jałowe złudzenie w moim sercu – ten blade, gorszy brat nadziei – przemieniło się w pewność. Jeśli uratuję Sebastiana przed okropieństwami, którymi wkrótce pulsować będą te mury, on na pewno nareszcie przejrzy na oczy. Gdy Ira zrzuci swą maskę, ukaże prawdziwe oblicze i ja go przed nią uchronię...

O! Wtedy być może iskierka wdzięczności za ocalenie rozpali w jego duszy płomień miłości – cóż, z pewnością słabszy, bardziej drżący od uczucia, które trawi mnie samą, lecz jednak prawdziwy. Płomyk, który przy odrobinie moich czułych, umiejętnych starań nie zgaśnie, ale umocni się, okrzepnie, rozbłyśnie wiecznym blaskiem...

Mój oddech zamarzał w powietrzu, gdyż w moim pokoju panował mróz równie chyba silny jak poza murami Sanato, lecz ja nie czułam chłodu. Stałam bosa, w samej koszuli i uśmiechałam się w ciemnościach. Po raz pierwszy od miesiący szczerze.

I właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Fundamenty gmachu zadrżały w posadach, a ze ścian popłynął jęk uwieczonych w nich dusz wszystkich tych, którzy w murach Sanato dokonali żywota. Zdałam sobie sprawę, że czasu pozostało niewiele. Wiatr z wściekłością ciskał o szyby twardymi pacynami śniegu, a góry nad nami – ci nasi milczący, bezwzględni cerberzy – już prze-

cknęły się ze swojego tysiącletniego letargu i skierowały ku nam swoje bezlitosne kamienne spojrzenie...

Czym prędzej zatem się ubrałam i wybiegłam ze swojego pokoju.

Sebastian, co wiesz zapewne, mieszkał na parterze, blisko Iry – ileż ja razy przeklinałam to niefortunne sąsiedztwo! Gdyby ulokowano go na piętrze, w moim skrzydle, wszystko byłoby znacznie prostsze, przynasz, lecz los zdecydował inaczej, nie po raz pierwszy kpiąc sobie ze mnie. W każdym razie do pokonania miałam zaledwie kilkadziesiąt kroków, schody i hol, lecz okazało się, że ta niepozorna droga zajęła mi całą wieczność, bo Sanato postanowiło pokrzyżować moje plany. Korytarze wyciągały się przede mną na podobieństwo monstualnych teleskopów, mnożyły, przybierając formę labiryntu równie pogmatwanego jak ten, na którego straży postawiono nieszczęsnego syna Pazyfae Minotaura. Schody prowadziły donikąd – gdy zdawało mi się, że zmierzam nimi w dół, wiodły mnie w górę, a gdy próbowałam wejść po nich wyżej, zwracały mnie do punktu wyjścia. Raz nawet sprowadziły mnie aż do piwnic, niemalże do samych fundamentów sanatorium. Tam, co z pewnością zdawało mi się tylko, choć wtedy wydarzenie uznałam za całkowicie realne, spotkałam ciebie. Nie tyle nawet spotkałam, ile raczej znalazłam.

Leżałaś bez przytomności na kamiennej posadzce. W pierwszej chwili nie spostrzegłam cię, nastąpiłam na twoje ciało, a gdyby nie to, że jęknęłaś z bólu, uciekłabym natychmiast pewna, że natrafiłam na trupa. W piwnicy panował kompletny mrok, z ledwością rozróżniałam kształty sprzętów. Próbowałam cię ocucić, lecz nadaremnie. Odeszłam więc, myśląc, że jeśli znajdę gdzieś kran, skąd uda mi się nabrać wody, chlusnę nią na ciebie, a to przywróci ci zmysły, bo wszak tak zazwyczaj dzieje się w kinie czy w książkach. Po omacku przeszłam na drugą stronę pomieszczenia, gdzie ku memu zdumieniu i radości rzeczywiście natrafiłam na kran. Nabrałam wody w złożone dłonie i chciałam odszukać cię ponownie, lecz przestrzeń po raz kolejny odmieniła się wokół mnie, a w miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze stała komoda czy stół, przy którym leżało twoje ciało, wznosiły się schody. Domyśliłam się więc, że nasze spotkanie było jedynie złudzeniem, kłamstwem podszeptym przez igrające ze mną Sanato. Bo przecież nie schodziłaś wczorajszego ranka do piwnic, prawda?

Ta piekielna wędrowka niechybnie w pierwszej kolejności doprowadziłaby mnie nie do celu, ale do utraty zmysłów, gdyby nie myśl o Sebastianie. O tym, co musi przeżywać, co się z nim dzieje i że czeka na mnie – na swój jedyny ratunek. Dzięki mojej miłości wytrwałam. Pierwsza odsłona cyklu zakończyła się po godzinie, może dwóch – nie sposób ocenić upływu tamtego czasu, bo i on, podobnie jak otaczająca mnie przestrzeń, zatracił swój znajomy kształt, wypaczył się i rozciągnął w stulecia, kurcząc się zarazem do mikrosekund, zawracając w swoim odwiecznym pędzie bądź też wybiegając lata całe w przód. Przyjmijmy jednak, że spazm, z jakim w Sana to budziła się jego diaboliczna świadomość, trwał dwie godziny.

Gdy rzeczywistość wokół mnie powróciła do normy, byłam w kaplicy. Nie wiem, jakim cudem się tam znalazłam, bo z pewnością nie przemierzałam korytarza prowadzącego do niej z holu, a nic mi nie wiadomo, aby do tego przybytku wiodły jakieś inne ścieżki. Mury wokół mnie znieruchomiały, przestrzeń okrzepla, czas wrócił do swego zwykłego biegu, lecz ten pozorny spokój wcale mnie nie zwiódł, gdyż zdawałam sobie sprawę, że nie jest to koniec, ale zaledwie początek naszej apokalipsy.

I wtedy uderzyła mnie myśl, że przez dwie minione godziny nie spotkałam w swojej upiornej wędrowce nikogo, żadnego innego żywego człowieka. W pierwszej chwili uradowało mnie to spostrzeżenie, bo wzięłam je za oznakę przychylności losu, jednak wkrótce radość zastąpiło przerażające podejrzenie, że stało się tak tylko dlatego, że w Sanato poza mną nie pozostała już po prostu żadna inna żywa dusza. Wtedy na moim sercu zacisnęły się lodowate kleszcze

strachu o Sebastiana. Wybiegłam więc, jakby mnie kto gonił, z kaplicy i jak szalona popędziłam do holu. Opatrzność jednak nade mną czuwała, bo w ostatniej chwili coś nakazało mi zatrzymać się u wejścia. W samą porę.

Gdy przyczajona za węglem z niepokojem lustrowałam schody prowadzące na piętro i przestrzeń otwierającą się przede mną, z jadalni wyłoniła się Ira, a tuż za nią ujrzałam kilka pozostałych numerów. Był tam ten chudy jak szczapa Stan, który zawsze robił na mnie wrażenie kogoś, kto połknął niechcący kij do krykieta, i oczywiście jego nieodłączny przyjaciel, ten nieokrzesany, obmierzły Miet, który za Irą chodzi niczym pies od pierwszego dnia, gdy pojawiła się w Sanato, i którego ona jak psa zresztą traktuje. Za nimi, z wyraźnym wysiłkiem powłócząc nogami, szła Jaga, której w pierwszej chwili prawie nie poznałam, bo w niczym nie przypominała już tamtej rozdokazywanej, żywej jak rtęć Dorydy, którą znałam wcześniej. Wydała mi się stara, przygarbiona, a w jej włosach dostrzegłam wyraźne białe pasma.

Ira natomiast, o, nie zmieniła się wcale, przeciwnie, rzekłabym nawet, że wypiękniała, jakby minione wypaczenie rzeczywistości ją wzmocniło. Szła uśmiechnięta, wyprostowana, promienna i – o ile to w ogóle możliwe – bardziej niż zazwyczaj pewna siebie. Skojarzyła mi się z jakąś pierwotną, pogańską boginką, która karmi się krwią i cierpieniem swych wyznawców, gardząc nimi bezbrzeżnie i żerując na nich bez cienia litości.

Zamarłam przy ścianie, modląc się w duszy, aby nie dostrzegła mnie, nie wyczuła, bo wiedziałam, że gdyby zwróciła wzrok w tę stronę, natychmiast odgadłaby, że się tu ukrywam – nawet jeśli nie zobaczyłaby choćby rąbka mojej sukienki. Szczęście dopisało mi jednak. Ira ze swoją świtą przemaszerowała przez hol i weszła schodami na pierwsze piętro.

Odczekałam jeszcze kilka nieskończenie długich sekund i pomknęłam przed siebie. Minęłam pokój pielęgniarek, przejście do sali kawiarnianej i jadalni, a potem jak burza wpadłam do korytarza w drugim skrzydle budynku. Tam właśnie natrafiłam na pierwsze zwłoki. Należały do kobiety, która mieszkała w Sanato od dawna. Przyjechała na długo przed tym, gdy ja się tu zjawiłam. Ani razu nie zamieniłam z nią choćby słowa, lecz wiem, że niegdyś miała córkę, która podobnie jak ona zapadła na suchoty. Dziecku jednak szczęście dopisało w mniejszym jeszcze stopniu niż jego matce i... Ale to przecież już nieistotne, bo teraz w końcu się spotkały – przynajmniej chciałabym w to wierzyć. Kobieta ta nie miała dłoni, obie odjęto równiutko tuż nad nadgarstkami. Na jej twarzy i ciele nie było widać innych śladów gwałtu, więc zapewne się wykrwawiła.

Widok był przerażający, lecz ja nie doznałam tak wielkiego wstrząsu, jakiego spodziewałabym się po sobie jeszcze kilka dni temu w podobnych okolicznościach. Przeraziłam się z poczucia obowiązku, czy raczej przyzwoitości, niż w efekcie szczerego poruszenia.

Prawdopodobnie groza ostatnich godzin zdążyła już uodpornić mnie na makabrę albo też zadziałał inny czynnik, bardziej prozaiczny. Jakże często przewidywania okazują się śmiechu warte, gdy wreszcie stajemy oko w oko z naszymi ucieleśnionymi lękami. Gdy zdaje nam się, że dana sytuacja nie wywoła u nas najlżejszego drżenia rąk, trzęsiemy się jak osika, stając w jej obliczu. Innym zaś razem przyjmujemy za pewnik, że wobec jakiegoś zagrożenia okazemy się słabi i bezradni, lecz gdy ono się już ziści, zachowujemy zdumiewającą przytomność umysłu i hart ducha. Tak właśnie było w moim wypadku.

Przystanęłam przy tej nieszczęsnej kobiecie, pochyliłam głowę, lecz ku memu strapieniu moje oczy pozostały suche. Miała na imię Pamela – pretensjonalne imię, choć przecież nie sposób odmówić mu pewnego powabu. Myślałam o tym, jak siły ją opuszczały i jak wolno gasła jej przytomność, gdy leżała na szorstkim dywanie, który spiął odpływającą z jej ciała krew. Rozmyślałam też nad tym, że jej zgon pozostał niezauważony. Rozegrał się na drugim, ba! nawet trzecim planie wydarzeń toczących się w Sanato, niczym śmierć mało istotnej artystki kinemato-

graficznej przy krawędzi ekranu na filmie, którego bohaterem jest ktoś inny. Nieistotna śmierć, która dowiodła tylko tego, że Pamela nie była nikomu potrzebna, a jej rola – o ile kiedykolwiek los jakąś jej wyznaczył – została już wypełniona lub zaprzepaszczone...

A jednak wzruszenie, które usiłowałam z tak wielkim staraniem w sobie wzbudzić, nie ścisnęło mnie za gardło i nie uroniłam choćby jednej łzy. Czy więc stałam się złym człowiekiem? Nie wiem, lecz gorąco wierzę, że jednak nie. Poniechałam zatem daremnych wysiłków, a ponieważ nie mogłam jej pomóc, ruszyłam dalej przed siebie. Wkrótce dotarłam do celu.

Niestety, brawura opuściła mnie całkowicie, gdy stanęłam przed drzwiami prowadzącymi do pokoju Sebastiana. Mną w dłoniach fałdę spódniczki, zastanawiałam się nad tym, co też ja sobie właściwie wcześniej myślałam. To przecież wprost śmieszne! Kimże jestem, by liczyć na to, że ideał taki jak Sebastian zechce poświęcić mi swoją uwagę? Jak mogłam sądzić, że stworzeniu tak niepozornemu, tak pospolitemu, wręcz szkaradnemu (z wyjątkiem włosów, o których wiem, że stanowią istotny mój atrybut), jakim uczynił mnie Bóg, uda się zbliżyć do człowieka równie doskonałego i pięknego, jakim jest mój sekretny oblubieniec? On nie potrzebował mojej żalostnej pomocy, wręcz mogła mu zaszkodzić! W pojedynkę przecież poradziłby sobie bez trudu z każdym zagrożeniem, a ze mną przy boku mógł być jedynie wystawiony na większe niebezpieczeństwo. Człowiek równie szlachetny jak on nie odpędziłby mnie, poczuwałby się do obowiązku opieki nad kimś tak znikomym, słabym i nieporadnym jak ja. Narzucając mu się, mogłam zatem jedynie opóźnić go i narazić na zgubę. Wtedy wszystkie wysiłki i nadzieje, jakimi karmiłam się przez ostatnie godziny, zdały mi się puste, a niezwykła, potężna siła, która powodowała mną dotychczas, wyparowała. Jej miejsce zajęła gorycz. Stałam tam, cierpiąc katusze nie mniejsze od tych, które dręczyły Kordiana pod drzwiami wiodącymi do sypialni cara – choć moje oczywiście były odmiennej natury, przybyłam wszak nie w celu dokonania mordy, ale niosąc zbawienie, jednak mechanizm mych zmagañ był identyczny. Wreszcie – podobnie jak on – poległam w walce z samą sobą. Uznałam, że powinnam oddalić się czym prędzej, zaszyć w jakimś kątku i pokornie czekać na straszny koniec, który niechybnie czeka mnie w przyszłości.

Już odchodziłam prawie, gdy wtem drzwi do pokoju Sebastiana otworzyły się na oścież i stanął w nich on sam. Nie sposób oddać słowami symfonii uczuć, która zagrała w mojej duszy, gdy go ujrzałam przed sobą. Radość mieszała się z lękiem, a podziw i uwielbienie ze współczuciem i litością. Jego cudowne błękitne oczy, okrutnie, lecz zarazem ujmująco podkreślone popielatymi pocałunkami zmęczenia, wypełnione były łzami, na których widok boleśnie ścisnęło mi się serce. Wysokie czoło miał zroszone potem, złociste pukle w nieładzie, koszulę rozdartą na mocnej, szerokiej piersi, a jego poblądłe wargi drżały wyraźnie...

I wtedy wydarzyło się coś, czego nie wyobrażałam sobie w najśmielszych wizjach. Sebastian, widząc mnie, zakrzyknął z radości, a potem pochwycił w objęcia. Była to najśłodszą chwilą, jakiej zaznałam w całym swoim życiu, i gorąco dziękowałam opatrności, że nie dopuściła do tego, aby mnie ominęła. Bo przecież tak niewiele brakowało, abym była już zupełnie gdzie indziej! Rozpłynęłam się w tym gorącym, słodko odorującym uścisku, kolana zmiękły pode mną i byłabym jak nic upadła, gdyby nie to, że Sebastian trzymał mnie tak mocno...

Następnie zaprosił mnie do środka, a potem zaryglował za nami drzwi. Nigdy wcześniej nie byłam jeszcze z nim sam na sam w jego lokum, w ogóle nie byłam jeszcze w pokoju żadnego chłopca, i to poruszające przeżycie wzbudziło we mnie niezwykle silną sensację, niemalże doprowadzając na skraj omdlenia. Jednak uczciwie przyznam, że nieco inaczej wyobrażałam sobie jego mieszkanie, lecz jak obie wiemy, w ostatnich tygodniach w Sanato wszyscy cierpieliśmy z powodu niedostatku służby. Doszłam więc szybko do wniosku, że nie powinnam go winić za nieład panujący w pokoju. Choć zdawać by się mogło, że uprzątnięcie z podłogi brudnych kałosonów czy skarpet nie przekracza możliwości... Lecz przecież to nieważne! Uświadomiłam so-

bie, że trudno wymagać, aby umysł równie świątły i wyjątkowy zaprzętały tak przyziemne kwestie jak porządki. W końcu, czy nam się to podoba, czy nie, są one domeną kobiecą, gdyż mężczyzna stworzony został do wyższych celów – a już z pewnością ten mężczyzna! Byłam niezwykle spragniona, Sebastian poczęstował mnie winem, które trzymał ukryte w szafie, a następnie opowiedział o tym, co przeżył w ostatnim czasie.

Z pewną przykrością muszę stwierdzić, iż opowieść nie była zbyt zajmująca, bo ani na chwilę nie opuścił on swojego pokoju i większość czasu spędził skryty pod łóżkiem, co jednak po namyśle uznałam za dowód przezorności. I tak niepostrzeżenie przeminęło nam kilka słodkich godzin, podczas których rozmawialiśmy o wielu ważkich sprawach oraz opróżniliśmy do dna butelkę wina. Miało to też, niestety, swoje niepożądane skutki, bowiem podobnie jak w innych pokojach i w tym nie było toalety, a Sebastian wzdragał się przed wyjściem na korytarz i wędrówką do ubikacji. Wysłałam zatem ja, a on w tym czasie wykorzystał umywalkę w celu, do którego nie została stworzona. O tym zamiarze uprzednio mnie poinformował, co wzbudziło we mnie sprzeczne odczucia. Wróciłam, gdy stało się to możliwe, i właśnie wtedy rozpoczął się drugi cykl. Okazał się bardziej gwałtowny od pierwszego. Ściany chwiały się na wszystkie strony, podłogi pękały z hukiem, którego nie zagłuszały nawet piskliwe okrzyki Sebastiana, albowiem w swej dobroci usiłował on odwrócić moją uwagę od rozgrywającego się wokół nas horroru, z wielką zręcznością udając w tym celu przerażenie. Schowaliśmy się pod łóżkiem, pod którym przylgnął do mnie ściśle, co początkowo niezmiernie mi odpowiadało, jednak po pewnym czasie brak komfortu zaczął mi wyraźnie doskwierać, albowiem panował tam zaduch, a nieścierany od dawna kurz szybko wywołał u mnie nawrót kataru siennego, na który regularnie cierpię każdej wiosny. Sebastian jednak stanowczo odmawiał opuszczenia kryjówki, byłabym więc tam tkwiła dłużej, starając się z pokorą znosić męczarnie gorąca i duchotę, gdyby nie goście, którzy niespodziewanie złożyli nam wizytę. Goście upiorni, których przybycie przyjąłabym jednak z pewną ulgą, bo ostatecznie wyzwolili mnie z ciasnego więzienia.

Czy pamiętasz może mężczyznę pełzającego w ścianie mego pokoju, o którym mówiłam ci kilka tygodni temu? Zdał mi się niczym w porównaniu z istotami, które przeniknęły przez ścianę do pokoju Sebastiana. Pierwszy zmaterializował się syn kucharki, ten biedak, którego w altanie na krańcu naszego pomostu spotkał tak przykry koniec. Nie wiem dlaczego, ale spotkanie upiora, którego znałam uprzednio jako żyjącego człowieka, wydało mi się znacznie bardziej przerażające niż spotkanie z całkowicie obcym astralem. Być może wynikało to także z tego, że mężczyzna ze ściany ukrywał się i miałam wrażenie, że on bardziej obawia się mnie niż ja jego. Chłopak kucharki stanął na środku pokoju w spuszczonej do kostek portkach, z tą raną... Początkowo właśnie te spodnie i jego buty tylko widziałam, lecz od razu odgadłam, do kogo należą. Nagle upadł niczym kłoda – choć nie, ten ruch wcale nie był szybki i pozbawiony celu. Odbił się niejako w zwolnionym tempie – upiór zaczął się przechylać wolno na bok, nie uginając kolan, aż wreszcie spoczął na dywanie przodem do nas. Martwymi, zasnutymi śmiertelnym bielmem gałkami oczu żarłocznie wpatrywał się w nasze twarze. Sebastian skamieniał, ja zresztą również. Wtedy łóżko nad nami się ugięło, gdyż prosto na nie ze ściany wydobyło się kolejne monstrum. Do pokoju zaczęli napływać też inni i tego wreszcie dla Sebastiana było już za dużo. Z przeraźliwym, groźnym krzykiem jednym ruchem silnego ramienia odrzucił łóżko, ciskając nim aż pod przeciwległą ścianę, jakby niewiele więcej ważyło od byle piórka, a następnie zerwał się z podłogi i rzucił do ucieczki. Ja oczywiście bez zwłoki ruszyłam za nim drogą, którą tak roztropnie i z taką troską przede mną przecierał. Jego gwałtowna reakcja okazała się w pełni uzasadniona, bowiem dosłownie sekundę po tym, jak wybiegliśmy, podłoga pokoju wybrzuszyła się niczym fala na smaganym porywistym wichrem stawie, uniosła z potępieńczym jękiem i rozpadła w drzazgi, odsłaniając bezdenną czeluść, która kryła się poniżej. Wszystko to dostrzegłam,

gdy przekraczałam próg pokoju.

Biegliśmy korytarzem, którego ściany zatraciły wszelkie kąty proste i który kojarzył mi się z otwartą szeroko gardzielią jakiegoś przedpotopowego potwora, pochłaniającego nas niczym biblijny wieloryb Jonasza. Ze ścian sypał się gruz, lampy pulsowały złowieszczym, wyżerającym oczy blaskiem. Ku memu zdumieniu udało nam się jednak dotrzeć do głównego holu. Ze środka posadzki wznosiło się tam prastare drzewo trawione nieskończonym żarem piekielnego ognia. Na jego widok Sebastian zatrzymał się jak wryty i w przystępie szaleństwa wplótł swoje smukłe, zgrabne palce pianisty we wzburzoną grzywę jasnych pukli. Trudno winić go za podobną reakcję, bo oglądanie tej dantejskiej sceny niechybnie doprowadziłoby do obłędu najmężniejszych i najdzielniejszych ze wszystkich historycznych bohaterów. Umierające bez końca leśne ptaszyny padały na posadzkę u stóp drzewnego olbrzyma w okrutnych mękach agonii niczym trzepoczące się żywe pochodnie. Płomienie lizały pękającą korę drzewa, wrzące soki spływały po niej niekończącymi się strumieniami, a z nich strzelały co rusz oślepiające fajerwerki japońskich ogni. Wizja ta doprawdy w pełni godna była pióra Dantego. Najgorsza jednakże była świadomość, że męczarnia tego prastarego olbrzyma oraz licznych drobnych stworzeń, które niegdyś szukały schronienia między jego konarami, nie skończy się nigdy. Gdy nawet już Słońce na naszym niebie dobiegnie kresu swego jasnego żywota i się wypali, gdy milenia przeminą, a gwiazdozbiory na nocnym nieboskłonie odmienią swój odwieczny układ, ten potworny pożar wciąż trwał będzie i wciąż od nowa będzie mordował...

Sebastian otworzył usta do krzyku, lecz wtedy ja zdobyłam się na czyn absolutnie niewiarogodny i wręcz niedopuszczalny, a mianowicie wzięłam szeroki zamach i z całej siły uderzyłam go w twarz. Samą mnie przeraził ten bluźnierczy postępek, jednakże okazał się bardzo skuteczny, bowiem otrzeźwił mojego miłego i natychmiast sprowokował do działania. Oczywiście to, co zrobiłam, nie było rezultatem pragnienia zadania mu bólu, lecz jedynie obawą, że krzyk mógłby naprowadzić na nasz trop Irę, o którą zresztą – ku memu zmartwieniu – Sebastian dosyć natarczywie i wielokrotnie wcześniej się dopytywał.

Zaproponowałam, abyśmy udali się do gabinetu Klitowicza i skorzystali z aparatu telefonicznego, by wezwać pomoc. Sama więc widzisz, że wpadłam na ten pomysł znacznie wcześniej niż ty, choć biorąc pod uwagę to, że przez kilkanaście godzin leżałaś bez czucia w składziku na antresoli, gwoli sprawiedliwości przyznać muszę, że obu nam świadomość podsunęła rozwiązanie w podobnym czasie. Tyle tylko, że moja czuwała, a twoja pozostawała w uspieniu. Co prawda natychmiast zaświtała mi w głowie wątpliwość, na czyją pomoc właściwie mielibyśmy liczyć. Policji? Straży ogniowej? Księdza? Być może jedynie przybycie tego ostatniego miałoby w zaistniałej sytuacji cień sensu, jednak sama szansa skontaktowania się z kimś z odległego rzeczywistego świata dodała mi otuchy.

Sebastian przystał chętnie na moją propozycję i udaliśmy się w stronę gabinetu. Niestety, Sanato postanowiło nas rozdzielić, czy też raczej postanowiła zrobić to Ira. Gdy cudem dotarliśmy do drzwi, za którymi urzędował Klituś, ukazała się na szczycie schodów niczym świetlista, mamiąca nierozważnych matrosów syrena, pod maską anioła skrywająca zębatą paszczę krokodyla. Złocisty blask bił od jej postaci, a na dodatek była niemal naga, co nawet w obliczu sytuacji, w której się znaleźliśmy, wzbudziło we mnie silne zgorszenie. Niestety nie w Sebastianie, który na jej widok jakby postradał rozum i wolną wolę. Niczym szmaciana kukła, jakaś marioneta sterowana niewidzialną dłońią demonicznego demiurga ruszył lunatycznym krokiem w kierunku Iry. Próbowałam go powstrzymać, zaklinałam najgorętszymi ze znanych mi słów, płakałam i błagałam, by spróbował wyzwolić się spod przemożnego uroku tej apokaliptycznej bestii, lecz moje słowa i wysiłki spełzły na niczym.

Odszedł, a ja – mimo obawy przed tym, co mogło mnie spotkać ze strony Iry – już

miałam jednak ruszyć za nim, gdy wtem runął na posadzkę holu odłamany potężny konar i między mną a Sebastianem wyrosła nieprzebyta ściana płomieni. Mogłam jedynie stać i ze łzami w oczach przyglądać się, jak wiedziony hipnotyczną siłą wspina się po falujących stopniach, wciąż wyżej i wyżej, na spotkanie tej, w której oczach czaiła się jedynie śmierć, a serce wypełniała lodowa pustka. Wołałam, by nie dał się zwieść, by odszukał Dreslera, bo jeśli ktokolwiek mógłby zapanować nad Iry, to tylko on właśnie. Czas pokazał, że Sebastian usłuchał mojej zgubnej dla niego rady, a ja poniewczasie pojęłam, że ta para diabolicznych kochanków od początku działać musiała w zмовie.

Czy pamiętasz żarliwe dywagacje Iry dotyczące eugeniki i Darwina? Jej utopijne koncepcje doskonalenia rasy ludzkiej i pewnym tonem wygłaszane zapowiedzi lepszego jutra, które miało nastać dla naszego gatunku – a przynajmniej dla wartościowszej, zdaniem Iry, jego części? Dopiero niedawno pojęłam, że ona musiała powtarzać jedynie jego słowa, że sama jest niczym więcej jak tylko pustym naczyniem, porcelanową lalką, którą posiadał Dresler i którą napełnił po brzegi nienawiścią oraz swymi szatańskimi teoriami. Winić ją byłoby wszak tym samym, co obwiniać postawiony na parapecie okna żelazny sagan, który podczas burzy staje się przekaźnikiem dla spadającej z nieba błyskawicy i sieje zniszczenie w domostwie, wpuszczając doń elektryczną bestię. Co oczywiście nie oznacza, że saganu nie należy z parapetu okna, a najlepiej i z domu czym prędzej usunąć...

Odeszli, ja zostałam. Co dalej? Uznałam, że skoro dotarłam aż tutaj, w niczym nie zaszkodzi mi podjęcie próby zawezwania pomocy, którą wspólnie zaplanowaliśmy. Choć wierz mi, moje serce krwawiło z bólu, bowiem zostałam przecież zdradzona. Tak, zdradzona! Oczywiście hipnotyczna moc Iry w jakimś stopniu usprawiedliwiała bezwolność Sebastiana, lecz mimo wszystko poznałam go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że gdyby zechciał, mógłby wyzwolić się w mgnieniu oka, zbyć tę złowieszczą menadę machnięciem ręki i pozostać ze mną. A jednak wybrał ją. Ta świadomość stanowiła dla mnie źródło niewysłowionego bólu. Byłam zdruzgotana.

– O, życie!... – szeptałam, a po moich policzkach spływały gorące łzy. – Pozwolił się chwycić w chciwe ręce, a teraz wyrwał się!... O, szczęście! Pozwolił się wielbić, a teraz zawiodł!...

Na próżno jednak powtarzałam te słowa w kółko i w kółko – nie niosły mi ani krzty otuchy, nie potrafiłam też doszukać się w swojej tragicznej sytuacji ani odrobiny czaru i romantyzmu. A przecież nimi właśnie z taką wielką siłą emanują zawsze opisy mąk przeżywanych przez bohaterki ksiązek na skutek zawiedzionej miłości i złamanego serca! Czy zatem nie kochałam prawdziwie? Być może. Niemniej czułam się ogromnie nieszczęśliwa. Niewykluczone, że w innych okolicznościach poważylabym się na jakiś krok straszny i ostateczny. O, tak! Myśl o śmierci wydała mi się wtedy tak nęcąca, niosła ze sobą błogie ukojenie, lecz przed tym ostatecznym rozwiązaniem powstrzymywała mnie wizja gorejącego w pobliżu drzewa. A gdybym i ja podzieliła podobny los? Gdybym miała umierać bez końca, od nowa i od nowa, wciąż przeżywając to druzgocące rozczarowanie i doświadczając przeraźliwego bólu, z jakim rozżarzone ostrze ostatecznego zawodu cięło moją duszę, a zielonooka, bezlitosna żmija zazdrości kasała serce i zatruchiwała jadem mnie całą? Nie! Nie mogłam podjąć tak wielkiego ryzyka. Wszak mówi się, że czas leczy rany, uznałam zatem, że odebrać sobie życie zdążę zawsze, a tymczasem być może – choć zdawało mi się to wówczas całkowicie niewiarygodne – wraz z upływem dni, miesięcy czy lat moje cierpienie zelżeje.

Pokrzepiona nieco tą myślą udałam się do gabinetu Klitowicza. Otworzyłam drzwi, stanęłam na progu i serce zatrzymało mi się w piersi na widok okropieństwa, które w nim zastałam.

Czy opowiadałam ci, że mieszkaliśmy niegdyś w Lubece? Otóż tak właśnie było. Miasto

to stało się dla naszej rodziny klątwą, lecz ojciec mój prowadził tam liczne interesy i przez wiele lat nie mogliśmy Lubeki opuścić. Zmarła w niej moja biedna matka, o tragedii tej nie potrafię myśleć, a co dopiero mówić, do dziś, choć od tamtego dnia minęła już niemal dekada...

W Lubece także mnie samej śmierć zająrzała w oczy, i to aż dwukrotnie. O pierwszym przypadku opowiem ci za chwilę, natomiast drugi miał miejsce wcale niedawno i jego bezpośrednim skutkiem jest moja obecność w tym strasznym miejscu. Jak się zapewne zorientowałaś, ojciec mój uwielbia wszelkie nowinki i osobiście musi wypróbować każdy z wynalazków, który zostaje wprowadzony do powszechnego użytku. Chłubił się wielokrotnie tym, że jako jeden z pierwszych na naszym kontynencie posiadał automobil, a swojego forda T sprowadził do Warszawy już w 1908 roku, dosłownie miesiąc po uruchomieniu produkcji tego pojazdu. Nasz dom pełen był technicznych zdobyczy i myślę, że nawet po upływie stulecia uznawano by go za wybitnie nowoczesny. Ale mojego ojca intrygowały w równym stopniu odkrycia czynione we wszystkich innych dziedzinach nauki, nie tylko tych związanych z techniką. Interesował się również osiągnięciami medycznymi i jego ambicją było korzystanie także z tych nowinek. Gdy przeczytał o wynalezieniu szczepionki przeciwgruźliczej, oczywiście natychmiast jej zapragnął. Niestety, wkrótce odkrył, że podawanie jej może przynieść pomyślnie skutki tylko w przypadku dzieci. Zdecydował zatem, że choć on sam nie doświadczy zbawiennego działania specyfiku, zaaplikuje go mnie. Nastąpiło to nieco ponad rok temu. Byłam najstarsza ze wszystkich dwustu pięćdziesięciorga jeden dzieci, które wzięły udział w szczepieniu. Zachorowaliśmy wszyscy, a w ciągu paru miesięcy ponad siedemdziesięcioro z nas, tych najmłodszych, zmarło na galopujące suchoty. Ja znalazłam się w gronie szczęśliwców, u których choroba postępowała nieco oporniej – prawdopodobnie zawdzięczam to swojemu wiekowi. Dopiero ten złoszczący wypadek skłonił mojego ojca do opuszczenia Lubeki. Przenieśliśmy się do Krakowa, a ja wkrótce znalazłam się tutaj. Jednak nie o tym chciałam opowiadać, ale o innym wypadku, który wydarzył się nieco wcześniej.

Otóż mieliśmy dom w Lubece, na wyspie, przy ulicy Wallstrasse nieopodal starego amfiteatru. Lubiłam bardzo to romantyczne miejsce, które stawało się częstym celem moich spacerów z matką bądź niańką. Wiosną kwitły tam najpiękniejsze forsycje, jakie dane mi było oglądać w życiu, a po murach pięły się czarowne powoje, które w majowe popołudnia wypełniały nieckę amfiteatru słodką, odurzającą wonią. Czas jakby zapomniał o tym miejscu i oszczędził mu niszczycielskich skutków swego działania. Nikt nie przypuszczał, że w katakumbach pod kamiennymi trybunami tego urokliwego zakątka przetrwał z czasów minionej wojny zakamuflowany skład broni, którego lwią część stanowiły miny przeciwczołgowe i przeciwpiechotne. Któregoś dnia bawiące się w amfiteatrze dzieci natrafiły na ten magazyn, zaalarmowały natychmiast dorosłych i wkrótce z pobliskiego garnizonu przysłano grupę saperów, którym polecono, by zabezpieczyli zapomnianą zbrojownię. Saperzy szybko uporali się z robotą i wymontowali zapalniki z min. Wojsko następnie przysłało cztery wozy konne, którymi zamierzano wywieźć groźne niewybuchy. Załadowano miny, konie ruszyły. Ich trasa wiodła naszą ulicą, sensacyjna wieść o odkryciu w amfiteatrze obiegła całe miasto, nic zatem dziwnego, że w dniu, gdy operacja miała się odbywać, tłumy gapiów gromadziły się na chodnikach, lekceważąc całkowicie apel wojskowego dowódcy, który usiłował ich odwieść od tego zamiaru. Oczywiście w tłumie tym znalazłam się i ja, a miałam wówczas zaledwie sześć lat. Trzy pierwsze wozy przejechały, pamiętam nawet, że uznałam defiladę za mało widowiskową i wręcz nudną, a wystawianie w napierającym na mnie ze wszystkich stron tłumie ludzi – za niezmiernie wyczerpujące. Przewrotny los najwyraźniej postawił sobie za cel zmianę mojego nastawienia. Sekretem pozostaje do dziś, czy saperzy przeoczyli któryś z zapalników, czy wybuch spowodowało coś innego. W każdym razie czwarty wóz, do którego zaprzężone były dwa masywne konie pociągowe, minął nas, oddalił się o kilkadziesiąt

metrów i... eksplodował! Impet wybuchu skierowany był do przodu, szczęśliwie zginęło stosunkowo niewielu ludzi, choć ci, którzy stali niedaleko, stracili słuch na co najmniej parę tygodni. Sama miałam z nim zresztą później liczne problemy. Ściany w kilku domach popękały, oczywiście w drobny mak poszły wszystkie szyby w promieniu kilkuset metrów. Najbardziej ucierpiały jednak konie, bowiem eksplozja rozerwała te biedne stworzenia dosłownie na strzępy. Droga, drzewa, nawet mury pobliskich willi pokryte zostały strzępami tkanek i zbryzgane krwią. Wszędzie walały się fragmenty ciał i skór nieszczęsnych zwierząt, a ponieważ dni były bardzo ciepłe, nim udało się zaprowadzić porządek, wszystko to zaśmierdło się porządnie. Do dziś pamiętam ten mdlący odór gnijącego mięsa, a makabryczny widok zbryzganej krwawą miazgą Wallstrasse śni mi się po nocach.

Otóż gabinet Klitowicza przedstawiał się podobnie. Nie wiem, czy oprócz jego szczątków znajdowały się tam też strzępy ciał innych ludzi, wydało mi się to prawdopodobne, bowiem w jednym człowieku, nawet tak opasłym jak nasz doktor, aż tyle tkanek i krwi nie mogłoby się pomieścić. Na środku gabinetu ustawiono stalowy stół operacyjny, który został przez kogoś przyciągnięty z sąsiedniej sali. Część Klitusia wciąż na nim leżała – żalosne resztki: odarte z ubrania i skóry nogi, pośladek, pozostałości rozsadzanej klatki żeber i kilka łączących je kręgow. Tragedia nie mogła się rozegrać przecież dawno, a jednak szczątki znajdowały się już w fazie zaawansowanego rozkładu. Okropny fetor wyciskał lzy z oczu i budził w żołądku falę skurczów. Moim wymiotom zapobiegło tylko to, że od dawna nic nie jadłam.

Co tam się stało? Nie trzeba było eksperta, by stwierdzić, że Klitowicz nie zginął od wybuchu ładunku, który ktoś umieścił na przykład na jego piersi – eksplozja, która zabiła tego biedaka, nastąpiła w nim. W środku jego ciała. I choć to niedorzeczne, natychmiast przypomniała mi się twoja odma i opowieść o tym, jak ci ją zakładał. Pamiętasz? Oczywiście, że pamiętasz. Wokół stołu ustawiono liczne aparaty, jednak nie sposób było odgadnąć, do czego służyły, bo większość się poprzewracała, połamała lub potłukła, a wszystko dokładnie oblepiła krew i fragmenty ciała. Bądź też ciał. W każdym razie pomyślałam: ktoś założył Klitusiowi odnę. Za karę albo po to, by się przekonał, jak to jest. Oczywiście Nino, ty natychmiast przysłaś mi na myśl, wybacz, ale przecież nie wiedziałam jeszcze wtedy, czy przypadkiem nie stałaś się jednym z wyznawców Iry.

Instykt nakazywał mi niezwłoczną ucieczkę, lecz zmobilizowałam się i olbrzymim wysiłkiem woli pokonałam lęk oraz obrzydzenie, a następnie weszłam do środka i odszukałam aparat telefoniczny. Leżał pod oknem, blisko biurka, a tuż przy nim długi stalowy szpikulec. Ujęłam słuchawkę w dwa palce i uniosłam do ucha, lecz zabrakło mi odwagi, by je do niej przyłożyć. Nasłuchiwałam przez moment, trzymając słuchawkę kilka centymetrów od głowy, wystarczająco jednak blisko, aby zyskać pewność, że aparat jest głuchy.

Wtedy właśnie zobaczyłam oko. Leżało na blacie stolika, wiesz, tego między fotelami, przy oknie. Kuciałam nieopodal. To oko mogło należeć do Klitowicza, albowiem miało zbliżony kolor tęczówki. Patrzyło wprost na mnie. Wrażenie było niesamowite, ścierpła mi skóra i poczułam, jak włosy jeżą mi się na głowie. Odsunęłam się w bok – oko obróciło się natychmiast, nie tracąc mnie z pola widzenia. Coś mlasnęło tuż przy mojej nodze. Pisnęłam ze strachu i sięgnęłam po szpikulec opierający się o telefon, a dopiero potem spojrzałam w dół. Zapewne dla kogoś, kto nie znalazł się w naszej sytuacji, ten organ byłby nierozpoznawalny, ale my przecież mówimy o nim, myślimy i oglądamy jego wizerunki od miesięcy, dzień w dzień. To było ludzkie płuco. Ciemne, niemal fioletowe. Leżało na dywanie w krwawej brei tego, co kiedyś było Klitowiczem, niczym nieszczęsna martwa meduza wyrzucona przez morskie fale na piasek plaży. Lecz ono wcale nie było martwe. Oddychało. Gdy wpatrywałam się w ten kawałek śluzowatego, pulsującego mięsa, drgnęło i podpełzło do mnie. Nieznacznie. Zbliżyło się raptem o centymetr czy dwa, jednak moje nerwy były już tak zszargane, że to wystarczyło. Przed oczami zawirowały

mi czerwone mroczki, a podłoga zakołysała się pod stopami. Zerwałam się na równe nogi z potępieńczym skowytym. A wtedy, jakby los uznał, że zaoferował mi dotychczas zbyt mało silnych wzruszeń, z przeciągłym skrzypieniem uchyliły się drzwi biblioteki, a w szafce ujrzałam jednego z upiorów, które w ostatnich godzinach tak tłumnie zaludniły Sanato. Był to młodzieniec nieznacznie starszy ode mnie, zupełnie nieubrany. Jego twarz zastygła w masce bólu, zaciągnięte trupim bielmem oczy spojrzały na mnie błagalnie, a posiniałe wargi usiłowały coś wyszeptać...

Krzyknęłam znowu i wybiegłam z gabinetu. Pędziłam przed siebie na oślep, aż zabrakło mi tchu, a nogi ostatecznie odmówiły posłuszeństwa. Usiadłam ciężko na podłodze i rozejrzałam się wokół. Okazało się, że celem mojej obłąkańczej ucieczki stała się kaplica. Powróciłam tam, skąd kilkanaście godzin wcześniej rozpoczęłam swoją fatalną wyprawę. Spojrzałam na okrwawiony szpikulec, który przyniosłam ze sobą, i odrzuciłam go precz z odrazą. Po chwili pomyślałam jednak, że jako broń może się okazać niezastąpiony, i cóż, sama widziałas, że miałam rację. Otarłam go z krwi Klitusia korporałem, oczyściłam nim także swoje buciki. Czy popełniłam wielkie świętokradztwo? Prawdopodobnie, lecz myślę, że w zaistniałych okolicznościach Pan Bóg wybaczy mi ten występki.

Drugi cykl się zakończył, ja jednak nie miałam dość odwagi, by opuścić kaplicę. Motywacja, która powodowała mną wcześniej, zgasła wszak, gdyż Sebastian okazał się niegodny uczuć, które do niego żywiłam, a w których żarliwość zaczęłam powątpiewać. Ukryłam się w małym pokoju na tyłach kaplicy, gdzie ksiądz trzyma paramenty liturgiczne. Trudno nazwać tę dziuplę zakrystią, bo szczerze mówiąc, rozmiarami niewiele różni się od wygodki. Błagałam opatrność o sen, lecz on oczywiście nie nadszedł. Przeczekałam interwał, potem zaś kolejny cykl. Staralam się nie patrzeć, nie słyszeć, milczałam i tylko w myślach żarliwie modliłam się do Boga. Wydaje mi się, że w pewnej chwili coś – czy może ktoś – oprócz mnie było w tej ciasnej klitce, nie uchylałam jednak powiek. Trwało to bez końca, lecz wreszcie ustało. Nie wiem, ile godzin minęło. Za szybkami maleńkiego okienka pod sufitem pokoju widziałam tylko jednostajnie szare światło i tumany śniegu. Czy noc nastąpiła już i odeszła? Nie miałam pewności, a jedynie przecucie, że tak właśnie było. Że nastał dzień Wigilii. Trzeci cykl był dłuższy od drugiego, a drugi od pierwszego. Interwały natomiast się skracały. Zdałam sobie sprawę, że być może następna manifestacja anomalii okaże się trwała i ostateczna, a mnie wtedy nie uratuje ukrywanie się na tyłach kaplicy i zaciskanie powiek. Może gdybym się oślepiła, pozbawiła słuchu i wyrwała sobie język, może wtedy byłabym bezpieczna, ale oczywiście na coś takiego nie byłam gotowa. Jeszcze.

Postanowiłam odnaleźć Dreslera, bo chyba liczyłam w skrytości ducha, że Sebastian jednak się opamiętał, wysłuchał mojej rady i sam go odszukał, a ja wszakże mogłam się mylić co do tego człowieka. Być może i on także był zaledwie zabawką w rękach Iry, a może – i tego wykluczyć nie mogłam – nie pojął jeszcze, że wydarzenia w Sanato są skutkiem jego kuracji, ubocznym efektem działania specyfiku, który wynalazł. Istniał zatem cień szansy, że mógł znać antidotum na tę przemieniającą nasze dusze truciznę i jednak wybawić nas z opresji. Nadzieja była nikła, nie sądziłam też, że kiedykolwiek będę mogła przebaczyć Sebastianowi zdradę, jakiej się wobec mnie dopuścił. Ale chciałam się upewnić, że nie ucierpiał, bo przecież nie życzyłam mu zła, nawet jeśli nasze drogi się rozeszły i każde z nas od tej pory miało wędrować przez życie w innym kierunku.

Na antresolę dotarłam właściwie bez żadnych istotniejszych przeszkód. Po drodze widziałam trzy ciała – jedno należało do pokojówki, drugie do jednego z pensjonariuszy, a trzecie do kucharki. Cała trójka została pozbawiona życia na skutek brutalnego podcięcia gardeł. Nie doznało tego Sanato, ale jakiś człowiek, którego opętało. Ty wiesz, kogo mam na myśli...

Co wydarzyło się potem, bez trudu możesz sama odgadnąć. Dresler, zajęty swoimi maka-

brycznymi studiami, nawet nie usłyszał moich kroków. Podejrzewam, że Sebastiana sprowadziła mu Ira, i to zapewne wkrótce po naszym rozstaniu. Jego ciało zdążyło już ostygnąć, wiem to, bo pocałowałam go w rękę – już po wszystkim, na pożegnanie...

To nie był o trudne, szpikulec okazał się wyjątkowo poręczny i bardzo ostry. Wszedł w Dreslera jak w masło. Musiałam trafić w opłucną, bo rurka głośno zassała powietrze. Pchnęłam głębiej i dotarłam do serca – tego jestem pewna, bowiem z tulejki trysnęła krew. On nawet się nie odwrócił, nie bronił. Stał, chwiejąc się w przód i w tył przez kilka sekund, a następnie runął na podłogę. A wkrótce potem zjawiła się ty.

KONIEC

– A Janek? – pytam, gdy Dorcia kończy opowiadać. – Czy jego nie spotkałaś?

– Och, nie. – Dziewczynka rzuca mi zaskoczone spojrzenie. – Całkowicie o nim zapomniałam. Wątpię jednak, by nadal żył.

– Mógłby nam pomóc – spoglądam z zamyśleniem w okno. – Nie znam mądrzejszego człowieka od Janka.

Przez mury Sanato przebiega kolejne drzenie, a potem rozlega się przeszywający wizg rozdieranego metalu. Kulę ramiona w przestrachu.

– Słyszałaś? Co to było?

– Nie wiem – szybko mówi Dorcia. – Niczego nie słyszałam i ty też nie. Dopóki nie słyszemy, nie widzimy i nie mówimy o tym, nic się nie dzieje. Sanato czerpie moc z nas, lecz przecież nie może nas jej pozbawić do cna. Jestem pewna, że siły zostaje nam na tyle dużo, abyśmy byli zdolne do stworzenia w tej powodzi szaleństwa niewielkiej enklawy spokoju – tak jak mnie udało się tego dokonać w pokoju za kaplicą. Zatem na tym się skupmy. Na myśli, że tutaj nic nam nie grozi.

Przez chwilę zastanawiam się nad jej słowami. Wydają się słuszne – skoro nasze umysły uwalniają energię i materię tego miejsca, muszą mieć też władzę panowania nad nią, choćby częściowego. Prawdopodobnie rzeczywiście jesteśmy tu bezpieczne – nie ma znaczenia fakt, że zablokowałyśmy drzwi do pokoju komodą, bo to tylko iluzja. Kłamstwo, które jednak wzmacnia naszą siłę niczym placebo podawane pacjentowi przez podstępного doktora. Potęgą woli tworzymy bańkę normalności w otaczającym nas chaosie. Sferę, w której wnętrzu Sanato nie może nas dosięgnąć. Rozluźniam mięśnie i na sercu robi mi się nieco lżej. Potem kładę sobie na kolanach marynarkę Adama i opieram na niej dłoń. Szaleństwem byłoby opuszczenie tej bezpiecznej przystani, on na pewno da sobie radę. Przetrwa, musi przetrwać, a potem...

Marszczę brwi i czuję ukłucie niepokoju. Potem? A jeśli nie będzie żadnego potem? Gdy Sanato wyzwoli się na dobre i to, co Dorcia nazwała anomalią, zatriumfuje, my przegramy ostatecznie! Dociera do mnie, że ciasna przestrzeń tej facjatki jest dla nas bezpieczna nie dlatego, że sprawiamy to my same, lecz dlatego, że tego chce Sanato! Ono izoluje nas, usuwa na bok, zamyka w szklanej bańce tylko po to, by nabrać sił i przetworzyć rzeczywistość zgodnie z własną szatańską wolą. Znalazłyśmy się tu nie dlatego, że to miejsce jest dla nas bezpieczne, ale dlatego, że odizolowane nie stanowimy zagrożenia!

Coś porusza się w mroku pod łóżkiem, na którym siedzi Dorcia. Słyszę cichy szelest, a potem odgłos pospiesznych uderzeń, jakby przez posadzkę przebiegało jakieś stworzenie – szczur albo kuna. Podnoszę oczy i pytająco spoglądam na Dorcię, ale zanim udaje mi się zadać pytanie, czy i ona dosłyszała ten dźwięk, robi przerażoną minę i potrząsa głową, nakazując mi milczenie. Zaciskam posłusznie usta i znowu patrzę na podłogę. Na wąskim, uplecionym ze sznurka dywaniku leży ludzka ręka. Gładko odcięta tuż za nadgarstkiem, szara, niemal już fioletowa, z równo przyciętymi, białymi paznokciami. Ręka należała z pewnością do kobiety – jest

szczupła i czysta – ale krótkie paznokcie, wysuszona skóra i brak ozdób wskazują na to, że jej właścicielka nie dbała zbytnio o urodę i nie zaliczała się do osób próżnych. Znowu zerkam na Dorcię. Siedzi sztywno wyprostowana, z pobladłą twarzą; gromi mnie wzrokiem. Ucięta dłoń porusza się na dywaniku między łózkami. Prostuje wskazujący palec, wyciąga go w górę, odpycha się kciukiem od podłogi i przesuwają. Wiem, którą z nas wskaże za moment. Usta same otwierają mi się w wyrazie niemego przerażenia. Dorcia przez moment jeszcze siedzi bez ruchu, lecz nagle podrywa się z siennika jak ukłuta szpilką.

– Wszystko musiałaś popsuć, co? – pyta ze złością w głosie. – Po prostu musiałaś!

Zeskakuje z łózka, dopada parapetu, podbija frorajzę i silnym szarpnięciem otwiera skrzydło okna. Wiatr natychmiast wciska do pokoju tuman śniegu. Dziewczynka, z wyrazem obrzydzenia odwracając twarz na bok, pochyla się i dwoma palcami podnosi martwą rękę z podłogi. Dłoń trzepocze się i wije niczym ogromny, tłusty pająk, ale Dorcia, nie zważając na to, bierze zamach i ciska nią prosto w śniegową zamieć, a potem zatrzaskuje okienko.

– Teraz dopiero się zaczniesz! – mówi. – A mogłyśmy to przeczekać!

– Być może. A co byłoby dalej?

– Nie wiem! Wszystko mi jedno, po prostu chciałam mieć odrobinę spokoju!

– Ten pokój to pułapka. Sanato zamknęło nas tutaj tylko po to, żebyśmy nie przeszkadzały.

– Nawet jeśli, to co z tego?!

– To, że jeśli czegoś nie zrobimy, czeka nas los gorszy od śmierci! – wybucham. – Mnie, ciebie. Adama. I możliwe, że Janka też, o ile on jeszcze... Musimy ich odszukać i uciec!

– Uciec?

– Tak! Jeśli dotrzemy do bramy, może nam się udać. Do Zakopanego wcale nie jest tak bardzo daleko, a przecież dzięki Dreslerowi jesteśmy odporni na chłód. Powinniśmy dotrzeć do najbliższych domów, do ludzi...

– Sanato nigdy nas nie wypuści – mówi Dorcia. – Którędy chcesz uciekać? Ten upiorny płonący świerk blokuje drzwi!

– Jest jeszcze boczne wejście. I piwnica.

– Nie odnajdziemy ich! Poza tym jestem pewna, że to samo co tu, w budynku, dzieje się na całym terenie wokół niego! Jeśli nawet wydostaniemy się na dziedziniec, nigdy nie dotrzemy do głównej bramy, a stąd nie ma innej drogi ucieczki.

– Jest jedna – mówię powoli. – I na pewno nikt jej nie pilnuje.

(Nikt poza porcelanowym Chińczykiem).

– Dobrze, załóżmy, że masz rację – wzdycha Dorcia. – Co dalej? Wiesz, że nasza terapia nie jest zakończona! Umrzemy, tak czy siak.

– Tego nie wiesz na pewno! Dresler mógł kłamać, aby trzymać nas w szachu i mieć gwarancję, że żaden z numerów nie odstąpi od eksperymentu. A nawet jeśli pisane jest nam wkrótce umrzeć, wołałabym, aby nastąpiło to gdziekolwiek indziej, nie tutaj. Pomóż mi odsunąć komodę.

– Czy słyszysz, co się tam dzieje? Ja już to przeżyłam, gdy ty leżałaś nieprzytomna na podłodze antresoli! To jest piekło. Prawa fizyki tam nie obowiązują, a własne zmysły są tam najgorszym wrogiem! Oczy cię mamią, słuch okłamuje. Na litość boską, nawet Dante, zwiedzając kręgi piekielne, nie czynił tego na własną rękę – miał przewodnika w postaci Wirgiliusza!

– Ale przecież my mamy przewodnika! – wykrzykuję w olśnieniu. – Może nie tyle przewodnika, ile przewodnik. Wskazówkę!

Dorcia spogląda pytająco, a ja podnoszę futuroskop i stawiam go na materacu obok siebie.

– Mówisz o tej zabawce? – pyta dziewczyna. – Jesteś szalona.

– Nieprawda. Pokierował mną przedtem, na pewno pomoże nam teraz. Zobacysz. Wpatrujemy się przez długą chwilę w skrzynkę, ale nic się nie dzieje.

– No i co?

– Bądź cierpliwa.

– Może powinnaś zadać pytanie? – złośliwym tonem rzuca Dorcia. – O, wielki i potężny aparacie odpustowy, rzeknij nam, co mamy czynić! Coś w tym rodzaju.

Patrzę na nią rozeźlonym wzrokiem, a potem wzduszam ramionami i pochylam się nad futuroskopem.

– Czy powinniśmy uciec? – pytam cicho.

I wtedy przez ściany, podłogę i pochyły sufit facjatki przebiega drżenie. Jedno, potem drugie. Wreszcie trzecie – na tyle mocne, aby na pomalowanym jasną, żółtawą farbą tynku zaznaczyła się siatka za rysowań, a przez szybę jednego z okien, przy wtórze krótkiego, przenikliwego brzęku, przebiegła srebrna nitka pęknięcia. Łóżka pod nami unoszą się na wysokość kilkunastu centymetrów, a potem spadają. Ze szczelin na suficie sypią się strużki pyłu. Dorcia krzyczy z przestachu i jednym susem doskakuje do mnie. Przytulam ją mocno do boku. Ciśnienie powietrza wokół nas wzrasta szybko, zaczynają mnie boleć bębniaki w uszach. Czuję, że tracę oparcie – siennik, na którym siedzimy, usuwa się spod nas i wali w dół. Nie, to cały pokój spada niczym zerwana z lin winda. Krzyczę także, zaciskam powieki, ale otwieram je niemal natychmiast, bo jednak nie – nie mam zamiaru się poddać. Facjatka zaczyna wirować, początkowo powoli, ale z każdą sekundą prędszej i prędszej. Rosnąca siła odśrodkowa nagle popycha nas na ścianę – w ostatniej chwili przyciągam do siebie futuroskop, chroniąc go przed uszkodzeniem. Tynk ugina się pod moimi plecami niczym naprężona brezentowa płachta – jak żagiel. Za chwilę pęknie, otworzy się i nas obejmie. Wchłonie, jak tę kobietę z mojego pokoju. Młodą, lekkomyślną kobietę w taniej fildekosowej halce, która była... *Byłam, na tyle nierozważna, aby związać się z mężczyzną, o którym wiedziałam, że jest chory, a którego nawet nie kochałam. Liczyłam, że przetrwam, że nie zachoruję, wierzyłam, że jestem niezniszczalna, bo przecież miałam dziewiętnaście lat, a gdy ma się dziewiętnaście lat, nie zna się strachu przed śmiercią. Temu mężczyźnie, który dorównywał wiekiem memu dziadkowi, pozostało już niewiele czasu. Obiecał, że przekaże mi wszystko. I przekazał – wszystko, w tym także chorobę. Majątek, na który tak liczyłam, niemal nie istniał. Gdy wróciłam z pogrzebu, gdy weszłam do swojego, jak sądziłam, domu, zjawili się wierzyciele. Została mi tylko ta jedna, gorzka pamiątka, którą nosiłam przy sercu, marnych kilka setek i odrobina czasu potrzebnego, abym przyjęła i pojęła cały ten piekący żal po tym, co straciłam i co miało mnie ominąć. Jedna okrutna wiosna – los specjalnie wybrał dla mnie tę najpiękniejszą porę roku do powolnego umierania, aby ukarać mnie najboleśniej. Pieniędzy wystarczyło na opłacenie pobytu w Sanato, na niespełna siedemdziesiąt dni słońca, kwiatów i błękitnych gór, które oglądałam zza barierek cichej werandy, gdy choroba pożerała moje wnętrze i zamieniała każdy oddech w coraz straszniejszą torturę, w coraz straszniej...*

– Nie! – wykrzykuję, zaciskając pięści. – Dość!

Szept sączący się bezpośrednio do mojego mózgu milknie niczym ucięty nożem, a pokój zatrzymuje się gwałtownie w swoim wirowym ruchu. Przed moimi oczami na ułamek sekundy pojawia się zagadkowy obraz. W ciemnym, pustym pomieszczeniu stoi kilkoro dzieci. Z wykrzywionymi złością twarzami wpatrują się we mnie, a najstarsze z nich – jasnowłosa dziewczynka stojąca o krok przed resztą – wyciąga przed siebie wyprostowaną rękę i... Obraz rozplywa się w mroku. Oszukany błędnik sprawia, że tracę równowagę – upadam na futuroskop, pociągając za sobą Dorcię. Za oknem zapada noc, zupełnie jakby ktoś jednym ruchem zaciągnął czarne, aksamitne story. W ciemności słychać tylko nasze dwa pospieszne oddechy i szybkie uderzenia serc. Trwa to zaledwie minutę, może dwie, jednak czas ten wydaje mi się wiecznością. Krawędź futu-

roskopu boleśnie wbija mi się w żebra, Dorcia z całej siły zaciska palce na moim ramieniu. Wiatr uderza w szyby, śniegowe płatki wirują sennie w blednącej czerni nikłych prostokątów okien.

Moja przyjaciółka prostuje się i odsuwa ode mnie – w pokoju jaśnieje i mogę już dostrzec jej delikatny profil.

– Bałam się, że tak już zostanie – wyznaje szeptem i głośniejszym dodaje spokojnym tonem: – Zdaje się, że mamy następny dzień. Jest Boże Narodzenie.

I wtedy futuroskop drży lekko, a ze szczeliny w jego obudowie z cichym szelestem (*który jakże łatwo byłoby pomylić z odgłosem węzowych lusek trących o skalę, po której pełźnie*) wysuwa się nowa karta.

ROZDZIAŁ XVI

ADAM

Piątek, 25 grudnia 1931 roku

Wczesne godziny ranne niosą powody do niezadowolenia przede wszystkim przez wzgląd na pewną nerwowość, możliwość nieoczekiwanych niepokojów i złudzeń rozwianych oraz nie nadają się do bliskich stosunków z osobami egocentrycznymi. Jedynie koło godziny 9-tej kosmiczne wpływy obiecują rezultaty dodatnie w sprawach dotyczących sportów, mechaniki, techniki, wojskowości i hodowli ptactwa. Krótka po godzinie 12-tej zamanifestują się narastające niepokoje nerwowe bez określonej przyczyny, a także zagrożenie ze strony ludzi podstępnych. Godziny obiadowe niosą obietnicę ekspansji towarzyskiej i umysłowej, mówią także o rozbudzeniu intuicji, jednakże nie sprzyjają działaniu.

Gościej zapowiada się czas poobiedni, przynosząc przygnębienie, tęsknotę oraz wstrząśnienia w związku z młodzieżą, skutkiem których zaznaczy się drażliwość, tendencja do postawienia na swoim, demonstracyjność lub też zbytnia impulsywność, lub które doprowadzą do nieobmyślanych czynów i słów. Niestety, wieczór po godzinie 20-tej obiecuje liczne powody do niezadowolenia, a później – liczne rozczarowania, kaprysy oraz silną irytację. W dniu dzisiejszym strzeż się omamów, powietrza, wybuchów emocji, wilgoci, a także stali i diamentów w odzieniach zieleni.

Numeracja na dziś: 0 x i x 3 x 4 x 7 x 8

Iloczyn domyślny: zero. Czynniki zmiennych:

Emersja ejektu.

Przebiegam wzrokiem po fiszce jeszcze raz, a potem kolejny, jednak nadal nic nie rozumiem i czuję narastające rozczarowanie. Chociaż numeracja z pewnością dotyczy nas. Co to znaczy „emersja ejektu”? Ale przecież słowo „ejekt” pojawiło się już zresztą na jednej z wcześniejszych kart...

– Co tam jest napisane? – pyta Dorcia niecierpliwie.

– Sama nie wiem – mówię i podaję jej kartę.

Dorcja w skupieniu studiuje ją przez długą chwilę, wreszcie podnosi wzrok i spogląda na mnie z wyraźną ironią.

– Rzeczywiście doskonała wskazówka – cedzi wolno. – I pomyśleć, że ja prawie uwierzyłam ci w tę bzdurę.

– Wcześniejsze wróżby były trafne – mówię bezradnym tonem.

– Chyba. W każdym razie z pewnością dotyczyły konkretnych sytuacji. Zresztą tu też, o, na końcu... Widzisz wzmiankę o numeracji? Musi mówić o nas! Zero to Ira, ty jesteś przecież jedynką. Trójka to Stan, czwórka Janek, siódemka oznacza Mieta, a ósemka mnie. Myślę, że numeracja na dziś wskazuje tych z nas, którzy wciąż żyją.

Dorcja marszczy brwi i znowu pochyla się nad fiszką.

– Iloczyn domyślny równa się zero – mamrocze pod nosem. – Oczywiście, że tak, skoro w równaniu zero jest na pierwszym miejscu. Obojętnie zresztą, jak byłyby poprzestawiane cyfry w mnożeniu, jeśli jedną z nich jest zero, efektem działania zawsze będzie zero. To oczywiste. I co nam to mówi?

– Nie mam pojęcia – wzdycham i robię bezradną minę. – Nigdy nie byłam biegłą w ra-

chunkach.

– Iloczynem wcale nie domyślnym, ale oczywistym musi być zero – stwierdza kategorycznie Dorcia. – Słowo „domyślny” nie pasuje. Co to jest czynnik zmienny? Emersja ejektu? Chociaż, poczekaj, słyszałam już gdzieś słowo „ejekt”... Nie potrafię sobie przypomnieć gdzie ani co oznacza to określenie...

– Ja z pewnością nie słyszałam go nigdy wcześniej.

– Mam wrażenie, że to termin medyczny... – Dorcia w zamyśleniu spogląda w okno za moimi plecami.

Jej oczy rozszerzają się w wyrazie przerażenia, a z twarzy odpływa krew.

– Co się stało? – pytam. – Przypomniałaś sobie?

Nie odpowiada, jej usta bledną i zaczynają drżeć. Odwracam się więc, podążając za wzrokiem dziewczyny, i sama także zastygam w odrętwieniu.

Za oknem w tumanach wirującego śniegu unosi się Dresler. Wiatr szarpie go za włosy, furkoczą rozpięte poły jasnej, ochlapanej krwią koszuli. Wytrzeszczone oczy nie mają tęczy i źrenic, skóra nabrała już woskowej barwy... Czas staje. Nic się nie dzieje – on patrzy na nas, my na niego. Nagle odpływa od okna, a po chwili wraca niczym rzucona ręką kapryśnego dziecka lalka. Jego twarz wali z impetem w szybę, ciemna, niemal czarna krew ze zmiażdżonych uderzeniem tkanek bryzga na szklaną taflę. Krzyczymy obie równocześnie. Odruchowo unoszę ramię i osłaniam twarz, przekonana, że obsypie mnie grad ostrych odłamków, lecz niepojętym cudem szyba nie pęka.

– Szybko! – krzyczy Dorcia.

Zrywa się z łóżka i dopada komody blokującej drzwi. Strach dodaje jej nadludzkich sił – chwyta oburącz krawędź blatu i jednym szarpnięciem przesuwając mebel o dobre pół metra. Łapię futuroskop, doskakuję do niej i zapieram się z drugiej strony barykady. Z głośnym zgrzytaniem komoda wysuwa się spod klamki. Dorcia otwiera drzwi na korytarz. Wybiegamy z pokoju ramię w ramię. Za progiem oglądam się i widzę, że Dresler odpływa znowu od okna i znika w śnieżnej zadymce.

– Zabrałaś kartę? – wołam.

– Co? – Dorcia rzuca mi zdumione spojrzenie. – Zwariowałaś?! Uciekaj!

– Musimy wiedzieć! – rzucam i zawracam do pokoju.

Fiszka leży na krawędzi materaca. Tylko dwa kroki... Łapię kartonik i wsuwam go do kieszonki sukienki na piersi. W tej samej chwili Matys wraca i uderza w szybę kolejny raz. Roztrzaskane szkło z głośnym brzękiem sypie się do pokoju, lodowaty wiatr uderza mnie w twarz, a ciało doktora z łomotem spada na podłogę między łóżkami. Krzyczę i rzucam się do ucieczki.

– Dokąd? – woła do mnie Dorcia, gdy wybiegam na ciasny korytarz. Odbijam się od przeciwległej ściany i ruszam w jej stronę.

– Nie wiem! Biegnij, on jest tuż za nami!

Nad naszymi głowami sufit wygina się przy wtórce trzasku pękających krokwi. Na głowę i ramiona spada mi grad gruzu, a powietrze sinieje od osypującego się z powały kurzu. Mrużąc oczy, spoglądam w górę. Owale bawolich oczu zainstalowanych w sklepieniu obracają się w naszą stronę, śledząc nasze kroki. W gardle drapie mnie od pyłu, staram się jednak zdusić kaszel, bo jeśli teraz przyszedłby atak, byłabym zgubiona.

Dorcia dobiega do schodów prowadzących na drugie piętro, odwraca się i patrzy na mnie. Jej twarz wykrzywia się z przerażenia – Dresler jest tuż za mną, wiem. Wyczuwam go, choć nie widzę. Podłoga drży od jego ciężkich, niezdarnych kroków. Matys porusza się nieskładnie, tłucze o ściany ramionami i nogami niczym ożywiony manekin – nieporadny, ale nabierający wprawę z każdą sekundą. Jednak jest tylko martwym ciałem, Matys nie stał się upiorem, czuję to. Ktoś

nim steruje... Nie ktoś, lecz coś – wcale nie muszę się zastanawiać co, bo przecież wiem...

Dorcja zbiega po stopniach, pędzę za nią. Wypadamy na korytarz drugiego piętra, a ja z trzaskuję za nami drzwi prowadzące do wąskiej klatki schodowej.

– Musimy je czymś zablokować! – wołam. – Konsola!

Dziewczyna podbiega do stolika, lecz zatrzymuje się tuż przed nim i cofa o krok. Purpurowe miechunki rozrosły się na podobieństwo monstrualnego krzewu drapieźnych roszcików. Ruchem atakującej kobry wyrzucają w stronę dziewczyny nabrzmiałe rubinowe główki, które otwierają się żarłocznie, wyszczerzając rzędy drobnych, ostrych ząbków podobnych do rybich ości. Dorcja uskakuje, traci równowagę i krzyczy znowu. Zapieram się ramieniem o drzwi, Matys uderza w nie z drugiej strony.

– Dorciu! – wołam.

– Nino, zapadam się! To mnie wciąga! – krzyczy dziewczynka przerażonym, piskliwym głosem.

Patrzę na nią – do pasa pogrążona jest w chodniku wyściełającym korytarz. Ciało Matysa znowu uderza w drzwi za moimi plecami, futryna pęka z trzaskiem.

– Och, nie! – Dorcia szamocze się w uścisku bagna, w które zamieniła się podłoga, i zapada się aż po piersi.

– Nie szarp się! – krzyczę.

Przez krótką chwilę zastanawiam się gorączkowo, co mogę zrobić. Czekam na kolejny atak Dreslera, a jednak na klatce schodowej za mną panuje spokój. Odklejam się od drzwi, przyciskam futuroskop do boku i opadam na kolana. Ostrożnie podpełzam jak najbliżej Dorci. Podłoga wydaje się całkowicie stabilna, wyciągam rękę w stronę dziewczyny.

– Złap mnie – mówię. – I staraj się nie szamotać, staraj się...

Nie udaje mi się skończyć, bo w tej samej chwili tracę oparcie pod nogami. Mam wrażenie, jakbym nieoczekiwanie wpadła pod cienką tafelę lodu, jakby pochłonęła mnie woda – choć nie, może nie tyle woda, ile ruchome piaski, bo nie czuję wilgoci. Odruchowo nabieram powietrza i zadzieram głowę. Konsola z miotającymi się na niej, uwięzionymi w chromowanej żardynierze roślinami, ściany korytarza i drzwi prowadzące na poddasze umykają ku górze. Moja dłoń zaciska się na ramieniu Dorci, przyciągam ją do siebie. Dziewczyna młóci rękami na oślep, wreszcie chwytą mnie za biodro i wbija kurczowo palce w mój bok. Próbuję się wyrwać, bo sprawia mi ból. Wokół mnie robi się jaśniej. Czuję na twarzy powiew powietrza, spinam mięśnie i upadam plecami na twardą podłogę pokrytą bordowym linoleum.

– ...lecz teoria Mendla nie została potwierdzona żadnym przekonującym dowodem, który... – monotony męski głos rozlega się gdzieś nieopodal, słyszę go wyraźnie.

Leżę przez chwilę i wpatruję się w sufit nade mną. Upadek wycisnął ze mnie oddech, jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny, walczę, próbując zmusić płuco, by nabrało powietrza.

– Teza, według której przystosowanie jest procesem rozłożonym na pokolenia i kształtowanym na drodze dziedziczności, to tylko domysł – ciągnie Janek, jego głos rozpoznaję niemal natychmiast. – Przecież doświadczenia z jarowizacją zbóż czy sowiecki eksperyment grochowy i kolejny, polegający na zasiewaniu terenów suchych ryżem, wykazały, że mechanizm dostosowywania się organizmów żywych do otaczających je warunków...

Nagle zdolność oddychania powraca. Z głośnym jękiem wciągam powietrze szeroko otwartymi ustami i siadam na podłodze. Dorcja leży na boku, tuż przy moich nogach, ma zamknięte oczy. Upadek z wysokości dwóch i pół metra nie wydaje się zbyt groźny, sufit nad antresolą szczęśliwie jest niski. Prawdopodobnie zemdląca z przerażenia, a nie na skutek uderzenia o posadzkę. O ile oczywiście nie upadła na głowę i nie skręciła karku. Rozglądam się w poszukiwaniu futuroskopu, pewna, że zobaczę tylko rozbite pudełko i rozsypane wokół karty

z wróżbami, lecz ku mojemu zaskoczeniu aparat leży nietknięty pod ścianą.

– ...to nie dziedziczność więc, ale dostosowanie się może być sednem zmiany – mówi dalej monotonna Jan. – W nim kryją się nieograniczone możliwości, a przekształcenie jednego gatunku w drugi w świetle prac opublikowanych przez Łysenkę nie wydaje się zadaniem niemożliwym i z punktu widzenia natury...

– Dorciu – szepcę, potrząsając ją za ramię. – Dorciu, obudź się.

Dziewczyna przez moment leży bez ruchu, nagle podnosi powieki i otwiera usta, by krzyknąć. Natychmiast zasłaniam je dłonią.

– Cicho – syczę. – Oni mogą tu być.

Dorcja wodzi wokół błędnym spojrzeniem, ale dość szybko bierze się w garść i daje mi znak oczami, że zrozumiała, o czym mówię.

– Niewykluczone jednak – ciągnie Janek swój wykład – że naturze należy pomóc. Samo ulokowanie, dajmy na to, ptaka w krecich korytarzach prawdopodobnie nie przyniesie spodziewanego efektu. Jeśli jednak tego samego ptaka chirurgicznie pozbawimy skrzydeł oraz narządu wzroku, pomagając mu tym samym w dostosowaniu się do otaczającego go nowego środowiska i eliminując możliwość jego powrotu do poprzedniego, wtedy najprawdopodobniej...

– To Janek – szepce Dorcia.

Kiwam głową i najciszej, jak potrafię, podnoszę się z podłogi.

– Reszta jest z nim?

– Nie wiem – odszeptuję. – Nic ci się nie stało?

– Chyba nie. Boli mnie noga, ale to tylko stłuczenie.

Sięgam po futuroskop, a potem na palcach skradam się do uchylonych drzwi. Oczywiście prowadzą do gabinetu Dreslera. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

– ...udać się, a to obnaża cały fałsz teorii Darwina. Bo przecież ptak ten, oślepiiony i pozbawiony zdolności latania, wkrótce przystosuje się do życia pod ziemią, nie stając się przez to jednakże kretem. Nie porośnie futrem i nie transmutuje w ssaka. A zatem powstanie nowy gatunek, stworzony przez człowieka i zgodnie z jego wolą. Zatem więc kreacjonizm? Nie! Bo to człowiek, a nie Bóg ma w niej moc sprawczą. Trofim Łysenko odkrył więc najważniejsze i najbardziej rewolucyjne z praw, bowiem nie tylko przekreśla ono pseudonaukowy dorobek Mendla i Darwina, ale stanowi także koronny dowód na nieistnienie jakiegokolwiek Boga. Tylko człowiek, jako najwyższa z form, ma władzę nad światem ożywionym, jedynie on może modyfikować go zgodnie z własną fantazją...

Ostrożnie wychylam się zza futryny i zaglądam do sali. Jest pusta. Widzę ciąg okien – także to ostatnie, przez które wspólnie z Dorcią pozbyliśmy się martwego (*prawie*) Dreslera. Janek musi stać obok ciała Sebastiana – o ile oczywiście ono wciąż tam wisi. Czy za drzwiami czai się reszta numerów? Czy jest tam Ira? To przecież możliwe, mogli zastawić pułapkę na mnie i na Dorcię. Janek może być przynętą, nie wierzę, aby z własnej woli przyjął rolę fatyganta Iry. To jeden z najprzywocitszych ludzi, jakich znam. Dorcia lekko dotyka mojego łokcia, w odpowiedzi wzruszam ramionami. Powinnyśmy uciec. Natychmiast. A jednak nie słucham głosu rozsądku. Nabieram tchu, popycham skrzydło drzwi i przeskakuję przez próg – jak najdalej od kogoś, kto mógłby stać przyczajony za futryną.

Janek siedzi po turecku na stole Dreslera. Ma na sobie tylko kalesony. Czuję na twarzy absurdalny w naszej sytuacji rumieniec zażenowania tym widokiem – odruch warunkowy grzecznej panienci, którą przecież nie jestem. Mimo to nie potrafię oderwać od niego wzroku. Dopiero teraz dociera do mnie, że nadal jestem ciekawa Janka jako mężczyzny. Jego ciało jest tak różne od ciała Adama. Wydaje się twardsze, bardziej zwięzłe. Skórę ramion pokrywają liczne brązowe piegi, a na środku wąskiej, nieco zapadniętej piersi wyrasta gęsta, nieprzyzwoita kępka rudych

włosów. Barki są pochyle, ręce chude, ale nie słabe – kojarzą mi się z oplecionymi konopnym sznurem sękatymi gałęziami wiązu. Mój wzrok ześlizguje się w dół, na niedopięte, szeroko rozwarte rozcięcie w brudnych kalesonach, ale jednak nie – na to i tym razem nie starcza mi już odwagi. Co najdziwniejsze, ciało to, tak inne i przecież mi nie obce, wciąż budzi we mnie... Nie! Nie wolno mi się nad tym zastanawiać! Pospiesznie przesuwam oczy wyżej. Janek przygląda mi się spokojnie. Na jego ustach błąka się uprzejmy, delikatny uśmiech. Ostatnie dni zostawiły wyraźne ślady na jego twarzy – podobnie jak u Dorci, i u mnie zapewne też, jego policzki się zapadły, pod oczami pojawiły się głębokie cienie. Jest nieogolony, rzadka ruda szczecina sterczy z jego podbródka i policzków. Za jego ramieniem kołysze się ciało Sebastiana. Plecami musi dotykać kolan martwego chłopca – to spostrzeżenie sprawia, że natychmiast dostaję gęsiej skórki na ramionach.

– Nineczko! – odzywa się przyjaznym, jowialnym tonem. – Jak to miło, że właśnie twój widok będzie ostatnim, który zapamiętam, i że właśnie ty będziesz świadkiem tego, czego zaraz dokonam! Obserwuj więc uważnie, oto jest bowiem triumf i władza nauki poprzez wykluczenie tego, co ją podważa. A jeśli odrzucisz sentymentalne uprzedzenia i pójdziesz w moje ślady, i ty otrzymasz szansę przetrwania. Udowodnię ci to. Naukowo.

– Co ty... – zaczynam, ale pytanie zamiera mi na ustach i zamienia się w jęk grozy.

Janek szybkim ruchem podrywa rękę. Pokryty zakrzepłą krwią Sebastiana skalpel tnie powietrze i ostrze zagłębia się w oczodole mojego przyjaciela. On nawet nie zacisnął powiek... Dłoń cofa się, na policzek wypływa galaretowaty śluz i krew. Janek cofa rękę i wbija skalpel w drugie oko. Zaczynam krzyczeć. Jan nadal siedzi na blacie stołu, nogi ma splecione jak fakir.

– Cieszę się, że cię słyszałem – mówi, a następnie przekłada skalpel do lewej dłoni, unosi ją do boku głowy i nakierowuje ostrze na otwór ucha.

Prawą rękę odchyła, bierze niewielki zamach i uderza w rękojeść skalpela środkiem dłoni, zupełnie jakby odbijał butelkę wódki. Całe ostrze znika w jego uchu. Braknie mi oddechu, by nadal krzyczeć, mój żołądek kurczy się i dopadają mnie suche torsje. Odwracam się zgięta w pół, nie widzę już, jak Janek kończy swoje dzieło, przebijając membranę bębenka w drugim uchu. A jednak nie wykazał się precyzją. Gdy robi mi się ciemno w oczach i osuwam się na kolana, zbyt mocno pchnięty skalpel przebija ucho i dociera do mózgu Janka. Jego półnagie ciało w drgawkach spada z blatu stołu i wali o podłogę.

– Bożejedynebożejedynebożeje... – zawodzi monotonnym głosem Dorcia.

Ile widziała? Nie wiem. Nie zwracałam na nią uwagi. Nie wiem, czy weszła za mną do sali, czy czekała na korytarzu. Mam nadzieję, że czekała. Pochylona, wstrząsana skurczami, z ukosa patrzę na Janka. Miota się na posadzce niczym w ataku epilepsji – tłucze bosymi nogami o linoleum, uderza o nie szeroko rozpostartymi ramionami. Z jam po wylupanych oczach cieknie krew, oblepiona nią rękojeść skalpela sterczy z ucha. Janek nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, nie jęczy, nie krzyczy, i to wydaje mi się najbardziej przerażające. Ciało Sebastiana, potrącone przez spadającego mężczyznę, kołysze się i obraca powoli nad stołem, lina skrzypi...

Nie mogę złapać oddechu. Schylam się niżej, niemal dotykam nosem podłogi, oczy wychodzą mi z orbit. Coś mnie dławi, coś zatyka krtań... Przychodzi atak. Atak! To nie jest żaden atak, tak tylko było to tutaj ładnie nazywane. Moje gnijące płuco wypchnęło po prostu strzęp martwej tkanki, porcję ropy, zakażoną krew. Dostała się do krtani, muszę się jej pozbyć, nim utonę we własnych wydzielinach. Zaczynam kaszleć, prawie wypływam płuco, ale oczywiście to, czego muszę się pozbyć, nie chce się poddać. Ten martwy, zbyt ciężki szlam, który jeszcze niedawno był częścią mnie, zakleja moją tchawicę, uniemożliwia mi nabranie powietrza. Podrażnione kaszlnięciami gardło reaguje skurczem, drapanie nasila się, wywołując niekończącą się falę dalszego jałowego kasłania. Co za potworna tortura... Wreszcie skrzep odkleja się, przesuwa

i wypada na język, wypełniając mi usta. Trochę gorzki, trochę słony, ale w gruncie rzeczy neutralny. Wytrząsam go z siebie – czerwona galareta spada z mokrym plaśnięciem na podłogę. Błade światło sączące się przez niskie okna połyskuje w drobnych, żółtych okruchach. Ile zastrzyków nas ominęło? Dwa? Trzy? Najwyraźniej tyle wystarczyło, by ta drogocenna sfera, w której zamknięta została moja gruźlica, pękła i zaczęła się kruszyć. Proces wydalania wystartował. Odzłacamy się – w tym Dresler nas nie oszukał.

Siadam na podłodze, ocieram usta wierzchem dłoni. Janek wciąż podryguje na podłodze jak podłączony do prądu. Wystawiony język migocze w otwartych ustach, miota się niczym rybka wyrzucona z akwarium – w lewo, w prawo, w lewo... Nagle ciało napina się, wygina w łuk, mięśnie tężeją, a szczęki zaciskają w gwałtownym skurczu i (*chrup*) odgryziona końcówka języka spływa po porośniętym rudą szczecinią policzku niczym czerwony ślimaczek, a potem (*pac*) upada na linoleum.

– Bożejedynebożejedynebożejedyne... – monotonnym głosem lamentuje Dorcia.

– Musimy iść – mówię do niej i podnoszę się z podłogi.

Nie reaguje, wlepiając oczy w nieruchome, okaleczone ciało Janka. Podchodzę więc, chwytam ją za ramiona i potrząsam z całej siły.

– Dorcia, słyszysz mnie? – prawie krzyczę. – Musimy stąd iść!

Milknie i przenosi na mnie przytomniejący wzrok. Usłyszała, dobrze. Odwracam się, podchodzę do futuroskopu. Gdy się schylam, by podnieść go z podłogi, z kieszonki mojej sukienki na piersi wypada karta. Spływa na podłogę, wirując jak zeschnięty liść. Już mam po nią sięgnąć, ale wstrzymuję rękę i przechylam głowę. Pierwsze litery wierszy! Odpowiedź napisana jest w pionie, a nie w poziomie, jak mogłam tego nie dostrzec? Informacja jest jasna i wyraźna! Choć czy na pewno? W pierwszej godzinie czego nie? Prawdopodobnie w pierwszej godzinie dnia lub w pierwszej godzinie po wysunięciu się karty, a to właściwie jedno i to samo. Tak czy inaczej, popełniłyśmy błąd. Podnoszę kartę, przyglądam się jej z namysłem. Czy gdybyśmy zostały w pokoju jeszcze przez jakiś czas, Dreslerowi nie udało się sforsować szyby? Pewnie nie. Sanato przysłało go do nas nie po to, aby nas skrzywdził, ale przeraził. W nadziei, że skulimy się w dwa drżące ze strachu embriony, zaciśniemy powieki i zasłonimy dłońmi uszy. Dresler rozbił okno dopiero wtedy, gdy byliśmy na korytarzu. To był akt dziecinnej wściekłości, a nie atak.

Z równania możemy już wyrzucić czwórkę. Zostało więc pięć numerów, w tym zero. Muszę się dowiedzieć, co oznaczają słowa określone jako czynnik zmienny. Emersja ejektu. Utkeje ajstre? Brzmi jak coś po szwedzku, turecku, to z pewnością nie jest właściwa droga. Sy-laby... Sjamere tujekte? To samo. Potrzebny mi słownik albo podręcznik medyczny, skoro Dorcia twierdzi, że ejekt jest określeniem, które kojarzy jej się z medycyną. Musimy zatem dostać się na parter. Albo do gabinetu Klitowicza, albo do dyżurki pielęgniarek. Stała u nich biblioteczka.

Chowam kartę do kieszeni, biorę futuroskop i ruszam do drzwi.

– Idziemy na dół – mówię. – Weź się w garść.

– Dlaczego on to zrobił? – pyta.

– Przecież sama mówiłaś o czymś podobnym – stwierdzam. – Powinnaś rozumieć lepiej ode mnie.

– Tak. Ale żaden normalny człowiek nie zdobyłby się na coś podobnego!

– Dla Janka nauka była religią i całym światem. A ponieważ nie potrafił naukowo wyjaśnić wydarzeń, które mają miejsce w Sanato, postanowił je wyeliminować. Gdyby przyjął je do wiadomości i jego świat rozpadłby się w proch. Nie mógł usunąć anomalii z otoczenia, postanowił więc stworzyć sytuację, w której nie byłby ich świadomy. W jakiś pokrętny sposób ma to sens. Choć bardziej logiczny wniosek jest taki, że po prostu postradał zmysły – stwierdzam su-

chym głosem.

– Słyszałaś coś?

– Nie – kręci głową Dorcia.

Przystajemy przy żeliwnej balustradzie spiralnych schodów. Wychylam się i spoglądam w dół. Cykl najwyraźniej ustał, w Sanato zapanował przejściowy spokój. Ostrożnie schodzę w dół, wypróbowaną metodą stawiając czubki bucików jak najbliżej osi. Dorcia przygląda mi się przez kilka sekund, a potem idzie w moje ślady. Po chwili jesteśmy na korytarzu pierwszego piętra. Staję w wahadłowych drzwiach, wpatruję się w mroczny korytarz.

– Nie ma ich – szepczę i daję jej znak, by szła za mną.

Trochę kręci mi się w głowie. Gardło mam zdarte, piasek w oczach. Myślę, że gdybym znalazła jakieś spokojne miejsce, łóżko, poduszkę – mogłabym zasnąć. Ta myśl przynosi ulgę.

Docieramy do zakrętu, za którym są schody prowadzące na parter. Dalej jest mój pokój. Adam może w nim być. Może leżeć na balkonie pod pledem podbitym króliczym futrem, z kapeluszem nasuniętym na nos. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wydaje mi się to prawdopodobne. Dlaczego właściwie nie miałybyśmy sprawdzić? To niedaleko.

Skręcamy, zbliżamy się do schodów. Gdy jesteśmy tuż przy wysokim, ozdobnym słupku kończącym poręcz, czuję, że futuroskop rozgrzewa się nagle pod moim ramieniem. Zatrzymuję się natychmiast jak wmurowana w podłogę. Aparat wibruje krótko, a potem z jego szczeliny wysuwa się nowa karta i miękkim lotem spływa na dywan. Skóra mi cierpnie. Dorcia przystaje przy mnie i wbija wzrok w leżącą u naszych stóp fiszkę.

– No, podnieś – mówi cicho po długiej chwili.

Schylam się więc i sięgam po jasny kartonik.

Najbliższy czas niesie obietnicę drobnych przeszkód i kłopotów spowodowanych własnym zbyt pospiesznym i impulsywnym zachowaniem się.

Nie jest to odpowiednia pora do prowadzenia dyskusji i sporów, które mogą przybrać zbyt ostrość i zaciętość, a nie nadaje się również do ekspansji uczuć, gdyż niesie skłonność do krańcowości i ekscesów.

Warto wycofać sięęęęę pokój 22 pokój 22 pokój 22 pokój 22 pokój 22 pokój 22 pokój 22 pokój 22
TERAZ

Gdy dobiegam wzrokiem do ostatniej linijki i czytam słowo „TERAZ”, rozpoczyna się kolejna, zapewne ostateczna odsłona cyklu. Lampy pod sufitem korytarza rozjaśniają się jedna po drugiej. Fala złocistego blasku sunie w naszym kierunku, a ściany rozbrzmiewają szumem chóralnych, bolesnych westchnień.

Pokój 22.

W panice spoglądam na tabliczkę z numerem umieszczoną na najbliższych drzwiach. Niepotrzebnie, bo przecież wiem, że to właśnie te...

Drzwi otwierają się na oścież, a na progu staje Ira.

– Biegiem! – krzyczy Dorcia i szarpie mnie za rękaw.

Ira jest zupełnie naga. Jasne rozpuszczone włosy unoszą się wokół jej głowy niczym aureola falujących złotych wodorostów poruszana leniwym ruchem oceanu. Przygląda mi się bez mrugnięcia, uśmiecha lekko. Na podłodze w głębi widzę rękę jakiejś martwej kobiety. Ktoś tam jest jeszcze...

– Biegnij! – powtarza Dorcia.

Zza ramienia Iry wygląda blada twarz Stana. Ma niewidzące, obłąkane spojrzenie. Ira wyciąga powoli rękę, coś połyskuje w jej palcach. Dobrze mi znajomy przedmiot. Dorcia odbiega, zawraca i znowu szarpie mnie za ramię. Dopiero wtedy udaje mi się otrząsnąć i rzucam się do ucieczki.

*

Kolejny korytarz. Brak mi tchu. Duszę się.

– Duszę się! – chrypię półgłosem.

Mój głos brzmi jak skrzek. Biegnę mimo wszystko, utykam. W tym skrzydle nie byłam nigdy, nigdy go nie widziałam. Tego skrzydła nie było (*Już? Jeszcze?*) w moim Sanato. W oddali (*zbyt blisko*) za moimi plecami słyszę miarowy odgłos lekkich kroków Iry i cięższy, posuwisty, z jakim stawia stopy reszta numerów. Raptem dwa, tylko tyle nas zostało. Dwa na dwa. Plus zero. Razy zero. Oni idą, my biegniemy. Jak to możliwe, że są coraz bliżej? Korytarz się zwęża, kule szklanych lamp zwieszają się coraz niżej. Rozbłyskują chorobliwie pełgającym, mdłym światłem w kolorze uryny. Czubkiem głowy dotykam już pierwszej z nich. Schylam się i biegnę, kulejąc, jedno płuco nie radzi sobie z gęstym, zatęchłym powietrzem.

– Nusi... – Ira woła za mną śpiewnie.

Jej głos rozlega się tuż za moim uchem, gwałtownie oglądam się przez ramię, zachłystuję z przerażenia, ale jednocześnie – to reakcja histeryczna, wiem – chce mi się śmiać. Wręcz nie mogę powstrzymać chichotu, który odbiera mi resztki powietrza. Jasna, połyskliwa postać Iry majaczy w głębi korytarza za nami. Gdzie jest reszta? Chodnik pokrywający podłogi w tym obcym, nieznanym mi skrzydle budynku staje się coraz bardziej mięsisty, grzęzną w nim moje obcasy. Nagle potykam się i upadam na kolana. Moje dłonie zagłębiają się w dywanie, który ugina się i rozstępuje pod palcami z obrzydliwym, mokrym cmoknięciem. Jest zimny i wilgotny, bije od niego fetor zgniłych grzybów. Przeszywa mnie dreszcz wstrętu, chcę krzyknąć i oczywiście zanoszę się kaszlem. Próbuje złapać oddech. Łapanie oddechu to moja specjalność. Poprawka – nasza specjalność.

– Wstawaj! Wstawaj! – histerycznym piskiem ponagła mnie Dorcia.

Dopada do mnie, chwyta moją sukienkę na karku i ciągnie w górę. Jak to możliwe, że ta chudзина ma tyle siły? Sukienka wpija mi się pod pachami, nagle szew pęka z suchym trzaskiem, guziki odpadają, strzelają aż do ściany. Moje ubranie staje się luźniejsze – chwilowa ulga, choć szkoda. Adam sprawił mi tę sukienkę w Krakowie.

– Wstawaj! Kurwać! Wstawaj! – drze się Dorcia.

Umieram ze strachu, lecz nie mogę zapanować nad śmiechem, a to straszne, wulgarne słowo, które pada z jej ust, jeszcze go potęguje. Kto by pomyślał. Skąd też ta mała Dorcia może je znać?

– Nusi...

Wrywam ręce z oślizgłego dywanu – puszcza je niechętnie. Podnoszę dłonie do oczu, przekonana, że będą uwalane tym brązowym, błotnistym szlamem, w jaki zmienił się chodnik wyściełający podłogę korytarza. Ale nie są. Moje ręce są idealnie czyste, różowe. Wpatruję się w nie zdumionym wzrokiem. W zagłębieniach linii przecinających wnętrza dłoni lśnią drobniutkie kropelki potu. Są złote. Mówił, że to wydalimy, ale nie sądziłam, że przez skórę. Pocę się złotem. Przychodzi mi do głowy, że gdyby mnie wydestylować, starczyłoby może na kolczyk. Albo na koronkę. Jestem nieznacznie cenna.

– Na rany Boga jedyne, wstawaj! – Dorcia szarpie mnie za włosy.

Znienacka to ona zanoszą mokrym kaszlem, który brzmi tak, jakby ktoś potrząsał termoforem pełnym kisielu. Wreszcie udaje się jej odkrztusić śluz. Odpluwa pacynę krwi na podłogę tuż obok mojego kolana.

– Nusi...

Głos Iry rozlega się tuż za nami. Pieką mnie policzki, podłoga się kołysze, ściany trzeszczą, tynk pęka pod poźółkłymi tapetami, które wyraźnie się wybrzuszą. Zrywam się na

równe nogi, Dorcia kaszle znowu, pochylona, opierając dłonie na udach. Chcę biec dalej, ale korytarz przede mną jest już tak wąski, że nie zmieściłabym się w nim nawet bokiem. Przed chwilą jeszcze był szerszy, jak to możliwe? Wszystko tutaj i teraz jest możliwe. Cykl rozpoczął się na dobre. Wynaturzenie wypiera normę. Na zawsze. Zgodnie z tym, co mówiła Dorcia, moje zmysły okazują się moim największym wrogiem.

– Nusiu...

Dorcja wciąż kaszle, obracam się na pięcie. Dogonili nas – choć oni szli, a my bieglyśmy. Ira stoi tuż za moją towarzyszką, jest naprawdę naga, golusienka. Złoto sączy się z porów jej skóry, spływa kroplami po odsłoniętych piersiach, okala zaskakująco blade, małe, naprężone sutki, sunie w dół po brzuchu, zbiera się w zagłębieniu pępka. Jest cała złota, niczym starannie wyczyszczona z patyny statuetka z brązu. A może to tylko pot, który w żółtawym, niewyraźnym świetle przybrał kolor kruszcu? Nie, przecież widzę wyraźnie. Za Irą stoją Stan i Miet. Oddychają z trudem, gapią się na mnie pustym wzrokiem. Obaj także są prawie nadszy. Ira leniwym gestem odgarnia włosy z czoła i uśmiecha się łagodnie – niemal tkliwie. Z ust wyrывa mi się skrzek przerażenia.

Dorcja jeszcze jej nie widzi. Wciąż zanosi się tym znajomym mokrym kaszlem, krew płynie jej po brodzie. Długie warkocze skaczą na boki – ma bardzo piękne włosy, choć sama nie jest ładna. Skończyła dopiero czternaście lat, mogłaby jeszcze kiedyś wyładnieć, szkoda, że nie zdąży. Lecz być może nie zdążyłaby tak czy siak, bez względu na to, jak postąpi za chwilę nasza kochana złota Ira. Kuracja Dreslera nie miała nas przecież wyleczyć. Jesteśmy tylko królikami doświadczalnymi, po wszystkim na pewno nie wypuściłby nas wolno do lasu. Zrobiłby sekcję.

Cofam się bezwiednie o krok, tu chodnik jest bardziej grząski. Mój prawy bucik zapada się w nim aż po kostkę.

I wtedy Ira nagłym ruchem chwyta Dorcię za włosy (*piękne*). Widzę rozszerzone przerażeniem oczy dziewczyny, blade tęczęwki w szarym, nijakim kolorze. Jej usta układają się w zaskoczony „o”. Okrągłe placki rumieńców na policzkach, okrągłe oczy, okrągłe usta. Wygląda komicznie, niczym postać z *cartoon story* w dodatku kinowym wyświetlanym przed właściwym seansem filmowym.

– Nusia – rozbawionym, choć nieco karcącym tonem mówi do mnie Ira. – Nieładnie. Naprawdę.

Jej dłoń nagle się unosi, mdławne światło lamp odbija się w wąskim, łukowatym ostrzu, które trzyma w złotych palcach. Wzdycham głośno, oczywiście, znam ten przedmiot. Brzytwa Adama błyskawicznie zagłębia się w gardle Dorci i przenika je z lepkiem świstem, jakby cięła masło, a nie ludzką tkankę. Niezwykle ostra brzytwa, Adam o nią dbał. Nienawidzę tego przedmiotu, choć sam w sobie jest wcale ładny, kosztowny, ma rękojeść wykładaną kością z kła morsa. Na dodatek sama go wybrałam i kupiłam, choć za pieniądze Adama. To była nasza pierwsza rocznica, ponieważ zorientowałam się, że taki rodzaj prezentu był złowróżbny i nie na miejscu, ale nikt mnie nie uprzedził. Zresztą wtedy jeszcze i tak nie wierzyłam w przesady, nie posłuchałabym. Nigdy nikogo nie słuchałam.

Cięcie jest doskonale równe, wygląda jak cieniutka czerwona nitka opleciona wokół wątej szyi. Niedroga ozdoba. Ira puszcza dziewczynę, odsuwa się od niej miękkim ruchem. Wtedy Dorcia odrzuca głowę w tył i szczelina się rozszerza, otwiera niczym groteskowy żabi pysk. Pod niski sufit korytarza tryska malownicza fontanna jasnej krwi – robi to wrażenie taniej sztuczki. Dorcia bulgocze, jakby ktoś wlewał do słoja gotujący się krochmal. Ten odgłos nie wydobywa się jednak z jej ust, ale prosto z rozplątanej szyi.

– No! – mówi Ira, przysuwa się znowu i wbija brzytwę w krtań dziewczyny.

Sanato kurczy się i rozszerza w nagłym spazmie. Kołysze się nad nami, pod nami, wokół

nas. Trzeszczy, skrzypi, dudni, huczy. Nowe, zatęchłe korytarze otwierają się tam, gdzie przed chwilą widać było tylko solidne ściany; zdeptane stopnie schodów prowadzących na nieistniejące wcześniej piętra budynku wylaniają się na naszych oczach prosto z podłogi, okna zarastają tynkiem, boazerie pękają, a aorty rur kanalizacyjnych przenikają sufity.

Wytrzeszczam oczy, moje lewe, czynne płuco usiłuje odfiltrować porcję tlenu z oleistego, zgniłego powietrza. Cofam się znowu o krok, bagnisty chodnik puszcza mój bucik z niechętnym, pełnym dezaprobaty mlaśnięciem. Dorcia traci równowagę. Jej głowa, niemal oddzielona od korpusu, odchyła się groteskowo na plecy i odsłania otwarty, tryskający krwią przetyk. Jakież to myśli przebiegają teraz przez jej pozbawiony podparcia mózg? Czy wzniosłe, uduchowione i istotne? Wątpię. Prawdopodobnie poprzestaje na kontemplowaniu niecodziennej sensacji, której właśnie doświadcza. Gdy człowiek umiera, tylko ten fakt właśnie zaprzęta jego umysł. Ekspresowy fotoplastikon życiowych wspomnień to mit.

Dziewczynka stoi jeszcze przez kilka chwil, przechyla się na bok, prostuje, przechyla w drugą stronę i nagle spada na podłogę jak worek wypełniony zgniłą, rozmiękłą cebulą. Rozlega się ciche, nieprzyzwoite beknięcie, gdy pod wpływem upadku z jej płuc uchodzi zbędne już powietrze. Ira, naga i pozłocona, z zainteresowaniem przygląda się zakrwawionemu ostrzu trzymanej w dłoni brzytwy. Udaje mi się wreszcie zaczerpnąć tchu, napełniam płuco do dna, wstrzymuję oddech na moment i wrzeszczę z całej siły, rzucając się w tył i unosząc przed sobą w obronnym geście futuroskop.

Ściana, która znajdowała się za moimi plecami jeszcze przed chwilą, znikła. Spadam do tyłu, wytrzeszczając idiotycznie oczy. Ira przygląda mi się z góry obojętnym wzrokiem. Upadam na miękkie, wilgotny dywan, futuroskop boleśnie uderza mnie w podbródek. I wtedy, z cichym pyknięciem, okrągły, biały klawisz wysuwa się z obudowy. Ira przechyla głowę, dwoma palcami zgarnia krew Dorci z ostrza brzytwy, a potem strzepuje ją na podłogę. Teraz moja kolej. Siadam i z całej siły wciskam wypukły krążek dokładnie w chwili, gdy Ira wyciąga dłoń, w której ściska rękojeść brzytwy. Podłoga rozstępuje się pode mną, futuroskop wymyka się z moich rąk. Spadam w ciemność, wrzeszcząc, młóćąc ramionami i wierzgając nogami na wszystkie strony. W moim ogarniętym paniką mózgu pojawia się absurdalna myśl, że mimo wszystko powinnam umieć lepiej trzymać fason. Nawet w takiej sytuacji.

*

Posadzka jest zimna – chłód przenika mój policzek, czuję go nawet na zębach. Podnoszę powieki i mrugam kilkakrotnie, próbując wyostrzyć wzrok. Przede mną widzę wygiętą nogę stołu. Odwracam się na plecy, jestem tak obolała, że nie mam siły się podnieść. Oddycham ciężko i przyglądam się spodniej stronie mebla – drewniany blat pocięty jest głębokimi, chaotycznymi rysami. Coś szura za moimi plecami, wyraźnie słyszę szelest. Ira! Przymyślnie w mgnieniu oka i natychmiast udaje mi się pokonać ból mięśni. Szybko przewracam się na brzuch, podnoszę i przyklękam, odruchowo zasłaniając ramieniem twarz w obronnym geście. Niepotrzebna akrobacja, nie ma tu nikogo poza mną. Kolejny szelest. Patrzę w dół, prosto na marszerującego wzdłuż drewnianej, długiej skrzyni szczura. Jest chudy, ma zmierzwiłone futro. Orientuje się, że mu się przyglądam. Zastyga w bezruchu i wyszczerza żółte zęby, a potem rzuca się do ucieczki. Budzi we mnie obrzydzenie, ale wolę go od Iry, więc oddycham z ulgą...

To już było. To wszystko już się wydarzyło. Jestem w kostniczce, pamiętam.

Spinam w panice mięśnie i zrywam się na równe nogi. Boleśnie uderzam w kant stołu, podbijam ramieniem nieprzykręcony do ramy blat. Płat drewna zsuwa się z niej i z hukiem uderza krawędzią o podłogę. Przez ułamek sekundy balansuje na niej, a potem przechyla się powoli i upada na kamienną posadzkę, odsłaniając spód. W powietrze wzbija się tuman kurzu. A jednak

huk jest mniejszy niż poprzednio. Tym razem nie zabrałam z blatu płóciennego worka i koszuli, którą z niego wyjęłam. Zamortyzowały upadek.

Szybkim ruchem odgarniam włosy z czoła. Zgubiłam spinkę. Tu jest naprawdę zimno – pod palcami czuję kryształki lodu, które już zdążyły się uformować na moich zlepionych potem kosmykach. Ale przecież miałam tu ze sobą futro...

I mam. Leży tam, gdzie powinno. Na blacie sąsiedniego stołu. Sięgam po nie, otrzepuję i zakładam. Pod wpływem dotyku lodowatej jedwabnej podszewki robi mi się jeszcze zimniej, ale po chwili przykre wrażenie mija.

Jest tak, jak było. Długie koryto wypełnione workami z ubraniami należącymi do tych, którzy już ich nie potrzebują. Rząd stołów między filarami podtrzymującymi łukowate sklepienie. Błat stołu. Sa tano. Nigdzie nie widzę mojego futuroskopu. Czy został na górze, na korytarzu? Czy przepadł?

Czy jestem tu wtedy? Czy teraz?

Może wtedy. A jeśli tak, to jeszcze nic się nie stało. Jeszcze się nie zaczęło. Ira nie przybyła, Dresler nie rozpoczął swojego eksperymentu. Nawet Klituś nie założył mi jeszcze odmy. Jeśli to naprawdę tamten dzień.

Spoglądam w stronę drzwi zbitych z solidnych desek, które przepasano stalowymi obręczami. Mogłabym wyjść nimi, wspiąć się po kamiennych schodkach w górę, między tawuły, a potem uciec. Zatelefonowałabym ze stacji, poprosiłabym, żeby pielęgniarka sprowadziła do aparatu Adama. Czy posłuchałby mnie? Wątpię, ale jest cień szansy, że tak. Za dwie, trzy godziny mógłby do mnie dołączyć i oboje moglibyśmy stąd uciec. Gdyby to działo się teraz.

Za moimi plecami rozlega się szczeł naciskanej klamki. Instynkt działa prędzej niż rozum – odskakuję w cień filara i ukrywam się za nim, wstrzymując oddech. Drzwi prowadzące do schodów, którymi wtedy dotarłam na parter Sanato, uchylają się. Słyszę ciężkie kroki na kamiennej posadzce, ceglane ściany odbijają je i zwielokrotniają. Przywieram do cegieł i wyglądam ostrożnie zza filara. Porcelanowy Chińczyk przystaje obok koryta i jeden po drugim układa w nim płócienne worki, które przyniósł ze sobą do piwnicy. Jest odwrócony do mnie plecami, mogłabym zająć go od tyłu i ogłuszyć. Ale czym? Nie mam broni.

Chłopak stoi dalej przy korycie, pochyla głowę, a potem zaczyna się kołysać w przód i w tył. Mamrocze coś monotonicznie pod nosem. Nasłuchuję w skupieniu, próbując zrozumieć ciche słowa, i po chwili ze zdumieniem orientuję się, że to dobrze mi znana dziecięca modlitwa, którą i ja zmaślałam kiedyś każdego wieczora. Lecz chłopak kucharki poprzekręcał słowa, a monotonicznie zawodzący ton, z jakim je szepce, wywołuje na moich plecach ciarki.

– ...asteszu boszy strószu mój ty zawsze przy nich stój gdy ranek bładny gdy ciemność nocy ty zawsze bądź im do po...

– Kazałam ci zaraz wracać – cicho odzywa się kucharka, która pojawia się nieoczekiwanie w drzwiach.

Nie słyszałam jej kroków, muszę być bardziej uważna. Przywieram mocniej do słupa, a potem rzucam okiem na blat leżący blisko mnie na posadzce. Jeśli go zauważą, jeśli kucharka poleci chłopakowi podnieść go i umieścić na skrzyni stołu, odkryją mnie.

– Czego się mażesz znowu? – pyta kobieta, ale choć słowa są szorstkie, brzmią łagodnie.

Chłopak milknie. Stoi bez ruchu, schylony nad korytem, z rękami zwieszonymi prawie do kolan. Kucharka wzdycha, podchodzi do niego i kładzie mu rękę na plecach. Spracowana dłoń wydaje się krucha i maleńka na tych rozłożystych barach. Czuję, że drętwieje mi noga, ale boję się poruszyć.

– No, już... – odzywa się kucharka. – Przecież ci mówiłam, że ich już nie ma. To było dziesięć lat temu, synu, czemu ty ich nie zostawisz w spokoju?

Chłopak potakuje, ale jego ramiona ciągle drżą. Kucharka przysuwa się bliżej, ale nagle tężeje i prostuje się jak struna. Jej dłoń leżąca na plecach chłopca zwija się w pięść. Kobieta cofa rękę.

– Chodziłeś tam? Mówiłam ci przecież, żebyś tam nie chodził!

– Kiedy kazali...

– A ja ci zakazałam! I ty mi przysiągłeś, że więcej nie będziesz łaził na górę!

– Kiedy one chcą się bawić...

Kucharka nie zwraca uwagi na jego słowa.

– Tobie trzeba przestać o nich pamiętać, to odejdą tam, gdzie ich miejsce. Te dzieciaki pomarły lata temu, a ty im przez to twoje myślenie o nich spokoju nie dajesz. Chcesz, żeby tu znowu była jaka tragedia?

Porcelanowy Chińczyk kuli ramiona, smarcze głośno.

– A to one mie tedy straszno kare dadzo. Tak mówio... A one tylko chco sobie troche pozbytkować. Z paniami i panami.

– Ja ciebie karę dam! Synu, chodź. Są ciastka świeże do kawiarni, weźniesz se ze dwa, podjesz, to się z miejsca rozweselisz. No!

Kucharka odwraca się i już ma wyjść, kiedy jej wzrok pada na pozbawiony blatu stół. Robi mi się gorąco, chociaż to przecież absurdalne. A jeśli nawet mnie odkryją, to co? Co mi zrobią? Nic.

– A cóż ty tu narobił? – pyta kucharka. – Uprzątnij to raz-raz!

Cofam głowę, w moją zdrętwiałą nogę wbija się milion szpilek. Może gdybym przesunęła się na drugą stronę... Ale wtedy ona mnie zobaczy. Po prostu wyjdę jakby nigdy nic.

Chłopak podchodzi do blatu, widzę jego płaski profil. Kuca i wtedy mnie zauważa. Odwraca nieco głowę w moją stronę i patrzy na mnie nieruchomym wzrokiem z ukosa.

– No, pospiesz się – ponagla go kucharka.

Stoję jak skamieniała, patrzę na chłopaka, a on na mnie. Ma jasne oczy, są zielonkawe, wcześniej tego nie zauważyłam. Powinnam coś zrobić. Roześmiać się beztrudnie, powiedzieć: „zabłądziłam”, albo: „o, jak dobrze, że was spotykam!”. Albo od razu wyskoczyć z awanturą, to zawsze działa na takich jak oni. Milczę jednak. Chłopak odwraca głowę, unosi blat i umieszcza go na nogach stołu. Potem się schyla, zabiera worek i szarą koszulę. Kucharka jest już na schodach. Wychylam się zza filaru, widzę, jak chłopak starannie składa koszulę, wpycha ją do worka i ściąga bawełniane tasiemki. Ostrożnie umieszcza pakunek na stercie szmat, a potem podchodzi do drzwi. Zamyka je za sobą, zawiasy skrzypią cicho.

– Światło żeś zagasił? – słyszę stłumiony głos kucharki. – Dobrze.

Zostaję sama. Powinnam uciekać. Wolnym krokiem podchodzę jednak do koryta pod ścianą. Worki, które przyniósł chłopak kucharki, leżą na samym wierzchu. Wyciągam odrętwiałą dłoń i sięgam do tasiemki jednego z nich. Czerwoną farbą wypisano na niej numer 37. Jaga mieszkała w pokoju 37. Kolejny worek oznaczono numerem 8. To pokój Sebastiana. 32 – Amelia. Ręce drżą mi mocniej, przerzucam worki, rozprostowuję końcówki taśm. Albina. Judesa. 16 – pokój Dorci. Robi mi się chłodniej. Jeśli znajdę 27, znowu zemdleję. Jeśli Adam... A jednak worka z numerem naszego pokoju nie ma – przynajmniej nie wśród tych, które przyniósł porcelanowy Chińczyk, a łatwo je odróżnić od innych, bo są mniej zakurzone. Ostatni jest lekki, wydaje mi się pusty. Pokój numer 48, drugie piętro. Pamiętam widok z okna – wychodziło na gościniec. Piękny widok – na drogę i na leżące w oddali (*choć bliżej, niż mogłoby się wydawać*) Zakopane. W tym pokoju pachniało fajkowym tytoniem, ten zapach od tamtej pory kojarzy mi się z grzechem. Popełniłam błąd, ale nikt się nie dowiedział, a ja poniosłam karę jeszcze tego samego popołudnia. Więc nic się nie stało. Wystarczyło zapomnieć, zrobiłam to więc bardzo starannie,

mam sporą wprawę. A on okazał się taki taktowny... Rozwiązuję taśmę, chwytam worek za dolną część i odwracam. Na stertę szmat wypadają chłopięce kalesony. Są brudne, pokryte żółtymi plamami moczu, kałem i zaschniętą krwią. Łzy napływają mi do oczu, smród, jaki od nich bije, jest nieznośny. Owijam się szczelniej futrem, zakrywam usta kołnierzem, a potem się odwracam i wolnym krokiem ruszam w stronę masywnych, szerokich drzwi prowadzących do ogrodu. Popycham ciężki, kuty uchwyt – uchylają się bezszelestnie. Za nimi jednak nie ma kamiennych schodów ani kołyszących się nad nimi tawuł. Nabieram głęboko tchu i wchodzę w szarą, skłębioną mgłę.

*

Zatrzymuję się tuż za progiem. Śnieg przestał padać, za oknami jadalni widać jego oślepiającą biel. Wypogodziło się nieco, choć niebo szczelnie przesłonięte jest chmurami. Białe niebo, biały krajobraz. Szczególny zimowy dzień, jeden z tych, gdy światło – zdawać by się mogło – napływa zewsząd, a cienie nie istnieją.

Ira stoi przy naszym dawnym stoliku, na tle okna. Nie widzę jej twarzy, lecz jedynie zarys sylwetki. Wciąż jest naga. Przyglądam się jej, gdy wolnym, kocim ruchem idzie w prawo z zamiarem odcięcia mi drogi ucieczki. W jadalni panuje straszliwy bałagan. Krzesła są poprzewracane, kilka stołów rozbitych. Na posadzce widzę parę krwawych plam.

– Spodobało ci się? – pyta Ira.

W dłoni prawej ręki wciąż ściska rękojeść brzytwy. Ostrze jest nadłamane, ale wciąż na tyle długie, aby zadać śmierć. Stoję bez ruchu, jestem taka zmęczona. Futuroskop albo został na górze, albo pochłonęło go Sanato. A może nigdy nie istniał? I tak nie przydałby mi się teraz na nic, na co miałabym liczyć? Najwyżej na coś w rodzaju: *najbliższa godzina nie zapowiada się zbyt pomyślnie. Dostarczy ci niecodziennych stanów psychicznych oraz silnych doznań i narazi cię na zetknięcie się z ludźmi podstępными i niezaskładającymi na zaufanie. Następnie umrzesz.* Wiem, co się wydarzy. A sam futuroskop nie jest ciężki, wątpię, by udało mi się ogłuszyć nim Irę.

Zbliża się do mnie wolno. Podkrada – to bardziej adekwatne słowo. Ten ruch równie dobrze można by uznać za groźny, jak i za bojaźliwy. Wszystko mi jedno, niech już skończy. Rozumiem Jagę, rozumiem też Amelię, które tak niedawno, a zarazem całe wieki temu przekroczyły ten sam próg co ja przed chwilą. Nie wygram z nią nigdy, była najsilniejsza z nas, więc taka pozostała. Na zawsze.

Irę dzieli już ode mnie nie więcej niż metr. Przygląda mi się podejrzliwie, a jednocześnie triumfalnie. Moja noga nadal jest trochę zdrętwiała, przenoszę ciężar ciała na drugą – cofa się szybko o krok. Mogłabym zabawić się trochę, krzyknąć: „łu!”, i udać, że się na nią rzucam. Ale Ira nie boi się mnie, bawi się tylko. Czy to będzie bolało? Zapewne tak.

Nie mogę oderwać od niej wzroku. Kątem oka dostrzegam jakiś ruch za załomem ściany, przy kredensie, ale nie starcza mi siły, aby odwrócić oczy i spojrzeć w tamtą stronę.

– Jesteś prawie ostatnia – mówi Ira. – Kto by pomyślał, że właśnie ty okazesz się najsilniejsza i przetrwasz tak długo?

Na pewno nie ja, myślę, lecz milczę. Ira wyciąga rękę w górę, jej prawa pierś unosi się wyżej od lewej. Dlaczego właściwie wydawało mi się, że jestem od niej gorsza? Figury mamy identyczne, teraz mogę to w pełni ocenić. Ktoś, kto stał przyczajony za rogiem, wyłania się bezszelestnie. Prawdopodobnie to któryś z martwych. Skupiam wzrok na rze, tamten jest tylko rozmazaną plamą w tle, a jednak gdy się zbliża, rozpoznaję go i serce na chwilę zatrzymuje mi się w piersi. Muszę milczeć, na mojej twarzy nie może drgnąć choćby mięsień...

– Adam – mówię.

– Adam? – prychna Ira i śmieje się krótko. – Wcale nie jesteś silna. Miałaś odrobinę szczęścia, to wszystko. Może dlatego, że jesteś ślepa i głucha, bo musisz taka być, skoro nie potrafisz zrozumieć, że on już od dawna jest martwy! Jest tylko jednym z...

Adam stoi tuż za nią. Musiał zzuć trzewiki, jego kroki były bezszelestne. Szybkim ruchem wyrzuca ręce w górę; skórzany pas – ten do ostrzenia brzytwy – równym łukiem niczym skakanka przelatuje nad burzą złocistych fal, spada i zaciska się na szyi Iry. Przez krótką chwilę jej twarz wykrzywia się w wyrazie zgrozy. Złękła się. Splatam ręce na piersi, zaciskam palce na łokciach. Jej twarz czerwienieje, czoło nabrzmiewa żyłami, oczy wychodzą z orbit. Przerazająco znajomy widok. Zachłystuję się i przyciskam dłoń do ust.

*

Biegniemy, palmy kołyszą się wysoko pod sufitem palarni, czuję się niemal nieważka.

– Dawno już się nie bawiliśmy – mówi półgłosem Janek, a ja w pierwszej chwili uśmiecham się do niego, lecz szybko orientuję się, co ma na myśli, i mój dobry nastrój pryska.

Puszczam jego rękę i przystaję. Spogląda zdziwiony.

– To się już nigdy nie powtórzy – mówię. – Nigdy!

Odwracam się i idę z powrotem do kawiarni. Może zastanę tu jeszcze Irę? Sala jest pusta, od szeroko otwartych drzwi prowadzących na werandę ciągnie chłodny powiew. Wyszła? Po co?

Przechodzę przez kawiarnię i wyglądam na zewnątrz. Iry nigdzie nie widać, choć... Mam wrażenie, że coś poruszyło się w mroku. Tak, wyraźnie słyszę szelest.

– Ira? To ty? – pytam półgłosem.

Szszszszszu. Chwila przerwy i znowu. Szszszszszu. To ktoś na molo. Robi mi się chłodno, ale podchodzę do wejścia.

– Ira?

Ktoś klęczy. W połowie pomostu. Widzę skuloną postać na tle bladej poświaty rzucanej przez lampę zamontowaną pod dachem rotundy. To może być Ira. Może coś jej się stało?

Wchodzę na deski i podchodzę bliżej.

Szszszszszu. Szszszszszu. Dźwięk wydaje się znajomy. Nie, to z pewnością nie jest Ira. Postać jest krępa, przysadzista...

Och, oczywiście. Jak mogłam być tak głupia? Zatrzymuję się, a serce podjeżdża mi do gardła. Porcelanowy Chińczyk wstaje i odwraca się do mnie, ściskając w dłoniach szmatę. Ira zabronila mu się pokazywać za dnia na molo, swoją pracę wykonuje więc w nocy. Jak mogłam się nie domyślić? Ale jeśli krzyknę, wszyscy mnie usłyszą. Cofam się o krok, nie spuszczaając go z oczu.

– Pani... – mówi smutnym głosem chłopak kucharki. – Żle, że ci wygadałem. Bo ty mnie nie posłuchałaś, nie uciekłaś precz, a one są teraz złe na mnie. Bardzo złe.

Cofam się o kolejny krok. To śmieszne, jestem przecież szybsza od niego. Powinnam zawrócić i pobiec. Nie dogoniłby mnie nigdy. Za moimi plecami nagle rozlegają się przyciszone śmiechy. Słabnę w nagłym odczuciu ulgi. To Jaga, Amelia i reszta. Najwyraźniej znudziło im się bieganie po budynku i postanowili wyjść na zewnątrz. Dzięki Bogu. Już mam odwrócić się do nich, gdy widzę, że chłopak kucharki prostuje się jak struna. Ciska szmatę na deski pomostu i rusza do ucieczki. Biegnie do rotundy. Naprawdę jest szalony.

– Widzieliście... – zaczynam, spoglądając za siebie, ale słowa zamierają mi na ustach.

Za mną, nie dalej niż o pięć kroków, stoi grupka dzieci. Ubrane są w długie, białe koszule. Pięciu chłopców i trzy dziewczynki w wieku od czterech do dziesięciu lat. Uśmiechają się i przyglądają mi się spode łba. Skąd wzięły się tu dzieci? Przecież w Sanato... Mój wzrok pada na najmłodszego chłopczyka o twarzy cherubina. Widziałam go już. Krew odpływa mi z twarzy.

Z otwartych drzwi wybiega dziewiąte dziecko – dziewczynka. Ma może dwanaście lat. Bardzo jasne, złociste włosy splecione w dwa długie warkocze skaczą na boki, gdy śmiejąc się, biegnie lekko w naszą stronę. Dzieci rozsuwają się przed nią z respektem. Zatrzymuje się tuż przede mną.

– Będziemy się teraz bawić – mówi dziewczynka lekko zdyszczonym głosem. – Masz.

Wyciąga ramię i podaje mi podłużny przedmiot. W milczeniu przyglądam mu się przerażonym wzrokiem.

– No, weź. Będzie wesoło, zobaczysz – ponagla mnie dziewczynka.

Wtedy wbrew własnej woli, jakby coś przejęło nade mną kontrolę, sięgam i odbieram przedmiot z jej dłoni. Gdy spoglądam na własną rękę, widzę, że nie należy do mnie, ale do dziecka. Patrzę w dół na długą, jasną koszulę nocną i wystające spod niej białe dziecięce stopy. Jeden z chłopców odpina od słupka na końcu bariery pas, który zimną broni pensjonariuszom dostępu do mola. Ze zdumieniem widzę, że dzieci wcale nie są już mniejsze ode mnie.

– Idziesz czy nie? – pyta jasnowłosa dziewczynka.

Jest mojego wzrostu, nasze oczy są na tym samym poziomie, nie muszę już schylać głowy, by w nie spojrzeć. Podnoszę wyżej wykładaną kłem morsa rękojeść i rozkładam brzytwę Adama. A potem uśmiecham się do niej.

Chmury rozpraszają się i nad Sanato ukazuje się wielki, okrągły księżyc. Molo zalewa srebrzysta fala blasku. Odwracam się do rotundy, ruszamy biegiem w jej stronę. Ja i jasnowłosa dziewczynka sadzimy długimi susami pierwsze, reszta dzieci jest tuż za nami. Długa koszula płącze mi się między nogami. Spoglądam w dół i próbuję pochwycić jej fałdy. Wtedy widzę, że choć jest nas dziesięcioro i biegniemy niemal ramię w ramię, na deskach pomostu podąża przed nami tylko jeden cień. Mój.

Porcelanowy Chińczyk biernie stoi pod latarnią. Być może wierzy, że w kręgu ciepłego światła nic mu nie grozi. A może po prostu czeka na nas tam, gdzie bawiliśmy się najczęściej. Gdzie w barierce ukryta jest furtka, przez którą niepostrzeżenie udawało nam się wymykać do lasu, i gdzie przez krótki czas mogliśmy być wolni, poza zasięgiem lekarza i pielęgniarek. W końcu jesteśmy jedynymi przyjaciółmi, jakich miał. A teraz już zawsze będziemy razem. Jeszcze tylko parę kroków...

*

Zaciskam na sekundę powieki i odpycham kolejną kłamliwą wizję, którą Sanato usiłuje zatruć mój umysł. Gdy unoszę powieki, widzę, że Ira próbuje dosięgnąć Adama brzytwą, macha rękami na oślep, a w pewnej chwili sama się rani – nadłamane ostrze zawadza o czoło i kreśli na nim idealne półkole nowej brwi, która nadaje jej twarzy wyraz zdziwienia. Pas skrzypi, twarz Adama widoczna nad ramieniem Iry czerwienieje z wysiłku. Wygięte usta odsłaniają zaciśnięte zęby – nieświadomie go naśladuję i sama się szczerzę, a oczy niemal wychodzą mi z orbit. Ira traci równowagę, nogi rozjeżdżają jej się na boki, zawisa na pasku. Nie sądziłam, że Adam ma jeszcze w sobie tyle krzepy. Moja nieprzyjaciółka próbuje podeprzeć się piętami, rozwiera uda i wypycha biodra do przodu, prosto na mnie. Zafascynowanym wzrokiem wpatruję się w jej rozwarłe łono, bo choć niczym nie różni się od mojego, nigdy wcześniej nie miałam okazji, by z tej perspektywy przyglądać się temu szczegółowi kobiecej anatomii. Jest mocno różowy i znacznie bardziej skomplikowany, niż sądziłam.

Żrenice Iry uciekają do tyłu, co nadaje jej oczom wyraz zbliżony do tego, jaki miała kobieta z łazienki. I jaki miał on. Z posiniałych ust wysuwa się spuchnięty język, ciało wiotczeje. Brzytwa upada na podłogę z krótkim brzęknięciem. Adam wypuszcza końce paska, głośno łapie oddech. Ma spoconą twarz. Ira leży na podłodze z szeroko rozrzuconymi nogami. Wygląda jak

popsuta lalka.

– Chciała cię zabić – mówi ochryplym głosem Adam.

– Wiem.

– Musiałem...

– Tak. Ale nie przejmuj się. Ja już i tak jej nie lubiłam.

Sanato zastyga w ciszy. Teraz żałuję, że jednak nie mam przy sobie futuroskopu. Podchodzę, dosuwam nogą jedno udo Irydo drugiego, a potem przytulam się do Adama. Drżącym ramieniem obejmuje moje plecy. Koniec? Może...

Szept napływa niepostrzeżenie, jak szum liści drzew poruszonych delikatnym powiewem wiatru w spokojne letnie południe. Wydobywa się z podłóg, ze ścian, z sufitów. To lament. Ale za chwilę zmieni się w krzyk gniewu. Umysły, które rządzą Sanato, być może pozbawione zostały swej wyzwolicielki i podstawowego narzędzia. Są jednak już na tyle silne, aby wystawić przeciw nam zastępy cieni, które w sobie uwięziły. Nieprzebrane zastępy.

– Musimy stąd uciekać – mówię szybko i wyrwam się z objęć Adama.

– Ale już nie...

– Szybko! – przerywam mu. – Musimy się wydostać z Sanato. Gdzie masz trzewiki?

Adam macha ręką w stronę przejścia do holu. Podbiegam, brązowe półbuty leżą pod ścianą. Schylam się, biorę je, a gdy podnoszę wzrok i spoglądam w świetlistą perspektywę holu, widzę, jak z pnia wyrastającego wprost z podłogi gorejącego drzewa wyłaniają się nikle jeszcze, drżące sylwetki, które jednak z każdą sekundą stawać się będą coraz bardziej materialne i niebezpieczne. Amelia, wciąż podpierająca dłonią ukręconą, bezwładnie opadającą głowę, robi niepewny krok w moim kierunku. Zza jej ramienia wychyla się Albina, cała spowita w taftowe falbany, światło połyskuje na złotym otoku kamei z Dianą...

Sanato drży w posadach, próbuje wyrwać mury ze swoich fundamentów, a fundamenty ze skały, na której zostało zbudowane. Chóralny jęk nabiera mocy, gdzieś pęka szyba, potem następna, szklane okruchy sypią się na podłogę. Skowyt przeradza się we wrzask wściekłości. Pierwsze blade ogniki przeskakują z płonących widmowych gałęzi na ściany holu, gasną szybko, lecz ich śladem ruszają następne. Lampy jedna po drugiej odrywają się od sufitów korytarzy i walą w wyłożone dywanami podłogi – brzmi to jak zbliżająca się kanonada. Nie wolno nam czekać.

Zawracam, chwytam Adama za ramię i ciągnę do sali kawiarnianej. Oni już tu są, zbliżają się krok za krokiem. Kucharka z oskarżycielsko wyciągniętymi przed siebie krwawiącymi przegubami. Kobieta w halce, pielęgniarka żywcem pożarta przez budynek, Pamela bez dłoni. Dorcia. Na widok dziewczynki ściska mi się serce, a do oczu napływają łzy. Stoi w cieniu zapomnianych palm, przyciska ręce do poderżniętego gardła. Wpatruje się we mnie niewidzącym, zrozpaczo-nym wzrokiem.

Nie zatrzymuję się jednak. Skręcam, w biegu wciskając Adamowi buty do rąk. Dopadam do drzwi prowadzących na werandę, otwieram je silnym szarpnięciem. Oszklone skrzydło uderza w ścianę, szyby pękają, na podłogę sypią się okruchy szkła.

– Nusi, zaczekaj. – Adam próbuje w biegu nałożyć buty, traci równowagę i w ostatniej chwili opiera się o stojące w pobliżu krzesło...

Muszę poczekać. Jeśli nie założy butów, porani stopy o szklane odłamki, a wtedy się nam nie uda, nie uciekniemy...

Hol stoi w płomieniach. Błękitny ogień trawi pulsujące, wykrzywające się ściany, które nie przestają wypluwać z siebie kolejny nieistnień. Chłopak, który zbijał deski, młodzianka pielęgniarka, na którą cieśla jednak nie czekał i która ukarała za to najpierw jego, a potem siebie. Przygarbiony, świecący łysiną Czernis. Klitowicz, który jest tylko stertą pełzających krwa-

wych ochłapów, bo... *Bo z nią były same kłopoty, od początku, zaszła mnie od tyłu, nie usłyszałem jej, bo przecież inaczej nie powaliłaby mnie, nie ona, z tym jednym czynnym płucem, taka drobna. Ogłuszyła mnie kałamarzem, a gdy się ocknąłem, leżałem skrępowany na stole operacyjnym, a ona stała nade mną z troakarem, z moim własnym troakarem, tym samym, którym zakładałem jej...*

– Już! – woła Adam i wybiega na werandę.

Pędzimy przez oblodzone molo, deski dudnią pod naszymi stopami. Za nami Sanato płonie zimnym, odwiecznym ogniem. Mury pękają z hukiem, szyby rozpadają się, brzęcząc, dachy zapadają – bez końca.

Rotunda jest coraz bliżej. Jeśli nam się uda...

Porcelanowy Chińczyk wychodzi mi na spotkanie. Staje pod okapem stromego dachu. Rozproszone światło odbija się od jego białej skóry, jakby blask emitowany był ze środka tej szerokiej, płaskiej twarzy – poza miejscami uwalanymi na czarno śladami sadzy. Spodnie ma podciągnięte wysoko ponad pępek, koszulę starannie upchniętą za paskiem. Zaczesane włosy, schludny wygląd. Prawie, wyjąwszy te czarne smugi. To zrozumiałe, że ich wybór padł na mnie. Miałam dość na sumieniu, by łatwo było mnie opętać – nawet dziecku. A on czekał. Jak mogłam być tak głupia i wierzyć w to, że Sanato pozwoli mi odejść? Próbuję zahamować, ale wpadam w poślizg i się przewracam. Sunę na pośladkach po oblodzonym śniegu, obracam się wokół własnej osi. Włosy stają mi dęba z przerażenia, na oślep próbuję pochwycić się czegoś, ale łapię tylko zimny śnieg.

– Nusiu! – woła Adam gdzieś daleko za mną.

Zatrzymuję się u stóp porcelanowego Chińczyka. Skłania głowę, przechyla ją lekko i patrzy na mnie z góry. Ze spokojem. Wręcz przyjaźnie.

– Jesteś cała? – Adam dobiega do rotundy i chwytą mnie za ramię.

Porcelanowy Chińczyk przekrzywia głowę w drugą stronę i patrzy na Adama. Wydaje mi się, że trwa to całe wieki. Potem wzdycha. Zwiesza ręce w nieporadnym geście. Potem robi krok do tyłu, obraca się bokiem do nas, usuwa się. To może być kolejna pułapka. Zerkam pod nogi. Na oślepiająco białym śniegu, tuż obok wgłębienia, które pozostawił jego but, czerwienią się krople krwi. Niezbyt dużo. Stoję przy Adamie, który ramieniem przyciska mnie do swojego boku. Za nami dudni już łomot dziesiątek kroków, deski molo drżą. Nie spuszczać wzroku z chłopaka kucharki (z *Ignasia zarazem, bo przecież każdy z nas ma własne upiory, a ja swojego przywiozłam aż tu*), pozwalam się przeprowadzić przez rotundę. Adam otwiera furtkę ukrytą w barierce. Schodzi pierwszy, podaje mi rękę. Przystaję i przez ramię znowu spoglądam na porcelanowego Chińczyka. Widmowy korowód zbliża się pomostem prowadzony przez grupkę dzieci. Chłopak kucharki, będący Ignasiem, już na mnie nie patrzy. Tuli do piersi okaleczoną dłoń, jakby tulił do niej chorego ptaka. Spogląda w stronę Sanato.

*

Odnaleziono nas po kilku godzinach. Leżeliśmy oboje nieprzytomni w debrze, na pokrytych lodem kamieniach. Między nimi, pod mleczną skorupą szumiał potok, który za kilka miesięcy miał się zamienić w rwącą rzekę. Złamałam rękę, ale nie pamiętałam, ani jak do tego doszło, ani jakim cudem w ogóle trafiliśmy w to miejsce.

Mój organizm oczyścił się z zadziwiającą prędkością – po tygodniu od wyjazdu z Sanato zaczęłam regularnie sypiać, a badania lekarskie nie wykazały w mojej krwi ani śladu związków metali i złota. Mieszkaliśmy już wtedy w otwockim sanatorium, do którego przyjechaliśmy prosto z Zakopanego.

Adam zmarł wiosną. Ja w lipcu wróciłam do Warszawy. Wyzdrowiałam. Do dziś nie mam

pewności, czy zawdzięczam to sile mojego organizmu, czy szczęściu, czy też może był to jednak efekt kuracji Dreslera.

Oprócz nas wypadki w Sanato przetrwali tamtego dnia tylko Stan i Miet, który zresztą nie odzyskał przytomności i zmarł po kilkunastu godzinach. Stan wrócił do siebie – przynajmniej w wymiarze fizycznym. Lekarze zdiagnozowali u niego nieodwracalne uszkodzenie mózgu spowodowane preparatem, który nam wstrzykiwano. Ich zdaniem podobne okaleczenie ominęło mnie tylko dzięki zmniejszeniu dawki, którą przyjmowałam przez kilka ostatnich tygodni. Stan zmarł w lutym. Do końca nie wypowiedział ani jednego zrozumiałego słowa.

Wydarzenia w Sanato stały się sensacją tygodnia. Gazety nadały im przydomek „złota gorączka”. „Makabryczne skutki medycznego eksperymentu!” – krzyczały nagłówki. „Pacjenci doprowadzeni do utraty zmysłów przez aplikowaną im miksturę mordują personel i towarzyszy niedoli!”. „Jatka w azylu suchotników!”, „Krwawe Boże Narodzenie! W zakopiańskim sanatorium życie traci dwadzieścia osób!”. „Złota gorączka zabija kobiety i dzieci! Kto zawinił?”.

Kto zawinił? Policyjne śledztwo wykazało, że grupa pacjentów Sanato została poddana eksperymentalnej kuracji, której pomysłodawcą był młody niemiecki doktor Matys Dresler – człowiek bez żadnych zasług na polu medycyny, niemający nawet istotnego doświadczenia w tym zawodzie, bowiem dyplom uzyskał zaledwie półtora roku przed przyjazdem do Zakopanego. Początkujący i ambitny doktor wpadł na pomysł koktajlu złotowego i do swojego wynalazku przekonał szefa placówki Horacego Klitowicza, który z niepojętych przyczyn przystał na ryzykowną kurację. Nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności, bo przecież sprawca i jego przełożony – obaj na równi winni zaistniałej sytuacji – już nie żyli.

Ludzie emocjonowali się makabrycznymi opisami zbrodni – w znacznej mierze całkowicie wyssanymi z palca i (o *czym wiedziałam tylko ja*) znacznie złagodzonymi. Wyjaśnienie wszystkich rozczarowało. Los wymierzył sprawiedliwość, nie było więc szansy na proces, który mógłby podtrzymać publiczne zainteresowanie. Sensacja szybko więc poszła w zapomnienie.

Przesłuchiowano nas wielokrotnie, ale ponieważ zeznania Adama i moje diametralnie się od siebie różniły, dano wiarę jego wersji. Powiedział też, że od miesięcy cierpiałam na silną depresję i ostre halucynacje, a kontakt ze mną był tak utrudniony, że niemal niemożliwy.

Wybaczyłam mu.

A zresztą... Im więcej czasu mija, tym i ja coraz częściej myślę, że rzeczy, które widziałam, słyszałam i o których mówiłam, nie wydarzyły się w Sanato naprawdę. Że ich wyobrażenie zrodziło się w moim umyśle na skutek gorączki i trucizny, którą systematycznie sączył do mojej krwi. Oczywiście podobne przypuszczenia rodzą się we mnie tylko za dnia. Nocą, gdy zapada ciemność i wspomnienia nabierają klarowności, wiem dobrze, co się zdarzyło i co jest prawdą, a co jedynie złudzeniem. A niekiedy, naprawdę nieczęsto... Niekiedy budzę się w środku nocy złana potem i mam przejmująco realne wrażenie, że to nasz pobyt w Otwocku, śmierć Adama, policyjne dochodzenie – że to one właśnie są jedynie złudzeniem. Że nadal tkwię w Sanato, uwięziona na wieczność w jednej ze ścian sali numer 3 na oddziale dziecięcym. Wołam wtedy o pomoc, jednak mój krzyk nie jest głośniejszy od oddechu i dobrze wiem, że ci, którzy mieszkają akurat w sanatorium, nie zechcą już go dosłyszeć. Ale, jak powiedziałam, takie chwile zdarzają się bardzo rzadko – od czasu do czasu, zazwyczaj w długie zimowe noce Bożego Narodzenia.

Policja była zaskakująco skrupulatna. Odzyskaliśmy wszystkie nasze rzeczy osobiste, walizki i kufry. Oddano mi nawet futurowskop.

Sanato wkrótce zostało sprzedane. W budynku nadal mieści się sanatorium dla cierpiących na gruźlicę.

Futurowskop działał jeszcze pięć miesięcy. Wróżby, które mi podsuwał, były banalne i nie-

istotne. Niczym nie różniły się od publikowanych w tanich gazetach codziennych. W dniu, w którym zmarł Adam, pojawiła się na przykład taka:

Ranek może nam przynieść jakieś interesujące przeżycia duchowe, ciekawe stany psychiczne, nastroje romantyczne lub też zainteresowanie rzeczami ukrytymi i tajemniczymi. Godziny południowe nieźle będą do załatwiania spraw mających pozostać w ukryciu i w przenikaniu cudzych tajemnic. Jest to dobry czas dla detektywów, może również przynieść nowe natchnienia ludziom subtelnym.

Wieczór dzisiejszy nadaje się do poczynań ryzykownych, a w godzinach późniejszych przyniesie poprawę humoru i samoistne zadowolenie, dzięki czemu mniej wówczas będziemy zwracać uwagę na nieprzyjemności życiowe.

Adam zmarł kilka minut przed dwudziestą drugą.

*

Ostatnia karta wysunęła się z futuroskopu późnym latem 1932 roku. Od poprzedniej dzielił ją ponad miesiąc, sądziłam więc, że aparat przestał działać. Zresztą przecież już go nawet nie nakręcałam. Fiszka była nieco wymięta, druk blady i słabo czytelny. Raptem kilka słów:

Wciąż jestem.

Tyle tylko,

że mnie

nie widać.

Ejekt – (*łac.*) – w *psych.* cudzy podmiot utworzony na wzór własnego.

Emersja – (*łac.*) – wynurzanie się; ukazywanie się jednego ciała niebieskiego (np. planety) zza innego lub jego cienia, który padał na nie; wynurzanie się satelity z cienia planety.



Nina z rodziną
Warszawa, czerwiec 1915 r.

POSŁOWIE

Zapiski Niny Ostromeckiej trafiły do mnie dzięki córce jej kuzynki Heleny Narczyńskiej – Marii. Wydawało się, że po wydarzeniach w Sanato Nina dość szybko wróciła do równowagi. Jednak rok później, kilka miesięcy po śmierci męża, zaczęła gromadzić informacje na temat sanatorium, Dreslera, Iry i pozostałych „numerów”. Ta początkowo zrozumiała chęć poznania szczegółów wydarzeń, w których brała udział, wkrótce zmieniła się w obsesję. Nina pisała setki listów do krewnych nieżyjących współpensjonariuszy, do sanatoriów, o których opowiadała jej Ira, do dziekanatów uniwersytetów w całej Europie. Zbierała najdrobniejsze strzępy informacji, zamieniając swoje warszawskie mieszkanie w zawałone stosami papierów archiwum. Zaczęły prześladować ją koszmary senne, cierpiała na powtarzające się omdlenia i nawracającą depresję. Helena była jedyną żyjącą krewną Ostromeckiej, a także jej najbliższą przyjaciółką. Zaniepokojona stanem Niny nakłoniła ją, by zgłosiła się do szpitala dla nerwowo chorych. Ostromecka trafiła do łódzkiej Kochanówki, w której miała spędzić najwyżej parę tygodni, ostatecznie jednak opuściła mury szpitala dopiero po pięciu latach.



Nina i Adam Ostromęccy,
Warszawa, kwiecień 1929 r.

Po „złotej gorączce” Sanato zostało pospiesznie sprzedane. W okazałym gmachu nadal

prowadzono sanatorium dla chorych na gruźlicę. Zostało zlikwidowane dopiero w 1989 r. Od dwudziestu pięciu lat budynek jest opuszczony.

Nina zakończyła leczenie latem 1939 r. i zamieszkała w Łodzi. Wiosną 1940 r. przyjęła oświadczyny starającego się o nią konkurenta – ich ślub zaplanowany był na jesień 1941 r.



Nina i Helena Narczyńska
Łódź, 17 marca 1935 r.

Kochanówka dn. 10 maja 1935 r.

W Pani H. Narczyńska, Lublin, Niecała 10

W odpowiedzi na list WPani z dn./bez daty/ komunikujemy,
że pacjentka O s t r o m ę c k a Nina czuje się zupełnie dobrze,
jada dużo, sypia, korzysta z wolnego wyjścia.-

Pacjentka korzystała ze specjalnych pielęgniarek:

2-ch - tj. dziennej i nocnej przez 10 dni

1-ej - tj. tylko dziennej do 5 maja r.b.

Obecnie pielęgniarce specjalnej już nie potrzebuje, tak że przesła-
ne przez WPanią ostatnie raty zł. 120.- i zł. 130.- są do dyspozycji,
chora z tych sum na własne wydatki drobne pobrała zł. 10.-

Zawsze chętnie służymy informacjami co do stanu chorej.-

SZPITAL
Dla PSYCHICZNI I NEURWICHOBYCH
„Kochanówka”
/-/Dr. med. A. Starzyński

Kochanówka dn. 16 kwietnia 1936.

W Pani Helena Narczyńska, L u b l i n, Niecała 10

W odpowiedzi na pocztówkę adresowaną do p.dr.Kiełmuciovej komunikujemy, że stan pacjentki Pani Ostromeckiej Niny uległ znacznej poprawie: chora zaczyna lepiej sypiać i jadać, pozostaje w dalszym ciągu na paw. Geyera / klasowym / t.j. pod opieką p.dr.Kiełmuciovej.- Należność prosimy przesłać pod adresem Szpitala. /Szpital "Kochanówka" poczta Łódź/.-

SZPITAL
Dla PSYCHICZNI I NERWICZNYCH
„KOCHANÓWKA”
Dyrektor

/-/Dr.med. A.Starzyński

Kochanówka dn. 16 marca 1938 r.

Wielmożna Pani H. Narczyńska, Lublin, Niecała 10

W odpowiedzi na list W Pani z dn. /bez daty/ komunikujemy, iż pacjentka O s t r o m e c k a Nina ostatnio pomaga w bibliotece dla chorych, korzysta ze spacerów, zadowolona ze swego pobytu w szpitalu. W szpitalu nie myśli o majakach, ale zaznacza, że gdyby po wypisaniu się ze szpitala kiedykolwiek halucynacje powróciły, to wówczas ponownej kuracji nie przeprowadzałaby.- Chora przybyła na wadze 4klg., jada, sypia dobrze - pogodna.- Dn.3 marca rb. wygłosiła w szpitalu b. ładny odczyt o chorobach płucnych.

SZPITAL
Dla PSYCHICZNI I NERWICZNYCH
„KOCHANÓWKA”
Dyrektor

/-/Dr.med. A.Starzyński

W sierpniu 1941 roku otrzymała wezwanie z Kochanówki na badania kontrolne, na które się stawiła. Została zamordowana razem z kilkudziesięcioma innymi pacjentami szpitala w ruchomej komorze gazowej Sonderkommando Lange, stając się jedną z 70 tysięcy ofiar hitlerowskiej akcji T4 mającej na celu eutanazję jednostek upośledzonych, prowadzonej w ramach propa-

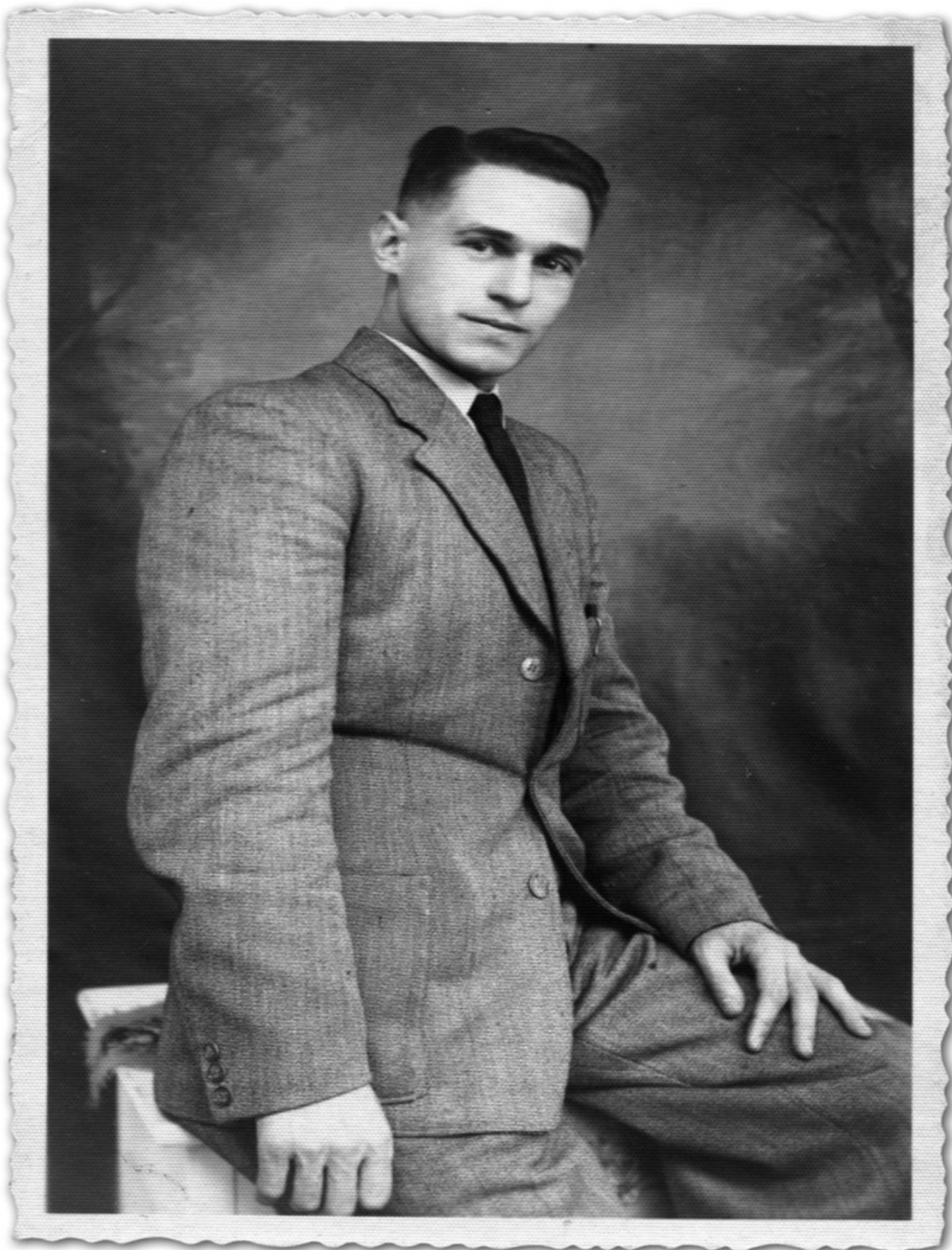
gowanych w III Rzeszy eugeniki i darwinizmu społecznego.



NINA OSTROMECKA

25.03.1910 – 17.08.1941

Z domu Machnicka. Urodziła się w Warszawie, jej ojciec był radcą prawnym, matka natomiast, Rosjanka, ukończyła studia muzyczne Miklaszewskiego w Moskwie. Według informacji przekazanych przez córkę jedynej kuzynki Niny Heleny Narczyńskiej Ignaś, o którym pisze Ostromecka w swoim pamiętniku, w rzeczywistości nie był kominiarczykiem, ale jej starszym bratem. Narczyńska nie potwierdziła opisanego przez Ninę tragicznego zdarzenia, którego następstwem miało być okaleczenie chłopaka. Ignacy Machnicki zmarł w grudniu 1919 r. w wieku osiemnastu lat. Został pochowany na warszawskich Powązkach.

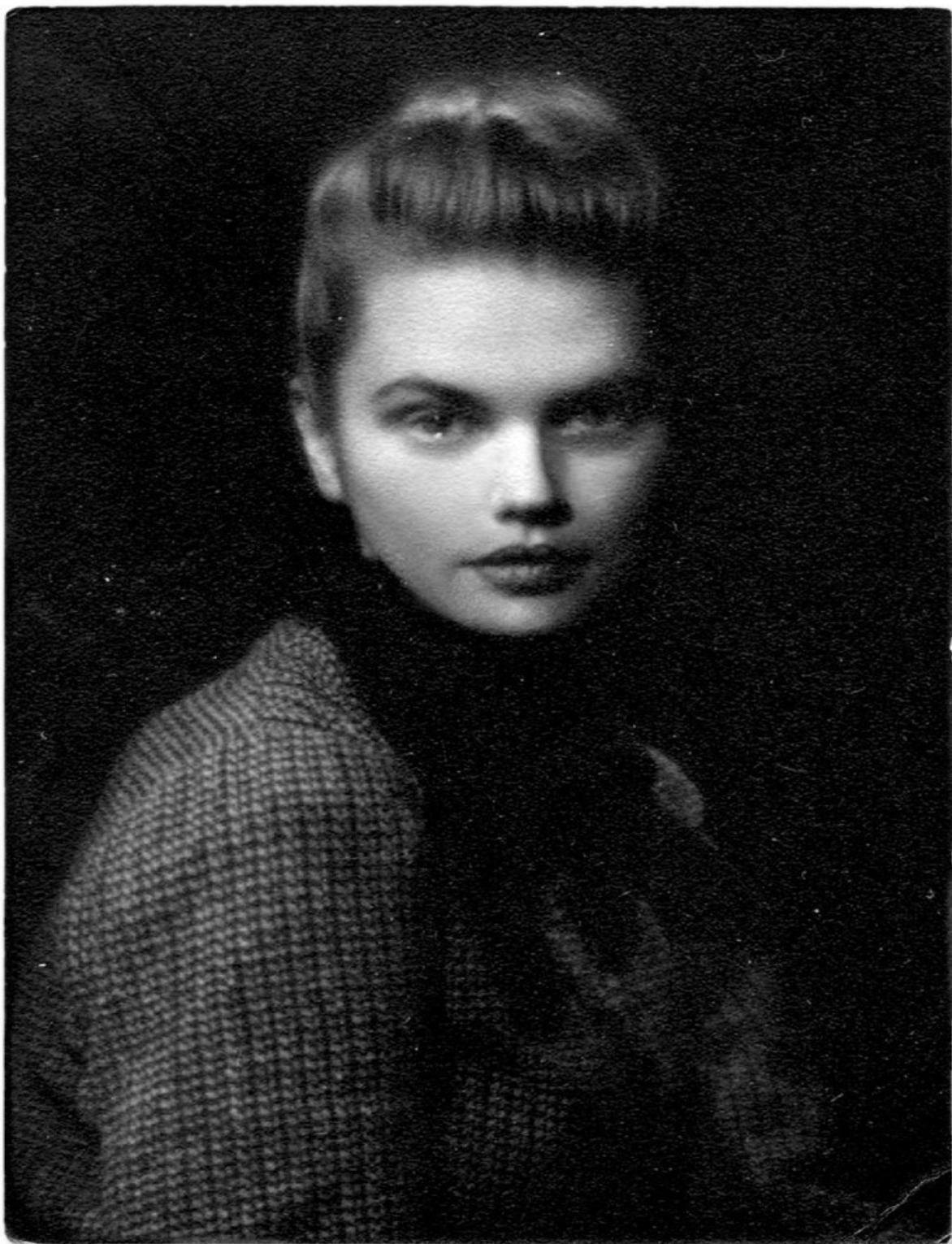


ADAM OSTROMEŃKI

23.04.1905 – 14.05.1932

Pochodził ze starej warszawskiej rodziny kupieckiej, jego dziadek, a później ojciec i dwaj wujowie prowadzili składy wina oraz winiarnię na Starym Mieście. W 1923 r. w związku z nagłą chorobą żony ojciec Adama sprzedał swoje udziały braciom, a pieniądze uzyskane w wyniku transakcji korzystnie ulokował, zapewniając rodzinie wygodny byt. W 1925 r. rodzice Adama wyemigrowali do Włoch, gdzie zmarli w odstępie kilku tygodni wiosną 1933 r. Ostromecki rozpoczął naukę w szkole handlowej Zgromadzenia Kupców miasta Warszawy, jednak przerwał ją, gdy jego ojciec wycofał się z rodzinnego interesu. Był jedynakiem.

IRENA ZAŁĘSKA



1910 (?) – 25.12.1931

Ninie nie udało się odnaleźć informacji na temat rodziny Iry, nikt także nie zgłosił się do

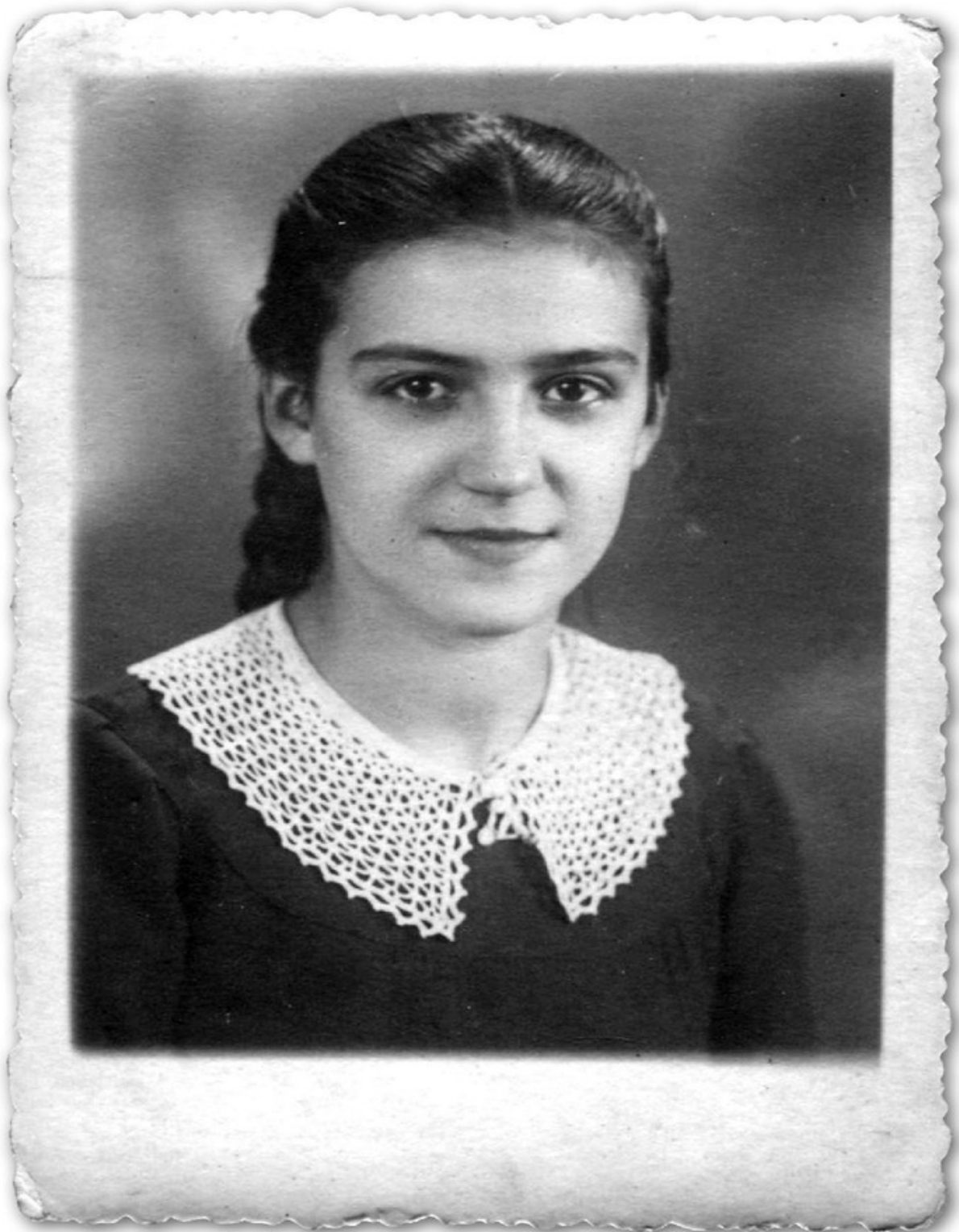
Sanato po jej rzeczy. Trafiły na licytację urządzoną przez nowych właścicieli sanatorium latem 1932 r. w Krakowie. Ninie udało się kupić część rzeczy osobistych Iry, wśród nich także parę fotografii. Odbitkę rozesłała do kilku niemieckich sanatoriów, o których mówiła Ira, jednak pracownicy żadnego z nich nie rozpoznali dziewczyny. W żadnej z tych placówek nie przebywał też nigdy nikt o jej personaliach. Ninie nie udało się ustalić, gdzie Ira została pochowana.



DR MATYS DRESLER

7.08.1902 – 24.12.1931

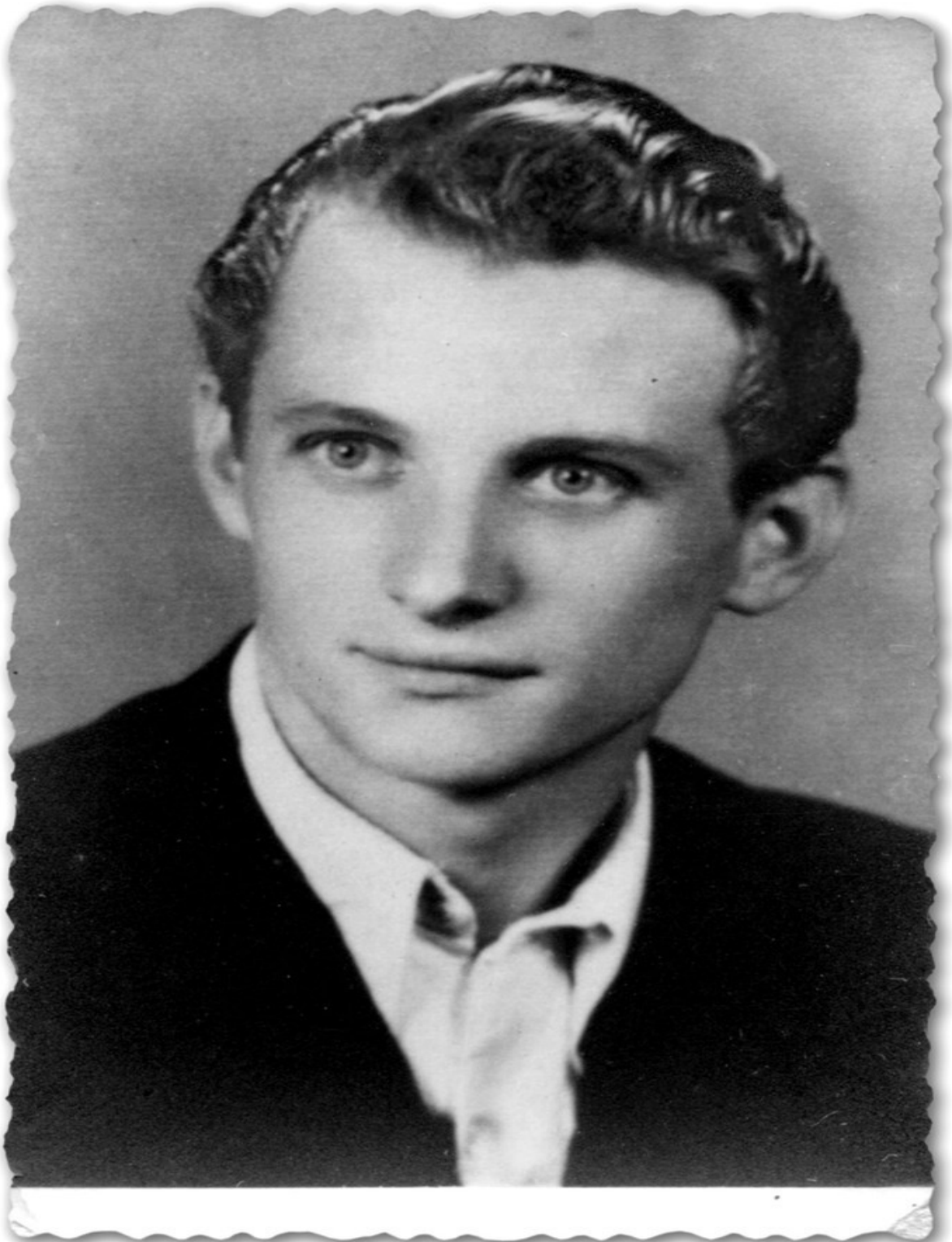
Naprawdę Matisyahu Neculce. Pochodził z Rumunii. Urodził się w Siedmiogrodzie, w mieście Sebeș, jego matka Irene (z domu Dresler) była Niemką, osierociła go w siódmym roku życia, ojciec Matysa ożenił się ponownie – z Polką. Matys ukończył studia medyczne na uniwersytecie w Grazu z wynikiem przeciętnym, opublikował w Niemczech dwie rozprawy dotyczące chryzoterapii i leczenia gruźlicy związkami metali ciężkich. Te informacje udało się Ninie pozyskać dzięki wymianie korespondencji z pracownicą dziekanatu uniwersytetu w Grazu, która poznała Matysa na fotografii.



DOROTA KOŚCIAŁOWICZ

16.02.1917 – 25.12.1931

Dorcja została pochowana w Krakowie. Jej ojciec opuścił jednak to miasto i wrócił do Lubeki, gdzie w 1934 r. założył papiernię i drukarnię. Zamieszkał ponownie przy Wallstrasse. Ożenił się po raz drugi w 1942 r. i doczekał czworga dzieci, które z czasem przejęły przedsiębiorstwo ojca. Nina odkryła, że literackie zainteresowania Dorci wykraczały poza czytanie. W 1930 r. pod pseudonimem Dorian Martens dziewczynka opublikowała dwa opowiadania w piśmie „Przyjaciel Dzieci”, a także pięć wierszy po niemiecku w „Karstadt Magazin”.



JAN FILIP KRYNICKI

9.06.1901 – 25.12.1931

Urodził się we Włocławku, tam też uczęszczał do szkoły powszechnej i gimnazjum. Ukończył wydział filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W 1926 r. został członkiem Warszawskiego Związku Przeciwgruźliczego, a także Polskiego Towarzystwa Badań Naukowych nad tą chorobą. Sfinansował projekt pierwszej w Polsce ruchomej przychodni przeciwgruźliczej. Był głównym sponsorem prywatnym budowy Dziecięcego Zakładu Leczniczego w Zakopanem. Finansował także stale dwadzieścia łóżek dla dzieci z najuboższych rodzin w sanatorium przeciwgruźliczym w Istebnej. Na gruźlicę zachorował w wieku 19 lat.



ROZALIA GAJCZYŃSKA

(Rojza Gajelicht)

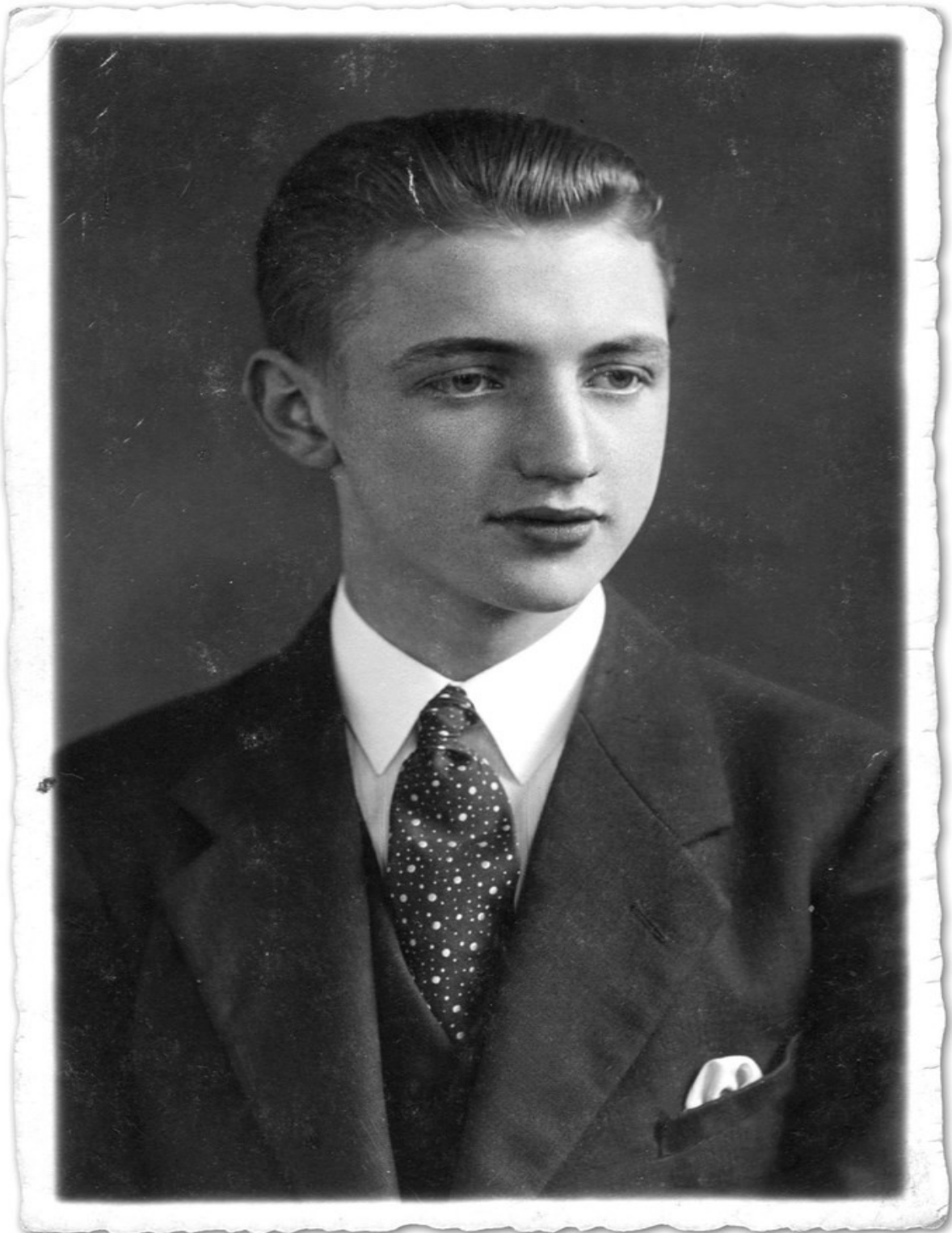
15.02.1910 – 10.02.1991

Urodziła się w Łodzi w zasymilowanej rodzinie żydowskiego fabrykanta. Rozalia wyjechała z Sanato w listopadzie 1931 r. Udało jej się zwalczyć chorobę. W 1938 r. wyjechała do USA i nie wróciła już do Polski.

JADWIGA WOLLEJSZO

23.11.1907 – 24.12.1931

Urodziła się w Łodzi i pochodziła z równie zamożnej rodziny jak Rozalia. Miała jedenaścioro rodzeństwa, z którego siedmioro także zachorowało na gruźlicę. Wojnę przeżyła tylko jedna, najmłodsza z jej sióstr.



SEBASTIAN NAROCZ

30.05.1915 – 24.12.1931

Młodszy brat Nel urodził się w majątku rodzinnym Palczew pod Warszawą. Jesienią 1932 r. miał rozpocząć staż w kancelarii adwokackiej oraz studia na wydziale prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ale gruźlica zniweczyła te plany. Dla Nel śmierć Sebastiana okazała się bardzo silnym ciosem, który przewartościował jej podejście do świata. Jesienią 1933 r. przyjęła oświadczenia swojego kierowcy i para pobrała się wbrew sprzeciwowi rodziny Naroczów. Zamieszkali na Nowym Mieście. Nel i dwie jej córki zginęły podczas powstania warszawskiego. Jej mąż przeżył wojnę i wyemigrował do Anglii.



AMELIA ZACZYŃSKA

5.09.1912 – 24.12.1931

Urodziła się we Lwowie. Jako jedyna z pacjentów Dreslera pochodziła z niezamożnej rodziny – jej pobyt w Sanato finansował stryj dziewczyny. Amelia nie była aż tak nierozgarnięta, jak wydawało się Ninie – ukończyła z wynikiem celującym gimnazjum żeńskie Zofii Strzałkowskiej we Lwowie, planowała także studia humanistyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W przyszłości chciała założyć własną pensję dla dziewcząt we Lwowie.



MIECZYŚLAW GRYSZYC

9.05.1905 – 1.01.1932

Urodził się w Zawierciu, gimnazjum ukończył w Warszawie, a w 1926 r. rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlu w Hamburgu, które musiał przerwać ze względu na chorobę. Ze Stanem przyjaźnił się od wczesnego dzieciństwa, bowiem rodziny obu mężczyzn były ze sobą skoli-gacone.



STANISŁAW MARIAN BORNIACKI

27.06.1903 – 25.12.1931

Urodził się i wychował w rodzinnym majątku Złożeniec położonym niedaleko Zawiercia. Opiekę nad posiadłością przejął po śmierci rodziców w 1921 r. i okazał się znakomitym gospodarzem. W 1925 r. ożenił się. Jego żona zmarła w połogu dwa lata później.



DR HORACY KLITOWICZ

19.12.1868 – 22.12.1931

Urodził się w Starogardzie, syn Augusta i Pauliny z Köniegów. Ukończył gimnazjum w Starogardzie, studiował medycynę na uniwersytetach w Monachium i Wrocławiu. Podczas wojny służył w wojsku austriackim. W 1919 r. objął funkcję lekarza prowadzącego i dyrektora uzdrowiska Sanato w Zakopanem. Latem 1929 r. rozpoczął negocjacje z właścicielem sanatorium mające na celu odkupienie Sanato. Wiosną 1931 r. udało im się dojść do porozumienia i podpisać wstępną umowę sprzedaży placówki, jednak nie została ona sfinalizowana.



MARIA SOBEL

1898 (?) – 24.12.1931

Urodziła się w Głogowie. Ukończyła szkołę powszechną w Rzeszowie i kursy pielęgniar-
skie przy krakowskim szpitalu dziecięcym św. Ludwika. W 1918 r. przyjęła posadę pielęgniarki
w Sanato. Według domysłu Niny przyjechała jako opiekunka dzieci, na których testowano nowy
rodzaj szczepionki BCG.

AGNIESZKA JASIEŃ

1913 (?) – 24.12.1931

Urodziła się w Wojniczu. W 1927 r. dołączyła do personelu Sanato jako salowa. Awansowała na pielęgniarkę w 1929 r.



MAŁKA POWROŹNIK lub **ANIELA SROCZYŃSKA**

1895 (?) – 12.11.1931

Na temat kucharki Ninie nie udało się znaleźć prawie żadnych informacji. Z zachowanej listy personelu kuchni Sanato wytypowała dwa nazwiska, prawdopodobnie któreś z nich nosiła ta kobieta. Zdjęcie Nina dostała od nowego administratora Sanato, z którym prowadziła korespondencję w latach 1935-37. W archiwum uzdrowiska nie było informacji o synu kucharki.



DR STEFAN BARANICZ

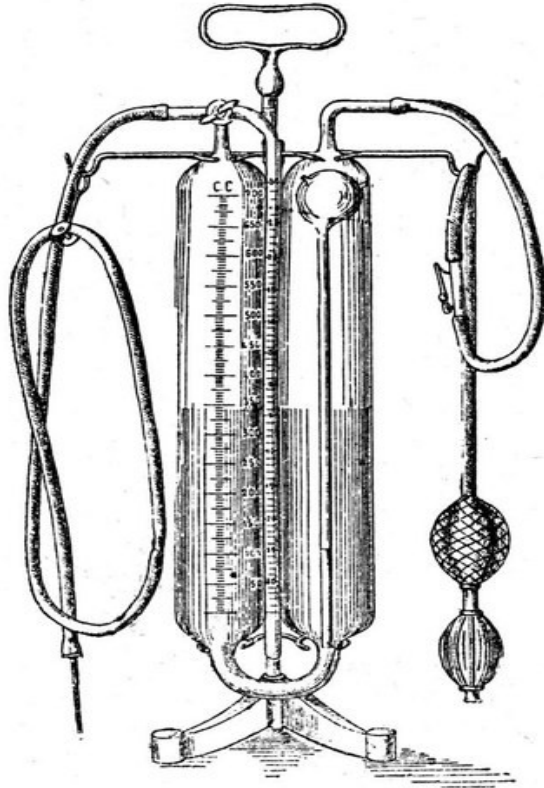
7.04.1893 – 23.07.1936

Wiosną 1932 r. poślubił swoją pacjentkę. Elwira zmarła jesienią tego samego roku. Doktor Baranicz zmarł na gruźlicę cztery lata później.

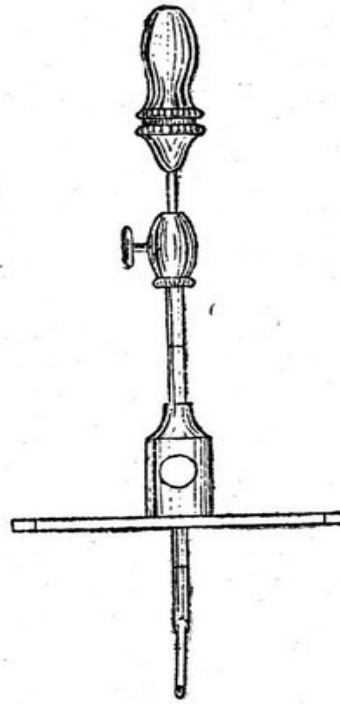
ODDZIAŁ DZIECIĘCY

W archiwum Sanato nie zachowały się żadne wzmianki o jego istnieniu. Poniższą fotografię Ninie udało się uzyskać od spadkobierców Baraniczów w 1937 r. Na jej odwrocie lekarz zapisał odręcznie: *Leżaki – Zakopane 1918 r.*

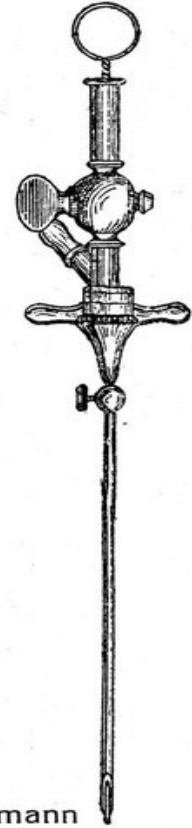
INSTRUMENTY MEDYCZNE DO ZAKŁADANIA ODMY SZTUCZNEJ



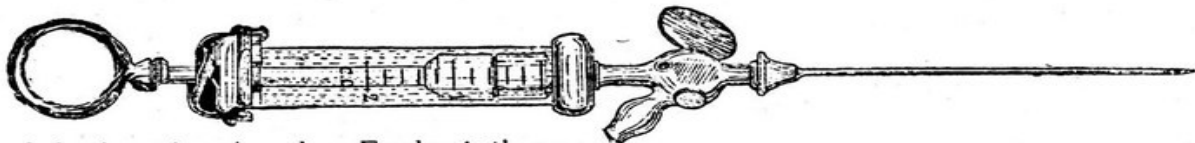
Aparat Forlaniniego



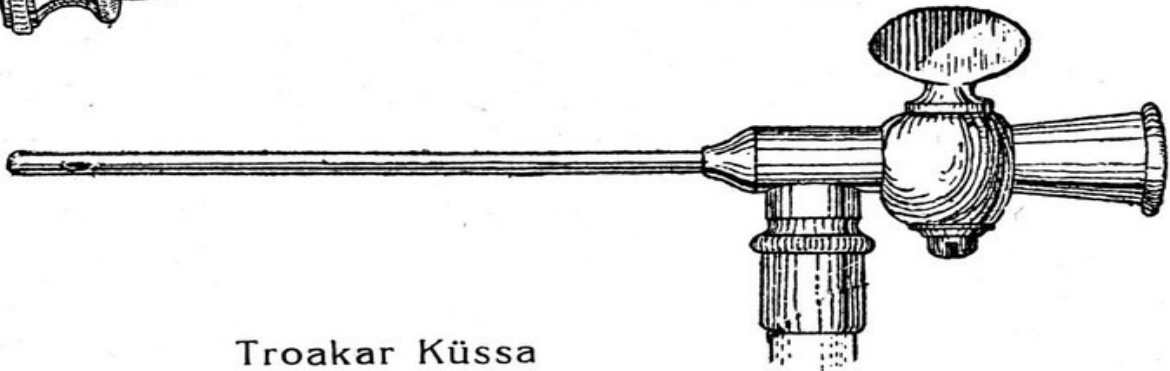
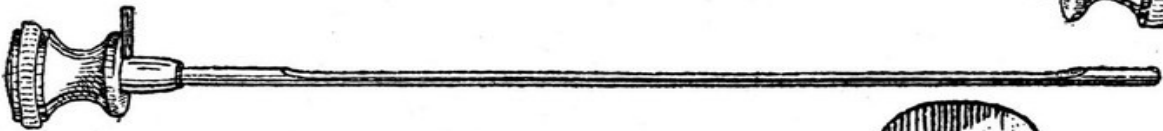
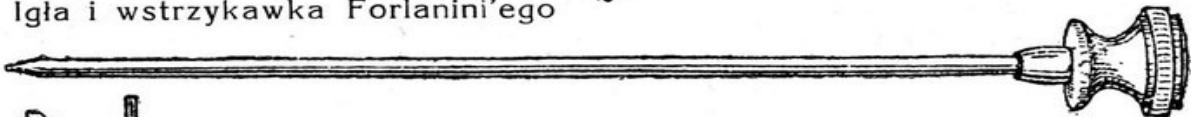
Igła Courmonta



Igła Saugmann

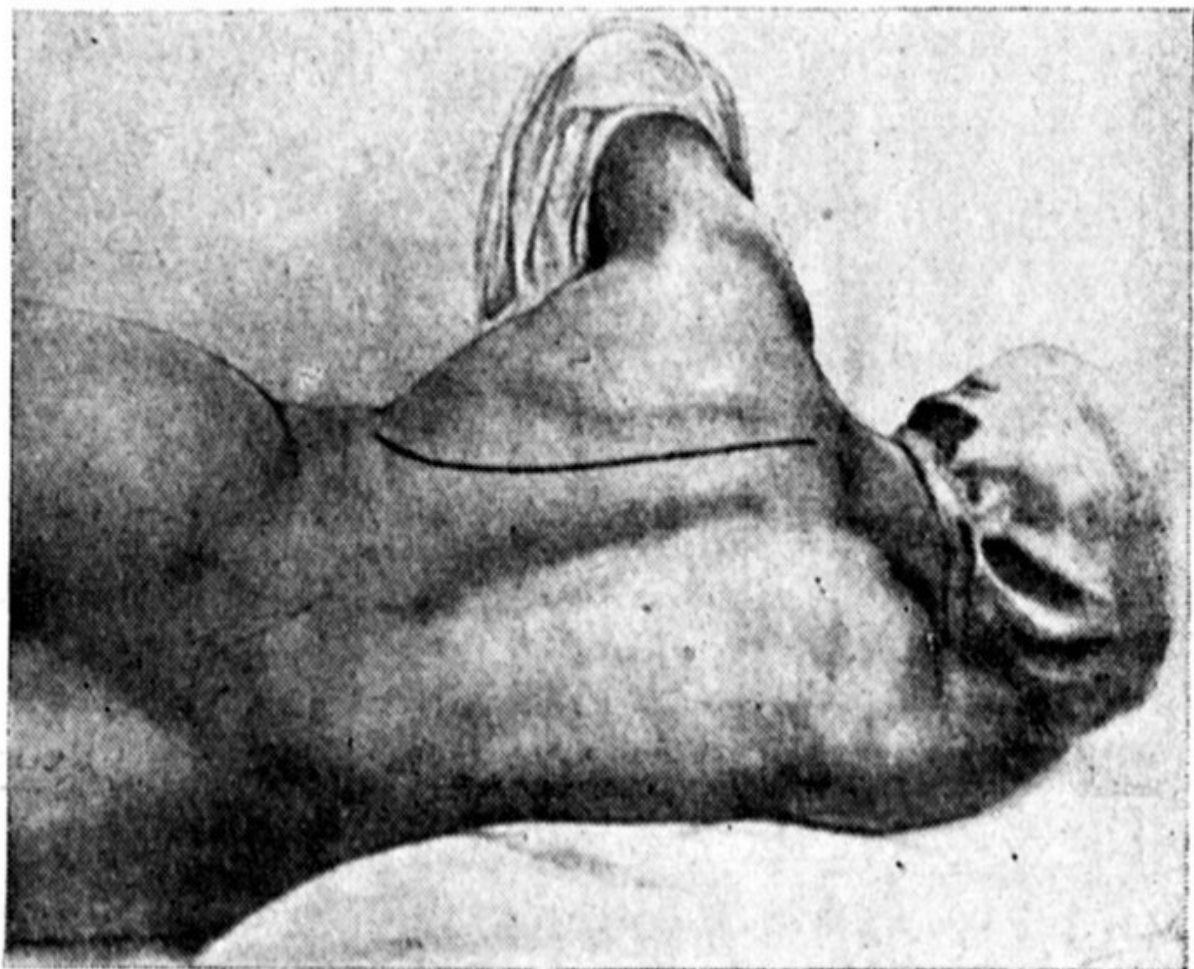


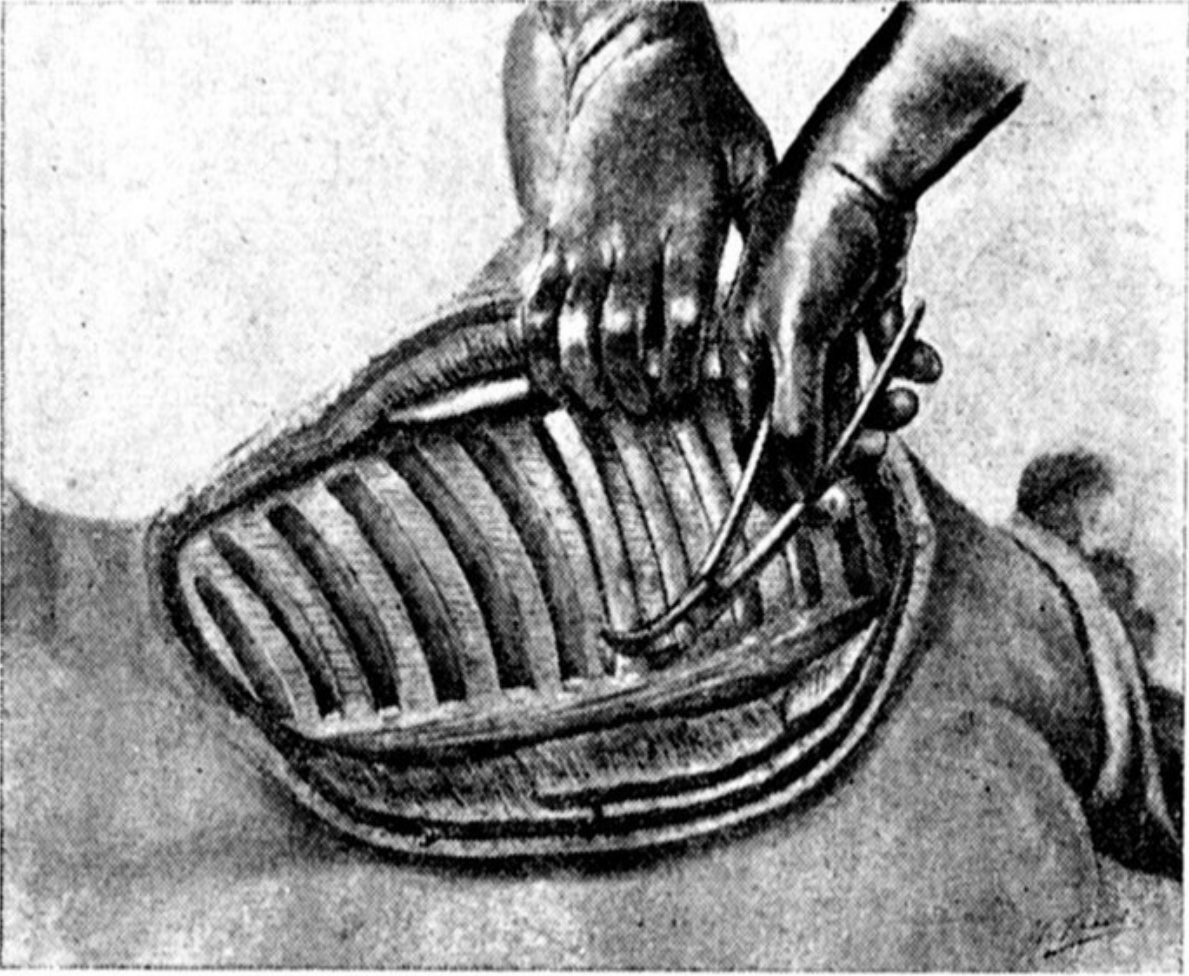
Igła i wstrzykawka Forlanini'ego

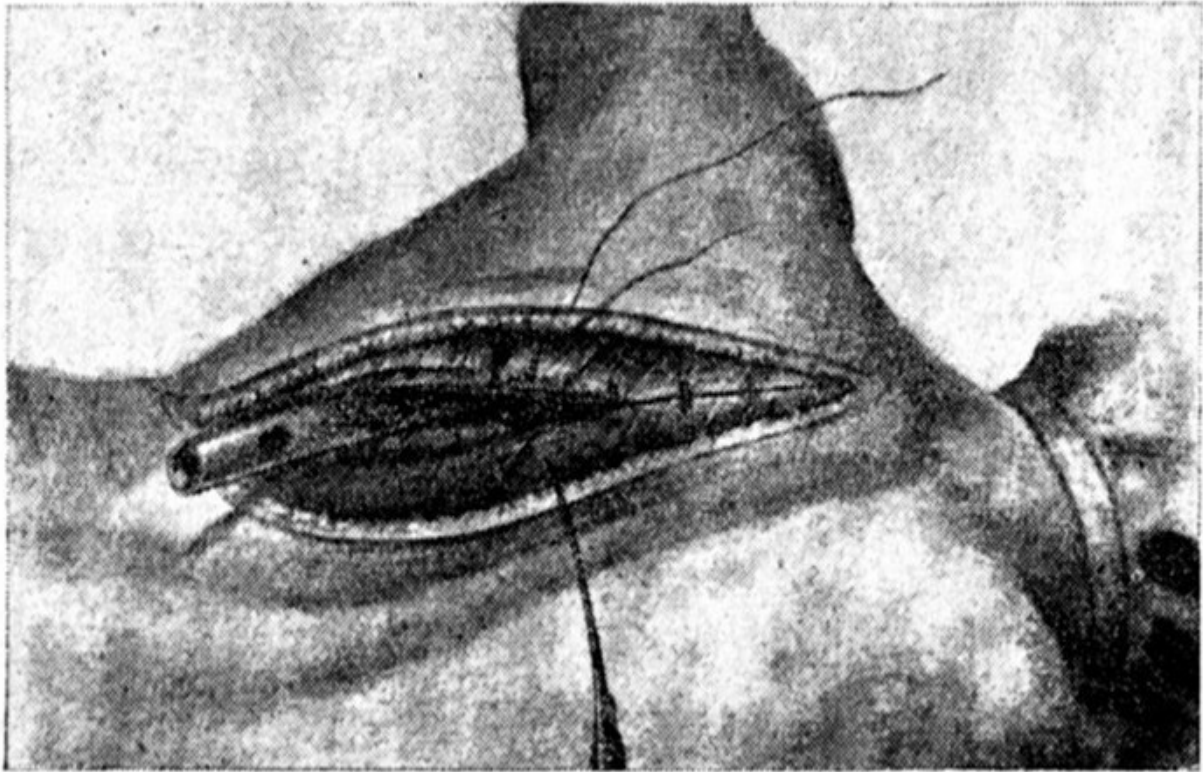


Troakar Küssa

TORAKOPLASTYKA





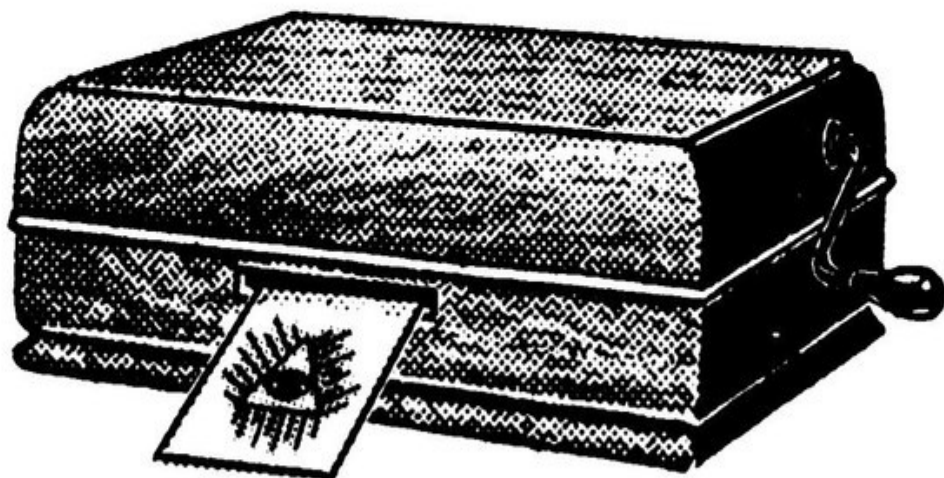


Przyczółek Kasandry!

Niezawodna i jedyna metoda jak okpić
nieprzychylny Los i wyjść cało z podstępnych
zasadzek Opatrzności!

FUTUROSKOP

Najnowszy patent wiedeński! Pisać:
Astral i S-ka, ul. Szeroki Zjazd 9 w Warszawie



Odśłania tajemnice i sekrety jasno i dokładnie.

WAŻNE! Wiedzieć co nas czeka, nie jest li tylko sprawą ciekawości. Dziś w trudnych warunkach walki o byt jest to codzienną naszą potrzebą. Dzisiejsze życie zmusza człowieka do korzystania ze wszystkich sił i potęg Przyrody, a więc do korzystania z WIEDZY TAJEMNEJ, do korzystania ze zdobyczy OKULTYZMU.

